JOHN IRVING

OSTATNIA NOC W TWISTED RIVER

Prószyński i S-ka

JOHN IRVING

Ostatnia noc w Twisted River

Przełożyła Magdalena Moltzan-Małkowska

Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału LAST NIGHT IN TWISTED RIVER

Copyright © 2009 by Garp Enterprises, Ltd.

All rights reserved

RAM'S HORN MUSIC: Excerpt from „Tangled Up in Blue” by Bob Dylan, copyright © 1974 by Ram's Horn Music.

„After The Gold Rush” Words and Music by Neil Young
Copyright © 1970 by Broken Arrow Music Corporation
Copyright Renewed
All rights reserved. Used by Permission
Reprinted by permission of Hal Leonard Corporation.

Projekt okładki Maciej Trzebiecki

Zdjęcie na okładce © Everett Irving

Redaktor prowadzący Katarzyna Rudzka

Redakcja Anna Kaniewska

Korekta Katarzyna Szajowska

Łamanie Ewa Wójcik

ISBN 978-83-7648-789-2

Warszawa 2010

Wydawca
Prószyński Media Sp. z o.o.
02-651 Warszawa, ul. Garażowa 7 www.proszynski.pl

Druk i oprawa

Drukarnia Naukowo-Techniczna
Oddział Polskiej Agencji Prasowej S.A.
03-828 Warszawa, ul. Mińska 65

Konwersja: NetPress Digital Sp. z o.o.

Dla Everetta – mojego bohatera

I pojechałem raz na Północ,
Gdzie na kucharza przyjęli mnie.
Lecz długo miejsca tam nie zagrzałem
I co stać się miało, zdarzyło się.
Bob Dylan, *Tangled Up in Blue*

I
HRABSTWO COOS, NEW HAMPSHIRE, 1954

Rozdział 1
POD KŁODAMI

Młody Kanadyjczyk, który nie mógł mieć więcej niż piętnaście lat, za długo się wahał. Jego stopy znieruchomiały na chwilę na kłodach dryfujących w dorzeczu powyżej zakrętu rzeki; zanim ktokolwiek zdążył chwycić jego wyciągniętą dłoń, znalazł się pod wodą. Jeden z drwali, próbując złapać długie włosy chłopaka, zanurzył rękę w lodowatej wodzie, gęstej od kory prawie jak zupa. Naraz dwie kłody zwarły się na przedramieniu niedoszłego wybawcy, łamiąc mu nadgarstek. Ruchomy dywan kłód zamknął się nad młodym Kanadyjczykiem, który nie wypłynął na powierzchnię: z brunatnej wody nie wyłoniła się nawet jego ręka ani but.

Z chwilą gdy pnie tworzące zator popłynęły swobodnie, flisacy musieli być w ciągłym ruchu: gdyby przystanęli na sekundę lub dwie, nie mieliby szans w starciu z prądem. Podczas spływu drewna człowiek mógł zostać zmiażdżony, zanim miał okazję utonąć, ale utonięcia były bardziej powszechne.

Na brzegu, skąd kucharz i jego dwunastoletni syn słyszeli przekleństwa drwala ze złamanym nadgarstkiem, od razu stało się jasne, że ktoś doznał poważniejszego uszczerbku niż niedoszły wybawca, który uwolnił rękę i odzyskał równowagę na dryfujących pniach. Pozostali flisacy nie zwracali na niego uwagi; drobnymi, szybkimi krokami podążali w stronę brzegu, wołając zaginionego chłopca po imieniu, i drągami popychali przed sobą płynące kłody. Ich głównym celem było bezpieczne dotarcie na brzeg, jednakże syn kucharza miał nadzieję, iż próbują utworzyć szczelinę, dzięki której młody Kanadyjczyk mógłby

wydostać się na powierzchnię. Odstępy między kłodami pojawiały się jednak przypadkowo. Chłopiec, znany jako Angel Pope z Toronto, zniknął bez śladu.

– Czy to Angel? – zapytał ojca dwunastolatek. Ciemnobrązowe oczy i wyraz uroczystej powagi na twarzy czyniły go łudząco podobnym do nieszczęśnika, który utonął, lecz rodzinne podobieństwo łączące go z wiecznie czujnym ojcem nie pozostawiało najmniejszych wątpliwości. Kucharza otaczała aura tłumionego lęku, jakby żył w ciągłym strachu przed najgorszymi z możliwych katastrof, co poniekąd znajdowało odzwierciedlenie w powadze syna; ba, chłopiec do tego stopnia przypominał ojca, iż paru drwali wyraziło zdziwienie, że nie utyka.

Kucharz wiedział aż nazbyt dobrze, że to młody Kanadyjczyk znalazł się pod kłodami. Sam ostrzegał przecież drwali, że Angel jest jeszcze zielony; to nie on powinien likwidować zator. Ale pewnie chłopak był nadgorliwy albo flisacy w pierwszej chwili nie zwrócili na niego uwagi.

Zdaniem kucharza Angel Pope był również zbyt niedoświadczony (i niezdarny), by pracować w pobliżu głównej piły w tartaku. Był to obszar zastrzeżony dla tracza, człowieka z wieloletnią praktyką i doświadczeniem w tej dziedzinie. Praca z heblarką też wymagała doświadczenia, choć nie stwarzała wielkiego ryzyka.

Do bardziej niebezpiecznych i wymagających mniejszych kwalifikacji zadań należała praca na pomoście, skąd wtaczano kłody do tartaku i na lawetę piły, albo wyładowywanie pni z ciężarówek. Przed nastaniem epoki ładowarek mechanicznych bale rozładowywano poprzez zwolnienie blokad znajdujących się po bokach ciężarówek, co pozwalało uporać się z całym ładunkiem naraz. Blokady jednak czasem zawodziły i zdarzało się, że ludzie, którzy usiłowali je otworzyć, kończyli pod stertą spadających pni.

Zdaniem kucharza, Angel w ogóle nie powinien znaleźć się w pobliżu ruchomych kłód. Tymczasem drwale przepadali za młodym Kanadyjczykiem tak samo jak on i jego syn, a Angel narzekał, że znudziła mu się praca w kuchni. Marzyło mu się coś, co wymagało większego wysiłku, najlepiej pod gołym niebem.

Powtarzający się szczęk drągów trącających kłody na chwilę ustąpił miejsca okrzykom flisaków, którzy zauważyli drąg Angela, około pięćdziesiąt metrów od miejsca, w którym zniknął chłopiec. Dryfował na powierzchni w pewnej odległości od kłód, zniesiony przez prąd.

Kucharz widział, że flisak ze złamanym nadgarstkiem wyszedł na brzeg z drągiem w drugiej ręce. Znajome brzmienie przekleństw oraz splątane włosy i broda mężczyzny nie pozostawiały wątpliwości: był to Ketchum, który o zdradliwości spływu wiedział niejedno.

Był kwiecień; od ostatnich roztopów i początku pory błota minęło niewiele czasu, ale w dorzeczu lód odpuścił dopiero niedawno i na stawach Dummer pojawiły się płynące z prądem pierwsze kłody. Rzeka była lodowata i powoli toczyła swe wezbrane wody, a wielu drwali miało gęste brody i długie włosy, które w połowie maja miały zapewnić im symboliczną ochronę przed czarnymi muchami.

Ketchum leżał na wznak niczym niedźwiedź wyrzucony na brzeg. Ruchoma masa pni przepływała obok. Wyglądało to tak, jakby spływ był szalupą, a drwale, którzy jeszcze nie dotarli na brzeg, rozbitkami na morzu, tyle że owo morze z zielonkawobrunatnego w mgnieniu oka stało się sinoczarne dzięki zabarwieniu skał z dna rzeki.

– Psiakrew, Angel! – wrzasnął Ketchum, nie ruszając się z miejsca. – Powiedziałem „Przebieraj nogami, Angel. Musisz przebierać nogami!”. Psiakrew.

Wątły pokład kłód nie był szalupą dla Angela, który z pewnością utonął albo został zmiażdżony w dorzeczu

poniżej zakrętu rzeki, chociaż drwale (w tym Ketchum) doszli za spływem przynajmniej do miejsca, gdzie Twisted wpadała do zbiornika Pontook przy Tamie Nieboszczki. Zbiornik tworzyła tama Pontook na rzece Androscoggin; kiedy pnie wpływały do Androscoggin, dalej napotykały sortownie na obrzeżach Mediolanu. W Berlinie Androscoggin na przestrzeni niecałych pięciu kilometrów zwężała się o sześćdziesiąt metrów; dwie papiernie rozdzielały rzekę przy sortowniach w Berlinie. Istniało podejrzenie, że Angel Pope z Toronto zmierza w tym właśnie kierunku.

Wraz z nadejściem zmroku kucharz i jego syn nadal zajęci byli ratowaniem resztek z nietkniętych obiadów w niewielkiej stołówce, czy raczej garkuchni osady o nazwie Twisted River, niewiele tylko większej niż obóz drwali. Dopiero od niedawna kuchnia zyskała własny budynek; niegdyś istniała tylko kuchnia polowa, na stałe wmontowana w jedną ciężarówkę, na drugiej zaś wożono rozkładaną stołówkę, transportowaną z miejsca na miejsce. Było to w czasach, gdy ciężarówki ciągle woziły dobytek drwali w ślad za ich wędrówką na kolejne miejsca wyrębu.

W owych czasach, nie licząc weekendów, flisacy rzadko wracali do Twisted River na posiłek lub sen. Obozowy kucharz często zmuszony był gotować w namiocie. Żyli jak Cyganie, nawet pomieszczenia sypialne były wbudowane w ciężarówki.

Obecnie nikt nie wiedział, jaki los czeka podupadające miasteczko Twisted River, leżące w połowie drogi między dorzeczem a stawami Dummer. Mieszkali tam pracownicy tartaku z rodzinami, a przedsiębiorstwo drzewne utrzymywało szałasy dla pracowników dorywczych, do których zaliczali się nie tylko robotnicy najemni z Kanady francuskiej, lecz także większość flisaków i pozostali drwale. Przedsiębiorstwo utrzymywało też lepiej

wyposażoną kuchnię oraz wspomnianą wyżej prawdziwą stołówkę, gdzie urzędowali kucharz wraz z synem. Lecz ile to jeszcze potrwa? Tego nie wiedział nawet właściciel przedsiębiorstwa.

W przemyśle drzewnym dokonywały się wielkie zmiany; przyjdzie dzień, gdy każdy pracownik branży będzie mógł pracować w swoim miejscu zamieszkania. Obozy drwali (a nawet nieco większe osady w rodzaju Twisted River) powoli obumierały. Znikały również same wanigany, osobliwe budki, w których sypiano, jadano i przechowywano narzędzia, montowane nie tylko na ciężarówkach, kołach lub gąsienicach, lecz także na łodziach i tratwach.

Indiańska pomywaczka, która pracowała dla kucharza, dawno temu powiedziała jego synowi, że wyraz „wanigan” pochodzi z języka Abenaki, co nasunęło chłopcu przypuszczenie, że ona sama też wywodzi się z tego plemienia. Może po prostu znała pochodzenie słowa, albo tylko twierdziła, że je zna. (Syn kucharza chodził do szkoły z Indianinem, który utrzymywał, że „wanigan” pochodzi z języka Algonkinów).

Na razie jeszcze praca podczas spływu trwała od świtu do nocy. W myśl panujących zasad robotnicy mieli dostawać cztery posiłki dziennie. Dawniej, gdy wanigany nie mogły dotrzeć nad samą rzekę, flisakom dowożono w ciągu dnia dwa posiłki. Pierwszy i ostatni podawano na terenie obozu, a obecnie w stołówce. Ale tego wieczoru wielu drwali, wstrząśniętych zaginięciem Angela, nie zjawiło się na kolacji. Przez cały wieczór chodzili wzdłuż brzegu, obserwując płynące kłody, dopóki zmrok nie kazał im dać za wygraną; zmrok, a także narastająca świadomość, iż żaden z nich nie wie, czy Tama Nieboszczki jest otwarta. Jeśli zaś tamy Pontook i Nieboszczka były otwarte, ciało młodego Kanadyjczyka popłynęłoby na łeb na szyję z nurtem Androscoggin. Kto jak kto, ale Ketchum najlepiej

zdawał sobie sprawę, że w takim wypadku poszukiwania Angela byłyby daremne.

Kucharz wiedział, kiedy wrócili; słyszał, jak opierają drągi o ścianę kuchni. Paru zmęczonych poszukiwaczy po zmierzchu przyszło do stołówki, a on nie miał serca odprawić ich z kwitkiem. Wszystkie pomocnice rozeszły się do domów oprócz indiańskiej pomywaczki, która przeważnie zostawała do późna. Kucharz o trudnym do wymówienia nazwisku Dominic Baciagalupo – albo „Ziółko", jak tradycyjnie nazywali go drwale – przygotował mężczyznom późną kolację, którą podał jego dwunastoletni syn.

– Gdzie Ketchum? – zapytał chłopiec.

– Pewnie u lekarza – odpowiedział kucharz.

– Założę się, że jest głodny – stwierdził dwunastolatek. – Ale Ketchum to twardziel.

– Zwłaszcza jak na kogoś, kto pije – zgodził się Dominic, myśląc sobie, że Ketchum jest wprawdzie twardzielem, ale doświadczony drwal przeżywał zapewne wypadek Angela Pope'a najbardziej ze wszystkich, gdyż wziął młodego Kanadyjczyka pod swoje skrzydła. Opiekował się chłopcem, a przynajmniej próbował to robić.

Ketchum miał smoliste włosy i brodę, czarniejsze jeszcze niż futro niedźwiedzia czarnego. Ożenił się w młodym wieku, i to nie raz. Stracił kontakt z dziećmi, które dorosły i rozeszły się każde w swoją stronę. Przez cały rok mieszkał w jednym z szałasów bądź w którymś ze zrujnowanych zajazdów, a czasem w waniganie własnego pomysłu, czyli na pace swojej furgonetki, gdzie w zimowe noce często o mało nie zamarzał, zasypiając po pijaku. Ale pilnował, żeby Angel nie zaglądał do kieliszka, i trzymał go z dala od kobiet z tak zwanego dansingu.

– Jesteś za młody, Angel – słyszał często kucharz. – Poza tym jeszcze coś od nich złapiesz.

Wie, co mówi, myślał kucharz. Dominic czuł, że spływ kosztował Ketchuma o wiele więcej niż tylko złamany nadgarstek.

Ciągły syk i migotanie świateł na gazowym piecu w kuchni – był to stary model z dwoma piekarnikami i ośmioma palnikami oraz poczerniałą blachą powyżej – zdawały się wtórować smutnym wspominkom drwali podczas tamtej późnej kolacji. Wszyscy dali się oczarować chłopcu, którego przygarnęli jak zbłąkane zwierzątko. Kucharz też dał się oczarować. Być może dostrzegł w niespotykanie roześmianym nastolatku przyszłe wcielenie swego dwunastoletniego syna, Angela cechowały bowiem serdeczność oraz nieposkromiona ciekawość życia, do tego nie przejawiał on za grosz podejrzliwej rezerwy, typowej dla garstki jego rówieśników w surowych warunkach Twisted River.

Było to doprawdy niezwykłe, zwłaszcza że – jak sam przyznał – niedawno uciekł z domu.

– Jesteś Włochem, prawda? – zapytał go Dominic Baciagalupo.

– Nie przyjechałem z Włoch, nie mówię po włosku: też mi Włoch z Toronto – odpowiedział mu Angel.

Kucharz ugryzł się w język. Wiedział co nieco o bostońskich Włochach; niektórzy niechętnie przyznawali się do korzeni. Wiedział też, że Angel mógł w ojczyźnie nosić imię Angelo. (Kiedy Dominic był małym chłopcem, matka nazywała go Angelù, co z jej sycylijskim akcentem brzmiało jak An-ge-LU).

Po wypadku nie znaleziono żadnego dokumentu Angela Pope'a; wśród garstki należących do niego przedmiotów nie było ani książki, ani też listu, które zdradzałyby jego tożsamość. Jeśli posiadał jakikolwiek dokument, zatonął on wraz z nim, najprawdopodobniej w kieszeni spodni, jeżeli

zaś ciało nie zostanie odnalezione, nie będzie sposobu, aby powiadomić rodzinę Angela bądź też osobę, od której uciekł.

Legalnie lub nie, z dokumentami lub bez nich, Angel Pope przekroczył kanadyjską granicę i dotarł do New Hampshire. Inaczej, niż działo się to zazwyczaj, nie przyjechał bowiem z Quebecu. Podkreślał, że pochodzi z Ontario: nie był zatem francuskim Kanadyjczykiem. Kucharz nie słyszał, żeby Angel kiedykolwiek mówił po francusku lub włosku, a francuscy Kanadyjczycy w obozie nie chcieli mieć z uciekinierem do czynienia – najwidoczniej nie przepadali za angielskimi Kanadyjczykami. Z kolei Angel stronił od Francuzów, czyli wszystko wskazywało na to, że łącząca ich niechęć jest obopólna.

Dominic szanował prywatność chłopca; żałował teraz, że nie dowiedział się czegoś więcej o An-ge-LU Pope i o tym, skąd pochodził. Nie mógł wymarzyć sobie lepszego towarzysza dla swego dwunastoletniego syna Daniela, lub Danny'ego, jak nazywali go drwale i pracownicy tartaku.

Prawie wszyscy miejscowi mężczyźni w sile wieku znali kucharza i jego syna; znała ich także część kobiet. Znajomość pewnej liczby kobiet była dla Dominica konieczna: potrzebował ich głównie do opieki nad synem, gdyż dziesięć lat temu – Boże, ile to już czasu! – stracił żonę, młodą matkę Danny'ego.

Dominic Baciagalupo uważał, że Angel Pope ma pewne doświadczenie w pracy w kuchni; obowiązki wypełniał nieporadnie, ale bez słowa skargi i z pewną nawet znajomością rzeczy, pomimo otwarcie deklarowanej niechęci do monotonii kuchennych czynności oraz szczególnego daru do zacinania się przy krojeniu.

Co więcej, młody Kanadyjczyk był istnym molem książkowym; pożyczał wiele książek należących do zmarłej żony Dominica i często czytał na głos Danielowi. Ketchum

uważał, że Angel „nadmiernie” upodobał sobie Roberta Louisa Stevensona, nie tylko *Porwanego za młodu* i *Wyspę skarbów*, ale też niedokończoną, pisaną na łożu śmierci powieść *St. Ives*, która zdaniem Ketchum winna była umrzeć wraz z autorem. Gdy zdarzył się wypadek, chłopcy czytali właśnie *Rozbitka*. (Na temat tej powieści Ketchum nie wyraził jak dotąd zdania).

Cóż, bez względu na pochodzenie Angela Pope'a, z pewnością posiadał on pewne wykształcenie, czego nie można było powiedzieć o większości znanych kucharzowi francuskich Kanadyjczyków. (A także pracownikach tartaku i miejscowych drwalach).

– Dlaczego Angel musiał umrzeć? – zapytał tatę Danny. Dwunastolatek pomagał ojcu wytrzeć stoły, gdy już późno przybyli flisacy poszli spać, a może pić. Nawet indiańska pomywaczka, która często krzątała się do nocy, a przynajmniej na długo po tym jak Danny kładł się do łóżka, też zrobiła, co miała do zrobienia, po czym wsiadła do furgonetki i wróciła do miasteczka.

– Angel nie musiał umrzeć, Danny: to wypadek, którego można było uniknąć. – Kucharz często nawiązywał do wypadków, których „można było uniknąć”, a jego dwunastoletni syn znał aż nadto ojcowski fatalizm względem omylności ludzkiej, ze szczególnym uwzględnieniem młodzieńczego braku rozsądku. – Był zbyt niedoświadczony, żeby brać udział w spływie – uzupełnił kucharz, jakby to wszystko tłumaczyło.

Danny Baciagalupo znał ojcowskie zdanie na temat wszystkiego, na co Angel bądź każdy chłopiec w jego wieku był za zielony. Kucharz trzymałby go również z dala od obracaka. (Którego znakiem szczególnym był hak służący do przetaczania ciężkich kłód).

Zdaniem Ketchuma „w dawnych czasach” czyhało jeszcze wiecej zagrożeń. Ketchum twierdził, że praca z końmi i

zimowy transport drewna to dopiero było niebezpieczne. Zimą drwale szli w góry. Ścinali drzewa, po czym (nie tak dawno temu) kolejno, jedno po drugim, wyciągali je z lasu. Wozy bez kół wleczono jak sanie po zamarzniętym śniegu, którego nie przebijały nawet końskie kopyta, gdyż wyżłobione koleiny na drogach zamarzały co noc. Później przychodziły roztopy i pora błota; wtedy praca w lesie zamierała.

Ale nawet to się zmieniało. Od czasu gdy pojawił się sprzęt działający bez względu na warunki i ulepszono drogi, które stały się przejezdne o każdej porze roku, pora błota przestała budzić postrach, konie zaś ustępowały miejsca traktorom gąsienicowym.

Dzięki buldożerom wybudowano drogę na miejsce wyrębu, skąd można było wywozić drewno ciężarówkami. Ciężarówki przewoziły kłody do głównej składnicy przy rzece, stawie albo jeziorze; w gruncie rzeczy transport drogowy miał wyeliminować wkrótce konieczność rzecznych spływów. Minęły czasy, kiedy przy prowadzeniu koni po stromych zboczach pomagano sobie tak zwanymi kołowrotkami. „Zaprzęg zjeżdżał na zadach”, opowiadał małemu Danowi Ketchum. (Ketchum bardzo cenił woły, które lepiej radziły sobie w głębokim śniegu, ale nigdy nie używano ich na większą skalę).

Zaprzestano także transportowania drewna koleją; stało się to w Pemigewasset Valley w czterdziestym ósmym, w tym samym roku, kiedy jeden z kuzynów Ketchuma został zabity przez parowóz w papierni Livermore Falls. Parowóz ważył pięćdziesiąt ton i służył do wyciągania z lasu pozostałości torów. Dawne trasy kolejowe zamieniono w latach pięćdziesiątych na solidne drogi dla ciężarówek, chociaż Ketchum pamiętał jeszcze morderstwo na trasie Beebe River, w czasach kiedy był furmanem na saniach wyładowanych dorodnym świerkiem i zaprzężonych w cztery konie. Powoził także jedną z wczesnych maszyn

parowych Lombarda, tą kierowaną przez konia. Koń obracał przednie płozy, a woźnica siedział na przedzie maszyny; w późniejszych modelach zastąpiono konia i furmana kierowcą. Danny Baciagalupo wiedział, że Ketchum też był kierowcą: Ketchum najwyraźniej robił w życiu wszystko.

Trasy dawnych lokomobili wokół Twisted River były obecnie trasami ciężarówek, choć w okolicy jeszcze widywało się porzucone szkielety maszyn. (Jeden wciąż stał w Twisted River, a inny, przewrócony na bok, rdzewiał w obozie drwali w Zachodnim Dummer, czyli w Paryżu, jak nazywano zwykle tę osadę, od Paris Manufacturing Company z Paryża w stanie Maine).

Strumień Phillips wpływał do Paryża i Ammonoosuc, a także do rzeki Connecticut. Flisacy spławiali dłużyce i kloce twardego drewna Phillipsem do Paryża. Tartak w Paryżu obrabiał wyłącznie twarde drewno – firma z Maine produkowała sanki – a w paryskim obozie drwali z jego tartakiem parowym przekształcono stajnię w maszynownię. Ponadto stał tam dom kierownika tartaku, barak na siedemdziesięciu pięciu mężczyzn oraz stołówka, plus parę prowizorycznych budynków mieszkalnych, nie wspominając o optymistycznie posadzonym sadzie jabłkowym i szkole. To, że w Twisted River nie było szkoły i że nikt nie pokładał dość wiary w przetrwanie osady, aby posadzić jabłonki, rozpowszechniło opinię (głoszoną głównie w Paryżu), że obóz drwali stanowi społeczność bardziej cywilizowaną i zżytą aniżeli Twisted River.

Z perspektywy pagórka między tymi dwoma punktami żaden zdrowo myślący prorok nie wróżyłby którejś z osad ani powodzenia, ani długowieczności. Danny Baciagalupo słyszał, jak Ketchum zwiastuje rychły koniec obozu drwali w Paryżu i w Twisted River, ale – jak powtarzał synowi kucharz – Ketchum „ciężko znosił” postęp. Dominic Baciagalupo nie był gawędziarzem i na niektóre z

opowieści Ketchuma tradycyjnie rzucał cień wątpliwości. „Nie wierz zbyt pochopnie w wersję Ketchuma, Danielu”, mówił synowi.

Czy ciotka Ketchuma, księgowa, naprawdę zginęła pod stosem odpadów w tokarni w Mediolanie? „Nie jestem pewien, czy w Mediolanie jest lub kiedykolwiek była tokarnia, Danielu”, ostrzegł syna kucharz. Według opowieści Ketchuma piorun zabił cztery osoby w tartaku przy tamie na stawie Dummer, większym i ważniejszym ze stawów Dummer. Podobno uderzył w wóz z drewnem. „Nastawiacz, brakarz, nie wspominając o traczu i dostawcy, padli rażeni gromem”, oznajmił Danny'emu Ketchum. Na oczach świadków cały tartak spłonął jak zapałka.

– Dziwię się, że wśród ofiar nie było innego członka rodziny Ketchuma, Danielu – skwitował Dominic.

Faktycznie, jeden z kuzynów Ketchuma wpadł pod piłę, jego wujowi głowę obcięła lecąca w powietrzu półtorametrowa kłoda tam, gdzie przerabiano świerkowe drewno na tarcicę. Na Dummer była też kiedyś wyciągarka parowa, używana do składania kłód przed wejściem do tartaku, ale wybuchł silnik. Na wyspie, gdzie wszystkie drzewa były osmalone od wybuchu, znaleziono wiosną w śniegu zamarznięte ucho mężczyzny. Według wersji Ketchuma, pewien człowiek wędkujący w przerębli używał go później jako przynęty.

– Kolejny krewniak, jak mniemam? – zapytał kucharz.

– Nic mi o tym nie wiadomo – odparł Ketchum.

Podobno Ketchum znał największego debila w tych stronach, który zbudował stajnię w górze rzeki nad noclegownią i stołówką. Kiedy wszyscy drwale się pochorowali, postanowili powiesić pomysłowego faceta na uprzężach nad gnojownikiem, „póki debil nie zmądrzeje”.

– Sam widzisz, dlaczego Ketchum tęskni za dawnymi czasami, Danielu – powiedział do syna kucharz.

Dominic Baciagalupo znał różne opowieści, których większość nie nadawała się do powtórzenia. Te zaś, które opowiadał synowi, nie mogły zawładnąć wyobraźnią młodego Dana na równi z opowieściami Ketchuma. Jedna z nich dotyczyła dziury fasolowej przed namiotem kucharza w Chickwolnepy, opodal stawu Success. W owych pięknych dawnych czasach, podczas spływu drewna, Dominic wykopał dół szeroki na około półtora metra i przed pójściem spać przystąpił do gotowania fasoli, przysypując ją na noc gorącym popiołem i ziemią. O piątej rano, kiedy będzie już gorąca, zamierzał wykopać garnek z ziemi na śniadanie. Tymczasem jeden z francuskich Kanadyjczyków wylazł z wanigana (pewnie żeby się wysikać), kiedy było jeszcze ciemno, i na bosaka wlazł do dziury z fasolą, boleśnie oparzywszy stopy.

– I tyle? To ma być cała opowieść? – zapytał Danny.

– Cóż, bądź co bądź to opowieść kulinarna – przyznał z grzeczności Ketchum. Droczył się z Dominikiem, twierdził bowiem, że w górnym Androscoggin spaghetti wypiera gotowaną fasolę i grochówkę. – Nigdy nie mieliśmy tu tylu włoskich kucharzy – dodawał, mrugając do Danny'ego.

– Chcesz powiedzieć, że wolałbyś gotowaną fasolę i grochówkę zamiast makaronu? – pytał starego przyjaciela kucharz.

– Drażliwy gość z tego twojego taty, nie? – mówił do Danny'ego Ketchum, ponownie mrugając okiem. – Rany koguta! – powtarzał po raz setny. – Ależ z ciebie mimoza!

Ponownie nastała pora błota, pora rozkisłej ziemi na brzegach rzeki. Przez jedną ze śluz, najpewniej tę po wschodniej stronie mniejszego stawu Dummer, wtargnęła masa wody, tak zwana fala, jak mawiał Ketchum, i zielony dzieciak z Toronto popłynął wraz z nią.

Jeszcze przez jakiś czas drwale starali się podnieść poziom wód w Twisted River. Robili to za pomocą tam budowanych na dopływowych strumieniach, które łączyły się z głównym korytem; wiosną uwalniano wodę ze śluz, co zwiększało prąd i ułatwiało spływ. Zimą w strumieniach (i na brzegach) składano kloce, które wpływały do Twisted River wraz z uwolnioną wodą z tam. Jeżeli musieli pracować tuż po roztopach, nurt był rwący, brzegi zaś wyżłobione koleinami po pniach.

Zdaniem kucharza liczba zakrętów na Twisted River nie uzasadniała bynajmniej jej nazwy[*]. Rzeka płynęła prosto z gór, zakręty były tylko dwa. Drwalom natomiast, a zwłaszcza starym wyjadaczom, którym zawdzięczała ów przydomek, wspomniane dwa zakręty wystarczały aż nadto, by co rok dochodziło do zdradliwych zatorów, szczególnie w górze rzeki, opodal stawów Dummer. Na obydwu zakrętach uwięzłe kłody należało przepychać ręcznie, na położony wyżej zaś, gdzie prąd był najsilniejszy, żaden żółtodziób taki jak Angel nie powinien mieć prawa wstępu.

Angel przecież wpadł do wody w miejscu, gdzie nurt był w miarę spokojny. Przepływające kłody wzburzały rzekę, jednakże prądy były umiarkowane. Na obu zakrętach większe zatory likwidowano dynamitem, ku olbrzymiej niechęci Dominica Baciagalupo. Każdy wybuch siał spustoszenie wśród kuchennych naczyń i rondli, cukiernice i butelki keczupu w stołówce zjeżdżały ze stołów. „Gawędziarz z niego marny, Danny”, kwitował Ketchum, „ale żeby bać się dynamitu?”.

Z koryta za miasteczkiem Twisted River woda płynęła do Androscoggin. Oprócz rzeki Connecticut, drewno w północnym New Hampshire spławiano także wzburzonymi nurtami Ammonoosuc i Androscoggin: obie były jednakowo mordercze.

Zdarzało się, że flisacy tonęli lub zostawali zmiażdżeni na stosunkowo krótkim odcinku pomiędzy mniejszym Dummer a miasteczkiem Twisted River, w głównym korycie także. Angel Pope nie był pierwszym, ani też ostatnim.

W samych osadach, czyli w Twisted River i Paryżu, doznawali ciężkich obrażeń, a nawet tracili życie, niestety często z powodu bójek, w które wdawali się z drwalami w pewnych barach. Brakowało kobiet; stanowiło to podstawę większości bijatyk, chociaż Ketchum uparcie obstawał przy tym, że brakuje raczej barów. W każdym razie w Paryżu barów nie było, a w tamtejszym obozie drwali mieszkały wyłącznie mężatki.

Dlatego też, zdaniem Ketchuma, mężczyźni z Paryża nieomal co wieczór organizowali krucjatę do Twisted River.

– Most nad strumieniem Phillips to pomyłka – podkreślał również Ketchum.

– Widzisz, Danielu – mówił do syna kucharz. – Ketchum raz jeszcze wykazał, że postęp wreszcie wykończy nas wszystkich.

– Katolicka mentalność zniszczy nas pierwsza, Danny – dodawał Ketchum. – Włosi są katolikami, a twój tata jest Włochem, podobnie jak ty, ma się rozumieć, chociaż żaden z was raczej nie myśli jak Włoch ani jak katolik. Mówiąc o katolickiej mentalności, mam na myśli głównie francuskich Kanadyjczyków. Oni mają tyle dzieci, że czasem numerują je, zamiast nadawać im imiona.

– O Boże – westchnął Dominic Baciagalupo, potrząsając głową.

– Serio? – zapytał Ketchuma młody Dan.

– A co to niby za imię, Vingt[*] Dumas? – odpowiedział pytaniem Ketchum.

– Roland i Joanne Dumas nie mają dwadzieściorga dzieci! – zawołał kucharz.

– Razem może i nie – odparł Ketchum. – A ten mały Vingt to co? Przejęzyczenie?

Dominic raz jeszcze potrząsnął głową.

– No co? – spytał Ketchum.

– Obiecałem matce Daniela, że mały otrzyma odpowiednie wykształcenie – westchnął smutno kucharz.

– Próbuję tylko podnieść wartość tego wykształcenia – zarechotał Ketchum.

– Wartość – powtórzył Dominic, dalej potrząsając głową. – Twoje słownictwo, Ketchum… – zaczął, ale urwał i nic już więcej nie powiedział.

Danny'emu Baciagalupo nie przeszkadzał brak talentu gawędziarskiego u ojca ani narzekanie na wybuchy. Kochał tatę z całego serca, ale miał on pewien nawyk, który bynajmniej nie uszedł uwagi syna: Dominic często nie kończył myśli. (Przynajmniej na głos).

Poza indiańską pomywaczką – oraz garstką żon pracowników tartaku, które pomagały kucharzowi – w stołówce rzadko jadały kobiety, wyjąwszy weekendy, kiedy niektórzy mężczyźni przychodzili z rodzinami. W myśl wprowadzonej przez kucharza zasady alkohol był zabroniony. Obiad (lub „kolację”, jak mawiali starzy flisacy, nawykli do jadania w waniganach) podawano zaraz po zmierzchu, i zdecydowana większość drwali i flisaków spożywała go na trzeźwo, a przy tym pospiesznie i raczej w milczeniu, nawet w weekendy bądź w okresach pomiędzy spływami.

Jako że zwykle przychodzili na posiłek prosto z pracy, ubrania mieli brudne i przesiąknięte zapachem mokrej kory, żywicy oraz trocin, lecz ich twarze i ręce lśniły czystością i pachniały sosnowym mydłem żywicznym, rozłożonym hojnie, na prośbę kucharza, w przestronnej

umywalni. (Mycie rąk przed jedzeniem stanowiło kolejną z zasad Dominica). Co więcej, ręczniki w umywalni zawsze były świeże; był to jeden z powodów, dla których indiańska pomywaczka zwykle zostawała do późna. Podczas gdy pomoc kuchenna myła po kolacji ostatnie naczynia, pomywaczka ładowała ręczniki do pralek w przykuchennej pralni. Zawsze czekała, aż się wypiorą, a następnie umieszczała je w suszarkach.

Nazywano ją Indianką Jane, ale nigdy prosto w oczy. Danny Baciagalupo bardzo ją lubił; ona też miała do niego słabość. Była ponad dziesięć lat starsza od jego taty (a nawet starsza od Ketchuma) i straciła syna, który najprawdopodobniej utonął w Pemigewasset, o ile Danny się nie przesłyszał. A może Jane i jej zmarły syn pochodzili z puszczy Pemigewasset – być może przyjechali z tamtej części stanu, położonej na północ od młynów w Conway – a jej nieszczęsny syn utonął gdzie indziej. Na północ od Mediolanu rozciągała się jeszcze większa puszcza, gdzie znajdował się tartak; też nie brakowało tam obozów drwali oraz miejsc, gdzie mógł utonąć młody flisak. (Jane powiedziała Danny'emu, że Pemigewasset znaczy „Dolina Krzywych Sosen”).

Młody Dan pamiętał tylko, że chodziło o wypadek podczas spływu, a z pełnych czułości spojrzeń Indianki Jane kierowanych w jego stronę wywnioskował, że w chwili śmierci chłopiec zapewne też liczył sobie około dwunastu lat. Danny nie wiedział i nie pytał; cała jego wiedza o Indiance Jane płynęła z milczącej obserwacji bądź strzępów podsłuchanych rozmów.

– Słuchaj tylko tych słów, które są skierowane do ciebie, Danielu – przestrzegał go ojciec. Chciał przez to powiedzieć, żeby Danny nie podsłuchiwał urywków rozmów bądź wulgarnych uwag wymienianych przy obiedzie.

Prawie codziennie po wieczornym posiłku – lecz nigdy równie otwarcie jak w czasach waniganów – drwale i flisacy

szli pić. Ci, którzy mieszkali w Twisted River, pili we własnych domach. Pracownicy dorywczy, czyli większość drwali oraz wszyscy Kanadyjczycy, pili w noclegowniach położonych w zawilgłej okolicy tuż nad rzeką. Stamtąd dzielił ich już tylko krok od obskurnych barów i szemranego dansingu bez nazwy, gdzie w zasadzie nikt nie tańczył, puszczano tylko muzykę i człowiek mógł napatoczyć się na tę samą co zwykle, zbyt wątłą grupkę kobiet.

Ci spośród drwali i flisaków, którzy mieli rodziny, woleli mniejszą, ale za to rzekomo bardziej „cywilizowaną” osadę – Paryż. Ketchum oponował przeciwko nazywaniu osady „Paryżem”, uparcie poprzestając na jej prawdziwej nazwie, czyli Zachodnim Dummer.

– Żadna społeczność, nawet osada drwali, nie powinna nosić nazwy firmy produkcyjnej – twierdził. Złościł się też, że osada w New Hampshire została nazwana jakby na cześć firmy z Maine, w dodatku produkującej sanki.

– Boże miłosierny! – krzyczał kucharz. – Niedługo całe drewno w Twisted River przerobią na kloce, na papier! Czemu niby sanki są gorsze niż papier?

– Książki są z papieru! – protestował Ketchum. – A jaką to rolę w kształceniu twojego syna odgrywają sanki?

W Twisted River było niewiele dzieci; chodziły do szkoły w Paryżu, podobnie jak Danny Baciagalupo, o ile w ogóle uczęszczał do szkoły. W trosce o wykształcenie syna kucharz nierzadko zostawiał go w domu, żeby chłopiec dla odmiany przeczytał książkę lub dwie, do czego niekoniecznie zachęcała szkółka w Paryżu (lub, jak chciał Ketchum, w Zachodnim Dummer).

– Boże uchowaj, żeby dzieci w obozie drwali uczyły się czytać! – żołądkował się Ketchum. On sam w dzieciństwie nie nauczył się czytać i nie mógł tego przeboleć.

Drewno pozostaje nadal poszukiwanym surowcem, północne regiony New Hampshire dalej zasilają papiernie New Hampshire i Maine, a także wytwórnię mebli w Vermoncie, lecz osady drwali, w swej ówczesnej formie, są już wspomnieniem.

W miasteczku takim jak Twisted River nie zmieniała się tylko pogoda. Od tamy na końcu małego stawu Dummer aż do koryta u stóp Twisted River, ponad spienioną taflą aż do wczesnych godzin przedpołudniowych rozciąga się mgła, o każdej porze roku, prócz okresów, kiedy rzeka jest skuta lodem. Od strony tartaków płynie charakterystyczny zgiełk znajomy jak śpiew ptaków. W tej części New Hampshire nigdy nie ma wiosennej pogody, nie licząc ponurego okresu pomiędzy początkiem kwietnia a połową maja, charakteryzującego się zamarzniętym, powoli topniejącym błotem.

Mimo to kucharz postanowił tu zostać, i niewielu w Twisted River znało powód tej decyzji. Jeszcze mniej osób wiedziało, po co tu w ogóle przyjechał, ani też skąd oraz kiedy. Za to wszyscy wiedzieli, dlaczego kuleje. W okolicach tartaku bądź osady drwali podobna przypadłość nie stanowiła rzadkiego widoku. Podczas transportu kłód drewna nieraz komuś zmiażdżyło kostki. Nawet gdy Dominic Baciagalupo stał lub siedział, było widać, że but na okaleczonej stopie jest dwa rozmiary większy od drugiego, do tego zawsze zwrócony w złą stronę. W tartakach i na rzece nie brakowało okazji do podobnych urazów.

Dominic po szkole pracował na platformie ładowniczej w jednym z dużych tartaków w Berlinie, gdzie kolega jego nieobecnego ojca był brygadzistą. Aż do wybuchu drugiej wojny ów rzekomy kolega taty Dominica praktycznie się stamtąd nie ruszał, lecz kucharz zapamiętał tak zwanego wuja Umberto jako alkoholika, który bez przerwy psioczył na jego matkę. Dominic nie otrzymał żadnej wiadomości od

ojca nawet po wypadku, a „wuj” Umberto pokazał, że nie można na niego liczyć.

Na pomoście rozładowywano dłużyce, głównie klonu i sosny. Młody Dominic przetaczał je do tartaku za pomocą obracaka, gdy naraz kilka kłód poturlało się jednocześnie i nie zdążył uskoczyć. W roku 1936 miał dopiero dwanaście lat; śmiało poczynał sobie z obracakiem. Był w tym samym wieku co jego syn, ale kucharz nigdy nie dopuściłby ukochanego Daniela na platformę, choćby ten posługiwał się obracakiem z zamkniętymi oczami. Hak obracaka wbił mu się w lewe udo, lewa kostka zaś została zmiażdżona z boku i roztrzaskała się pod ciężarem drewna. Nie groziło mu wykrwawienie, lecz w tamtych czasach ludzie często umierali w wyniku zakażenia. Pogruchotana kostka mogła doprowadzić do gangreny lub, co bardziej prawdopodobne, do amputacji lewej stopy, jeśli nie całej nogi.

W roku 1936 w hrabstwie Coos nie było aparatu rentgena. Lekarze w Berlinie nie kwapili się do skomplikowanych zabiegów mających na celu ratowanie kostki; w podobnych przypadkach ingerencję medyczną ograniczano do minimum. Wypadek Dominica należał do kategorii w stylu „poczekamy, zobaczymy”: albo naczynia krwionośne zostały zmiażdżone i nastąpi całkowite zatrzymanie krążenia, po czym lekarze będą zmuszeni odjąć stopę, albo pogruchotane fragmenty kostki połączą się i zrosną jak popadnie, a Dominic Baciagalupo będzie utykał i cierpiał do końca życia. (I tak też się stało).

Została mu także blizna po obracaku, przypominająca ugryzienie małego, dziwnego zwierzęcia z jednym zakrzywionym zębem i pyskiem, który nie zdołał objąć uda dwunastolatka. Zanim Dominic robił krok, jego lewa stopa gwałtownie skręcała na zewnątrz, a palce były powykrzywiane na boki. Ludzie często zwracali uwagę na zdeformowaną kostkę i wykrzywioną stopę, zanim jeszcze zauważali utykanie.

Jedno było pewne: młody Dominic nie zostanie flisakiem. Do tego trzeba równowagi, ponadto wypadek wydarzył się w tartaku, gdzie zapijaczony „kolega” jego zbiegłego ojca pełnił tam funkcję brygadzisty. Jednym słowem, w tartaku nie było dla Dominica Baciagalupo przyszłości.

– Hej, Baciagalupo! – wołał często wuj Umberto. – Nazwisko masz może neapolitańskie, ale nosisz się jak Sycylijczyk.

– Jestem Sycylijczykiem – odpowiadał Dominic; uważał, że jest to dla jego matki szczególny powód do dumy.

– Taa, ale nazwisko masz neapolitańskie – oznajmił kiedyś Umberto.

– Pewnie po tacie – domyślił się Dominic.

– Twój tata nie nazywał się Baciagalupo – poinformował go wuj Umberto. – Spytaj Nunzi, skąd masz takie nazwisko. Ona ci je dała.

Dwunastolatek nie lubił, kiedy przemądrzały Umberto, pełen wyraźnej niechęci do jego matki, przezywał ją Nunzi, pieszczotliwym zdrobnieniem od Annunziata, które w ustach Umberto wcale nie brzmiało pieszczotliwie

– A ty pewnie nie jesteś moim prawdziwym wujkiem? – za pytał Dominic.

– Spytaj mamy – rechotał Umberto. – Gdybyś miał zostać *siciliano*, dałaby ci swoje nazwisko.

Panieńskie nazwisko matki brzmiało Saetta: była niezwykle dumna zarówno z owego saj-EJ-ta, jak je wymawiała, jak i ze wszystkich Saettów, o których wspominała, gdy nachodziła ją ochota na rozmowę o swoim dziedzictwie.

O dziedzictwie Dominica Annunziata mówiła niechętnie. To, czego się dowiedział, owe strzępy informacji lub dezinformacji, gromadził powoli i mozolnie niczym szczątkowe dowody i niepełne wskazówki w coraz bardziej

popularnej w dzieciństwie Dana grze planszowej, w którą grywali z Ketchumem, a czasem z Jane. (Czy to pułkownik Musztarda dokonał zbrodni w kuchni, używając w tym celu świecznika, czy może morderstwo zostało popełnione przez pannę Scarlet w sali balowej za pomocą rewolweru?).

Młody Dominic wiedział tylko, że jego ojciec, neapolitańczyk, porzucił ciężarną Annunziatę Saettę w Bostonie i ponoć popłynął z powrotem do Neapolu. Na pytanie „Gdzie jest teraz?", Annunziata z westchnieniem wzruszała ramionami i wznosząc oczu ku niebu bądź też w okolice wywietrznika nad kuchennym piecem, odpowiadała tajemniczo: „*Vicino di Napoli*". „W okolicach Neapolu", zgadywał syn. Dzięki lekturze atlasu, a także dzięki temu, że matka mruczała owe nazwy położonych na wzgórzu miast (i prowincji) w okolicy Neapolu przez sen – Benevento i Avellino – Dominic doszedł do wniosku, że jego tata zbiegł w tamte strony.

Co do Umberta, najwyraźniej nie był wujkiem, za to „największym debilem w tych stronach", jak powiedziałby Ketchum, na pewno.

– Co to w ogóle za imię, Umberto? – zapytał kiedyś brygadzistę Dominic.

– Po królu! – odrzekł z urazą Umberto.

– Ale neapolitańskie, prawda? – drążył chłopiec.

– A co ty mnie tak wypytujesz? Patrzcie go, jaki dorosły – za wołał Umberto.

– Sam kazałeś mi tak powiedzieć – przypomniał brygadziście Dominic.

– Do roboty, Baciagalupo – burknął Umberto.

Po wypadku Dominic został kucharzem. Jego matka, włoska Amerykanka sycylijskiego pochodzenia, za sprawą niechcianej ciąży zmuszona do przeprowadzki z bostońskiego North Endu do Berlina w stanie New

Hampshire, umiała gotować. Opuściła miasto i przeniosła się na północ, kiedy Gennaro Capodilupo wymknął się do portu w okolicach Atlantic Avenue i Commercial Street i pozostawiwszy ją z dzieckiem, popłynął „z powrotem do Neapolu”.

Debil (skoro nie wujek) Umberto miał rację: tata Dominica nie nazywał się Baciagalupo. Nosił nazwisko Capodilupo, ka-po-di-LJU-po, co – jak wyjaśniła synowi Annunziata, znaczyło „Głowa Wilka”. Cóż miała robić niezamężna matka? „Taki łgarz powinien nazywać się Boccalupo!”, oznajmiła Dominicowi. Chłopiec miał się dowiedzieć, że oznacza to „Usta Wilka”, co jego zdaniem jak ulał pasowało do debila Umberto. „Ale ty, Angelù, ty jesteś moim pocałunkiem wilka!”, dodała mama.

W myśl zasad prawidłowej pisowni Dominic powinien nazywać się Baciacalupo, ale Nunzi zawsze wymawiała drugie „c” jak „g”. Z biegiem czasu – oraz wskutek urzędniczej pomyłki w przedszkolu – pisane błędnie nazwisko przylgnęło. Został Dominikiem Baciagalupo, zanim stał się kucharzem. Matka nazywała go również w skrócie Dom: imię Dominic pochodziło od wyrazu doménica, czyli „niedziela”. Nie oznaczało to wcale wpływu tego, co Ketchum określał mianem katolickiej mentalności. To właśnie ona, w połączeniu z włoską hipokryzją, sprawiła, że rodzina wysłała młodą, niezamężną kobietę na północ do New Hampshire; w Berlinie inni Włosi (będący zapewne również katolikami) mieli się nią zaopiekować.

Czy oczekiwali, że odda dziecko do adopcji, a następnie wróci na North End? Nunzi słyszała o podobnych przypadkach, lecz nie dopuszczała do siebie myśli o porzuceniu dziecka, a poza tym – bez względu na swój cokolwiek nostalgiczny stosunek do North Endu – nie brała pod uwagę możliwości powrotu do Bostonu. Odesłano ją przecież stamtąd, gdy zaszła w nieplanowaną ciążę.

Podczas gdy we własnej kuchni pozostała lojalną Sycylijką, przysłowiowe więzy krwi były mocno nadwerężone. Jej bostońska rodzina, a także poniekąd cała włoska społeczność North Endu oraz wszystko, co stanowiło uosobienie katolickiej mentalności, wyparły się jej bez cienia litości. Odpłaciła im tym samym. Nunzi nigdy nie chodziła na mszę ani nie zmuszała do tego Dominica. „Starczy, że chodzimy do spowiedzi, kiedy mamy na to ochotę", mówiła chłopcu.

Nie nauczyła go też włoskiego, wyjąwszy podstawowy kuchenny żargon, a Dominic nie kwapił się do nauki języka „starego kraju", za który uważał bostoński North End, a nie Włochy. Italia odepchnęła wszak jego matkę. Włoski nigdy nie miał stać się językiem Dominica Baciagalupo, który deklarował żarliwie, że jego noga nie postanie w Bostonie.

Wszystko w nowym życiu Annunziaty Saetty wskazywało na to, że zaczęła od początku. Najmłodsza z trzech sióstr, umiała czytać i mówić po angielsku, a także gotować *siciliano*. W leśnej szkole podstawowej uczyła dzieci drwali czytania, a po wypadku zabrała Dominica ze szkoły i nauczyła go podstaw gotowania. Nalegała też, żeby czytał książki, nie tylko kucharskie, ale wszystko, co sama czytała, czyli głównie powieści. Jej syn został okaleczony w wyniku pogwałcenia powszechnie lekceważonych praw zakazujących dzieciom pracy; Annunziata postanowiła go ochronić i nauczyć tego, co uważała za potrzebne: gotowania i miłości do literatury.

Żadna z dziedzin edukacji nie stała się udziałem Ketchuma, który rzucił szkołę jeszcze przed ukończeniem dwunastego roku życia. W wieku lat dziewiętnastu, w 1936 roku, nie umiał ani czytać, ani pisać, ale gdy nie pracował jako flisak, ładował drewno na wagony podstawiane do największego tartaku w Berlinie. Pracownicy przycinali kłody na górze, aby wagony mogły bezpiecznie przejeżdżać tunelami i pod mostem. „Tak wyglądała moja nauka, zanim

twoja mama nauczyła mnie czytać”, opowiadał chętnie Danny'emu Baciagalupo, na co kucharz znów zaczynał potrząsać głową, choć prawdziwość opowieści o tym, jak jego zmarła żona uczyła Ketchuma czytać, była raczej bezsporna.

Saga o spóźnionej nauce czytania nie należała przynajmniej do kategorii wyssanych z palca bajeczek, jak na przykład ta o zawaleniu się baraku w Obozie Pierwszym. Według Ketchuma „jakiś Indianiec” miał zmieść z dachu śnieg, ale tego nie zrobił. Kiedy dach zawalił się pod ciężarem śniegu, tylko jeden flisak uszedł z życiem, i to bynajmniej nie Indianin, który udusił się od „skoncentrowanego smrodu mokrych skarpet”. (Ketchum uważał, że smród mokrych skarpet stanowi zmorę barakowego życia).

– Nie przypominam sobie, żeby w Obozie Pierwszym był jakiś Indianin – wtrącił Dominic.

– Jesteś za młody, żeby pamiętać Obóz Pierwszy – skwitował Ketchum.

Danny Baciagalupo widział nie raz, jak ojciec jeży się na samą wzmiankę o dzielącej go z Ketchumem siedmioletniej różnicy wieku, z kolei Ketchum podkreślał ją z upodobaniem przy każdej okazji. Gdyby ci dwaj spotkali się za młodu w Berlinie, gdy Ketchum był kościstym, ale mocno zbudowanym dziewiętnastolatkiem z kosmatą, aczkolwiek wystrzępioną brodą, a mały Dom Annunziaty ledwie odrósł od ziemi, owe siedem lat stanowiłoby przepaść nie do pokonania.

Był silnym, żylastym dwunastolatkiem, niewysokim, ale mocnym i muskularnym, i dalej wyglądał jak umięśniony młody flisak, choć obecnie miał lat trzydzieści i sprawiał wrażenie starszego, zwłaszcza w oczach swego dorastającego syna. Tata wygląda starzej, bo jest taki poważny, myślał chłopiec. W obecności kucharza nie można

było powiedzieć „przeszłość” lub „przyszłość”, żeby zaraz nie zmarszczył brwi. Co do teraźniejszości, nawet dwunastoletni Daniel Baciagalupo czuł, że czasy się zmieniają.

Danny wiedział, że kontuzja na zawsze odmieniła życie ojca; inny wypadek, z udziałem młodej matki chłopca, odwrócił bieg jego własnego dzieciństwa, na zawsze odmieniając życie ojca po raz kolejny. W świecie dwunastolatka każda zmiana budziła jego niepokój, podobnie jak wówczas, kiedy opuszczał lekcje.

Na spływach, w nie tak dawnej przeszłości, kiedy Danny i jego tata pracowali i spali w waniganach, chłopiec nie chodził do szkoły. To, że jej nie lubił, lecz zawsze o wiele zbyt łatwo nadrabiał zaległości, też niepokoiło Danny'ego. Chłopcy w jego klasie byli od niego starsi, ponieważ wagarowali, gdy tylko się dało, i nigdy nie nadrabiali zaległości; wszyscy zostawali na drugi rok i powtarzali klasę lub dwie.

Widząc niepokój syna, kucharz powtarzał niezmiennie: „Trzymaj się swego, Danielu, tylko nie daj się zabić. Któregoś dnia wyjedziemy stąd, obiecuję”.

To również martwiło Danny'ego Baciagalupo. Nawet w waniganach czuł się jak w domu. W Twisted River zaś miał własny pokój nad stołówką; jego tata też, a do tego mieli wspólną łazienkę. Były to jedyne pomieszczenia na pięterku, bardzo wygodne i przestronne. W każdym pokoju był świetlik oraz duże okna z widokiem na góry i częściowo na rzekę, płynącą u ich podnóża.

Szlaki drzewne oplatały góry i pagórki jak pajęczyna; w okolicy nie brakowało też dużych połaci łąk oraz szkółek, gdzie drwale sadzili drzewka liściaste i iglaste. Z perspektywy swego pokoju Daniel Baciagalupo odnosił wrażenie, że skaliste podłoże i szkółki nigdy nie zastąpią klonów i brzóz ani iglaków – jodeł, sosen białych i

czerwonych, świerków kanadyjskich i modrzewi. Dwunastolatek myślał, że łąki dziczeją, porastając chwastem i trawą sięgającą pasa. Naprawdę okoliczne lasy nadal się rozrastały, nawet dziś, „w dwudziestym pierwszym cholernym wieku”, jak powie kiedyś Ketchum.

I, jak regularnie podkreślał Ketchum, pewne rzeczy pozostaną niezmienione. „Modrzew zawsze będzie kochać bagna, brzoza żółta będzie cenionym materiałem na meble, a szara zda się, kurwa, tylko na opał”. Co do faktu, że spływy rzeczne w hrabstwie Coos ograniczą się wkrótce do półtorametrowych kloców, Ketchum przeważnie nabierał wody w usta. (Mówił tylko, że mniejsze kawałki drewna zbaczają z trasy i dużo z nimi roboty).

Tym, co miało odmienić przemysł drzewny i mogło położyć kres pracy kucharza, był niestrudzony duch nowoczesności; „osada” w rodzaju Twisted River mogła nie mieć szans w obliczu nadchodzących zmian. Danny Baciagalupo obsesyjnie zadawał sobie pytanie, co będzie tutaj można robić, kiedy drwale odejdą. Czy kucharz też będzie musiał odejść, martwił się Danny. (A Ketchum?).

Rzeka płynęła obojętnie dalej – jak to rzeka. Uwięzione pod kłodami ciało młodego Kanadyjczyka niosła wraz z nurtem, który obracał go tam i siam – tam i siam. Jeżeli w owej chwili Twisted River też wydawała się niespokojna, a nawet niecierpliwa, chciała może, aby ciało chłopca płynęło wraz z nią – wraz z nią.

Rozdział 2
DOS-E-DOS

W schowku obok spiżarni kucharz przechowywał parę składanych łóżek z dawnych czasów, kiedy sypiał jeszcze w kuchniach przewoźnych. Zachował też kilka śpiworów. Nie przechowywał jednak starych łóżek ani butwiejących śpiworów z nostalgii za dawnym życiem. Zdarzało się, że Ketchum sypiał w kuchni; bywało też, że Danny, jeśli akurat nie spał, błagał ojca o pozwolenie, by również nocować w kuchni. Jeżeli Ketchum za dużo nie wypił, Danny miał nadzieję usłyszeć kolejną z jego opowieści, albo tę samą, w zmienionej wersji.

Pierwszej nocy po tym, jak Angel Pope zniknął pod kłodami, spadło trochę śniegu. W kwietniu nocą wciąż panował ziąb, ale Dominic włączył w kuchni dwa piekarniki gazowe. Ustawił je na 175 i 220 stopni, a następnie przed pójściem spać wymieszał suche składniki na bułki, babeczki kukurydziane i chleb bananowy. Jego grzanki z chleba bananowego cieszyły się sporym uznaniem; rano zamierzał jeszcze usmażyć naleśniki. W trosce o świeżość jaj Dominic nie lubił przechowywać w lodówce ciasta na naleśniki dłużej niż dwa dni. Na ostatnią chwilę, prawie każdego ranka, przygotowywał też ciastka maślane, pieczone krótko w piekarniku rozgrzanym do wyższej temperatury.

Do zadań Danny'ego należało przeważnie dopilnowanie, by ziemniaki były obrane, pokrojone w kostkę i umieszczone na noc w posolonej wodzie. Rankiem jego tata obsmażał je na blasze wraz z boczkiem. Blacha wisiała nad rusztem, znajdującym się na wysokości oczu kucharza. Nawet gdy pomagał sobie łopatką na długiej rączce albo

stawał na palcach lub niskim stołku – co dla ułomnego kucharza stanowiło nie lada trudność – sięgając do blachy, Dominic często parzył się w rękę. (Indianka Jane czasem go wyręczała, była bowiem wyższa i miała dłuższe ręce).

Było jeszcze ciemno, kiedy Dominic wstawał, żeby usmażyć boczek i zająć się pieczeniem, a także gdy Danny'ego budził na górze na zapach bekonu oraz kawy; ciemno było również wówczas, kiedy pomoc kuchenna i indiańska pomywaczka przyjeżdżały z miasteczka, a światła reflektorów obwieszczały ich przyjazd niemal jednocześnie z warkotem silników. Najczęściej ruszt był rozgrzany do czerwoności, od topienia sera na wierzch omletów. Dan musiał jeszcze przed szkołą pokroić paprykę i pomidory na omlety, a także podgrzać pełny garnek syropu klonowego na jednym z tylnych palników kuchenki.

Zewnętrzne drzwi kuchni nie otwierały się i nie domykały jak należy; były zamocowane tak luźno, że klekotały na wietrze. Wewnętrzne drzwi z siatką otwierały się do środka, co stanowiło kolejny kłopot. Z przyczyn natury praktycznej drzwi powinny otwierać się na zewnątrz: w zatłoczonym pomieszczeniu tylko zawadzały, a jakby tego było mało, kiedyś, przed laty, do kuchni wtargnął niedźwiedź. Noc była ciepła – kłopotliwe drzwi zewnętrzne stały otworem – i niedźwiedź po prostu pchnął łbem drzwi i wparadował do środka.

Danny był za mały, żeby to pamiętać, choć wielokrotnie prosił ojca, by opowiedział mu tę historię. Matka dawno położyła go spać; właśnie siadła z ojcem Danny'ego do późnej kolacji, gdy naraz dołączył do nich niedźwiedź. Jedli omlet grzybowy i pili białe wino. Dominic Baciagalupo opowiadał synowi, że w czasach kiedy jeszcze pił alkohol, często nachodziła go ochota na późną przekąskę. (Ale to już przeszłość).

Na widok zwierzęcia matka Danny'ego zaczęła krzyczeć. Niedźwiedź stanął na tylnych łapach i spojrzał na nią z

ukosa, ale Dominic zdążył już wypić sporo wina i na początku nie spostrzegł, z kim ma do czynienia. Najwyraźniej wziął go za owłosionego, pijanego flisaka, który przyszedł znieważyć jego piękną żonę.

Na piecu stała żeliwna patelnia o średnicy dwudziestu centymetrów, na której niedawno dusił grzyby do omletu. Dominic porwał jeszcze ciepłą patelnię i na odlew walnął nią niedźwiedzia w pysk, trafiając w nasadę nosa pomiędzy małymi, zmrużonymi oczami zwierzęcia. Niedźwiedź opadł na czworaka i umknął jak niepyszny, pozostawiając rozdartą siatkę i złamaną framugę, wiszącą smętnie na futrynie.

Ilekroć kucharz opowiadał tę historię, powtarzał niezmiennie: „Oczywiście drzwi trzeba było naprawić, ale dalej otwierają się w złą stronę”. I dodawał: „W życiu nie rąbnąłbym niedźwiedzia patelnią: myślałem, że to człowiek!”.

– Ale jak postąpiłbyś z niedźwiedziem? – pytał Danny.

– Pewnie spróbowałbym przemówić mu do rozumu – odpowiadał kucharz. – W takiej sytuacji z człowiekiem nie sposób dyskutować.

Danny mógł się tylko domyślać, o jaką „sytuację” chodziło. Jego tata myślał, że broni pięknej żony przed zakusami pijaka?

Co do żeliwnej patelni, zyskała w domu miejsce szczególne. Już nie towarzyszyła pozostałym garnkom i rondlom, tylko zawieszono ją na wysokości ramienia na pięterku, gdzie znajdowały się sypialnie: tuż za drzwiami w pokoju Dominica. Pokazała, na co ją stać; to po nią sięgał w pierwszej kolejności, ilekroć słyszał kroki na schodach i gdy coś (lub ktoś) myszkowało po kuchni.

Dominic nie miał pistoletu, bo nie chciał. Chociaż był rodowitym mieszkańcem New Hampshire, polowania na jelenia przeszły mu koło nosa, nie tylko z powodu jego

ułomności, lecz także dlatego, że dorastał bez ojca. Flisacy i drwale przynosili mu ubitą zwierzynę, którą dla nich porcjował, zachowując dla siebie dość mięsa, by od czasu do czasu podać w stołówce dziczyznę. Nie żeby potępiał polowania, po prostu nie przepadał ani za dziczyzną, ani za bronią. Poza tym często śnił mu się pewien sen, o którym opowiedział Danielowi. Śniło mu się, że zostaje zamordowany we śnie, zastrzelony we własnym łóżku; kiedy się budził, huk wystrzału jeszcze dźwięczał mu w uszach.

Dlatego Dominic Baciagalupo spał w pokoju z patelnią. W kuchni było pełno patelni w przeróżnych rozmiarach, lecz do samoobrony najlepiej służyła ta o średnicy dwudziestu centymetrów. Nawet młody Dan umiał się nią porządnie zamachnąć. Większe nadawały się idealnie do smażenia, lecz jako broń były stanowczo za ciężkie; Ketchum też nie podniósłby ich dość szybko, by unieszkodliwić natrętnego flisaka albo niedźwiedzia.

Nocą, po wypadku Angela, Danny Baciagalupo leżał w swoim łóżku nad kuchnią. Jego pokój znajdował się tuż nad drzwiami z siatki oraz niedopasowanymi drzwiami zewnętrznymi; słyszał, jak łomoczą na wietrze. Słyszał też rzekę. Do ich domu zawsze docierał szum rzeki Twisted, chyba że akurat płynęła pod lodem. Danny musiał zasnąć równie szybko jak ojciec, ponieważ nie słyszał furgonetki. Reflektory nie zaświeciły w okna. Ktokolwiek siedział za kierownicą, zdołał pokonać drogę z miasteczka w niemal zupełnej ciemności (tamtej nocy księżyc był dość blady), albo też zamroczony alkoholem zapomniał włączyć światła.

Danny'emu wydawało się, że słyszy trzask zamykanych drzwi. Błoto, miękkie za dnia, nocą czasem chrzęściło pod stopami: nocami robiło się tak zimno, że zamarzało, a do tego teraz spadł śnieg. Może to jednak nie były drzwi, pomyślał Dan; może ów trzask stanowił tylko część jego

snu. Na zewnątrz, na zamarzniętym błocie, zaszurały czyjeś kroki, powolne i ostrożne. Może to niedźwiedź, zaniepokoił się Danny.

Kucharz trzymał na zewnątrz chłodziarkę. Była wprawdzie zamknięta, ale zawierała mieloną baraninę na kotlety i boczek oraz inne łatwo psujące się rzeczy, które nie zmieściły się w lodówce. A jeśli niedźwiedź zwęszył mięso?, rozmyślał Danny.

– Tato? – zawołał, lecz ojciec pewnie spał twardo w swoim pokoju.

Podobnie jak każdemu, otwarcie zewnętrznych drzwi sprawiło niedźwiedziowi nieco trudu; walił w nie łapą. Dan usłyszał też stękanie.

– Tato! – krzyknął; usłyszał, jak ojciec zrywa ze ściany patelnię. Obaj poszli spać w kalesonach i skarpetkach; podłoga na pięterku ziębiła Danny'emu stopy, nawet mimo skarpetek. Zeszli do kuchni, rozjarzonej wątłym blaskiem światełek migających na starym piecu. Kucharz oburącz trzymał czarną patelnię. Kiedy drzwi zewnętrzne ustąpiły, niedźwiedź – jeśli to był niedźwiedź – pchnął siatkę klatką piersiową. Wkroczył do środka wyprostowany, ale na chwiejnych nogach. Mignęły białe zęby.

– Nie jestem niedźwiedziem, Ziółko – wybełkotał Ketchum.

Błysk bieli, który Danny wziął za obnażone zęby drapieżnika, okazał się świeżym gipsem na prawym przedramieniu Ketchuma; sięgał od połowy dłoni aż po zgięcie łokcia.

– Przepraszam, że was wystraszyłem – dodał.

– Zamknij drzwi z łaski swojej. Ciepło ucieka – burknął kucharz. Danny zobaczył, że ojciec odkłada patelnię na najniższy schodek. Ketchum niezdarnie usiłował domknąć drzwi lewą ręką. – Jesteś pijany – stwierdził.

– Mam tylko jedną rękę, Ziółko, a jestem praworęczny – przypomniał mu Ketchum.

– Co nie zmienia faktu, że jesteś pijany – zakomunikował staremu przyjacielowi Dominic Baciagalupo.

– Pamiętasz chyba, jak to jest – odparł Ketchum.

Dan pomógł mu zamknąć drzwi.

– Założę się, że jesteś głodny – powiedział. Wielkolud, kołysząc się z lekka, zwichrzył mu włosy.

– Ja nie muszę jeść – oznajmił.

– Może to cię otrzeźwi – odpowiedział kucharz i otworzył lodówkę. – Zostało trochę pieczeni, na zimno też jest niczego sobie. Możesz ją zjeść z musem jabłkowym.

– Nie muszę jeść – powtórzył tamten. – Chcę, żebyś pojechał ze mną, Ziółko.

– Dokąd? – zapytał Dominic, ale nawet Dan wiedział, kiedy ojciec udaje, że nie zna odpowiedzi na postawione pytanie.

– Już ty dobrze wiesz dokąd – odparł Ketchum. – Nie pamiętam tylko, gdzie to było dokładnie.

– Bo za dużo pijesz, Ketchum, dlatego nie pamiętasz – zauważył Dominic.

Kiedy Ketchum spuścił głowę, zakołysał się jeszcze bardziej; Danny był pewien, że flisak upadnie. Po sposobie, w jaki obaj mężczyźni zniżyli głosy, zrozumiał, że negocjują; starali się nie mówić zbyt wiele, gdyż Ketchum nie był pewien, ile dwunastolatek wie o śmierci matki, Dominic Baciagalupo zaś nie życzył sobie, aby jego syn poznał niepożądane szczegóły, które mogły utkwić w pamięci Ketchuma.

– Spróbuj pieczeni, Ketchum – poprosił cicho kucharz.

– Z musem naprawdę jest niezła – dodał Danny. Flisak opadł na stołek, kładąc gips na blacie. Cały zdawał się

składać z twardych i wyostrzonych krawędzi, niczym ostrugany konar, a do tego był „twardzielem”, jak mawiał Danny, przez co śnieżnobiały, na oko kruchy gips nie pasował do niego jak proteza. Gdyby Ketchum stracił rękę, zadowoliłby się kikutem: mógłby posługiwać się nim niczym pałką.

Danny zebrał się na odwagę. Nigdy nie dotykał gipsu. Ketchum, choć pijany, czytał w jego myślał.

– Ależ proszę, możesz dotknąć – zachęcił, wyciągając rękę w stronę chłopca. Na zakrzywionych palcach Ketchuma, sterczących nieruchomo z gipsu, Danny zobaczył zaschniętą krew lub smołę. Przy złamanym nadgarstku poruszanie palcami przez kilka pierwszych dni było dość bolesne. Chłopiec delikatnie dotknął gipsu.

Kucharz hojnie nałożył Ketchumowi pieczeni i musu.

– Jest mleko i sok pomarańczowy – powiedział. – Albo mogę ci zaparzyć kawę.

– Co za zniechęcający wybór – odparł Ketchum i mrugnął do Danny'ego.

– Zniechęcający – powtórzył kucharz, potrząsając głową. – Zrobię kawę.

Danny chciał, żeby rozmawiali o wszystkim; dużo wiedział o nich obu, o matce jednak wciąż za mało. Żaden szczegół dotyczący jej śmierci nie byłby zbędny: Danny pragnął usłyszeć każde słowo. Kucharz natomiast był człowiekiem przezornym, albo takim się stał; nawet Ketchum, który odstraszył od siebie własne dzieci, otaczał Danny'ego równie czułą i troskliwą opieką jak do niedawna Angela.

– Dopóki jesteś pijany, nigdzie z tobą nie pojadę – mówił kucharz.

– Ja z tobą pojechałem, chociaż byłeś – odparł Ketchum, po czym zamilkł, biorąc do ust kęs pieczeni.

– Ciało nie płynie tak szybko jak kłoda, chyba że się pod nią znajdzie – podjął Dominic Baciagalupo, jakby zwracał się do imbryka z kawą, a nie do Ketchuma, który siedział odwrócony do niego plecami. – Musiałoby się o nią zahaczyć.

– W weekend tamy są zamknięte – odpowiedział Ketchum. Miał na myśli nie tylko Tamę Nieboszczki, ale i tamę Pontook, na Androscoggin. Jadł z apetytem, ale niespiesznie, niezdarnie trzymając widelec w lewej ręce.

– Dobre z musem, nie? – zapytał chłopiec. Ketchum pokiwał głową, żując intensywnie.

Po kuchni rozszedł się zapach kawy.

– W sumie mogę wziąć się za bekon – stwierdził kucharz, bardziej do siebie niż do pozostałych. Ketchum dalej przeżuwał.

– Przypuszczam, że kłody są już przy pierwszej tamie – uzupełnił Dominic, jakby wciąż głośno myślał. – Znaczy, nasze kłody.

– Wiem, jakie kłody i przy której tamie – odparł Ketchum. – Owszem, już tam są; były, kiedy robiłeś kolację.

– Byłeś u tego durnego lekarza? – zapytał kucharz. – Do założenia gipsu nie trzeba geniusza, ale lubisz, bracie, ryzyko. – Poszedł do chłodziarki po boczek. Na zewnątrz panował mrok, do ciepłej kuchni wtargnął szum rzeki.

– Kiedyś też ryzykowałeś! – zawołał za nim Ketchum, po czym zerknął niepewnie na Danny'ego. – I był szczęśliwszy… kiedy pił.

– Byłem szczęśliwszy, koniec i kropka – odburknął kucharz. Sposób, w jaki rzucił bekon na deskę do krojenia, kazał Danny'emu podnieść wzrok, ale Ketchum dalej wpatrywał się w swój talerz.

– Biorąc pod uwagę, że ciała płyną wolniej niż kłody – rzucił z rozmyślną powolnością i nieco bełkotliwym tonem –

kiedy twoim zdaniem ciało Angela dotrze do miejsca, którego nie mogę sobie przypomnieć?

Danny pospiesznie obliczył w głowie, lecz obaj z Ketchumem nie mieli wątpliwości, że kucharz zna już odpowiedź na to pytanie.

– W sobotę wieczorem albo w niedzielę rano – oznajmił Dominic Baciagalupo. Musiał podnieść głos, żeby przekrzyczeć skwierczący bekon. – W nocy nigdzie z tobą nie pojadę, Ketchum.

Danny zerknął na Ketchuma w oczekiwaniu na jego odpowiedź; bądź co bądź ta historia najbardziej ciekawiła chłopca i była najbliższa jego sercu.

– Ja pojechałem z tobą w nocy.

– W niedzielę raczej będziesz trzeźwy – odpowiedział kucharz. – Niedziela, dziewiąta rano: spotkamy się na miejscu, przyjadę z Danielem. (Obaj mieli na myśli Tamę Nieboszczki, choć Dan wiedział, że żaden z nich głośno nie wymówi tej nazwy).

– Moglibyśmy zabrać się we trzech furgonetką – zaproponował Ketchum.

– Pojadę z Danielem, w razie gdybyś nie wytrzeźwiał do reszty – odparł Dominic.

Ketchum odsunął pusty talerz, następnie położył kudłatą głowę na stole i utkwił spojrzenie w gipsie.

– Spotkamy się przy stawie obok tartaku, tak? – zapytał.

– Ja nazywam to inaczej – odparł kucharz. – Tama istniała, zanim powstał tartak. Jak można nazywać to stawem, skoro leży w zwężeniu rzeki?

– Znasz tych z tartaku – skwitował pogardliwie Ketchum.

– Tama istniała, zanim powstał tartak – powtórzył Dominic, uparcie nie wymieniając nazwy.

– Któregoś dnia woda zerwie tamę i nie będą zawracać sobie głowy kolejną – mruknął Ketchum; oczy mu się zamykały.

– Któregoś dnia na Twisted nie będzie spływów – odpowiedział kucharz. – Po co im tama w miejscu, gdzie rzeka wpada do zbiornika, choć zdaje mi się, że Pontook na Androscoggin zostanie?

– Któregoś dnia w niedalekiej przyszłości – uściślił Ketchum. Miał zamknięte oczy; leżał rozwalony tułowiem na blacie. Kucharz po cichu zabrał talerz, ale Ketchum nie spał; odezwał się jeszcze wolniej niż przedtem: – Z boku tamy jest przelew, woda utworzyła tam zbiornik, coś w rodzaju otwartej studni, ale powiesili tam sznur z bojami, żeby kłody nie wpływały.

– Coś mi się zdaje, że pamiętasz to miejsce równie dobrze jak ja – szepnął Dominic.

Danny wiedział, że tam znaleźli jego matkę. Jej ciało spłynęło niżej niż kłody; musiała przepłynąć pod barierą do przelewu. Ketchum znalazł ją tam całkiem samą, w pobliżu nie było ani jednej kłody.

– Nie bardzo wiem, jak tam dojechać – odparł z pewnym rozdrażnieniem Ketchum. Nie otwierając oczu, przebierał palcami prawej dłoni; usiłował dotknąć krawędzi gipsu. Kucharz i jego syn wiedzieli, że sprawdza swoją wytrzymałość na ból.

– W takim razie ci pokażę – odpowiedział łagodnie Dominic. – Musisz wyjść na wprost tamy lub po przeciwnej stronie niż kłody… pamiętasz?

Wniósł do kuchni składane łóżko. Skinął na syna, który pomógł mu je rozłożyć, tak aby nie zawadzało przy drzwiach i nie blokowało dostępu do piekarników.

– Ja też chcę spać w kuchni – oznajmił Danny.

– Jeśli nie będziesz słuchać, może uda ci się zasnąć – rzucił Dominic.

– Kiedy ja chcę słuchać – zaoponował Danny.

– Prawie skończyliśmy – powiedział mu na ucho kucharz, całując go na dobranoc.

– Nie rób sobie nadziei, Ziółko – wtrącił Ketchum, nie otwierając oczu.

– Mam dużo roboty, Ketchum. Chyba muszę obrać ziemniaki.

– Nieraz widziałem, jak jednocześnie gadasz i pichcisz – odparł Ketchum; wciąż miał zamknięte oczy.

Kucharz rzucił synowi surowe spojrzenie i pokazał na schody.

– Na górze jest zimno – poskarżył się Danny, przystając na pierwszym schodku, gdzie leżała patelnia.

– Po drodze odwieś na miejsce patelnię, Danielu.

Chłopiec z ociąganiem ruszył na górę, zatrzymując się na każdym stopniu; słuchał, jak ojciec szczęka naczyniami. Dan wiedział bez patrzenia, co robi: kucharz zawsze zaczynał od chleba bananowego. Odwieszając żeliwną patelnię na gwóźdź w pokoju ojca, odliczył szesnaście jaj rozbijanych o krawędź nierdzewnej miski, potem przyszła kolej na rozgniecione banany i posiekane orzechy włoskie. Czasami ojciec kładł na wierzch ciepłe jabłka. W następnej kolejności kucharz przystąpił do wyrabiania bułek, dodając do suchych składników masło i jajka, bakalie zaś, jeśli je miał, dosypywał na końcu. Danny słyszał z góry, jak ojciec natłuszcza formę na babeczki, a następnie oprósza ją mąką i wykłada masę. Chleb bananowy zawierał płatki owsiane i otręby, których zapach wkrótce napłynął na górę.

Pod kołdrą, spod której Danny słyszał, jak otwierają się drzwiczki piekarnika i blachy wsuwają się do środka, było przyjemnie ciepło; po chwili z kuchni doleciał zgrzyt

zamykanego piekarnika. Niecodzienny odgłos sprawił, że chłopiec otworzył oczy i usiadł na łóżku: to ojciec usiłował podnieść Ketchuma, chwytając go pod pachy i wlokąc na łóżko polowe. Danny nie wiedział, czy tata da radę podnieść potężnego mężczyznę; cicho przekradł się do schodów i patrzył, jak kucharz kładzie kumpla na łóżku, a następnie przykrywa go rozłożonym śpiworem jak kocem.

Dominic Baciagalupo kładł ziemniaki na blachę, gdy Ketchum znów się odezwał.

– Nie mogłem pozwolić, żebyś ją zobaczył… to nie byłoby fair.

– Rozumiem – odpowiedział kucharz.

Skulony na schodach Danny ponownie przymknął oczy, przywołując obraz, który znał na pamięć: pijany Ketchum, sunący drobnymi krokami po kłodach, a następnie zaglądający do przelewu. „Zostań tam!”, krzyknął do kucharza. „Nie wchodź na kłody… i nie podchodź do tamy!”.

Dominic patrzył, jak Ketchum niesie jego martwą żonę wzdłuż krawędzi przelewu. „Nie podchodź!”, krzyknął, wracając po kłodach. „Nie możesz już na nią patrzeć… nie jest taka jak kiedyś!”.

Kucharz, który też był pijany, trzymał w ręku koc przyniesiony z furgonetki. Ale Ketchum nie kwapił się wyjść na brzeg, tylko dalej z zadziwiającą zwinnością drobił po kłodach. „Rozłóż koc w tyle furgonetki, a potem odejdź!”. Gdy Ketchum znalazł się na brzegu, Dominic stał w równej odległości od brzegu i od furgonetki, jak w trójkącie. „Trzymaj się swego, Ziółko… dopóki jej nie przykryję”, polecił Ketchum.

Danny zastanawiał się, czy to aby nie stąd pochodzi częsta przestroga ojca: „Trzymaj się swego, Danielu… tylko nie daj się zabić”. Może były to słowa Ketchuma, który

ostrożnie ułożył martwą kobietę z tyłu furgonetki i przykrył ją kocem. Dominic nie ruszył się z miejsca.

– Nie chciałeś jej zobaczyć? – pytał zbyt często Danny.

– Ufam Ketchumowi – odpowiadał ojciec. – Jeśli coś mi się stanie, Danielu, ty też możesz mu zaufać.

Gdy do aromatu ciast dołączyła woń baraniny, Danny zrozumiał, że musiał wrócić do pokoju i zasnąć; nie słyszał, w którym momencie tata otworzył kłopotliwe drzwi i wyjął mięso z chłodziarki. Chłopiec leżał w łóżku z zamkniętymi oczami, chłonąc zapachy. Miał ochotę zapytać Ketchuma, czy mama leżała na wznak, kiedy ją zobaczył, czy może twarzą w dół.

Ubrał się i zszedł na dół do kuchni; dopiero wówczas uświadomił sobie, że tata tymczasem przyszedł na górę i się ubrał, zapewne gdy Ketchum zasnął na łóżku. Patrzył, jak ojciec krząta się przy piecu; gdy pochłaniały go trzy lub cztery czynności naraz, jego kalectwo było prawie niezauważalne. W takich chwilach Danny wyobrażał go sobie jako dwunastolatka, przed wypadkiem. W wieku dwunastu lat Danny Baciagalupo był samotnym dzieckiem, nie miał przyjaciół. Żałował często, że nie mógł znać swojego taty, gdy byliby rówieśnikami.

Kiedy masz dwanaście lat, cztery lata to dla ciebie szmat czasu. Annunziata Saetta wiedziała, że nie trzeba czterech lat, by synowi zagoiła się kostka; jej ukochany Pocałunek Wilka chodził bez kul po upływie czterech miesięcy, a gdy liczył sobie lat trzynaście, czytał jak piętnastolatek. Nauka w domu popłacała. Przede wszystkim Annunziata była nauczycielką; wiedziała, ile czasu trwoni się w szkołach na dyscyplinę, ferie i przerwy śniadaniowe. W czasie przeznaczonym na zajęcia chłopiec odrabiał lekcje, a następnie je sprawdzał, do tego jeszcze mógł pozwolić sobie na czytanie i prowadzenie zeszytu z przepisami.

Nauka gotowania przychodziła mu nieco wolniej, po wypadku zaś Annunziata wprowadziła własne ograniczenia co do zatrudniania nieletnich. Nie puściła Dominica do pracy w barze śniadaniowym, dopóki chłopiec nie nabrał doświadczenia w kuchni, na co przyszło mu poczekać do szesnastego roku życia; w ciągu tych czterech lat stał się oczytanym szesnastolatkiem i wytrawnym kucharzem.

W 1940 roku Dominic Baciagalupo poznał mamę Danny'ego. Miała dwadzieścia trzy lata i uczyła w tej samej szkole co Annunziata Saetta; ściśle rzecz biorąc, to właśnie Nunzi przedstawiła synowi nową nauczycielkę.

Nie miała wielkiego wyboru. Jej kuzynka Maria, też z Saettów, poślubiła niejakiego Calogero; było to często spotykane sycylijskie nazwisko. „Po jakimś greckim świętym, który tam zmarł; ogólnie rzecz ujmując, także imię i nazwisko ma coś wspólnego z dziećmi, a konkretnie chyba z sierotami”, wyjaśniła Dominicowi Nunzi. Wymawiała to jako ka-LO-ger-ro. Dodała, że takie imię nadaje się również na chrzcie „przeważnie bękartom”.

Dla szesnastoletniego Dominica kwestia nieślubnego pochodzenia była dość drażliwym tematem, podobnie zresztą jak dla Annunziaty. Jej kuzynka wysłała ciężarną córkę w ostępy New Hampshire; nie mogła przeboleć, że dziewczyna jest pierwszą kobietą w rodzinie, która ukończyła college. „To było tylko studium nauczycielskie, i co z tego miała? I tak zaliczyła wpadkę!”, wyrzekała matka biednej dziewczyny, a Nunzi powtórzyła jej nieczułe słowa Dominicowi. Chłopiec zrozumiał w mig, że przysłano do nich ciężarną dwudziestotrzylatkę, gdyż zdaniem rodziny Annunziata i jej bękart jechali na tym samym wózku. Miała na imię Rosina, lecz – zważywszy na matczyny pociąg do zdrobnień – wyklęta dziewczyna została Rosie, zanim jeszcze pokonała trasę z Bostonu do Berlina.

Jak to często „dawniej” bywało – nie tylko na North Endzie i bynajmniej nie tylko wśród włoskich i katolickich

rodzin – rodziny Saetta i Calogero postanowiły odesłać jedną rodzinną gorszycielkę pod opiekuńcze skrzydła drugiej. I tak Annunziata utwierdziła się w niechęci do swych bostońskich krewnych. „Niech to będzie dla ciebie lekcją, Dom”, oznajmiła nastoletniemu synowi. „Nie będziemy osądzać biednej Rosie za jej niefortunny stan, ale pokochamy ją, jak gdyby nigdy nic”.

Podczas gdy wspaniałomyślność Annunziaty z całą pewnością zasługiwała na pochwałę – zwłaszcza w latach czterdziestych, kiedy to nieślubne matki zwykle nie mogły liczyć na szczególną przychylność społeczeństwa – wmawianie szesnastoletniemu synowi, że ma kochać cioteczną kuzynkę „jak gdyby nigdy nic”, zakrawało na beztroskę i daleko posuniętą naiwność.

– Jak to: cioteczna? – zapytał matkę chłopiec.

– A może nie cioteczna… może pierwszego stopnia, czy coś w tym stylu – odpowiedziała Nunzi. Na widok niepewnej miny Dominica dodała: – Jak zwał, tak zwał. W każdym razie nie jest twoją kuzynką w prostej linii.

Ta informacja (lub dezinformacja) stanowiła dla kalekiego szesnastolatka nieznane ryzyko. Jego wypadek, rehabilitacja, nauka w domu, o pasji kulinarnej nie wspominając, wszystko to, razem wzięte, pozbawiło go przyjaciół w tym samym wieku. Do tego „mały” Dom pracował na pełny etat, w związku z czym postrzegał się jako młodego mężczyznę. A tu matka ogłasza, że dwudziestotrzyletnia Rosie Calogero nie jest jego „prawdziwą” kuzynką.

Gdy Rosie przyjechała, jeszcze nie było po niej nic widać, lecz wkrótce miało się to zmienić, co stanowiło kolejny problem.

Po studium nauczycielskim Rosie uzyskała licencjat z nauk ścisłych i, prawdę powiedziawszy, miała zbyt wysokie kwalifikacje, aby nauczać dzieciaki drwali w podstawówce.

Gdy zaś zacznie „wyglądać” na ciężarną, będzie zmuszona na pewien czas zrezygnować z pracy. „Chyba że znajdziemy ci męża, prawdziwego lub wymyślonego”, powiedziała do niej Annunziata. Rosie była z pewnością na tyle ładna, by znaleźć sobie prawdziwego męża – Dominic uważał ją za skończoną piękność – ale biedaczka nie miała ochoty na przygody towarzyskie, niezbędne w celu poznania odpowiedniego kandydata, nie kiedy była w ciąży!

Przez cztery lata chłopiec gotował z matką. A że skrupulatnie zapisywał każdy przepis – oraz modyfikował go na własną rękę – pod pewnymi względami zaczął ją przerastać. Tak się złożyło, że w ów przełomowy wieczór szykował kolację dla obydwu kobiet i siebie. W barze ceniono go coraz bardziej, i przychodził do domu znacznie wcześniej, zanim Rosie i jego matka wracały ze szkoły; nie licząc weekendów, kiedy to Nunzi lubiła niepodzielnie królować w kuchni, gotowanie spoczywało na barkach Dominica.

– Ja mógłbym ożenić się z Rosie – zaproponował, mieszając sos marinara. – Albo udawać, że jestem jej mężem, dopóki nie znajdzie kogoś bardziej odpowiedniego. W końcu kto musi o tym wiedzieć?

Annunziata uznała to za uroczą i niewinną propozycję, toteż ze śmiechem uściskała syna. Jednakże Dan wcale nie uważał, żeby Rosie mogła znaleźć kogoś „bardziej odpowiedniego” niż on sam: wzmianka o udawaniu była z jego strony sprytnym wybiegiem. Ożeniłby się z Rosie naprawdę; ani różnica wieku, ani łączące ich pewne pokrewieństwo nie stanowiły dlań żadnej przeszkody.

Dla Rosie zaś nie liczyło się to, że propozycja szesnastolatka, urocza i nie tak znowu niewinna, była nierealistyczna, a do tego pewnie nielegalna, nawet w północnym New Hampshire. Nieszczęsną dziewczynę

jeszcze w pierwszym trymestrze ciąży najbardziej uderzyło to, że drań, który wpędził ją w tarapaty, nie poprosił jej o rękę, nawet mimo znacznego nacisku otoczenia.

Biorąc pod uwagę skłonności mężczyzn z obydwu rodzin, ów „nacisk" przybrał postać wielokrotnych pogróżek, począwszy od groźby kastracji, zwieńczonej ponurą wizją śmierci przez utopienie. Nie wiadomo, czy sprawca pożeglował do Neapolu, czy może do Palermo, w każdym razie na oświadczyny się nie zanosiło. Spontaniczna i prosto z serca płynąca propozycja Dominica była pierwszą tego rodzaju, jaką kiedykolwiek Rosie złożono; i zanim chłopak zdążył dorzucić krewetki do swej marinary, wzruszona wybuchnęła płaczem. Rozkleiła się do tego stopnia, że tego dnia poszła spać we łzach i bez kolacji.

Kiedy Annunziata obudziła się w nocy, na podstawie odgłosów dobiegających z łazienki zrozumiała, że Rosie poroniła. W pierwszej chwili nie była pewna, co o tym myśleć, nie wiedziała bowiem, czy utrata dziecka będzie dla dziewczyny tragedią, czy może błogosławieństwem. Dominic Baciagalupo leżał w łóżku i słuchał, jak jego kuzynka pierwszego stopnia płacze. Z łazienki dochodził szum raz po raz spłukiwanej toalety, wanna napełniała się wodą – Rosie pewnie krwawiła – nad wszystkim zaś unosił się współczujący głos jego matki. „Może tak będzie lepiej, Rosie. Nie musisz rezygnować z pracy, nawet na krótko! I nie musimy szukać ci męża, prawdziwego ani wymyślonego! Posłuchaj mnie, Rosie: to nie było dziecko, jeszcze nie".

Dominic leżał i rozmyślał: Co ja narobiłem? Nawet wymyślony ślub z Rosie powodował u niego niemal natychmiastową erekcję. (W końcu miał szesnaście lat – też mi nowina!). Słysząc, że Rosie przestała płakać, wstrzymał oddech. „Czy Dominic słyszał… myślisz, że go zbudziłam?", usłyszał, jak pyta jego matkę.

– E tam, śpi jak zabity – odrzekła Nunzi. – Ale fakt, narobiłaś hałasu. To zrozumiałe, rzecz jasna.

– Na pewno słyszał! – zawołała dziewczyna. – Muszę z nim porozmawiać! – postanowiła. Dominic usłyszał, że wychodzi z wanny. Usłyszał szmer energicznego wycierania się ręcznikiem, a następnie tupot bosych stóp na posadzce łazienki.

– Ja mu to rano wyjaśnię – pospieszyła z zapewnieniem matka, ale niekuzynka biegła już korytarzem do pokoju gościnnego.

– Nie, nie! Muszę mu coś powiedzieć! – zawołała Rosie. Do Dominica dotarł hałas otwieranej komody; w szafie spadł wieszak. Dziewczyna w jednej chwili znalazła się w jego pokoju, po prostu otworzyła drzwi, bez pukania, i położyła się obok niego na łóżku. Mokre włosy omiotły mu twarz.

– Słyszałem cię – powiedział.

– Nic mi nie będzie – zaczęła Rosie. – Jeszcze kiedyś będę miała dziecko.

– Bolało? – zapytał. Leżał z odwróconą twarzą, ponieważ od mycia zębów minęło już trochę czasu i bał się, że ma nieświeży oddech.

– Nie sądziłam, że chcę je urodzić, dopóki go nie straciłam – mówiła Rosie. Dominic nie wiedział, co odpowiedzieć, ale Rosie kontynuowała zdyszanym szeptem: – To, co mi powiedziałeś, było najmilszą rzeczą, jaką kiedykolwiek usłyszałam. Nigdy ci tego nie zapomnę.

– Ożeniłbym się z tobą, naprawdę. Nie mówiłem tego, ot tak – zapewnił chłopiec.

Uścisnęła go i pocałowała w ucho. Leżała na kołdrze, pod którą się znajdował, ale czuł, jak przyciska się do jego pleców.

– Wiem, że nikt nie złoży mi nigdy milszej propozycji – dodała.

– Może jednak się pobierzemy, kiedy będę starszy – zaproponował Dominic.

– Może i tak! – zawołała i znowu go uścisnęła.

Zastanawiał się, czy powiedziała to na serio, czy może tylko z grzeczności.

W łazience, gdzie Annunziata szorowała opróżnioną wannę, ich głosy były słyszalne, ale niezrozumiałe. Nunzi zdziwiła się, że Dominic mówi; tak rzadko się odzywał. Głos jeszcze mu się zmieniał, stawał się niższy. Ale gdy Rosie zawołała „Może i tak!”, rozgadał się na całego, a odpowiedzi dziewczyny stawały się coraz dłuższe i cichsze. Nie sposób było rozróżnić słów, szeptali jednak bez tchu, jak kochankowie.

Szorując machinalnie wannę, Annunziata przestała się zastanawiać, czy poronienie było dramatem, czy błogosławieństwem; kwestia utraty dziecka raptem straciła znaczenie. Tu chodziło o Rosie Calogero: czy to ona była zagrożeniem, czy może błogosławieństwem? Co też Nunzi strzeliło do głowy? Wpuściła pod swój dach ładną, bystrą (i najwyraźniej uczuciową) młodą kobietę, odrzuconą przez kochanka i wyklętą przez rodzinę, nie zdając sobie sprawy, jaką pokusą nie do odparcia stanie się ona dla dorastającego chłopca.

Annunziata wstała z kolan i ruszyła korytarzem do kuchni, odnotowując po drodze, że drzwi do pokoju syna są częściowo uchylone, a szept trwa w najlepsze. W kuchni wzięła szczyptę soli i rzuciła ją przez ramię. Stłumiła odruch, by wpaść tam jak huragan, ale cofnęła się do przedpokoju i podniosła głos.

– Ojej, Rosie, strasznie cię przepraszam – oznajmiła. – Że też nie przyszło mi do głowy zapytać, czy chcesz wrócić do Bostonu! – Usiłowała stworzyć pozory, że to nie jej pomysł,

nadając głosowi możliwie neutralny i obojętny ton, jakby czyniła to jedynie przez wzgląd na dziewczynę. Lecz młodzi w pokoju Dominica jak na komendę umilkli i wstrzymali oddech.

Rosie poczuła, że chłopiec zamarł dokładnie w tej samej chwili co ona. Odpowiedź padła jednocześnie, jak gdyby przećwiczyli ją zawczasu. „Nie!”, zawołali zgodnym chórem.

Zdecydowanie nie błogosławieństwo, uznała w duchu Nunzi, słysząc słowa Rosie.

– Chcę zostać tutaj, z tobą i Dominikiem. Chcę uczyć w szkole. Nigdy nie wrócę do Bostonu! (W sumie trudno się dziwić, pomyślała Annunziata; znała to uczucie).

– Chcę, żeby Rosie została! – dobiegło ją wołanie syna.

No ba, mruknęła matka. Ale co z różnicą wieku? I co będzie, jeśli kraj włączy się do wojny i wszyscy młodzi mężczyźni zostaną powołani do wojska? (Jej ukochanemu Pocałunkowi Wilka to nie grozi – Nunzi wiedziała, że z jego kalectwem nie ma na to szans).

Rosie Calogero utrzymała posadę i robiła sumiennie, co do niej należało. Młody kucharz też utrzymał posadę, i też robił, co do niego należało, na tyle sumiennie, że bar śniadaniowy rozszerzył działalność i zaczął serwować lunch. Nie minęło dużo czasu, jak Dominic Baciagalupo przerósł pod względem kunsztu własną matkę. Cokolwiek przyrządzał na lunch, przynosił do domu na kolację; Nunzi i Rosie nie mogły narzekać na jadłospis. Zdarzało się, że matka i syn gotowali razem, przeważnie jednak Annunziata ustępowała pola Dominicowi.

Szykował pieczeń z sosem worcester i provolone, i podawał ją na ciepło ze swoim uniwersalnym sosem marinara, bądź też na zimno, z musem jabłkowym. Smażył panierowane kotlety drobiowe *alla parmigiana*; w Bostonie,

mówiła mu matka, robiło się cielęcinę w parmezanie, lecz w Berlinie ze świecą szukać dobrej cielęciny. Zastępował ją więc wieprzowiną i smakowała niemal równie wyśmienicie. Dominic przyrządzał też parmezan z bakłażanami; zdecydowana większość francuskich Kanadyjczyków w Berlinie wiedziała, co to jest oberżyna. Piekł udziec barani z czosnkiem, cytryną i oliwą z oliwek; oliwa pochodziła ze znanego Nunzi sklepu w Bostonie, Dominic nacierał nią pieczonego kurczaka oraz indyka, które faszerował nadzieniem z chleba kukurydzianego, kiełbasek i szałwii. Robił steki na ruszcie, a także je grillował, a następnie podawał z białą fasolą lub pieczonymi ziemniakami. Za tymi ostatnimi nie przepadał, nie znosił też ryżu. Większość dań serwował z makaronem, przyrządzanym prostym sposobem, z czosnkiem i oliwą z oliwek, a czasem z groszkiem i szparagami. Gotował marchew w oliwie z oliwek, z czarnymi oliwkami z Sycylii i dodatkową porcją czosnku. I choć nie cierpiał gotowanej fasoli, często gościła w jego jadłospisie; bądź co bądź musiał wykarmić drwali i pracowników tartaku, w większości starszych mężczyzn, którzy stracili zęby i przeważnie nie ruszali nic innego. „Amatorzy grochówki i fasoli”, lekceważąco mówiła o nich Nunzi.

Czasem Annunziata zdobywała koper, który gotowali następnie w sosie pomidorowym z sardynkami z puszek, pochodzącymi z innego znanego Nunzi sklepu w Bostonie; matka i syn ucierali je na pastę z czosnkiem i oliwą, i podawali z makaronem posypanym bułką tartą i zapieczonym w piekarniku. Dominic wyrabiał własne ciasto na pizzę. W każdy piątkowy wieczór podawał bezmięsną pizzę zamiast ryby, której świeżość tu, na północy, budziła wątpliwości ich obojga. Krewetki, mrożone w kawałkach lodu wielkości pniaków, dowożono prosto z wybrzeża; ich świeżość była bezsporna. Do pizzy mógł stosować również swój ukochany sos marinara. Sery ricotta, romano,

parmezan i provolone przyjeżdżały z Bostonu, podobnie jak czarne oliwki sycylijskie. Kucharz, który wciąż uczył się fachu, na potęgę siekał pietruszkę i dosypywał ją do wszystkiego, nawet do wszechobecnej grochówki. (Pietruszka, jak mawiała jego matka, to „czysty chlorofil”; neutralizowała czosnek i odświeżała oddech).

Desery Dominica były proste i – ku wielkiej niechęci Nunzi – ani za grosz sycylijskie: przeważał jabłecznik, placek jagodowy z kruszonką oraz podpłomyki. W hrabstwie Coos jagód i jabłek było na pęczki, a ciasto wychodziło młodemu kucharzowi jak marzenie.

Jego śniadania były jeszcze mniej skomplikowane: jajka na bekonie, naleśniki i francuskie tosty, babeczki kukurydziane, jagodzianki i bułeczki. W tamtym okresie chleb bananowy piekł tylko wówczas, gdy banany zbrązowiały; zdaniem jego matki używanie do tego celu zdrowych bananów zakrawało na marnotrawstwo.

W Androscoggin Valley, mniej więcej w połowie drogi między Berlinem a Mediolanem, znajdowała się indycza ferma, włączył zatem do jadłospisu gulasz z indyka z cebulą i papryką oraz niewielką ilością ziemniaków. „Peklowana wołowina nie pasuje do gulaszu, to jakiś irlandzki wynalazek!”, pouczała go Annunziata.

Moczymorda Umberto, który zapił się na śmierć jeszcze przed końcem wojny, nigdy nie skosztował żadnej potrawy swego niby-bratanka. Z trudem tolerował fakt, że w tartaku zatrudniano coraz więcej kobiet, kobiety zaś nie tolerowały go w stopniu najmniejszym, co wzmagało jeszcze jego nałóg. (Facet nie dawał Dominicowi spokoju. Jak to możliwe, że ojciec był jego przyjacielem? I czy Umberto nie znosił Nunzi, bo nie chciała pójść z nim do łóżka? Dominica często nękała myśl, że Umberto niesłusznie wziął ją za łatwy cel, biorąc pod uwagę jej wygnanie z Bostonu i sytuację tutaj). Którejś zimy, parę lat przed śmiercią pijaka, Annunziata Saetta zachorowała na tę samą grypę co jej

uczniowie; zmarła, nim Stany Zjednoczone oficjalnie zaangażowały się w wojnę.

Cóż mieli robić Rosie Calogero i młody Dom? Mieli odpowiednio dwadzieścia cztery i siedemnaście lat; nie mogli przecież mieszkać pod jednym dachem, nie po śmierci matki Dominica. Do tego ani im w głowie było mieszkać osobno, toteż niby-kuzynostwo naprawdę znalazło się w kropce. Nawet Nunzi nie mogła im powiedzieć, co mają robić, ten etap minął bezpowrotnie. Dlatego młoda kobieta i zauważalnie młodszy chłopiec zrobili to, czego ich zdaniem życzyłaby sobie biedna Annunziata. (Kto wie, może mieli rację).

Dom po prostu skłamał co do swego wieku i pobrali się w 1941 roku, tuż przed pierwszym wielkim spławianiem drewna na Androscoggin, na północ od Berlina. On był przedsiębiorczym, ale niezbyt majętnym młodym kucharzem, ona zaś przedsiębiorczą, ale niezbyt majętną nauczycielką. Oboje mieli stałą pracę; na co im majątek? Oboje byli (na swój sposób) młodzi i zakochani, i chcieli mieć tylko jedno dziecko, które przyszło na świat w marcu 1942 roku.

Dan urodził się w Berlinie, „tuż przed porą błota”, precyzował zawsze jego ojciec (jakby to mówiło więcej niż kalendarz) – wkrótce po tym jego zapracowani rodzice opuścili to przemysłowe miasteczko. Smród dochodzący z papierni był bowiem nie do zniesienia. Wiele przemawiało za tym, że kiedyś, gdy wojna dobiegnie końca, Berlin rozrośnie się i zmieni nie do poznania, poza tym koszmarnym dymem. Jednakże w 1942 roku był już za duży i zbyt cuchnący, do tego (zdaniem Dominica Baciagalupo) nasuwał zbyt wiele wspomnień. A doświadczenia Rosie z North Endu[*] skutecznie zniechęcały ją do powrotu do Bostonu, chociaż obie rodziny namawiały usilnie młode kuzynostwo na przyjazd „do domu”.

Dzieci wiedzą, kiedy nie są kochane bezwarunkowo. Dominic wiedział, że jego matka czuła się odtrącona. I chociaż Rosie nie narzekała nigdy na okoliczności, które zmusiły ją do poślubienia, bądź co bądź, chłopca, nie mogła darować rodzinie zesłania.

Zaklęcia obu rodzin trafiły w próżnię. Za kogo się uważały, żeby udzielać im rozgrzeszenia? Najwidoczniej pogodziły się z faktem, że młodzi wzięli ślub i mieli dziecko, lecz Dominic i Rosie pamiętali aż nazbyt dobrze, że z ciążą bez ślubu pogodzić się nie mogły.

– Niech poszukają sobie kogoś innego do rozgrzeszenia – skwitowała Rosie. Dominic, świadomy odczuć Nunzi, przyznał jej rację. Boston był mostem, który uważali za spalony; czuli jednak, że to nie oni podłożyli ogień.

W Nowej Anglii w1942 roku moralne potępienie nie było niczym szczególnym, i choć większość ludzi na ich miejscu zapewne wybrałaby Boston, decyzje wielu młodych par bywają przypadkowe. Dla świeżo upieczonych państwa Baciagalupo Twisted River zdawała się dość odległym i surowym miejscem, ale przynajmniej nie było tam papierni. Tartak i obóz drwali nigdy nie trzymały kucharza dłużej niż jedna pora błota, a do tego nie było szkoły, no bo na co komu szkoła w miasteczku zamieszkanym głównie przez robotników dorywczych? Wszystko wskazywało jednak na to, że szkoła powstanie w mniejszej, acz bardziej trwałej osadzie nad strumieniem Phillips, czyli w Paryżu (dawniej Zachodnim Dummer), leżącym zaledwie parę mil od zdecydowanie bardziej prowizorycznej Twisted River, gdzie przedsiębiorstwo drzewne odmawiało dotąd zainwestowania w stołówkę. Zdaniem firmy przewoźna kuchnia i wanigany starczały w zupełności. To, że Twisted River sprawiała w efekcie wrażenie obozu drwali raczej niż miasta, nie zniechęciło Dominica i Rosie Baciagalupo, którzy dostrzegli w niej szansę, aczkolwiek dość mglistą.

Latem 1942 roku, kiedy mieli jeszcze dość czasu na zamówienie książek i przyborów potrzebnych w nowo powstałej szkole, kucharz wraz z żoną i synkiem popłynęli Androscoggin na północ do Mediolanu, skąd udali się dalej drogą wiodącą od zbiornika Pontook. Miejsce, gdzie Twisted River łączyła się z Pontook, nazywano wówczas po prostu „zwężeniem”; nie było tam jeszcze tartaku, a prowizoryczna Tama Nieboszczki nie nosiła swego miana. (Jak powiedziałby Ketchum, „gdzież nam było do dzisiejszych luksusów”).

Małżeństwo z dzieckiem zjawiło się w zagłębiu Twisted River przed zmierzchem i komarami. Garstce tych, którzy pamiętali przybycie młodej rodziny, kulejącego mężczyzny i jego ładnej, acz niewątpliwie starszej żony z niemowlęciem, musiała się ona wydać pełna nadziei, chociaż przywiozła ze sobą niewiele ubrań. Książki i pozostała odzież wraz z przyborami kuchennymi nadjechały przed nimi, na pustej ciężarówce do przewożenia drewna, przykryte brezentem.

Kuchnia i wanigany, w których jadali robotnicy, wymagały więcej niż tylko gruntownego sprzątania: należało je odnowić. Kucharz nalegał na to usilnie, dodając, iż tylko pod takim warunkiem zgodzi się zostać. A jeśli firma chce zatrudnić go na dłużej, konieczne będzie postawienie stołówki wraz z częścią mieszkalną na piętrze, w której zatrzyma się z całą rodziną.

Rosie nie miała aż tak wygórowanych wymagań: jedna sala szkolna starczała w zupełności jak na potrzeby Paryża vel Zachodniego Dummer, gdzie nigdy dotąd nie było szkoły; nad strumieniem Phillips w roku 1942 mieszkało zaledwie kilka rodzin z dziećmi w wieku szkolnym, w Twisted River było ich jeszcze mniej. Niebawem ich przybędzie – po wojnie, gdy mężczyźni powrócą do domu – lecz Rosie Baciagalupo, z domu Calogero, nie miała doczekać ich powrotu ani uczyć ich dzieci.

Młoda nauczycielka zmarła pod koniec zimy 1944 roku, krótko po tym, jak jej syn Dan skończył dwa lata. Chłopiec nie pamiętał matki, którą znał jedynie z gromadzonych przez ojca fotografii oraz fragmentów zaznaczonych w jej wielu książkach, też zachowanych przez ojca. (Podobnie jak matka Dominica Baciagalupo, Rosie bardzo lubiła czytać powieści).

Widoczny pesymizm Dominica – otaczała go aura swoistej powściągliwości i rezerwy, żeby nie powiedzieć melancholii – sprawiał, że mógł być postrzegany jako człowiek, który nigdy nie otrząsnął się po tragicznej śmierci swej dwudziestosiedmioletniej żony. Mimo to, oprócz ukochanego syna, Dominic Baciagalupo dostał to, na czym mu zależało: barak kuchenny zbudowano ściśle według jego wytycznych.

Najprawdopodobniej ktoś z firmy pociągnął za sznurki; żona jakiejś szychy, będąca przejazdem w Berlinie, nie szczędziła pochwał pod adresem kuchni Dominica. Wieść rozeszła się lotem błyskawicy: jakość serwowanych potraw znacznie wykraczała ponad obozową normę. Nie wypadało tak po prostu spakować się i wyjechać, ale koniec końców zabawił tu z Danielem dziesięć lat.

Rzecz jasna, znalazłby się jeden czy dwóch flisaków, w tym Ketchum, którzy znali smutny powód owej decyzji. Kucharz, który owdowiał w wieku dwudziestu lat, obwiniał się o śmierć żony, przy czym bynajmniej nie był jedynym człowiekiem, dla którego pobyt w Twisted River stał się zbyt długim aktem pokuty. Wystarczyło pomyśleć o Ketchumie.

W 1954 roku Dominic Baciagalupo miał dopiero trzydzieści lat, czyli był młody jak na ojca dwunastoletniego syna, ale wyglądał na kogoś, kto już dawno z rezygnacją poddał się swemu losowi. Był tak doskonale opanowany, że jego stoicka postawa mogła błędnie uchodzić za przejaw pesymizmu. Troskliwość, jaką okazywał synowi, nie kryła w

sobie za grosz pesymizmu, a jeśli narzekał na ograniczenia miejscowego życia (w Twisted River nadal nie było szkoły), czynił to jedynie przez wzgląd na chłopca.

W szkole wybudowanej nad strumieniem Phillips od czasów Rosie Baciagalupo nie odnotowano większych zmian na lepsze. Wprawdzie została przebudowana, jednakże dalej królowali tam wyrośnięci chłopcy, którzy powtarzali klasę lub dwie. Nikt nie potrafił nad nimi zapanować: męczennicy, która miała za cel wyprowadzić ich na ludzi, daleko było do Rosie Baciagalupo. Chuligani lubili dręczyć syna kucharza, nie tylko dlatego, że mieszkał w Twisted River, a jego tata utykał. Dokuczali mu za to, że zawsze się ładnie wysławiał. Miał bezbłędną wymowę i nienaganną dykcję, w przeciwieństwie do niechlujnych wyrostków z Paryża, którzy nie mogli mu tego darować. („Obszczymurki z Zachodniego Dummer”, nazywał ich Ketchum).

– Trzymaj się swego, Danielu… tylko nie daj się zabić – tradycyjnie mówił ojciec. – Któregoś dnia wyjedziemy stąd, obiecuję.

Bez względu na niechęć do uczniów oraz smutną historię jego rodziny, szkoła nad strumieniem Phillips była jedyną, do której chodził; sama myśl o tym, że miałby ją opuścić, bardzo Danny'ego Baciagalupo niepokoiła.

– Angel był zielony, nie powinien pracować przy wycince albo na pochylni – doleciały od strony łóżka słowa Ketchuma. Zarówno kucharz, jak i jego syn wiedzieli, że Ketchum mówi przez sen, zwłaszcza kiedy sobie wypije.

Pochylnia z kłód, wbudowana w pobocze drogi transportowej, musiała wystawać nieco ponad przyczepę stojącej tuż obok ciężarówki. Składowano za nią bale, do czasu, aż były gotowe na załadunek. Czasem też układano z pni rampę, po której wciągano dłużyce, zaprzęgając konia

lub za pomocą wciągarki linowej. Ketchum nie pozwoliłby Angelowi na ładowanie lub rozładowywanie drewna.

Danny Baciagalupo zaczął krzątać się po kuchni, kiedy znów rozległo się bredzenie Ketchuma.

– Powinien był układać deski, Ziółko.

Kucharz pokiwał głową, choć bez patrzenia wiedział, że doświadczony flisak dalej śpi jak kamień.

Układanie desek było zajęciem powierzanym zwykle początkującym pracownikom tartaku. Nawet kucharz nie uważał, aby Angel był na to zbyt niedoświadczony. Tarcicę układano warstwami na przekładkach, tak aby umożliwić swobodny dostęp powietrza. Dominic Baciagalupo pewnie pozwoliłby na to nawet Danny'emu.

– Stopniowo rosnąca mechanizacja – wymamrotał Ketchum. Gdyby postanowił zmienić pozycję, na pewno zwaliłby się na podłogę albo załamał łóżko. Jednakże leżał nieruchomo na wznak, z gipsem złożonym na piersi, jak marynarz przed pochówkiem. Rozłożony śpiwór przykrywał go niczym flaga, zwieszona lewa ręka dotykała podłogi.

– Jezu, ten znowu swoje – mruknął kucharz, uśmiechając się do syna. „Stopniowo rosnąca mechanizacja” stanowiła dla Ketchuma bardzo drażliwą kwestię. W roku pięćdziesiątym czwartym w lasach pojawiały się już skidery kołowe. Większe drzewa były na ogół przewożone przez traktory; mniejszym załogom, które wciąż używały do tego celu koni, płacono od „sztuki” (czyli od sągu albo metra sześciennego) za ścięcie i przetransportowanie drewna we wskazane miejsce. A że traktory stawały się coraz bardziej powszechne, stary tradycjonalista pokroju Ketchuma wiedział, iż wycinka przebiega w zwiększonym tempie. A Ketchum nie był amatorem szybkości.

Danny otworzył kłopotliwe drzwi i wyszedł na dwór, żeby się wysiusiać. Ojciec wprawdzie tego nie pochwalał, lecz

przykład Ketchuma zrobił swoje. Było jeszcze ciemno; mgła od rzeki kładła się wilgocią na twarzy chłopca.

– Walić operatorów maszyn parowych! – wrzasnął flisak przez sen. – Walić debilnych kierowców ciężarówek!

– Co racja, to racja – przytaknął śpiącemu przyjacielowi Dominic.

Chłopiec wrócił do środka, zamykając za sobą drzwi. Ketchum siedział na łóżku, pewnie własne wrzaski go obudziły. Wyglądał przerażająco. Nienaturalna czerń włosów i brody nadawała mu wygląd człowieka, który trafił w sam środek straszliwego pożaru; w białym blasku świetlówek sina blizna na czole zdawała się wręcz popielata. Rozglądał się nieprzytomnym, a zarazem czujnym wzrokiem.

– Nie zapomnij walić posterunkowego Carla – przypomniał mu kucharz.

– Bezwzględnie – przytaknął skwapliwie Ketchum. – Kowboj pieprzony.

Blizna Ketchuma była sprawką posterunkowego Carla, który pilnował porządku w miejscowej tancbudzie i barach, skutecznie studząc zapał co bardziej krewkich uczestników zabawy. Podczas jednej z takich okazji rozwalił Ketchumowi głowę rękojeścią swego colta 45, „jaki w New Hampshire noszą tylko debile”, komentował poszkodowany. (Stąd przezwisko „kowboj”).

Zdaniem Danny'ego Baciagalupo lepiej było oberwać w czoło rękojeścią, niż dać sobie przestrzelić stopę lub kolano, co stanowiło dla kowboja jedną z ulubionych metod zaprowadzania porządku wśród kanadyjskich pracowników najemnych. Dla wielu z nich oznaczało to koniec pracy w lesie oraz konieczność powrotu do Quebecu, ale posterunkowy nie miał nic przeciwko temu.

– Mówiłem coś? – zapytał Ketchum.

– Wznosiłeś peany na cześć operatorów maszyn parowych i kierowców ciężarówek – oświecił go Dominic.

– Walić ich – rzucił odruchowo Ketchum. – Jadę na północ… gdziekolwiek, byle nie tutaj – oznajmił. Dalej siedział na polowym łóżku, patrząc na gips jak na nową, lecz całkowicie bezużyteczną kończynę; z jego oczu biła nienawiść.

– Uhm – mruknął zgodnie Dominic.

Danny stał przy blacie, krojąc paprykę i pomidory do omletów; śpiewkę o „wyjeździe na północ” znał na pamięć. Okolice Millsfield i Second College Grant w New Hampshire, znane obecnie jako Wielkie Lasy Północy, a także rejon góry Aziscohos na południowy wschód od Wilsons Mills w stanie Maine, przyciągały Ketchuma jak magnes. Weteran spływów i drwal świetnie jednak zdawał sobie sprawę, że „stopniowo rosnąca mechanizacja” dotrze również na północ; ba, już tam była.

– Powinieneś stąd wyjechać, Ziółko, sam wiesz – oznajmił Ketchum, kiedy przez okno zaświeciły pierwsze reflektory pomocy kuchennej.

– Uhm – powtórzył kucharz. Obaj gadali o wyjeździe, ale żaden z nich nie ruszał się z miejsca.

Ryk silnika indiańskiej pomywaczki wyróżniał się na tle pozostałych.

– Rany koguta! – burknął Ketchum, podnosząc się z miejsca. – Czy Jane kiedykolwiek wrzuca dwójkę?

Kucharz, który dotąd ani razu na niego nie spojrzał, zajęty przy piecu, wreszcie podniósł wzrok.

– Nie zatrudniłem jej do prowadzenia samochodu, Ketchum.

– Uhm – odpowiedział tylko Ketchum, kiedy Indianka Jane otworzyła zewnętrzne drzwi i weszła do środka. Danny

zdziwił się w przelocie, że jako jedyna nigdy nie miała z nimi problemu.

Ketchum złożył łóżko i śpiwór; kiedy Jane się odezwała, właśnie odkładał je na miejsce.

– Oho, drwal w kuchni – powiedziała. – To zły znak.

– Ty i twoje znaki – odparł Ketchum, nie patrząc w jej stronę. – Małżonek żyje czy możemy już świętować?

– Jeszcze za niego nie wyszłam i nie mam takiego zamiaru – odpowiedziała jak zwykle Jane. Mieszkała z posterunkowym Carlem, co stanowiło kość niezgody między Ketchumem a Dominikiem. Obaj nie znosili go w równym stopniu, Jane zaś była z nim od niedawna i (skoro mowa o znakach) dawała do zrozumienia, że chce go zostawić. Tłukł ją na kwaśne jabłko. Kucharz i Ketchum nieraz widzieli u niej podbite oko i rozciętą wargę; nawet Danny zauważał ślady odciśniętych palców na jej przedramionach, w miejscach gdzie tamten łapał ją i potrząsał.

– Wytrzymam – mawiała z reguły, choć zainteresowanie obu mężczyzn sprawiało jej wyraźną przyjemność. – Ale Carl niech lepiej uważa – dodawała czasem. – Bo jeszcze kiedyś mu oddam.

Jane była kobietą słusznej postury i (swoim zwyczajem) powitała dwunastolatka, tuląc go do rozłożystego biodra. Chłopiec sięgał jej do piersi, które były po prostu ogromne; nawet workowata bluza, którą nałożyła w chłodny poranek, nie była w stanie ich ukryć. Do tego miała istną gęstwinę smolistych włosów, tradycyjnie splecionych w gruby warkocz sięgający zadka, który stanowił odrębny rozdział. Nic, ani dresowe spodnie, ani workowate ogrodniczki, w których krzątała się po kuchni, nie mogło ukryć imponującego zadka.

Na głowie nosiła baseballówkę z logo Cleveland Indians rocznik '51, z pokaźnym otworem wyciętym na warkocz,

prezent od Ketchuma. Pewnego lata, do reszty wyprowadzony z równowagi przez komary i czarne muchy, Ketchum postanowił spróbować sił jako kierowca ciężarówki; ruszył w daleką trasę i faktycznie przywiózł tę czapkę aż z Cleveland. (Danny mógł się tylko domyślać, iż było to, zanim jeszcze uznał kierowców ciężarówek za skończonych debili).

– Proszę, Jane, jesteś Indianką, oto czapka dla ciebie – oznajmił. Logo przedstawiało czerwone oblicze wodza Wahoo z zębami wyszczerzonymi w obłąkańczym uśmiechu i głową (wraz z częścią pióropusza) obwiedzioną literą C. C w kształcie drobiowego obojczyka było czerwone, czapka zaś niebieska. Kim był wódz Wahoo, tego nie wiedział ani Ketchum, ani Indianka Jane.

Dan często słyszał tę historię; należała do ulubionych anegdot Jane. W owych rzadkich chwilach, gdy widywał ją z odkrytą głową, zdejmowała czapkę po to, by przytoczyć opowieść raz jeszcze. „Ketchum był kiedyś niczego sobie”, zaznaczała przy każdej okazji. „Chociaż nigdy nie był tak przystojny jak twój tata, ani jak ty w przyszłości”, dodawała niezmiennie. Czapka nosiła liczne przebarwienia i plamy od oleju do smażenia. Jane lubiła ją nakładać chłopcu, któremu opadała prawie na oczy; czuł, jak przez wycięty z tyłu otwór sterczą mu włosy.

Nigdy nie widział Indianki Jane z rozpuszczonymi włosami, chociaż często się nim opiekowała, zwłaszcza kiedy był mały, zbyt mały, by towarzyszyć ojcu podczas rzecznych spływów, a co za tym idzie, żeby wyspać się w polowej kuchni. Wtedy Jane regularnie kładła go spać w jego pokoju na piętrze. Przypuszczał, że pod nieobecność ojca nocowała w jego sypialni.

Następnego dnia, kiedy robiła mu śniadanie, nic nie wskazywało na to, że jej włosy kiedykolwiek zostały rozpuszczone, choć trudno było wyobrazić sobie, by spanie na tak długim i grubym warkoczu mogło być wygodne.

Danny nie zdziwiłby się wcale, gdyby Jane sypiała również w czapce Cleveland Indians. Wyszczerzony w demonicznym uśmiechu wódz Wahoo nie odstępował jej na krok.

– Pozwolą panie, że je opuszczę – mówił Ketchum. – Bóg jeden wie, że nie chcę zawadzać.

– A jakże – odpowiedziała jedna z pomocy kuchennych. Podobnie jak większość pozostałych, była żoną pracownika tartaku. Wszystkie były grube i zamężne, tylko Indianka Jane była grubsza, i nie była żoną posterunkowego Carla.

Posterunkowy też był gruby. Był tak wielki jak Ketchum – przy czym ten ostatni nie był tłusty – a do tego podły. Danny odnosił wrażenie, że wszyscy nienawidzą kowboja, mimo to Carl był zawsze jedynym kandydatem na stanowisko posterunkowego; być może nikt inny w Twisted River nie miał chrapki na taką fuchę. Jego zadanie sprowadzało się głównie do uspokajania bójek i obmyślania sposobów odesłania francuskich Kanadyjczyków do Quebecu. Ulubiony sposób zaprowadzania spokoju, czyli strzelanie im w stopy lub kolana, był okrutny, ale skuteczny. Jakim trzeba być człowiekiem, żeby czerpać przyjemność z rozwalania ludzkich czaszek rękojeścią pistoletu albo strzelania im w stopy i kolana, zastanawiał się chłopiec. I dlaczego Indianka Jane, którą Danny wprost uwielbiał, wybrała życie u boku kogoś takiego?

– Życie w Twisted River wymaga pewnych ustępstw – mawiał ojciec.

Ketchum próbował wyjaśnić to inaczej.

– Kobieta musi stracić urodę, zanim zamieszka z posterunkowym Carlem – powiedział. – Ale gdy traci jej zbyt wiele, Carl znajduje sobie inną.

Wszystkie pomoce kuchenne, a już na pewno żony pracowników tartaku, dawno straciły urodę, przynajmniej zdaniem Danny'ego Baciagalupo. Indianka Jane była może od nich grubsza, ale wciąż miała ładną twarz i niesamowite

włosy, a do tego sensacyjne piersi, o których syn kucharza wprost nie mógł przestać myśleć, co (naturalnie) znaczyło, że ich wspomnienie nasuwało mu się w zgoła niespodziewanych chwilach.

– Czy mężczyźni najbardziej lubią w kobietach piersi? – zapytał tatę.

– Spytaj Ketchuma – wybrnął kucharz, Danny uznał jednak, że Ketchum jest za stary, żeby interesować się piersiami; ba, pewnie już nawet nie zwracał na nie uwagi. Istotnie, Ketchum żył pełną parą, a że życie go nie rozpieszczało, wyglądał na starszego, niż był. Miał dopiero trzydzieści siedem lat, ale wyglądał dużo starzej (nie licząc czarnych włosów i brody).

A Jane? Ciekawe, ile ona ma lat, zastanawiał się Danny. Indianka była dwanaście lat starsza od jego taty, czyli miała czterdzieści dwa lata, ale też wyglądała na starszą. I jej życie nie rozpieszczało, posterunkowy Carl zresztą też. W oczach dwunastolatka wszyscy wyglądali na starych, a przynajmniej starszych niż w rzeczywistości. Nawet chłopcy w jego klasie byli starsi.

– Dam głowę, że się wyspałeś – mówiła Jane do kucharza. Spojrzała z uśmiechem na Danny'ego. Gdy sięgnęła do tyłu, by obwiązać sobie fartuchem grubą talię, jej piersi wydały mu się wprost gigantyczne! – Wyspałeś się, Danny? – zapytała.

– Pewnie – odpowiedział chłopiec. Żałował, że nie są sami; miał ochotę zapytać ją o mamę.

Tata opowiadał mu o tym, jak Ketchum wyciągnął z przelewu jej pokiereszowane zwłoki; kumpel oszczędził mu widoku tego, co zrobiły z nimi kłody i rzeka. Nigdy jednak nie mówił o samym wypadku, przynajmniej nie w obecności syna, a jego opowieść zawsze miała dość oględny charakter. Z Ketchumem było niewiele lepiej.

– Byliśmy pijani, Danny – zaczynał niezmiennie. – Twój tata były pijany, ja byłem pijany, twoja mama trochę też.

– Ja najbardziej – oznajmiał niezawodnie Dominic. Przejął się tym tak bardzo, że przestał pić, choć nie od razu.

– Możliwe, że byłem bardziej pijany od ciebie, Ziółko – nie dawał się przekonać Ketchum. – W końcu pozwoliłem jej wyjść na lód.

– To była moja wina – upierał się kucharz. – Byłem tak pijany, że musiałeś mnie nieść, Ketchum.

– Nie myśl sobie, że nie pamiętam – odpowiadał Ketchum. Ale żaden z nich nie mógł (lub nie chciał) mówić o tym, co się tak naprawdę wydarzyło. Danny nie wierzył, że nie pamiętają szczegółów, chodziło raczej o to, że nie nadawały się one do powtórzenia, przynajmniej w obecności dziecka.

Indianka Jane, która nie była pijana (nigdy), opowiedziała mu całą historię. Ilekroć prosił o tę opowieść, zawsze słyszał ją w niezmienionej postaci, domyślał się więc, że może na niej polegać.

Tamtej nocy pilnowała go Jane, zbliżały się drugie urodziny Danny'ego. W sobotni wieczór w miejscowym dansingu urządzono potańcówkę: były tańce i amerykański kadryl. Dominic Baciagalupo nie tańczył; z taką nogą po prostu nie mógł. Jego nieco starsza żona z kolei – Ketchum nazywał ją „kuzynką Rosie” – uwielbiała tańczyć, kucharz zaś uwielbiał wtedy na nią patrzeć. Rosie była ładna i filigranowa, szczupła i bardzo delikatna, w przeciwieństwie do zdecydowanej większości kobiet z Twisted River i Paryża w stanie New Hampshire. („Twoja mama nie wyglądała na kogoś, kto dobija trzydziestki, a przynajmniej na kogoś stąd”, podkreślała Indianka Jane, ilekroć opowiadała Danowi tę historię).

Najwidoczniej Ketchum był albo za stary, albo zbyt pokiereszowany, żeby go wzięli do wojska. Pamiątkę po

Carlu miał wprawdzie od niedawna, dysponował jednak arsenałem kontuzji i zadrapań, które dyskwalifikowały go jako poborowego, chociaż wcale nie przeszkadzały w tańcu. „Mama nauczyła Ketchuma czytać i tańczyć”, powiedział synowi kucharz podejrzanie neutralnym tonem, jak gdyby albo nie miał zdania, albo też nie był pewien, której z owych umiejętności należy się w przypadku Ketchuma palma pierwszeństwa. Dla ścisłości: Ketchum jako jedyny tańczył z Rosie Baciagalupo i opiekował się nią jak własnym dzieckiem, za które (na parkiecie) bez trudu mogła uchodzić.

Gdyby nie „intrygujący zbieg okoliczności”, jak mawiała Indianka Jane, że oboje mieli po dwadzieścia siedem lat…

– Ketchum i twój tata lubili razem pić – ciągnęła Jane. – Nie wiem, o co chodzi z tym wspólnym piciem, ale lubili je trochę za bardzo.

Może dzięki temu łatwiej im było rozmawiać, domyślał się Danny. Odkąd Dominic Baciagalupo stał się abstynentem – chociaż Ketchum dalej chlał jak dwudziestoletni flisak – ich rozmowy stały się bardziej powściągliwe; nawet dwunastolatek wiedział, że wiele spraw zostawało niedopowiedzianych.

Zdaniem Ketchuma „Indiańce” nie mogli lub nie powinni pić wcale; postawa Jane była więc dla niego zwyczajnie przejawem zdrowego rozsądku. A jednak mieszkała z posterunkowym, który był podłym pijakiem. Po zamknięciu barów i dansingu Carl pił i szalał. Jane często wracała późno: najpierw prała ręczniki i wkładała je do suszarek, dopiero później siadała za kierownicą. Zdarzało się jednak, że posterunkowy nie spał, i zmęczona Jane zastawała go w wojowniczym nastroju. W końcu ona zrywała się skoro świt, a on nie.

– To było tak – mówiła czasem ni z gruszki, ni z pietruszki. – Twój tata nie mógł wypić tyle co Ketchum, ale

próbował dotrzymać mu kroku. Twoja mama miała więcej oleju w głowie, ale też za dużo piła.

– Tata nie może pić tyle co Ketchum, bo jest mniejszy? – pytał zawsze Danny.

– Waga robi swoje, tak – potwierdzała na ogół. – Ketchum niósł twojego tatę z dansingu nie pierwszy raz. Twoja mama tańczyła wokół nich, robiąc te swoje śliczne dosedosy. (Czy mały Dan wyczuwał w jej głosie zawiść lub sarkazm, kiedy mówiła o „ślicznych dosedosach” kuzynki Rosie?).

Danny wiedział, że dosedos jest figurą w amerykańskim kadrylu; prosił Ketchuma, żeby mu zademonstrował, ale ten tylko potrząsnął głową i wybuchnął płaczem. Zrobiła to Jane: z rękami splecionymi na potężnym biuście minęła go prawym ramieniem, a następnie okrążyła, cały czas odwrócona do niego plecami.

Chłopiec próbował wyobrazić sobie, jak matka robi to samo wokół Ketchuma, niosącego na rękach jego tatę.

– Czy Ketchum też tańczył? – spytał.

– Chyba tak – odpowiedziała Jane. – Dołączyłam do nich później. Byłam z tobą, pamiętasz?

Na brzegu zamarzniętej rzeki Rosie Baciagalupo przestała tańczyć i kierując twarz w stronę gór, wydała głośny okrzyk. Gdy Twisted była zamarznięta, echo przybierało na sile; głos niósł się po lodzie głośniej i wyraźniej niż nad pędzącym nurtem.

– Ciekawe dlaczego – mówił zwykle chłopiec.

– Usłyszałam ich w domu – podjęła Indianka Jane, tradycyjnie puszczając jego słowa mimo uszu. – Twoja mama zawołała „Kocham cię!”, a tata odkrzyknął przez ramię Ketchuma „Ja też cię kocham!”. Ketchum wrzeszczał tylko „Psiakrew!” i takie tam, a potem wrzasnął „Debile!”. Po chwili wszyscy darli się jedno przez drugiego „Debile!”.

Przyszło mi do głowy, że cię obudzą, chociaż w nocy nic nie mogło cię obudzić, nawet gdy miałeś dwa lata.

– Mama pierwsza wyszła na lód? – zapytał Danny.

– Dosedosy na lodzie nie były łatwe – odpowiedziała Jane. – Ketchum poszedł jej potowarzyszyć; dalej niósł twojego tatę. Był czarny lód. W lasach wciąż leżał śnieg, ale nie na rzece. Wiatr zdmuchnął śnieg z pokrywy lodowej, nie padało od tygodnia. – I zwykle dodawała: – Przeważnie lód nie łamał się na rzece w ten sposób.

Pijany kucharz nie mógł ustać na nogach, ale też chciał się poślizgać; kazał postawić się na ziemię. Po czym upadł, po prostu klapnął na tyłek, a Ketchum pchał go przed sobą jak żywe sanki. Matka Danny'ego obtańcowywała ich dookoła. Gdyby tak głośno nie krzyczeli „Debile!”, ktoś z nich mógłby usłyszeć kłody.

W tamtych czasach drwale zostawiali jak najwięcej dłużyc na zamarzniętym korycie pomiędzy małym stawem Dummer a głównym nurtem, a także w dorzeczach. Bywało, że lód na stawie Dummer pękał jako pierwszy; mowa o większym stawie, ze śluzą, która nie zawsze stanowiła dostateczną zaporę. W każdym razie lód najpierw pękał na stawach i tak też się stało późną zimą 1944 roku: kłody popłynęły jak strzały, pchając przed sobą masy skruszonego lodu.

Działo się to niezmiennie późną zimą lub wczesną wiosną, tyle że przeważnie za dnia, kiedy było cieplej. W czterdziestym czwartym lawina kłód znalazła się w rzece nocą. Ketchum pchał Dominica po lodzie na siedzeniu, a ładna, „nieco starsza” żona kucharza wirowała dookoła nich.

Czy określenie „nieco starsza” stanowiło integralną część opowieści Jane? (Danny Baciagalupo nie pamiętał, choć pewien był, że Jane nigdy nie omieszkała przy tej okazji

wspomnieć o „intrygującym zbiegu okoliczności”, że Ketchum i kuzynka Rosie byli rówieśnikami).

Indianka Jane otworzyła kuchenne drzwi, żeby im powiedzieć, że mają się zamknąć, bo obudzą dziecko. Stała dostatecznie wysoko, by usłyszeć pędzącą wodę i kłody. Przez całą zimę śnieg i warstwa lodu tłumiły szum rzeki. Ale nie dziś. Jane zatrzasnęła drzwi i zbiegła ze wzgórza.

Już nikt nie krzyczał „Debile!”. Pierwsze kłody rozorały lód; były mokre, zdawały się nabierać prędkości, z chwilą gdy uderzały w lód. Niektóre wpływały pod pokrywę, a gdy wznosiły się ku powierzchni, większe przebijały lód od spodu. „Jak torpedy”, mówiła zawsze Indianka Jane.

Zanim Jane znalazła się na brzegu, lód pękał pod naporem kłód; niektóre kry były wielkie jak samochody. Widząc, że Rosie znika, Ketchum zostawił siedzącego kucharza. W jednej chwili tańczyła, w drugiej znikła za krą wielką niczym ściana. W miejscu, gdzie stała, były tylko kłody. Przeskakując po kawałkach lodu i podrygujących pniach, Ketchum wrócił tam, gdzie kucharz leżał przewrócony na bok. Dominic Baciagalupo, unoszony przez nurt, dryfował na krze wielkości blatu od stołu.

– Nie ma jej… znikła! – krzyczał Ketchum. Kucharz usiadł, ze zdumieniem patrząc, jak kłoda wystrzeliwuje z wody i z pluskiem spada obok.

– Rosie? – powiedział. Gdyby krzyknął „Kocham cię!”, nie byłoby echa; hałaśliwa pieśń kłód i trzaskającego lodu zagłuszyłaby je doszczętnie. Ketchum przerzucił sobie kucharza przez ramię i ruszył po kłodach na brzeg; czasem następował na krę i moczył nogę po kolano.

– Debile! – wrzeszczała z brzegu Indianka Jane, do nich obu, a może do całej trójki. – Debile! Debile! – Nie mogła przestać.

Przemoczony kucharz dygotał i szczękał zębami, ale Ketchum i Jane rozumieli, co mówi.

– To niemożliwe, Ketchum. Nie mogła tak po prostu… zniknąć!

– A jednak, Danny – mówiła do chłopca pomywaczka. – Szast, prast, i już jej nie było. Znikła szybciej, niż księżyc wślizguje się za chmurę. A gdy wróciliśmy do domu, krzyczałeś wniebogłosy; w życiu nie słyszałam, żebyś tak się darł, nawet kiedy miałeś zły sen. Wzięłam to za znak, że jakimś cudem zrozumiałeś, iż twoja mama odeszła. Nie mogłam cię uspokoić, ciebie ani twojego taty. Ketchum chwycił siekierę. Stanął w kuchni, kładąc lewą rękę na desce do krojenia, z siekierą w prawej dłoni. „Nie”, powiedziałam, ale on tylko dalej gapił się na lewą ręką, jakby wyobrażał sobie, że jej nie ma. Zostawiłam go, żeby zajrzeć do ciebie i twojego taty. Kiedy wróciłam do kuchni, Ketchuma nie było. Rozejrzałam się za odciętą ręką; byłam pewna, że gdzieś ją znajdę. Wolałam zrobić to za was.

– Ale jej nie odciął? – dopytywał niezmiennie Danny.

– No… nie – odpowiadała z lekkim zniecierpliwieniem Jane. – Przecież wiesz, że nadal ją ma, prawda?

Czasem, zwłaszcza gdy Ketchum był pijany, Danny widział, jak patrzy na swą lewą rękę; tak samo, jak dziś spoglądał na gips. Gdyby Jane widziała to spojrzenie, mogłaby wziąć je za znak, że nie porzucił jeszcze myśli o jej obcięciu. (Ale dlaczego akurat lewą?, zastanawiał się chłopiec. Ketchum był praworęczny. Jeśli naprawdę się nienawidził, jeśli faktycznie miał sobie coś do zarzucenia i poczuwał się do odpowiedzialności, czy nie wolałby odjąć sobie dobrej ręki?).

Uwijali się po kuchni, grube kobiety, szczupły kucharz i jego jeszcze szczuplejszy syn. Jeden przechodził za drugim, kładąc mu na plecach rękę z ostrzeżeniem „Za tobą!”. Gdy żony pracowników tartaku mijały Danny'ego, często klepały go w siedzenie. Jedna czy dwie klepały również kucharza,

lecz tylko gdy Indianka Jane nie patrzyła. Danny widział, że Jane odgradza często kucharza od pozostałych podkuchennych, zwłaszcza w wąskim przejściu między piecem a blatem, które zwężało się jeszcze, ilekroć otwierano drzwi. W kuchni nie brakowało też innych ciasnych zakamarków, lecz owo przejście pomiędzy piecem a blatem było najciaśniejsze.

Ketchum wyszedł, żeby się wysikać – ot, przyzwyczajenie z dawnych czasów – a Jane przeszła do stołówki nakryć do stołów. W „dawnych, dobrych czasach", gdy przenoszono obozy z miejsca na miejsce, Ketchum lubił budzić drwali i flisaków, sikając na metalowe ścianki waniganów sypialnych. „Wanigan w rzece!", krzyczał z lubością na cały głos. „O Jezu, odpływa!". W odpowiedzi słyszał kakofonię przekleństw dobiegających ze środka.

Lubił też walić w ścianki flisaczym drągiem. „Nie wpuszczać niedźwiedzia!", wrzeszczał. „O Boże… dorwał jedną z kobiet! O Jezu… O Boże, nie!".

Danny nalewał chochlą do dzbanków ciepły syrop klonowy z dużego rondla ustawionego na tylnym palniku. Jedna z żon pracowników tartaku chuchnęła mu w kark. „Za tobą, ptysiu!", rzuciła ochrypłym głosem. Jego tata moczył chleb bananowy w rozbełtanych jajkach, po czym jedna z podkuchennych kładła go na patelni, a druga przewracała w garnku baraninę.

Ketchum zdawał się sikać w nieskończoność, ale zanim wyszedł, powiedział do chłopca:

– Niedziela, dziewiąta rano. W razie czego przypomnij tacie, Danny.

– Będziemy – odpowiedział chłopiec.

– Co to za tajemnice? – szepnęła mu do ucha Indianka Jane. Mimo jej gabarytów nie dostrzegł, kiedy za nim stanęła; w pierwszej chwili wziął ją za żonę pracownika

tartaku, która chuchnęła mu w kark, ale Jane wróciła właśnie ze stołówki.

– W niedzielę rano jedziemy z Ketchumem nad Tamę Nieboszczki – oznajmił.

Jane potrząsnęła głową; długi warkocz, dłuższy niż ogon konia, zakołysał się nad wielkim zadkiem.

– A więc przekonał go – odrzekła z dezaprobatą; nie widział jej oczu pod daszkiem. Wódz Wahoo swoim zwyczajem wyszczerzył do niego zęby.

Dopracowana niemal do perfekcji kuchenna choreografia dla osoby postronnej byłaby zapewne nieuchwytna, lecz Danny i indiańska pomywaczka znali ją na pamięć. Widzieli, że wszystko przebiega według utartego schematu, łącznie z wyjęciem z pieca gorącej blachy z bułeczkami: podkuchenne zwinnie usunęły się z drogi, co nie przeszkodziło jednej z nich przesypać mufinki z puszki do porcelanowego naczynia. Nikt na nikogo nie wpadał, chociaż wszyscy byli dobrze zbudowani, oprócz Danny'ego i jego taty, którzy wyraźnie odstawali od reszty.

W ciasnym przejściu między blatem a piecem, gdzie na sześciu z ośmiu palników stały garnki i patelnie, kucharz i indiańska pomywaczka wyminęli się, obróceni do siebie plecami. Nie było w tym nic dziwnego, podobne rzeczy działy się cały czas, lecz Danny podchwycił w ich tańcu pewną różnicę i (po raz pierwszy) podsłuchał ciche, lecz wyraźne słowa. Mijając tyłem Dominica, Jane rozmyślnie go potrąciła, to znaczy dotknęła go wielkim zadkiem w połowie pleców, gdyż kucharz sięgał jej zaledwie do ramienia.

– Dosedos – mruknęła.

Pomimo kalectwa kucharz utrzymał równowagę; z tacy nie zjechała ani jedna bułeczka.

– Dosedos – odszepnął Dominic Baciagalupo. Indianka Jane poszła dalej. Nie zauważył tego nikt prócz Danny'ego, choć gdyby był tam Ketchum, pijany czy trzeźwy, z całą

pewnością nie uszłoby to jego uwagi. (Ten zaś, oczywiście, został na zewnątrz – i pewnie dalej się odlewał).

Rozdział 3
WYPADKI RZĄDZĄ ŚWIATEM

Angel Pope wpadł pod kłody w czwartek. Po śniadaniu w piątek Indianka Jane zawiozła Danny'ego swoją furgonetką do szkoły nad strumieniem Phillips, a następnie wróciła do kuchni w Twisted River.

Ekipa nadzorująca spławianie drewna miała przenieść się opodal Tamy Nieboszczki; kucharz i jego pomocnice przygotują cztery posiłki na wynos: dwa zapakują flisakom, a dwa zawiozą drwalom ładującym ciężarówki na trasie pomiędzy Twisted River a zbiornikiem Pontook.

Piątek był ciężkim dniem i bez dodatkowej zgryzoty, jakiej przysporzył wszystkim wypadek Angela. Każdemu spieszno było zacząć weekend, choć weekendy w Twisted River sprowadzały się (zdaniem kucharza) do popijawy oraz seksualnych ekscesów, „czyli robienia z siebie durnia”, jak (wielokrotnie) mawiał Dominic Baciagalupo. Z jego punktu widzenia na tle pozostałych posiłków piątkowa kolacja stanowiła największe wyzwanie. Dla praktykujących katolików z grona Kanadyjczyków francuskich wypiekał swoje słynne bezmięsne pizze, lecz dla „nierybojadów”, jak Ketchum z upodobaniem określał sam siebie oraz pozostałych drwali i flisaków, bezmięsna pizza w piątkowy wieczór to za mało.

Gdy zajechali pod szkołę, Indianka Jane lekko stuknęła chłopca w ramię; jeśli miał szczęście, starsi koledzy z klasy bili go w to samo miejsce. Oczywiście robili to mocniej niż Jane, bez względu na to, gdzie akurat celowali.

– Broda na dół, ramiona luźno, łokcie do siebie, a ręce przy twarzy – pouczyła go Jane. – Masz wyglądać, jakbyś chciał oddać, a potem kop gnojka w jaja i zmykaj.

– Wiem – odpowiedział dwunastolatek. W życiu nikomu nie oddał, a tym bardziej nie kopnął w jaja. Wskazówki Jane wprawiły go w popłoch; przyszło mu do głowy, że zaczerpnęła je od posterunkowego Carla, lecz przecież to właśnie przed nim musiała się bronić. Młody Dan wierzył, że nikt inny nie śmiałby jej podskoczyć, może nawet Ketchum.

Jane całowała chłopca na pożegnanie w domu i gdziekolwiek indziej w obrębie Twisted River, ale nigdy przy szkole ani w okolicach Phillips, gdzie szwendali się gówniarze z Zachodniego Dummer. Gdyby któryś ze starszych chłopców zauważył, że to robi, Danny dostałby w kość jeszcze bardziej niż zwykle. Tamtego dnia dwunastolatek siedział obok niej w furgonetce i ani drgnął. Może zapomniał na chwilę, gdzie są – a tym samym czekał na buziaka – albo też chodziło mu po głowie kolejne pytanie na temat matki.

– O co chodzi, Danny? – zapytała.

– Robisz dosedosy z moim tatą? – odpowiedział pytaniem chłopiec.

Jane uśmiechnęła się do niego, lecz jej uśmiech był bardziej powściągliwy niż zwykle, a milczenie wzbudziło w chłopcu niepokój.

– Tylko mi nie mów, żebym spytał Ketchuma – wypalił, na co Jane parsknęła śmiechem; uśmiech stał się bardziej naturalny i spontaniczny. (Wódz Wahoo szczerzył się jak zawsze).

– Chciałam powiedzieć, żebyś spytał tatę – odrzekła. – Nic się nie martw – dodała, ponownie trącając go w ramię, tym razem nieco mocniej. – Danny? – zawołała, kiedy wysiadał. – Nie pytaj Ketchuma.

Wypadki rządzą światem, rozmyślał kucharz. Dwoił się i troił. Baranina ze śniadania świetnie nada się również na obiad, ponadto ugotował zupę z ciecierzycy (dla katolików)

oraz gulasz z dziczyzny z marchewką i cebulą perłową. Owszem, był też nieśmiertelny garnek z fasolą, no i wszechobecna grochówka z pietruszką, lecz stanowiło to jedyny ukłon w stronę tradycyjnego żywienia obozowego.

Jedna z żon pracowników tartaku podgrzewała właśnie na patelni kiełbasę. Kucharz polecił jej rozdrobnić mięso łopatką, na co druga z żon zaczęła podśpiewywać „Dźgaj łopatką kiełbasę, kiełbasę, kiełbasę!” na znaną skądinąd melodię „Miała baba koguta”; pozostałe podkuchenne podchwyciły to skwapliwie.

Prowodyrka była osobą wyznaczoną przez kucharza do przygotowania zaczynu do pizzy; Dominic zerkał, jak jej idzie. Chciał wyrobić ciasto i pozostawić je do wyrośnięcia, zanim pojadą rozwieźć prowiant. (Jeśli w piątkowy wieczór zabraknie bezmięsnej pizzy dla rybojadów, będzie miał na karku zgraję wkurzonych Kanadyjczyków).

Przygotowywał również chlebek kukurydziany. Zamierzał zrobić farsz do pieczonych kurczaków, które także serwował w piątkowy wieczór; wymiesza kiełbasę z chlebem, doda trochę szałwii i selera, a po powrocie znad rzeki dorzuci masło i jaja. W dużym rondlu, w którym Danny podgrzewał rano syrop klonowy, Dominic gotował dynię piżmową; rozgniecie ją i wymiesza z syropem, a po powrocie do miasteczka doda masło. W piątkowy wieczór oprócz faszerowanego kurczaka poda też ziemniaki zapiekane w śmietanie z dyniowym purée. Było to bezwzględnie ulubione danie Ketchuma, który zapewne skusi się też na bezmięsną pizzę.

Dominicowi żal było Ketchuma. Nie wiedział, czy przyjaciel faktycznie spodziewa się zastać w przelewie ciało Angela, czy może wręcz przeciwnie. Jedno wiedział na pewno: Danny za nic w świecie nie może zobaczyć zwłok. Nie był pewien, czy sam chciałby je oglądać, czy choćby znaleźć.

Woda w garnku, do której chlapnął trochę octu, na poranne jajka w koszulkach, ponownie zaczynała wrzeć. Na śniadanie podał je z baraniną, ale w południe do baraniny warto mieć pod ręką keczup; jajka w koszulkach nie nadają się do przewożenia. Kiedy woda z octem się zagotowała, Dominic polał nią deski do krojenia, żeby je odkazić.

Jedna z żon pracowników tartaku zrobiła około pięćdziesięciu kanapek z bekonem, który został po śniadaniu, sałatą oraz pomidorami. Podjadała właśnie kanapkę, popatrując na kucharza; Dominic widział, że coś knuje. Miała na imię Dot, co niezupełnie do niej pasowało*; wydała na świat tyle dzieci, że jedyną z pozostałych jej pasji zdawał się wilczy apetyt, o którym kucharz wolał nie myśleć. Podejrzewał, że dotyczy on nie tylko jedzenia.

Podkuchenna z łopatką – ta, której musiał przypomnieć o rozdrobnieniu mięsa – też wyraźnie coś knuła, gdyż również zerkała na kucharza. A że kobieta z kanapką miała pełne usta, tamta odezwała się pierwsza. Miała na imię May; była jeszcze większa niż Dot i dwukrotnie wychodziła za mąż. Jej dzieci z drugiego małżeństwa były rówieśnikami jej wnuków, czyli dzieci jej dzieci z pierwszego małżeństwa; była to osobliwość, która do tego stopnia wyprowadziła z równowagi zarówno May, jak i jej drugiego męża, że nijak nie mogli się z nią pogodzić.

Dominic nie mógł zrozumieć, jak można wiecznie ubolewać nad faktem, że ma się dzieci w wieku własnych wnuków. Wielkie rzeczy, myślał.

– Pewnie, że wielkie – mówił Ketchum. – Tylko na nią popatrz.

Może i tak, pomyślał kucharz, gdy May wycelowała w niego łopatką.

– Och, Ziółko – zamruczała, uwodzicielsko kołysząc biodrami. – Wszystko rzuciłabym w cholerę, tylko weź mnie za żonę i mi gotuj!

Dominic szorował deski druciakiem na długiej rączce, mocząc je przy tym we wrzątku; od octu łzawiły mu oczy.

– Przecież ty już masz męża, May – odparł. – Gdybyś wyszła za mnie, nasze dzieci byłyby młodsze od twoich wnuków. Aż strach pomyśleć, jaki byłby to dla ciebie cios.

May sprawiała wrażenie autentycznie wstrząśniętej; kucharzowi przyszło do głowy, że niepotrzebnie o tym wspomniał. Ale Dot, która dalej jadła kanapkę, z pełnymi ustami ryknęła śmiechem – i się zadławiła. Pomoce kuchenne, w tym May, zamarły w oczekiwaniu na to, co zrobi kucharz.

Dominic znał się na rzeczy. Niejeden się przy nim zadławił, toteż wiedział, co w takiej sytuacji robić. Przed laty uratował jedną z tancerek: była pijana i zakrztusiła się własną treścią żołądkową, ale kucharz zachował zimną krew. Opowieść rozeszła się po całej okolicy; Ketchum nawet nadał jej tytuł: „O tym, jak Ziółko uratował Sześciopak Pam”. Kobieta była równie wysoka i koścista jak Ketchum, który musiał pomóc Dominicowi podciąć jej nogi i ustawić na czworakach, tak aby kucharz mógł zastosować manewr Heimlicha. (Sześciopak Pam zawdzięczała swój przydomek temu, iż wedle szacunków Ketchuma tyle właśnie potrafiła wypić, zanim przerzucała się na burbona).

Doktor Heimlich przyszedł na świat w 1920 roku, lecz w 1954 nikt jeszcze w hrabstwie Coos o jego słynnym chwycie nie słyszał. Dominic Baciagalupo gotował dla żarłoków od czternastu lat. W jego obecności zadławiło się masę ludzi, troje z nich zmarło. Wiedział już, że walenie w plecy nie zawsze pomaga. Wynalazek Ketchuma, polegający na odwróceniu ofiary do góry nogami i energicznym nią potrząsaniu, też czasami spełzał na niczym.

Ale zdarzyło się, że Ketchum był zmuszony improwizować, i Dominic stał się mimowolnym świadkiem zaskakującego powodzenia jego metody. Pewien pijany

drwal okazał się zbyt zwalisty i skory do bójki, aby nim potrząsać do góry nogami. Co rusz wypadał Ketchumowi z rąk: był nie tylko o krok od śmierci przez zadławienie, ale i próbował zabić swego wybawcę.

Ketchum kilkakrotnie przyrżnął mu w brzuch z całej siły. Przy czwartym lub piątym uderzeniu mężczyzna wypluł potężny, nieprzeżuty kawał baraniny, który niechcący wtłoczył sobie do tchawicy.

Przez następne lata kucharz zmodyfikował improwizacyjną metodę Ketchuma stosownie do własnych, mniejszych gabarytów oraz łagodniejszego usposobienia. Stawał za delikwentem, po czym obejmował go w pasie i energicznie, raz za razem uciskał splecionymi rękami jego przeponę, tuż poniżej żeber. Z niezawodnym skutkiem.

W kuchni, kiedy Dot zaczęła machać rękami, Dominic w jednej chwili znalazł się za jej plecami.

– O mój Boże, ratuj ją! – krzyknęła May; niedawny kryzys poszedł w niepamięć.

Z nosem wbitym w ciepły, spocony kark Dot kucharz ledwo mógł złączyć ręce. Dot miała zbyt wielkie i obwisłe piersi; Dominic musiał je unieść celem wymacania żeber i zlokalizowania przepony. Gdy to zrobił, Dot błyskawicznie przykryła rękami jego dłonie i z mocą wbiła mu pośladki w brzuch. Nie zadławiła się, tylko ryczała ze śmiechu; szalona May i reszta podkuchennych zawtórowały jej ochoczo.

– Och, Ziółko… skąd wiedziałeś, że tak lubię? – wyjęczała Dot.

– Zawsze czułam, że Ziółko woli od tyłu – oznajmiła rzeczowo May.

– Mój ty pieseczku! – wykrzyknęła Dot, ocierając się o kucharza. – Uwielbiam, jak mówisz „Za tobą!”.

Dominic wreszcie wysupłał ręce spod biustu kobiety i odepchnął ją lekko.

– Chyba nie jesteśmy dla niego dość duże – stwierdziła ze smutkiem May. W jej głosie pojawiła się nuta złośliwości; kucharz usłyszał ją wyraźnie. Czas na rewanż za moją wzmiankę o dzieciach, pomyślał. – Albo dość indiańskie – uzupełniła May.

Kucharz nawet na nią nie spojrzał, pozostałe kobiety, w tym Dot, odwróciły wzrok. May wyzywająco uklepywała łopatką mięso na patelni. Dominic wyciągnął rękę i wyłączył palnik. Przechodząc za plecami Dot, lekko musnął jej plecy.

– Pakujemy, moje panie – powiedział, niemal tym samym tonem co zwykle. – Ty i May zaniesiecie prowiant flisakom – zwrócił się do Dot. – Reszta pojedzie do drwali. – Nie odezwał się do May ani na nią nie spojrzał.

– Mamy drałować na piechotę? – zapytała May.

– Przyda wam się trochę ruchu – odparł Dominic, uparcie omijając ją wzrokiem. – Ruch to zdrowie.

– Zrobiłam te cholerne kanapki, to pewnie mogę je zanieść – skwitowała Dot.

– Pamiętajcie o baraninie – przypomniał kucharz.

Któraś z kobiet zapytała, czy wśród flisaków są jacyś „ultrakatoliccy” Kanadyjczycy francuscy; może Dot i May powinny też zabrać trochę zupy z ciecierzycy.

– Nie będę targać na plecach zupy – żachnęła się May.

– Rybojady mogą wypluć bekon – podsunęła Dot.

– Nie sądzę, żeby wśród flisaków były jakieś rybojady – powiedział Dominic. – Zawieziemy zupę i gulasz drwalom. Jeśli napotkacie jakichś wkurzonych katolików, powiedzcie im, że to moja wina.

– Nie omieszkamy – odparła May. Dalej wlepiała w niego wzrok, ale kucharz był niewzruszony. Kiedy mieli się rozejść, powiedziała do niego: – Jestem za duża, żebyś mnie ignorował.

– Ciesz się, że to robię, May – odpowiedział.

Kucharz nie spodziewał się zastać wśród drwali Ketchuma, który nawet z ręką w gipsie był lepszy od pozostałych flisaków.

– Durny lekarz zabronił mi moczyć gips – wyjaśnił Ketchum.

– A dlaczego miałbyś go moczyć? – zapytał Dominic. – Nigdy nie widziałem, żebyś wpadł do wody.

– Na razie mam dość widoku rzeki, Ziółko.

– Przywieźliśmy gulasz – oznajmiła drwalom podkuchenna.

Zdarzył się wypadek z udziałem konia, i drugi, z podnośnikiem. Ketchum powiedział, że jeden z francuskich Kanadyjczyków stracił palec podczas rozładowywania drewna.

– Cóż, mamy piątek – skwitował Dominic, jak gdyby wypadki z udziałem kretynów były tego dnia czymś oczywistym. – Przywieźliśmy zupę z ciecierzycy dla tych, których obchodzi, że dziś piątek – oznajmił.

Jego zniecierpliwienie nie uszło uwagi Ketchuma.

– O co chodzi, Kuchciku? Co się stało? – zapytał.

– Dot i May przechodzą same siebie – wyjaśnił kucharz. Opowiedział przyjacielowi, co zaszło, i przytoczył słowa May.

– Mnie nie mów, powiedz Jane – poradził Ketchum. – Jane skopie jej dupsko, że hej.

– Wiem, Ketchum. Dlatego nic jej nie powiem.

– Gdyby Jane widziała, jak łapiesz Dot za cyce, od razu skopałaby jej dupsko, Ziółko.

Dominic Baciagalupo też o tym wiedział. Świat to niebezpieczne miejsce; kucharz wolał nie wiedzieć, kto

komu w danym momencie skopuje dupsko. Ketchum swego czasu też pod tym względem nie próżnował, a i teraz uczyniłby to bez wahania.

– Na kolację będzie pieczony kurczak, z farszem i ziemniakami w śmietanie – poinformował Dominic.

Ketchum zrobił zbolałą minę.

– Mam randkę – powiedział. – Jak pech, to pech.

– Randkę? – powtórzył z niesmakiem kucharz. Nigdy nie określał znajomości Ketchuma, głównie z paniami z dansingu, mianem randek. Poza tym ostatnio Ketchum spotykał się z Sześciopak Pam. Bóg raczy wiedzieć, ile oni razem wypiją, pomyślał. Jako wybawca Pam miał do niej pewną słabość, ale czuł, że ona za nim nie przepada; może nie lubiła, gdy ktoś ją ratował.

– Dalej chodzisz z Pam? – zapytał swego niewylewającego za kołnierz kumpla.

Ketchum nie chciał o tym mówić.

– Na twoim miejscu martwiłbym się tym, że May wie o tobie i Jane. Nie uważasz, że to źle?

Dominic przeniósł uwagę na podkuchenne i przez chwilę obserwował ich poczynania; właśnie rozkładały stolik na poboczu. W waniganie mieli kuchenkę gazową; podgrzewali na niej zupę i gulasz. Na rozkładanym stole położono wielkie miski i łyżki; drwale sięgali po nie i wchodzili do wanigana, gdzie kobiety nakładały im jedzenie.

– Na moje oko nie wyglądasz na specjalnie zmartwionego – stwierdził Ketchum. – Jeśli May wie o Jane, wie o niej również Dot. A jeśli Dot wie, wiedzą wszystkie babki w kuchni. Nawet ja wiem, chociaż gówno mnie to obchodzi.

– Wiem. I doceniam – odpowiedział Dominic.

– Sęk w tym, kiedy dowie się posterunkowy. Skoro mowa o dupach – dodał Ketchum. Oparł ciężki gips na ramieniu kucharza. – Spójrz na mnie, Ziółko. – Ketchum wskazał

zdrową ręką na swoje czoło, na podłużną, siną bliznę. – Mam twardszy łeb niż ty. Nie chcesz, żeby kowboj dowiedział się o tobie i Jane, możesz mi wierzyć na słowo.

Z kim masz randkę, miał na końcu języka Dominic Baciagalupo, byle tylko zmienić temat. Ale tak naprawdę nie chciał wiedzieć, kogo posuwa Ketchum – zwłaszcza jeśli to nie była Pam.

Coraz częściej zdarzało się, że Jane wracała do domu, gdy posterunkowy Carl już spał, a kiedy budził się rano, ona zdążyła już wyjść do pracy. Czasem tylko dochodziło do awantur, przeważnie gdy wracała za wcześnie. Jednak nawet taki tępy pijaczyna kiedyś się połapie. Albo jedna z podkuchennych chlapnie coś mężowi; pracownicy tartaku niekoniecznie przepadali za kucharzem tak jak flisacy i pozostali drwale.

– Wiem, co masz na myśli – westchnął Dominic.

– Psiakrew, Ziółko – burknął Ketchum. – Czy Danny wie o tobie i Jane?

– Miałem mu powiedzieć – odpowiedział Dominic.

– Miałeś – rzucił drwiąco Ketchum. – To tak jakbyś użył prezerwatywy, czy tylko zamierzał to zrobić?

– Wiem, co masz na myśli – powtórzył kucharz.

– Niedziela, dziewiąta rano – przypomniał Ketchum. Dominic mógł się tylko domyślać, że randka potrwa dwie noce; zanosiło się na istną balangę.

Jeśli w Twisted River bywały noce, które kucharz najchętniej zataiłby przed synem, to z całą pewnością należały do nich noce sobotnie, kiedy to ludzie chlali i łajdaczyli się na potęgę, a ich wydumane aspiracje zmierzające do wyniesienia nadrzecznej osady do rangi metropolii szły w niepamięć. Większość z nich zwyczajnie goniła w piętkę i czekała na sobotę jak na zbawienie, traktując ją jako zasłużoną nagrodę za swój kierat.

Dominic Baciagalupo, będący i abstynentem, i wdowcem, który nie miał w zwyczaju się łajdaczyć, ze współczuciem patrzył na to, jak ludzie zarzynają się w soboty na jego oczach. Może pozostałych drani i prostaków traktował bardziej wyrozumiale niż Ketchuma. Ketchum nie był głupi; być może z tego właśnie powodu kucharz odnosił się do jego wybryków z większą niż zwykle surowością, lecz dla bystrego dwunastolatka – a Danny był nie tylko sprytny, ale i spostrzegawczy – nieustanne rozczarowanie ojca Ketchumem wynikało z czegoś więcej niż tylko zwykłego braku cierpliwości. I jeśli Indianka Jane nie stawała w obronie Ketchuma, Dan ją w tym wyręczał.

W tamten sobotni wieczór, kiedy Angel wedle wszelkiego prawdopodobieństwa dotarł do Tamy Nieboszczki – gdzie (ponieważ ciała spływają niżej niż kłody) zapewne minął zaporę i wirował zgodnie z ruchem wskazówek zegara lub przeciwnie, na prawo lub lewo od śluzy i głównej tamy – Danny Baciagalupo pomagał ojcu wycierać stoły po kolacji. Podkuchenne rozeszły się już do domów, pozostawiając resztę naczyń Indiance Jane, która czekała, aż pralki ucichną i będzie można przełożyć pranie do suszarek.

Na sobotnią kolację przychodziły do stołówki całe rodziny; niektórzy mężczyźni już mieli w czubie i kłócili się z żonami, a część kobiet (dla rewanżu) wyżywała się na dzieciach. Jeden z pracowników tartaku zwymiotował w umywalni, a dwóch pijaków zjawiło się po czasie; ma się rozumieć, zażądali jedzenia. Spaghetti i klopsiki, przygotowywane co sobotę z myślą o dzieciach, zdążyły już wystygnąć i stężeć, toteż Dominic Baciagalupo nie wytrzymał i przyrządził naprędce makaron penne z odrobiną ricotty i nieśmiertelną pietruszką.

– Ja cię chrzanię, ale pycha! – oznajmił jeden z pijaków.

– Co to za potrawa, Kuchciku? – zapytał drugi.

– *Prezzémolo* – odparł uroczyście Dominic, a czysta egzotyka tego słowa odurzyła pijaków niczym trzecia kolejka piwa. Kucharz kazał im je powtarzać, dopóki nie wymówili poprawnie: prets-ZEJ-mo-lo.

Jane spojrzała z niesmakiem: też mi egzotyka, przecież chodziło o pospolitą pietruszkę.

– Tyle zachodu dla pijaków, tacy na własny pogrzeb się spóźnią! – zrzędziła.

– Ketchuma puściłbyś na głodniaka – wytknął ojcu Danny. – Dla niego nie masz litości.

Tymczasem dwaj pijacy zostali nakarmieni i z zadowoleniem poszli w swoją stronę. Danny, jego tata i Jane kończyli pracę, kiedy nagły przeciąg z otwartych kopniakiem drzwi obwieścił przybycie kolejnego spóźnionego gościa.

Jane nie widziała z kuchni, kto przyszedł.

– Za późno! – wrzasnęła w tamtą stronę. – Już po kolacji!

– Nie przyszłam jeść – oznajmiła Sześciopak Pam.

Faktycznie, nie wyglądała na szczególnie wygłodzoną: na jej postawnym ciele nie było grama tłuszczu, a pociągła, drapieżna twarz o zaciętym wyrazie wskazywała bardziej na pociąg do kieliszka aniżeli obżarstwo. Była przy tym na tyle wysoka i barczysta, że flanelowa koszula Ketchuma pasowała na nią jak ulał, a jej oklapnięte blond włosy, gdzieniegdzie przetykane siwizną, wydawały się czyste, choć zaniedbane, podobnie jak reszta jej postaci. W ręku trzymała latarkę wielką jak reflektor. (Twisted River nie należała do zbyt dobrze oświetlonych miejsc). Nawet rękawy koszuli Ketchuma nie były na nią za długie.

– Niech zgadnę: zabiłaś Ketchuma i zagarnęłaś jego odzież – rzucił domyślnie kucharz, obserwując ją spod oka.

– Ani się nie udławiłam – uzupełniła Pam.

– Nie tym razem! – krzyknęła z kuchni Jane. Danny odgadł, że obie panie znają się na tyle, by rozpoznawać się po głosie.

– Czy pomywaczka nie powinna już aby iść do domu? – spytała Pam, zwracając się do kucharza.

Dominic przyjrzał się jej z cieniem zawiści i nostalgii, które zdziwiły nawet jego samego: ależ ta kobieta ma mocną głowę, mocniejszą niż Ketchum. Jane wyszła z kuchni z garnkiem do makaronu pod pachą; jego otwór celował w Pam niczym wylot lufy armatniej.

Dan, rozdarty pomiędzy jedną trzecią podniecenia a dwiema trzecimi przeczucia, przypomniał sobie słowa Ketchuma na temat utraty urody oraz wpływu, jaki miała ona na posterunkowego Carla. W oczach dwunastolatka Jane nie straciła urody, jeszcze nie. Nadal miała ładną twarz i okazały warkocz; kiedy go rozplatała, to dopiero musiała wyglądać. Co do wielkiego biustu, też było co podziwiać.

Jednakże widok Pam uderzył Danny'ego w inny, a zarazem podobny sposób: była przystojna, tak jak przystojni bywają mężczyźni, o twardych, mocno zaznaczonych rysach, a przy tym pełna surowej, niewymuszonej kobiecości, widocznej choćby w sposobie, w jaki narzuciła niedbale koszulę Ketchuma; była bez stanika, piersi sterczały jej pod flanelą. Prześliznęła spojrzeniem po twarzach Jane i Danny'ego, po czym utkwiła wzrok w twarzy kucharza z wyzywającą zuchwałością, a zarazem popłochem młodej dziewczyny.

– Musisz mi pomóc z Ketchumem, Ziółko – oznajmiła. Dominic przestraszył się, że Ketchum dostał zawału albo przydarzyło mu się coś jeszcze gorszego; miał nadzieję, że Pam oszczędzi Danny'emu drastycznych szczegółów.

– Ja mogę pomóc – zaoferowała się Indianka Jane. – Spił się pewnie i zasnął: mnie łatwiej będzie go nieść niż Ziółku.

– Zasnął na kiblu, a kibel mam tylko jeden – poinformowała Pam, nie patrząc na Jane.

– Mam nadzieję, że tylko czytał – odparł kucharz.

Wyglądało na to, że Ketchum usiłuje przebrnąć przez książki Dominica Baciagalupo, będące dawniej częścią ukochanego księgozbioru Rosie. Jak na kogoś, kto wcześnie rzucił szkołę, Ketchum łykał pożyczone książki z determinacją na granicy obłędu. Następnie oddawał je z wyrazami zakreślonymi na każdej niemal stronie: nie podkreślał fragmentów ani nawet całych zdań, tylko poszczególne wyrazy. Danny zastanawiał się, czy właśnie w ten sposób mama uczyła go czytać.

Któregoś dnia Danny sporządził listę wyrazów zakreślonych przez Ketchuma w matczynym egzemplarzu *Szkarłatnej litery* Hawthorne'a. Zestawione ze sobą kompletnie nie miały sensu.

symbolizować
pręgierz
seks
grzesznica
ukłucie
łono
haftowane
spazm
haniebne
dostojna
drżący
kara
zbawienie
żałosny

zawodzenia
opętana
nieślubne
bezgrzeszny
najskrytsze
zemsta
kochanica
oczernia
plugawa

Były to wyrazy tylko z czterech początkowych rozdziałów!

– Ciekawe, o co mu chodziło? – zapytał tatę Danny.

Kucharz nie odpowiedział, chociaż język aż go świerzbiał. „Seks” i „łono” były z całą pewnością oczywiste, podobnie jak „grzesznica”, których Ketchum znał na pęczki. (Pam była jedną z nich!). O „kochanicy” Dominic wiedział więcej, niż należało; tutaj Ketchum mógł się popisać. A jeśli chodzi o „pręgierz” i „spazmy”, nie wspominając o „zawodzeniach”, „nieślubnym”, „oczernia” i „plugawej”, kucharz nie miał ochoty zgłębiać szemranych pobudek starego przyjaciela.

„Dostojna”, „bezgrzeszny”, „najskrytsze”, a przede wszystkim „symbolizować” stanowiły pewną niespodziankę; Dominic nigdy nie podejrzewałby też Ketchuma o zainteresowanie tym, co „haftowane”, „haniebne”, „drżące” oraz „żałosne”. Wierzył, iż „zemsta” (a szczególnie „kara”) leży w sferze zainteresowań przyjaciele podobnie jak „opętana”, gdyż Ketchum z pewnością był opętany, do tego stopnia, że „zbawienie” zdawało się wysoce nieprawdopodobne. Ponadto Ketchum regularnie czuł „ukłucie”, lecz za kim lub czego, tego Dominic nie był pewien.

– Może to tylko słowa – podsunął Dan.

– Co chcesz przez to powiedzieć, Danielu?

Czyżby Ketchum usiłował wzbogacić zakres swego słownictwa? Jak na kogoś bez wykształcenia był bardzo elokwentny, w dodatku pożyczał książki!

– W większości takie niecodzienne słowa – odparł Danny.

No tak, potwierdził w duchu kucharz, nie licząc „seksu”, „łona” i może „ukłucia”.

– Wiem tylko, że mu czytałam, a potem wziął pieprzoną książkę, polazł z nią do kibla i zasnął – mówiła Sześciopak. – Wcisnął się w kąt, ale dalej siedzi na kiblu – dodała.

Dominic nie chciał nic wiedzieć o tym głośnym czytaniu. Dansingowe znajome Ketchuma nie kojarzyły mu się ze szczególną wrażliwością ani zamiłowaniem do literatury; zdaniem kucharza Ketchum rzadko z nimi rozmawiał bądź słuchał tego, co miały do powiedzenia. Któregoś dnia (nieszczerze) zapytał Ketchuma, co robi w ramach „gry wstępnej”.

Ku jego niebotycznemu zdumieniu kumpel odpowiedział:

– Proszę, żeby mi czytały. To wprowadza mnie w nastrój.

Lub budzi przemożną chęć wyjścia z książką do toalety, pomyślał teraz z niechęcią Dominic. Nie podejrzewał znajomych Ketchuma o szczególną erudycję. Skąd on wiedział, która z nich umie czytać? I jaka to książka zburzyła dzisiejszy nastrój? (Bardzo możliwe, że pijany chciał po prostu skorzystać z łazienki).

Indianka Jane weszła do kuchni i wróciła z latarką.

– Żebyś się nie zgubił w drodze powrotnej – wyjaśniła, podając ją Dominicowi. – Zostanę z Dannym i dopilnuję, żeby poszedł spać.

– Mogę iść z tobą? – zapytał chłopiec. – Mógłbym pomóc.

– Moje mieszkanie nie jest odpowiednim miejscem dla dzieci, Danny – oznajmiła Pam.

Ta myśl aż prosiła się o komentarz, ale kucharz powiedział tylko:

– Zostań z Jane, Danielu. Niedługo wrócę – dorzucił, bardziej pod adresem Jane niż syna, lecz indiańska pomywaczka wróciła już do kuchni.

Z pięterka, gdzie znajdowały się sypialnie, rozciągał się częściowy widok na rzekę oraz nieco lepszy na leżące powyżej miasteczko. Nocą jednak panowała tam ciemność tak nieprzenikniona, iż próżno było dociekać tego, co działo się w oddalonych barach i wyszynkach; Danny i Indianka Jane nie słyszeli też muzyki z dansingu, na którym nikt nie tańczył.

Chłopiec i pomywaczka śledzili przez chwilę migotanie latarek przemykających wśród drzew w stronę miasta. Nietrudno było je rozróżnić: błysk latarki Dominica podskakiwał w rytm jego utykania; jeden długi krok Pam równał się dwóm kucharza, który ledwie za nią nadążał. Jane być może ubolewała nad tym, że nie słyszy ich rozmowy, Danny z kolei był szczerze niepocieszony, że ominie go widok gołego Ketchuma na sedesie. Wkrótce jednak latarki znikły we mgle zasnuwającej rzekę i na tle przyćmionych świateł miasteczka.

– Niedługo wróci – powiedział dwunastolatek; wyczuł chyba, że Jane ma taką nadzieję. Nie odpowiedziała, rozścieliła tylko łóżko w pokoju ojca i zapaliła nocną lampkę.

Danny wyszedł za nią na korytarz, patrząc, jak na odchodne muska palcami żeliwną patelnię o średnicy dwudziestu centymetrów. Patelnia sięgała tacie do ramienia, a Indiance Jane do piersi; on sam miał ją na wysokości oczu. I też odruchowo wyciągnął rękę.

– Chciałbyś przylać jakiemuś niedźwiedziowi? – zapytała Jane.

– Sama o tym pomyślałaś – odpowiedział.

– Idź wyszoruj zęby, i w ogóle – poleciła.

Chłopiec pomaszerował posłusznie do łazienki. Kiedy włożył piżamę, Jane weszła do jego pokoju i usiadła obok na łóżku.

– Nigdy nie widziałem cię z rozplecionym warkoczem – oznajmił. – Ciekawe, jak wyglądasz z rozpuszczonymi włosami.

– Jesteś za młody, żeby mnie oglądać z rozpuszczonymi włosami – ucięła Jane. – Miałabym cię na sumieniu, gdybyś umarł ze strachu. – Chłopiec dostrzegł pod daszkiem czapki jej figlarne spojrzenie.

Od strony miasta doleciał krzyk; zawtórował mu kolejny, a może tylko echo od rzeki, ale nie sposób było rozróżnić słów; dalsza kłótnia lub okrzyki rozwiały się na wietrze.

– W sobotę w miasteczku bywa niebezpiecznie, prawda? – zapytał Danny.

– Znam pewnego małego kuternogę, być może wiesz, kogo mam na myśli, który powtarza, że „wypadki rządzą światem”. Powinieneś coś o tym wiedzieć – odparła Jane. Jej potężna dłoń wsunęła się pod kołdrę i odszukała jego pachę; wiedziała, że ma tam największe łaskotki.

– Wiem! – zawołał dwunastolatek. – Nie łaskocz!

– Cóż, tak się składa, że wypadki częściej zdarzają się w soboty niż w jakikolwiek inny dzień – uzupełniła Jane. Jej palce znieruchomiały, ale nie cofnęła ręki. – W każdym razie nikt nie podskoczy twojemu tacie; nie, kiedy jest z Pam.

– Ale wrócić ma sam – zaznaczył chłopiec.

– Nie martw się o ojca, Danny – odpowiedziała Jane; wysunęła rękę spod kołdry i usiadła prosto na łóżku.

– Dałabyś radę Pam? – zapytał Danny. Było to jedno z ulubionych pytań Daniela Baciagalupo; bez przerwy pytał Jane, czy dałaby komuś „radę”. Stanowiło to odpowiednik Ketchumowego „skopywania dupska”. Czy Jane dałaby radę Henry'emu Thibault, albo La Fleur Bez Palców, albo braciom Beaudette i bliźniakom Beebe lub Scotty'emu Fernaldowi, Earlowi Dinsmore'owi, Charliemu Cloughowi i Frankowi Bemisowi?

Indianka Jane odpowiadała zwykle: „Chyba tak”. Na pytanie o Ketchuma odrzekła: „Gdyby był wystarczająco pijany”.

Zapytana o Pam zawahała się jednak. Danny nieczęsto ją taką oglądał.

– Pam to zagubiona dusza – odpowiedziała wreszcie.

– Ale dałabyś jej radę czy nie? – naciskał Dan.

Jane wstała i nachyliła się nad chłopcem, po czym ścisnęła mu barki mocnymi palcami i pocałowała go w czoło.

– Chyba tak – odpowiedziała.

– Dlaczego Pam nie miała na sobie stanika? – spytał Danny.

– Pewnie ubrała się w pośpiechu – powiedziała Jane; stojąc w progu, przesłała mu pocałunek, a następnie przymknęła drzwi, ale tylko do połowy. Zawsze, odkąd sięgał pamięcią, zasypiał przy świetle na korytarzu.

Słyszał, jak wiatr trzęsie drzwiami do kuchni, aż niosło się po całym domu. Wiedział, że to nie jego tata ani żaden inny nocny gość.

– To tylko wiatr! – zabrzmiał na korytarzu głos Jane. Pamiętała, że od czasu opowieści o niedźwiedziu chłopiec boi się intruzów.

Jane zawsze zostawiała buty na dole i wchodziła na piętro w samych skarpetkach. Gdyby zeszła na dół, schody

zaskrzypiałyby pod jej ciężarem, ale musiała zostać na górze, bezszelestna w swoich skarpetkach jak nocne zwierzę. Później usłyszał szum wody napuszczanej do wanny; zastanawiał się, czy to może tata wrócił do domu, ale był zbyt śpiący, żeby pójść sprawdzić. Leżał, nasłuchując wiatru i wszechobecnego szmeru rzeki. A gdy ktoś znów pocałował go w czoło, pogrążony w głębokim śnie nie wiedział, czy to tata, czy może Indianka Jane – a może tylko przyśniło mu się, że ktoś go całuje, i we śnie była to Pam.

Pam, która pędziła przez miasteczko jak wiatr – z kucharzem kuśtykającym za nią niczym wierny, ale kaleki pies – siała taki postrach, że nikomu nawet by się nie śniło, żeby ją pocałować. Kucharzowi na pewno, przynajmniej na jawie.

– Zwolnij, Pam – poprosił Dominic, lecz albo wiatr porwał jego słowa i Pam nie dosłyszała, albo celowo przyspieszyła kroku.

Wiatr wyżłobił koleiny w wysokiej na trzy kondygnacje wieży trocin przed tartakiem; sypnęło im do oczu. Trociny były niezwykle łatwopalne – Ketchum nazywał je „potencjalnym piekłem” – zwłaszcza o tej porze roku. Zimowa sterta zostanie wywieziona, dopiero kiedy drogi stwardnieją na powrót u schyłku pory błota; wtedy załadują ją na ciężarówki i sprzedadzą farmerom z Androscoggin Valley. (Naturalnie w obrębie tartaku było tego jeszcze więcej). Pożar w trocinach puściłby z dymem całe miasto, nie oszczędzając nawet stołówki, położonej na wzgórzu najbliżej zakrętu rzeki, bez osłony przed wiatrem, który przyniósłby tam iskry.

Co prawda budynek powstały z inicjatywy kucharza był najsolidniejszy w całym miasteczku. Bary, noclegownie, a nawet sam tartak i tak zwany dansing stanowiłyby zaledwie

podpałkę w wielkim ogniu z apokaliptycznych wizji Ketchuma.

Kto wie, może nawet teraz Ketchum snuł wizje – na sedesie. Tak przynajmniej myślał Dominic Baciagalupo, usiłując dotrzymać kroku Sześciopak Pam. Minęli położony opodal baraku bar, który szczególnie upodobali sobie francuscy Kanadyjczycy. Na błotnistej drodze obok dansingu stał ciągnik parowy Lombarda z 1912 roku; tkwił tam od tak dawna, że dansing zdążono zburzyć i odbudować od nowa. (Już od lat trzydziestych sanie z drewnem przemieszczano w lesie za pomocą ciągników na benzynę).

Gdyby miasto spłonęło, myślał Dominic, być może stary sprzęt ocalałby jako jedyny. Kiedy podeszli bliżej, ku swemu zdumieniu kucharz spostrzegł braci Beaudette, uśpionych lub martwych na przednim siedzeniu ponad płozami. Pewnie zostali wyrzuceni z dansingu, po czym zasnęli (bądź zostali ułożeni) na ciągniku.

Dominic odruchowo zwolnił kroku, lecz Pam, która też ich zauważyła, ani myślała przystanąć.

– Nie zamarzną – stwierdziła. – Nawet nie pada śnieg.

Przed kolejnym wyszynkiem zebrała się grupka czterech lub pięciu mężczyzn obserwujących przypadkową bójkę. Earl Dinsmore i jeden z bliźniaków Beebe okładali się tak długo, że wyczerpali zasób najlepszych ciosów, lub też od początku byli zbyt pijani, żeby się bić. Sprawiali wrażenie niezdolnych do wyrządzenia przeciwnikowi jakiejkolwiek krzywdy, przynajmniej umyślnie. Drugi bliźniak Beebe, z nudów albo ze wstydu za brata, nieoczekiwanie rzucił się na Charliego Clougha. Przechodząc obok, Pam mimochodem zdzieliła Charliego, a następnie położyła Earla Dinsmore'a zgrabnym ciosem w ucho. Bliźniacy Beebe, osamotnieni na placu boju, zrozumieli, iż nie mają się z kim bić – chyba że spróbują szczęścia z Pam.

– To kucharz z Pam – zauważył La Fleur Bez Palców.

– Że też umiesz nas odróżnić – prychnęła Pam, odsuwając go z drogi.

Dotarli do szeregu budynków o płaskich dachach; były to nowsze baraki, zamieszkane przez kierowców ciężarówek i operatorów niedużych maszyn parowych. Zdaniem Ketchuma każdy, kto stawia w północnym New Hampshire dom z płaskim dachem, zasługuje na miano debila wszech czasów. Naraz drzwi dansingu otworzyły się (lub zostały pchnięte) z hukiem i rozległy się dźwięki koszmarnej muzyki: Perry Como śpiewał *Don't Let the Stars Get in Your Eyes.*

Do drzwi najbliższego baraku prowadziły schody; Pam skręciła w tamtą stronę, łapiąc Dominica za rękaw i ciągnąc za sobą.

– Uważaj na przedostatni stopień – uprzedziła.

Kucharz nigdy nie radził sobie dobrze na schodach, zwłaszcza gdy był po nich wleczony. Przedostatniego stopnia nie było. Dominic stracił równowagę, przytrzymując się rozłożystych pleców Pam, która obróciła się po prostu i chwyciwszy go pod pachy, postawiła na górze, gdzie zarył nosem w jej obojczyk. Kobiecy zapach wypełnił mu nozdrza, lecz dominacja męskich woni, którymi przesiąkła flanelowa koszula Ketchuma, szybko go spłoszyła.

Na szczycie schodów muzyka dudniła pełną parą; Patti Page śpiewała *(How Much is) That Doggie in the Window*? Nic dziwnego, że ludzie przestali tańczyć, pomyślał Dominic Baciagalupo, w chwili gdy Sześciopak Pam pchnęła ramieniem drzwi.

– W mordę, nienawidzę tego kawałka – oznajmiła, ciągnąc za sobą kucharza. – Ketchum! – wrzasnęła, lecz nie doczekała się odpowiedzi. Na szczęście z chwilą zamknięcia drzwi okropna muzyka ucichła.

Kucharz nie bardzo wiedział, gdzie kończy się kuchnia, do której weszli, a gdzie zaczyna sypialnia; rozsiane wokół garnki, naczynia i butelki ustępowały miejsca rozrzuconej bieliźnie i wielkiemu łożu, oświetlonemu jedynie poświatą z zielonkawego akwarium. Kto by pomyślał, że Sześciopak Pam jest miłośniczką rybek, albo że w ogóle lubi zwierzęta? (O ile w akwarium faktycznie znajdowały się rybki; Dominic nie widział, żeby wśród wodorostów cokolwiek pływało. Może Pam była miłośniczką wodorostów).

Lawirowali po pokoju; obejście wielkiego łoża nie było łatwe, nawet na zdrowych nogach. I choć Dominic bez trudu wyobraził sobie dramatyzm sytuacji oraz niezręczne położenie Ketchuma, które skłoniły Pam do pospiesznego narzucenia na siebie samej koszuli, po drodze do łazienki minęli aż trzy staniki: mimo pośpiechu mogłaby sięgnąć po którykolwiek z nich.

Sześciopak wsadziła rękę pod koszulę Ketchuma i podrapała się w pierś. W jej geście nie było nic sugestywnego, co wskazywałoby na próbę flirtu; był on równie odruchowy jak znokautowanie Charliego Clougha bądź też spontaniczny cios w ucho, który powalił Earla Dinsmore'a. Kucharz wiedział, że gdyby Pam chciała mu coś zasugerować, z pewnością uciekłaby się do bardziej jednoznacznych metod niż przelotne muśnięcie piersi. Poza tym flanelowa koszula pewnie gryzła ją w gołe ciało.

Zastali Ketchuma na sedesie, z grubsza w tej samej pozycji, w której zobaczyła go Pam: z otwartą książką przygniecioną gipsem i wspartą na jednym udzie oraz rozwalonymi kolanami. Woda w sedesie była zabarwiona na czerwono, jak gdyby Ketchum powoli wykrwawiał się na śmierć.

– Leci mu krew! – krzyknęła Pam, ale kucharz zobaczył, że Ketchum upuścił do sedesu pióro z czerwonym atramentem, którym zakreślał pewnie wybrane wyrazy. – Spłukałam przed wyjściem – mówiła, gdy Dominic podwinął

rękaw i sięgając między kolanami Ketchuma, wyłowił pióro z sedesu, a następnie ponownie spuścił wodę. Umył ręce i pióro nad umywalką, po czym osuszył je ręcznikiem.

Dopiero wtedy spostrzegł erekcję. Jedna z jego najżarliwszych nadziei – a mianowicie, że nigdy nie zobaczy Ketchuma w takim stanie – musiała sprawić, że w pierwszej chwili przeoczył oczywiste. Ma się rozumieć, w przeciwieństwie do Pam.

– Ha, ciekawe, co ma zamiar z tym zrobić! – prychnęła, chwytając Ketchuma pod pachy. Posadziła go w wygodniejszej pozycji. – Łap za nogi, Ziółko, ja załatwię resztę.

Książka, która niemal podążyła do sedesu w ślad za piórem, zsunęła się z uda Ketchuma na podłogę. Ku zdziwieniu Dominica Baciagalupo był to Idiota Dostojewskiego: kucharz bez trudu mógł zrozumieć, że Ketchum przysnął nad nią na sedesie, lecz wizja Pam czytającej ją na wielkim, zielonkawo oświetlonym łóżku przerosła jego wyobraźnię. Odruchowo przeczytał tytuł na głos, co zostało błędnie zrozumiane przez Pam.

– Mnie to mówisz? – burknęła.

– Podobała ci się książka? – zapytał, gdy wywlekali Ketchuma z łazienki; kiedy mijali otwarte drzwi, udało im się wyrżnąć jego głową o klamkę. Gips wlókł się po podłodze.

– To coś o Ruskach – odparła lekceważąco. – Nie zwracałam uwagi na treść, tylko czytałam.

Incydent z klamką nie ocucił wprawdzie pijanego, ale za to rozwiązał mu język.

– Jeśli chodzi o knajpy, gdzie człowiek mógł zarobić fangę za samo spojrzenie na jakiegoś przewrażliwionego debila, nic w centrum Berlina nie mogło się równać z „Pół Metra Piekła” w Bangor; mówię z własnego doświadczenia –

oznajmił. Jego penis stał na baczność, równie kategoryczny i natarczywy jak semafor.

– A co ty wiesz o Maine? – zapytała go Pam, jak gdyby był przytomny i mógł ją słyszeć.

– Nie zabiłem Pinette'a… niczego mi nie udowodnili! – oświadczył z mocą Ketchum. – To nie był mój nabijak.

Lucky „Szczęściarz” Pinette został znaleziony martwy w łóżku w starym Boom House nad Androscoggin, jakieś trzy i pół kilometra na północ od Mediolanu. Ktoś rozwalił mu głowę nabijakiem do znakowania; niektórzy flisacy twierdzili, że wcześniej tego samego dnia pokłócił się z Ketchumem przy sortowni na rzece. Tymczasem Ketchum, jakże by inaczej, spędził noc w Umbagog House w Errol w towarzystwie niedorozwiniętej umysłowo kobiety, która pracowała w tamtejszej kuchni. Ani narzędzie zbrodni, którym wielokrotnie uderzono Pinette'a (odciskając mu na czole literę „H”), ani nabijak Ketchuma nigdy nie zostały odnalezione.

– Zatem kto to zrobił? – zapytała Pam, gdy wraz z kucharzem rzucili go na łóżko, a sterczący członek zakołysał się przed nimi jak maszt na wietrze.

– Założę się, że to był Bergeron – odpowiedział Ketchum. – Miał identyczny nabijak jak ja.

– No i Bergeron nie posuwał żadnej debilki z Errol! – zauważyła Pam.

Ketchum uśmiechnął się tylko, nie otwierając oczu. Kucharz stłumił pokusę, aby wrócić do łazienki i sprawdzić, jakie wyrazy jego przyjaciel zakreślił tym razem; cokolwiek, byle tylko nie patrzeć na strzelistą erekcję.

– Śpisz czy nie? – zapytał Ketchuma, który najwyraźniej znów stracił świadomość albo wyobrażał sobie, że jedzie w przedziale trzeciej klasy z Warszawy do Sankt Petersburga: książkę wypożyczył niedawno i kucharz śmiał wątpić, że

Pam zabrnęła daleko, nim incydent na sedesie zakłócił im grę wstępną.

– To ja już sobie pójdę – powiedział Dominic, kiedy więdnący członek Ketchuma obwieścił wreszcie koniec wieczornej zabawy. Pam najwyraźniej miała inne plany, gdyż nie odrywając wzroku od twarzy Dominica, zaczęła rozpinać pożyczoną koszulę.

Oho, zaczyna się, pomyślał Dominic Baciagalupo. Sześciopak przyparła go do ściany; chcąc ją wyminąć, musiałby przeleźć nad Ketchumem.

– Daj spokój, Ziółko – mruknęła. – Pokaż no, co tam masz. – Rzuciła koszulę na łóżko. Ubranie zasłoniło Ketchumowi twarz, ale nie sflaczałą erekcję.

– Była częściowo upośledzona – usprawiedliwił się spod spodu Ketchum. – I nie pochodziła z Errol, tylko z Dixville Notch. – Zapewne miał na myśli podkuchenną z Umbagog House, którą posuwał w czasie gdy Lucky „Szczęściarz” Pinette dokonywał żywota w starym Boom House nad Androscoggin. (To, że nigdy nie odnaleziono narzędzia zbrodni ani nabijaka Ketchuma, mogło być czystym zbiegiem okoliczności).

Pam bez ogródek chwyciła kucharza za ramiona i wcisnęła sobie jego twarz między piersi; było to bezwzględnie sugestywne. W odpowiedzi zastosował połowiczny manewr Heimlicha, prześlizgując się pod jej ramieniem i zaciskając ręce na żebrach, tuż pod kształtnym biustem.

– Nie mogę, Pam – wydusił z nosem boleśnie wciśniętym między jej łopatki. – Ketchum to mój przyjaciel.

Wyrwała się bez trudu; długi, twardy łokieć trafił go w usta, rozcinając dolną wargę. Następnie założyła mu nelsona, mało nie dusząc go pomiędzy pachą a miękkim bokiem piersi.

– Nie jesteś jego przyjacielem, jeśli pozwalasz mu szukać Angela! On świruje przez tego cholernego gówniarza! – wrzasnęła Pam. – Jeśli pozwolisz mu choćby spojrzeć na jego zwłoki albo to, co z nich zostało, marny z ciebie przyjaciel!

Mocowali się na łóżku obok zasłoniętej twarzy i nagiego, nieruchomego ciała Ketchuma. Kucharz tracił oddech. Sięgnąwszy ponad ramieniem Pam, palnął ją w ucho, lecz nie wywarło to na niej większego wrażenia i dalej przygniatała go całym ciężarem; nie mógł ruszać ani głową, ani prawą ręką. Nie pozostawało mu nic innego, jak przyłożyć jej lewym sierpowym; jego pięść trafiła w policzek, nos, skroń, a potem znowu ucho.

– Jezu, bijesz się jak baba – oświadczyła z pogardą Pam. Puściwszy go, przetoczyła się na bok. Dominic Baciagalupo zapamiętał, że leżał zziajany obok chrapiącego przyjaciela. Upiorne światło akwarium oblewało go zieloną poświatą; niewidoczna rybka pewnie miała niezły ubaw. Pam sięgnęła po stanik i nakładała go, odwrócona do Dominica plecami.

– Możesz chociaż wziąć ze sobą Danny'ego i pojechać przed czasem. Odszukacie ciało Angela, zanim Ketchum dotrze na miejsce. Tylko nie pozwól mu zobaczyć chłopaka! – krzyknęła.

Ketchum zerwał koszulę z twarzy i zagapił się na sufit niewidzącym wzrokiem; kucharz usiadł obok niego. Pam uporała się ze stanikiem i ze złością wciągała podkoszulek. To również miał zapamiętać: jej spodnie, opuszczone nisko na szerokich, ale kościstych biodrach, i rozpięty rozporek, przez który dostrzegł skrawek jasnych włosów łonowych. Przedtem ubierała się w pośpiechu, teraz też.

– Wynocha – powiedziała.

Zerknął na kumpla, który przymknął oczy i zasłonił twarz gipsem.

– Czy Ketchum pozwolił ci popatrzeć na żonę, kiedy ją znalazł? – spytała Pam.

To, jak próbował wstać z łóżka, ale Pam mu nie pozwoliła, raczej wolałby puścić w niepamięć.

– Gadaj – powiedziała.

– Nie, nie pozwolił.

– Sam widzisz – skwitowała, pozwalając wreszcie, aby pokuśtykał do drzwi. – Uwaga na stopień, drugi od góry – przypomniała.

– Powinnaś poprosić Ketchuma, żeby go naprawił – odpowiedział Dominic.

– Sam go usunął, żeby słyszeć, gdy ktoś się skrada, na dół albo na górę – poinformowała go Sześciopak.

Ketchum niewątpliwie musiał zastosować pewne środki ostrożności, pomyślał Dominic, wychodząc na zewnątrz. Skrzętnie wyminął czyhającą lukę w schodach. Po drodze uderzyła go fala przygnębiającej muzyki z dansingu; Teresa Brewer śpiewała *Till I Waltz Again With You*, gdy naraz wiatr otworzył drzwi, które – jak mu się zdawało, zamknął za sobą.

– Ożeż! – doleciał go głos Pam.

Wiatr, a może muzyka, na chwilę ocuciły Ketchuma, i zanim Pam zatrzasnęła drzwi, kucharz usłyszał jego ostatnie słowa.

– Nie do śmiechu ci teraz, co, Lucky?

Biedny Pinette, pomyślał Dominic Baciagalupo. Lucky „Szczęściarz” Pinette nie usłyszał już pewnie tego pytania – znaczy, gdy Ketchum zadał je po raz pierwszy, jeśli je zadał. Teraz to już na pewno Lucky'emu było wszystko jedno.

Kucharz mijał po drodze wybrakowane neony barów.

Z KAZ WST PU NIELE IM! zamrugał jeden z nich.

TRZE E PIWO GR IS! migotał inny.

Gdy neony zostały z tyłu, Dominic uświadomił sobie, że zapomniał latarki. Był pewien, że Pam nie będzie zachwycona, kiedy po nią wróci. Poczuł w ustach smak krwi, zanim jeszcze podniósł rękę do rozciętej wargi i spojrzał na zakrwawione palce. Wokół robiło się coraz ciemniej. Drzwi dansingu zamknęły się (lub zostały zatrzaśnięte) z hukiem i Teresa Brewer ucichła tak nagle, jakby Pam zacisnęła jej palce na wiotkiej szyi. Gdy otworzyły się (lub zostały kopnięte), Tony Bennett piał na całe gardło *Rags to Riches*. Dominic nie miał cienia wątpliwości, że miejscowa przemoc szerzy się za sprawą karygodnej muzyki.

Przed salonem, gdzie niedawno bili się bliźniacy Beebe, po walce nie zostało ani śladu; Charlie Clough i Earl Dinsmore pozbierali się z błota. Bracia Beaudette, zamordowani lub śpiący, wstali (lub zostali usunięci) ze starego ciągnika od zawsze tkwiącego obok hali tanecznej, którą zapewne przeżyje.

Dominic Baciagalupo podążał przed siebie w ciemności, w której jego kuśtykanie mogło sprawiać wrażenie chwiejnego kroku pijaka. Na wysokości baru uczęszczanego przez francuskich Kanadyjczyków zamajaczyła przed nim jakaś postać, zanim jednak upewnił się, że to posterunkowy Carl, oślepił go blask latarki.

– *Halt!* To znaczy „Stój!”. *Arrête*, jeśli jesteś pieprzonym Francuzem – wrzasnął kowboj.

– Dobry wieczór, panie władzo – odparł Dominic, mrużąc oczy. Snop światła latarki i fruwające dokoła trociny utrudniały mu widzenie.

– Łazisz po nocy, Ziółko… i krwawisz – zauważył posterunkowy.

– Musiałem zajrzeć do przyjaciela – odpowiedział kucharz.

– Ten, kto cię trzepnął, nie był twoim przyjacielem – oznajmił kowboj, podchodząc bliżej.

– Zapomniałem latarki… wpadłem na coś, Carl.

– Na przykład na kolano… albo na łokieć – wysnuł przypuszczenie posterunkowy Carl; prawie dotykał latarką zakrwawionej wargi Dominica. Jechało od niego jak z gorzelni.

Traf chciał, że w tej samej chwili ktoś pogłośnił muzykę i Doris Day zaśpiewała *Secret Love*; dwaj kochankowie Indianki Jane stali twarzą w twarz, a pijany kowboj cierpliwie badał skaleczoną wargę trzeźwego kucharza. Następnie trzewia ulubionego przybytku francuskich Kanadyjczyków brutalnie wyrzuciły z siebie jedną z duszyczek, które tego wieczoru bezskutecznie szukały szczęścia: młody Lucien Charest, wyjąc jak kojot, na golasa wytoczył się na zewnątrz i wylądował w błocie na czworakach. Posterunkowy błyskawicznie przygwoździł go snopem latarki.

Wokół zapadła śmiertelna cisza; drzwi zatrzasnęły się ponownie, zagłuszając Doris Day, a Dominic Baciagalupo i Lucien Charest usłyszeli trzask odbezpieczanego colta kaliber 45.

– Jezu, Carl, nie… – wyrwało się Dominicowi, gdy kowboj wycelował broń w młodego Francuza.

– Zabieraj ten swój goły francuski tyłek z powrotem do środka i znikaj mi z oczu! – wrzasnął posterunkowy. – Zanim odstrzelę ci jaja i całą resztę!

Lucien Charest, wciąż na czworakach, nasikał pod siebie; kałuża rozlała się aż po zabłocone kolana. Zawróciwszy, pognał jak pies w stronę wejścia do baru, gdzie ci sami figlarze, którzy wyrzucili go na zewnątrz, powitali go teraz niczym cudownie ocalonego. (Poniekąd mieli ku temu podstawy). Okrzyki „Lucien!” ustąpiły miejsca francuskiej paplaninie, zbyt chaotycznej i gorączkowej, aby kucharz i

posterunkowy mogli zrozumieć z niej choćby jedno słowo. Kiedy Charest znalazł się bezpiecznie za drzwiami, Carl zgasił latarkę. Absurdalny colt kaliber 45 dalej był odbezpieczony; kucharz odnotował z pewnym niepokojem, że kowboj wycelował go od niechcenia w kolano jego zdrowej nogi.

– Mam odprowadzić cię do domu, Ziółko? – zapytał Carl.

– Nie trzeba – odparł Dominic. Obaj widzieli światła stołówki na wzniesieniu ponad rzeką.

– Znów zatrzymałeś do późna moją kochaną Jane – ciągnął posterunkowy. Zanim kucharz zdobył się na ostrożną odpowiedź, Carl dodał: – Czy ten twój chłopak nie jest aby za duży, żeby go kłaść spać?

– Jest duży – odpowiedział Dominic. – Po prostu nie chciałbym zostawiać go wieczorami samego, a poza tym bardzo lubi Jane.

– Czyli jest nas dwóch – odrzekł posterunkowy Carl i splunął.

Trzech, uzupełnił w myślach Dominic Baciagalupo, ale nic nie powiedział. Przypomniał sobie, jak Pam wcisnęła jego twarz pomiędzy piersi, mało go przy tym nie dusząc. I zawstydził się swej nielojalności, gdyż trochę go to podnieciło, na swój złowieszczy sposób.

– Dobranoc, Carl – powiedział. Ruszył przed siebie; posterunkowy włączył latarkę, na chwilę oświetlając mu drogę.

– Dobranoc, Ziółko – odrzekł Carl. Gdy latarka zgasła, kucharz dalej czuł na plecach jego spojrzenie. – Nieźle zasuwasz jak na kalekę! – krzyknął w ciemność posterunkowy. Dominic Baciagalupo to również miał zapamiętać.

Doleciał go fragment piosenki z dansingu, lecz Dominic był już zbyt daleko, żeby podchwycić słowa. Ale słyszał ją

wiele razy – był to Eddie Fisher i jego *Oh, My Papa* – i gdy echo głupiej piosenki umilkło, stwierdził ze złością, że podśpiewuje ją pod nosem.

Rozdział 4
ŻELIWNA PATELNIA O ŚREDNICY DWUDZIESTU CENTYMETRÓW

Kucharz nie mógł pozbyć się wrażenia, że posterunkowy szedł za nim aż do domu. Postał chwilę w ciemnej stołówce, wypatrując w dole światła latarki. Gdyby jednak posterunkowy faktycznie przyszedł go szpiegować, nawet on nie byłby tak głupi, żeby włączyć latarkę.

Dominic zostawił światło na ganku, żeby Jane nie szła po ciemku do furgonetki, i postawił zabłocone buty obok jej butów. Przyszło mu do głowy, że zwleka z pójściem na górę z jeszcze innego powodu. Jak wytłumaczy Jane rozbitą wargę, i czy powinien opowiedzieć jej o spotkaniu z posterunkowym? Czy nie powinna wiedzieć, że Dominic spotkał kowboja, którego zachowanie i zamiary były równie mgliste i nieprzewidywalne jak zawsze?

Kucharz nie mógł stwierdzić z całą pewnością, czy posterunkowy podejrzewa, że Jane jest jego „kochanicą”, jak ująłby Ketchum w nawiązaniu do listy wyrazów z innego zakazanego romansu.

Dominic Baciagalupo po cichu wszedł na górę w skarpetkach, choć schody zaskrzypiały pod nim charakterystycznie i nie mógł przemknąć niezauważony obok otwartych drzwi sypialni. (Ale chyłkiem zajrzał do środka i zobaczył, że Jane rozpuściła włosy). Wolałby przemyć najpierw pękniętą wargę, lecz Jane wyczuła chyba, że coś przed nią ukrywa, i rzuciła do przedpokoju swoją czapkę, o mało go przy tym nie trafiając. Wódz

Wahoo wylądował do góry nogami, ale nadal się uśmiechał, obłąkańczo zezując w stronę łazienki i pokoju Dana.

Kucharz zobaczył w łazienkowym lustrze, że na dolnej wardze przydałoby się parę szwów; ranka zagoi się i bez tego, ale ze szwami byłoby szybciej i zostałby mniejszy ślad. Na razie nie bez trudu umył zęby, posmarował ranę wodą utlenioną i delikatnie osuszył ją ręcznikiem, na którym została smuga krwi. Pech chciał, że jutro niedziela; wolałby, żeby Ketchum lub Jane sami założyli mu szwy, zamiast szukać durnego lekarza w miejscu, którego nazwy nie wymieniał nawet w myślach.

Wyszedł z łazienki i skierował się do pokoju Daniela. Pocałował syna na dobranoc, niechcący pozostawiając mu na czole plamkę krwi. Gdy wrócił na korytarz, wódz Wahoo powitał go swoim uśmiechem, jakby dla przypomnienia, aby uważnie dobierał słowa.

– Kto cię uderzył? – zapytała Jane, kiedy rozbierał się w sypialni.

– Ketchum trochę się rzucał; sama wiesz, jaki jest, kiedy gada przez sen.

– Gdyby Ketchum cię uderzył, nie stałbyś teraz przede mną.

– To był wypadek – upierał się; ulubione słowo jak zwykle przyszło mu w sukurs. – Ketchum nie chciał, po prostu zawadził o mnie gipsem.

– Gdyby uderzył cię gipsem, byłbyś martwy – orzekła Jane. Siedziała na łóżku w pelerynie z włosów; sięgały jej poniżej pasa. Ręce zaplotła na piersiach, które też ginęły pod włosami.

Ilekroć rozpuszczała włosy, a potem wracała tak do domu, mogła mieć przez to kłopoty, chyba że posterunkowy już spał. To noc, kiedy powinna zostać do późna i wyjść wczesnym rankiem, o ile w ogóle wróci do domu, pomyślał Dominic.

– Spotkałem Carla – powiedział.

– To nie on cię uderzył – odparła, kiedy położył się w łóżku obok niej. – I nie wygląda, żeby cię postrzelił – dodała.

– Nie jestem pewien, czy o nas wie, Jane.

– Ja też nie jestem pewna.

– Czy Ketchum zabił Szczęściarza Pinette'a? – przypomniał sobie.

– Bóg raczy wiedzieć. Od lat nikt nie znalazł odpowiedzi na to pytanie! Dlaczego Pam cię uderzyła? – zapytała Jane.

– Bo nie byłem zainteresowany.

– Gdybyś przeleciał Pam, tak bym ci przylała, że mógłbyś pożegnać się ze swoją dolną wargą – oznajmiła Jane.

Uśmiechnął się, ku wielkiemu niezadowoleniu dolnej wargi. Kiedy wzdrygnął się z bólu, Jane dodała:

– Biedactwo! Nici z całowania.

Dominic przysunął się bliżej.

– Możemy robić inne rzeczy – mruknął.

W odpowiedzi pchnęła go na plecy i legła na nim całym ciężarem; przytłoczony zapadł w łóżko, czując, że traci oddech. Gdyby przymknął oczy, ponownie ujrzałby siebie w uścisku Pam, dlatego wolał zostawić je otwarte. Kiedy Jane usiadła na nim okrakiem, poczuł, że wraca mu oddech. Wizja ataku Pam zrobiła swoje: Jane dosiadła go bez chwili namysłu.

– Ja ci pokażę „inne rzeczy” – szepnęła, kołysząc się w przód i w tył; jej piersi falowały, usta muskały jego twarz, starannie omijając dolną wargę, a włosy spłynęły naprzód, okrywając ich jak namiotem.

Mógł oddychać, ale nie mógł się ruszyć, Jane była za ciężka. Poza tym nie chciał robić nic, co mogłoby zakłócić rytm jej ruchów. (Nawet gdyby była tak drobna jak jego

zmarła żona Rosie, a on sam wielki jak Ketchum). Przypominało to ujeżdżanie pociągu, pomyślał Dominic, tyle że nie pozostawało mu nic innego, jak kurczowo trzymać się owego pociągu, który, gwoli ścisłości, ujeżdżał jego.

Nieważne, czy Danny mógł powiedzieć z całą pewnością, że słyszał szum wody w łazience, a pocałunek w czoło – pocałunek ojca, a może powtórny Jane – wcale mu się nie przyśnił. Nieważne też, że wziął ów pocałunek za część snu o Pam, która całowała go namiętnie, niekoniecznie w czoło. I nieważne, że umiał rozpoznać charakterystyczny krok ojca na schodach, ponieważ słyszał go już wcześniej, a teraz skrzypiało zupełnie inaczej. Na schodach ojciec zawsze najpierw stawiał zdrową stopę; niesprawna podążała w ślad za nią, z mniejszym naciskiem.

Obecnie liczyło się tylko nowe, bezustanne skrzypienie oraz to, skąd mogło pochodzić. To nie wiatr wprawiał w drżenie całe piętro stołówki; Danny umiał rozpoznać wiatr, słyszał go o każdej porze roku. Przerażony chłopiec cicho wstał z łóżka i wstrzymując oddech, podszedł do uchylonych drzwi, a następnie wymknął się na korytarz.

Zobaczył wodza Wahoo z jego obłąkanym, odwróconym do góry nogami uśmiechem. Co się stało z Jane, pomyślał Dan. Jeśli czapka wylądowała na korytarzu, gdzie podziała się głowa? Czyżby napastnik (gdyż nie ulegało wątpliwości, że w pobliżu czai się drapieżca) pozbawił ją nakrycia jednym machnięciem pazurów lub (w przypadku drapieżcy ludzkiego) sierpa?

Podążając ostrożnie korytarzem, Danny podświadomie spodziewał się ujrzeć w wannie odrąbaną głowę Jane, a gdy wanna okazała się pusta, przyszło mu do głowy, że napastnikiem nie był człowiek, tylko niedźwiedź, który zjadł Jane, a teraz pożera jego tatę. Ponieważ stało się jasne, skąd dochodzą niepokojące odgłosy: rozgłośne skrzypienie i pojękiwania (lub, co gorsza, skomlenie) dobiegały z

ojcowskiej sypialni. Widok wodza Wahoo leżącego do góry nogami spotęgował tylko trwogę dwunastolatka.

To, co zobaczył Danny Baciagalupo (a dokładniej, czego nie zobaczył) po wejściu do pokoju ojca, potwierdziło jego najgorsze obawy, a nawet je przerosło, w życiu nie spodziewał się bowiem, że niedźwiedzie mogą być tak wielkie i włochate. Spod niedźwiedzia wystawały tylko kolana i stopy taty, a co gorsza, spoczywały zupełnie bez ruchu. Może chłopiec przybył za późno! Poruszał się tylko niedźwiedź; zaokrąglona, zgarbiona bestia (o niewidocznej głowie) rozkołysała całe łóżko, a jej bujna, kruczoczarna sierść przerosła najśmielsze oczekiwania Danny'ego.

Niedźwiedź pożerał jego ojca, tak przynajmniej wydało się dwunastolatkowi. Można by pomyśleć, że chłopiec rzuci się z gołymi rękami na zwierzę, które tak okrutnie poczynało sobie z jego tatą, choćby po to tylko, żeby samemu ponieść śmierć. Jednakże opowieści rodzinne – zapewne głównie te, które słyszymy w dzieciństwie – budzą w nas pierwotne instynkty i uśpione wspomnienia, zwłaszcza w kryzysowych sytuacjach. Niewiele myśląc, Dan sięgnął po żeliwną patelnię o średnicy dwudziestu centymetrów, jakby oto miał uczynić z niej pionierski użytek. Patelnia była legendą, a Dan wiedział, gdzie jej szukać.

Oburącz trzymając patelnię, chłopiec podszedł do łóżka i na oślep wycelował w głowę niedźwiedzia. Już miał się zamachnąć – z półobrotu, jak nauczył go Ketchum, posługując się do tego celu siekierą – gdy jego spojrzenie padło na bose podeszwy niewątpliwie ludzkich stóp. Spoczywały tuż obok gołych kolan ojca; Danny'emu przyszło do głowy, że do złudzenia przypominają stopy Jane. Indiańska pomywaczka spędzała na nogach cały dzień i często narzekała, że ją bolą, co zważywszy na jej tuszę, stanowiło naturalne zjawisko. Danny często robił jej masaż stóp, który po prostu uwielbiała.

– Jane? – rzucił Dan cichym, pytającym głosem, ale nie zwolniło to impetu żeliwnej patelni.

Jane musiała coś usłyszeć, gdyż uniosła głowę i spojrzała w stronę chłopca. Tym sposobem rozpędzona patelnia trafiła ją prosto w prawą skroń. Rozległ się dźwięczny gong, po czym Dan poczuł dotkliwie pieczenie rąk, a następnie mrowienie, które rozeszło się od nadgarstków aż po łokcie. Przez resztę życia, a przynajmniej dopóki pamięć mu dopisywała, Danny Baciagalupo miał czerpać pewną otuchę z faktu, że nie widział wyrazu na ładnej twarzy Jane w chwili, gdy patelnia trafiła ją w skroń. (Włosy skutecznie zasłoniły widok).

Potężne ciało Jane zadrżało. Była zbyt wielka, a jej włosy zbyt długie i lśniące, aby mogła uchodzić za niedźwiedzia, ani w tym życiu, ani w następnym, do którego z całą pewnością zmierzała. Zsunęła się z kucharza, a następnie zwaliła ciężko na podłogę.

Teraz nikt nie wziąłby jej za niedźwiedzia. Leżała w aureoli włosów, rozpostartych jak skrzydła po obu stronach wielkiego, nieruchomego ciała. Duże, piękne piersi spoczęły w zagłębieniach pach, a nieruchome ramiona zastygły nad głową, jakby (nawet po śmierci) Jane próbowała sięgnąć nimi w głąb rozpościerającego się w górze wszechświata. Ale bez względu na to, jak zdumiewająca w oczach niewinnego dwunastolatka musiała być nagość Jane, Danny'emu Baciagalupo najbardziej zapadło w pamięć nieobecne spojrzenie jej szeroko rozwartych oczu. W martwych oczach Indianki Jane kryło się coś więcej aniżeli świadomość własnego losu. Cóż takiego dostrzegła w bezkresnej dali? To pytanie nie dawało Danny'emu spokoju. Cokolwiek zobaczyła w nieprzewidzianej przyszłości, najwyraźniej przeraziło ją śmiertelnie – i być może nie chodziło tu wyłącznie o jej własny los.

– Jane – powtórzył Danny; tym razem nie było to pytanie, chociaż serce waliło mu w piersi jak oszalałe, a pytania cisnęły się zapewne jedno za drugim. Zerknął na ojca, ale tylko w przelocie. Czy to jego nagość kazała chłopcu skwapliwie odwrócić wzrok? (Być może zawstydził się tym, jak niepozornie wyglądał on na tle pomywaczki). – Jane! – krzyknął, jak gdyby dopiero za trzecim razem dotarł do niego sens tego, co jej zrobił.

Ojciec pospiesznie zasłonił się poduszką. Przykląkł w bezmiarze rozsypanych włosów i przystawił ucho do ucichłego serca. Dan oburącz trzymał patelnię, jakby mrowienie w dłoniach nie ustało; być może to uczucie miało mu już towarzyszyć na każdym kroku. I choć miał dopiero dwanaście lat, zrozumiał bez cienia wątpliwości, że ta chwila wyznacza początek całej reszty jego życia.

– Myślałem, że to niedźwiedź – jęknął.

Dominic nie byłby bardziej wstrząśnięty, gdyby martwa kobieta zamieniła się w niedźwiedzia na jego oczach; widział jednak, że ukochany syn potrzebuje pociechy bardziej niż on. Roztrzęsiony chłopiec ściskał w rękach narzędzie zbrodni, jakby lada chwila miał ich zaatakować prawdziwy niedźwiedź.

– To zrozumiałe, że tak myślałeś – odpowiedział ojciec, biorąc go w objęcia. Odebrał synowi patelnię, a potem znów go przytulił. – To nie twoja wina, Danielu. To był wypadek. To niczyja wina.

– Jak to niczyja? – zapytał dwunastolatek.

– W takim razie moja – odpowiedział ojciec. – To nigdy nie będzie twoja wina, Danielu, tylko moja. I to był wypadek.

Naturalnie myślał przy tym o posterunkowym Carlu; w świecie posterunkowego nie było miejsca na słowa typu „wypadek” i „niewinność”. W umyśle (tak go umownie nazwijmy) kowboja dobre chęci nie miały racji bytu. Nie

możesz ocalić siebie, ale możesz chronić syna, myślał Dominic Baciagalupo. (Pytanie tylko, jak długo?).

Danny od dawna marzył, żeby Jane rozpuściła włosy, nie wspominając o tym, że marzył o widoku jej ogromnych piersi. Teraz nie mógł na nią patrzeć.

– Kochałem Jane! – krzyknął.

– Naturalnie, że tak, Danielu, wiem o tym.

– Robiłeś z nią dosedosy? – pisnął dwunastolatek.

– Tak – odpowiedział ojciec. – Ja również kochałem Jane. Nie tak jak twoją mamę – dodał. Dlaczego to powiedziałem, pomyślał z poczuciem winy. Dominic naprawdę kochał Jane; powoli godził się z faktem, że nie ma czasu jej opłakiwać.

– Co ci się stało w wargę? – zapytał chłopiec.

– Pam uderzyła mnie łokciem – odpowiedział kucharz.

– Z nią też robiłeś dosedosy? – chciał wiedzieć jego syn.

– Nie, Danielu. Jane była moją dziewczyną… tylko Jane.

– Co będzie z posterunkowym? – zapytał Dan.

– Mamy dużo do zrobienia, Danielu – odrzekł tylko ojciec. Wiedział, że nie mają dużo czasu. Niedługo zrobi się jasno, pora brać się do roboty.

W zamieszaniu i chaotycznej, gorączkowej krzątaninie, która później nastąpiła, kucharz i jego syn wielokrotnie przeżywali na nowo wydarzenia minionej nocy, nocy, kiedy przyszło im opuścić Twisted River, chociaż obaj mieli zapamiętać je inaczej. Dla Dana niebagatelne zadanie ubrania martwej kobiety – nie wspominając o zniesieniu jej po schodach i wtaszczeniu do furgonetki – nosiło bez mała herkulesowy wymiar. Z początku nie rozumiał, dlaczego ojciec przykłada taką wagę do tego, aby Jane była ubrana poprawnie, czyli tak, jakby zrobiła to własnoręcznie. Wszystko musiało być na swoim miejscu. Paski

wielgachnego stanika nie mogły być wywinięte, gumka kolosalnych majtek zagięta, a skarpetki na lewą stronę.

Przecież ona nie żyje! Jakie to ma znaczenie, rozmyślał Dan. Chłopiec nie brał pod uwagę oględzin, jakim niebawem zapewne zostanie poddane ciało Jane, ani tego, co lekarz uzna za przyczynę śmierci. (Uderzenie w głowę, to jasne, ale jakim narzędziem? I gdzie się ono podziało?). Ponadto będzie musiał określić czas zgonu. Dla kucharza było niezmiernie ważne, aby wszystko wskazywało na to, że Jane była wówczas kompletnie ubrana.

Co do Dominica, miał on być dozgonnie wdzięczny Ketchumowi, albowiem to właśnie jemu zawdzięczał platformę na kółkach, przywiezioną z jednej z pijackich wypraw do Maine. Znacznie ułatwiała wyładowywanie z ciężarówek suchych towarów, a także skrzynek z oliwą i syropem klonowym, nawet kartonów z jajkami i innych ciężkich przedmiotów.

Przypięli Jane do platformy, dzięki czemu mogli znieść ją po schodach w częściowo wyprostowanej pozycji, a następnie przetransportować w pozycji stojącej (prawie stojącej) do furgonetki. Niestety, wózek okazał się bezużyteczny podczas umieszczania Jane w furgonetce, co kucharz miał później określić mianem „herkulesowej” części przedsięwzięcia, lub też jednej z wielu, niekoniecznie jedynej.

Co do narzędzia zbrodni, Dominic Baciagalupo spakował żeliwną patelnię o średnicy dwudziestu centymetrów wraz ze swymi najukochańszymi rzeczami, czyli ulubionymi książkami kucharskimi, wiedział bowiem, że nie ma czasu ani miejsca na zbieranie przyborów kuchennych. Pozostałe garnki i rondle miały pozostać w kuchni; reszta książek kucharskich i wszystkie powieści przypadną Ketchumowi.

Danny ledwie miał czas na schowanie zdjęć mamy, ale nie zabrał książek, w których je przechowywał. Ojciec

spakował tylko parę niezbędnych ubrań, w większości własnych, gdyż Dan i tak wkrótce wyrośnie z dotychczasowej odzieży.

Mieli pontiaca rocznik pięćdziesiąty drugi, tak zwanego „półdrewnianego” chieftaina deluxe. Ostatni prawdziwy „drewniak” powstał w roku 1949; jego następca miał z zewnątrz panele ze sztucznego drewna, do tego brązowe wyposażenie z elementami prawdziwego drewna. Skórzane elementy również utrzymano w odcieniu brązu. Z powodu kalectwa Dominica pontiac miał automatyczną skrzynię biegów – wedle wszelkiego prawdopodobieństwa był to jedyny pojazd z automatyczną skrzynią biegów w całej okolicy – dzięki czemu Danny też mógł go prowadzić. Dwunastolatek miał za krótkie nogi, by wcisnąć sprzęgło do podłogi, lecz pontiakiem jeździł po leśnych drogach bez najmniejszych trudności. Posterunkowy Carl nie zapuszczał się na leśne drogi. Wielu chłopców w wieku Dana, a nawet młodszych, jeździło samochodami i furgonetkami po bocznych drogach w okolicach Phillips i Twisted River; mimo braku prawa jazdy radzili sobie nadzwyczaj sprawnie. (Chłopcy nieco wyżsi od Danny'ego mogli wcisnąć sprzęgło do samej podłogi).

Zważywszy na okoliczności ich ucieczki z Twisted River, dobrze się stało, że Danny umiał prowadzić, w przeciwnym bowiem razie kucharz musiałby wrócić do stołówki na piechotę po tym, jak odwiózł Jane do posterunkowego Carla, a tego wolałby uniknąć za wszelką cenę. O tej porze dnia, w szarym świetle brzasku, charakterystyczny krok Dominica Baciagalupo nie wzbudziłby wątpliwości żadnego z ewentualnych obserwatorów, gdyby zaś ujrzano go z synem o tak niepojętej porze, domysłom i podejrzeniom nie byłoby końca.

Oczywiście brązowy pontiac Dominica był w miasteczku pojazdem jedynym w swoim rodzaju. Taki wóz nie mógł przemknąć niezauważony, ale za to przemieszczał się

szybciej niż utykający kucharz, poza tym miał stanąć z dala od miejsca, gdzie Dominic zostawi furgonetkę Jane, czyli domu posterunkowego Carla.

– Zwariowałeś? – zapytał Danny, kiedy mieli opuścić stołówkę na zawsze. – Dlaczego mamy wieźć ciało do posterunkowego?

– Żeby pomyślał, że to jego sprawka, kiedy się obudzi – od powiedział synowi kucharz.

– A jeśli już nie śpi? – niepokoił się chłopiec.

– Dlatego mamy plan awaryjny, Danielu – odrzekł tata.

Siąpił drobny, prawie niezauważalny deszczyk. Lśniła podłużna brązowa maska pontiaca. Kucharz zwilżył palec o maskę, po czym sięgnął przez otwarte okno samochodu i starł Danny'emu z czoła kropkę zaschniętej krwi. Pamiętał, że całował go na dobranoc, i wiedział, czyja to krew; miał nadzieję, że nie był to jego ostatni pocałunek i że jego syna nie splami już dziś (niczyja) krew.

– Mam jechać za tobą, tak? – upewnił się Dan.

– Tak jest – potwierdził ojciec, pochłonięty obmyślaniem planu awaryjnego. Usiadł za kierownicą furgonetki obok Jane, zgarbionej na siedzeniu pasażera. Kobieta nie krwawiła, ale Dominic poczuł ulgę, że nie widzi siniaka na jej prawej skroni. Włosy opadły jej do przodu, zasłaniając twarz; guz wielkości piłki baseballowej miała przyciśnięty do szyby.

Pojechali jeden za drugim w stronę dwupiętrowego hotelu robotniczego o płaskim dachu, w którym Sześciopak Pam wynajmowała mieszkanie na piętrze. We wstecznym lusterku furgonetki widział fragment drobnej twarzy syna za kierownicą pontiaca. Wysunięty dach pojazdu przypominał daszek czapki baseballowej, nasunięty nisko na przednią szybę ośmiocylindrowca z wyszczerzoną kratką i agresywnym ornamentem na masce.

– Psiakrew! – zaklął głośno Dominic. Przypomniało mu się o czapce Jane. Gdzie mogła być? Czyżby zostawili wodza Wahoo do góry nogami na piętrze stołówki? Ale dotarli już prawie na miejsce; na ulicy nie było żywej duszy, drzwi dansingu nie uchyliły się ani razu. Nie mogli zawrócić.

Danny zaparkował pontiaca przy schodach do domu Pam. A kiedy wcisnął się do furgonetki pomiędzy ojca a Jane, Dominic zobaczył zaginioną czapkę – syn miał ją na głowie.

– Musimy zostawić wodza Wahoo, prawda? – zapytał dwunastolatek.

– Grzeczny chłopiec – odpowiedział ojciec, a serce wezbrało mu dumą i strachem. Co do planu awaryjnego, Danny miał dużo do zapamiętania.

Kucharz musiał z pomocą syna wydostać ciało Indianki Jane z szoferki i zaciągnąć je do kuchennych drzwi posterunkowego Carla, które zawsze były otwarte, o czym wiedział od Jane. Nie szkodzi, jeśli ubłocą jej buty, nie będzie w tym nic niezwykłego; grunt, by reszta ciała pozostała nietknięta. Oczywiście wózek pozostawi w błocie ślady kół, no i co Dominic ma z nim począć? Odstawić do furgonetki Jane czy zostawić pod drzwiami Carla?

Pojechali do wyludnionej części miasta opodal tartaku i hotelu zamieszkanego głównie przez francuskich Kanadyjczyków. (Posterunkowy Carl lubił mieć swe ofiary w zasięgu ręki).

– Jak myślisz, ile waży Ketchum? – zapytał Danny, kiedy ojciec zaparkował furgonetkę Jane tam, gdzie ją zwykle stawiała. Stali na stopniu samochodu; Dan podtrzymywał Jane w wyprostowanej pozycji, podczas gdy ojciec usiłował przepchnąć jej sztywniejące nogi przez drzwi. Ale co dalej?

– Ketchum waży jakieś sto, sto pięć kilo – sapnął kucharz.

– A Pam? – drążył Dan.

Dominic Baciagalupo miał świeżo w pamięci jej nelsona; kark będzie go jeszcze boleć przez tydzień.

– Około osiemdziesięciu kilo, góra osiemdziesiąt jeden – odpowiedział.

– A ty, ile ważysz? – spytał Danny.

Kucharz czuł, do czego prowadzą te pytania. Pozwolił, by stopy Indianki Jane zsunęły się w błoto; stanął obok, chwytając ją za biodra, podczas gdy Dan (dalej stojący na stopniu) wziął ją pod pachy. Wszyscy wylądujemy w błocie, pomyślał Dominic.

– Sam nie wiem, chyba jakieś sześćdziesiąt osiem kilo – rzucił możliwie beztroskim tonem. (Doskonale wiedział, że waży sześćdziesiąt pięć kilo w zimowej odzieży; nigdy nie ważył sześćdziesięciu ośmiu).

– A Jane? – stęknął Dan, schodząc ze stopnia. Bezwładne ciało Indianki osunęło się w ich ramiona. Kolana ugięły się pod nią, ale nie dotknęły błota; obaj zachwiali się pod jej ciężarem, ale nie upadli.

Indianka Jane ważyła co najmniej sto trzydzieści pięć kilo, może nawet sto czterdzieści, ale Dominic Baciagalupo zaklinał się, że nie wie. Ledwo mógł złapać oddech, wlokąc martwą kochanicę do kuchni jej wrednego faceta, lecz odpowiedział szeptem, siląc się obojętność:

– Jane? Och, tyle samo co Ketchum, może ciut więcej.

Ku zdumieniu ich obu drzwi posterunkowego nie tylko nie były zamknięte na klucz, lecz okazały się uchylone. (Pewnie za sprawą wiatru, chyba że kowboj w pijackim zwidzie zapomniał je zamknąć). Deszcz zmoczył widoczny z zewnątrz skrawek podłogi. W kuchni paliło się jedno światło; dalsze pomieszczenia znajdowały się poza zasięgiem ich wzroku.

Gdy rozrzucone stopy Jane dotknęły podłogi, Dominic był pewien, że dalej poradzi sobie sam; jej zabłocone buty i

mokra posadzka ułatwią mu zadanie.

– Do zobaczenia, Danielu – szepnął do syna. Zamiast pocałunku dwunastolatek zdjął z głowy czapkę baseballową i nałożył ją ojcu.

Gdy kroki Danny'ego ucichły, Dominic pchnął masywne ciało Jane w głąb kuchni. Miał nadzieję, że chłopiec zapamięta jego polecenia.

– Jeśli usłyszysz strzał, idź do Ketchuma. I gdy nie wrócę po upływie dwudziestu minut, nawet jeśli nie będzie strzału, idź do Ketchuma.

Już wcześniej pouczył syna, że gdy cokolwiek przytrafi się jego ojcu, nie tylko dziś, ma iść do Ketchuma i opowiedzieć mu o wszystkim.

– Uważaj na przedostatni schodek przed drzwiami Pam – uprzedził chłopca.

– Pam nie będzie? – zapytał Danny.

– Powiedz jej, że musisz porozmawiać z Ketchumem. Wpuści cię – odparł tata. Pozostawało mu tylko mieć nadzieję, że się nie myli.

Dominic Baciagalupo przeciągnął bezwładne ciało Indianki Jane po podłodze, a następnie oparł je o szafkę. Podtrzymując ją pod pachami, opuścił zwłoki na blat, po czym z morderczą powolnością ułożył je na podłodze. Gdy pochylał się nad nią, czapka Cleveland Indians spadła mu z głowy i wylądowała do góry nogami obok Jane; wódz Wahoo uśmiechnął się jak szaleniec, a Dominic przygotował się na trzask odbezpieczanego colta kaliber 45. Był pewien, że go usłyszy, tak jak Danny miał usłyszeć huk wystrzału. O tej porze usłyszą go wszyscy w miasteczku, może nawet Ketchum, odsypiający wczorajszą libację. Dominic słyszał go czasami w stołówce.

Tymczasem nic się nie wydarzyło. Kucharz odetchnął swobodniej, z uporem nie patrząc za siebie. Jeśli

posterunkowy Carl tam był, Dominic nie chciał go widzieć. Lepiej, żeby tamten na odchodne strzelił mu w plecy. Z tą myślą rozmazał kaleką stopą swoje błotniste ślady i wyszedł.

Na zewnątrz zobaczył deskę przerzuconą ponad rynsztokiem. Zatarł nią biegnące prosto do kuchennych drzwi głębokie ślady wyżłobione w błocie obcasami Jane. Następnie odłożył deskę na miejsce i wytarł zabłocone ręce w mokry zderzak furgonetki Jane; padający coraz mocniej deszcz zrobi z nimi porządek. Podobnie jak ze śladami jego i Dana.

Nikt nie widział, jak kucharz kuśtyka obok ucichłego dansingu; bracia Beaudette, bądź też ich duchy, opuścili stary ciągnik, pełniący samotną wartę przy błotnistej drodze. Dominic Baciagalupo zastanawiał się, co pomyśli sobie posterunkowy Carl, kiedy rano przyczłapie do kuchni. Pewnie będzie zachodził w głowę, czym rąbnął Jane tym razem. Tylko gdzie podziało się owo tępe narzędzie, spyta zapewne sam siebie. Może to jednak nie byłem ja, stwierdzi później, kiedy rozjaśni mu się w głowie, a już na pewno gdy usłyszy o wyjeździe kucharza i jego syna.

Boże, daj mi czas, pomyślał kucharz na widok twarzyczki syna za mokrą szybą pontiaca. Dan czekał na siedzeniu pasażera, jak gdyby ani na chwilę nie stracił wiary w bezpieczny powrót ojca.

Dominic Baciagalupo miał na myśli coś więcej niż tylko czas potrzebny do natychmiastowej ucieczki. Potrzebował czasu, aby być dla ukochanego syna dobrym ojcem, i czasu, aby poprowadzić go w dorosłość; modlił się o to, choć nie mieściło mu się w głowie, jakim cudem mógłby pozwolić sobie na taki zbytek.

Usiadł za kierownicą; spodziewany wystrzał z colta nie nastąpił. Dan zaczął płakać.

– Czekałem, czy strzeli – powiedział.

– Kto wie, może któregoś dnia, Danielu – odparł tata, po czym przytulił go i zapalił silnik.

– Nie powiemy Ketchumowi? – zapytał Danny.

Jego odpowiedź mogła kiedyś zabrzmieć jak mantra, ale Dominic uciął tylko:

– Nie mamy czasu.

Niczym długi, powolny karawan brązowy pontiac wyjechał z miasteczka. Kiedy zdążali na południowy wschód, widząc niekiedy rzekę, pospiesznie nadchodził świt. W Pontook muszą jeszcze zająć się tamą, a potem, gdziekolwiek pojadą w następnej kolejności, znajdą się na trasie numer szesnaście biegnącej na północ i na południe wzdłuż Androscoggin.

Ile dokładnie czasu im zostało, zależało od tego, co znajdą przy Tamie Nieboszczki, i ile tam zabawią. Dominic miał nadzieję, że niezbyt długo.

– Czy w ogóle mu powiemy? – zapytał Dan.

– Jasne, że tak – odpowiedział ojciec, chociaż prawdę mówiąc, nie miał pojęcia, jak przekażą tę wiadomość w bezpieczny, a zarazem czytelny sposób.

Na razie wiatr ucichł i deszcz zelżał. Droga przed nimi pokryta była lśniącą warstwą zjeżdżonego błota, ale wstawało słońce; świeciło w okno po stronie kierowcy, dając Dominicowi Baciagalupo jasną (acz złudną) nadzieję na przyszłość.

Jeszcze przed paroma godzinami kucharz zamartwiał się myślą o znalezieniu ciała Angela, a konkretnie tym, jak widok martwego Kanadyjczyka wpłynie na jego najdroższego Daniela. Od tamtej pory dwunastolatek zabił ulubioną opiekunkę, po czym obaj mozolnie przetransportowali jej ciało, pokonując niemałą odległość pomiędzy stołówką a miejscem niemal ostatecznego spoczynku Indianki Jane, czyli kuchnią Carla.

Cokolwiek zastaną przy Tamie Nieboszczki, myślał optymistycznie Dominic, nie będzie to chyba takie straszne? Pod wpływem napięcia, w jakim się znajdował, machinalnie użył w myślach feralnej nazwy.

Gdy podjechali do zbiornika Pontook, zobaczyli mewy. Chociaż od morza dzieliło ich ponad sto pięćdziesiąt kilometrów, okoliczne wody były tak rozległe, że w pobliżu Androscoggin roiło się od mew.

– Mam w klasie kolegę o nazwisku Halsted – odezwał się niepewnie Danny.

– Wydaje mi się, że znam jego ojca – odpowiedział kucharz.

– Jego tata kopnął go w twarz korkiem, chłopak ma dziury w czole – oznajmił Dan.

– To podobne do Halsteda, którego znam – odparł Dominic.

– Ketchum mówi, że ktoś powinien wsadzić Halstedowi w dupę dmuchawę do trocin i sprawdzić, czy da się go nadmuchać – uzupełnił chłopiec.

– Najchętniej postąpiłby tak z niejednym debilem – skwitował kucharz.

– Założę się, że straszno będziemy tęsknić za Ketchumem – ciągnął uparcie chłopiec.

– Założę się, że tak – zgodził się ojciec. – Strasz-NIE.

– Ketchum mówi, że świerka kanadyjskiego nie da się nawet wysuszyć. – Danny'emu usta się nie zamykały. Denerwował się przyszłością, nie tylko Tamą Nieboszczki, ale tym, co nastąpi później.

– Świerk jest dobry na mosty – odparł Dominic.

– Orczyk zahaczamy jak najbliżej ładunku – wyrecytował z pamięci Danny. – Success to największy pieprzony staw

bobrowy na świecie – dodał.

– Masz zamiar cytować Ketchuma przez całą drogę?

– Przez całą drogę gdzie? – zapytał z niepokojem chłopiec.

– Jeszcze nie wiem, Danielu.

– Twarde drewno słabo unosi się na wodzie – oświadczył chłopiec, à propos niczego.

Tak, w przeciwieństwie do miękkiego, pomyślał Dominic Baciagalupo. Kiedy Angel znalazł się pod kłodami, spławiali właśnie miękkie drewno. A biorąc pod uwagę wietrzną noc, część dłużyc mogła wypłynąć poza zaporę; dryfowały teraz zapewne w przelewie po obu stronach śluzy. Zbłąkane kłody, w większości sosny i świerki, utrudnią wydostanie Angela z wartkiej wody. Wysoka linia brzegowa i nieco bardziej opieszała woda w samym zbiorniku były wynikiem powstania śluzy; przy odrobinie szczęścia znajdą Angela tam, na płyciźnie.

– Kto kopie korkiem w twarz własne dziecko? – spytał niespokojnie Danny.

– Ktoś, kogo więcej nie zobaczymy – odpowiedział synowi Dominic. Brzeg w okolicy Tamy Nieboszczki wyglądał na wyludniony, ale tylko dlatego, że była niedziela.

– Opowiedz mi jeszcze raz, dlaczego nazywają ją Tamą Nieboszczki – poprosił ojca Danny.

– Znasz tę historię na pamięć, Danielu.

– Wiem, dlaczego nie lubisz tej nazwy – odparł pospiesznie chłopiec. – To mama była tą nieboszczką, prawda?

Kucharz zaparkował pontiaca przy doku załadunkowym. Nie odpowiedział, ale dwunastolatek znał tę historię „na pamięć”, jak określił to jego tata. Słyszał ją od Jane i Ketchuma. Tama Nieboszczki zawdzięczała swą nazwę jego

matce, ale Danny nigdy nie miał dość tej opowieści, w przeciwieństwie do Dominica.

– Dlaczego Ketchum ma biały palec? Czy ma to coś wspólnego z piłą łańcuchową? – zapytał chłopiec; wprost nie mógł przestać mówić.

– Ketchum ma kilka białych palców i dobrze wiesz, że ma to coś wspólnego z piłą łańcuchową – odrzekł jego ojciec. – Wibracje, pamiętasz?

– A, no tak – powiedział chłopiec.

– Uspokój się, Danielu. Spróbujmy przez to przebrnąć i jedźmy.

– Dokąd? – krzyknął dwunastolatek.

– Proszę cię, Danielu, jestem równie zdenerwowany jak ty – odpowiedział ojciec. – Poszukajmy Angela. Zobaczmy, co uda nam się znaleźć, dobrze?

– Nie możemy nic zrobić dla Jane, prawda? – spytał Danny.

– Nie – mruknął tata.

– Co Ketchum sobie o nas pomyśli? – zapytał chłopiec.

Dominic chciałby to wiedzieć.

– Dosyć gadania o Ketchumie – odparł tylko. Liczył, że jego stary przyjaciel będzie wiedział, co robić.

Jak jednak opowiedzą Ketchumowi o tym, co zaszło? Przecież nie mogą czekać tu aż do dziewiątej. Jeśli w połowie tego czasu nie znajdą Angela, będą musieli dać za wygraną!

Wszystko zależało od tego, kiedy posterunkowy Carl wstanie z łóżka i odkryje w kuchni ciało Jane. Początkowo na pewno uzna, że sam zawinił. W niedzielne poranki w stołówce nigdy nie podawano śniadań; jedynym niedzielnym posiłkiem była wczesna kolacja. Podkuchenne zjawią się dopiero po południu: kiedy odkryją, że kucharz z

synem zniknęli, raczej nie polecą z tym do posterunkowego. Przynajmniej nie od razu. Kowboj nie będzie też miał powodu, żeby szukać Ketchuma.

Dominicowi przyszło do głowy, że może jednak zaczekają na Ketchuma do dziewiątej. O ile znał posterunkowego, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa Carl zakopie Jane i puści ją w niepamięć – znaczy, dopóki nie dowie się o zniknięciu kucharza z synem. Większość mieszkańców Twisted River dojdzie do wniosku, że Indianka Jane pojechała z nimi! Jedynie posterunkowy będzie znał prawdę, a w świetle zaistniałych okoliczności (wysoce podejrzany, przedwczesny pogrzeb) raczej nie będzie skłonny na dowód swych racji wykopywać zwłok.

A może Dominic Baciagalupo tylko się łudził? Posterunkowy nie zawahałby się pochować Indianki Jane, gdyby istotnie wierzył we własną winę. Naiwne było z kolei myślenie, że odczuje z tego powodu jakąkolwiek skruchę, na tyle, żeby sobie strzelić w łeb. (To dopiero była naiwność – skruszony posterunkowy, tak jakby Carl znał choćby znaczenie tego słowa!).

Na prawo od zastawy i przelewu, poza granicą zapory, woda krążyła przy śluzie zgodnie z ruchem wskazówek zegara, unosząc parę kłód zniesionych przez wiatr (oprócz świerku była tam również sosna czerwona oraz modrzew). Dan i jego tata nie dostrzegli ciała. Stłoczone kłody piętrzyły się w miejscu, gdzie woda przepływała przez śluzę, lecz na tle mokrej kory i ciemnego tła rzeki nie odcinało się nic szczególnego. Na wodzie unosiła się skórzana rękawica, ale obaj wiedzieli, że Angel nie nosił rękawic. Czarna tafla poprzetykana była dryfującymi kawałkami kory, lecz ku rozczarowaniu i uldze Dominica tam również nie było zwłok.

– Może Angel jakoś się wydostał – rzucił Danny, ale jego tata wiedział lepiej: nikt równie nieopierzony nie mógł tak po prostu wpaść pod kłody, a potem wyjść.

Minęła siódma, lecz oni nie przerwali poszukiwań; rodzina, od której uciekł Angel, też pewnie chciałaby wiedzieć, co się z nim stało. Przeszukanie rozległych połaci stawu w pewnym oddaleniu od śluzy zajmie im więcej czasu, lecz przynajmniej będą tam stąpać po pewniejszym gruncie. Im bliżej podchodzili tamy i zapory, tym bardziej się o siebie martwili. Nie mieli korków, nie byli Ketchumem; ba, nie byli nawet niedoświadczonymi flisakami. W ogóle nie byli flisakami.

O wpół do dziewiątej znaleźli Angela. Długowłosy chłopiec w koszuli w czerwono-biało-zieloną kratę unosił się twarzą w dół na mieliźnie, blisko brzegu; opodal nie było ani jednej kłody. Danny nie musiał nawet zamoczyć nóg, żeby go doholować na brzeg. Posłużył się przy tym złamaną gałęzią, a następnie zawołał ojca. Wspólnymi siłami wyciągnęli Angela, który w porównaniu z Indianką Jane wydał im się lekki jak piórko.

Rozsznurowali korki młodego flisaka; jeden z nich posłużył im za naczynie do noszenia czystej wody, którą zmyli błoto i kawałki kory z twarzy i rąk Angela, perłowo bladych, w lekko błękitnawym odcieniu. Danny próbował doprowadzić do ładu jego włosy, przeczesując je palcami jak grzebieniem.

On pierwszy zobaczył pijawkę. Była długa i gruba jak wygięty dziwnie palec wskazujący Ketchuma; miejscowi nazywali je krwiopijcami z północy. Przyssała się do szyi Angela. Kucharz wiedział, że jest ich więcej. Wiedział też, jak Ketchum nienawidzi pijawek. Wszystko wskazywało na to, że nie oszczędzi przyjacielowi widoku zwłok, ale – z pomocą Daniela – mógł oszczędzić mu pijawek.

Do dziewiątej zdążyli przenieść Angela w pobliże tartaku, na suchą i częściowo nasłonecznioną przystań, skąd mieli widok na parking. Wcześniej rozebrali go i usunęli blisko dwadzieścia pijawek, następnie wytarli chłopca jego mokrą, kraciastą koszulą i przebrali w odzież zabraną z domu.

Podkoszulek zbyt obszerny dla Danny'ego pasował na Angela jak ulał, stare spodnie Dominica zwieńczyły dzieło. Ketchum, jeśli się zjawi, zobaczy go przynajmniej w czystym, suchym ubraniu. Na siny odcień skóry niewiele mogli poradzić; nie sposób było mieć nadzieję, że blade, kwietniowe słońce przywróci rumieńce martwemu chłopcu, lecz Angel jakimś cudem wyglądał, jakby było mu ciepło.

– Czekamy na Ketchuma? – zapytał Danny.

– Jeszcze chwilę – odpowiedział kucharz. Dan uświadomił sobie, że teraz tata się denerwuje. (Co jak co, ale Dominic wiedział dobrze, że czas jest nieubłagany).

Wyżymając brudną, przemoczoną odzież Angela, kucharz wymacał w lewej kieszeni spodni jego tani portfel ze sztucznej skóry: wewnątrz, w plastikowej osłonce zmętniałej od wody, znajdowało się zdjęcie ładnej, krągłej kobiety. Dominic przetarł plastik rękawem koszuli, dzięki czemu mógł się lepiej przyjrzeć. Podobieństwo do Angela było uderzające. Z całą pewnością była to matka chłopca, kobieta nieco starsza od kucharza, ale młodsza od Indianki Jane.

W portfelu nie było dużo pieniędzy, tylko parę drobnych banknotów amerykańskich (Dominic miał nadzieję znaleźć też kanadyjskie) oraz wizytówka restauracji o włoskiej nazwie. Potwierdziło to wcześniejsze przypuszczenia kucharza, że Angel miał pewne doświadczenie w pracy w kuchni, choć zapewne wymarzył sobie inną przyszłość.

Coś jeszcze mu się nie zgadzało. Restauracja nie znajdowała się w Toronto, ani w ogóle w Ontario; była to włoska restauracja w Bostonie w stanie Massachusetts, jej nazwa zaś stanowiła kolejną niespodziankę. Były to słowa, które syn Annunziaty Saetty znał na pamięć, gdyż jego matka często wypowiadała je z goryczą zrodzoną z poczucia odrzucenia. *Vicino di Napoli*, mawiała Nunzi w odniesieniu do miejsca pobytu nieobecnego ojca Dominica,

co przywoływało obraz prowincji i położonych na wzgórzach miasteczek „w okolicy Neapolu”, skąd pochodził jego ojciec (i dokąd rzekomo powrócił). Nazwy owych miast i prowincji, które Annunziata mówiła przez sen – Benevento i Avellino – zadźwięczały Dominicowi w uszach.

Czy to możliwe, że jego wyrodny ojciec zbiegł nie dalej niż do włoskiej restauracji przy Hanover Street, którą Nunzi określała mianem meliny bostońskiego North Endu? Tak się bowiem składało, że restauracja z wizytówki Angela nosiła nazwę „Vicino di Napoli” – czyli była lokalem neapolitańskim – i mieściła się przy Hanover Street, nieopodal Cross Street. Nazwy ulic również przeniosły Dominica w czasy dzieciństwa za sprawą często wspominanej przez Nunzi pietruszki (*prezzémolo*) oraz wzmianek na temat „Matki Anny” i „Europeo”, innych lokali położonych przy Hanover Street.

Żaden z owych szczegółów nie uderzył go, jak mógłby się spodziewać – nie w dniu, kiedy dwunastoletni Daniel Baciagalupo zabił kochankę swego ojca za pomocą patelni, z której ten ostatni zrobił jakże legendarny użytek. (Czy ktoś uwierzyłby teraz, że przed laty obronił swą obecnie zmarłą małżonkę przed niedźwiedziem?). Mimo to Dominic nie był przygotowany na to, co jeszcze zobaczył w portfelu Angela Pope'a. O ile się nie mylił, był to letni karnet bostońskiej komunikacji publicznej, innymi słowy, bilet miesięczny, jak nazywała go Nunzi. Według zawartych na nim informacji, latem 1953 roku właściciel karnetu nie miał ukończonych szesnastu lat, co potwierdzała zamieszczona poniżej data urodzin Angela. Chłopiec urodził się szesnastego lutego 1939 roku, co oznaczało, że dopiero niedawno skończył piętnaście lat. Czyli uciekł z domu, mając lat zaledwie czternaście – o ile w ogóle uciekł. I nie sposób było stwierdzić z całą pewnością, czy Boston nadal jest jego „domem”, chociaż karnet i wizytówka z „Vicino di Napoli” zdawały się dobitnie na to wskazywać.

Szczególną uwagę Dominica Baciagalupo zwróciło prawdziwe nazwisko Angela, które bynajmniej nie brzmiało Pope.

ANGELÙ DEL POPOLO

– Kto? – zapytał Danny, kiedy ojciec odczytał na głos dane z karnetu.

Kucharz wiedział, że Del Popolo oznacza „Ludzi”, Pope zaś było częstym zamerykanizowaniem nazwiska sycylijskiego; podczas gdy Del Popolo niekoniecznie było sycylijskie, An-ge-LU było takie z całą pewnością, o czym kucharz też dobrze wiedział. Czy chłopiec pracował w neapolitańskiej restauracji? (W wieku czternastu lat praca w niepełnym wymiarze godzin nie była sprzeczna z prawem). Ale co skłoniło go do ucieczki? Sądząc po zdjęciu, nadal kochał mamę.

Dominic ograniczył się do stwierdzenia:

– Wygląda na to, że Angel nie był tym, za kogo się podawał, Danielu. – Pokazał synowi karnet: to i wizytówka z „Vicino di Napoli” stanowiły dla nich jedyny punkt zaczepienia, jeśli kiedykolwiek mieli odnaleźć rodzinę Angelù Del Popolo.

Zaraz pojawił się inny, bardziej palący problem. Gdzie, do licha, podziewa się Ketchum, zastanawiał się Dominic Baciagalupo. Ile mają czekać? A jeśli posterunkowy Carl wcale nie był taki pijany? Jeśli znalazł ciało Indianki Jane i od razu spostrzegł, że to nie on jej przyłożył – przynajmniej nie zeszłej nocy?

Kucharz nie miał pojęcia, jaką wiadomość mógłby zostawić Ketchumowi przy zwłokach Angela, bo jeśli to nie on pierwszy znajdzie ciało? Czy owa wiadomość nie powinna być zaszyfrowana?

Niespodzianka!

Angel nie jest Kanadyjczykiem!

A tak w ogóle, Jane miała wypadek!

Nikt tego nie zrobił – nawet Carl!

Jak mógłby napisać coś takiego?

– Czy wciąż czekamy na Ketchuma? – zapytał Dan. Na co jego ojciec odparł z rosnącą niepewnością: – Jeszcze trochę, Danielu. Jeszcze trochę.

Piosenka płynąca z radia sponiewieranej furgonetki Ketchuma dotarła do nich, zanim jeszcze ujrzeli sam pojazd; być może to Jo Stafford śpiewała *Make Love to Me*, ale Ketchum wyłączył radio, nim kucharz zdążył się upewnić. (Ketchum w porażającym tempie tracił słuch. Radio zawsze miał włączone na cały regulator, szyby zaś – skoro poniekąd mieli wiosnę – przeważnie opuszczone). Dominic odetchnął z ulgą, że Pam nie zabrała się razem z nim; niepotrzebnie utrudniłoby to sprawę.

Ketchum zaparkował rozklekotaną kupę złomu w pewnym oddaleniu od pontiaca; siedział z gipsem opartym o kierownicę i oczami utkwionymi tam, gdzie w niepewnym blasku słońca za ich plecami spoczywał Angel.

– Widzę, że go znaleźliście – oznajmił, po czym przeniósł wzrok w kierunku tamy, jakby liczył kłody na rzece.

Jak zwykle miał ze sobą zarówno przewidywalne, jak i zgoła zdumiewające przedmioty; tylną część furgonetki przykrywała plandeka własnej roboty, która upodabniała pojazd do wanigana. Ketchum woził ze sobą piły łańcuchowe oraz cały arsenał siekier i innych narzędzi, a także, pod płócienną osłoną, pokaźny stosik drewna na opał, w razie gdyby naszła go ochota na rozpalenie ogniska.

– Daniel i ja możemy położyć Angela na tyle furgonetki, gdzie nie będziesz go widział – powiedział Dominic.

– A dlaczego nie może jechać z wami w pontiacu? – spytał Ketchum.

– Ponieważ nie wracamy do Twisted River – odpowiedział staremu przyjacielowi kucharz.

Ketchum westchnął, po czym jego spojrzenie z wolna spoczęło na An-ge-LU. Flisak wysiadł z samochodu i utykając z niewyjaśnionych powodów, ruszył w stronę przystani; Dominic zastanawiał się, czy Ketchum go przedrzeźnia. Podniósł zwłoki chłopca, jakby miał do czynienia ze śpiącym niemowlęciem, a następnie zaniósł je do szoferki. Danny pobiegł otworzyć mu drzwi.

– Chyba mogę go zobaczyć, skoro i tak przyjdzie mi go wyładować – oznajmił. – Rozumiem, że to twoje ubrania? – zapytał Dana.

– Moje i taty – odpowiedział dwunastolatek.

Kucharz pokuśtykał do furgonetki, niosąc mokre i brudne ubranie Angela; położył je na podłodze, pod nogami martwego chłopca.

– Przydałoby się je wyprać – powiedział do Ketchuma.

– Poproszę Jane – odparł Ketchum. – I razem obmyjemy Angela, a potem przebierzemy go w jego własną odzież.

– Jane nie żyje, Ketchum – mruknął kucharz. Chciał dodać „To był wypadek”, ale Daniel go uprzedził.

– Zabiłem ją patelnią, tą, którą tata walnął niedźwiedzia – wypalił chłopiec. – Myślałem, że Jane to niedźwiedź – dodał tonem wyjaśnienia.

Kucharz potwierdził jego słowa, uciekając spojrzeniem. Ketchum otoczył chłopca potężnym ramieniem i przyciągnął go do siebie. Dan ukrył twarz w jego flanelowej koszuli, tej samej zielononiebieskiej koszuli w kratę, którą wcześniej miała na sobie Sześciopak Pam. Połączone ze

sobą zapachy Ketchuma i Pam przywiodły chłopcu na myśl ich muskularne ciała.

Ketchum wskazał gipsem na pontiaca.

– Jezu, Ziółko, chyba nie ukryłeś tam biednej Jane?

– Zawieźliśmy ją do posterunkowego Carla – poinformował Danny.

– Nie wiem, czy Carl spał w drugim pokoju, czy jeszcze nie wrócił, ale zostawiłem Jane na podłodze w kuchni – wyjaśnił kucharz.

– Oczywiście pomyśli, że to on! – zagrzmiał Ketchum. – Dam głowę, że pochował ją godzinę temu, albo właśnie kopie cholerny dół. Ale wiadomość o waszym wyjeździe wyprowadzi go z błędu! Jeśli obaj nie wrócicie mi zaraz do Twisted River, zwali winę na ciebie, Ziółko!

– Mówisz, że mam blefować? – zapytał Dominic.

– A gdzie tu miejsce na blef? – odpowiedział mu pytaniem Ketchum. – Przez resztę swego parszywego życia kowboj będzie zachodził w głowę, jak i dlaczego zatłukł Jane, albo ruszy za wami w pogoń.

– Zakładasz, że nie będzie niczego pamiętał – spytał kucharz. – To dosyć śmiałe założenie, nie sądzisz?

– Sześciopak opowiedziała mi o twojej nocnej wizycie – zakomunikował Ketchum. – Myślisz, że cokolwiek z tego pamiętam?

– Pewnie nie – odrzekł Dominic. – Ale sugerujesz, że mam postawić wszystko na jedną kartę. – Mówiąc „wszystko”, odruchowo i mimowolnie popatrzył na młodego Daniela.

– Jedziesz do stołówki, ja pomagam ci rozładować samochód, a gdy zjawiają się podkuchenne, zachowujecie się jak gdyby nigdy nic – podjął Ketchum. – Potem, w okolicach kolacji, posyłasz Dot lub May, albo inną z tych bezużytecznych larw, do posterunkowego Carla. Każesz jej powiedzieć: „Gdzie Jane? Ziółko dostaje świra bez swojej

pomywaczki!”. To dopiero będzie blef! I będziesz kryty – uzupełnił. – Kowboj ze strachu posra się w gacie. I będzie tak srał latami, żeby tylko przypadkiem jakiś kundel nie odkopał Jane!

– Sam nie wiem, Ketchum – zastanawiał się kucharz. – To wielkie ryzyko. Nie mógłbym chyba… nie z Danielem.

– Ucieczka naraża was na większe ryzyko – odparł jego stary przyjaciel. – Psiakrew, jeśli kowboj odstrzeli ci łeb, zaopiekuję się Dannym.

Dan przenosił wzrok z ojca na Ketchuma i z powrotem.

– Moim zdaniem powinniśmy wrócić – powiedział tacie.

Kucharz zaś wiedział, że zmiana – jakakolwiek – budzi w synu niepokój. To jasne, że Daniel Baciagalupo opowie się za tym, aby pozostać na miejscu i postawić wszystko na jedną kartę; wyjazd oznaczał niewiadomą, a tym samym budził strach.

– Spójrz na to tak, Kuchciku – mówił Ketchum, celując w przyjaciela gipsem, równie ciężkim jak colt kaliber 45. – Jeśli się mylę i Carl cię zastrzeli, nie waży się tknąć Danny'ego nawet palcem. Ale jeśli mam rację i kowboj ruszy za wami w pogoń, załatwi was obu, ponieważ obaj będziecie zbiegami.

– O właśnie, jesteśmy zbiegami – odpowiedział Dominic. – Nie jestem hazardzistą, Ketchum. Już nie.

– Ale ryzykujesz – upierał się Ketchum. – Ryzyk-fizyk, cokolwiek zrobisz.

– Uściskaj Ketchuma, Danielu. Na nas już czas – polecił kucharz.

Danny Baciagalupo miał zapamiętać ten uścisk, a także to, że ojciec i Ketchum się nie objęli, chociaż byli takimi starymi i dobrymi przyjaciółmi.

– Idą wielkie zmiany, Kuchciku – spróbował Ketchum. – Już niedługo nie będzie spływów. Znikną tamy na stawach

Dummer, ta też nie przetrwa – dodał. Ogarnął gipsem śluzę, ale nazwy Tamy Nieboszczki nie wymówił.

– Dummer i mały Dummer, i Twisted River, będą po prostu wpływać do Pontook. Spodziewam się, że stare pomosty na Androscoggin się uchowają, ale nikt nie będzie z nich korzystał. A kiedy w Zachodnim Dummer i Twisted River po raz pierwszy wybuchnie pożar, myślisz, że ktoś zada sobie trud, żeby je odbudować? Czy starzy, sterani ludzie nie woleliby się raczej przenieść do Mediolanu albo Errol, a nawet Berlina? – dorzucił Ketchum. – Musicie tylko zostać i przeżyć to wstrętne miejsce, Ziółko, ty i Danny. – Ale kucharz i jego syn szli już do samochodu. – Jeśli teraz uciekniecie, zawsze będziecie uciekać! – krzyknął za nimi. Obszedł furgonetkę i pokuśtykał do drzwi od strony kierowcy.

– Dlaczego kulejesz? – zawołał do niego kucharz.

– Psiakrew – odpowiedział Ketchum. – Przed drzwiami Pam brakuje stopnia, wyleciało mi z głowy.

– Trzymaj się, Ketchum – rzucił na pożegnanie stary przyjaciel.

– Ty też, Ziółko – odparł Ketchum. – O wargę nie pytam, ale wiem coś o tym.

– À propos, Angel nie był Kanadyjczykiem – powiedział Dominic Baciagalupo.

– Naprawdę nazywał się Angelù Del Popolo – wyjaśnił Dan. – I nie przyjechał z Toronto, tylko z Bostonu.

– Rozumiem, że tam się wybieracie? – zapytał Ketchum. – Do Bostonu?

– Angel musiał mieć rodzinę, trzeba kogoś powiadomić – odpowiedział kucharz.

Ketchum skinął głową. Wpadające przez przednią szybę niemrawe słońce igrało z postacią Angela, który siedział (prawie prosto) z twarzą czujnie zwróconą naprzód. Nie

tylko wyglądał jak żywy, ale zdawał się wręcz u progu swej życiowej podróży, a nie u jej kresu.

– A może powiem Carlowi, że pojechaliście ze smutną nowiną do rodziny Angela? Stołówka chyba nie wygląda tak, jakbyście odeszli na dobre, co? – spytał Ketchum.

– Nie zabraliśmy nic szczególnego – odparł Dominic. – Wszystko wygląda tak, jakby czekało na nasz powrót.

– A może powiem kowbojowi, że jestem zdziwiony, że Indianka Jane nie pojechała z wami? – zaproponował Ketchum. – Powiem na przykład, że na miejscu Jane też pojechałbym do Kanady. – Danny widział, że tata zastanawia się nad tym usilnie, a wtedy Ketchum dodał: – Raczej nie wspomnę, że pojechaliście do Bostonu. Lepiej będzie ująć to tak: „Na miejscu Jane też pojechałbym do Toronto”. Co ty na to?

– Cokolwiek powiesz, nie gadaj za dużo – poprosił kucharz.

– Chyba pozostanie dla mnie Angelem, jeśli nie macie nic przeciwko temu – oznajmił Ketchum, włażąc do furgonetki; zerknął przelotnie na martwego chłopca i szybko odwrócił wzrok.

– Dla mnie też! – zawołał Dan.

Ani kucharz, ani Ketchum nie wiedzieli, w jakim stopniu dwunastolatek świadomy jest przygody, której początek sięgał może czasów bardziej odległych aniżeli jego tragiczna pomyłka; w każdym razie Danny wydawał się bardzo „świadomy”. Ketchum musiał wiedzieć, że być może widzi ich po raz ostatni, i spróbował ukazać ryzykowny krok kucharza w bardziej pozytywnym świetle.

– Danny! – krzyknął. – Musisz wiedzieć, że ja też nieraz brałem Jane za niedźwiedzia!

Nie potrafił jednak snuć pozytywnych wizji.

– Jane nie miała na głowie wodza Wahoo… kiedy to się stało? – zapytał Danny'ego.

– Nie – odpowiedział chłopiec.

– Psiakrew, Jane… a niech to jasna cholera! – krzyknął Ketchum. – Jeden gość w Cleveland mówił, że ta czapka przynosi szczęście – wyjaśnił chłopcu. – Twierdził, że wódz Wahoo to duch, który niby opiekuje się Indianami.

– Może teraz się nią opiekuje – odpowiedział Danny.

– Nie wyjeżdżaj mi tutaj z religią, Danny, tylko zapamiętaj Indiankę, jaką była. Jane naprawdę cię kochała – oznajmił dwunastolatkowi. – Czcij jej pamięć, tyle możesz zrobić.

– Już za tobą tęsknię, Ketchum! – krzyknął nagle chłopiec.

– Psiakrew, Danny… lepiej już jedźcie, jak macie jechać – odpowiedział flisak.

Po czym zapuścił silnik i odjechał leśną drogą w kierunku Twisted River, pozostawiając kucharza i jego syna u progu dłuższej i bardziej niepewnej podróży do następnego życia.

II
BOSTON, 1967

Rozdział 5
NOM DE PLUME

Minęło pechowe trzynaście lat, odkąd posterunkowy Carl potknął się w kuchni o ciało indiańskiej pomywaczki, i nawet Ketchum nie umiał powiedzieć z całą pewnością, czy kowboj podejrzewa kucharza i jego syna, którzy znikli tej samej nocy. Jeśli wierzyć plotkarzom z tej części Coos – czyli z całego rejonu górnej Androscoggin – Indianka Jane znikła wraz z nimi.

Zdaniem Ketchuma Carl martwił się tym, że ludzie dają wiarę takim pogłoskom; dręczyło go to bardziej aniżeli prawdopodobieństwo, że zamordował swoją dziewczynę bliżej nieokreślonym tępym narzędziem (którego nigdy nie odnaleziono). Musiał wierzyć, że zabił Jane, w końcu ukrył jej ciało. Jane przepadła jak kamień w wodę (ciała też nie odnaleziono).

Mimo to dalej wypytywał Ketchuma, ilekroć ten stanął mu na drodze.

– Nadal żadnej wiadomości od Ziółka? – pytał niezmiennie. – Myślałem, że jesteście przyjaciółmi.

– Ziółko zawsze był skryty – powtarzał do znudzenia Ketchum. – Nic dziwnego, że nie pisze.

– A chłopak? – pytał czasami kowboj.

– Co: chłopak? Danny to tylko dzieciak – odpowiadał lojalnie Ketchum. – Dzieciaki nie piszą listów, nie?

Daniel Baciagalupo zaś pisał na potęgę, nie tylko do Ketchuma. Od początku ich korespondencji podkreślał w listach, że chce zostać pisarzem.

„W takim razie uważaj na katolików”, odpisał Ketchum dziwnie kobiecym charakterem pisma. Danny zapytał tatę,

czy oprócz tańca, o czytaniu nie wspominając, mama nauczyła też Ketchuma swego charakteru pisma.

– Nie sądzę – odpowiedział tylko Dominic.

Zagadka ładnego pisma Ketchuma pozostała nierozwiązana, a Dominic przywiązywał do tego niewielką wagę, w przeciwieństwie do syna. Przez trzynaście lat Danny Baciagalupo, przyszły pisarz, korespondował z Ketchumem częściej niż ojciec. Listy kucharza i Ketchuma były na ogół zwięzłe i na temat. Dominic dopytywał zawsze, czy posterunkowy ich szuka.

„Lepiej załóż, że tak”, kwitował przeważnie Ketchum, chociaż ostatnio jakby się rozgadał. Wysłał Danny'emu i Dominicowi dokładnie ten sam list; co więcej, był on napisany na maszynie, co również stanowiło pewną nowość. „Coś się kroi”, pisał Ketchum. „Musimy pogadać”.

Łatwo powiedzieć: Ketchum nie miał telefonu. Miał zwyczaj dzwonić do Danny'ego i Dominica z budki telefonicznej na ich koszt; owe rozmowy zwykle urywały się gwałtownie, kiedy oświadczał, że odmroził sobie jaja. Fakt, w północnym New Hampshire było zimno, podobnie jak w Maine, gdzie Ketchum spędzał coraz więcej czasu, niemniej jednak przeważnie telefonował do nich wtedy, gdy temperatura spadała poniżej zera. (Być może była to przemyślana strategia – może Ketchum wolał przekazywać wieści krótko i zwięźle).

W swym pierwszym wystukanym na maszynie liście informował dalej, że kowboj zrobił „złowieszczą aluzję”. Nic nowego, posterunkowy zawsze był złowieszczy, aluzjami zaś sypał jak z rękawa, o czym Danny i Dominic doskonale wiedzieli, tym razem jednak konkretnie wspomniał o Kanadzie. Zdaniem Carla wojna w Wietnamie przyczyniła się do zwarzenia stosunków amerykańsko-kanadyjskich. „Kanadyjczycy palcem nie kiwną, żeby mi pomóc”, wyżalił się Ketchumowi, który wywnioskował z jego słów, że Carl

dalej rozpytuje za granicą. Przez trzynaście lat wierzył, że kucharz i jego syn zbiegli do Toronto. Jeśli faktycznie ich szukał, nie brał pod uwagę Bostonu – jeszcze nie. Tym razem Ketchum napisał, że coś się kroi.

Udzielona przed laty Danny'emu rada Ketchuma – że jeśli chce zostać pisarzem, powinien unikać katolików – wynikała zapewne z jego braku rozeznania w sytuacji. Szkoła Michała Anioła, do której Danny uczęszczał w North Endzie, była gimnazjum publicznym. Uczniowie nazywali ją Mickey, gdyż nauczyciele byli Irlandczykami, ale nie było wśród nich zakonnic. Ketchum musiał założyć, że to szkoła katolicka. („Nie pozwól, żeby wyprali ci mózg”, napisał do Danny'ego; to, czy „oni” odnosiło się do „katolickiej mentalności”, stało pod wielkim znakiem zapytania).

Dan nie przywiązywał wagi do katolicyzmu (ani tym bardziej nie ulegał jego wpływom); od początku pobytu na North Endzie uderzyła go jego „włoskość”. Szkoła przyciągała włoskich imigrantów, których dzieci dzięki niej się amerykanizowały. Przeludnione domy czynszowe z zimną wodą, w których mieszkało wielu kolegów szkolnych Danny'ego, powstały z myślą o imigrantach irlandzkich, zamieszkujących North End przed Włochami. Irlandczycy jednak przenieśli się do Dorchester i Roxbury albo „na Południe”. Nie tak dawno temu w okolicy mieszkała garstka portugalskich rybaków – przy Fleet Street uchowała się może jedna lub dwie rodziny – ale w 1954 roku, po przyjeździe Danny'ego Baciagalupo i jego taty, North End był praktycznie bez reszty opanowany przez Włochów.

Kucharz i jego syn nie byli traktowani jak obcy, a przynajmniej niedługo. Zbyt wielu krewnych chciało ich przygarnąć. Były wśród nich niezliczone rzesze Calogerów i całe zastępy Saettów, kuzynów i nibykuzynów, którzy uparcie nazywali Baciagalupów „rodziną”. Dominic i Dan natomiast nie przywykli do licznych rodzin, o niezliczonych

nie wspominając. Dotąd cieszyli się izolacją w Coos. Włosi nie znali się na rezerwie: albo dawali ci *abbràcio* („uścisk”), albo rwali się do bitki.

Starszyzna dalej zbierała się na rogach ulic i w parkach, gdzie słyszało się nie tylko dialekty Neapolu i Sycylii, lecz także Abruzji i Kalabrii. Gdy robiło się ciepło, młodzi i starzy spędzali całe dnie na zewnątrz, na wąskich uliczkach. Wielu z owych imigrantów przybyło do Ameryki na przełomie stulecia, nie tylko z Neapolu i Palermo, ale i z niezliczonych wiosek Południa. Odtworzyli swe dawne, uliczne życie na bostońskim North Endzie, przy straganach z warzywami i owocami, małych piekarniach i cukierniach, na targach mięsnych, wózkach ze świeżymi rybami, które co piątek zjawiały się na Cross i Salem Street, u golarzy i pucybutów, na letnich festynach i uroczystościach oraz w siedzibach osobliwych stowarzyszeń religijnych, których witryny zdobiono postaciami świętych patronów. To znaczy, owi święci stanowili „osobliwość” dla Dominica i Daniela Baciagalupo, którzy przez trzynaście lat nie zdołali odnaleźć w sobie tego, co „katolickie” bądź z gruntu „włoskie”.

Trzeba zaznaczyć, że co do „włoskości” Danny poczynił jednak pewne postępy: bądź co bądź próbował wyzbyć się północnego chłodu rodem z New Hampshire. Dominic przeciwnie; mógł gotować jak Włoch, ale bycie Włochem to zupełnie inna sprawa.

Na przekór błędnym założeniom Ketchuma, jakoby Michał Anioł był szkołą katolicką, Danny długo nie mógł darować ojcu, że obwinia flisaka o to, iż chłopiec „ubzdurał sobie” wyjechać do szkoły z internatem. Ketchum napisał tylko w jednym ze swych wczesnych listów do Danny'ego – na bank dziewczęcym pismem – że najmądrzejszy „gość”, którego znał, uczęszczał do prywatnej szkoły w okolicach wybrzeża New Hampshire. Miał na myśli Exeter, położone niezbyt daleko na północ od Bostonu, w owych czasach zaś

można było dojechać tam koleją, jak mawiał Ketchum, „dobrą, starą Boston & Maine”. Z bostońskiego Dworca Północnego Boston & Maine docierała też do północnego New Hampshire. „Do licha, założę się, że z North Endu dojdziesz na Dworzec Północny na piechotę”, napisał do Dana. „Nawet byle kuternoga pewnie by doszedł”. (Określenie „gość” coraz częściej przewijało się w listach Ketchuma – być może za sprawą Pam, chociaż Jane też tak mówiła. Danny i jego tata również).

Nie podobało się kucharzowi, że Ketchum „ingeruje” w kwestie edukacji Danny'ego, chociaż chłopiec bronił starego przyjaciela jak lew. Tym bardziej że Dominic o dziwo nie miał pretensji do pana Leary'ego, który w siódmej i ósmej klasie uczył jego syna angielskiego i bardziej niż Ketchum przyczynił się do tego, że Danny koniec końców trafił do Exeter.

Za to akurat Dominic powinien mieć pretensje do siebie, gdyż na wieść o tym, że Exeter (w tamtych czasach) było szkołą wyłącznie dla chłopców, z miejsca zgodził się, by jego ukochany syn opuścił dom jesienią 1957 roku w wieku zaledwie piętnastu lat. Rozstanie z chłopcem i tęsknota rozdzierały mu serce, ale nocą mógł spać spokojnie, kołysany świadomością (bądź, jak mawiał Ketchum, „złudzeniem”), że uchronił syna przed zakusami dziewcząt. Dominic puścił Danny'ego do Exeter, gdyż (jak napisał Ketchumowi) pragnął „jak najdłużej” utrzymać go z dala od dziewcząt.

„Cóż, to twój problem, Ziółko”, odpisał jego stary przyjaciel.

I miał rację. Na początku nic na to nie wskazywało; kiedy przybyli na North End, Danny miał dopiero dwanaście lat i raczej nie zwracał uwagi na dziewczęta – ale kucharz widział, że one zwracają uwagę na niego. Pośród licznych kuzynek i niby-kuzynek z rodów Saetta i Calogero wkrótce miało zaroić się od kuzynek całuśnych, nie wspominając o

niezliczonych dziewczętach, które Danny niebawem pozna, ponieważ North End był „sąsiedztwem”, gdzie człowiek poznawał kogoś na każdym kroku. Kucharz i jego dwunastoletni syn nigdy nie mieszkali w „sąsiedztwie”.

W tamtą kwietniową niedzielę w roku 1954 ojciec z synem z pewnym trudem znaleźli North End; nawet wówczas łatwiej tam było przemieszczać się pieszo niż samochodem. Jazda i parkowanie pontiaca stanowiły pewne wyzwanie, zapewne nie na miarę przetransportowania ciała Indianki Jane ze stołówki do kuchni posterunkowego Carla, ale zawsze. Gdy dotarli wreszcie pieszo na Hanover Street – podziwiając po drodze złotą kopułę parlamentu stanowego, jaśniejącą w górze niczym słońce na innej planecie – najpierw zobaczyli dwie inne restauracje („Europeo” i „Matkę Annę”), po czym ich wzrok spoczął na „Vicino di Napoli”.

Było późne popołudnie – mieli za sobą długą podróż z północnego New Hampshire – lecz w porównaniu z chłodnym porankiem nad Tamą Nieboszczki, gdzie zostawili sine ciało Angela pod opieką Ketchuma, dzień wydał im się ciepły i słoneczny.

Tutaj ludzie wystawali na chodnikach całymi rodzinami; rozmawiali ze sobą, niektórzy nawet krzyczeli (przy Tamie Nieboszczki i w Twisted River przed ich porannym wyjazdem Dominic i Danny widzieli tylko zamordowaną pomywaczkę, topielca oraz Ketchuma). Tutaj, od chwili gdy zaparkowali pontiaca i poszli pieszo, Danny z wrażenia zapomniał języka; nigdy nie widział takiego miejsca, nawet w filmach. (W Twisted River nie było kina; Indianka Jane zabierała go czasem na film do Berlina. Kucharz twierdził, iż za nic w świecie nie wróci do Berlina, „chyba że w kajdankach”).

W tamtą kwietniową niedzielę na Hanover Street, gdy zatrzymali się przed witryną „Vicino di Napoli”, Danny popatrzył na ojca, który miał minę, jakby zawleczono go do

Nowej Anglii w kajdankach – w każdym razie nie kwapił się do wejścia. Dominic zastanawiał się, czy nad posłańcem złych wiadomości nie ciąży aby klątwa. Jaki los go czeka? Czy pewnego dnia przydarzy mu się coś gorszego?

Syn wyczuł jego wahanie, lecz nim zdążyli nacisnąć klamkę, drzwi otworzyły się od wewnątrz i na progu stanął starszy mężczyzna.

– PRO-simy, PRO-simy! – rzucił zachęcająco, a następnie ujął Danny'ego za nadgarstek i pociągnął go w głąb sali, w której unosiły się kuszące aromaty włoskiej kuchni. Dominic podreptał za nimi bez słowa. Na pierwszy rzut oka spostrzegł, że mężczyzna nie jest jego znienawidzonym ojcem; starszy pan nie był podobny do Dominica, a poza tym był za stary na Gennaro Capodilupo.

Nie było wątpliwości, że mają do czynienia z głównym kelnerem i właścicielem „Vicino di Napoli", który nie pamiętał wprawdzie Annunziaty Saetty, ale znał Nunzi (sam o tym nie wiedząc) i całe mnóstwo Saettów. W tamtą niedzielę nie zdawał sobie ponadto sprawy, że to właśnie ojca Dominica, Gennaro Capodilupo, przed laty wylał z pracy; Gennaro, ta świnia, był w „Vicino di Napoli" pomocnikiem kelnera. (To właśnie tu niepoprawny flirciarz poznał Nunzi!). Podstarzały oberżysta słyszał o Annunziacie, a także o Rosinie vel „Rosie" Calogero. Skandale stanowiły nieodłączny aspekt życia w sąsiedztwie, o czym Dan i jego tata wkrótce mieli się przekonać.

Sala w „Vicino di Napoli", była niewielka, a stoliki małe i nakryte obrusami w biało-czerwoną kratkę; dwie młode kobiety i dzieciak (mniej więcej w wieku Angela) rozkładali nakrycia. Za kontuarem z nierdzewnej stali Dominic zobaczył ceglany piec do pizzy oraz otwartą kuchnię, w której uwijali się dwaj kucharze. Stwierdził z ulgą, że obaj są za młodzi na jego ojca.

– Jeszcze mamy zamknięte, ale MO-żecie usiąść, napić się czegoś – powiedział stary, uśmiechając się do Danny'ego.

Dominic sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki, w której ciążył mu portfel Angelù Del Popolo; był jeszcze mokry. Ledwie zdążył go wyjąć, gdy gospodarz cofnął się o krok.

– Jesteś gliniarzem? – zapytał. Słowo „gliniarz” ściągnęło uwagę dwóch kucharzy, którzy ostrożnie wyszli zza kontuaru. Dwie kobiety i dzieciak nakrywający do stołu zamarli i też utkwili wzrok w przybyszu.

– Gliniarze zwykle nie pracują z dziećmi – zauważył jeden z kucharzy. Był cały w mące; biały miał nie tylko fartuch, ale i ręce, aż po łokcie. (Specjalista od pizzy, domyślił się Dominic).

– Nie gliniarzem, tylko kucharzem – oznajmił. Dwaj młodsi mężczyźni i jeden starszy roześmieli się z ulgą, kobiety i dzieciak wrócili do pracy. – Ale muszę wam coś pokazać – uzupełnił Dominic, szperając w portfelu Angela. Nie mógł się zdecydować, co wyjąć najpierw: bilet z nazwiskiem i datą urodzenia Angelù Del Popolo, czy może zdjęcie ładnej, ale otyłej kobiety. Jego wybór padł wreszcie na ten pierwszy, lecz nim zdecydował, komu go podać, starszy mężczyzna zobaczył zdjęcie i wyrwał mu portfel.

– Carmella! – krzyknął.

– Był pewien chłopiec – zaczął Dominic, kiedy dwaj kucharze pochylili się nad zdjęciem. – Może to jego matka…

Nie dokończył. Omączony kucharz zakrył dłońmi twarz, przez co jego policzki stały się zupełnie białe.

– An-ge-LU! – jęknął.

– Nie! Nie! Nie! – zawtórował mu restaurator, łapiąc Dominica za barki i potrząsając nim z całej siły.

Drugi kucharz (najwyraźniej szef kuchni) złapał się za pierś, jakby ktoś ugodził go nożem prosto w serce.

Kucharz od pizzy, z twarzą białą jak klaun, dotknął lekko ręki Dana omączonymi palcami.

– Co się stało z Angelù? – spytał chłopca tak łagodnym tonem, że Dominic zrozumiał, iż sam ma, lub miał, dziecko w wieku Daniela. Obaj kucharze byli jakieś dziesięć lat starsi od Dominica.

– Angel utonął – oświadczył Danny.

– To był wypadek – uzupełnił jego ojciec.

– Angelù nie był rybakiem – zaoponował płaczliwie gospodarz.

– Stało się to podczas spływu drewna – wyjaśnił Dominic. – Chłopiec wpadł pod kłody.

Dwie młode kobiety i chłopiec wybiegli z sali tak szybko, że Danny nawet tego nie zauważył. Jak się później okazało, nie uciekli dalej niż do kuchni.

– Angelù dorabiał sobie tu po szkole – powiedział do Danny'ego starszy mężczyzna. – Pracuje u nas jego mama, Carmella.

Drugi kucharz podszedł bliżej i wyciągnął rękę do Dominica.

– Antonio Molinari – oznajmił szef kuchni, z powagą potrząsając dłonią Dominica.

– Dominic Baciagalupo. Byłem kucharzem w obozie drwali. A to mój syn Daniel.

– Giusé Polcari – przedstawił się właściciel restauracji. Nie odrywał oczu od podłogi. – Nikt nie mówi na mnie Giuseppe. Możecie nazywać mnie po prostu Joe. – Wskazując na omączonego kucharza, stary Polcari dodał: – To mój syn, Paul.

– Mówcie na mnie Danny lub Dan – powiedział chłopiec. – Tylko tata nazywa mnie Danielem.

Tony Molinari podszedł do drzwi, obserwując przechodniów na Hanover Street.

– Idzie! – zawołał. – Widzę Carmellę! – Obaj kucharze uciekli do kuchni, pozostawiając oszołomionych Baciagalupów ze starym Polcari.

– Musicie jej powiedzieć, ja NIE dam rady – oświadczył Giusé (albo po prostu Joe). – Przedstawię was – dodał, popychając Dominica bliżej drzwi; Danny trzymał ojca za rękę. – Jej mąż również utonął… to dopiero była miłość! – dorzucił. – Ale on był rybakiem; ci się topią bez przerwy.

– Czy Carmella ma więcej dzieci? – zapytał Dominic. Teraz widzieli ją wszyscy trzej: krągłą kobietę o pięknej twarzy i kruczoczarnych włosach. Nie miała jeszcze czterdziestu lat; była może w wieku Ketchuma lub trochę starsza. Duże piersi, szerokie biodra i uśmiech; Dan zauważył, że tylko uśmiech miała szerszy niż Jane.

– Angelù był jedynakiem – odpowiedział Giusé. Danny puścił ojcowską rękę, ponieważ stary Polcari usiłował mu coś wcisnąć. Był to portfel Angela, mokry i zimny; wystawał z niego bilet. Danny otworzył portfel i umieścił karnet na swoim miejscu, w chwili gdy Carmella stanęła w progu.

– Hej, Joe… spóźniłam się? – zapytała pogodnym tonem.

– Ty nigdy się nie spóźniasz, Carmello. Zawsze na czas!

Być może właśnie owa chwila przesądziła o tym, że Daniel Baciagalupo został pisarzem: po raz pierwszy przeżył bowiem olśnienie: nieoczekiwanie wejrzał w przyszłość, nie tyle własną, ile swego ojca. Owszem, Carmella była nieco starsza i z pewnością okrąglejsza od kobiety ze zdjęcia, które Angel nosił w portfelu, lecz nikt nie powiedziałby, że straciła urodę. W wieku dwunastu lat Danny był może za młody, by zauważać dziewczęta – albo to one były za młode, aby zwracać jego uwagę – ale interesował się kobietami. (Indianką Jane na pewno, Pam zdecydowanie).

Carmella Del Popolo do złudzenia przypominała mu Jane. Jej oliwkowa skóra sprawiała wrażenie indiańskiej, lekko spłaszczony nos i wydatne kości policzkowe były identyczne, podobnie jak ciemnobrązowe oczy: oczy Carmelli, tak jak oczy Jane, były niemal równie czarne jak włosy. I czyż Carmella nie będzie wkrótce nosić w sercu smutku, jak tamta przed nią? Jane też straciła syna, Carmella zaś – podobnie jak Dominic Baciagalupo – ukochanego małżonka.

Nie żeby Danny dostrzegł wówczas coś, co wskazywałoby na zainteresowanie ojca Carmellą lub na odwrót, ale jedno wiedział na pewno: matka Angela stanie się następną bliską ojcu kobietą, dopóki North End będzie dla nich schronieniem.

– Musisz usiąść, Carmello – mówił stary Polcari, wycofując się w stronę kuchni, gdzie schowała się reszta obsługi. – To kucharz i jego syn, ze Północy… wiesz, znajomi Angelù.

Kobieta rozpromieniła się jeszcze bardziej.

– Dominic? – zawołała, ujmując twarz kucharza w obie ręce. Kiedy zwróciła się do Danny'ego, co nastąpiło błyskawicznie, Polcari zdążył skryć się w kuchni wraz z pozostałymi tchórzami. – A ty na pewno jesteś Danny! – oznajmiła z zachwytem. Przytuliła go mocno, nie tak mocno jak czasem Jane, ale wystarczająco, by nasunąć mu wspomnienie Indianki.

Nagle Dominic zrozumiał, dlaczego w portfelu Angela było tak mało pieniędzy, a dobytek chłopca równał się praktycznie zeru. Angel wysyłał całą pensję matce. Błagał, by pozwolono mu jeździć na pocztę wraz z Jane; wmawiał Indiance, że z przesyłkami do Kanady jest dużo zachodu, lecz tak naprawdę wysyłał przekazy do Bostonu, do mamy. Najwidoczniej pisywał też regularnie, skoro wiedziała, że

przyjaźni się z kucharzem i jego synem. Siłą rzeczy zapytała o Ketchuma.

– Czy pan Ketchum jest z wami? – zwróciła się do Danny'ego, ujmując serdecznie jego twarz. (Chłopiec zaniemówił, co może też przesądziło o jego powołaniu. Te wszystkie chwile, gdy człowiek czuje, że powinien coś powiedzieć, lecz nic nie przychodzi mu do głowy, winny być dla pisarza kwestią wagi nadrzędnej). Wówczas nagle zobaczyła, że prócz nich w sali nie ma nikogo, kuchnia też wydawała się pusta. Biedaczka pomyślała, że chcą jej zrobić niespodziankę. Może Angelù postanowił złożyć niezapowiedzianą wizytę? Może pozostali ukryli go w kuchni i siedzą tam cichutko jak myszki? – An-ge-LU! – zawołała Carmella. – Czy pan Ketchum jest z tobą? An-ge-LU?

Po latach, kiedy Daniel Baciagalupo oswoi się już z rolą pisarza, to, co wydarzyło się w kuchni, wyda mu się ze wszech miar naturalnym zjawiskiem. Nie byli tchórzami; po prostu kochali Carmellę Del Popolo i nie mogli patrzeć, jak cierpi. Ale wówczas był wstrząśnięty. Pierwszy odezwał się Paul Polcari, kucharz od pizzy.

– An-ge-LU! – wyjęczał.

– Nie! Nie! Nie! – zawtórował mu ojciec.

– Angelù, Angelù – zawołał Tony Molinari, nieco ciszej.

Młode kobiety i dzieciak mniej więcej w wieku Angela też zaczęli nawoływać zmarłego chłopca po imieniu. Carmella nie tego się spodziewała; chór zabrzmiał tak posępnie, że biedna kobieta zwróciła pytające spojrzenie na twarz Dominica, ale wyczytała z niej tylko smutek i panikę. Danny nie mógł znieść widoku mamy Angela: było tak, jakby musiał patrzeć na Indiankę Jane pół sekundy przed tym, nim patelnia trafiła ją w skroń.

Krzesło stało nieopodal; stary Polcari odsunął je na odchodne od najbliższego stolika, zanim jeszcze poprosił

Carmellę, żeby usiadła – i Carmella nie tyle usiadła, ile osunęła się na nie, a jej twarz zatraciła oliwkowy odcień. Nagle zobaczyła w drobnych dłoniach Dana portfel syna, lecz gdy wyciągnęła rękę i stwierdziła, że jest mokry, bez sił opadła na krzesło. Kucharz w jednej chwili znalazł się przy niej; ukląkł obok, obejmując ją ramieniem, a Danny odruchowo kucnął u jej stóp.

Miała na sobie czarną jedwabistą spódnicę oraz ładną białą bluzkę – która niebawem miała nosić ślady łez – i gdy spojrzała w ciemne oczy Danny'ego, musiała dostrzec w nich syna, gdyż przycisnęła do siebie jego głowę, jakby to on był jej utraconym Angelù.

– Tylko nie on! – krzyknęła.

Jeden z kucharzy postukiwał rytmicznie drewnianą łyżką o rondel.

– Tylko nie on! – zawołał jak echo.

– Tak mi przykro – usłyszał Danny; były to słowa Dominica.

– Utonął – powiedział chłopiec z głową dalej wciśniętą w kolana Carmelli; poczuł, że przyciska go mocniej, i przed jego oczami raz jeszcze stanęła przyszłość. Dopóki zostanie z ojcem i Carmellą Del Popolo, będzie jej przybranym Angelù. („Nie miej chłopakowi za złe, że chce wyjechać”, napisze Ketchum któregoś dnia. „Możesz obwiniać mnie, ale nie jego”).

– Tylko nie utonął! – głos Carmelli wzniósł się ponad zgiełk dobiegający z kuchni. Danny nie słyszał, co ojciec szeptał do ucha zrozpaczonej kobiecie, ale czuł, jak Carmella szlocha, a przekręciwszy nieco głowę, zobaczył pozostałych żałobników, którzy wylegli z kuchni. Bez garnków, rondli i drewnianych łyżek: przyszli z pustymi rękami, a na twarzach mieli ślady łez. (Paul, kucharz od pizzy, miał na twarzy również mąkę). Daniel Baciagalupo miał jednak wyobraźnię, nie musiał słyszeć słów ojca. Na

pewno znalazło się wśród nich miejsce na „wypadek”, gdyż obaj wiedzieli już, że wypadki rządzą światem.

– To dobrzy ludzie – mówił stary Polcari; brzmiało to jak modlitwa. Później Danny zrozumiał, że Joe Polcari wcale się nie modlił, tylko opowiadał Carmelli o kucharzu i jego synu, „ze Północy”. To oni odprowadzili Carmellę do domu. Szła między nimi, bliska omdlenia, lecz łatwo było ją podtrzymać: ważyła dobre czterdzieści pięć kilo mniej niż Jane, poza tym była żywa.

Zanim opuścili tego popołudnia „Vicino di Napoli” – kiedy głowa Danny'ego dalej wciśnięta była w kolana zrozpaczonej matki – Daniel Baciagalupo poznał kolejną pisarską sztuczkę. Potrafił już to robić, lecz minie kolejne parę lat, zanim włączy ją do swego warsztatu. Wszyscy pisarze muszą umieć się zdystansować, „odsunąć”, na przekór wzruszeniu, a Danny to potrafił, nawet w wieku dwunastu lat. Tkwiąc w ciepłym uścisku Carmelli, chłopiec po prostu odłączył się od zgromadzenia i z perspektywy pieca do pizzy, a może nawet wejścia do kuchni, ujrzał, jak pracownicy „Vicino di Napoli” otoczyli siedzącą Carmellę i jego klęczącego tatę.

Stary Polcari stanął za Carmellą, z jedną ręką na jej karku, a drugą na własnym sercu. Jego syn Paul, kucharz od pizzy, stał w mącznej aureoli z pochyloną głową, dokładnie naprzeciw klęczącego Dominica. Dwie młode kelnerki, nadal uczące się fachu, klęczały na podłodze tuż za Danem, który zobaczył siebie na klęczkach z głową na kolanach Carmelli. Drugi kucharz – czyli szef kuchni Tony Molinari – tkwił w pewnym oddaleniu od reszty, z ręką wspartą na wąskich barkach dzieciaka mniej więcej w wieku Angela. (Danny miał się wkrótce dowiedzieć, że chłopiec sprzątał ze stołów; będzie to również pierwsza praca Danny'ego).

W tej smutnej chwili Daniel Baciagalupo ogarnął z oddali całą scenę. Zacznie pisać w pierwszej osobie, podobnie jak

wielu młodych pisarzy, a wymęczone, pierwsze zdanie jednej z jego wczesnych powieści będzie (częściowo) nawiązywać do owej piety w kwietniowe niedzielne popołudnie w „Vicino di Napoli”. Posługując się słowami świeżo upieczonego pisarza: „Stałem się członkiem obcej mi rodziny, na długo zanim poznałem niemal wystarczająco dużo faktów na temat własnej i dowiedziałem się o dylematach, przed którymi stanął mój ojciec, kiedy byłem mały”.

„Skończcie z tym Baciagalupo”, napisał do nich obu Ketchum. „W razie gdyby Carl nie przestał was szukać, lepiej zmieńcie nazwisko, na wszelki wypadek”. Ale Danny odmówił. Był dumny ze swego nazwiska, a nawet przekornie szczycił się tym, jaką kryło w sobie historię. Przezywany latami w szkole „makaroniarzem” i „Italiańcem” czuł, że zasłużył na „Baciagalupo”; dlaczego miał rezygnować z niego teraz, gdy zamieszkali na North Endzie (czyli we włoskiej dzielnicy)? Poza tym kowboj – jeżeli zacznie tu węszyć – będzie próbował znaleźć Dominica Baciagalupo, nie Daniela.

Dominic nie podzielał jego sentymentu. Zawsze uważał „Baciagalupo” za zmyślone nazwisko. Bądź co bądź to Nunzi tak go nazwała: był jej Pocałunkiem Wilka, choć logicznie rzecz biorąc, powinien nazywać się Saetta, po matce, ewentualnie Capodilupo, choćby celem zawstydzenia nieodpowiedzialnego ojca. („Tego WYpierdka Gennaro”, jak któregoś dnia powie Joe Polcari w odniesieniu do rozrywkowego pomywacza, który wyjechał Bóg jeden wie dokąd).

Poza tym Dominic miał w czym wybierać. Wszyscy w licznej rodzinie Annunziaty domagali się, aby przybrał nazwisko Saetta, natomiast niezliczeni siostrzeńcy i siostrzenice Rosie – o bliższej rodzinie zmarłej żony nie wspominając – opowiadali się za Calogero. Dominic nie dał

się na to złapać; od razu pojął, jakim afrontem byłaby dla Saettów jego zmiana nazwiska na Calogero, i na odwrót. W „Vicino di Napoli”, gdzie niemal z dnia na dzień został prawą ręką pierwszego kucharza Tony'ego Molinariego oraz specjalisty od pizzy Paula Polcariego, przezywano go Gambacorta – czyli „krótka noga”, w pieszczotliwym nawiązaniu do jego kalectwa – po czym zaraz skrócono to na „Gamba” (po prostu „noga”). Jednakże Dominic uznał, że poza restauracją ani Gambacorta, ani Gamba nie byłyby odpowiednim nazwiskiem – nie dla kucharza.

– A „Bonvino”? – zaproponował stary Giusé Polcari. Oznaczało to „dobre wino”, ale Dominic przecież nie pił.

Tony Molinari był za „Buonopane” („dobry chleb”), Paul Polcari zaś, kucharz od pizzy, opowiadał się za „Capobianco” („biała głowa”), gdyż sam przeważnie był od stóp do głów unurzany w mące. Jednakże dla człowieka o trzeźwym usposobieniu Dominica przydomki te brzmiały co najmniej komicznie.

Jeszcze pierwszego wieczoru na North Endzie Danny mógł przewidzieć, że ojciec wybierze sobie nowe nazwisko. Kiedy odprowadzali wdowę Del Popolo do ceglanej kamienicy przy Charter Street – Carmella zajmowała trzypokojowe mieszkanie w pobliżu starej łaźni i cmentarza na Copps Hill; wodę na kąpiel podgrzewała sobie w garnku na piecu gazowym – Dan już wiedział, że Dominic Baciagalupo szybko zajmie miejsce zmarłego rybaka. Tak też się stało. Carmella miała niebawem odkryć z radością, że Dominic może nosić odzież jej nieszczęsnego męża – obaj byli drobnej budowy – Danny'emu zaś przypadły w udziale ubrania Angela. Odrobina miejskiego szlifu naturalnie przydała się im obu; w Bostonie ubierano się inaczej niż w Coos. I Danny Baciagalupo, który nie posłuchał (początkowo) rady Ketchuma, nie zdziwił się wcale, gdy jego ojciec stał się Dominikiem Del Popolo (bądź

co bądź gotował dla ludzi) – choć nie stało się to pierwszego wieczoru.

W kuchni Carmelli stała wanna większa niż stół, przy którym widniały już niezbędne trzy krzesła. Dwa wielkie garnki do makaronu na piecu były pełne wody, zawsze gorącej, ale nie wrzącej. Carmella prawie nie gotowała; wodę podgrzewała na kąpiel. Jak na osobę mieszkającą w kamienicy z zimną wodą była bardzo czysta i pachniała cudownie; dzięki pomocy Angela nie zalegała z rachunkami za gaz. W tamtych czasach na North Endzie pracy dla chłopców w wieku Angela było jak na lekarstwo. Na północy, w Maine i New Hampshire, sytuacja przedstawiała się nieco lepiej, lecz praca bywała niebezpieczna, o czym biedny Angel przekonał się na własnej skórze.

Danny i jego tata siedzieli w ciasnej kuchni wraz z płaczącą Carmellą. Opowiadali szlochającej matce historie o jej zmarłym synu; niektóre z nich siłą rzeczy doprowadziły do rozmowy o Ketchumie. Kiedy Carmella wypłakała się na jakiś czas, wszyscy troje wrócili wygłodniali do „Vicino di Napoli”, gdzie w niedzielne wieczory podawano tylko pizzę lub szybkie dania z makaronem. Obiad był wówczas dla większości Włochów głównym niedzielnym posiłkiem. Lokal zamykano o wczesnej porze, a po wyjściu wieczornych klientów kucharze przygotowywali kolację dla personelu. W pozostałe dni restauracja była raczej otwarta do późna, a kucharze i reszta jadali po południu, przed kolacją.

Właściciel spodziewał się ich powrotu; zestawiono cztery małe stoliki i przygotowano nakrycia. Jedli i pili jak na stypie; czasem robili przerwę, żeby sobie popłakać – nie płakał tylko Dan – i wznieść toast za ukochanego przez wszystkich zmarłego chłopca, przy czym ani Danny, ani jego tata nie tknęli kropli wina. Często powtarzano zdrowaśki, przeważnie chórem, choć zebrani nie mieli przed sobą ani otwartej trumny, ani całonocnego czuwania.

Dominic zapewnił żałobników, że Ketchum wie o pochodzeniu Angela i na pewno zorganizuje „coś katolickiego” razem z francuskimi Kanadyjczykami. (Danny rzucił ojcu znaczące spojrzenie, gdyż obaj wiedzieli, że flisak w życiu się tym nie splami; nie dopuści do Angela ani francuskich Kanadyjczyków, ani też nikogo, kto miałby jakikolwiek związek z katolicyzmem).

Było już dosyć późno, kiedy Tony Molinari zapytał Dominica, gdzie zamierzają nocować, bo nie mają chyba zamiaru tłuc się po nocy z powrotem do New Hampshire. Zgodnie z tym, co powiedział Ketchumowi, Dominic nie był ryzykantem – już nie – lecz ufał ludziom, wśród których się znalazł i (ku własnemu i Danny'ego zdziwieniu) wyznał im prawdę.

– Nie możemy tam wrócić, musimy uciekać – oznajmił. Teraz z kolei Danny się rozpłakał, a dwie młode kelnerki i Carmella rzuciły się go pocieszać.

– Ani sło-WA, Dominicu; nie musimy wiedzieć ani dlaczego, ani przed kim uciekacie! – wykrzyknął stary Polcari. – Z nami JES-teście bezpieczni.

– Wcale mnie to nie dziwi, Dominicu. Każdy widzi, że się naparzałeś – odezwał się Paul, klepiąc kucharza po ramieniu współczującą, omączoną ręką. – Ta warga wygląda nie najlepiej. Jeszcze krwawi, wiesz?

– Może trzeba założyć szwy – wtrąciła troskliwie Carmella. Dominic tylko potrząsnął głową; nie odrzekł ani słowa, ale wszyscy widzieli, że jego nieśmiały uśmiech jest pełen wdzięczności. (Danny rzucił ojcu kolejne spojrzenie, ale nie miał wątpliwości co do powodów, które kazały Dominicowi przemilczeć szczegóły kontuzji; ich ucieczka i wyskoki Pam miały ze sobą zgoła niewiele wspólnego).

– Mogą pomieszkać u mnie – zaproponował Tony Molinari.

– Nie, u mnie – oznajmiła Carmella. – Mam zapasowy pokój. – Jej propozycja była nie do przebicia, gdyż miała na myśli pokój Angela; sama wzmianka o nim wywołała u niej kolejną falę łez. Gdy Danny i jego tata wrócili z nią do mieszkania przy Charter Street, zaoferowała im większe łóżko, we własnej sypialni. Sama miała spać na pojedynczym łóżku w pokoju zmarłego Angelú.

Słyszeli, jak płacze do poduszki, bezskutecznie próbując zasnąć. Kiedy płacz nie ustawał, Dan szepnął do ojca:

– Może powinieneś do niej pójść.

– To byłoby niewłaściwe, Danielu. Tęskni za synem… ty powinieneś do niej iść.

Danny Baciagalupo poszedł do pokoju Angela, gdzie Carmella wyciągnęła do niego ręce, i położył się obok niej na wąskim łóżku.

– An-ge-LU – szeptała mu do ucha, dopóki wreszcie nie zasnęła. Danny nie śmiał się ruszyć, żeby jej nie obudzić. Leżał w ciepłych objęciach, wdychając miły, świeży zapach, aż wreszcie usnął i on. Miał za sobą długi, emocjonujący dzień – a także, ma się rozumieć, obfitującą w dramatyczne wydarzenia ubiegłą noc – nic zatem dziwnego, że był zmęczony.

Czy sposób, w jaki zasnął, także wpłynął na to, że Danny został pisarzem? Nie minęła doba, odkąd zabił ważącą sto trzydzieści kilo z hakiem indiańską pomywaczkę, będącą notabene kochanką jego ojca, a teraz tkwił w gorącym uścisku wdowy Del Popolo, zmysłowej niewiasty, która wkrótce zajmie miejsce Indianki Jane w smutnym życiu Dominica. Któregoś dnia pisarz nauczy się rozpoznawać niemalże jednoczesność powiązanych, a zarazem różnych od siebie ważkich chwil – będących siłą sprawczą opowieści – lecz osuwając się w niebyt w słodkich ramionach Carmelli, wyczerpany chłopiec myślał tylko: „Czy to przypadek?”. Był za młody, aby wiedzieć, że w żadnej w

przyzwoitym stopniu przemyślanej powieści nie ma miejsca na zbiegi okoliczności.

Być może zdjęcia zmarłej matki starczyłyby, aby chwycił za pióro; zabrał tylko niektóre z nich i niebawem miał zatęsknić za książkami, w których je przechowywał, zwłaszcza tymi, gdzie Rosie pozakreślała fragmenty. Dzięki nim byłoby mu łatwiej ją sobie wyobrazić. Próby przypomnienia sobie zdjęć pozostawionych w Coos też stanowiły ku temu dobrą okazję.

Tylko niektóre z przywiezionych do Bostonu zdjęć były kolorowe, ale tata powiedział Danny'emu, że czarnobiałe „lepiej” ukazują to, co Dominic nazywał „zabójczym błękitem jej oczu”. (Dlaczego „zabójczym”?, zastanawiał się przyszły pisarz. I dlaczego czarno-białe fotografie miały ukazywać go „lepiej” niż kolorowe?).

Rosie miała ciemnobrązowe, prawie czarne włosy, a do tego zadziwiająco jasną cerę i ostro zarysowane, delikatne rysy, dzięki którym sprawiała wrażenie jeszcze bardziej kruchej niż w rzeczywistości. Gdy Dan poznał pozostałych Calogerów – w tym młodsze siostry matki – zobaczył, że dwie spośród jego ciotek były równie ładne i drobne jak mama na zdjęciach, najmłodsza zaś (Filomena) też miała niebieskie oczy. Danny, który wprost oczu nie mógł od Filomeny oderwać – miała wówczas mniej więcej tyle samo lat co Rosie w chwili śmierci, czyli na oko niespełna trzydzieści – zauważył, że ojciec podkreślił skwapliwie, iż oczy Filomeny nie są tak niebieskie jak oczy matki. Czyli nie tak zabójcze, domyślił się chłopiec. Spostrzegł też, że ojciec rzadko rozmawia z Filomeną; Dominic zdawał się wobec niej wręcz opryskliwy i przeważnie traktował ją jak powietrze.

Czy to bystre oko przyszłego pisarza kazało Danielowi Baciagalupo dostrzegać owe charakterystyczne szczegóły? Czy chłopiec uświadomił sobie pewną prawidłowość, w myśl której jego ojciec zainteresował się najpierw Indianką

Jane, a następnie Carmellą Del Popolo – ciemnowłosymi, ciemnookimi kobietami, będącymi całkowitym przeciwieństwem Rosie Calogero? Jeśli Rosie faktycznie była miłością jego życia, być może Dominic celowo unikał kontaktu z kobietami, z którymi łączył ją choćby cień podobieństwa?

Przyjdzie dzień, gdy Ketchum zarzuci kucharzowi niezdrową wierność Rosie, manifestującą się pociągiem do kobiet stanowiących jej rażące przeciwieństwo. Danny musiał wspomnieć staremu przyjacielowi w liście o Carmelli, a także o jej wyglądzie, ponieważ sam kucharz jak ognia wystrzegał się jakiejkolwiek wzmianki o wymiarach swej nowej dziewczyny, a także jej kolorze oczu. Ba, niemal słówkiem nie pisnął o matce Angela i ich rosnącej zażyłości. Nie zniżył się do odpowiedzi na oskarżycielski wywód Ketchuma, ale był zły, że flisak skrytykował jego gust. W owym czasie Ketchum mieszkał jeszcze z Pam – to tak à propos kobiet będących przeciwieństwem kuzynki Rosie!

Chcąc przypomnieć sobie Pam, Dominic musiał tylko spojrzeć w lustro, gdyż blizna na dolnej wardze była widoczna jeszcze długo po incydencie z łokciem. Dominic Del Popolo, z domu Baciagalupo, zdziwiłby się bardzo, gdyby Ketchum i Sześciopak przetrwali jako para. A jednak byli ze sobą o parę lat dłużej niż on z Indianką Jane – a nawet nieco dłużej, niż miał zabawić u boku Carmelli Del Popolo, dużej, ale uroczej mamy Angela.

Pierwszego ranka w Bostonie obudził ich fascynujący odgłos pluskania dobiegający z małej kuchni; to Carmella zażywała kąpieli. Chcąc uszanować jej prywatność, Dominic i Dan leżeli w łóżkach, podczas gdy gospodyni dokonywała swych uwodzicielsko brzmiących ablucji; nie wiedzieli, że postawiła na gazie trzeci i czwarty gar z wodą, która wkrótce osiągnie stan bliski wrzenia.

– Jest mnóstwo gorącej wody! – zawołała. – Kto ma ochotę na kąpiel?

Kucharz, który po cichu snuł plany, jak by tu się wśliznąć do wanny obok Carmelli, zaproponował niezbyt taktownie, że wykąpie się z Danielem – to znaczy, w tej samej wodzie – na co dwunastolatek bardzo się oburzył.

– Zapomnij, tato! – zawołał z wąskiego łóżka w pokoju Angela.

Usłyszeli, jak obfite, ociekające wodą ciało Carmelli podnosi się z wanny.

– Wiesz, jak to jest z nastolatkami… potrzebują prywatności! – powiedziała.

No ba, pomyślał Dan, nie wiedząc jeszcze, jak bardzo będzie mu ona potrzebna, i to już niedługo. Bądź co bądź, był coraz starszy. I choć nie mieli długo zabawić w mieszkanku przy Charter Street, z wielką wanną pośrodku kuchni i absurdalnie małą łazienką (z zasłonką zamiast drzwi) – mieściła jedynie sedes i miniaturową umywalkę z zamieszonym wyżej lusterkiem – mieszkanie, do którego się wprowadzą, było niewiele większe i nie zapewniało nawet połowy niezbędnej nastolatkowi prywatności, ale nie mogli przynajmniej narzekać na brak ciepłej wody. Zamieszkali w kamienicy bez windy w miejscu przyszłego Wesley Place – alei biegnącej wzdłuż kawiarni „Vittoria” – prócz dwu sypialni była tam również pełnowymiarowa łazienka z wanną i prysznicem (oraz drzwiami), kuchnia zaś mogła pomieścić stół z sześcioma krzesłami.

Sypialnie znajdowały się obok siebie; na North Endzie nie mogli pozwolić sobie na nic, co choć z grubsza przypominałoby przestronne piętro ich dawnego domu w Twisted River. Danny był za duży, by podsłuchiwać, jak Dominic i Carmella usiłują kochać się możliwie jak najciszej – zwłaszcza że obdarzony bujną wyobraźnią chłopiec stał

się mimowolnym świadkiem miłosnych zapasów ojca z Indianką Jane.

Ojciec i Carmella wraz z Danem, który coraz wyraźniej zdawał sobie sprawę z przypisanej mu roli zastępczego Angela, funkcjonowali w możliwym układzie, który nie miał jednak większych szans na przetrwanie. Dystans dzielący go z ojcem z biegiem czasu przybierze na sile, poza tym dorastającemu chłopakowi nie dawał spokoju jeszcze jeden problem.

Mimo że doświadczył już przedwczesnego stanu pobudzenia, najpierw za sprawą Jane, a następnie Pam, narastający pociąg do Carmelli Del Popolo (jak mawiał Ketchum, „następczyni Indianki”) doskwierał mu na każdym kroku, bardziej niż potrzeba prywatności.

„Musisz wyjechać”, napisze Ketchum, chociaż chłopiec naprawdę polubił swoje nowe życie na North Endzie. Ba, wręcz je ubóstwiał, zwłaszcza na tle dawnego życia w Twisted River, ze szczególnym uwzględnieniem tamtejszej szkoły.

W szkole Michała Anioła nikt nie był pod wrażeniem nauk, jakie wpojono Danny'emu Baciagalupo wśród bumelantów z Phillips, czyli głąbów z Zachodniego Dummer, jak mawiał Ketchum. Kazano chłopcu powtórzyć klasę, toteż był o rok starszy od pozostałych uczniów. W siódmej klasie, kiedy przyszły pisarz poznał swego nauczyciela angielskiego, pan Leary uważał Danny'ego Baciagalupo za jednego z najlepszych uczniów. W klasie ósmej był on już niekwestionowanym ulubieńcem Irlandczyka.

Paru dawnych uczniów pana Leary'ego poszło do renomowanej szkoły Boston Latin. Jeszcze inni uczęszczali do Roxbury Latin, którą Irlandczyk uważał skrycie za przybytek dla snobów. Dwaj trafili do Milton, a jeden do Andover, lecz nie było nikogo, kto dostałby się do Exeter;

szkoła leżała nieco dalej od Bostonu, ale jej poziom nie budził najmniejszych wątpliwości pana Leary'ego. Czy to możliwe, że stary nauczyciel postawił sobie za punkt honoru, by Daniel Baciagalupo został do niej przyjęty?

Większość siódmoi ósmoklasistów budziła w panu Learym niepohamowaną zgrozę; Danny nie należał do ich grona i nigdy nie dokuczał nauczycielowi, ponieważ dokuczanie (oraz inne, bardziej wyrafinowane tortury) nasuwało mu dotkliwe wspomnienie tego, czego doświadczył na Północy.

Pan Leary miał twarz czerwoną z przepicia i nos jak kartofel, podobno w związku z tym, co stanowiło podstawę jego przaśnej diety. Nad uszami sterczały mu siwe, napuszone kępki włosów – poza tym był kompletnie łysy i posiadał widoczne zagłębienie w czaszce na czubku głowy. Wyglądał jak częściowo oskubany puchacz. „W dzieciństwie”, niezawodnie informował uczniów pan Leary, „oberwałem słownikiem, co tłumaczy moje zamiłowanie do słów”.

Siódmoi ósmoklasiści nazywali go „O”, ponieważ pan Leary zrezygnował z O' wieńczącego dawniej jego nazwisko. Pod nieobecność nauczyciela nieznośni chłopcy zapełniali tablicę niezliczoną liczbą liter O, tak też go przezywali, ale tylko za plecami.

Danny nie rozumiał, dlaczego sprawia to nauczycielowi taką przykrość, szczególnie zaś nie mógł pojąć przyczyn, które skłoniły go do zmiany nazwiska. (Starczy wspomnieć Angela Pope'a i jego zmiany. Czy mali Włosi myślą, że tylko Irlandczycy bagatelizują czasem kwestię swego pochodzenia?).

Jednakże główną przyczyną, dla której pan Leary upodobał sobie Daniela Baciagalupo, było zamiłowanie chłopca do pisania oraz to, że pisał jak najęty. W ciągu swej długoletniej kariery stary nauczyciel nigdy czegoś

podobnego nie widział. Chłopiec wydawał się opętany – a przynajmniej owładnięty obsesją.

Należy zaznaczyć, że owoce owej manii nierzadko wprawiały pana Leary'ego w zdumienie, lecz opowiadania Dana – często przesadzone, w większości pełne przemocy i niezawodnie obfitujące w erotyczną treść zgoła nieprzystającą do wieku autora – zawsze były przejrzyste i w doskonałym stylu. Chłopak po prostu miał dar opowieści; zadaniem opiekuna było podszlifować jego gramatykę i wyłożyć mu zasady teorii. Pan Leary słyszał, że w Exeter przywiązują wielką wagę do gramatyki. I do pisania w ogóle – człowiek musiał pisać codziennie, o czymkolwiek.

W swym liście do komisji rekrutacyjnej pan Leary nie wspomniał ani słowem o tematach wybieranych przez Dana na zajęciach z twórczego pisania. Zresztą Exeter miało w nosie twórcze pisanie; tam (zdaniem pana Leary'ego) królował esej. A do szkoły Michała Anioła, w której Daniel Baciagalupo wyróżniał się na tle pozostałych uczniów, uczęszczali głównie Italo-Amerykanie. (Pan Leary skrzętnie unikał określenia „imigrant”, chociaż dokładnie to miał na myśli). Pragnął uświadomić komisji, że ci uczniowie są skłonni do przesady i lenistwa. Młody Baciagalupo zaś był „niepodobny do reszty”.

Gdyby posłuchać większości Włochów, dał do zrozumienia pan Leary, człowiek odniósłby wrażenie, że wszyscy jak jeden mąż przybyli do Ameryki w towarzystwie szczurów (i innych przyjemności) na obskurnych statkach, wszyscy osieroceni bądź sami jak palec, z garstką marnych lirów w kieszeni. Kobiety, w młodości często urodziwe, w późniejszym wieku tyły bez opamiętania, a to wszystko za sprawą makaronu i niepohamowanego łakomstwa. Ów brak umiaru, podejrzewał pan Leary, nie ograniczał się wyłącznie do jedzenia. Z ręką na sercu trzeba przyznać, że Włochom daleko było do pracowitości wcześniejszych imigrantów – czyli Irlandczyków – i choć pan Leary nie

wyłożył tego wszystkiego wprost, przelał na papier niejedno ze swoich uprzedzeń, wychwalając przy tym rozliczne talenty i charakter Daniela Baciagalupo, a także napomykając o „trudnościach”, które chłopiec musiał pokonywać „w domu”.

Chłopiec był wychowywany przez ojca, „niekomunikatywnego kucharza”, jak napisał nauczyciel. Kucharz mieszkał z kobietą, opisaną przez pana Leary'ego jako „wdowa, która doświadczyła wielu tragedii” – ha, jeśli jest ktoś, kto kiedykolwiek zasługiwał na godne pozazdroszczenia pełne stypendium w Exeter, z pewnością nazywa się Daniel Baciagalupo! Jak na inteligentnego człowieka przystało, pan Leary nie tylko był świadomy własnych uprzedzeń, lecz także chciał je uświadomić komisji. Jego zamiarem było przedstawienie bostońskiego North Endu jako miejsca, przed którym należy Danny'ego uchronić. Pan Leary pragnął ściągnąć do Michała Anioła kogoś z Exeter i pokazać mu szkołę, nawet jeśli ten ktoś miałby zostać świadkiem jego upokorzenia. Bo gdy ten człowiek zobaczy Daniela Baciagalupo na tle pozostałych źle wychowanych smarkaczy – i, jeszcze lepiej, pozna jego zaplecze w postaci hałaśliwej restauracji, gdzie pracowali ojciec chłopca i jego kochanka, wdowa – no cóż, nie będzie wątpliwości, że Danny Baciagalupo odstaje od reszty. I faktycznie odstawał, nie tylko na North Endzie, lecz o tym pan Leary już nie wspomniał. Jak się później okazało, jego tyrada była zupełnie wystarczająca.

List osiągnął pożądany skutek. „Dawać tu tego faceta!” (czyli pana Leary'ego z jego listą uprzedzeń), brzmiały zapewne słowa pierwszej osoby z komisji rekrutacyjnej w Exeter. Zgłoszenie przekazano kolejnej osobie, a potem następnej; przeczytało je zapewne mnóstwo ludzi, w tym człowiek „od stypendiów”, do którego było skierowane w pierwszej kolejności.

Osoba ta zaś rzuciła bez wątpienia: „Muszę to zobaczyć” – mając na myśli nie tylko szkołę imienia Michała Anioła i pana Leary'ego, lecz także opłakane warunki włosko-amerykańskiego żywota Daniela Baciagalupo.

Istniało wiele spraw, o których pan Leary nie wspomniał. No bo i po co szkoła Exeter miała wiedzieć o cokolwiek wybujałej wyobraźni niedoszłego stypendysty? Co to się stało z ojcem w jednej opowieści? Został okaleczony (do końca życia) przez niedźwiedzia – który odgryzł mu stopę – ale biedak nie stracił ducha i jakimś cudem przyłożył mu patelnią! Ten sam okulały mężczyzna stracił żonę w czasie tańca w cztery pary. Tańce odbywały się pod gołym niebem na przystani; pomost nie wytrzymał i wszyscy tancerze utonęli. Mężczyzna, któremu niedźwiedź odgryzł stopę, ocalał, ponieważ nie mógł tańczyć! Patrzył tylko z daleka, o ile pan Leary dobrze pamiętał; opowiadanie było niedorzeczne, ale dobrze, wręcz świetnie napisane.

Przyjacielem tej fikcyjnej rodziny był jegomość o mózgu uszkodzonym przez zdeprawowanego policjanta, pewien nieprawdopodobny flisak – „nieprawdopodobny”, zdaniem pana Leary'ego, z uwagi na swe zamiłowanie do książek. Jeszcze bardziej nieprawdopodobne było to, iż policjant spuścił mu takie baty, że flisak zapomniał, jak się czyta! A kobiety w opowiadaniach Daniela Baciagalupo… Boże uchowaj, myślał pan Leary.

Jedna z nich wywodziła się z plemienia miejscowych Indian – opowieść o okaleczonym mężczyźnie była osadzona w realiach północnego New Hampshire, w miasteczku, gdzie znajdował się dansing, na którym nikt nie tańczył. (Zaraz, pomyślał w trakcie lektury pan Leary, a cóż to znowu za nonsens?). Opowiadanie było jak zwykle utrzymane w świetnym stylu, Indianka zaś ważyła sto czterdzieści lub sto osiemdziesiąt kilogramów i miała włosy za pas, przez co niedorozwinięty chłopiec (syn człowieka, który padł ofiarą niedźwiedzia) pomylił ją z innym

niedźwiedziem! Biedny głupek pomyślał sobie, że to ten sam niedźwiedź przyszedł skonsumować do reszty jego ojca, podczas gdy tak naprawdę Indianka odbywała z kaleką stosunek płciowy – jak przypuszczał pan Leary, w pozycji na jeźdźca.

Gdy jednak nauczyciel wspomniał o tym Danny'emu („Rozumiem, że Indianka była… hm, tego… w pozycji na jeźdźca”), młody Baciagalupo spojrzał na niego ze zdziwieniem. Nie zrozumiał, o co chodzi.

– Nie, była na górze – odpowiedział. Pan Leary uśmiechnął się rozanielony. W oczach nauczyciela Daniel Baciagalupo zapowiadał się na geniusza, a co za tym idzie, nie mógł błądzić.

Jednakże to, co spotkało otyłą Indiankę, było po prostu potworne. Niedorozwinięty chłopiec zabił ją tą samą patelnią, którą jego ojciec wykorzystał niegdyś w starciu z niedźwiedziem! Opisem nagiego, znieruchomiałego ciała martwej Indianki młody Baciagalupo wprost wzniósł się na wyżyny swego talentu. Przezorny ojciec pospiesznie zasłonił sobie krocze poduszką, zapewne po to, by oszczędzić upośledzonemu synowi dalszych nieporozumień. Lecz niedorozwinięty chłopiec zobaczył już więcej, niż jego ograniczona inteligencja mogła znieść. Widok olbrzymich piersi zamordowanej kobiety – oraz to, jak zwisły bezwładnie w zagłębieniach pach – miał go prześladować latami. Skąd u młodego chłopca takie szczegóły, zastanawiał się nauczyciel. Wizja nagiej martwej Indianki miała prześladować również pana Leary'ego.

Ale po co wspominać komisji o kontrowersyjnych aspektach wyobraźni chłopca, które niepokoiły nawet jego opiekuna? Chłopiec fascynuje się drastycznymi szczegółami, ale na pewno wyrośnie z nich, z chwilą gdy nabierze doświadczenia. Weźmy na przykład kobietę w męskiej, flanelowej koszuli, bez stanika: zgwałciła niedorozwiniętego chłopca po spożyciu całego sześciopaku

piwa! Czy Exeter musi o niej wiedzieć? (Pan Leary sam pragnął o niej zapomnieć). O, albo kobieta z kamienicy bez ciepłej wody przy Charter Street, nieopodal łaźni i Copps Hill – jeśli pan Leary dobrze pamiętał, ona też miała duże piersi. Była to kolejna opowieść sagi o rodzinie Baciagalupo, a mieszkanka Charter Street odgrywała rolę macochy niedorozwiniętego chłopca z wcześniejszych opowiadań, tyle że autor nie opisywał go już jako „niedorozwiniętego”. Teraz był on „tylko upośledzony”.

Ojciec ze zjedzoną stopą miał dziwne sny, w których pojawiał się zarówno niedźwiedź, jak i zamordowana Indianka. Zważywszy na obfitość kształtów macochy upośledzonego chłopca, pan Leary skłaniał się ku przypuszczeniu, że ojciec przejawia nadprzyrodzone ciągoty do grubasek; naturalnie istniało prawdopodobieństwo, że dotyczy to również młodego autora. Pan Leary sam odczuwał do nich pewien niechętny pociąg.

Macocha była Włoszką, toteż uprzedzenia pana Leary'ego ponownie dały o sobie znać: począł dopatrywać się w niej skłonności do przesady i lenistwa, po czym (ku swemu wielkiemu zadowoleniu) uznał ją za wzorcowy przykład wspomnianego „niepohamowanego łakomstwa”, które od lat przypisywał kobietom jej narodowości. Osoba ta maniakalnie zażywała kąpieli. Ukochała je do tego stopnia, że na honorowym miejscu w ciasnej kuchni postawiła wannę i bez przerwy podgrzewała wodę w garnkach. Umiejscowienie wanny stanowiło pewien problem dla upośledzonego pasierba czyścioszki, który wywiercił dziurę w prowadzących do kuchni drzwiach swojego pokoju.

Ile szkody wyrządziło chłopcu podglądanie gołej macochy – ha, tego pan Leary mógł się tylko domyślać! No i ta dbałość młodego Baciagalupo o szczegóły… w czasie golenia kobieta zostawiała (pod jedną pachą) wąski pasek

owłosienia, „niczym starannie przystrzyżona bródka elfa”, napisał Dan.

– Pod którą pachą? – zapytał początkującego pisarza pan Leary.

– Pod prawą – odparł Danny bez chwili wahania.

– Dlaczego akurat pod prawą, a nie pod lewą? – dociekał nauczyciel angielskiego.

Młody Baciagalupo zamyślił się na chwilę, jakby usiłował przypomnieć sobie skomplikowany ciąg zdarzeń.

– Bo jest praworęczna – oznajmił. – Lewą ręką nie radzi sobie zbyt dobrze. A prawą pachę goli przecież lewą ręką – wyjaśnił nauczycielowi.

– Nieźle – pochwalił pan Leary. – Moim zdaniem powinieneś to włączyć do opowiadania.

– Załatwione – odpowiedział uczeń; lubił pana Leary'ego i starał się uchronić go przed okrucieństwem pozostałych chłopców.

Pozostali chłopcy nie dokuczali Danny'emu. Jasne, nie brakowało wśród nich wrednych osiłków, ale daleko im było do wyrostków ze szkoły w Paryżu. Jeśli jakiś łobuz dawał się Danny'emu Baciagalupo we znaki, wystarczyło szepnąć słówko starszym kuzynom, a ci tłukli delikwenta na kwaśne jabłko. Obszczymurkom z Północy też daliby radę.

Danny nie pokazywał swojej twórczości nikomu oprócz pana Leary'ego. Oczywiście pisał długie listy do Ketchuma, lecz one nie miały nic wspólnego z fikcją; nikt o zdrowych zmysłach nie próbowałby sprzedać flisakowi historii wyssanej z palca. Poza tym przed kim miał otworzyć serce, jeśli nie przed Ketchumem. Wiele z jego listów rozpoczynało się od słów: „Wiesz, jak bardzo kocham tatę, naprawdę, ale…” i tak dalej.

Jaki ojciec, taki syn: kucharz taił przed chłopcem pewne sprawy, Danny zaś (szczególnie w siódmej i ósmej klasie)

dorósł do tego, aby odpłacić mu pięknym za nadobne. Miał trzynaście lat, gdy rozpoczął siódmą klasę i poznał pana Leary'ego; kończąc ósmą, liczył sobie lat piętnaście. W wieku lat czternastu i piętnastu zaś pokazał nauczycielowi angielskiego swoje opowiadania, produkowane hurtowo i bez opamiętania.

Na przekór wątpliwościom w związku z doborem tematów – ze szczególnym uwzględnieniem treści erotycznej – mądry stary puchacz nie skrytykował nigdy ulubieńca ani słowem. Młody Baciagalupo zostanie pisarzem; pan Leary nie miał co do tego żadnych złudzeń.

Nauczyciel trzymał kciuki za Exeter; jeśli chłopiec zostanie przyjęty, pan Leary miał nadzieję, że szkoła wybije mu z głowy co bardziej niestrawne pomysły. Może się zdarzyć, że teoria pisania okaże się tak bez reszty wymagająca i czasochłonna, iż Danny stanie się pisarzem intelektualnym. (Czyli jakim? Mniej kreatywnym?).

Pan Leary sam nie był pewien, co dokładnie przez to rozumie – pod warunkiem że faktycznie tak właśnie myślał – w każdym razie miał dobre chęci. Nieba przychyliłby chłopcu, gdyby mógł, i choć nie krytykował nigdy twórczości Dana, któregoś dnia wyskoczył z cokolwiek śmiałą sugestią. (Która nie była w sumie aż taka śmiała, tylko pan Leary tak myślał). Zdarzyło się to w przededniu pory błota, kiedy chłopak był w ósmej klasie, czyli w marcu 1957 roku, tuż po piętnastych urodzinach Dana, gdy czekali obaj na wiadomość z Exeter. „Śmiała” sugestia pana Leary'ego miała (po latach) skłonić Daniela Baciagalupo do napisania własnej wersji cyklicznych utyskiwań Ketchuma.

„Najgorszy syf przytrafia się człowiekowi w porze błota”, regularnie skarżył się stary flisak, celowo przemilczając fakt, że kucharz i jego ukochana kuzynka Rosie pobrali się w porze błota, a Dan przyszedł na świat tuż przed nią. Oczywiście w Bostonie nie było pory błota.

– Danny? – zagaił z wahaniem pan Leary, prawie jakby nie był pewien jego imienia. – Kiedy już zostaniesz pisarzem, mógłbyś rozważyć przybranie *nom de plume*.

– Czego? – zapytał piętnastolatek.

– Pseudonimu literackiego. Niektórzy pisarze publikują pod przybranym nazwiskiem zamiast pod własnym. Po francusku określa się to mianem *nom de plume* – wyjaśnił ulubieńcowi pan Leary. I serce podeszło mu do gardła, gdyż chłopiec zrobił minę, jakby dostał w twarz.

– Chce pan powiedzieć, że mam zrezygnować z Baciagalupo – zaprotestował Danny.

– Cóż, istnieją nazwiska łatwiejsze do wymówienia i zapamiętania – zapewnił go pan Leary. – Przyszło mi do głowy, że skoro twój ojciec zmienił nazwisko… a wdowa Del Popolo nie została Baciagalupo, prawda? … No cóż, pomyślałem sobie, że może nie jesteś bardzo przywiązany do Baciagalupo.

– Owszem, jestem.

– Hm, no tak… w takim razie bezwzględnie musisz przy nim pozostać! – stwierdził ze szczerym entuzjazmem nauczyciel. (Czuł się podle; nie miał zamiaru urazić chłopca).

– Moim zdaniem Daniel Baciagalupo to świetne nazwisko dla pisarza – oznajmił kategorycznie piętnastolatek. – Jeśli napiszę dobrą książkę, czytelnicy nie będą mieli kłopotu z zapamiętaniem mojego nazwiska, prawda?

– Ależ naturalnie, Danny! – wykrzyknął pan Leary. – Najmocniej przepraszam… Cóż za brak taktu z mojej strony.

– Nie ma sprawy. Wiem, że próbuje mi pan pomóc – odpowiedział chłopiec.

– Lada dzień możemy się spodziewać wieści z Exeter – do rzucił niespokojnie pan Leary; pragnął jak najszybciej

zmienić temat, aby zatuszować gafę.

– Mam nadzieję – odrzekł z powagą Danny Baciagalupo. Jego twarz odzyskała swój zwykły wyraz zamyślenia i przestał patrzeć spode łba.

Wstrząśnięty swym nietaktem pan Leary przypomniał sobie, że prawie codziennie po szkole chłopiec pracuje w „Vicino di Napoli", toteż pełen jak najlepszych chęci puścił go do domu.

Po zajęciach pan Leary swoim zwyczajem załatwił w okolicy sprawunki. Wciąż mieszkał w okolicy Uniwersytetu Północno-Wschodniego, gdzie ukończył studia i poznał żonę; co rano jeździł metrem na stację Haymarket, a po południu z powrotem, zakupy (bardzo skromne) robił jednak na North Endzie. Pracował w Michale od tak dawna, że znali go prawie wszyscy w okolicy; uczył albo ich, albo ich dzieci. To, że mu dokuczano – w końcu był Irlandczykiem – nie znaczyło wcale, iż nie cieszył się sympatią mieszkańców, którzy uważali jego dziwactwa za bardzo zabawne.

Po południu pan Leary przystanął w ogrodzie przy kościele Świętego Leonarda. Spowiadał się u Świętego Stefana, gdyż tam bardziej mu się podobało; był to katolicki kościół z prawdziwego zdarzenia. Święty Leonard był z kolei bardziej włoski, nawet znajome modlitwy w przykościelnym ogrodzie przetłumaczono na włoski. *Ora sono qui. Preghiamo insieme. Dio ti aiuta*. („Oto jestem. Pomódlmy się razem. Bóg ci dopomoże").

Pan Leary pomodlił się żarliwie, aby Bóg dopomógł Danielowi Baciagalupo w zdobyciu stypendium do Exeter. Wychodząc z ogrodu, wpadł na to, dlaczego nie przepada za Świętym Leonardem. Nie wszedł do kościoła, wewnątrz którego stała gipsowa figura świętego Peregryna z obandażowaną prawą nogą. Pan Leary uważał ją za przejaw złego smaku. Pomyślał też sobie, że woli Świętego Stefana

z innego jeszcze powodu: kościoł znajdował się naprzeciw Prado, gdzie w ładną pogodę staruszkowie grali w warcaby. Pan Leary czasami przyłączał się do gry. Paru z nich było naprawdę dobrych, lecz ci, którzy nie znali angielskiego, drażnili go niezmiernie: niechęć do nauki tego języka była nie dość amerykańska bądź też nazbyt włoska jak na jego gust.

Dawny uczeń (obecnie strażak) zawołał do niego sprzed budynku straży pożarnej na rogu Hanover i Charter Street, i pan Leary przystanął, aby z nim pogawędzić. Następnie, niekoniecznie w tej samej kolejności, wykupił receptę w aptece Barone'a i zajrzał do położonego nieopodal sklepu płytowego Tostiego, gdzie czasem kupował sobie nowy album. Jedyną włoską „słabością", której folgował, była opera – a także, gwoli ścisłości, espresso w kawiarni „Vittoria" oraz sycylijska pieczeń przyrządzana przez ojca Danny'ego Baciagalupo w „Vicino di Napoli".

Pan Leary zrobił małe zakupy w Modern, piekarni na Hanover Street. Kupił na śniadanie *cannoli*, kruche rożki napełnione słodzonym serem ricotta, orzechami i owocami kandyzowanymi. Musiał przyznać, że za tym włoskim specjałem też przepadał.

Wolał nie patrzeć w stronę Scollay Square, chociaż dzień w dzień chodził tamtędy ze szkoły na stację Haymarket. Na południe od Haymarket znajdował się Casino Theatre, a w pobliżu stacji Scollay Square mieścił się Old Howard. W obu tych przybytkach pan Leary starał się oglądać pokazy striptizu w dzień ich wejścia na afisz, czyli przed ingerencją cenzury. Ów nawyk napełniał go głębokim uczuciem wstydu, chociaż od śmierci żony minęło wiele lat. Zapewne nie miałaby nic przeciwko temu – no może gdyby ożenił się ponownie, czego nie zrobił. Niektóre ze striptizerek oglądał tyle razy, że w pewnym sensie przypominało to czasem coś na kształt małżeństwa. Na pamięć znał pieprzyk (jeśli to był pieprzyk) na Peaches, tak zwanej Królowej Boogie. Lois

Dufee – której nazwisko, jak sądził, charakteryzowało się błędną pisownią, miała metr dziewięćdziesiąt pięć wzrostu i tlenione włosy. Sally Rand tańczyła z balonami, a jeszcze inna tancerka używała do tego celu piór. Następnie spowiadał się ze wszystkiego, co widział, u Świętego Stefana – a także z tego, że już nie tęskni za żoną. Kiedyś, owszem, lecz podobnie jak sama żona, tęsknota również odeszła w niebyt.

Kolejnym, stosunkowo świeżym nawykiem pana Leary'ego od czasu napisania do Exeter było ponowne zaglądanie na koniec do Michała Anioła i sprawdzanie, czy jest dla niego jakaś wiadomość. Kiedy przeglądał popołudniową pocztę, przyszło mu do głowy, że musi się wyspowiadać, gdyż propozycja *nom de plume* ciążyła mu na sumieniu jak grzech. Ale czyż Daniel Leary nie brzmiałoby wyśmienicie, pomyślał sobie stary Irlandczyk. Nagle zobaczył perłowoszarą kopertę ze szkarłatnym podpisem, w dodatku jakim ładnym!

Phillips Exeter Academy

No niemożliwe, mruknął w duchu. Jego modlitwa nie poszła na marne, nawet ta w ultrawłoskim ogrodzie u Świętego Leonarda.

– Bóg ci dopomoże, Dio ti aiuta – rzucił na głos chytry stary Irlandczyk, po angielsku i włosku (na wszelki wypadek, zanim otworzył kopertę i przeczytał list od komisji stypendialnej z Exeter).

Niejaki pan Carlisle przyjedzie do Bostonu. Chce odwiedzić Michała Anioła i poznać pana Leary'ego. Pan Carlisle nie może się też doczekać spotkania z Danielem Baciagalupo, a także z kucharzem, ojcem chłopca, no i jego macochą. Pan Leary zrozumiał, że być może zagalopował się kolejny raz, opisując wdowę Del Popolo jako „macochę”

Danny'ego; o ile mu było wiadomo, kucharz i powabna kelnerka żyli na kocią łapę.

Naturalnie zagalopował się też pod innymi względami. Chociaż Dan nie krył przed nauczycielem ojcowskiej niechęci do jego wyjazdu – i tego, że Carmella Del Popolo rozpłakała się na samą o nim myśl – pan Leary posłał na czcigodną uczelnię zestawienie wyników ulubieńca, a nawet przekonał paru kolegów do napisania mu referencji. Innymi słowy, złożył w imieniu Daniela Baciagalupo wniosek o przyjęcie do szkoły, i to wszystko bez porozumienia z jego ojcem! Tymczasem pan Carlisle napomknął w swym liście o konieczności złożenia przez rodzinę oświadczenia majątkowego, czemu powściągliwy kucharz może być zdecydowanie przeciwny – i pan Leary wyraził w duchu nadzieję, że nie zagalopował się (ponownie) na skalę swego fiaska z pseudonimem, które okazało się krępującą pomyłką.

O rany, pomyślał, czas na kolejną modlitwę!, mężnie jednak chwycił list w dłoń i z paczką rożków z cukierni ponownie pożeglował Hanover Street, tym razem nie do przykościelnego ogródka u Świętego Leonarda, ale do „Vicino di Napoli”, gdzie – jak wiedział – zastanie młodego Baciagalupo wraz z jego powściągliwym ojcem i pulchną wdową Del Popolo.

Krągła kelnerka przyszła kiedyś na konsultacje do pana Leary'ego; jej zmarły syn Angelú – miły, otwarty chłopak – był w siódmej klasie jego uczniem. Angelú nigdy nie należał do grona niewychowanych chłopców, którzy pastwili się nad nauczycielem. Ponadto był zapalonym czytelnikiem, choć łatwo się rozpraszał, o czym pan Leary wspomniał jego matce. Potem Angelú rzucił szkołę i wyjechał do pracy na zatraconej Północy, gdzie utonął, tak jak przedtem jego ojciec. (Zdaniem pana Leary'ego ze świecą szukać lepszego argumentu za pozostaniem w szkole, ot co!).

Od czasu tamtej rozmowy wdowa Del Popolo nawiedzała czasem pana Leary'ego we śnie; stary nauczyciel podejrzewał, iż zapewne stawało się to udziałem wszystkich mężczyzn, którzy mieli okazję ją poznać. Tak czy inaczej, jej nazwisko często przewijało się w czasie jego spowiedzi u Świętego Stefana. (Gdyby Carmella Del Popolo była striptizerką w Casino Theatre lub w Old Howard, co wieczór mieliby komplet!).

Z listem z Exeter w kopercie i poczuciem misji w sercu pan Leary wyruszył do restauracji (która, jak wiedział, stała się jednym z najpopularniejszych lokali na North Endzie) w takim pośpiechu, że nie zauważył wielkiej litery „O”, którą jeden z niepoprawnych wychowanków Michała Anioła narysował kredą na plecach jego granatowego prochowca. Pan Leary nie miał na sobie płaszcza podczas załatwiania wcześniejszych spraw, teraz zaś narzucił go z roztargnieniem, i gorliwie, acz z ukłuciem niepokoju ruszył w drogę, oznaczony od tyłu wielkim „O”, rzucającym się w oczy (z odległości czterystu metrów) niczym środek tarczy strzelniczej.

Gdy w hrabstwie Coos w roku 1967 nastała pora błota, Daniel Baciagalupo, pisarz, mieszkał w Iowa City w stanie Iowa; mieli tam prawdziwą wiosnę, żadnego błota. Lecz Danny'ego, który miał dwadzieścia pięć lat i dwuletniego syna – niedawno opuściła żona – ogarnął nastrój zgoła nieprzystający do wiosennej pogody. Pisał, usiłując przypomnieć sobie, o czym rozmawiali w „Vicino di Napoli”, w chwili gdy pan Leary, z listem z Exeter w kieszeni, zapukał gorączkowo do zamkniętych drzwi. Obsługa kończyła właśnie swój popołudniowy posiłek.

– To Irlandczyk! WpuśĆCIEgo! – zawołał stary Polcari.

Jedna z młodych kelnerek otworzyła drzwi – była to kuzynka Danny'ego, Elena Calogero. Miała około

dwudziestu lat, podobnie jak druga pomocnica Carmelli, Teresa DiMattia. DiMattia było panieńskim nazwiskiem Carmelli. Jak mawiała z upodobaniem wdowa Del Popolo, była „podwójnie wydziedziczoną neapolitanką” – najpierw stało się to wówczas, kiedy w dzieciństwie przyjechała z rodziną na North End z Sycylii (długo po tym, jak jej dziadkowie przenieśli się tam z okolic Neapolu), a następnie gdy poślubiła Sycylijczyka.

Pisarz Daniel Baciagalupo uważał, że za sprawą swej osobliwej logiki na tym nie poprzestała, gdyż po pierwsze „Angelú” było imieniem sycylijskim, a po drugie przywiązała się do Dominica. Pisał właśnie rozdział zatytułowany *Wyjazd do szkoły* i nie mógł się skupić.

Zbyt duża część kluczowego fragmentu – mianowicie gdy ojciec, przełykając łzy, udziela synowi zgody na wyjazd do szkoły z internatem – opisana była z perspektywy zacnego, ale wścibskiego nauczyciela chłopca.

– Cześć, Michael! – zawołał tego popołudnia Tony Molinari. (A może to Paul Polcari od pizzy pozdrowił pana Leary'ego jako pierwszy? Stary Joe Polcari, który swego czasu grywał z panem Learym w warcaby, zawsze zwracał się do nauczyciela po imieniu – podobnie jak mój tata, przypomniał sobie Danny Baciagalupo).

Coś nie szło Danny'emu pisanie, a może akurat ta scena. Jego żona (od trzech lat), która właśnie go zostawiła, zawsze powtarzała, że odejdzie, ale on jej nie wierzył – nie chciał wierzyć, jak wytknął mu Ketchum. Poznał Katie Callahan na Uniwersytecie New Hampshire; był na pierwszym roku, ona na ostatnim, ale oboje pozowali na lekcjach rysunku.

– Nadal wierzę w ciebie jako pisarza – oznajmiła mu, odchodząc – lecz na tym jednym, co nas łączy, daleko nie zajedziemy.

– Co masz na myśli? – zapytał.

– Nie wstydzimy się obnażać przed bandą głąbów i nieznajomych – powiedziała.

Być może jest to jeden z aspektów doli pisarza, pomyślał Daniel Baciagalupo w ów deszczowy wieczór w Iowa City. Pracował przeważnie nocą, kiedy mały Joe spał. Wszyscy, prócz Katie, nazywali dwulatka Joem. Podobnie jak właściciel „Vicino di Napoli”, po którym dostał imię, chłopiec nigdy nie był Josephem; stary Polcari wolał Giusé, albo po prostu Joe.

Owo obnażanie się przed bandą głąbów i nieznajomych Katie rozumiała w sensie dosłownym, przynajmniej jeśli chodziło o nią samą. Gdy Danny kończył studia w Durham, Katie była w ciąży; wciąż pozowała na lekcjach rysunku i sypiała ze studentem z akademii sztuk pięknych. Obecnie, w Iowa City, kiedy Danny był o krok od ukończenia warsztatów pisarskich na uniwersytecie, czyli studiów podyplomowych z twórczego pisania, Katie dalej pozowała na lekcjach rysunku, lecz dla odmiany sypiała z jednym z wykładowców.

Ale to nie dlatego postanowiła odejść, zakomunikowała mężowi. Zanim ukończył college, zaproponowała, że wyjdzie za niego i urodzi mu dziecko.

– Chyba nie chcesz jechać do Wietnamu, co? – zapytała.

Właściwie to (wówczas) zdawało mu się, że owszem, chce – nie żeby nie sprzeciwiał się wojnie ze względów politycznych, choć daleko mu było do radykalnych poglądów Katie. Ketchum nazywał ją „pieprzoną anarchistką”. Daniel Baciagalupo uważał, że powinien jechać do Wietnamu jako pisarz; wierzył, że jego zadaniem jest zobaczyć wojnę na własne oczy i samemu określić, jaka jest naprawdę. Ojciec i Ketchum uznali, że ma nie po kolei w głowie.

– Nie po to puściłem cię do cholernego Exeter, żebyś mi teraz jechał na głupią wojnę! – krzyczał Dominic.

Ketchum zagroził, że przyjedzie i obetnie mu kilka palców prawej ręki.

– Albo całą pieprzoną łapę! – wrzasnął, odmrażając sobie jaja w budce na jakimś wygwizdowie.

Obaj mężczyźni obiecali matce Dana, że nigdy nie puszczą go na wojnę. Ketchum odgrażał się, że utnie Danny'emu rękę, lub chociaż palce, swoim browningiem; nóż był długi na trzydzieści centymetrów i ostry jak brzytwa.

– Albo załaduję dwururkę i rozwalę ci kolano!

Daniel Baciagalupo wybrał propozycję Katie Callahan.

– No dalej, zapłodnij mnie – powiedziała. – Pobierzemy się i urodzę ci dziecko. Ale nie zostanę długo, nie myśl sobie. Nie mam zamiaru być niczyją żoną i nie nadaję się na matkę, ale wiem, jak urodzić dziecko. Dla dobra sprawy, żeby ocalić chociaż jedno mięso armatnie z tej pieprzonej wojny. W dodatku chcesz być pisarzem! Do tego musisz być żywy, nie? Ty głąbie!

Grała w otwarte karty; Danny od początku wiedział, co się święci. Poznali się, rozbierając się do naga przed lekcją rysunku.

– Jak masz na imię? – zapytała. – I kim chcesz zostać, kiedy dorośniesz?

– Będę pisarzem – oznajmił Danny, zanim jeszcze powiedział jej, jak ma na imię.

– Jeśli myślisz, że możesz żyć bez pisania, lepiej nie pisz – powiedziała.

– Co mówiłaś?

– To nie ja, tylko Rilke, głąbie. Jeśli chcesz być zasranym pisarzem, powinieneś go przeczytać.

Teraz odeszła, gdyż poznała (używając jej własnego określenia) „następnego kretyna, który myśli, że powinien jechać do Wietnamu, żeby go, kurwa, zobaczyć!”. Katie

postanowiła urodzić mu dziecko. Któregoś dnia znowu odejdzie, i tak w kółko, „dopóki ta pieprzona wojna się nie skończy”.

Wreszcie jej czas się skończy; z matematycznego punktu widzenia istniała tylko garstka chłopców, których mogła w ten sposób uchronić przed wojną. Młodych ojców pokroju Danny'ego Baciagalupo nazywano „ojcami Kennedy'ego”; w marcu 1963 roku prezydent ogłosił ustawę zwalniającą ich ze służby wojskowej. Obowiązywała tylko przez krótki czas, ale skorzystał na niej Daniel Baciagalupo, pisarz. Przeszedł z kategorii 2S (student) do kategorii 3A, do której zaliczali się ojcowie mający pod opieką małoletnie potomstwo. Posiadanie dziecka mogło uchronić człowieka przed wojną; niebawem mieli zamknąć i tę furtkę, lecz Danny jeszcze zdołał się prześliznąć. Czy wspomniany „kretyn”, którego poznała Katie, też miał się jeszcze na to załapać – cóż, tego nie wiedziała wówczas nawet ona sama. Tak czy inaczej, postanowiła odejść, bez względu na to, czy i ile razy przyjdzie jej zachodzić w ciążę pod sztandarem słusznej sprawy.

„Zaraz, czy ja dobrze rozumiem”, brzmiało jedno z ostatnich zdań Danny'ego pod adresem żony, która tak naprawdę nigdy żoną nie była, a rola matki nie interesowała jej w najmniejszym stopniu.

– Jeśli zostanę dłużej, głąbie, dwulatek może mnie zapamiętać – wyjaśniła szczerze Katie. Mówiła na rodzone dziecko per „dwulatek”.

– On ma na imię Joe – przypomniał jej Danny. A potem dodał: – Zaraz, czy ja dobrze rozumiem? Nie jesteś tylko antywojenną aktywistką i seksualną anarchistką; jesteś też radykalną laską, której specjalność to rodzenie dzieciaków tym, którzy chcą się wymigać od wojska, tak?

– Uwiecznij to na piśmie – poradziła mu Katie. A jej ostatnie słowa skierowane do męża były następujące: –

Może lepiej zabrzmi.

Przestrogi ojca i Ketchuma okazały się słuszne.

– Lepiej pozwól odciąć sobie kilka palców – błagał Ketchum. – Pójdzie jak z płatka, a i ból mniejszy. Co powiesz na palec wskazujący? Na co im żołnierz, który nie może nacisnąć spustu?

Dominic poczuł antypatię do Katie Callahan, z chwilą gdy Danny pokazał mu ją na zdjęciu.

– Za chuda – oznajmił, patrząc wilkiem na fotografię. – Czy ona w ogóle coś je? (I kto to mówi, pomyślał Danny; obaj z ojcem byli chudzi jak patyki, chociaż nie żałowali sobie jedzenia). I czy naprawdę ma takie niebieskie oczy? – zapytał tata.

– Na żywo wydają się jeszcze bardziej niebieskie – odpowiedział Danny.

Cóż takiego jest w tych nienaturalnie drobnych kobietach, myślał Dominic, wspominając swą niby-kuzynkę Rosie. Czyżby Daniel uległ zgubnemu czarowi jednej z owych lolitek, których kruchość była jedynie pozorna? Kucharz od razu odgadł, na podstawie jednego tylko zdjęcia Katie, że ma do czynienia z kobietą-dzieckiem, którą część mężczyzn instynktownie chce się zaopiekować. Tymczasem Katie nie potrzebowała opieki; ba, nie życzyła jej sobie.

Gdy spotkali się po raz pierwszy, nie mógł na nią patrzeć; traktował ją zupełnie tak jak (nadal) Filomenę, ciotkę Danny'ego.

– Żałuję, że pokazałem ci zdjęcia matki – oświadczył na wieść o ślubie.

Pewnie powinienem był poślubić jakąś miłą grubaskę, pomyślał Danny Baciagalupo, zamiast skupić się nad rozdziałem.

Wojna w Wietnamie ciągnęła się w nieskończoność; Nixon wygrał wybory w 1968 roku obietnicą jej

zakończenia, które jednak nastąpiło dopiero w 1975 roku. Dwudziestego trzeciego kwietnia 1970 roku prezydent Nixon ogłosił koniec ulgi dla młodych ojców – jeżeli dziecko zostało poczęte tego dnia lub później. W ciągu ostatnich pięciu lat wojny polegnie kolejne dwadzieścia trzy tysiące siedemset sześćdziesięciu trzech żołnierzy amerykańskich, i Daniel Baciagalupo zrozumie wreszcie, że powinien podziękować Katie Callahan za uratowanie mu życia.

„I co z tego, że rodziła dzieciaki tym, którzy chcieli wymigać się od wojska”, napisze mu Ketchum. „Uratowała ci dupę, jak dwa razy dwa cztery. Wcale nie żartowałem: gdyby nie ona, urżnąłbym ci łapę, żeby ci jaj nie odstrzelili. A przynajmniej palec lub dwa”.

Tamtej deszczowej kwietniowej nocy w Iowa City w sześćdziesiątym siódmym, gdy bezskutecznie usiłował skupić się na pracy, Daniel Baciagalupo wolał jednak myśleć, że zawdzięcza życie swemu dwuletniemu synkowi, małemu Joemu.

Katie raczej nie miała tyle szczęścia. Daniel Baciagalupo przeczyta po latach wspomnienia pisarza Roberta Stone'a. „Do połowy lat sześćdziesiątych życie dało Amerykanom tyle, że zachłysnęliśmy się nadmiarem możliwości”, napisze Stone. „Rzeczy wymykały się spod kontroli, nie nadążaliśmy ich poznać. Ci z nas, którzy przywiązywali największą wagę do zmian, którzy poświęcili im życie, moim zdaniem dali się oszukać najbardziej”.

Jakbym widział Katie Callahan, pomyślał Danny po przeczytaniu tego fragmentu. Lecz książka Roberta Stone'a nie zdążyła ocalić Katie. Nie potrzebowała opieki, nie czekała, aż ktoś ją ocali, ale – prócz jej lubieżnego, a przy tym pozornie dziecinnego wyglądu – Danny'ego najbardziej pociągało w niej to, że była renegatką. Miała przy tym cechy seksualnej dezerterki; człowiek nigdy nie wiedział, z czym wyskoczy, bo i ona sama tego nie wiedziała.

– Siadaj, Michaelu, siadaj! Zjedz coś! – zachęcał stary Polcari, ale pan Leary był zbyt przejęty, aby cokolwiek przełknąć. Wypił piwo, a następnie kieliszek lub dwa czerwonego wina. Danny wiedział, że biedak nie może patrzeć na Carmellę Del Popolo; nieodparta wizja elfiej bródki pod lewą pachą ewidentnie zrobiła swoje. A gdy Dominic pokuśtykał do kuchni po kawałek ulubionej pieczeni sycylijskiej nauczyciela, nie ulegało wątpliwości, że stary puchacz zobaczył jego kalectwo w nowym i zgoła zdumiewającym świetle. Może stopa kucharza faktycznie była sprawką niedźwiedzia, główkował zapewne pan Leary; może stuczterdziesto- lub stuosiemdziesięciokilowa Indianka z włosami za pas istniała naprawdę!

Pan Leary okłamał komisję z Exeter w jeszcze jednej sprawie, a konkretnie skłonności imigrantów do przesady. Bo czyż nie napisał, że młody Baciagalupo jest „niepodobny do innych”? W kwestii przesady literackiej Daniel Baciagalupo nie miał sobie równych! Również później, w deszczową noc w Iowa City, chociaż nie mógł się skupić; poza tym był jeszcze trochę zakochany w Katie Callahan. Dopiero zaczynał rozumieć, co ojciec miał na myśli, mówiąc o „zabójczym” błękicie oczu.

Jak leciała ta piosenka Johnny'ego Casha? Po raz pierwszy usłyszał ją przed sześcioma, może siedmioma laty; nie pamiętał dokładnie.

Te niebieskie oczy prześladują mnie,
Widzę je, gdziekolwiek obejrzę się.

I jak tu się skupić, pomyślał pisarz; miał poczucie, jakby próbował na siłę oderwać się od tamtego popołudnia w „Vicino di Napoli”, gdy zjawił się u nich drogi pan Leary.

Dopiero po trzecim lub czwartym kieliszku czerwonego wina i sporym kęsie pieczeni pan Leary zebrał się na odwagę i dobył z wewnętrznej kieszeni marynarki perłowoszarą kopertę. Danny ujrzał zza stołu szkarłatne litery i nie miał wątpliwości, co zawiera; znał barwy Exeter.

„To szkoła tylko dla chłopców, Dominicu”, wciąż brzmiały pisarzowi w uszach słowa pana Leary'ego. Stary nauczyciel angielskiego wskazał głową ładną Calogerównę (Elenę, starszą kuzynkę Danny'ego) oraz jej rozwiniętą nad wiek koleżankę Teresę DiMattię. Ilekroć Danny usiłował przebrać się w kuchni po szkole, dziewczęta nie dawały mu spokoju.

– Dajcie chłopakowi trochę prywatności, dziewczęta – upominał Tony Molinari, zresztą bez skutku. Jak widać, pan Leary nie był jedyną osobą, której Danny zawdzięczał swój wyjazd do Exeter; Elena i Teresa też zrobiły swoje.

Najtrudniej było mu pisać o łzach ojca, który mówił:

– No cóż, Danielu, jeśli to rzeczywiście taka dobra szkoła, jak mówi Michael… i jeśli naprawdę chcesz jechać… w takim razie będziemy cię czasem z Carmellą odwiedzać, no i ty możesz przyjeżdżać do Bostonu w niektóre weekendy. – Głos ojca załamał się na słowach „czasem” i „niektóre”, przypomniał sobie Daniel Baciagalupo w ów deszczowy wieczór, kiedy to absolutnie nie mógł się zmusić do pisania, chociaż próbował, w Iowa City.

Danny przypomniał sobie też, jak poszedł do kuchni, żeby ojciec nie widział jego łez – Carmella również płakała, co jednak nie było żadną nowością – i jak zamarudził tam jakiś czas, namaczając ścierkę. Niezauważony przez pana Leary'ego, który na dobre przyssał się do butelki z czerwonym winem, Danny starł kredę z jego prochowca. Kredowe „O” dało się wymazać bez trudu, w przeciwieństwie do reszty tego wieczoru.

Nigdy nie zapomni, jak leżał później w swoim pokoju przy Wesley Place, słuchając płaczu ojca – i Carmelli, która próbowała go pocieszyć.

Wreszcie zastukał w ścianę między pokojami.

– Kocham was! Będę przyjeżdżał, gdy tylko będę mógł!

– Ja cię kocham! – wybełkotał ojciec.

– Ja też! – zawołała Carmella.

Tej sceny nie mógł opisać. Nigdy nie oddam jej jak należy, myślał sobie Daniel Baciagalupo.

Rozdział zatytułowany *Wyjazd do szkoły* był częścią drugiej powieści dwudziestopięcioletniego pisarza. Pierwszą ukończył pod koniec pierwszego roku warsztatów pisarskich w Iowa; drugi i trzeci rok poświęcił na jej poprawianie. Na ostatnim roku los się do niego uśmiechnął: jeden z wykładowców wydziału anglistyki poznał go z agentem. I pierwsza powieść została zakupiona przez pierwszego wydawcę, do którego ją wysłał. Miało upłynąć kilka lat, zanim Daniel Baciagalupo zrozumie, ile miał szczęścia. Bardzo możliwe, iż żaden z pozostałych absolwentów z jego rocznika nie mógł się poszczycić podobnym osiągnięciem. Niektórzy zaczęli mu zazdrościć. Ale i tak miał niewielu przyjaciół; jako jeden z nielicznych utrzymywał żonę i dziecko, toteż nieczęsto udzielał się towarzysko.

Napisał Ketchumowi o książce. Miał nadzieję, że flisak będzie jednym z pierwszych, którzy ją przeczytają. Powieść miała ukazać się dopiero w grudniu 1967 roku albo po Nowym Roku, i choć była osadzona w realiach północnego New Hampshire, Daniel Baciagalupo zapewniał, że nie występuje w niej ani Ketchum, ani jego ojciec.

– Nie jest o żadnym z was, ani o mnie… nie jestem na to gotowy – oznajmił.

– Nie ma Angela ani Jane? – upewniał się Ketchum; w jego głosie brzmiało zdziwienie, może zawód.

– To nie jest autobiografia – wyjaśnił Danny, i mówił prawdę.

Być może pan Leary określiłby ją mianem „dość powściągliwej”, gdyby dożył jej wydania, lecz niestety już nie żył. Rozmyślając o pamiętnym popołudniu w „Vicino di Napoli”, Daniel Baciagalupo przypomniał sobie, że stary Giusé Polcari też umarł. Restaurację przenoszono dwukrotnie, najpierw na Fleet Street, a potem na North Square (gdzie znajdowała się do dziś); Tony Molinari i Paul Polcari na zmianę pełnili funkcję głównego kelnera, żeby trochę odpocząć od kuchni. Dominic (z kulawą nogą) nie nadawał się do tego, chociaż został pierwszym kucharzem, a ponadto robił pizzę, ilekroć Paul Polcari miał dyżur na sali. Carmella dalej była najbardziej rozchwytywaną kelnerką i zawsze miała pod opieką parę młodszych kobiet.

W letnie miesiące, które spędzał poza Exeter i Uniwersytetem New Hampshire – to znaczy, dopóki nie poznał Katie – Danny pracował w „Vicino di Napoli” jako kelner; czasami też robił pizzę, kiedy Paul i jego tata chcieli wziąć wolne. Gdyby Daniel Baciagalupo nie został pisarzem, z pewnością byłby kucharzem. Tamtego deszczowego wieczoru w Iowa City, kiedy szło mu jak po grudzie, a pierwsza powieść wciąż czekała na publikację, w przypływie zwątpienia pomyślał sobie, że może jednak zostanie kucharzem. Jeśli nie wyjdzie mu z pisaniem, przynajmniej umie gotować.

Co do przyszłego roku akademickiego, nie musiał martwić się o brak pracy: miał nauczać twórczego pisania i prowadzić parę innych kursów na wydziale nauk humanistycznych niewielkiej uczelni w Vermoncie. Przed złożeniem podania o pracę nigdy o niej nie słyszał, ale jego pierwsza powieść miała ukazać się nakładem Random House, a do tego ukończył prestiżowe warsztaty w Iowa:

nie było rady, zostanie wykładowcą, i już. Cieszył się z powrotu do Nowej Anglii. Tęsknił za tatą i Carmellą, no i – kto wie – może nawet zacznie częściej widywać się z Ketchumem. Od tamtej strasznej kwietniowej niedzieli, gdy uciekli z tatą z Twisted River, widział go tylko raz.

Ketchum przyjechał do Durham, kiedy Danny rozpoczynał studia na Uniwersytecie New Hampshire. Miał wtedy około czterdziestu pięciu lat.

– Twój tata mówi, że nigdy nie nauczyłeś się prowadzić na prawdziwej drodze – oznajmił na wstępie.

– W Bostonie nie mieliśmy samochodu, Ketchum. Sprzedaliśmy pontiaca zaraz po przyjeździe, a w Exeter nie było czasu na naukę jazdy – wyjaśnił Danny.

– Rany koguta! – jęknął Ketchum. – Student bez prawa jazdy! Trzymajcie mnie!

I nauczył Danny'ego prowadzić swą starą furgonetkę, co nie było łatwe, zwłaszcza że doświadczenie młodego kierowcy sprowadzało się do obsługi pojazdu z automatyczną skrzynią biegów na leśnych drogach dokoła Twisted River. Podczas tygodniowego pobytu w Durham Ketchum mieszkał w furgonetce, „jak w czasach waniganów”, powiedział. Dwukrotnie ukarano go za to mandatami, które zostawił Danny'emu.

– Ty zapłać – polecił. – Naukę jazdy masz za darmola.

Danny był niepocieszony, że widują się raz na siedem lat. Teraz minęło następnych sześć.

Jak można nie spotykać się z kimś tak dla człowieka ważnym, myślał Daniel Baciagalupo w deszczowy wieczór w Iowa. Co jeszcze dziwniejsze, ojciec nie widział Ketchuma od lat trzynastu. Co się z nimi dzieje? Danny nie mógł się skupić – rozgrzebany rozdział nie dawał mu spokoju.

Młody pisarz wybiegł w przyszłość, przechodząc do pierwszego spotkania z panem Carlisle'em z Exeter, do którego również doszło w „Vicino di Napoli”. Być może zawdzięczał swój wyjazd także Carmelli, gdyż pan Carlisle nigdy nie widział nikogo takiego jak ona – a już na pewno nie w Exeter w stanie New Hampshire – i oczarowany mężczyzna musiał pomyśleć sobie: „Jeśli mały Baciagalupo nie pójdzie do Exeter, już nigdy nie zobaczę tej kobiety!”.

Pan Carlisle będzie zdruzgotany, gdy Danny po raz pierwszy zjawi się w Exeter bez Carmelli. Dominic też nie mógł przyjechać. Bo niby jak? W Bostonie siedemnasty marca był nie tylko Dniem Świętego Patryka. (Młodzi Irlandczycy haftujący na ulicach zielonym piwem stanowili coroczną zmorę pana Leary'ego). Był to również Dzień Ewakuacji, z którego na North Endzie robiono wielkie halo, ponieważ w 1774 lub 1775 roku – Danny nie mógł sobie przypomnieć; w istocie chodziło o rok 1776 – na Copps Hill Burying Ground ustawiono artylerię, która miała wypłoszyć brytyjskie statki z bostońskiego portu. I tak w Bostonie Dzień Ewakuacji i rocznica bitwy o Bunker Hill były dniami wolnymi od zajęć szkolnych.

W roku 1957 Dzień Ewakuacji przypadał w niedzielę. W poniedziałek nie było lekcji i pan Leary zabrał chłopca pociągiem do Exeter. Dominic i Carmella nie mogli wyrwać się z restauracji. Rozproszone myśli pisarza raz jeszcze powędrowały ku podróży z panem Learym, kiedy to obaj po raz pierwszy ujrzeli Exeter. Pan Carlisle powitał ich jak na gościnnego gospodarza przystało, lecz nieobecność Carmelli musiała być dla niego wielkim ciosem.

Danny nie dotrzymał obietnicy. W weekendy rzadko przyjeżdżał do Bostonu, góra dwa razy w ciągu semestru, a i wówczas umawiał się na sobotę z kolegami z Exeter i szli na striptiz na Scollay Square, przeważnie do Old Howard. Musieli kłamać, że są starsi, ale przeważnie wpuszczano ich bez większych ceregieli, byle tylko odnosili się z

szacunkiem do pań. Podczas jednej z takich eskapad Danny wpadł na dawnego nauczyciela angielskiego. Był to smutny wieczór. Pan Leary, który kochał łacinę, podsumował go maksymą: *errare humanum est*, czyli „błądzić jest rzeczą ludzką”, mającą zastosowanie zarówno dla ubóstwianego nauczyciela, jak i jego ulubionego ucznia. Skoro mowa o wybieganiu w przyszłość, Daniel Baciagalupo uznał, że któregoś dnia będzie musiał opisać ów niefortunny wieczór (bądź też jakąś jego wersję).

Pierwszą powieść zadedykował nauczycielowi. Mając na uwadze jego zamiłowanie do łaciny, napisał:

MICHAELOWI LEARY'EMU IN MEMORIAM

To z jego ust po raz pierwszy usłyszał słowa *in medias res*. Pan Leary pochwalił twórczość Dana, mówiąc, iż „jako czytelnik” docenia to, że narracja Danny'ego często rozpoczyna się od środka opowieści, zamiast w porządku chronologicznym.

– Czy to ma jakąś nazwę? – spytał niewinnie chłopiec.

– Nazywam to *in medias res*, co po łacinie znaczy „pośrodku rzeczy” – odpowiedział pan Leary.

Oto, gdzie znajduję się w tej chwili, pomyślał Daniel Baciagalupo. Miał dwuletniego syna, któremu z nieznanych bliżej powodów nie nadał imienia po ojcu, stracił żonę i nie poznał jeszcze innej kobiety. Zmagał się z początkiem drugiej powieści, podczas gdy pierwsza nie została jeszcze wydana, i miał wrócić do Nowej Anglii w celu podjęcia pierwszej pracy, która nie miała nic wspólnego z kuchnią i gotowaniem. Jeśli to nie było *in medias res*, to co?

Podążając łacińskim tokiem myślenia, Danny po raz pierwszy zjawił się w Exeter wraz z panem Learym, który

towarzyszył mu *in loco parentis*, czyli „w zastępstwie rodzica”.

Może to dlatego pierwsza powieść była zadedykowana nauczycielowi.

– A nie twojemu tacie? – zapytał Ketchum. Carmella zadała młodemu pisarzowi to samo pytanie.

– Może następna – odpowiedział obojgu. Sam Dominic nie nawiązał do dedykacji ani słowem.

Danny wstał od biurka i patrzył na deszcz spływający po szybie. Potem przeszedł do drugiego pokoju i popatrzył na śpiącego Joego. Uznał, że przy takim tempie pracy najlepiej zrobi, jeśli położy się spać, lecz przeważnie i tak siedział do późna. Podobnie jak tata, Daniel Baciagalupo przestał pić; Katie skutecznie wyleczyła go z nałogu, ale na razie wolał o tym nie myśleć; nie kiedy pisanie szło mu jak krew z nosa. Złapał się na tym, że czeka na telefon od Ketchuma. (Czy Ketchum nie wspomniał, że muszą pogadać?).

Gdy dzwonił z odległych budek telefonicznych, czas zdawał się stawać w miejscu; ilekroć nadchodziły wieści od Ketchuma, dwudziestopięcioletni Daniel Baciagalupo znów czuł się jak dwunastolatek, który musi opuścić Twisted River.

Któregoś dnia uświadomi sobie rzecz następującą: to nie przypadek, że flisak zadzwonił właśnie w tamten kwietniowy wieczór. Jak zwykle telefonował na koszt abonenta i Danny przyjął rozmowę.

– Zasrana pora błota – powiedział Ketchum. – Jak się do licha czujesz?

– A więc zacząłeś pisać na maszynie – odparł Danny. – Będzie mi brakowało twojego ładnego pisma.

– To nie było moje pismo – oświecił go Ketchum. – Tylko Pam. Dyktowałem jej listy.

– Dlaczego? – zapytał Danny.

– Bo nie umiem pisać! – wyznał. – Czytać też nie. Pam czytała mi wasze listy na głos, twoje i taty.

Był to dla Daniela Baciagalupo potężny wstrząs, na miarę odejścia żony, jak pomyśli później, lecz o wiele poważniejszy w skutkach. Ileż to razy mu się zwierzał, nie wspominając o tym, co Ketchum musiał powiedzieć Pam, ponieważ to właśnie ona odpisywała na listy Danny'ego. To znaczyło, że o wszystkim wiedziała!

– Myślałem, że mama nauczyła cię czytać – stęknął.

– Nie bardzo – odparł Ketchum. – Wybacz, Danny.

– Czyli to Pam stuka na maszynie? – zapytał Danny. (Nie mógł sobie tego wyobrazić; w listach, które otrzymywali od Ketchuma, nie było ani jednej literówki).

– Poznałem w bibliotece jedną panią… jest nauczycielką. Pisze za mnie.

– A Pam? – spytał Danny.

– No właśnie w tym sęk – oznajmił Ketchum. – Sześciopak odeszła. Wiesz, jak jest – dorzucił. Wiedział o odejściu Katie, nie musiał nic więcej dodawać.

– Zostawiła cię? – oburzył się Danny.

– To małe piwo – odpowiedział Ketchum. – Nie dziwię się, że odeszła, dziwi mnie raczej, że tak długo została. Ale dziwię się, że odeszła do kowboja – uzupełnił. – W tym sęk.

– Chcesz powiedzieć, że wyśpiewa kowbojowi wszystko, co wie?

– Nie od razu – odparł Ketchum. – Nie widzi powodu, żeby mi bruździć, do ciebie i twojego taty raczej też nic nie ma. Rozstaliśmy się w zgodzie. Ale zrobi to, kiedy Carl zacznie ją bić, a zacznie. Albo gdy wyrzuci ją na zbity pysk, bo długo u niego miejsca nie zagrzeje, to pewne. Długo nie widziałeś Pam, Danny. Zbrzydła jak cholera.

Daniel Baciagalupo policzył w myślach. Wiedział, że Ketchum i Pam są rówieśnikami i mają dokładnie tyle lat co

Carl. Gdy doszedł do pięćdziesięciu, zapisał to sobie na kartce – tyle lat liczyli sobie w tej chwili. Bez trudu wyobraził sobie, że Pam zbrzydła, a Carl wyrzuci ją na zbity pysk. A najpierw stłucze, chociaż przestał pić.

– Co masz na myśli? – zapytał Ketchuma.

– Pam poczeka, aż Carl zrobi jej coś złego, wtedy mu powie. Nie rozumiesz, Danny? – zapytał flisak. – Tylko tak będzie mogła mu dopiec. Przez tyle lat myślał o tobie i Dominicu, wierząc, że sam przyczynił się do śmierci Jane. Ale jak na złość niczego nie pamięta! Nie zdziwiłbym się, gdyby całkiem ześwirował od tego myślenia: nie pamięta, że ją zabił, ale wierzy, że to zrobił.

Gdyby kowboj był innym, lepszym człowiekiem, zapewne odczułby ulgę na wieść o tym, że Indianka Jane nie zginęła z jego ręki. A gdyby Pam miała za sobą spokojniejsze życie, nie korciłoby jej, by odegrać się na Carlu w ten sposób. W najgorszym wypadku palnęłaby coś niechcący – lub w chwili gdy dawał jej łupnia. Ale Ketchum nie łudził się, że kowboj odkryje w sobie pokłady wewnętrznego dobra, i wiedział co nieco o życiu, jakie wiodła Pam. Wiódł podobne; do spokoju było mu daleko. Kowboj faktycznie ześwirował, ale wcale nie z powodu rzekomego zabicia Jane; o nie, sumienie nie miało tu nic do rzeczy. Ketchum miał rację: Carl szalał, gdyż nie pamiętał, jak zabija Jane; wiadomo, że to wspomnienie sprawiłoby mu przyjemność.

Dlatego właśnie przestał pić. Kiedy przed laty Ketchum opowiedział Danny'emu i kucharzowi o „świeżo upieczonym abstynencie z hrabstwa Coos”, mało nie umarli ze śmiechu.

– Jedno jest pewne: Dominic musi wyjechać z Bostonu – oznajmił teraz Ketchum. – I niech pozbędzie się tego Del Popolo. Powiem mu to, ale musisz mnie poprzeć, Danny. Twój tata nie zawsze mnie słucha.

– Myślisz, że Pam puści farbę?

– To pewne, tak samo jak to, że kowboj prędzej czy później da jej wycisk.

– Jezu! – krzyknął nagle Danny. – Co wyście z mamą robili, zamiast zajmować się czytaniem?

– Pogadaj z tatą, Danny. Nie mnie o tym mówić.

– Spałeś z nią? – zapytał Danny.

– Pogadaj z tatą, proszę – powtórzył Ketchum. Danny nie przypominał sobie, żeby stary kumpel kiedykolwiek powiedział „proszę”.

– Czy tata wie, że z nią spałeś? – spytał Danny.

– Rany koguta! – wrzasnął do słuchawki Ketchum. – A według ciebie dlaczego rozpierdzielił mi czaszkę cholerną patelnią?

– Co powiedziałeś?

– Jestem pijany – obwieścił Ketchum. – Nie słuchaj mnie.

– Myślałem, że to był Carl ze swoim coltem – powiedział Danny.

– Do diaska, gdyby to był on, byłby trupem! – zagrzmiał flisak. Danny nie miał wątpliwości, że to prawda: Ketchum nie zdzierżyłby takiej zniewagi, chyba że była dziełem Dominica.

– Zobaczyłem światła w stołówce – zaczął tamten, jakby nieoczekiwanie dał za wygraną. – Twoi rodzice siedzieli i rozmawiali, no i pili. Wszedłem do kuchni, nie wiedząc, że twój tata właśnie się o nas dowiedział.

– Rozumiem – odpowiedział Danny.

– Chyba nie. Pogadaj z tatą – powtórzył Ketchum.

– Czy Jane wiedziała? – zapytał Danny.

– Psiakrew, Indianka wiedziała o wszystkim.

– Ketchum? – rzucił Danny. – Czy tata wie, że nie nauczyłeś się czytać?

– Próbuję się nauczyć – odparł obronnym tonem Ketchum. – Nauczycielka mi pomoże. Obiecała.

– Czy tata wie, że nie umiesz czytać? – ponowił pytanie młody człowiek.

– Któryś z nas pewnie będzie musiał mu powiedzieć – oznajmił Ketchum. – Pewnie myśli, że Rosie czegoś tam mnie nauczyła.

– A więc dlatego zadzwoniłeś… to miałeś na myśli, pisząc, że „Coś się kroi”, tak? – upewnił się Danny.

– No po prostu nie wierzę, że łyknąłeś te brednie o pieprzonym niedźwiedziu – powiedział Ketchum. Echa tej historii „powściągliwie” wkradły się do pierwszej powieści Daniela Baciagalupo. Z tym że tak naprawdę do kuchni nie wszedł niedźwiedź, tylko Ketchum. I gdyby ta opowieść nie wryła się w serce i duszę małego Dana, być może w wiadomej chwili nie sięgnąłby po żeliwną patelnię o średnicy dwudziestu centymetrów, a miłosne odgłosy dobiegające z sypialni ojca nie pomyliłyby mu się z mlaskaniem. I w rezultacie nie zabiłby Jane.

– Czyli nie było niedźwiedzia – stwierdził Danny.

– Ożeż, w północnym New Hampshire są ich ze trzy tysiące, widuję ich na pęczki. I parę upolowałem – dodał Ketchum. – Ale gdyby niedźwiedź faktycznie wlazł do kuchni, najmądrzejszym rozwiązaniem byłoby ulotnić się przez stołówkę; ma się rozumieć, nie biegiem i przodem do zwierza: grunt to utrzymać kontakt wzrokowy i poruszać się bardzo powoli. Nie, głupku, nie było niedźwiedzia. To byłem ja! Tylko skończony dureń porwałby się na niedźwiedzia z pieprzoną patelnią!

– Żałuję, że w ogóle o tym pisałem – powiedział Danny.

– Jest jeszcze jeden problem – odparł Ketchum. – Problem literacki.

– Jezu! – wykrzyknął Danny. – Ile ty wypiłeś?

– Wykapany ojczulek – stwierdził Ketchum. – Chodzi o to, że wydajesz książkę, nie? A przyszło ci do głowy, co będzie, jeśli ta książka stanie się bestsellerem? Jeśli z dnia na dzień staniesz się sławnym pisarzem, a twoje nazwisko i zdjęcia trafią na pierwsze strony gazet, a może nawet do telewizji!

– To pierwsza powieść – rzucił lekceważąco Danny. – Mały nakład, reklamy jak na lekarstwo. Stworzyłem powieść literacką, taką mam przynajmniej nadzieję. Wątpię, żeby stała się bestsellerem!

– Ty się lepiej dobrze zastanów – poradził mu Ketchum. – Wszystko jest możliwe, nie? Czy pisarze, nawet ci młodzi, nie miewają szczęścia jak inni ludzie, lub też pecha, jak może zdarzyć się tym razem?

Tym razem Danny czuł, co się święci – poczuł to szybciej niż w przypadku „śmiałej propozycji” pana Leary'ego, który dał mu do zrozumienia, że powinien wyrzec się Baciagalupo. Pseudonim literacki wisiał nad nim jak miecz Damoklesa. Ketchum wyszedł z tym jako pierwszy; obecnie żądał, by Dominic zrezygnował z Del Popolo.

– Danny? – mruknął. – Jesteś tam jeszcze? Jak to się mówi… kiedy autor przybiera nie swoje nazwisko? Jak taka na przykład George Eliot?

– Pseudonim literacki – odpowiedział Danny. – Jakim, kurwa, cudem poznałeś nauczycielkę w bibliotece, skoro nawet nie umiesz czytać?

– No, z nazwiskami autorów i tytułami jakoś sobie radzę – odparł z urazą Ketchum. – Mogę wypożyczać książki i prosić, żeby ktoś czytał mi je na głos!

– Aha – odpowiedział Danny. Domyślał się, że sytuacja z matką wyglądała podobnie. Jak Ketchum kiedyś to nazwał? Gra wstępna, prawda? (Ściśle rzecz biorąc, było to określenie Dominica. Danny znał tę zabawną historię od ojca!).

– Pseudonim literacki – powtórzył z namysłem Ketchum. – To ma chyba jeszcze inną nazwę, jakoś tak z francuska.

– *Nom de plume* – podsunął Danny.

– Właśnie! – zawołał Ketchum. – *Nom de plume*. Oto, czego ci trzeba. Ostrożności nigdy nie dosyć.

– Domyślam się, że nie masz w zanadrzu żadnej propozycji – rzucił Daniel Baciagalupo.

– Ty jesteś pisarzem, to twoja broszka – odpowiedział Ketchum. – Ale „Ketchum” pasuje do Daniela, nie? Nie ma to jak stare, zacne nazwisko z Coos.

– Zastanowię się – uciął Danny.

– Dam głowę, że wymyślisz coś lepszego – zapewnił Ketchum.

– Powiedz mi jedno – sapnął Danny. – Gdyby mama wtedy nie utonęła, zostawiłaby którego z was? Ciebie czy tatę? O tym nie będę gadał z tatą, Ketchum.

– Psiakrew! – krzyknął Ketchum. – A podobno nazywałeś swoją żonę „wolnym duchem”. Katie była ladacznicą i zasraną anarchistką, miała w dupie wszystkie zasady i była bez serca: gdzie ty miałeś oczy, Danny? To Rosie, Rosie była wolnym duchem! Nie zostawiłaby żadnego z nas, w życiu! Twoja mama była wolnym duchem, Danny; wśród swoich rówieśników nie znajdziesz nikogo takiego jak ona! Psiakrew! – wrzasnął znów Ketchum. – Ależ ty potrafisz zadawać durne pytania, jakbym dalej miał do czynienia ze smarkaczem, który nie umie prowadzić i któremu można wcisnąć kit o niedźwiedziu. Pogadaj z tatą, Danny, mówię ci.

Rozległ się trzask, a następnie przeciągły sygnał, gdyż Ketchum odłożył słuchawkę, pozostawiając młodego pisarza sam na sam z jego myślami.

Rozdział 6
IN MEDIAS RES

W mieszkaniu przy Wesley Place na przekór logice telefon stał przy łóżku po stronie Carmelli. Gdy Danny przebywał w szkole z internatem, a następnie w college'u, kucharz podrywał się na dźwięk telefonu w nadziei, że usłyszy głos syna, a nie jakieś straszne wieści o nim. Przeważnie w słuchawce rozlegał się głos Ketchuma.

Carmella powiedziała Danny'emu, że powinien częściej dzwonić do domu.

– Twój tata zawsze powtarza, że tylko po to mamy telefon! – Chłopiec wziął sobie jej prośbę do serca i dzwonił częściej.

– Czy telefon nie powinien aby stać po mojej stronie? – zapytał Dominic. – Nie chcesz przecież rozmawiać z Ketchumem, a jeśli to Daniel albo, co gorsze, złe wieści o Danielu…

Carmella nie dała mu skończyć.

– Jeśli nadejdą jakieś złe wieści, chcę dowiedzieć się jako pierwsza: wtedy obejmę cię i przytulę, tak jak ty postąpiłeś ze mną – upierała się.

– Ależ masz pomysły, Carmello – pokręcił głową.

Carmella postawiła więc na swoim i telefon został po jej stronie. Ilekroć Ketchum dzwonił na ich koszt, zawsze zgadzała się na rozmowę i mówiła zwykle:

– Dzień dobry, panie Ketchum. Kiedy się wreszcie spotkamy? Bardzo chciałabym pana poznać. (Ketchum nie był skłonny do pogaduszek, przynajmniej nie z nią, toteż podawała słuchawkę Dominicowi, czyli „Gambie”, jak nazywała go pieszczotliwie).

Owej wiosny 1967 roku, gdy nadeszła wiadomość o nieudanym małżeństwie Danny'ego – co za wstrętna baba; kochany chłopiec niczym sobie na to nie zasłużył – a telefony z Północy (dotyczące przeważnie tego przebrzydłego policjanta) przybrały na sile, któregoś dnia Ketchum wystraszył Carmellę nie na żarty. Dominic doszedł później do wniosku, że najprawdopodobniej zrobił to celowo. Po wypowiedzeniu swej zwykłej formułki – kiedy już miała przekazać słuchawkę Dominicowi – Ketchum rzucił: „No, nie wiem, czy się w ogóle spotkamy. Może to za duże ryzyko”.

Carmella aż struchlała. Ostatnie wydarzenia zburzyły jej spokój, a tu jeszcze Ketchum wyjeżdża z czymś takim. Jej marzeniem było, aby Danny cieszył się z odejścia Katie na równi z nią samą. Zostawić mężczyznę to jedno – Włoszka mogła to zrozumieć – lecz gdy matka opuszcza własne dziecko, to już grzech. Carmella cieszyła się z odejścia Katie, gdyż uważała, że w przeciwnym razie Katie byłaby złą matką. Oczywiście Carmella i Dominic nigdy nie lubili Katie Callahan; znali ten typ.

– Czuć od niej pieniądze – stwierdziła kiedyś Carmella.

– Nie od niej, tylko pod nią – uściślił kucharz. Chodziło mu o to, że rodzinny majątek Callahanów stanowił polisę dla nieobliczalnej dziewczyny; robiła, co jej się żywnie podobało, gdyż w razie jakiejkolwiek wpadki mogła liczyć na interwencję zamożnych rodziców. Podzielał zdanie Ketchuma: rzekomy wolny duch dziewczyny był jedną wielką zmyłką. Danny nie zrozumiał ojca; wydawało mu się, że ojciec nie lubi Katie z uwagi na jej podobieństwo do Rosie, niewiernej matki Daniela. Jednakże wygląd Katie miał niewiele wspólnego z niechęcią, jaką żywili do niej Dominic i Ketchum; od początku męczyło ich raczej to, że w ogóle nie była do Rosie podobna.

Katie była tylko zakłamaną córeczką bogatych rodziców, pospolitą „napaloną wariatką”, jak mawiał o niej Ketchum.

Tymczasem Rosie kochała zarówno chłopca, jak i mężczyznę. Wpadła w ślepy zaułek, ponieważ szczerze kochała ich obu; wszyscy troje jednakowo utknęli w martwym punkcie. Z kolei dziewucha Callahanów łajdaczyła się na prawo i lewo; co gorsza, uważała, że jej szumne „ideały” wynoszą ją ponad rzeczy tak prozaiczne jak małżeństwo i macierzyństwo.

Carmella wiedziała, że Dominic cierpi na myśl o tym, iż jego syn uważa własną matkę za istotę równie rozwiązłą jak Katie. I choć usilnie starał się wytłumaczyć przyjaciółce zawiłości owego trójkąta, musiała przyznać, że rozumie go niewiele lepiej niż Danny. Mogła pojąć przyczyny, które do niego doprowadziły, ale dlaczego wszyscy troje trwali w takim układzie, nie wiedziała. Danny podzielał jej odczucia. Poza tym Carmella nie mogła darować kochanemu Gambie, dlaczego wcześniej nie powiedział synowi o matce. Danny był dorosły i miał prawo o wszystkim wiedzieć; byłoby lepiej, gdyby dowiedział się od ojca, zanim diabeł wyskoczył z pudełka podczas rozmowy z panem Ketchumem.

To ona odebrała telefon, gdy Danny zadzwonił wczesnym rankiem, by o tym porozmawiać.

– Secondo! – wykrzyknęła na dźwięk jego głosu w słuchawce. Był to przydomek Danny'ego w latach, gdy pracował w „Vicino di Napoli”.

„Secondo Angelo”, nazwał go stary Polcari, co znaczyło dosłownie „Drugi Angel”.

Wszyscy uważali, żeby wołać na niego Angelo, nigdy Angelù, a w obecności Carmelli skracali przezwisko do samego Secondo, chociaż ona sama darzyła chłopca takim uczuciem, że często mówiła o nim *secondo figlio* (czyli „drugi syn”).

W języku restauracji *secondo* znaczy również „drugie danie”, toteż przezwisko przylgnęło.

Jednakże tym razem Secondo Angelo nie był w nastroju do rozmowy z Carmellą.

– Muszę pomówić z tatą, Carmello – powiedział.

Ketchum uprzedził kucharza, że Danny zadzwoni. „Wybacz, Ziółko”, oznajmił na wstępie. „Skrewiłem”.

W kwietniowy poranek, kiedy Danny zadzwonił na Wesley Place, Carmella wiedziała, że będzie zły na ojca za to, iż przemilczał te wszystkie sprawy. Naturalnie słyszała tylko słowa Dominica, wiedziała jednak, że nie jest dobrze.

– Przepraszam… miałem ci powiedzieć – zaczął kucharz.

Carmella usłyszała odpowiedź Danny'ego, ponieważ wrzasnął do słuchawki.

– Na co czekałeś?

– Może na to, aż przytrafi ci się coś takiego, żebyś zrozumiał, jak to jest z kobietami – odpowiedział Dominic. Carmella trąciła go w bok. „Coś takiego” naturalnie odnosiło się do odejścia Katie, jak gdyby ten związek, z góry skazany na klęskę, w ogóle można było porównać do tego, co zaszło między Rosie a Ketchumem. I dlaczego tak długo kłamali o niedźwiedziu? Carmella nie mogła tego zrozumieć; toteż reakcja Danny'ego wcale jej nie zdziwiła.

Leżała, słuchając, jak Dominic opowiada synowi o wydarzeniach tamtej nocy, kiedy Rosie przyznała się do romansu z Ketchumem, który akurat musiał się napatoczyć; wszyscy byli na rauszu i zdradzony mąż grzmotnął Ketchuma patelnią. Na szczęście flisak był zaprawiony w bojach; zakładał, że zawsze znajdzie się ktoś, kto mu zechce przyłożyć, i pewne odruchy miał we krwi. Zasłonił się przedramieniem, obracając nieco patelnię w ręce Dominica, dzięki czemu żeliwna krawędź trafiła go w sam środek czoła zamiast w skroń, gdzie nawet częściowo zamortyzowane uderzenie równie ciężkim narzędziem mogłoby się okazać śmiertelne.

W Twisted River nie było lekarza, a w miejscu przyszłej Tamy Nieboszczki, gdzie zamieszka kiedyś skończony półgłówek z dyplomem medycznym, nie istniał nawet tartak. Rosie zszyła Ketchumowi czoło na jednym ze stołów, używając do tego celu cieniutkich drutów do wiązania faszerowanego drobiu. Kucharz wygotował najpierw drut, a pacjent ryczał jak łoś od początku do końca operacji. Dominic kuśtykał dokoła stołu, a Rosie nie zamykały się usta. Była tak wściekła, że kłuła drutem niczym dzidą.

– Najchętniej zszyłabym was razem – oznajmiła, patrząc prosto na męża, po czym zagroziła: – Jeszcze jeden taki wyskok, a zostawię was obu. Jasne? – zapytała. – Jeśli obiecacie nigdy nie zrobić sobie krzywdy, tylko dbać o siebie nawzajem, nigdy nie opuszczę żadnego z was, aż do śmierci – powiedziała. – Możecie mnie mieć po połowie albo wcale, przy czym wtedy zabieram ze sobą Danny'ego, i tyle mnie będziecie widzieli. Zrozumiano? – Widzieli, że nie żartuje.

– Myślę, że duma nie pozwoliła twojej mamie wrócić do Bostonu, kiedy poroniła, a po śmierci mojej matki uznała, że jestem za młody, aby mnie zostawić samego – opowiadał Dominic. – Uznała, że musi się mną zaopiekować, no i oczywiście wiedziała, że ją kocham. Nie wątpię, że ona mnie też kochała, ale byłem dla niej tylko miłym chłopcem, a gdy poznała Ketchuma… no cóż, był w jej wieku. Ketchum był mężczyzną. Nie pozostawało nam nic innego, jak pogodzić się z sytuacją, Danielu. Obaj szaleliśmy na jej punkcie, ona zaś na swój sposób kochała nas obu.

– A co na to Jane? – zapytał Danny, gdyż Ketchum wspomniał, że Indianka o wszystkim wiedziała.

– A jak ci się wydaje? – odpowiedział pytaniem ojciec. – Stwierdziła, że wszyscy troje jesteśmy debilami. Uważała, że podejmujemy wielkie ryzyko i że naiwne byłoby sądzić, iż wyniknie z tego coś dobrego. Ja też byłem tego zdania,

ale twoja mama nie pozostawiła nam wyboru, a Ketchum zawsze był większym ryzykantem niż ja.

– Mogłeś mi wcześniej powiedzieć.

– Wiem, Danielu. Wybacz mi – usłyszała Carmella.

Dominic powtórzył jej później słowa syna.

– Co tam niedźwiedź, grunt, że opowieść była pierwsza klasa – oświadczył Danny. – Ale jest jeszcze jedna sprawa, co do której się mylisz. Mówiłeś, że twoim zdaniem to Ketchum zabił Lucky'ego „Szczęściarza” Pinette'a. Wszyscy naokoło tak twierdzili, i ty, i Jane, i dzieciaki ze szkoły.

– Myślę, że mógł to zrobić, Danielu.

– A ja myślę, że jesteś w błędzie. Pinette został zamordowany w łóżku, w starym Boom House nad Androscoggin. Kiedy go znaleziono, leżał z głową rozwaloną nabijakiem. Tak? – upewnił się pisarz Daniel Baciagalupo.

– Właśnie tak – potwierdził jego ojciec. – A na czole miał odciśniętą literę „H”.

– Jednym słowem, było to morderstwo z zimną krwią. Prawda, tato?

– Na to wygląda, Danielu.

– W takim razie to nie Ketchum – stwierdził Danny. – Skoro zamordowanie Szczęściarza w łóżku przyszłoby mu z taką łatwością, dlaczego po prostu nie zabije Carla? Mógłby dokonać tego na wiele sposobów. Gdyby, ma się rozumieć, był mordercą.

Dominic zrozumiał, że Danny ma rację. („Może chłopak naprawdę jest pisarzem!” powie później, streszczając Carmelli tę historię). Ponieważ gdyby Ketchum był mordercą, Carl już by nie żył. Ketchum obiecał Rosie, że zaopiekuje się Dominikiem – a czyż istniał na to lepszy sposób niż wyeliminowanie człowieka, który mu zagraża?

Zatłuc kowboja, i już, w łóżku bądź gdziekolwiek tam, gdzie zdarzy mu się przysnąć.

– Nie rozumiesz, tato? – zapytał Danny. – Jeśli Pam powie o wszystkim Carlowi, a nas nie będzie pod ręką, dlaczego miałby nie wyżyć się na Ketchumie? Dowie się, że on od początku wiedział o Jane, Pam mu to wyśpiewa!

Niestety, obaj znali na to odpowiedź. Jeśli kowboj postanowi odegrać się na Ketchumie, ten go zabije; wiedzieli o tym również sami zainteresowani. Podobnie jak większość damskich bokserów, kowboj był tchórzem; nie odważy się podskoczyć Ketchumowi, choćby dostał do ręki karabin. Kowboj wiedział, że flisak nie byłby łatwym celem – w przeciwieństwie do kucharza.

Opowiadając o tym Carmelli, Dominic podkreślił jedną rzecz: jeżeli Carl ruszy za nim w pogoń i kucharz znów będzie musiał uciekać, nie zabierze jej ze sobą. Straciła męża i jedyne dziecko. Oszczędzono jej tylko widoku ich śmierci. Jeśli pojedzie z Dominikiem, kowboj być może daruje jej życie, ale będzie musiała patrzeć, jak zabija Gambę.

– Nie dopuszczę do tego – powiedział Dominic. – Jeśli ten debil zacznie mnie szukać, wyjadę sam.

– Dlaczego ty i Danny nie pójdziecie po prostu na policję? – zapytała Carmella. – Przecież to był wypadek! Nie możecie uświadomić policji, że Carl jest stuknięty i niebezpieczny?

Trudno było wytłumaczyć to komuś, kto nie pochodził z Coos. Po pierwsze, to kowboj był policją, a przynajmniej tym, co uchodziło za nią w tamtych stronach. Po drugie, sam fakt, że ktoś jest stuknięty i niebezpieczny to za mało, żeby wsadzić go za kratki, zwłaszcza w północnym New Hampshire. Podobnie jak potajemne pozbycie się zwłok. Grunt, że to nie kowboj zabił Jane, tylko Danny. A kucharz powinien mieć więcej oleju w głowie, niż brać nogi za pas:

mógł przecież zostać i powiedzieć komuś prawdę, może wtedy dałoby się sprawę załagodzić. Mógł też wrócić z synem do Twisted River i nakłamać w żywe oczy, jak proponował mu Ketchum. Dan też bardzo tego chciał.

Oczywiście było za późno, żeby wszystko odwrócić. Dominic postawił sprawę jasno na początku związku z Carmellą, a ona przystała na jego warunki. Obecnie kochała go bardziej niż trochę i żałowała swej pochopnej decyzji. Wyjazd przyjaciela będzie ją wiele kosztował. Naturalnie Dominic wiedział, że za nią zatęskni, bardziej niż za Indianką Jane. Może nie tak, jak wciąż obaj z Ketchumem tęsknili za Rosie, wiedział jednak, że Carmella jest kimś szczególnym. Im bardziej kochał zaś ją, tym usilniej sprzeciwiał się temu, aby mu towarzyszyła.

Leżąc w łóżku, Carmella rozmyślała o miejscach na North Endzie, których już nie mogła odwiedzać, po pierwsze dlatego, gdyż chodziła tam ze zmarłym mężem, a po drugie (co sprawiało jej więcej bólu), ponieważ kojarzyła je z Angelù. Zastanawiała się, co będzie, kiedy opuści ją również Dominic – jej ukochany Gamba.

Gdy Angelù utonął, Carmella przestała zapuszczać się w okolice Parmenter Street, a zwłaszcza tam, gdzie kiedyś stała szkoła, do której chodził syn. Została zburzona (w 1955 lub 1956 roku, Carmella nie pamiętała dokładnie). W jej miejscu powstanie kiedyś biblioteka, lecz Carmella dalej nie będzie tamtędy chodzić.

Ponieważ zawsze była kelnerką w „Vicino di Napoli” – była to jej pierwsza i jedyna praca – większość ranków miała wolnych. Kiedy dzieci ze szkoły wychodziły na spacery po okolicy, Carmella zawsze zgłaszała się jako opiekun, do pomocy nauczycielkom. Z tego powodu przestała zaglądać w rejony Old North Church, gdzie wraz z klasą Angelù obejrzała iglicę, odrestaurowaną w 1912 roku przez potomków Paula Revere'a[*]. Był to kościół

episkopalny – nigdy nie chodziła tam na nabożeństwo, ponieważ była katoliczką – niemniej jednak dość słynny (głównie z uwagi na powiązania z Paulem Revere'em). W szklanej gablocie umieszczono cegły z celi, w której przetrzymywano w Anglii ojców pielgrzymów[*].

Carmella nie mogła też przechodzić obok Domu Marynarza na North Square, co było dość uciążliwe z uwagi na bliskie sąsiedztwo „Vicino di Napoli". Jednakże był to punkt orientacyjny bostońskiego portu i Stowarzyszenia Przyjaciół Morza, „poświęcony służbie żeglarzy". Dzieci z klasy Angelù też go zwiedzały, lecz Carmella darowała sobie tę wyprawę – bądź co bądź, jej mąż zginął na morzu.

Owe skojarzenia prześladowały ją w stopniu wręcz niedorzecznym, ale co zrobić? Ubóstwiała kawiarnię „Vittoria", lecz unikała sali z portretami Rocky'ego Marciano, gdyż mąż i Angelù darzyli mistrza wagi ciężkiej wielkim podziwem. Często jadała z mężem i synem w „Grotta Azzurra" na Hanover Street, gdzie bywał również Enrico Caruso. To także należało do przeszłości.

Mąż powiedział jej, że na Hanover Street nie napadnięto nigdy żadnego marynarza, i tak będzie nadal; nawet najbardziej pijany wilk morski mógł bezpiecznie pokonać trasę od nadbrzeża do Old Howard i z powrotem. Oprócz klubów ze striptizem w okolicy znajdowały się też tanie bary uczęszczane przez marynarzy oraz arkady wokół Scollay Square. (Naturalnie ich kres był jedynie kwestią czasu; to samo dotyczyło Scollay Square). Jednakże świat, w którym Carmella żyła niegdyś ze swoją rodziną, był już dla niej na zawsze zamknięty i każde skojarzenie wywoływało bolesne wspomnienia!

Nawet mewy żerujące przy Haymarket przypominały jej sobotnie spacery z Angelù trzymającym ją za rękę. Spoglądała już z obawą w stronę restauracji na Fleet

Street; czasem, gdy „Vicino di Napoli” było zamknięte, jadała tam z Dominikiem. Odwiedzali też „Europeo” – Dominic zamawiał przeważnie smażone kalmary, ale nigdy po nowojorsku. „Tylko bez czerwonego sosu, wystarczy sama cytryna”, mawiał. Czy po jego wyjeździe również i te miejsca zostaną dla niej zamknięte?

Przeniesie się do mniejszego mieszkania, to na pewno. Czy latem będzie tam taki upał, że upodobni się do jednej ze staruszek w kamienicy przy Charter Street? Wystawiały krzesła na zewnątrz i dla ochłody przesiadywały na chodniku. Latem przystrajano kamienice chorągiewkami na święta kościelne. Carmella przypomniała sobie nagle Angelù siedzącego ojcu na barana; Hanover Street była zamknięta na czas procesji z okazji dnia świętego Rocha. Teraz jakoś nie lubiła procesji.

W 1919 roku Giusé Polcari był młodym człowiekiem. Pamiętał wybuch melasy, który zabił dwadzieścia jeden osób na North Endzie, w tym ojca jego kolegi.

– Ugotował się w fali wrzącej melasy! – opowiadał Danny'emu. Chociaż stało się to już po wojnie, wybuch był taki, że wszyscy myśleli, iż znowu atakują Niemcy i może bomby spadły na port, albo coś w tym stylu. – Widziałem fortepian pływający w melasie! – dodał stary Polcari.

W kuchni w „Vicino di Napoli” wisiało czarno-białe zdjęcie Nicoli Sacco i Bartolomeo Vanzettiego, dwóch imigrantów anarchistów, skutych jednymi kajdankami. Sacco i Vanzetti zostali skazani na krzesło elektryczne za zamordowanie skarbnika i strażnika z fabryki butów w South Braintree. Polcari zapomniał na starość większość szczegółów, ale pamiętał marsze protestacyjne.

– Chłopaki zostali wrobieni! Kapuś z pierdla przy Charlestown Street wskazał ich palcem, za co stan Massachusetts podarował mu darmowy bilet do Włoch –

opowiadał Danny'emu stary Joe. Marsz w obronie Sacco i Vanzettiego zaczął się na Hanover Street na North Endzie i prowadził aż do Tremont Street, gdzie policja konna rozpędziła tłum; protestantów były tysiące, w tym Joe Polcari.

– Jeśli ty albo twój syn będziecie mieli problem, Gamba, wal śmiało – powiedział do Dominica Giusé Polcari. – Znam TE-go i o-WE-go, szastprast i po krzyku.

Stary Polcari miał na myśli kamorrę, neapolitańską wersję mafii, choć różnica między nimi była dla Dominica niejasna. Kiedy w dzieciństwie rozrabiał, Nunzi nazywała go *camorista*. Mimo to odnosił wrażenie, że na North Endzie – gdzie zarówno mafię, jak i kamorrę określano mianem Czarnej Ręki – rządzi raczej mafia.

Kiedy wyznał Paulowi Polcariemu, że kowboj może deptać mu po piętach, Paul odpowiedział mu na to:

– Gdyby tata żył, skrzyknąłby swoich kumpli z kamorry, ale tych to nie znam.

– Od mafii lepiej trzymać się z daleka – dodał Tony Molinari. – Jeśli wyświadczą ci jakąś przysługę, zostaniesz ich dłużnikiem.

– Nie chcę angażować was w moje kłopoty – oświadczył Dominic. – Nie proszę o pomoc ani mafii, ani kamorry.

– Ten szaleniec nie skrzywdzi chyba Carmelli, co? – zapytał Paul.

– Trudno powiedzieć. Nie zaszkodzi mieć na nią oko – odparł Dominic.

– Masz to jak w banku – zapewnił Molinari. – Jeśli tu przyjdzie, są noże, toporki…

– Butelki od wina – podsunął Paul.

– Wybijcie to sobie z głowy – odpowiedział Dominic. – Jeśli tu przyjdzie, będzie uzbrojony, nigdzie nie rusza się bez swojego colta.45.

– Wiem, co powiedziałby na to mój tata – odrzekł Paul Polcari. – „Colt to pestka: szywaczki w fabryce koszul to dopiero było coś. Nawet na golasa mi-JA-ły przy sobie igły!”. (Joe Polcari miał na myśli fabrykę Leopolda Morse'a w starym budynku Prince Macaroni; jego syn Paul utrzymywał, że Giusé posuwał którąś z tamtejszych krzepkich robotnic, a przynajmniej próbował).

Wszyscy trzej wybuchnęli śmiechem, usiłując zapomnieć o niezrównoważonym szeryfie z hrabstwa Coos. Cóż innego im pozostawało?

Stary Polcari znał dziesiątki podobnych anegdot.

– Pamiętacie tę o babce, która pracowała na nocną zmianę w zakładach mięsnych? – zapytał pozostałych Dominic.

Obaj kucharze zarechotali.

– Tak, w dziale wędliniarskim – dorzucił Paul Polcari.

– Miała sprytny mały nożyk do obierania frankfurterek! – przypomniał sobie Molinari.

– I umiJAła obrać kutasa jak marchewkę! – wrzasnęli wszyscy trzej niemalże chórem. Nagle do restauracji weszła Carmella i jak na komendę przestali się śmiać.

– Znów świntuszycie? – uśmiechnęła się. Właśnie rozpalali w piecu, czekając, aż wyrośnie ciasto na pizzę; nie było jeszcze południa, ale sos marinara już podgrzewał się na wolnym ogniu. Carmella zobaczyła, że zmarkotnieli nagle i unikali jej wzroku. – Rozmawialiście o Carlu, tak? – zapytała; zachowywali się jak mali chłopcy przyłapani na masturbacji. – Może powinieneś zrobić, jak radzi Ketchum. Może warto posłuchać starego przyjaciela, Gamba – powiedziała do Dominica. Od ostrzeżenia Ketchuma minęły dwa miesiące, ale biedak wciąż nie mógł lub nie chciał podać jej planowanej daty wyjazdu.

A teraz żadne z nich nie mogło patrzeć na najmilszego Gambacortę, kucharza, który powłóczył nogą.

– Skoro masz jechać, po co zwlekać – westchnęła. – Już prawie lato – oświadczyła nagle. – Czy gliniarze biorą wtedy urlop?

Był czerwiec, zbliżały się letnie wakacje. Był to trudny okres dla Carmelli. Ni stąd, ni zowąd nie miała dokąd pójść; wszędzie kręciły się dzieci, które przypominały jej Angelù *primù*, pierwszego Angela.

Owe dwa z wolna upływające miesiące szeryf spędził z Pam. Owszem, staż mieli niewielki, ale – jak zaznaczył Ketchum – Carl rzadko wytrzymywał aż tyle bez pobicia kobiety. Kucharz nie pamiętał, żeby kiedykolwiek minął tydzień, by kowboj nie podniósł ręki na Jane.

O pewnych sprawach dotyczących Daniela Carmella nigdy drogiemu Gambie nie powiedziała. Na przykład o tym, jak chłopiec stracił cnotę, zanim jeszcze pojechał do Exeter. Przyłapała go ze swoją bratanicą, jedną z sióstr DiMattia – Josie, młodszą siostrą Teresy. Carmella wyszła do pracy, ale coś jej się przypomniało i musiała wrócić na Wesley Place. Teraz nie pamiętała nawet, co to było. Danny miał akurat wolny dzień. Wiedział już, że przyznano mu pełne stypendium; być może postanowił to uczcić. Oczywiście Carmella pamiętała, że Josie DiMattia jest starsza od Danny'ego; prawdopodobnie wszystko zaczęło się z jej inicjatywy. I pomyśleć, że Dominic przez cały czas podejrzewał, iż to Teresa DiMattia – bądź też jej przyjaciółka Elena Calogero, zdecydowanie „całuśna” – pierwsza wciągnie chłopca do łóżka.

Co też Gamba tak się tym gryzie, zastanawiała się Carmella. Gdyby chłopak uprawiał więcej seksu – miała na myśli okres spędzony w Exeter – może nie dałby sobie tak łatwo zawrócić w głowie tej całej Callahanównie, kiedy

poszedł do college'u! A gdyby przeleciał więcej „całuśnych” kuzynek – z rodziny Calogero i Saetta, a choćby i nawet wszystkie panny DiMattia – pewnie zaliczyłby wpadkę z kimś o wiele milszym niż Katie!

Z powodu obsesji Dominica na punkcie Eleny Calogero i Teresy DiMattii w pierwszej chwili po wejściu do pokoju – widząc Danny'ego w swoim łóżku – Carmella siłą rzeczy uznała, że przerażony niewinny chłopak padł ofiarą Teresy. Jasne, że był przerażony, w końcu Carmella nakryła ich na gorącym uczynku!

– Teresa, ty dziwko! – wrzasnęła. Gwoli ścisłości, nazwała dziewczynę *troia*, od osławionych kobiet trojańskich, ale sens był oczywiście ten sam.

– Jestem Josie, siostra Teresy – odparła z urazą dziewczyna. Była zła, że ciotka jej nie poznała.

– Hm, aha – skwitowała Carmella. – A tak w ogóle, to dlaczego w naszym łóżku, Danny? Nie masz własnego, ty *disgraziato…*

– Jezu, wasze jest większe – burknęła Josie.

– I mam nadzieję, że używacie prezerwatywy! – krzyknęła Carmella.

Dominic używał prezerwatyw; nie miał nic przeciwko temu, a Carmella tak wolała. Może chłopak znalazł gumki ojca. Carmella wiedziała, że ich zdobycie wymagało zachodu.W aptece Barone'a trzymano je w ukryciu, poza zasięgiem wzroku. Gdy młodzież o nie pytała, zawsze musiała się nasłuchać od aptekarza. A przecież każdy rozsądny rodzic dorastającego dziecka wbijał gówniarzowi do głowy, że ma używać prezerwatyw. Niby jak miał je kupić?

– Wziąłeś prezerwatywę taty? – zapytała Carmella chłopca, który leżał zasłonięty kołdrą; był wstrząśnięty tym, że dali się przyłapać. Z kolei młoda DiMattia nie pofatygowała się nawet zasłonić piersi. Siedziała goła i

nadąsana, wyzywająco patrząc na ciotkę. – Wyspowiadasz się z tego, Josie? – zwróciła się do niej Carmella. – Jak masz zamiar powiedzieć o tym księdzu?

– Przyniosłam prezerwatywy, dostałam je od Teresy – odpowiedziała dziewczyna, puszczając mimo uszu drugie, istotniejsze pytanie.

Carmella rozzłościła się nie na żarty. Co też ta *troia* Teresa wyprawia, żeby dawać siostrze prezerwatywy!

– Ile? – zapytała. Ale zanim dziewczyna zdążyła odpowiedzieć, Carmella zwróciła się do Danny'ego. – Nie masz lekcji do odrobienia? – Raptem uświadomiła sobie własną hipokryzję. (Czy nie wypadało podziękować Teresie za jej wspaniałomyślny gest? Czy to prezerwatywy umożliwiły Josie uwiedzenie Secondo?).

– Jezu, mam je policzyć, czy co? – jęknęła Josie. Biedny Danny wyglądał, jakby miał się zapaść pod ziemię, Carmella nigdy tego nie zapomni.

– Lepiej uważajcie… Muszę iść do pracy – oznajmiła surowo. – Josie! – krzyknęła na odchodne, tuż przed zatrzaśnięciem drzwi. – Masz mi wyprać pościel i pościelić łóżko, bo naskarżę twojej matce!

Zastanawiała się, czy spędzili w łóżku całe popołudnie i wieczór, i czy starczyło im prezerwatyw. Wytrąciło ją to z równowagi do tego stopnia, że zapomniała, po co wróciła do mieszkania.

Jej kochany Gamba pragnął uchronić syna przed dziewczętami; ależ płakał, kiedy Danny wyjeżdżał do Exeter! Carmella nie miała serca mu powiedzieć, że niewiele wskórał, posyłając syna do szkoły z internatem (przynajmniej w tej konkretnej kwestii). Poza tym zbyt wielkie wrażenie wywarła na nim lista uczelni, do których uczęszczali absolwenci Exeter; nie mógł pojąć, dlaczego Danny nie dostał się do żadnej ze szkół Ivy League[*]. Uniwersytet New Hampshire sprawił mu zawód, podobnie

jak oceny syna w Exeter. Jednakże dla ucznia Michała Anioła Exeter stanowiło spore wyzwanie, Danny zaś nie miał zdolności do matematyki ani pozostałych przedmiotów ścisłych.

Osiągał przeciętne wyniki, głównie dlatego, że cały czas pisał. Pan Leary miał rację: tak zwane twórcze pisanie nie cieszyło się w Exeter wielkim poważaniem, w przeciwieństwie do teorii. Znalazło się paru nauczycieli, którzy przejęli pałeczkę po panu Learym i czytali to, co młody Baciagalupoim pokazał. (Żaden z nich nie próbował skłonić go do zmiany nazwiska).

Inną ulubioną czynnością Danny'ego w Exeter było bieganie do upadłego. Jesienią uprawiał biegi przełajowe, wiosną i zimą zaś korzystał z bieżni. Obowiązkowych zajęć wychowania fizycznego nie lubił, ale bieganie jak najbardziej. Przeważnie pokonywał długie dystanse, pasowało to do jego drobnej budowy. Rywalizacja nie interesowała go w najmniejszym stopniu, uwielbiał dawać z siebie wszystko, ale nie po to, aby być pierwszy. Przed przyjazdem do Exeter nie miał ku temu okazji, lecz będąc już na miejscu, odbił to sobie z nawiązką.

Na North Endzie nie było gdzie biegać, długie dystanse nie wchodziły w rachubę. W lasach Północy z kolei nie było bezpiecznie: człowiek mógł się potknąć o wystający korzeń, na drodze zaś groziło mu spotkanie z ciągnikiem, którego skutki mogły być trudne do przewidzenia. Właścicielami dróg były przedsiębiorstwa leśne, a debilni kierowcy ciężarówek panoszyli się tak, jakby sami rządzili na nich niepodzielnie. Należało wspomnieć również o polowaniach, zarówno z kuszą, jak i z bronią palną. Jeśli człowiek wypuszczał się w las w sezonie łowieckim, ryzykował, że jakiś niedowidzący amator łowiectwa przedziurawi go strzałą bądź kulą z dubeltówki.

Kiedy Danny napisał Ketchumowi o swej nowej pasji, flisak odpisał mu tak: „Psiakrew, grunt, że nie podkusiło cię

do biegania w Twisted River. Tutaj, kiedy widzę biegnącego gościa, zakładam, że narozrabiał i daje nogę. Człowiek wygarnia do takiego z pukawki i dostaje za to medal”.

Danny uwielbiał krytą bieżnię w Exeter, gdzie oprócz ścieżki do biegu znajdował się także nachylony drewniany tor. Było to świetne miejsce do obmyślania nowych tematów; Danny odkrył, że biegnąc, odzyskuje jasność myślenia, zwłaszcza gdy dopadało go zmęczenie.

Gdy ukończył Exeter z czwórkami z angielskiego i historii oraz trójkami z pozostałych przedmiotów, pan Carlisle powiedział Dominicowi i Carmelli, że chłopiec być może jeszcze „da się poznać”. Dał, i to szybciej, niż mogli przypuszczać: wydanie pierwszej powieści tuż po zakończeniu warsztatów w Iowa było w końcu osiągnięciem niebagatelnym. Pan Carlisle miał zapewne na myśli względy czysto naukowe. Na uniwersytecie Danny osiągnął świetne wyniki; w porównaniu z Exeter Uniwersytet New Hampshire był dla niego jak bułka z masłem. Najgorsze było poznanie Katie Callahan i to, co stało się potem, zarówno w Durham, jak i w Iowa City. Na samą wzmiankę o Katie Carmella i jej drogi Gamba wręcz pluli jadem.

– A ty martwiłeś się o parę ładnych Włoszek z North Endu, Gamba! – wybuchła kiedyś Carmella. – To był tylko czubek góry lodowej!

– Zimna suka – podsumował dobitnie Ketchum.

– Wszystko przez to pisanie – odpowiedział Carmelli Dominic. – W kółko coś sobie wyobrażał. I na co mu to było?

– Ty chyba straciłeś rozum, Gamba. Chcesz powiedzieć, że Katie też sobie wymyślił? Serio wolałbyś, żeby zamiast tego pojechał do Wietnamu?

– Ketchum nie dopuściłby do tego – uciął Dominic. – Ketchum nie żartował, Carmello. Daniel byłby pisarzem bez kilku palców.

Carmella stwierdziła w duchu, że może jednak im później pozna tego człowieka, tym lepiej dla wszystkich.

Pisarz Daniel Baciagalupo został magistrem sztuki w czerwcu 1967 roku. Wkrótce potem zabrał swojego dwuletniego syna Joego i wyjechał do Vermontu. Pomimo kłopotów z Katie lubił Iowa City i warsztaty pisarskie, lecz latem panował tu straszny upał i Danny wolał spokojnie rozejrzeć się za nowym mieszkaniem w Putney w stanie Vermont, gdzie znajdował się Windham College. Musiał też załatwić synowi żłobek, no i poszukać stałej opiekunki, z tym że spodziewał się, iż tutaj będzie mógł liczyć na pomoc swoich studentów.

Tylko jednemu z wykładowców w Iowa (i nikomu więcej) opowiedział o swym pomyśle na *nom de plume*, a mianowicie Kurtowi Vonnegutowi, który był zacnym człowiekiem i dobrym nauczycielem. Vonnegut wiedział też o jego problemach z Katie. Danny nie podał przyczyn, które skłoniły go do rozważenia tego pomysłu, ale dał wyraz swoim rozterkom.

– Nieważne, jak się nazywasz – odpowiedział mu Vonnegut. I dodał, że *Życie rodzinne w hrabstwie Coos*, pierwsza powieść Danny'ego, była jedną z najlepszych książek, jakie czytał. – Tylko to się liczy, a nie nazwisko, którym się posługujesz.

Jedynym zarzutem autora *Rzeźni numer pięć* był tak zwany problem interpunkcyjny młodego pisarza. Panu Vonnegutowi nie podobały się średniki.

– Ludzie domyślą się, że byłeś w college'u, nie musisz im tego udowadniać – powiedział.

Jednakże średniki wzięły się ze staroświeckich dziewiętnastowiecznych powieści, które przesądziły o tym, że Daniel Baciagalupo został pisarzem. Widział tytuły i nazwiska autorów na obwolutach matczynych książek,

które zostawili Ketchumowi. Sięgnął po nie dopiero w Exeter, lecz owe nazwiska wryły mu się w pamięć. Na przykład Nathaniel Hawthorne i Herman Melville. Pisali długie, skomplikowane zdania; Hawthorne i Melville lubili średniki. Poza tym obaj wywodzili się z Nowej Anglii – byli ulubieńcami Danny'ego. Angielski pisarz Thomas Hardy również przemawiał do wyobraźni Daniela Baciagalupo, który pomimo młodego wieku bądź co bądź przeżył niejedno.

Zamiłowanie do dawnych pisarzy wyróżniało go na tle pozostałych uczestników warsztatów, którzy zdecydowanie preferowali twórców współczesnych. Lubił jednak twórczość Kurta Vonneguta, a i jego samego również. Należało przyznać, że miał szczęście do nauczycieli, którzy utwierdzili go w jego pasji. Michael Leary zapoczątkował dobrą passę.

– Znajdziesz kogoś – powiedział mu na pożegnanie Vonnegut. (Pewnie chodziło mu o to, że Danny spotka wreszcie właściwą kobietę). – No i – dorzucił – może kapitalizm będzie dla ciebie łaskawy.

Jego ostatnie słowa towarzyszyły Danny'emu w drodze na wschód.

– Może kapitalizm będzie dla nas łaskawy – powtórzył kilkakrotnie pod adresem Joego, kiedy jechali do Vermontu.

– Ty lepiej poszukaj mieszkania z dodatkowym pokojem dla taty – zakomunikował mu ostatnio Ketchum. – Chociaż moim zdaniem Vermont leży zdecydowanie za blisko New Hampshire. Nie mógłbyś znaleźć pracy na zachodzie?

– Na miłość boską – odpowiedział Danny. – Z Coos do południowego Vermontu jedzie się tyle samo co do Bostonu. I jakoś przez trzynaście lat mieliśmy spokój!

– Vermont to za blisko, ja ci to mówię – upierał się. – Ale twój ojciec i tak będzie tam bezpieczniejszy niż w Bostonie.

– Ciągle mu to powtarzam – odpowiedział Danny.

– Ja też, ale ma to w nosie.

– To z powodu Carmelli. Bardzo się do niej przywiązał. Powinien ją zabrać, na pewno zgodziłaby się pojechać, ale się zaparł i ani rusz. Moim zdaniem Carmella to najlepsze, co go w życiu spotkało.

– Nie mów tak, Danny – odpowiedział Ketchum. – Nie znałeś swojej mamy.

Danny unikał tego tematu jak ognia. Nie chciał, żeby tamten rzucił słuchawkę.

– Wygląda na to, że będę musiał go z tego Bostonu wywlec, choćby za fraki – powiedział Ketchum po chwili milczenia.

– Jak zamierzasz to zrobić?

– Wpakuję go do klatki, jeśli zajdzie taka potrzeba. Poszukaj domu, Danny. Ja zajmę się ojcem.

– Ketchum… nie zabiłeś Lucky'ego Pinette'a, prawda?

– Jasne że nie! – wrzasnął Ketchum. – Nie był tego wart.

– Czego nie można powiedzieć o Carlu – rzucił pisarz Daniel Baciagalupo i znacząco zawiesił głos.

– Chodzi mi to po głowie – przyznał Ketchum.

– Nie chciałbym, żebyś wpadł – odpowiedział Danny.

– Problem leży gdzie indziej – rzekł flisak. – Nie sądzę, żeby Carl przejmował się tym, że wpadnie. Znaczy, za zabicie twojego taty.

– O cóż więc chodzi? – zapytał Danny.

– Wolałbym, żeby to on zaczął – odparł Ketchum. – Wtedy nie miałbym z tym problemu.

Było dokładnie tak, jak Daniel podejrzewał: pomimo swej bezbrzeżnej głupoty kowboj miał dość oleju w głowie, żeby przeżyć. W dodatku przestał pić, co znaczyło, że nie straci bez reszty panowania nad sobą. Być może dlatego właśnie

od dwóch miesięcy nie pobił Pam, a przynajmniej nie na tyle, by postanowiła go opuścić i wykrzyczeć mu prawdę.

Za to Pam nie wylewała za kołnierz. Ketchum wiedział, jak łatwo i doszczętnie traciła samokontrolę, co również stanowiło problem.

– Martwi mnie coś – powiedział Danny. – Ty nie przestałeś pić. Nie boisz się, że Carl dopadnie cię kiedyś, jak sobie golniesz?

– Nie widziałeś mojego psa, Danny. Szlachetne zwierzę.

– Nie wiedziałem, że sprawiłeś sobie psa.

– Ano, po odejściu Pam nie miałem do kogo gęby otworzyć.

– A pani z biblioteki? Nauczycielka, która uczy cię czytać? – zapytał Danny.

– No uczy, ale z nią raczej nie pogadam – odpowiedział Ketchum.

– Naprawdę uczysz się czytać?

– A żebyś wiedział. Idzie mi jak krew z nosa – przyznał Ketchum. – Ale zamierzam przeczytać twoją książkę, kiedy się ukaże. – W słuchawce zapadła cisza, po czym Ketchum spytał: – Jak tam twoje *nom de plume*? Masz jakiś pomysł?

– Będę nazywał się Danny Angel – odparł z godnością Daniel Baciagalupo.

– A nie „Daniel”? Twój tata lubi Daniela. Do Angela nie mam zastrzeżeń – dodał Ketchum.

– Dla taty mogę zostać Danielem – skwitował Danny. – Danny Angel to wszystko, na co mnie stać, Ketchum.

– A jak tam mały Joe? – zapytał Ketchum; czuł, że kwestia *nom de plume* to dla młodego pisarza drażliwy temat.

W drodze powrotnej na wschód Danny jechał głównie nocą, kiedy Joe spał. Potem znajdował motel z basenem i przez większość dnia bawił się z synem. Następnie obaj

ucinali sobie drzemkę, po czym znów wsiadali do samochodu. Pisarz Danny Angel miał po drodze dużo czasu na myślenie. Mógł myśleć przez całą noc. Lecz nawet ktoś o tak bujnej wyobraźni jak on nie rozumiał, jak taki stary traper jak Ketchum mógłby przyjechać do Bostonu. Nawet Danny Angel vel Daniel Baciagalupo nie był w stanie wyobrazić sobie, jak ten straszny drwal mógłby się tam zachować.

To, że Windham College okazał się miejscem dość zabawnym, nie miało większego znaczenia dla Danny'ego Angela, którego pierwsza powieść, Życie rodzinne w hrabstwie *Coos*, doczekała się w miarę życzliwych recenzji i nakład w twardej oprawie rozszedł się w stopniu zadowalającym. Młody autor sprzedał prawa do wydania w miękkiej okładce, a także do sfilmowania powieści, która jednak nie trafiła nigdy na duży ekran; dwie kolejne książki jego autorstwa wzbudziły mieszane odczucia krytyki i sprzedały się w mniejszym nakładzie. Powieści numer dwa i trzy nie doczekały się wydania w miękkiej okładce, nikt też nie zainteresował się prawami filmowymi. Niezbyt się tym przejął, gdyż zbyt pochłaniała go troska o Dominica, a także opieka nad własnym synem. Danny po prostu pisał jak nakręcony. Nadal musiał uczyć, żeby utrzymać siebie i dziecko, i przez cały ten czas powtarzał synkowi: „Może kapitalizm będzie dla nas łaskawy… kiedyś”.

Znalezienie w Putney domu do wynajęcia – w sam raz na potrzeby ich obu i ojca, a także Carmelli, gdyby miała przyjechać do Vermontu – okazało się niezbyt trudne. Wybrał dawne gospodarstwo przy polnej drodze; Danny z miejsca poczuł do niego sympatię z uwagi na pluskający nieopodal strumień, który w paru miejscach krzyżował się z drogą. Strumień przypominał Danielowi Baciagalupo o jego korzeniach. Dom leżał w odległości około dziesięciu kilometrów od miasteczka Putney, którego oś stanowił sklep spożywczo-przemysłowy o nazwie Putney Food Coop

oraz stacja benzynowa z marketem, położona na ukos od starej papierni na drodze do college'u. Widok papierni uświadomił Danny'emu, że tacie się tu nie spodoba. (Pamiętał cuchnący dym z zakładów w Berlinie).

Windham College był architektonicznym wrzodem na tle skądinąd pięknego krajobrazu. Jego kadrę stanowiła zbieranina umiarkowanie i niezbyt cenionych profesorów; uczelnia nie miała na koncie szczególnych osiągnięć naukowych, lecz niektórzy pracownicy byli niezłymi wykładowcami, którzy mogliby pracować na lepszych uniwersytetach, ale woleli mieszkać w Vermoncie. Wielu studentów płci męskiej w ogóle nie poszłoby na studia, gdyby nie wojna w Wietnamie; owe cztery lata stanowiły najprostszy sposób wymigania się od służby wojskowej. Windham był taką właśnie przechowalnią – nie uchowa się długo, ale przynajmniej do czasu trwania wojny – i jako pierwsze „niegastronomiczne” miejsce pracy Danny'ego nadawał się wyśmienicie.

Danny nie doczeka się wielu studentów szczerze zainteresowanych pisaniem, ci zaś okażą się nie dość sumienni i uzdolnieni jak na jego wymagania. Wykładowca miał szczęście, jeśli połowa jego grupy była zainteresowana czytaniem. Jednak jako pierwszy pisarz ocalony przed wojną w Wietnamie – gdyż wiedział, że tak właśnie stało się w jego przypadku – był wyrozumiałym nauczycielem. Chciał, żeby wszyscy – a zwłaszcza studenci płci męskiej – pozostali w szkole.

Jeśli, jak mawiali niektórzy cynicy, jedynym usprawiedliwieniem istnienia Windham było to, że dzięki niemu paru chłopaków uniknęło wyjazdu do Wietnamu, Danny Angel nie miał ku temu żadnych zastrzeżeń; wychował się w nienawiści do wojny, a poza tym był bardziej pisarzem niż nauczycielem. Nie dbał o to, jak odpowiedzialna (lub nieodpowiedzialna) dydaktycznie jest uczelnia. Nauczanie było dla niego tylko pracą – pracą,

która dawała mu czas na pisanie i odgrywanie roli dobrego ojca.

Gdy wprowadzili się na starą farmę przy Hickory Ridge Road, Danny powiadomił Ketchuma. Miał w nosie, kto czyta mu listy; domyślał się, że robi to poznana w bibliotece nauczycielka, której zadaniem było nauczyć go czytania.

„Mamy kupę miejsca”, napisał w liście, załączając swój numer telefonu oraz wskazówki, jak dojechać do Putney, zarówno z hrabstwa Coos, jak i z Bostonu. (Był prawie koniec czerwca 1967 roku). „Może zdążycie przed czwartym lipca”, dodał. „Jeśli tak, przywieźcie fajerwerki”.

Ketchum uwielbiał fajerwerki. Kiedyś nie mógł dopaść pewnej ryby; co rusz mu się wymykała. „Słowo honoru, to największy cholerny pstrąg w Phillips”, mawiał. „I najsprytniejszy”. Rozwalił ją wreszcie dynamitem, z poważnym uszczerbkiem dla całej miejscowej populacji pstrągów.

„Nie przywoź dynamitu”, dopisał pod spodem Danny. „Tylko fajerwerki”.

Podczas swej pierwszej wyprawy do Bostonu Ketchum nie ograniczył się tylko do fajerwerków. Dworzec Północny leżał w części West Endu graniczącej z North Endem. Ketchum wysiadł z pociągu ze strzelbą przerzuconą przez jedno ramię, z płóciennym chlebakiem w drugiej ręce; chlebak sprawiał wrażenie ciężkiego, ale niósł go jak piórko. Wprawdzie strzelba znajdowała się w skórzanym futerale, ale jej kształt nie budził wątpliwości – każdy od razu widział, że wewnątrz kryje się broń. A charakterystyczne zwężenie świadczyło o tym, że Ketchum niesie ją lufą w dół.

Chłopiec pracujący w „Vicino di Napoli” odprowadził akurat na pociąg swoją babcię. Zobaczył przybysza i wyprzedziwszy go, popędził z powrotem do restauracji.

Tam oznajmił, że Ketchum idzie „dłuższą drogą” – co znaczyło, że flisak zapewne kieruje się mapą i wybrał trasę najbardziej oczywistą, ale niekoniecznie najkrótszą. Poszedł Causeway Street, potem Prince Street, a następnie skręcił w Hanover; faktycznie była to dość okrężna droga, aby dojść do North Square, gdzie znajdowała się restauracja, ale mały pomywacz zdążył uprzedzić wszystkich o przybyciu wielkiego mężczyzny ze strzelbą.

– Którego wielkiego mężczyzny? – zapytał Dominic.

– Wiem tylko, że ma broń, niesie ją na ramieniu! – odpowiedział chłopiec. Cały personel „Vicino di Napoli” wiedział o możliwym przyjeździe kowboja. – I na bank przyjechał z Północy… straszny jak skurczybyk!

Dominic był pewien, że Carl nie trzymałby colta na widoku. Jego broń była wprawdzie pokaźnych rozmiarów, ale nikt nie nosił przecież rewolweru na ramieniu.

– Masz na myśli strzelbę? – zapytał chłopca.

– Jezusie Maryjo! – wykrzyknął Tony Molinari.

– Ma bliznę na czole, jakby ktoś rozwalił mu łeb toporem! – zawołał chłopiec.

– Czy to pan Ketchum? – zapytała Carmella.

– Na to wygląda – odparł kucharz. – Na pewno nie kowboj. Carl jest wielki i gruby, ale niezbyt „straszny”, no i nie wygląda raczej na kogoś z Północy. Wygląda na gliniarza, czy to w mundurze, czy bez.

Chłopiec dalej gadał jak najęty.

– Ma na sobie flanelową koszulę z odciętymi rękawami, i wieeelki nóż myśliwski przy pasku; wisi mu prawie do kolan!

– To jego browning – wyjaśnił Dominic. – Tak, to na pewno Ketchum. Latem obcina rękawy ze starych koszul, przynajmniej te nadszarpane.

– Na co mu strzelba? – zapytała Carmella.

– Może postanowił ubiec Carla – odpowiedział Dominic, ale Carmelli wcale nie było do śmiechu, podobnie jak pozostałym. Oblegli okna i drzwi, wypatrując Ketchuma. Akurat mieli przerwę i przed wieczornym gotowaniem mogli coś zjeść.

– Przygotuję nakrycie dla pana Ketchuma – oznajmiła Carmella, i jak powiedziała, tak zrobiła. Dwie młodsze kelnerki przeglądały się w lustrze. Paul Polcari oburącz trzymał szuflę do pizzy; przypominała olbrzymią rakietę tenisową.

– Odłóż szuflę, Paul – polecił mu Molinari. – Wyglądasz jak przygłup.

– I ma wypchany chlebak, pewnie trzyma w nim amunicję – dorzucił chłopiec.

– Albo dynamit – uzupełnił kucharz.

– Jeszcze ktoś go aresztuje po drodze! – martwił się pomywacz.

– Po co przyjechał? Dlaczego najpierw nie zadzwonił? – zwróciła się do Gamby Carmella.

Kucharz potrząsnął głową; nie pozostawało im nic innego, jak zaczekać, aż sam im powie.

– Przyjechał po ciebie, prawda? – zapytała.

– Możliwe – odpowiedział Dominic.

Carmella odruchowo wygładziła biały fartuch na czarnej spódnicy, po czym otworzyła drzwi i czekała. Ktoś powinien przywitać pana Ketchuma, pomyślała.

Co ja będę robił w Vermoncie, rozmyślał kucharz. Kto tam lubi włoskie jedzenie?

Tymczasem Ketchum nie tracił ani chwili.

– Wiem, kim pani jest – zwrócił się szarmancko do Carmelli. – Syn pokazał mi pani zdjęcie, nie zmieniła się pani nic a nic. (Owszem, minione trzynaście lat odcisnęło

swoje piętno – wszyscy wiedzieli, że przytyła co najmniej dziesięć kilo – ale Carmella doceniła komplement). To już wszyscy? – zapytał Ketchum. – Czy ktoś został w kuchni?

– Wszyscy jesteśmy tutaj, Ketchum – odpowiedział jego stary przyjaciel.

– No, ty na pewno – odparł Ketchum. – I sądząc po twojej minie, raczej nie cieszysz się na mój widok.

Nie czekając na odpowiedź, przemaszerował do kuchni i stanął poza zasięgiem ich wzroku.

– Widzicie mnie? – zawołał.

– Nie! – odwrzasnęli wszyscy oprócz kucharza.

– Ale ja was tak, bomba – odpowiedział Ketchum. Wy chodząc z kuchni, trzymał w rękach odpakowaną strzelbę i wszyscy, łącznie z Dominikiem, odruchowo cofnęli się o krok. Broń wydzielała obcy zapach, może oleju lub zabrudzonego olejem skórzanego pokrowca, lecz było w nim coś jeszcze, coś naprawdę obcego. Może właśnie tak pachniała śmierć, gdyż strzelby mają za zadanie tylko jedno: zabijać.

– To itaka kaliber 20, jednorurka, bez zabezpieczenia – oznajmił Ketchum. – W obsłudze prosta jak drut. – Złamał strzelbę; lufa opadła prawie pod kątem czterdziestu pięciu stopni. – Bez zabezpieczenia, bo trzeba odciągnąć kciukiem, zanim wypali, nie da się odbezpieczyć do połowy. – Wszyscy oprócz Dominica patrzyli jak urzeczeni.

Słowa Ketchuma brzmiały dla nich jak czarna magia, ale on niezrażony tłumaczył dalej. Pokazał im, jak załadować broń, a następnie jak wyjąć łuskę – pokazywał raz po raz, aż wreszcie nawet pomywacz i młode kelnerki umieli powtórzyć. Serce pękało kucharzowi na widok gorliwie zasłuchanej Carmelli; zanim lekcja dobiegła końca, ona też umiała obsługiwać cholerną broń.

Nie byli pewni, czemu ma to służyć, dopóki Ketchum nie wyjął dwóch rodzajów amunicji.

– Tu macie śrut. Pamiętajcie, itaka ma być cały czas załadowana śrutem. – Podniósł wielką łapę na wysokość omączonej twarzy Paula Polcariego. – Z tamtego miejsca w kuchni śrut zrobiłby tu ślad mniej więcej tej wielkości. – Zaczynali rozumieć, do czego zmierza.

– Musicie sami wykapować. Jeśli Carl łyknie waszą bajeczkę, grunt to trzymać się jednej wersji, może obejdzie się bez hałasu. Nie padnie żaden strzał – powiedział Ketchum.

– Jaką bajeczkę? – zapytał starego przyjaciela kucharz.

Ano taką, jak to puściłeś w trąbę tę miłą panią – odparł Ketchum, wskazując na Carmellę. – Rzecz jasna tylko debil zrobiłby coś takiego, no ale stało się i wszyscy cię za to nienawidzą. Sami udusiliby cię gołymi rękami, gdyby tylko wiedzieli, gdzie jesteś. Nie zapomnicie? – zapytał, tocząc wzrokiem po zgromadzonych. Pokręcili głowami, Dominic też, ale z innego powodu.

– Jeden z was ma zostać w kuchni – podjął Ketchum. – Nieważne, czy kowboj będzie wiedział o jego obecności; grunt, żeby go nie widział. Niech ten ktoś strzela garnkami, ile mu się żywnie podoba. Jeśli Carl go zawoła, a na pewno to zrobi, niech odpowie, że ma furę roboty.

– Kto z nas ma zostać w kuchni ze strzelbą? – zapytał Paul Polcari.

– Nieważne, dopóki wszyscy umiecie się nią posługiwać – odparł Ketchum.

– Myślisz, że Carl naprawdę przyjdzie? – zapytał Dominic.

– Bez dwóch zdań. Przede wszystkim będzie chciał pomówić z Carmellą, ale przy okazji wybada pozostałych. Jeśli wam nie uwierzy, jeśli coś się rypnie, jedno z was musi go kropnąć.

– A skąd będziemy wiedzieć, że coś się rypło? – spytał Tony Molinari. – I że nam nie wierzy?

– Zobaczycie spluwę – odparł Ketchum. – Wierzcie mi, zawsze ma broń przy sobie, ale zobaczycie ją dopiero wtedy, gdy coś się rypnie. Jeśli Carl wyjmie colta, to znaczy, że chce go użyć.

– I wtedy mamy go kropnąć? – upewnił się Paul Polcari.

– Osoba w kuchni najpierw musi go zawołać – poinstruował Ketchum. – Niech krzyknie coś w stylu „Hej, kowboju!”, żeby zwrócić jego uwagę.

– A nie lepiej od razu go kropnąć – wtrącił Molinari – zanim spojrzy w stronę kuchni?

– Niezupełnie – odpowiedział cierpliwie Ketchum. – Jeśli kowboj spojrzy w tamtą stronę, a ty wycelujesz w jego szyję, oberwie w twarz i klatkę piersiową, i najprawdopodobniej go oślepisz.

Dominic spojrzał na Carmellę w obawie, że ta zaraz zemdleje. Pomywacz pozieleniał na twarzy.

– Wówczas zyskasz na czasie. Wyjmiesz łuskę i załadujesz nabój. Śrut go oślepi, ale nabój załatwi sprawę – wyjaśnił Ketchum. – Najpierw go oślepiasz, a potem sru.

Pomywacz pomknął do kuchni; usłyszeli, jak wymiotuje do zlewu, w którym szorowano garnki i rondle.

– Żeby nie było wątpliwości: mały odpada – zaznaczył cicho Ketchum. – W Coos załatwialiśmy tak jelenie. Oślepialiśmy je światłem i stawały jak ogłupiałe. Najpierw śrut, a potem sru. – Zamyślił się na chwilę. – No, na jelenia, jeśli stoisz dość blisko, wystarczy sam śrut. W przypadku kowboja lepiej nie ryzykować.

– Nie wydaje mi się, żebyśmy potrafili kogoś zabić, panie Ketchum – oznajmiła Carmella. – Nie wiemy jak.

– No przecież wam pokazałem! – nie wytrzymał Ketchum. – Itaka to najmniej skomplikowana broń, jaką mam.

Wygrałem ją w pojedynku na ręce, pamiętasz, Ziółko?

– Pamiętam – odpowiedział kucharz. Pamiętał też, że pojedynek na ręce przerodził się w grubszą sprawę, w każdym razie Ketchum poniósł zdobyczną itakę do domu.

– Psiakrew, popracujcie nad bajeczką – poradził Ketchum. – Jeśli okaże się wiarygodna, może nie będziecie musieli go kropnąć.

– Przejechałeś taki kawał, żeby przywieźć nam strzelbę? – zapytał Dominic.

– Strzelba jest dla twoich przyjaciół, Ziółko, nie dla ciebie. Przyjechałem, żeby pomóc ci przy pakowaniu. Przed nami szmat drogi.

Dominic wyciągnął rękę do Carmelli; wiedział, że stoi tuż za nim, ale ona była szybsza. Objęła go rękami w pasie i ukryła twarz w jego karku.

– Kocham cię, ale masz pojechać z panem Ketchumem – powiedziała.

– Wiem – odpowiedział Dominic. Czuł, że nie może sprzeciwiać się żadnemu z nich.

– Co jest w chlebaku? – zapytał ciekawski pomywacz; po powrocie z kuchni wyglądał nieco lepiej.

– Fajerwerki, na czwartego lipca – odparł Ketchum. – Danny prosił – wyjaśnił.

Carmella poszła z nimi na Wesley Place. Dominic spakował niewiele rzeczy, ale zabrał żeliwną patelnię, wiszącą w ich sypialni na gwoździu; Carmella zrozumiała, że ma ona dla niego głównie symboliczny wymiar. Odprowadziła ich do wypożyczalni samochodów. Pojadą do Vermontu pożyczonym wozem, następnie Ketchum wróci nim do Bostonu i pojedzie do New Hampshire pociągiem z Dworca Północnego. Wolał zostawić furgonetkę na miejscu, żeby uśpić czujność szeryfa. Poza tym stwierdził, że musi

sprawić sobie nową, stara i tak nie wytrzymałaby takiej trasy.

Przez trzynaście lat Carmella miała nadzieję poznać pana Ketchuma. Dzisiejsze spotkanie przerosło jej najśmielsze oczekiwania. Od razu zrozumiała powód fascynacji Angelù flisakiem i nie miała wątpliwości, że Ketchum mógł przed laty oczarować niejedną kobietę (w tym Rosie Calogero). Nienawidziła go jednak za to, że przyjechał na North End i odebrał jej ukochanego Gambę; stwierdziła w duchu, że będzie tęsknić nawet za jego kuśtykaniem.

Nieoczekiwanie pan Ketchum powiedział coś, co sprawiło, że jej serce stopniało jak wosk.

– Jeśli któregoś dnia zechce pani zobaczyć miejsce zgonu syna, będę zaszczycony, mogąc je pani pokazać – zapewnił. Carmella przełknęła łzy. Pragnęła zobaczyć rzekę, gdzie zdarzył się wypadek, ale nie kłody; ich widok byłby ponad jej siły. Wystarczył jej tylko brzeg, z którego Dominic i Dan obserwowali zajście – no i może miejsce na rzece. Tak, któregoś dnia zażyczy sobie tego z pewnością.

– Dziękuję, panie Ketchum – odpowiedziała. Patrzyła, jak wsiadają do samochodu. Ketchum, rzecz jasna, prowadził.

– W razie gdybyś chciał się spotkać… – zaczęła, zwracając się do Dominica.

– Wiem – odpowiedział, ale na nią nie patrzył.

W porównaniu z dniem odejścia Gamby dzień przybycia Carla do „Vicino di Napoli” przebiegł niemal przyjemnie. Zdarzyło się to w czasie przerwy obiadowej, prawie pod koniec lata, w sierpniu 1967 roku, gdy zaczynali już myśleć (bądź mieć nadzieję), że ów dzień nigdy nie nadejdzie.

Carmella pierwsza go zobaczyła. Było dokładnie tak, jak mówił Gamba: Carl nawet bez munduru wyglądał jak w mundurze. Naturalnie Ketchum wspomniał też o potrójnym

podbródku i pofałdowanym karku. („Może wszyscy gliniarze mają plugawe fryzury”, dodał).

– Niech ktoś idzie do kuchni – poleciła, wstając od stołu; drzwi były zamknięte, poszła otworzyć. Paul Polcari usłuchał polecenia. W chwili gdy kowboj wszedł do środka, Carmella pożałowała, że nie padło na Molinariego.

– Del Popolo? – zapytał. Pokazał jej odznakę, mówiąc: – Massachusetts leży poza moją jurysdykcją… tak jak w zasadzie wszystko poza Coos, ale szukam człowieka, którego pani być może zna. Musi odpowiedzieć na kilka pytań. Ma na imię Dominic, taki koleś z kulawą nogą.

Carmella zaczęła płakać; zwykle przychodziło jej to z łatwością, ale tym razem musiała się postarać.

– Fajfus jeden – wtrącił Molinari. – Gdybym wiedział, gdzie jest, udusiłbym go gołymi rękami.

– I ja! – przyłączył się z kuchni Paul Polcari.

– Czy może pan tu przyjść? – zawołał do niego kowboj. – Chcę porozmawiać ze wszystkimi.

– Jestem zajęty! – odkrzyknął Paul i na potwierdzenie swych słów załomotał garnkami.

Kowboj westchnął. Wszyscy przypomnieli sobie słowa Ketchuma i Dominica, którzy mówili, że z jego twarzy nigdy nie schodzi uśmiech, ale że jest to najbardziej fałszywy uśmiech pod słońcem.

– Słuchajcie – powiedział. – Naprawdę nie wiem, jak on tu narozrabiał, ale mam z nim do pogadania…

– Zostawił ją! – oznajmił Molinari, wskazując na Carmellę.

– Ukradł jej klejnoty! – pisnął pomywacz.

Co za debil, pomyśleli wszyscy jak na komendę. Nawet durny glina się połapie, że Carmella nie jest typem właścicielki klejnotów.

– Nie wiedziałem, że Ziółko jest złodziejem klejnotów – zauważył Carl. – Czy wy mi tu aby nie kręcicie? Naprawdę nie wiecie, gdzie jest?

– Nie! – krzyknęła jedna z młodych kelnerek, jakby koleżanka dźgnęła ją nożem.

– Fajfus jeden – powtórzył Molinari.

– A pan? – krzyknął w stronę kuchni Carl. Paul jakby zaniemówił. A gdy rondle i garnki rozdzwoniły się na nowo, pozostali wzięli to za znak, by odstąpić nieco od kowboja. Ketchum przykazał, że mają nie rozpierzchać się jak stado kurczaków, tylko odsunąć dyskretnie na bezpieczną odległość, tak aby snajper mógł spokojnie wycelować.

– Gdybym wiedział, gdzie jest, ugotowałbym go na twardo! – wrzasnął Paul Polcari. Trzymał itakę w obficie omączonych rękach, które zatrzęsły się niebezpiecznie. Opuścił lufę, dopóki nie spoczęła na wysokości szyi Carla, ukrytej pod warstwą pofałdowanych podbródków.

– Czy mógłby pan wyjść, żebym pana widział? – zawołał kowboj, wyciągając szyję. – Makaroniarze – mruknął pod nosem. W tej samej chwili Tony Molinari dostrzegł błysk colta. Carl wsunął rękę do wewnętrznej kieszeni i Molinari ujrzał potężną kaburę pod pachą; palce grubasa musnęły tylko długą rękojeść. Wyłożono ją czymś, co na oko wyglądało jak kość; było to zapewne poroże.

„Jezus Maria, Paul!”, pomyślał rozpaczliwie Molinari. „Patrzy na ciebie, strzelaj!”. Ku zdumieniu Carmelli, jej myśli biegły podobnym torem: „Strzelaj!”. Musiała walczyć ze sobą, żeby nie zasłonić uszu rękami.

Niestety. Paul Polcari był dobrym, poczciwym człowiekiem, który czuł, jakby w gardle stanęła mu klucha z mąki. Usiłował krzyknąć: „Hej, kowboju!”, ale słowa ani rusz nie mogły się przecisnąć. Kowboj dalej zapuszczał żurawia do kuchni; Paul Polcari wiedział, że nie musi nic

mówić. Wystarczyło, że naciśnie spust, i po krzyku. Ale nie mógł i – co najważniejsze – nie zrobił tego.

– Ożeż w mordę – poddał się szeryf. I ruszył w stronę wyjścia. Molinari zmartwił się, że Paul straci go z oczu, po czym Carl znów sięgnął do wewnętrznej kieszeni i wszyscy zamarli. (No to koniec, pomyślał Molinari). Okazało się, że kowboj wyjął tylko wizytówkę, którą następnie podał Carmelli.

– Jeśli ten typek da jakiś znak życia, niech pani do mnie zadzwoni – poprosił, wciąż z tym samym uśmiechem na twarzy.

Sądząc po odgłosach z kuchni, Paul Polcari zwalił się nieprzytomny na stertę garnków.

– Żałuję, że ty nie poszedłeś do kuchni, Tony – powiedziała później Carmella. – Biedny Paul, to nie jego wina.

Paul Polcari natomiast uważał, że wręcz przeciwnie; wprost gęba mu się nie zamykała. Minęła godzina, zanim Tony Molinari oczyścił itakę z resztek mąki. Była to jednak pierwsza i ostatnia wizyta kowboja. Może sam fakt posiadania strzelby zrobił swoje. Wyglądało na to, że Carl uwierzył w ich bajeczkę.

Gdy było już po wszystkim, Carmella wybuchła płaczem. Nie mogła się uspokoić; wszyscy złożyli to na karb napięcia. Jednakże w dzień odejścia Gamby cierpiała bardziej; płakała, ponieważ wiedziała, że jej Gamba najgorsze ma przed sobą. Wbrew temu, co powiedziała Ketchumowi, gdyby to ona trzymała w rękach strzelbę, z pewnością pociągnęłaby za spust. Wystarczyło jedno spojrzenie na kowboja – oraz jego spojrzenie na nią – żeby ją w tym utwierdzić. Niestety, okazja więcej miała się nie powtórzyć.

Prawdę powiedziawszy, Carmella Del Popolo tęskniła za Dominikiem bardziej niż za zmarłym mężem; za Secondo również. Wiedziała o dziurze, którą chłopiec wywiercił w drzwiach w mieszkaniu przy Charter Street. Być może odtąd kąpała się nieco skromniej, ale i tak pozwalała Danowi się podglądać. Po śmierci męża i odejściu Angelù zbyt długo nie miała nikogo, kto by na nią patrzył. Kiedy Dominic i Danny zjawili się w jej życiu, nie oponowała, gdy chłopiec podglądał ją w wannie; martwiła się tylko tym, jaki wpływ będzie to miało na jego późniejsze życie. (I wcale nie miała na myśli pisania).

Ze wszystkich ludzi, którzy zdziwili się, obruszyli bądź rozczarowali *nom de plume* pisarza Daniela Baciagalupo, Carmella Del Popolo była z pewnością najbardziej uradowana. Gdy bowiem powieść *Życie rodzinne w hrabstwie Coos* autorstwa Danny'ego Angela ujrzała światło dzienne, Carmella zrozumiała, że Secondo zawsze uważał się za jej przybranego syna – tak jak wszyscy w „Vicino di Napoli” (z nią samą na czele) wiedzieli, że nikt nie mógł zastąpić jej ukochanego, zmarłego Angelù.

III
HRABSTWO WINDHAM, VERMONT, 1983

Rozdział 7
BENEVENTO I AVELLINO

Budynek był stary i podniszczony z uwagi na bliskość rzeki Connecticut. Niektóre mieszkania też były podniszczone, ale nie tylko z winy rzeki; jeszcze w latach sześćdziesiątych paru studentów z Windham College narozrabiało w jednym z nich. Mieszkania, niegdyś tanie, obecnie były nieco droższe. Rzekę Connecticut oczyszczono, dzięki czemu miasteczko Brattleboro wiele zyskało. Położone na drugim piętrze mieszkanie kucharza znajdowało się na tyłach budynku przy Main Street, a z okien roztaczał się widok na rzekę. Dominic przeważnie schodził rano do pustej restauracji i wyludnionej kuchni, żeby zaparzyć espresso; kuchnia też mieściła się na tyłach budynku.

Od strony Main Street, na parterze wysłużonej budowli, naprzeciwko sklepu z odzieżą militarną oraz kina znanego jako Latchis, zawsze mieścił się jakiś lokal. Idąc z górki, mijało się Latchis i dochodziło do Canal Street oraz rynku, na którym kucharz robił większość zakupów. Dalej podążało się w kierunku szpitala i centrum handlowego; po wyjeździe na autostradę 91 można było napotkać parę stacji benzynowych i sieciowych jadłodajni.

Idąc na północ, pod górkę, dochodziło się do Book Cellar, całkiem przyzwoitej księgarni, w której słynny pisarz Danny Angel miał jeden lub dwa odczyty i podpisał masę książek. Kucharz poznał tam kilka spośród swych vermonckich przyjaciółek; w Book Cellar wszyscy znali Dominica Del Popolo vel Baciagalupo jako pana Angela, ojca znanego pisarza, właściciela najlepszej włoskiej restauracji w okolicy.

Gdy Daniel wybrał sobie *nom de plume*, Dominic też musiał zmienić nazwisko.

– Psiakrew, obaj powinniście być Angelami, to chyba jasne – stwierdził Ketchum. – Jaki ojciec, taki syn… i w ogóle. – Upierał się przy tym, żeby przyjaciel przybrał nowe imię.

– A może Tony? – zaproponował ojcu Danny. Był czwarty lipca 1967 roku i Ketchum omal nie puścił z dymem domu swoim pokazem fajerwerków; mały Joe darł się jeszcze pięć minut po odpaleniu ostatniej petardy.

Imię „Tony” brzmi swojsko, a zarazem przyjemnie anonimowo, uznał Danny, Dominic zaś nie oponował z uwagi na sympatię do Tony'ego Molinariego; od wyjazdu z Bostonu nie minęło kilka dni, a już wiedział, że będzie za nim tęsknił. Tony Angel, dawniej Dominic Del Popolo, dawniej Baciagalupo, miał również tęsknić za Paulem Polcarim – i wcale nie zmienił o nim zdania na wieść o tym, co zaszło w sierpniu.

Za to, że Carl uszedł z „Vicino di Napoli” żywy, Tony Angel nie obwiniał Paula, tylko Ketchuma. To oczywiste, że biedny Paul nie mógł pociągnąć za spust. Zdaniem kucharza była to wina Ketchuma, który nie przywiązywał wagi do tego, kto stanie w kuchni ze strzelbą. Ejże! Ktoś, kto znał się na broni tak jak Ketchum, powinien wiedzieć, że naturalnie miało znaczenie, kto wyceluje i pociągnie (lub nie) za spust! Tony'emu Angelowi ani w głowie było mieć pretensje do dobrego, poczciwego Paula.

– Zawsze zwalasz winę na Ketchuma – zauważył po raz nie wiadomo który Danny, ale nic nie dało się z tym zrobić.

Gdyby do kuchni poszedł Molinari, Dominic Del Popolo stałby się na powrót Dominikiem Baciagalupo i wróciłby do Bostonu, do Carmelli. I nigdy nie musiałby zostać Tonym Angelem. A pisarz Danny Angel, którego czwarta powieść stała się jego pierwszym bestsellerem – a piąta w roku

1983 była już przetłumaczona na ponad trzydzieści języków – spełniłby swoje marzenie i powrócił do Daniela Baciagalupo.

– Do diabła, Ketchum! – zwrócił się do starego przyjaciela Dominic. – Gdyby to Carmella dostała w ręce twoją wspaniałą itakę, wygarnęłaby do Carla dwa razy. Przygłupi pomywacz tak samo, daję głowę!

– Wybacz, Ziółko. To twoi przyjaciele, nie znałem ich. Trzeba było mi powiedzieć, że jest wśród nich zasrany pacyfista.

– Przestańcie się obwiniać – powtarzał do znudzenia Danny.

W końcu minęło szesnaście lat – a dokładnie minie w sierpniu – od czasu gdy Paul Polcari nie nacisnął spustu w jednorurce Ketchuma. I jakoś poszło, stwierdził w duchu kucharz, popijając espresso i patrząc przez okno na rzekę Connecticut.

Dawniej spławiano tędy drewno.W sali z widokiem na Main Street oraz szyld z tytułem filmu, który puszczano właśnie w Latchis, kucharz wywiesił oprawione w ramkę czarno-białe zdjęcie ze spływu w Brattleboro. Oczywiście zrobiono je wiele lat temu; w Vermoncie i New Hampshire nie spławiano już drewna. W Maine tradycja przetrwała nieco dłużej, toteż w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych Ketchum pracował głównie właśnie tam. Ostatni spływ odbył się jednak w roku 1976, i prowadził od jeziora Moosehead aż do rzeki Kennebec. Naturalnie Ketchum był w swoim żywiole. Zadzwonił na koszt przyjaciela z jakiegoś baru w Bath w stanie Maine, leżącego w pobliżu ujścia Kennebec.

– Muszę na chwilę zapomnieć o jednym debilnym stoczniowcu; aż się prosi, żebym mu przylał – zaczął.

– Pamiętaj, że nie jesteś u siebie, Ketchum. Miejscowi będą po jego stronie.

– Jezu, Ziółko, czy ty masz pojęcie, ile kosztuje spławianie drewna? Znaczy, transport z miejsca wycinki do tartaku? Piętnaście pieprzonych centów za sąg! Ni mniej, ni więcej!

Słyszał to nie pierwszy raz. Mogę rzucić słuchawkę, pomyślał Tony Angel, ale wytrwał, być może z litości dla stoczniowca.

– Tymczasem transport lądowy wynosi sześć, siedem dolarów za sąg! – wrzeszczał Ketchum. – Zacznijmy od tego, że większość dróg w Nowej Anglii jest do bani, a teraz jeszcze zaroi się na nich od debilnych kierowców ciężarówek! Może ci się zdaje, że wypadki rządzą światem, Ziółko, ale wyobraź sobie przeładowaną ciężarówkę z drewnem, która przewraca się na samochód pełen narciarzy.

Ketchum miał rację, faktycznie dochodziło do strasznych wypadków z udziałem ciężarówek z drewnem. Dawniej w północnej Nowej Anglii człowiek mógł swobodnie przemieszczać się z miejsca na miejsce, ryzykując starcie z łosiem bądź pijanym kierowcą. Obecnie ciężarówki jeździły i po małych, i po dużych drogach; debilni kierowcy ciężarówek panoszyli się na każdym kroku.

– Debilny kraj! – huknął Ketchum. – Zawsze znajdą sposób, żeby zastąpić tanie drogim, a przy tym odebrać robotę paru gościom!

Rozmowa urwała się raptownie. W słuchawce rozległo się echo stłumionej wymiany zdań, które ustąpiło miejsca odgłosom dzikiej szamotaniny. Najprawdopodobniej ktoś w barze sprzeciwił się takiemu kalaniu gniazda i zapewne był to wspomniany już stoczniowiec. „Debilny patriota”, nazwał go później Ketchum.

Wyrabiając rankiem ciasto na pizzę, kucharz lubił słuchać radia. Nunzi nauczyła go zawsze zostawiać ciasto do wyrośnięcia dwa razy; pewnie było to niemądre

przyzwyczajenie, ale przestrzegał tej zasady, i już. Paul Polcari, niezrównany znawca pizzy, powiedział Tony'emu Angelowi, że faktycznie tak jest lepiej, ale również dobrze raz by wystarczył. W Twisted River brakowało mu składnika, który obecnie uważał za kluczowy.

Dawno temu powiedział w obecności grubych żon pracowników tartaku – Dot i May, tych starych zbereźnic – że jego ciasto do pizzy powinno być słodsze. Dot (ta, która zmusiła go podstępem, żeby ją pomacał) odpowiedziała na to:

– Zwariowałeś, Ziółko. Robisz najlepsze ciasto, jakie w życiu jadłam.

– Może przydałoby się nieco miodu – zamyślił się ówczesny Dominic Baciagalupo. Okazało się jednak, że miód się skończył, toteż postanowił dodać odrobinę syropu klonowego. Niestety, syrop zdominował smak. Potem Dominic zapomniał o miodzie, ale May mu przypomniała. Podając słoik, szturchnęła go umyślnie rozłożystym biodrem.

Nigdy nie zapomniał May jej aluzji do Indianki Jane – kiedy powiedziała, że ona i Dot nie są dla niego dość „indiańskie”.

– Hej, Ziółko – rzuciła May. – Twój miód na pizzę.

– Zmieniłem zdanie – odpowiedział, ale tylko dlatego, żeby nie dać jej satysfakcji.

W kuchni „Vicino di Napoli” Paul Polcari podał Tony'emu Angelowi swój przepis na ciasto do pizzy. Oprócz mąki i wody Nunzi dolewała zawsze kapkę oliwy, nie więcej niż łyżkę lub dwie na pizzę. Paul dodawał jeszcze miód odpowiadający ilości oliwy. Dzięki temu ciasto stawało się jedwabiste; spód był wtedy cieniutki, a zarazem wilgotnawy i niezbyt kruchy. Dodatek miodu sprawiał – o czym kucharz o mały włos przekonał się w Twisted River – że ciasto

stawało się słodkawe, przy czym smak miodu był niewyczuwalny.

Zwykle gdy przystępował do robienia pizzy, Tony z dumą przypominał sobie, że prawie sam na to wpadł. Od lat nie myślał o wielkiej Dot i jeszcze większej May. Tego ranka, gdy wspomniał je w swojej kuchni w Brattleboro, miał pięćdziesiąt dziewięć lat. Ile mogą mieć te stare wiedźmy, zastanawiał się Tony Angel; na pewno są po sześćdziesiątce. Pamiętał, że May miała stado wnuków; niektóre z nich były rówieśnikami jej dzieci z drugiego małżeństwa.

Radio odwróciło jego uwagę; tęsknił za dawnym życiem, a dźwięki płynące z odbiornika teraz mu o tym przypomniały. W Bostonie było lepiej; lepsza była rozgłośnia, której słuchali w „Vicino di Napoli”, i muzyka też. Uważał, że muzyka lat pięćdziesiątych to okropieństwo; w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych stała się fantastyczna, a teraz znów wołała o pomstę do nieba. Lubił George'a Straita – *Amarillo by Morning* i Yo*u Look So Good In Love*, ale tego dnia puścili dwie piosenki Michaela Jacksona z rzędu (*Billie Jean* i *Beat It*). Tony Angel nie cierpiał Michaela Jacksona. Paul McCartney pogrążył się w jego oczach duetem *The Girl is Mine* z Jacksonem; tę piosenkę też już dzisiaj nadano, tyle że nieco wcześniej. W tej chwili leciała *Hungry Like a Wolf* Duran Duran.

Naprawdę, w latach sześćdziesiątych w Bostonie muzyka była palce lizać. Nawet stary Joe Polcari śpiewał do wtóru piosenek Boba Dylana. Paul Polcari wybijał na garnku takt do *(I Can't Get No) Satisfaction*, a oprócz Rolling Stonesów i Dylana byli jeszcze Simon i Garfunkel oraz Beatlesi. Tony przypomniał sobie *The Sound of Silence* w wykonaniu Carmelli; oboje tańczyli w „Vicino di Napoli” przy *Eight Days a Week*, *Ticket to Ride*, no i W*e Can Work it Out*. I, ma się rozumieć, *Penny Lane* oraz *Strawberry Fields Forever*. Beatlesi zmienili wszystko, nie ma co.

Kucharz wyłączył radio. Usiłował zanucić sobie *All You Need is Love*, lecz ani Dominic Del Popolo vel Baciagalupo, ani Tony Angel nie umieli śpiewać, poza tym jego wersja zaczęła niebezpiecznie przypominać pewien utwór Doorsów (*Light my Fire*), co nasunęło mu nader niemiłe wspomnienie Katie, byłej synowej. Była wielką fanką Doorsów, The Grateful Dead i Jefferson Airplane. W sumie nie miał nic przeciwko Doorsom i The Dead, ale Katie umiała tak bezbłędnie naśladować Grace Slick, że skutecznie obrzydziła mu Jefferson Airplane, zwłaszcza *Somebody to Love* i *White Rabbit.*

Przypomniał sobie, jak tuż przed wyjazdem do Iowa Daniel przywiózł Joego do Bostonu; dziadek i Carmella mieli się nim zająć. Daniel i Katie wybierali się na koncert Beatlesów na stadion Shea w Nowym Jorku; ktoś z napuszonej rodziny Katie załatwił im bilety. Był sierpień; koncert obejrzało ponad pięćdziesiąt tysięcy osób. Carmella uwielbiała zajmować się chłopcem; był marcowym dzieckiem, jak jego ojciec, toteż miał wówczas dopiero pięć miesięcy. Katie i Daniel wrócili po niego pijani w sztok.

Pewnie mieli w czubie, już gdy wyjeżdżali z Nowego Jorku, przez całą drogę do Bostonu też pili. Dominic nie pozwolił im zabrać dziecka.

– Nie pojedziesz z małym do New Hampshire, nie w tym stanie – oznajmił synowi.

Wtedy to Katie, wyginając się sprośnie, zaśpiewała *Somebody to Love*, a następnie *White Rabbit*. Po tym występie kucharz i Carmella nie mogli patrzeć na Grace Slick.

– Daj spokój, tato – odpowiedział Danny. – Możemy prowadzić. Pozwól nam zabrać Joego, przecież nie będziemy tu wszyscy spać.

– Nie macie wyjścia, Danielu – skwitował ojciec. – Joe może spać w naszym pokoju, a ty i Katie musicie zadowolić

się łóżkiem u ciebie. Chudzi jesteście, dacie radę.

Danny był zły, ale zapanował nad sobą. W przeciwieństwie do Katie, która poszła do łazienki i wysikała się przy otwartych drzwiach, żeby wszyscy ją słyszeli. Daniel popatrzył na ojca. A czego się spodziewałeś, mówiło jego spojrzenie. Carmella bez słowa wyniosła się do sypialni i zamknęła za sobą drzwi. (Mały Joe już tam spał). Katie wyszła z łazienki kompletnie goła.

Zwróciła się do Danny'ego, jakby jej teść nie istniał.

– Na co czekasz? Jeśli mamy to robić na wąskim łóżku, to do dzieła.

Oczywiście ojciec wiedział, że młodzi nie uprawiali wówczas głośnego seksu, Katie tylko się popisywała; wrzeszczała, jakby szczytowała co minutę. Oboje byli tak pijani, że nie obudzili się, nawet gdy mały Joe miał w nocy koszmar.

– Jeśli masz zamiar dalej tyle pić, nie napiszesz niż wartościowego. Nie będziesz pamiętał, co napisałeś poprzedniego dnia – uprzedził ojciec młodego pisarza. – Przestałem pić, bo nie miałem na to siły, Danielu. Może z tobą jest tak samo. Geny robią swoje.

Tony Angel nie wiedział, co przytrafiło się synowi w Iowa City, ale coś sprawiło, że Daniel przestał pić. Tony nie chciał znać szczegółów, ponieważ był pewien, że Katie maczała w tym palce.

Kiedy uporał się z ciastem – które miało wyrosnąć po raz pierwszy w wielkich misach przykrytych wilgotnymi ścierkami – pokuśtykał Main Street w kierunku Book Cellar. Lubił młodą kobietę, która prowadziła księgarnię; była zawsze miła i często jadała w jego restauracji. Tony stawiał jej czasem butelkę wina. Niezmiennie witał ją tym samym żarcikiem.

– Przedstawi mi pani dziś jakąś damę? – pytał. – Może być w moim wieku albo trochę młodsza.

Podobało mu się Brattleboro, i to, że ma własny lokal. Przez pierwsze kilka lat nie znosił Vermontu, a konkretnie, nie znosił Putney, które było zbyt zbuntowane („Putney jest alternatywą miasta”, mawiał z upodobaniem).

Tony tęsknił za North Endem – „tęsknił straszno”, jak powiedziałby Ketchum – w Putney zaś roiło się od samozwańczych hipisów oraz innych wyrzutków. Parę kilometrów od miasta znajdowała się nawet komuna, coś z koniczyną w nazwie, ale Tony nie pamiętał dokładnie. O ile wiedział, była to komuna żeńska, co nasuwało mu podejrzenie, że wszystkie członkinie są lesbijkami.

Rzeźnik w miejscowym supermarkecie notorycznie zacinał się przy krojeniu, co zdaniem Tony'ego było niedopuszczalne; ponadto był „bliżej nieokreślonej” płci.

– Na miłość boską, tato, przecież to kobieta – złościł się Danny.

– To ty tak twierdzisz, ale czy zaglądałeś mu do majtek, żeby się upewnić? – pytał nieustępliwie jego ojciec.

Co prawda otworzył w Putney własną pizzerię i mimo wiecznego utyskiwania pod adresem Windham College – którego nie uważał za „prawdziwą” uczelnię (nieważne, że sam nigdy nie studiował), a wszyscy studenci byli w jego oczach „debilami” – lokal prosperował wyśmienicie, głównie dzięki tym ostatnim.

– Rany koguta, nie nazwij go „Pizza u Angela”. Tylko bez Angela – prosił Ketchum. Z biegiem czasu zdawał się coraz bardziej niezadowolony z nazwiska, które wybrali: Carl mógł przecież skojarzyć, że śmierć „pierwszego” Angela zbiegła się w czasie z ich wyjazdem. Wyboru imienia Joego dokonał sam Danny, choć początkowo zamierzał nadać chłopcu imię po ojcu, czyli Dominic junior (Katie nie podobał się żaden z członów). Odmówił jednak nadania chłopcu *nom de plume*. Joe pozostał Baciagalupo; nie stał się Angelem. Zarówno Danny, jak i jego ojciec pamiętali, że

Carl nie umiał wymówić ich nazwiska, toteż zgodnie oświadczyli Ketchumowi, iż pewnie tym bardziej nie umiałby go przeliterować, nawet gdyby chodziło o jego tłuste dupsko. I co z tego, że Joe dalej będzie Baciagalupo? Ketchum musiał to przełknąć. A teraz jeszcze narzekał na „Angela”!

Dominic śnił często o tym debilu Gennaro Capodilupo, swoim wyrodnym ojcu. Nadal dźwięczały mu w uszach nazwy dwóch położonych na wzgórzach miasteczek, a zarazem prowincji, w okolicy Neapolu, które jego matka Nunzi wypowiadała przez sen: Benevento i Avellino. Tony wierzył, że jego ojciec naprawdę powrócił w okolice Neapolu, skąd pochodził. Ale w gruncie rzeczy było mu wszystko jedno. Czy gdy ktoś cię porzuca, masz się nim przejmować?

– Tylko nie wpadnij na genialny pomysł, żeby nazwać pizzerię „Okolice Neapolu” – zaznaczył Ketchum. – Wiem, że kowboj nie zna włoskiego, ale każdy głupi się w końcu połapie, że „Vicino di Napoli”, czy jak ty to tam, kurwa, wymawiasz, znaczy „Okolice Neapolu”.

I tak kucharz nazwał swój lokal „Benevento”; Annunziata zawsze wypowiadała je przez sen w pierwszej kolejności, lecz nie słyszał tego nikt oprócz Tony'ego Angela. Niemożliwe było, żeby cholerny kowboj skojarzył to z uciekinierami.

– W mordę, nic bardziej włoskiego nie mogłeś wymyślić. Masz talent, Ziółko – uznał Ketchum.

Pizzeria w Putney leżała przy trasie numer 5, tuż przed rozjazdem w centrum miasta, skąd piątka biegła dalej na północ, obok papierni oraz pułapki na turystów o nazwie Basketville. Windham College znajdował się nieco dalej na północ. Zakręt w lewo, za którym krył się miejscowy dom towarowy oraz supermarket z rzeźnikiem masochistą „bliżej nieokreślonej” płci, wiódł w stronę Westminster

West. Tam też mieściło się lokalne gimnazjum, którym Danny szczerze pogardzał, gdyż jego zdaniem nie odpowiadało kryteriom Exeter, natomiast na Hickory Ridge Road, gdzie wciąż mieszkał pisarz Danny Angel, mieściła się niezależna szkoła podstawowa, która w pełni odpowiadała kryteriom Danny'ego.

Posłał do niej Joego, dzięki czemu chłopiec dostał się do Northfield Mount Hermon, liceum budzącego dla odmiany pełną aprobatę Danny'ego. NMH, jak nazywano tę placówkę, znajdowała się około pół godziny drogi na południe od Brattleboro, w stanie Massachusetts, godzinę drogi od domu Danny'ego w Putney. Joe, który wiosną 1983 roku był w ostatniej klasie, często widywał się z ojcem i dziadkiem.

W swym mieszkaniu w Brattleboro kucharz miał pokój gościnny przygotowany zawsze na przyjazd wnuka. Tony zlikwidował kuchnię, ale hydraulikę zostawił bez zmian, toteż w miejscu kuchni powstała przestronna łazienka z widokiem na Connecticut. Wielka wanna przypominała mu tę z mieszkania przy Charter Street. Tony nadal nie miał pewności, czy Daniel podglądał Carmellę w owej wannie, jednakże przeczytał wszystkie pięć powieści syna, w jednej z nich zaś występowała zmysłowa Włoszka o wielkim zamiłowaniu do długich kąpieli. Jej pasierb jest w wieku, gdy chłopcy zaczynają się onanizować, co też czyni namiętnie, podglądając macochę w wannie. Spryciarz wywiercił dziurę w ścianie; jego pokój szczęśliwym trafem sąsiaduje z łazienką.

Powieści Danny'ego Angela wprawdzie zawsze kryły w sobie garść rozpoznawalnych szczegółów, ale ojciec częściej zauważał rzeczy, co do których nie miał wątpliwości, że są zmyślone. I tak postać wzorowana niby na Carmelli była do niej zupełnie niepodobna, Dominic nie odnalazł też nikogo – pomijając powierzchowne cechy wspólne – kto byłby wzorowany na nim samym lub na

Ketchumie. (Jedna z powieści zawierała zdawkową wzmiankę o złamanym nadgarstku, w innej występował ktoś, kto miał zwyczaj powtarzać „Rany koguta!”). Ketchum i Tony Angel stwierdzili też zgodnie, iż w żadnej książce nie ma postaci, która zdradzałaby jakiekolwiek podobieństwo do ich ukochanego Daniela.

– Gdzie ten chłopak się chowa? – zapytał Ketchum, ponieważ nawet w czwartej (najsłynniejszej) powieści Danny'ego Angela, zatytułowanej *Ojcowie Kennedy'ego*, główny bohater – który unika werbunku w identycznych okolicznościach jak sam Danny – zdradzał nikłe powinowactwo z Danielem, którego obaj znali i kochali.

W *Ojcach Kennedy'ego* występowała postać wzorowana na Katie – Danny Angel ochrzcił ją imieniem Caitlin – nieduża osóbka o wybujałych ciągotach do zdrady, która ratuje przed wojną zgoła nieprawdopodobną liczbę tytułowych ojców. Caitlin zmienia mężów jak rękawiczki z tą samą niefrasobliwością, z jaką Katie pewnie robiła loda, a jednak obie różniły się zasadniczo.

– Zbyt miła – zawyrokował Tony Angel.

– Racja! – przyznał Ketchum. – Człowiek prawie ją lubi!

Wszyscy mężowie Caitlin też ją lubią, a przynajmniej nie mogą przeboleć jej odejścia, o ile to na jedno wychodzi. Co do dzieci, które przyszły na świat i zostały porzucone przez matkę – cóż, autor nie zdradza ich zdania na jej temat. Powieść kończy się zniesieniem przez prezydenta Nixona przywilejów przysługujących ojcom, Caitlin zaś po prostu znika; w ostatnim rozdziale staje się kimś na kształt zagubionej duszyczki. Scena, kiedy obdzwania porzuconych mężów, prosząc do telefonu dzieci, które jej nie pamiętają, jest niezupełnie przekonująca. To ostatnia rzecz, jakiej się o niej dowiadujemy – i ze wszech miar chwytająca za serce.

Obaj starzy przyjaciele doskonale wiedzieli, że Katie ani razu nie zadzwoniła do Daniela, prosząc o rozmowę z Joem;

wyglądało na to, że nie dbała o nich na tyle, by zainteresować się, jak im się wiedzie, chociaż Ketchum powtarzał, że sytuacja może się zmienić, jeśli Danny zyska rozgłos.

Gdy *Ojcowie Kennedy'ego* ujrzeli światło dzienne i Danny zyskał rozgłos, Katie wciąż nie dawała znaku życia. W przeciwieństwie do paru pozostałych ojców Kennedy'ego. Większość listów dotyczących powieści była przychylna. Danny uważał, że wszystkich rzeczonych ojców łączy coś na kształt poczucia winy: wszyscy w którymś momencie czuli, że powinni jechać do Wietnamu, bądź też (jak on sam) chcieli to zrobić. Oczywiście teraz wszyscy zgodnie uważali się za szczęściarzy.

Powieść chwalono za ukazanie jeszcze innego wymiaru trwałej szkody wyrządzonej Ameryce przez wojnę w Wietnamie i tego, jak wojna podzieliła kraj. Młodzi ojcowie z powieści mogli (lub nie) okazać się dobrymi rodzicami, a czas pokaże, czy dzieci – czyli „przepustki z Wietnamu", jak nazywał je Danny – wyjdą z tego bez szwanku, czy może wręcz przeciwnie. Większość krytyków była zdania, że postacią najciekawszą, prawdziwą bohaterką opowieści, była bezsprzecznie Caitlin. Dziewczyna poświęca się, aby ratować życie młodych mężczyzn, nawet jeśli porzuca ich – a także być może własne dzieci – z poczuciem dotkliwej pustki w sercu.

Ketchum i kucharz natomiast nie posiadali się z oburzenia. Mieli nadzieję, że Danny weźmie Katie na widelec, tymczasem on postąpił wręcz przeciwnie, czyli zrobił z wrednej ladacznicy pieprzoną bohaterkę!

List od jednego z ojców Kennedy'ego Danny miał zachować, a następnie pokazać synowi. Stało się to kilka lat po wydaniu powieści, wiosną, gdy Joe był w pierwszej klasie w Northfield Mount Hermon, kiedy już od roku prowadził samochód i właśnie skończył siedemnaście lat. Za namową chłopca Danny pokazał również list swojemu

ojcu i Ketchumowi. I chociaż Danny i Joe rozmawiali o liście otwarcie – o tym, co znaczył i co przemilczał – Ketchum i Dominic zachowali pewną rezerwę. Wiedzieli, że ich stosunek do Katie odbiega nieco od uczuć Danny'ego.

List nadszedł od „samotnego ojca” z Portland w stanie Oregon, mężczyzny o nazwisku Jeff Reese. Rozpoczynał się następująco: „Podobnie jak pan, ja też jestem ojcem Kennedy'ego, jednym z półgłówków ocalonych przez Katie Callahan. Nie jestem pewien, ilu nas jest. Wiem przynajmniej o jednym, to znaczy oprócz pana i mnie; do niego też napisałem list. Z przykrością informuję was obu, że Katie, niestety, nie zdołała ocalić samej siebie, a jedynie nas, darmozjadów. Nie powiem panu nic więcej prócz tego, że było to przypadkowe przedawkowanie”. Nie napisał, czego. Być może Jeff Reese założył, że Danny będzie wiedział, czym faszerowała się Katie, ale nie brali razem narkotyków, jedynie czasem palili marihuanę. W ich przypadku alkohol i odrobina trawki starczały aż nadto. (W liście zabrakło wzmianki o książce, lecz wszystko wskazywało na to, że Jeff Reese jednak w końcu do niej dotarł. Może zapoznał się z nią na tyle, aby przekonać się na własne oczy, że Caitlin to tak naprawdę nie Katie. O tym, czy Katie czytała *Ojców Kennedy'ego*, Jeff Reese nie wspomniał ani słowem, ale Katie musiała przynajmniej wiedzieć, że Daniel Baciagalupo stał się Dannym Angelem, no bo jak inaczej Jeff Reese trafiłby na jego ślad?).

Danny pojechał do Northfield Mount Hermon ze spontaniczną wizytą do Joego. Poza sezonem zapasów stara sala gimnastyczna świeciła pustkami; usiedli na pochyłej, drewnianej bieżni, kilkakrotnie odczytując na nowo list o matce. Być może chłopiec spodziewał się otrzymać kiedyś wiadomość od Katie; Danny z kolei szczerze w to wątpił, chociaż jako literat nie wykluczał takiej możliwości.

W wieku siedemnastu lat Joe Baciagalupo miał zarost i wyraziste rysy dwudziestolatka, przy czym jego otwarte

spojrzenie i wyraz swoistego wyczekiwania na twarzy nasuwały jego ojcu wspomnienie małego chłopca, którym Joe był przed laty. I może dlatego właśnie powiedział do syna: „Przepraszam, że nie miałeś mamy. I że nie znalazłem odpowiedniej osoby, która mogłaby ją zastąpić”.

– Jak to: zastąpić? – zapytał Joe. Nadal trzymał w rękach list o matce zmarłej z przedawkowania; Danny'emu przyszło później do głowy, że siedemnastolatek patrzył na kartkę jak na obcą walutę, która wprawdzie budzi zaciekawienie, acz nie wiadomo, co z nią począć. – Przecież… miałem ciebie. Byłeś przy mnie cały czas – podjął Joe. – I twój tata… jest dla mnie jak drugi ojciec. No i nie zapominajmy o Ketchumie.

– Racja – odpowiedział tylko tyle pisarz; kiedy rozmawiał z synem, czasami sam nie wiedział, czy zwraca się do mężczyzny, czy do dziecka. Czyżby znany mu przed laty niepokój kazał podejrzewać, że Joe nie mówi całej prawdy, czy może należało złożyć to na karb tego, co zatajono przed nim samym?

– Chcę tylko wiedzieć, że u ciebie wszystko w porządku – uzupełnił Danny, ale siedemnastolatek, chłopiec lub mężczyzna, a może jedno i drugie, wiedział, że ojcowskie „w porządku” oznacza znacznie więcej. Na przykład „mucha nie siada” albo „jesteś bezpieczny”, jak gdyby ich regularne rozmowy mogły zapewnić Joemu (chłopcu lub mężczyźnie) bezpieczeństwo. Danny dojdzie kiedyś do wniosku, że stanowiło to rodzaj jarzma właściwego przedstawicielom jego profesji, a mianowicie, że niepokój o syna rósł wprost proporcjonalnie do uwagi, jaką poświęcał analizie bohaterów swoich powieści.

Kiedy pokazał Joemu list o Katie, uderzyła go swoista nierzeczywistość jego treści; bezosobowy przekaz spod ręki nieznajomego nadał Katie znamiona postaci drugoplanowej. A gdyby on sam postanowił kiedyś dotrzymać jej kroku, gdyby dalej pili razem, zapewne

podzieliłby jej los – czy to przez przypadek, czy też za sprawą samobójstwa – skazując się na okrutnie drugoplanowy finał. Ojciec miał rację co do picia, że Danny nie ma na nie sił; może faktycznie – jak to ujął – „geny zrobiły swoje”.

„Przynajmniej nie napisał o Rosie… jeszcze”, odetchnął w liście Ketchum.

Tony Angel chętniej sięgał po listy Ketchuma, zanim stary flisak, obecnie sześćdziesięcioześcioletni, nauczył się czytać. Pani poznana w bibliotece – nauczycielka, jak nazywał ją Ketchum – cóż, z pewnością stanęła na wysokości zadania, lecz zrzędliwość starego przyjaciela przechodziła wprost ludzkie pojęcie, a do tego Tony był przekonany, że zatracił on jakby swą dotychczasową umiejętność słuchania. Gdy człowiek nie czyta, musi słuchać; być może lepiej zrozumiał książki, których wysłuchał, niż te, po które sięgnął samodzielnie. Teraz utyskiwał prawie na wszystko, co przeczytał. A może po prostu Tony'emu Angelowi brakowało widoku pisma Pam. Nawiasem mówiąc, Ketchum był zdania, że zrzędliwość Tony'ego też przybrała na sile.

Danny'emu z kolei na pewno brakowało wpływu, jaki Pam wywierała na Ketchuma; może gdy zabrakło ich wzajemnej zależności, Ketchum wydał mu się bardziej samotny, a poza tym Danny zdążył przywyknąć do roli pośrednika, jaką odgrywała w ich korespondencji.

W 1983 roku Danny miał czterdzieści jeden lat. Z chwilą gdy mężczyzna przekracza czterdziestkę, przeważnie nie czuje się już młodzieniaszkiem, ale Joe – w wieku lat osiemnastu – wiedział, że ma jeszcze całkiem młodego tatę. Nawet dziewczęta w jego wieku (lub młodsze) z Northfield Mount Hermon mówiły chłopcu, że jego ojciec jest bardzo przystojny. I może był, ale na pewno nie tak jak Joe.

Chłopak przewyższał wzrostem ojca i dziadka o prawie dwadzieścia centymetrów. Katie, jego mama, była nadzwyczaj drobna i niska, jednakże wszyscy mężczyźni w jej rodzinie charakteryzowali się słusznym wzrostem – nie byli potężni, ale za to bardzo wysocy. Zdaniem kucharza, ich wzrost szedł w parze z „patrycjuszowskim zadęciem".

On i Carmella byli zdegustowani ślubem; czuli się tak, jakby na każdym kroku próbowano im utrzeć nosa. Przyjęcie urządzono z wielką pompą, w drogim prywatnym klubie na Manhattanie – Katie była już w dość zaawansowanej ciąży – lecz mimo horrendalnych kosztów potrawy nie nadawały się do jedzenia. Callahanowie nie należeli do smakoszy; reprezentowali typ ludzi, którzy wolą ssać kostki lodu i popijać drinki, zadowalając się przystawką. Wyglądali tak, jakby nadmiar pieniędzy zwalniał ich z konieczności jedzenia. Tony Angel użył tego stwierdzenia w rozmowie z Ketchumem, który w owym czasie spławiał jeszcze drewno w Kennebec. Nie przyjechał na ślub, wymawiając się pracą, lecz w istocie uczynił to na prośbę kumpla.

– Już ja cię znam, Ketchum: przywieziesz browninga, sztucer i urządzisz jatkę. Wytłuczesz wszystkich Callahanów, w tym Katie, a potem dobierzesz się do palców Danny'ego.

– Wiem, że czujesz to samo, Ziółko.

– Owszem. Carmella też. Ale niech Daniel robi, co chce. Dziwka Callahanów urodzi czyjeś dziecko, i to dziecko uchroni moje przed tą katastrofalną wojną.

I Ketchum został w Maine. Później powie, że Ziółko postąpił słusznie, jadąc na ślub. Gdy Joe wyrósł ponad miarę, mogło skłonić to dziadka do podejrzeń, że nie jest jednak synem Daniela. W końcu Katie żadnemu nie przepuściła; mogła wpaść z kim innym, a potem poślubić Daniela. Jednakże na ślubie miał okazję się przekonać, że

natura nie poskąpiła męskim potomkom rodu Callahanów genu wzrostu; poza tym Joe stanowił wierną podobiznę Danny'ego, tyle że czubek ojcowskiej głowy sięgał mu do górnej części klatki piersiowej.

Joe miał sylwetkę wioślarza, ale nie wiosłował. Dorastał głównie w Vermoncie, dzięki czemu szusował jak czempion. Jego tata nie przepadał za tą dyscypliną; jako wielbiciel joggingu wolał biegi na nartach, o ile w ogóle sięgał po narty. Nie przestał biegać, pomagało mu to myśleć i wyobrażać sobie różne rzeczy.

W Nortfield Mount Hermon Joe trenował zapasy, chociaż nie miał sylwetki zapaśnika. Dziadek uznał to za wpływ Ketchuma. Wprawdzie Ketchum był tylko barowym zabijaką, lecz jego metody miały więcej wspólnego z zapasami niż z boksem. Zwykle nie bił przeciwnika, dopóki nie rzucił go na łopatki.

Kiedy barowy zabijaka po raz pierwszy przyjechał obejrzeć rozgrywki w NMH, o zasadach miał blade pojęcie. I gdy Joe rzucił przeciwnika na matę, Ketchum wrzasnął na całe gardło:

– Przyłóż mu, teraz!

– Ketchum – upomniał go Danny. – Nie wolno bić, to zapasy.

– Jezu, kiedy to najlepsza okazja – gorączkował się Ketchum. – Ma go jak na patelni.

Później, podczas tych samych rozgrywek, Joe sprowadził przeciwnika do parteru; właśnie założył mu półnelsona i usiłował przewrócić go na plecy.

– Łapie go ze złej strony – nie wytrzymał Ketchum. – Nie udusisz gościa, łapiąc go za kark, tylko za pieprzone gardło!

– Joe próbuje przewrócić go na plecy, Ketchum, a nie udusić! – uświadomił starego przyjaciela Tony Angel.

– Duszenie jest wbrew regułom – wyjaśnił Danny.

Joe wygrał. Po skończonych rozgrywkach Ketchum poszedł uścisnąć mu rękę. Wówczas to po raz pierwszy wstąpił na matę. Czując, że ugina się pod jego stopą, cofnął się jak oparzony, tak jakby nadepnął na żywą istotę.

– Za miękko – zawyrokował. – I jak tu komuś dołożyć?

– Nie chodzi o to, żeby przeciwnikowi dołożyć, Ketchum, tylko przewrócić go na łopatki albo pobić na punkty – pospieszył z wyjaśnieniem Danny. Ale zanim się obejrzeli, Ketchum usiłował zademonstrować Joemu skuteczniejszy sposób powalenia kogoś na plecy.

– Leży na brzuchu, a ty zakładasz mu rękę za plecy – tłumaczył z werwą. – Potem łapiesz gościa za prawy łokieć i pchasz do lewego ucha. Nie ma siły, musi przewrócić się na plecy, inaczej wyrwiesz mu łapę!

– Nie można wygiąć ręki przeciwnika bardziej niż o czterdzieści pięć stopni – odpowiedział Joe. – Przytrzymywanie w uchwytach i krawat były kiedyś dopuszczalne, ale dziś nie wolno stosować bolesnych metod, dusić też nie. To nielegalne.

– Rany koguta, wszędzie to samo! – poskarżył się Ketchum. – Biorą wszystko, co dobre, i chrzanią to zasadami!

Jednakże po obejrzeniu paru kolejnych rozgrywek Ketchum nieoczekiwanie polubił szkolne zapasy.

– Szczerze ci powiem, Ziółko, że na początku miałem to za pedalski sport. Ale jak się człowiek rozezna w temacie, będzie wiedział, kto wygra, nawet bez sędziego.

Joe dziwił się nie raz, widząc go na trybunach. Stary flisak potrafił przejechać całą Nową Anglię, żeby obejrzeć chłopca wraz z drużyną na rozgrywkach. A kiedy Joe był w ostatniej klasie, drużynę mieli nie byle jaką. Podczas jego czteroletniego pobytu w Northfield Mount Hermon

Ketchum na pewno obejrzał więcej rozgrywek niż ojciec i dziadek.

Mecze odbywały się w środy i soboty. Restauracja Tony'ego Angela w środy była zamknięta, toteż Tony mógł przyjeżdżać do szkoły. W soboty, niestety, nie było na to szans, a większość ważniejszych rozgrywek – na przykład na podsumowanie sezonu – odbywała się właśnie w weekendy. Danny Angel widział ponad połowę rozgrywek syna, ale często był w rozjazdach w związku z promocją książek. Jednym słowem, to Ketchum widział prawie wszystkie „walki”, jak je z upodobaniem nazywał.

– Przegapiłeś niezłą walkę – mówił Danny'emu lub To ny'emu, dzwoniąc do nich, żeby podzielić się wynikiem.

Do czasu wydania *Ojców Kennedy'ego*, która to książka stała się bestsellerem, Danny nie wiedział, że w wydawnictwach znajdują się działy promocji. I gdy wydawcy zaczęli promować jego książki, poczuł się w obowiązku brać w tym udział. Przekłady wydawano w innych terminach, które rzadko zbiegały się w czasie z wydaniami anglojęzycznymi. To znaczyło, że nieczęsto zdarzał się rok, kiedy Danny nie musiał gdzieś pojechać.

Gdy podróże ojca wypadały poza sezonem zapaśniczym, Joe często spędzał weekendy u dziadka w Brattleboro. Bywało, że jego koledzy z Northfield Mount Hermon prosili, aby rodzice zabrali ich do pizzerii Tony'ego Angela. Czasami Joe pomagał w kuchni. Zupełnie jak za dawnych czasów – a zarazem zupełnie inaczej – myślał Tony, patrząc, jak wnuk uwija się w kuchni albo sprząta ze stołów. Tony vel Dominic pamiętał, że w latach szkolnych nie widywał syna tak często jak obecnie Joego. Z tego powodu jego relacje z wnukiem nosiły słodko-gorzki posmak – czuł, że może pozwolić sobie na chwilę wytchnienia, bez

konieczności osądzania chłopca tak, jak niegdyś osądzał (i krytykował) Daniela.

Chłopcy z drużyny Joego polubili Ketchuma.

– To twój wujek… ten twardziel z blizną? – pytali.

– Nie, Ketchum to przyjaciel rodziny. Kiedyś był flisakiem – odpowiadał Joe.

Któregoś dnia zaczepił go sam trener.

– Czy ten wielkolud z ręką jak imadło trenuje zapasy? Sądząc po wyglądzie, to bardzo możliwe. W każdym razie nadaje się do tego jak ulał.

– Tylko nieoficjalnie – odpowiedział Joe.

– A blizna? – drążył trener. – Wygląda paskudnie. Raczej nie dostał od nikogo z bańki.

– Z bańki nie… to był niedźwiedź – wyjaśnił Joe.

– Niedźwiedź!

– Ale proszę go o to nie pytać – dodał Joe. – To straszna historia. Ketchum musiał zabić niedźwiedzia, chociaż nie chciał. Na ogół lubi niedźwiedzie.

Najwidoczniej z Dannym Angelem łączyło Joego Baciagalupo coś więcej niż tylko fizyczne podobieństwo. Danny jednak martwił się brawurą syna; brawurą, która nie ograniczała się wyłącznie do typowej dla przedstawicieli rodu Baciagalupo bujnej wyobraźni. Nie chodziło tu o zapasy, które jego samego nigdy nie pociągały – ani ojca, z powodu kalectwa. Tak, z chwilą gdy Joe poznał ich tajniki, zapasy wydawały się niewinną i bezpieczną formą rozrywki. Chodziło o coś zupełnie innego.

Jeśli Joe odziedziczył coś po Katie Callahan, był to jej pociąg do ryzyka. Na nartach jeździł zbyt szybko, samochodem też, o relacjach z dziewczętami nie wspominając. Jego tata literat był zdania, że Joe za bardzo ryzykuje.

– Może ma to po Katie – powiedział w rozmowie z ojcem.

– Może – uciął kucharz. Nie spodobała mu się myśl, że jego wnuk mógł odziedziczyć cokolwiek po tej wstrętnej kobiecie. – A może po twojej matce, Danielu. Bądź co bądź Rosie też była ryzykantką, spytaj Ketchuma.

Danny spędził nad zdjęciami matki tyle czasu, że w zasadzie zdążyłby napisać powieść, chociaż czynił to rzadziej, odkąd poznał prawdę o niej i Ketchumie. Próbował oddać fotografie ojcu, ale nie chciał ich przyjąć.

– Nie, należą do ciebie. Ja widzę ją wyraźnie, Danielu. – Postukał się w skroń. – Tutaj.

– Może Ketchum chciałby je wziąć – zaproponował Danny.

– Ketchum ma własne, Danielu – odpowiedział mu ojciec.

Ketchum odesłał mu z czasem parę zdjęć z książek, które zostały w Twisted River – parę, ale na pewno nie wszystkie. „Masz, znalazłem w książce”, brzmiał dopisek w liście. „Pomyślałem sobie, że powinieneś je dostać, Danny”.

Danny z pewnym ociąganiem zachował zdjęcia. Joe lubił je oglądać. Może Tony miał rację: może Joe odziedziczył brawurę i lekkomyślność po swojej babce, a nie po Katie. Patrząc na zdjęcia matki, Danny widział ładną kobietę o intensywnie niebieskich oczach, ale pijana buntowniczka obtańcowująca na lodzie dwóch pijanych mężczyzn… cóż, ten aspekt natury Rosie Baciagalupo, z domu Calogero, nie został uwieczniony na zdjęciach.

– Uważaj na jego picie – przestrzegł syna Tony; miał na myśli Joego. Chciał w ten sposób wybadać, czy jego osiemnastoletni wnuk zagląda do kieliszka.

– Może czasem, na jakiejś imprezie – odpowiedział Danny. – Przy mnie nigdy.

– O picie przy tobie akurat nie musimy się martwić – skwitował ojciec.

Danny Angel uznał, że przestrogi ojca zapewne nie są pozbawione słuszności. Co do bagażu genetycznego chłopca, Danny wiedział o jego matce więcej, niż miałby na to ochotę; po prostu piła jak smok. Kiedy byli razem, marihuanę paliła częściej niż „czasem”, i sięgała nie „tylko” po trawkę. O tak, o tym Danny wiedział aż za dobrze.

Istnieją sprzeczne teorie co do tego, czy Windham College stał u progu upadku jeszcze przed końcem wojny. Coraz niższy nabór i niemożność spłaty zaciągniętego kredytu przypieczętowały w 1978 roku los uczelni, ale Danny Angel przeczuwał jej koniec o wiele wcześniej. Zrezygnował z posady w roku 1972, kiedy to powtórnie przyjął propozycję pracy na warsztatach pisarskich w Iowa. Nie napisał jeszcze *Ojców Kennedy'ego* i wciąż zarabiał na utrzymanie jako wykładowca, Iowa zaś stanowiło ku temu wyśmienitą okazję. (Studenci traktują tu studia poważnie i są pochłonięci pisaniem, dzięki czemu człowiek ma więcej czasu, żeby samemu pisać).

Danny Angel wyda drugą książkę i napisze trzecią podczas pobytu w Iowa City. W tamtych latach, gdy Joe nie był jeszcze nastolatkiem, Iowa City stanowiło wymarzone miejsce również dla niego: masa świetnych szkół, jak na ośrodek akademicki przystało, i namiastka życia „w sąsiedztwie” na dodatek. Dla ścisłości: Iowa City nie było North Endem – zwłaszcza pod względem gastronomii – ale Danny powrócił tam bez niechęci.

Dał ojcu wolny wybór: Tony Angel mógł przyjechać do Iowa City albo zostać w Putney. Danny chciał zachować „gospodarstwo” w Vermoncie. Wykupił wynajęty dom przy Hickory Ridge Road, jeszcze zanim przyjął propozycję z Iowa i zrezygnował z pracy w Windham, ponieważ chciał, aby ojciec mógł tam zostać – w razie gdyby przyszła mu na to ochota.

Zrobił to ze względu na Carmellę. W ciągu pięciu lat istnienia pizzerii „Benevento” w Putney Tony Angel wielokrotnie odwiedził Boston. Jazda w jedną stronę zabierała ponad dwie godziny; trochę daleko jak na „zakupy”. Twierdził, że najlepsze kiełbaski do pizzy są na targu abruzyjskim na North Endzie, skoro zaś był w pobliżu, równie dobrze mógł uzupełnić zapasy serów, oliwek oraz oliwy. Danny wiedział, że ojciec próbuje przy okazji „uzupełnić zapas” Carmelli. Rozstanie okazało się trudniejsze, niż oboje przypuszczali.

„Benevento” wymagała niewielkich inwestycji; w porównaniu z poprzednimi miejscami pracy, w Coos i Bostonie, prowadzenie pizzerii w ubogim miasteczku uniwersyteckim nie stanowiło większych trudności. Tony kupił budynek od podstarzałego hipisa, który nazywał sam siebie malarzem szyldów; jego interes podupadał wyraźnie, po mieście zaś krążyły nieśmiałe pogłoski, że to właśnie na nim spoczywa odpowiedzialność za błędny napis na kinie Latchis w Brattleboro. Napis na markizie od lat głosił „Kinol” zamiast „Kino”; brakowało funduszy, żeby go poprawić. Nikt za to nie miał wątpliwości, że żona niefortunnego malarza, garncarka, podobno wiecznie na haju, niedawno wystawiła go do wiatru. Na pocieszenie zostawiła mu tylko piec do wypalania gliny, który natchnął Tony'ego do zbudowania ceglanego pieca do pizzy.

Kiedy Danny zaproponował mu przeprowadzkę do Iowa City, Tony Angel miał już trochę dość prowadzenia własnego lokalu – pizzeria zresztą nigdy nie była szczytem jego marzeń – a sprawy z Carmellą potoczyły się własnym, nieuchronnym trybem. Wyznała bowiem, że przez jego sporadyczne wizyty czuje się tak, jak gdyby żyła w nielegalnym związku. Podobny argument padał zapewne podczas spowiedzi, u Świętego Stefana lub Leonarda, do których chodziła. (Idea spowiedzi zawsze była dla Tony'ego niezrozumiała).

Dlaczegóż by więc dla odmiany nie pojechać na Środkowy Zachód, pomyślał Tony Angel. Sprzedaż lokalu przyniesie trochę grosza; lepiej nie zwlekać, aż Windham College pójdzie na dno, jak zapowiadał Danny. Na co komu wtedy pizzeria w Putney?

– A nie lepiej zaprószyć ogień i zgarnąć forsę z ubezpieczenia? – zapytał starego przyjaciela Ketchum.

– Czy to ty spaliłeś Twisted River? – odpowiedział pytaniem kucharz.

– Było tylko wrzodem na dupie, Ziółko, ot co!

– Tamte budynki, w tym moja stołówka, nie były tylko wrzodem na dupie, Ketchum.

– Psiakrew, jeśli takie masz zdanie o małym pożarze, lepiej sprzedaj budę – uciął flisak.

To, co pochłonęło Twisted River, nie sposób było nazwać „małym" pożarem. Ketchum zaplanował wszystko do perfekcji. Wybrał bezwietrzną marcową noc, jeszcze przed porą błota, i zanim Carl przestał pić, co stanowiło jeden z powodów, dla których Ketchumowi się upiekło. Posterunkowy zapadł się wówczas jak pod ziemię, a gdyby nawet go znaleziono, pewnie nikt nie zdołałby go dobudzić.

Gdyby wiał wiatr, ogień podłożony w jednym miejscu strawiłby zarówno stołówkę, jak i całe osiedle, a tym samym mógł rozprzestrzenić się na las, nawet mimo marcowej wilgoci, gdy grunt przykrywała jeszcze spora warstwa śniegu. Ketchum wolał nie ryzykować. Lubił las, w przeciwieństwie do osady i stołówki, których wprost nienawidził. W noc kiedy zginęła Rosie, o mało nie odciął sobie ręki w stołówkowej kuchni, a potem słuchał, jak Ziółko płacze na górze.

Tej nocy gdy Twisted River poszło z dymem, Ketchum musiał mieć w furgonetce około trzech czwartych sągu drewna. Rozdzielił je na dwa stosy, jeden w opustoszałym tartaku, a drugi w dawnej stołówce. Podpalił oba w

kilkuminutowych odstępach czasu, a potem patrzył, jak jeszcze przed świtem wszystko płonie do cna. Użył na podpałkę fikuśnej lampki olejnej wydzielającej zapach świerku; nafta i benzyna mogłyby zostawić jakiś ślad, no i smród. Lampka olejna o niewinnym zapachu świerku, o aromatycznym drewnie na opał nie wspominając, nie wzbudziły żadnych podejrzeń.

– Wiesz coś o wczorajszym pożarze w Twisted River? – zapytał następnego dnia skacowany Carl po przyjeździe na pogorzelisko. – Na moje oko, tamte ślady opon wyglądają zupełnie jak twoje.

– A jakże – odparł Ketchum. – Pożar jak ta lala, kowboju; żałuj, żeś tego nie widział. W mordę, hajczyło się prawie całą noc! Wziąłem piwko lub dwa i przyjechałem popatrzeć. – Ketchum po latach nie mógł odżałować, że posterunkowy przestał pić.

Ostatnio mieli na pieńku, Ketchum i Carl: kowboj wiedział już, że to mały Baciagalupo zabił Jane patelnią i tak dalej. Rozumiał, że śmierć Jane była dziełem przypadku; zdaniem Ketchuma przejął się nią w niewielkim stopniu, ale był wkurzony na Ketchuma, że zataił prawdę. Myślał tylko o tym, że Ziółko posuwał Jane, i to w czasie, gdy ta „należała” do Carla, dlatego postanowił zabić kucharza, i wcale nie taił tego zamiaru.

– Wiem, że nie powiesz mi, gdzie on jest, Ketchum, ale przekaż temu małemu pokrace, że go dopadnę – zapowiedział. – Ty lepiej też miej oczy dokoła głowy, dobrze ci radzę.

– Zawsze mam – odparł Ketchum. Nie wspomniał przy tym o psie, „szlachetnym zwierzęciu”. Jeśli kowboj postanowi dobrać się Ketchumowi do skóry, pies będzie dla niego niespodzianką. Oczywiście wszyscy w okolicy musieli wiedzieć, że Ketchum ma psa, Carl również. Pies jeździł z nim wszędzie furgonetką. Ketchum po prostu nie obnosił

się z jego agresją. (Szlachetne zwierzę trwające u boku Ketchuma od szesnastu lat zmieniało się, rzecz jasna, co jakiś czas; obecny pies musiał być synem lub wnukiem pierwszego, który zajął miejsce Pam).

– Przecież wam mówiłem – oznajmił Ketchum pod adresem Danny'ego i jego ojca. – New Hampshire leży za blisko Vermontu, zbyt blisko, żebyście mogli czuć się bezpieczni. Najlepiej będzie, jeśli obaj wyjedziecie do Iowa. I mały Joe będzie zachwycony. Iowa to też z indiańskiego, co? Rany, te Indiańce były wszędzie, nie? I spójrzcie, co ten kraj z nimi zrobił! Strach pomyśleć, co będzie dalej. Wietnam to nie pierwsza rzecz, która zeszmaciła nas w oczach świata. Do czego zmierza ten debilny kraj… to wiedzą pewnie tylko Indiańce, pogrzebani w Iowa i gdzie indziej. Tylko oni wiedzą, co nam pisane.

Jak by tu określić poglądy Ketchuma, rozmyślał jego stary przyjaciel, kuśtykając Main Street z powrotem do restauracji.

WOLNOŚĆ ALBO ŚMIERĆ

Tak brzmiał napis na tablicach rejestracyjnych w stanie New Hampshire; Ketchum reprezentował taki właśnie typ człowieka i zawsze powtarzał, że kraj schodzi na psy, ale Tony Angel nie był pewien, czy jego przyjaciel kiedykolwiek poszedł na głosowanie. Traper nie ufał żadnemu rządowi, a także tym, którzy mieli jakąkolwiek styczność z władzą. Jego zdaniem jedynym uzasadnieniem istnienia reguł – a co za tym idzie, stosowania się do nich – jest to, że debile przewyższają liczebnością ludzi z głową na karku. Naturalnie jego nie obowiązywały żadne reguły; Ketchum żył w świecie bez zasad, z wyjątkiem tych własnego autorstwa.

Kucharz przystanął, spoglądając z podziwem na swój własny, wymarzony lokal.

AVELLINO WŁOSKA GASTRONOMIA

Avellino było drugim z miasteczek (i prowincji) w okolicach Neapolu, o których Nunzi mówiła nocą przez sen. Celowo użył wyrazu „gastronomia” zamiast „kuchnia”, z tego samego powodu, dla którego określał siebie mianem kucharza, a nie szefa kuchni. Uważał, że zawsze będzie kucharzem; do szefa jeszcze mu daleko. W głębi serca Dominic Baciagalupo – ach, jakże tęsknił za Dominikiem! – był tylko prowincjonalnym kucharzem z leśnej osady.

W przeciwieństwie do Tony'ego Molinariego, przyszło mu do głowy, i Paula Polcariego. Tony Angel wiele się od nich nauczył – więcej niż od Nunzi – ale dowiedział się też, że nie dorówna nigdy ani jednemu, ani drugiemu.

– Nie masz ręki do ryb, Gamba – zawyrokował Molinari w możliwie taktowny i współczujący sposób. I miał rację. W Avellino serwowano tylko jedną potrawę z owoców morza; czasem był to makaron, pod warunkiem że udało mu się zdobyć kalmary. Dusił je powoli przez długi czas w pikantnym sosie marinara z czarnymi oliwkami i orzeszkami piniowymi. W Brattleboro przeważnie miał dostęp tylko do mrożonych kalmarów, co nie było takie złe, a jedyną godną zaufania świeżą rybą był miecznik, którego Tony Molinari nauczył go przyrządzać z cytryną, czosnkiem i oliwą z oliwek – na parze lub ruszcie – z dodatkiem świeżego rozmarynu, jeśli był dostępny, ewentualnie suszonego oregano.

Na *dolci* nie znał się wcale. To Paul Polcari zauważył taktownie, że nie ma ręki także do deserów, a w szczególności deserów włoskich, uzupełnił w myślach Tony

Angel. Jego specjalnością były za to przaśne przysmaki rodem z leśnej osady, czyli placki i szarlotki. (Jagody i jabłka były w Vermoncie niezawodne). W „Avellino” podawał też owoce i ser, które wielu spośród jego klientów wolało zamiast deseru.

Podziw dla własnego lokalu odciągnął uwagę Tony'ego Angela od problemu poglądów Ketchuma, do którego powrócił zaraz, ruszając dalej. W kwestii tego, co inni nazywali postępem, Ketchum był po trosze technofobem. Nie tylko tęsknił za spływami drewna; ba, z rozrzewnieniem wspominał czasy, gdy wycinka odbywała się bez udziału pił łańcuchowych! Za to broń po prostu uwielbiał, do tego rodzaju technologii nie miał żadnych zastrzeżeń.

Ani liberał, ani konserwatysta; Ketchum w najlepszym razie zasługiwał na miano libertarianina, i był nim do szpiku kości, uznał Tony Angel, a także (w czasach młodości) po części hulaką i utracjuszem. Jakim cudem stary kumpel zawsze myślał o nim w kategoriach seksualnych? Dawny Dominic Baciagalupo oczywiście znał odpowiedź na to pytanie, lecz niezmiennie napełniała go bezbrzeżnym smutkiem.

Ketchum był wściekły, kiedy ojciec, syn i wnuk powrócili z Iowa do Vermontu, jednakże kierownictwo warsztatów i tak okazało Danny'emu dużą wyrozumiałość, pozwalając mu zostać tak długo. Pierwotnie kontrakt opiewał na dwa lata; Danny poprosił o kolejny rok i dostał zgodę, lecz latem 1975 roku, kiedy Joe miał dziesięć lat, rodzina wróciła do Windham. Danny kochał swoje „gospodarstwo” w Putney. Jego ojciec nawet nie chciał o nim słyszeć. Wojna w Wietnamie dobiegła końca, dni Windham College były policzone. Poza tym Tony Angel nigdy nie lubił Putney.

Podczas gdy druga i trzecia powieść Danny'ego nie przyniosły żadnych zysków, jego ojciec odłożył w Iowa trochę grosza, dzięki czemu starczyło na zakup starego

budynku usługowego z mieszkaniem na górze przy Main Street w Brattleboro. W tym samym roku narodziło się „Avellino”, a Danny dojeżdżał do Mount Holyoke College w Południowym Hadley w stanie Massachusetts. Była to najbliższa uczelnia, jaką mógł znaleźć, z tym że owa renomowana, a zarazem stateczna żeńska szkoła leżała ponad godzinę (prawie dwie) drogi od Putney, co bywało uciążliwe zwłaszcza zimą, gdy sypał śnieg. Danny jednak uparł się zostać w Putney. Nie bez znaczenia było jego dobre zdanie o gimnazjum – położonym kawałek drogi od domu – gdzie Joe mógł dokończyć ósmą klasę przed rozpoczęciem nauki w Northfield Mount Hermon.

Wchodząc do restauracji, kucharz potrząsnął głową, gdyż pomyślał sobie, że Daniel naprawdę musi kochać wieś. Tony Angel nie podzielał jego sentymentu; North End zrobił z niego mieszczucha, a przynajmniej zagorzałego zwolennika „sąsiedztwa”. W przypadku Daniela było zupełnie inaczej. Dojeżdżał do pracy przez trzy lata, do czasu gdy sukces *Ojców Kennedy'ego* w 1978 roku pozwolił mu na dobre zrezygnować z posady wykładowcy.

Praktycznie z dnia na dzień stał się bogatym człowiekiem, co (nadal) spędzało ojcu sen z oczu: martwił się o wpływ, jaki to mogło mieć na Joego. Daniel miał wystarczająco lat (trzydzieści sześć), toteż sukces nie uderzył mu do głowy. Ale trzynastoletni Joe obudził się któregoś ranka i jego świat stanął do góry nogami. Nagle miał sławnego ojca. Czy aby na pewno wyjdzie z tego bez szwanku? Należało też wspomnieć o kobietach, z którymi spotykał się Daniel, zarówno przed wielkim przełomem, jak i po nim.

Zanim przenieśli się do Iowa City, pisarz mieszkał z jedną ze swych dawnych studentek z Windham College. Dziewczyna o chłopięcym imieniu („Franky, przez y”, mawiała, wydymając usta) nie przeniosła się razem z nimi.

I chwała Bogu, myślał wtedy ojciec. Franky była rozbuchaną kocicą, małym drapieżnikiem.

– Nie była moją studentką, gdy zaczęliśmy ze sobą sypiać – usprawiedliwiał się Danny. Owszem, ale uczył ją zaledwie rok albo dwa wcześniej; należała do licznego grona studentów Windham, którzy najwyraźniej utknęli tu na dobre. Przyjeżdżali do Windham, robili dyplom albo rzucali studia, ale wciąż włóczyli się po okolicy – i ani myśleli wyjechać.

Dziewczyna wpadła kiedyś w odwiedziny do dawnego nauczyciela i najzwyczajniej w świecie została.

– Co ona robi przez cały dzień? – pytał Danny'ego ojciec.

– Próbuje zostać pisarką – odpowiadał Danny. – Franky lubi tu siedzieć i jest miła dla Joego, a on ją lubi.

Franky trochę sprzątała i gotowała – tak to umownie nazwijmy, myślał Tony. Hoże dziewczę przeważnie chodziło boso, nawet w zimie, gdy w domu hulał przeciąg, a Danny ogrzewał cały dom paroma żeliwnymi piecami. (W Putney obowiązywał kult żeliwnych pieców, zauważył Tony Angel; w tym mieście wynaleziono nawet alternatywę ogrzewania! Co za dziura!).

Franky była mysią blondynką o przylizanych włosach i notorycznie zgarbionych plecach. Nosiła dziwne staroświeckie sukienki, jakie Tony pamiętał z dzieciństwa, tyle że nie nakładała stanika i – jak zaobserwował – nie goliła się pod pachami. Gdy mieszkała z Danielem i małym Joem, nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia dwa, trzy lata. Gdy wyjeżdżali do Iowa, Daniel miał lat trzydzieści.

W Iowa City u boku Daniela też nie brakowało młodych kobiet, wśród których znalazła się jedna z jego studentek, i choć obecnie był sam – a od czasu *Ojców Kennedy'ego* zaliczył tylko parę przelotnych związków – Joe widział go już z wieloma dziewczętami. (A także trzema lub czterema starszymi kobietami; dwie z nich były zagranicznymi wydawcami książek Daniela).

Dom w Putney przeobraził się w istną posiadłość. Pisarz zamienił stare gospodarstwo w dom gościnny; dla siebie i Joego wybudował nowy dom, a także postawił dodatkowy budynek, w którym pracował. Nazywał go swoją „pustelnią". Ładna mi pustelnia, myślał Tony Angel. Budynek był nieduży, ale wyposażony w łazienkę, telefon, telewizor oraz małą lodówkę.

Danny może faktycznie lubił wieś, ale do pustelnika było mu daleko, stąd domek gościnny. Jako pisarz poznał wielu „miastowych", którzy przyjeżdżali do niego z wizytą; były wśród nich również kobiety. Czyżby to niezobowiązujące romanse ojca zamieniły chłopca w szkolnego playboya, zastanawiał się Tony Angel. Martwił się o wnuka, podobnie (jeśli nie bardziej) jak jego tata. Tak, lepiej trzymać rękę na pulsie. Joe zdecydowanie miał zadatki na imprezowicza.

Wraz z wybuchem wojny w Wietnamie w wielu stanach obniżono wiek dopuszczający możliwość spożywania alkoholu, no bo skoro smarkaczy można wysyłać na pewną śmierć, niby czemu nie mogliby sobie wypić? Po wojnie przywrócono dawne przepisy, raz jeszcze podnosząc poprzeczkę do wieku dwudziestu jeden lat, lecz nastąpiło to dopiero w 1984 roku – Tony wiedział, że wielu rówieśników Joego ma lewe dowody. W „Avellino" widywał ich nie raz; wiedział, że jego wnuk nie stanowi tu wyjątku.

Najbardziej nie dawał mu spokoju pociąg wnuka do dziewcząt. Nadmierny pośpiech w tym względzie mógł człowieka wpędzić w kłopoty na równi z piciem, o czym Dominic Del Popolo vel Baciagalupo wiedział aż za dobrze. Dotyczyło to jego samego, Daniela zresztą też.

Na przekór staraniom Carmelli Tony dowiedział się o tym, jak przyłapała Josie w łóżku z Danielem; gotów był dać głowę, że syn zaliczył niejedną z panien DiMattia, a także jedną lub dwie Saettę i Calogerównę! Joe natomiast miał okazję widzieć (i podsłuchać) ojca w bardziej „dorosłych" okolicznościach aniżeli figle Daniela z całuśnymi

kuzynkami. Jego dziadek wiedział też, że Joe ma za sobą niejedną noc w żeńskim internacie. (To istny cud, że nie wyleciał jeszcze za to ze szkoły; Tony Angel nie zdziwiłby się wcale, gdyby stało się to teraz, w drugim półroczu ostatniej klasy!). O tak, ojciec Joego nie wiedział o wielu rzeczach, w przeciwieństwie do dziadka.

Tamtej ostatniej, szalonej nocy w Twisted River kucharz się modlił, pierwszy i ostatni raz, aż do tej chwili. Boże, daj mi czas, modlił się dawno temu na widok drobnej twarzyczki dwunastoletniego syna za mokrą szybą pontiaca. Daniel czekał na siedzeniu pasażera, jak gdyby ani na chwilę nie stracił wiary w bezpieczny powrót ojca.

Podczas wielu rozmów na temat książek Danny'ego Angela – tego, co w nich zawarł, a szczególnie tego, co pominął – Ketchum i Tony nie mieli wątpliwości, że Danny przede wszystkim rozlicza się w nich ze swymi lękami. Może to kwestia wyobraźni, pomyślał Tony, zaglądając pod wilgotną ścierkę do ciasta na pizzę; jeszcze nie wyrosło na tyle, by ugnieść je ponownie. Powieści Danny'ego Angela często opisywały to, co jego zdaniem mogło się zdarzyć. Często też dotyczyły tego, czego każdy rodzic obawia się najbardziej, a mianowicie utraty dziecka. W powieściach Danny'ego Angela zawsze ktoś lub coś zagrażało dzieciom czy dziecku. Ich życie wisiało na włosku, w dużej mierze z racji młodego wieku!

Tony'ego nie ciągnęło już do książek, chociaż kupował ich mnóstwo (za namową syna i Ketchuma) w miejscowej księgarni. Zdarzało się, że przebrnął przez parę pierwszych rozdziałów i dawał za wygraną. Sprawa z Ketchumem i Rosie jakoś zniechęciła go do czytania. Jedynymi powieściami, które czytał od początku do końca, były książki jego syna. Nie był jak Ketchum, który pochłaniał (kiedyś biernie) wszystko.

Znał najgorsze obawy syna: Daniel nade wszystko drżał o bezpieczeństwo najbliższych, miał na tym punkcie istną

obsesję. Właśnie stąd brała się jego podszyta lękiem wyobraźnia: z dziecięcych koszmarów. Pisarz Danny Angel skłaniał się ku najgorszym z możliwych scenariuszy. W pewnym sensie, jako pisarz – innymi słowy, w wyobraźni – syn kucharza (w wieku czterdziestu jeden lat) był jeszcze dzieckiem.

W cichej kuchni wymarzonego „Avellino” kucharz modlił się o to, aby dane mu było przeżyć nieco dłużej; chciał pomóc wnukowi przetrwać małpi wiek nastolatka. Może chłopcy wychodzą na prostą dopiero po dwudziestce, pomyślał Tony; bądź co bądź Danny ożenił się z Katie w wieku lat dwudziestu dwóch. (Tak à propos brawury!). A jeśli dla Joego ową magiczną granicą jest trzydziestka? Jeżeli zaś coś przytrafi się Joemu, Tony miał nadzieję, że zaopiekuje się Danielem; czuł, że jego pomoc będzie wówczas nieodzowna.

Popatrzył na milczące radio; omal go nie włączył, byle tylko rozproszyć czarne myśli. Przyszło mu do głowy, żeby zamiast słuchania radia napisać list do Ketchuma, lecz nie zrobił ani jednego, ani drugiego, tylko modlił się dalej. Wydawało się, jakby modlitwa nadeszła znikąd; chciał przestać, ale nie mógł.

W kuchni, obok książek kucharskich, stały różne wydania powieści Danny'ego Angela, utrzymane w porządku chronologicznym. Danny wiedział, że trudno o bardziej zaszczytne miejsce niż pośród książek kucharskich. Nawet jednak ich widok bynajmniej nie uspokoił Tony'ego.

Po *Życiu rodzinnym w hrabstwie Coos* Daniel napisał powieść zatytułowaną *Mickey, a*le który to był rok? 1972, 1973? Pierwszą książkę zadedykował panu Leary'emu, lecz zważywszy na tematykę, byłoby to bardziej stosowne w przypadku drugiej. Jednak zgodnie ze złożoną poniekąd obietnicą Danny zadedykował drugą swojemu tacie.

„Mojemu ojcu, Dominicowi Baciagalupo”, głosiła dedykacja, co mogło nasuwać pewne wątpliwości, gdyż autor nazywał się przecież Danny Angel, Dominic zaś był już Tonym, lub – jak kto woli – panem Angelem.

– I wyszło szydło z worka – skomentował Ketchum, ale, jak się okazało, było to słuszne posunięcie. Gdy czwarta powieść przyniosła Danny'emu sławę, kwestia *nom de plume* zeszła na dalszy plan. Prawie wszyscy w literackim świecie wiedzieli, że Danny Angel to pseudonim, lecz niewielu pamiętało jego prawdziwe nazwisko, albo też mieli to w nosie. Pan Leary miał rację, że istnieją nazwiska łatwiejsze do zapamiętania niż Baciagalupo, poza tym tak naprawdę ilu ludzi – nawet z branży – wiedziało, jak naprawdę nazywa się John Le Carré?

Oczywiście Danny bronił się argumentem, że posterunkowy ma niewielkie rozeznanie w literaturze; nawet flisak musiał przyznać, iż żaden z kowboja erudyta. Poza tym książkę tuż po jej wydaniu przeczytała zaledwie garstka osób; wszyscy zrobili to dopiero po sukcesie czwartej powieści, gdy wzrosło zainteresowanie wcześniejszymi dokonaniami Danny'ego.

Drugoplanową, acz ważną postacią *Mickey* jest zgnębiony Irlandczyk, który uczy angielskiego w szkole imienia Michała Anioła; sedno opowieści stanowi spotkanie głównego bohatera z dawnym nauczycielem na pokazie striptizu w Old Howard. Zdaniem ojca autora, osadzenie powieści na tle tak błahego epizodu – wstyd i zakłopotanie dawnego ulubieńca (obecnie ucznia Exeter, z garstką tamtejszych kolegów) i postaci ewidentnie wzorowanej na panu Learym – nie było najszczęśliwszym posunięciem. Podejrzewał, iż do tego zdarzenia faktycznie mogło dojść.

Trzecia powieść przypadła na rok 1975; ukazała się tuż po powrocie z Iowa do Vermontu. Nosiła tytuł *Dziesiąta woda po kisielu* (w odniesieniu do dalekich krewnych).

Był wdzięczny, że Danny nie zadedykował powieści kuzynkom z rodzin Saetta i Calogero, ponieważ męscy przedstawiciele rodów mogliby nie docenić ironii. Była to opowieść o seksualnej inicjacji na North Endzie; chłopiec zostaje uwiedziony przez starszą kuzynkę, będącą kelnerką w tej samej restauracji, w której on dorabia po lekcjach jako pomywacz. Tony wiedział, że postać kuzynki wzorowana jest na tej dziwce Elenie Calogero, a konkretnie odpowiadała jej rysopisowi, chociaż oboje z Carmellą nie mieli wątpliwości, że pierwszą kochanką Daniela była bratanica Carmelli, Josie DiMattia.

Kucharz podejrzewał, że historia była wymysłem, ewentualnie pobożnym życzeniem. Pewne szczegóły jednak nie dawały mu spokoju, na przykład to, jak starsza kuzynka zrywa z chłopcem, gdy ten wyjeżdża do szkoły z internatem. Kelnerka mówi młodemu kochankowi, że od początku miała chrapkę na jego ojca. (Ojcu poświęcono niewielki fragment; wiadomo tylko, że jest „nowym kucharzem” w tej samej restauracji, gdzie pracują kochankowie). Odrzucony chłopak jedzie do szkoły pełen nienawiści do ojca, gdyż uroił sobie, że pod nieobecność syna padnie on ofiarą uwodzicielki.

To nie mogła być prawda, co za ohyda, pomyślał sobie Tony Angel, szukając fragmentu, gdzie pociąg opuszcza Dworzec Północny, a chłopiec wygląda przez okno na rodzica. W pewnej chwili nie może znieść jego widoku i przenosi uwagę na macochę. „Wiedziałem, że gdy zobaczymy się następnym razem, będzie pewnie grubsza o parę kilo”, napisał Danny Angel.

– Jak mogłeś to zrobić Carmelli? – wrzasnął na syna Tony, gdy po raz pierwszy przeczytał obraźliwe zdanie.

– Przecież to nie Carmella, tato – odparł Daniel. (No dobrze – może postać macochy nie została oparta na Carmelli, lecz powieść była właśnie jej zadedykowana).

– Być krewnym pisarza to niełatwa sprawa – uznał Ketchum. – Znaczy, wściekamy się na Danny'ego, że pisze o nas lub o kimś, kogo znamy, a przy tym mamy mu za złe, kiedy o nas nie pisze, ani o sobie… znaczy, tym prawdziwym. Że nie wspomnę o tym, jak ślicznie przedstawił swą stukniętą byłą żonę!

Co prawda, to prawda, pomyślał kucharz. Uderzyło go, że twórczość Danny'ego nosi wszelkie znamiona autobiografii, a zarazem wcale autobiograficzna nie jest. (Oczywiście Danny nie przyznał mu racji. Nie licząc pierwszych szkolnych dokonań, które pokazywał tylko panu Leary'emu – będących bezładną mieszaniną wspomnień i fantazji, przesadzonych, a przy tym „niezrozumiałych” zarówno dla nauczyciela, jak i samego autora – twórczość Danny'ego Angela nie miała z autobiografią nic wspólnego, przynajmniej jego zdaniem).

Tony nie znalazł szukanego fragmentu. Odstawił książkę na półkę, przelotnie omiatając wzrokiem czwartą powieść, „żyłę złota”, jak nazywał ją Ketchum. Nie lubił nawet patrzeć na *Ojców Kennedy'ego*, tę z podrabianą Katie. Powieść nie tylko przyniosła synowi sławę; stała się międzynarodowym bestsellerem oraz pierwszą z książek Daniela, na której podstawie nakręcono film.

Prawie wszyscy mówili, że nie był zły, chociaż nie dorównał powieści. Danny'emu się nie spodobał, acz nie wzbudził jego wielkiej niechęci; Danny po prostu umył ręce i nie zaangażował się w produkcję. Twierdził, że nie ma zamiaru pisać scenariusza i nie sprzeda praw do sfilmowania pozostałych powieści, chyba że ktoś najpierw przedstawi mu możliwy scenariusz. Wtedy się zastanowi.

Pisarz wyjaśnił ojcu, że w przemyśle filmowym wszystko odbywa się inaczej; ogólnie rzecz biorąc, prawa do sfilmowania powieści szły pod młotek jeszcze przed zatrudnieniem scenarzysty. Warunki Danny'ego Angela oznaczały, że nikt nie podejmie się powtórnego

przeniesienia na ekran żadnej z jego książek, przynajmniej nie za jego życia.

– Czyli filmowa wersja *Ojców Kennedy'ego* wzbudziła jednak jego niechęć – skwitował Ketchum.

Jednakże starsi panowie musieli uważać, co mówią o książce w obecności Joego. Danny zadedykował *Ojców Kennedy'ego* synowi. Grunt, że nie Katie, uznali zgodnie Ketchum i Tony. Naturalnie Danny zdawał sobie sprawę, że nie darzą jego czwartej, słynnej powieści wielką sympatią.

Zdaniem jego zagranicznego wydawcy – jednej ze starszych kobiet, z którymi sypiał – Danny Angel musiał liczyć się z tym, iż każda z jego następnych powieści spotka się z zarzutem, że daleko jej do czwartej, przełomowej. Mając na uwadze powyższe, swą piątą powieścią, mroczną i erotycznie niepokojącą, Danny bynajmniej sobie nie pomógł. Do tego, zdaniem niejednego krytyka, darzył średniki miłością wręcz przesadną; umieścił nawet jeden w tytule!

Brzmiał on po prostu idiotycznie: *Stara panna; albo cnotliwa ciotka.*

– Rany koguta! – zgromił go Ketchum. – Nie lepiej było wybrać jedno?

Danny powtarzał w wywiadach, że tytuł stanowi ukłon w stronę powieści dziewiętnastowiecznej, podobnie jak sama opowieść.

– Bzdura – uznał jego ojciec. – To wygląda tak, jakbyś nie mógł się zdecydować.

– Jakby kto chlasnął muchę nad przecinkiem – dodał Ketchum. – Ja tam piszę tylko listy do ciebie i twojego taty, i nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek użył tyle tego cholerstwa co ty na jednej stronie.

– To średniki, Ketchum – odparł pisarz.

– Mam gdzieś, jak się nazywają, Danny. Mówię ci tylko, że przegiąłeś!

Ale najbardziej rozsierdziła ich pieprzona dedykacja. „Katie – in memoriam”.

– Suka Callahanów złamała mojemu synowi serce i porzuciła mojego wnuka – powiedział tylko Tony Angel. Ketchum czuł, że nie wypada mu przypomnieć, iż tym samym uratowała jego syna przed wojną i dała mu wnuka.

Nie wspominając o tym, czego *Stara panna; albo cnotliwa ciotka* dotyczyła, uzupełnił w myślach Tony, obrzucając książkę podejrzliwym spojrzeniem. Była to kolejna opowieść rodem z North Endu, tym razem jednak dorastający chłopiec przechodzi inicjację za sprawą ciotki – nie starszej kuzynki – a ową dziewiczą ciotką i starą panną jest wypisz, wymaluj młodsza siostra Rosie, nieszczęsna Filomena Calogero!

Nie, to niemożliwe… a może jednak? Tu również (podobnie jak w każdej powieści Danny'ego Angela) nie brakowało sugestywnych szczegółów, a erotyczne opisy ciotki głównego bohatera – żałosnej, nieszczęśliwej postaci! – sprawiły Tony'emu istne katusze – ale nie uronił z nich ani słowa.

Krytycy nie omieszkali też zaznaczyć, że „być może przeceniany” pisarz „się powtarza”; gdy powieść ukazała się w 1981 roku, Danny miał trzydzieści dziewięć lat i owe zarzuty na pewno go zabolały, chociaż nie dał nic po sobie poznać. Podczas gdy w *Dziesiątej wodzie po kisielu* kuzynka dobija porzuconego chłopca stwierdzeniem, że zawsze chciała pójść do łóżka z jego ojcem, w opowieści o neurotycznej ciotce to właśnie ona mówi chłopcu, że ilekroć się z nim kocha, wyobraża sobie, iż robi to z jego ojcem! (A cóż to znowu za masochizm, zastanawiał się Tony po lekturze *Starej panny; albo cnotliwej ciotki*).

Może faktycznie tak było, pomyślał. Zawsze uważał Filomenę, siostrę Rosie, za kompletną wariatkę. Jej widok nasuwał mu poczucie, że patrzy na groteskową maskę Rosie, na „uzurpatorkę”, jak określił to w rozmowie z Ketchumem. Daniel zaś zdawał się bez reszty zauroczony Filomeną; nie mógł się powstrzymać, żeby na nią nie patrzeć, i bynajmniej nie patrzył jak na ciotkę. Czyżby kapryśna Filomena, wciąż (o ile wiedział) niezamężna i nieszczęśliwa, godziła się na zaloty oczarowanego siostrzeńca, lub wręcz go do nich zachęcała?

– Czemu po prostu nie zapytasz Danny'ego, czy pierwsza dała mu zamoczyć knota? – zapytał Ketchum. Było to wulgarne powiedzonko rodem z Coos, którego Tony wprost nie cierpiał. Gdyby przysłuchiwał się uważniej rozmowom w Bostonie, dowiedziałby się zapewne, że w North Endzie również uważano je za wulgarne.

W *Starej pannie; albo cnotliwej ciotce* był fragment, za którym Tony Angel i Ketchum dosłownie przepadali, a mianowicie wieńczące opowieść wesele. Chłopiec dorasta i bierze ślub z dziewczyną ze studiów, osóbką dość nonszalancką i o niebo bliższą Katie niż Caitlin z *Ojców Kennedy'ego*. Danny bezlitośnie rozliczył się też z Callahanami, tymi nadętymi, patrycjuszowskimi republikanami, którzy jego zdaniem zrobili z Katie anarchistyczną buntowniczkę. Dziewczynka z dobrego domu uważała się za radykalną aktywistkę, lecz rewolucjonistka była z niej żadna. Rewolucja Katie odbyła się na małą skalę, i miała czysto seksualny wymiar.

Na kuchennej półce w „Avellino” brakowało jednej książki Danny'ego Angela. Była to jego szósta powieść, jeszcze niewydana. Na górze, w sypialni Tony'ego, leżał jej maszynopis. Ketchum też dostał jeden egzemplarz. Obaj mieli wobec powieści mieszane uczucia i niespieszno im było ją skończyć.

Akcja *Na wschód od Bangor* rozgrywała się w sierocińcu w Maine i osadzono ją w latach sześćdziesiątych, kiedy aborcja była jeszcze nielegalna. Bohater wcześniejszych powieści – ten sam cholerny gówniarz z Bostonu, który wyjeżdża do szkoły z internatem – wpędza w kłopoty dwie ze swych kuzynek z North Endu, jedną, gdy chodzi jeszcze do Exeter (i nie umie prowadzić), drugą zaś po tym, jak rozpoczyna studia. Na Uniwersytecie New Hampshire, ma się rozumieć.

W sierocińcu w Maine mieszka stara akuszerka, która przeprowadza zabiegi przerywania ciąży – litościwa, czuła kobieta, będąca zdaniem Tony'ego zgoła nieprawdopodobną hybrydą poczciwego Paula Polcariego („zasranego pacyfisty”, jak uparcie nazywał go Ketchum) oraz Indianki Jane.

Pierwsza kuzynka jedzie do Maine, rodzi dziecko i je zostawia; świadomość tego, że nie wie, co się z nim stało, pozostawia w niej taki uraz, iż przekonuje drugą ciężarną kuzynkę, aby nie szła za jej przykładem. Druga kuzynka również jedzie do Maine, do tego samego sierocińca, lecz celem przerwania ciąży. Problem w tym, że starej akuszerki może już nie być. Jeśli zaś doświadczenie młodej sprowadza się do odbierania porodu, skutki zabiegu mogą być nieprzewidziane. Młoda akuszerka niespecjalnie zna się na rzeczy.

Ketchum i jego przyjaciel mieli nadzieję, że wszystko dobrze się skończy i druga ciężarna kuzynka ujdzie cało. Pomni jednak wcześniejszych powieści Danny'ego Angela mieli co do tego pewne obawy – i dręczyło ich coś jeszcze.

Przeszło rok temu Joe wpędził w kłopoty dziewczynę z Northfield Mount Hermon. Z uwagi na sławę ojca – jak na pisarza Danny Angel był bardzo rozpoznawalny – i ponieważ wiedział co nieco o temacie nowej powieści, Joe nie zwrócił się do niego z prośbą o pomoc. Większość klinik i gabinetów, w których przeprowadzano aborcje, była

oblegana przez jej przeciwników; Joe wolał nie narażać taty na spotkanie z rozsierdzonym tłumem. A jeśli ktoś z obrońców życia rozpozna pisarza?

– Mądry chłopak – powiedział Ketchum, kiedy Joe do niego napisał. Chłopiec wolałby nie angażować też dziadka, ale Ketchum uparł się, żeby Tony pojechał z nimi.

Pojechali razem do kliniki aborcyjnej w Vermoncie, samochodem dziadka. Ketchum i Tony siedzieli z przodu, a Joe i smutna, przestraszona dziewczyna z tyłu. Sytuacja była niezręczna, gdyż młodzi nie byli już parą. Zerwali prawie miesiąc przed tym, jak dziewczyna zorientowała się, że jest w ciąży, lecz oboje wiedzieli, że ojcem jest Joe. Podjęli słuszną decyzję (zdaniem starszych panów), ale wiele ich to kosztowało.

Ketchum próbował ich pocieszyć, ale – jak to on – robił to z gracją słonia. I wymknęło mu się więcej, niż chciał.

– Macie przynajmniej jeden powód do zadowolenia – oznajmił parze zgnębionych nastolatków na tylnym siedzeniu. – Kiedy to samo spotkało twego ojca, Joe, aborcja była nielegalna… i niekoniecznie bezpieczna.

Czyżby zapomniał o obecności przyjaciela?

– A więc to po to zabrałeś Danny'ego i małą DiMattię do Maine! – wrzasnął Tony Angel. – Wiedziałem! Mówiłeś, że chcesz pokazać im Kennebec, „ostatnią wielką rzekę spływów”. Guzik prawda! Ale ta DiMattia była taka durna, powiedziała Carmelli, że zabierasz ją i Danny'ego gdzieś na wschód od Bangor. Gdzie Bangor, a gdzie Kennebec!

Kłócili się przez całą drogę do kliniki, gdzie oczywiście czekali na nich demonstranci; Joe miał rację, nie angażując ojca. W drodze powrotnej – młodzi mieli spędzić weekend w Brattleboro u dziadka – Joe tulił na tylnym siedzeniu swoją byłą dziewczynę, która szlochała, aż żal brał. Nie mogła mieć więcej niż szesnaście, góra siedemnaście lat.

– Wszystko będzie dobrze – powtarzał biedaczce niespełna siedemnastoletni Joe. Ketchum i dziadek chłopca mieli taką nadzieję.

Obecnie zaś obaj utknęli na ostatnim rozdziale *Na wschód od Bangor*, tak zwanej „aborcyjnej” powieści Danny'ego Angela. W postaci, która odwozi chłopca (i jego pierwszą ciężarną kuzynkę) do Maine, Tony dostrzegał pewne rysy Ketchuma. Z opisu serdeczny starszy mężczyzna przypominał mu też Tony'ego Molinariego; Danny Angel nazywa go „pierwszym kucharzem” restauracji, w której obie ciężarne kuzynki pracują jako kelnerki. Sposób, w jaki prowadzi furgonetkę w drodze do Maine, nasunął Tony'emu Angelowi skojarzenie z Ketchumem. Podobieństwo do Molinariego miało stanowić przykrywkę, gdyż kończąc powieść, autor nie wiedział jeszcze, że Ketchum wygadał się o małej DiMattii – i o tym, jak zawiózł ich do sierocińca gdzieś na wschód od Bangor w stanie Maine.

Książka dedykowana była dwóm nieocenionym kucharzom, Tony'emu Molinariemu i Paulowi Polcariemu – „*Un abbràccio* dla Tony'ego M. i Paula P.” napisał autor, z szacunku dla ich prywatności. („Uściski” dla nich od dawnego pomywacza/ kelnera/zastępcy kucharza w „Vicino di Napoli”). Obaj byli już na emeryturze; „Vicino di Napoli” przestała istnieć, a jej miejsce zajął inny lokal na North Square.

Tony Angel dalej jeździł czasem na North End na małe zakupy. Spotykał się z Palcarim i Molinarim w kawiarni „Vittoria” na espresso. Zapewniali go niezmiennie, że Carmella ułożyła sobie życie i jest w miarę szczęśliwa u boku innego mężczyzny. Wcale go nie dziwiło, że kogoś sobie znalazła; była zarówno piękna, jak i ujmująca.

Lektura *Na wschód od Bangor* zapewne sprawi Joemu pewne trudności, pod warunkiem że chłopiec w ogóle po nią sięgnie; podczas pobytu w Northfield Mount Hermon

nie miał czasu na czytanie powieści ojca. O ile Tony'emu było wiadomo, dotąd przeczytał tylko jedną, naturalnie *Ojców Kennedy'ego* – najprawdopodobniej w nadziei, że dowie się czegoś o matce. (A zważywszy na opinię Ketchuma o postaci Katie, było tego tyle co nic).

No proszę, znów martwię się o Joego – i wszystko, co z nim związane – pomyślał kucharz. Zajrzał do ciasta; było gotowe do ponownego ugniecenia, co też uczynił. Ponownie namoczył ścierki, po czym wyżął je tylko częściowo i nakrył miski z ciastem do drugiego wyrośnięcia.

Przyszło mu do głowy, że następny list do Ketchuma może zaczynać się od słów: „Jest tyle powodów do zmartwienia, że po prostu nie myślę o niczym innym. Uśmiejesz się, Ketchum: nawet zacząłem się modlić!”. Nie przystąpił jednak do jego napisania. Czuł się dziwnie zmęczony, choć cały ranek upłynął mu w sumie na niczym – ot, wyrobił ciasto na pizzę i pokuśtykał do księgarni i z powrotem. Pora na zakupy. Otwarcie dopiero wieczorem. Tony Angel w południe robił zakupy, wczesnym popołudniem zaś zjawiał się personel.

Co do zamartwiania się, nie był w tym odosobniony, Danny też się zamartwiał. Żaden z nich zaś nie martwił się tak jak Ketchum, choć zbliżał się czerwiec i w południowym Vermoncie dawno minęła pora błota; w północnym New Hampshire drogi były suche już od paru tygodni. Ketchum witał koniec pory błota stanem bliskim euforii, ale nie tym razem; nie, odkąd Tony z rodziną powrócił z Iowa do Vermontu. Ketchum dręczył się myślą, że mieszkają tak blisko New Hampshire, zwłaszcza jego stary przyjaciel o nowym nazwisku, do którego Ketchum za nic nie mógł się przyzwyczaić.

Najdziwniejsze było to, że główny zainteresowany, pomimo swej skłonności do zamartwiania, kompletnie się

tym nie przejmował. Minęło tyle czasu, szesnaście lat, odkąd wyjechał z Bostonu, i dwadzieścia dziewięć od ostatniej, pamiętnej nocy w Twisted River. Dominic Del Popolo vel Baciagalupo, będący obecnie Tonym Angelem, miał na głowie ważniejsze sprawy niż wkurzony stary kowboj z Coos.

Niesłusznie, ponieważ Ketchum miał rację. Vermont leży obok New Hampshire, za blisko, by oddychać spokojnie. Do tego posterunkowy, obecnie sześćdziesięcioześcioletni, przeszedł na emeryturę i miał mnóstwo wolnego czasu. I dalej szukał małego pokraki, który skradł mu Indiankę Jane.

Rozdział 8
MARTWY PIES; WSPOMINAJĄC „MAO”

Od posiadłości sławnego pisarza – jak nazywali ją miejscowi (w tym ojciec samego pisarza) – Hickory Ridge Road przez niemal dwa kilometry pięła się w górę, w paru miejscach przecinając strumień lub biegnąc równolegle do wody. Tak zwana boczna szosa z Putney do Westminster West nie była wyłożona asfaltem, a mniej więcej w połowie drogi między domem Danny'ego Angela w Putney a domem jego najlepszego przyjaciela w Westminster West znajdowała się ładna farma ze stadniną, położona na końcu długiego, stromego podjazdu. Kiedy było ciepło – po otwarciu basenu w maju i zanim przed zimą w październiku spuszczał wodę – Danny dzwonił do swego przyjaciela w Westminster West z informacją, że idzie biegać. Dzieliło ich jakieś sześć i pół, może osiem kilometrów, albo też dziesięć lub jedenaście; Danny był takim marzycielem, że przestał mierzyć dystans.

Myśli pisarza biegły ku ładnej farmie na końcu długiego, stromego podjazdu, ponieważ mieszkała tam starsza kobieta o śnieżnobiałych włosach (i ciele dwudziestoletniej tancerki). Danny przed laty miał z nią romans, nazywała się Barrett. Nie była mężatką, toteż obyło się bez aury skandalu. Tak czy inaczej, w okolicach trzeciego kilometra trasy, w miejscu gdzie podjazd dochodził do drogi, Danny niezmiennie snuł wizje własnego morderstwa. W chwili gdy dobiegałby do podjazdu, Barrett zjechałaby z góry, na luzie i z wyłączonym silnikiem, przez co w chwili gdy usłyszałby chrzęst żwiru, nie zdążyłby uskoczyć spod kół samochodu widma.

Spektakularna śmierć na miarę literata, myślał Danny – zgon pod kołami, z byłą kochanką sławnego pisarza za kierownicą śmiercionośnego pojazdu!

Nieważne, że Barrett nie miała najmniejszego zamiaru pozbawiać go życia; liczył się świetny pomysł na intrygę. Gwoli ścisłości, Barrett romansowała na prawo i lewo i (wedle oceny Danny'ego) byli kochankowie nie budzili w niej żądzy mordu; szczerze wątpił, aby zadała sobie trud przejechania któregoś z nich. Była za bardzo pochłonięta końmi i dbałością o utrzymanie młodzieńczego wyglądu.

Gdy w Latchis puszczano ciekawy film, Danny często zapraszał Barrett, a potem jedli kolację w „Avellino". Tony Angel wyrzucał synowi jej wiek (była prawie rówieśnicą starszego pana), na co Danny przypominał ojcu, że przecież są „tylko przyjaciółmi".

Danny mógł przebiec osiem, dziewięć kilometrów w tempie ponad czterech minut na kilometr, przy czym ostatnie półtora pokonywał zwykle w minut sześć. Miał czterdzieści jeden lat, nigdy nie doznał żadnych kontuzji i był drobnej budowy; przy wzroście metr siedemdziesiąt ważył zaledwie sześćdziesiąt pięć kilogramów. Jego ojciec wydawał się jeszcze niższy, być może za sprawą chorej nogi. Z powodu złych psów na bocznej drodze do Westminster West Danny biegł uzbrojony w rączki po rakietach do squasha. Kiedy pies rzucał się na niego z ujadaniem, Danny podstawiał mu jedną rękojeść pod pysk, dopóki ten nie wbił w nią zębów. Następnie walił go drugą, przeważnie w grzbiet nosa.

Sam nie grał w squasha. Była to ulubiona rozrywka jego przyjaciela z Westminster West. Gdy Armando DeSimone łamał rakietę, dawał ją Danny'emu, który odcinał główkę i zachowywał rękojeść. Armando wychował się na North Endzie jakieś dziesięć lat przed przyjazdem Danny'ego i jego ojca; podobnie jak ten ostatni, Armando nadal jeździł czasem do Bostonu na zakupy. Armando i Danny lubili dla

siebie gotować. Pracowali razem na wydziale anglistyki w Windham, a po zamknięciu uczelni Armando podjął pracę w szkole w Putney. Jego żona Mary uczyła Joego angielskiego i historii w gimnazjum.

Kiedy Danny Angel zyskał pieniądze i sławę, stracił paru spośród swych dawnych przyjaciół, ale nie DeSimone'ów. Armando czytał jego wszystkie powieści na etapie rękopisu, oprócz pierwszej. Pięć z sześciu powieści poznał jako pierwszy. Takiego przyjaciela się nie traci.

W starej stodole na terenie swojej posiadłości w Westminster West Armando wybudował salę do squasha; obecnie nosił się z zamiarem zbudowania basenu, lecz na razie korzystali z basenu Danny'ego. Prawie każdego popołudnia, gdy nie padało, Danny biegł do domu DeSimone'ów, po czym Armando i Mary odwozili go z powrotem do Putney i wszyscy troje pływali w basenie. Potem Danny robił drinki i goście pili je nad basenem.

Sam nie pił od szesnastu lat, wystarczająco długo, aby bez problemu trzymać w domu alkohol na użytek gości. Nie wyobrażał sobie zresztą wyprawienia kolacji bez wina, choć pamiętał czasy, gdy na początku swej abstynencji nie mógł przebywać wśród ludzi, którzy pili alkohol. W Iowa City często stanowiło to pewien problem.

Ten drugi pobyt w Iowa, z ojcem i małym Joem, zwykle wspominał jako spokojny przerywnik, nie licząc niemiłych wspomnień z czasów, gdy mieszkał tam z Katie. Z perspektywy czasu te ostatnie trzy lata w Iowa, na początku lat siedemdziesiątych – kiedy Joe był w drugiej, trzeciej i czwartej klasie, a największe z grożących mu niebezpieczeństw były związane z jazdą na rowerze – zdawały się Danny'emu niemalże idylliczne. Iowa City było w owych czasach bezpiecznym miejscem.

Kiedy we trzech jechali do Iowa, Joe miał lat siedem, a po powrocie do Vermontu dziesięć. Może to najbezpieczniejszy

okres w życiu, pomyślał pisarz, ani na chwilę nie przerywając biegu; możliwe, że Iowa City nie miało tu nic do rzeczy.

Dzieciństwo i to, jak nas kształtuje – a zwłaszcza to, jak w dorosłym życiu przeżywamy je na nowo – stanowiło główny temat joggingowych przemyśleń (i obsesję) pisarza Danny'ego Angela. Od dwunastego roku życia żył w strachu o ojca; bądź co bądź nadal był on uciekinierem. Podobnie jak jego tata, choć z innych powodów, Danny został ojcem w młodym wieku – i, również jak on, samotnie wychowywał syna (nawet jeszcze przed odejściem Katie). Obecnie, w wieku lat czterdziestu jeden, Danny drżał o niego bardziej niż o ojca.

Być może gen Katie Callahan nie był jedynym sprawcą ryzyka wiszącego nad Joem; Danny nie wierzył też, aby źródłem brawury syna była jego wyzwolona babka, nieustraszona kobieta, która wytańczyła sobie śmierć na zamarzniętej rzece u schyłku pewnej zimy. Nie; gdy patrzył na osiemnastoletniego Joego, widział siebie. Na przekór wszystkiemu, co wyczytali (i przeoczyli) w jego książkach, ojciec i Ketchum nie zdawali sobie sprawy, ilu śmiertelnych ciosów przyszło mu uniknąć, nie tylko w życiu z Katie, lecz także wcześniej.

To nie Josie DiMattia była sprawczynią seksualnej inicjacji Danny'ego w wieku lat piętnastu, zanim wyjechał do Exeter; zostali wprawdzie przyłapani przez Carmellę, ale to nie Josie zaszła w ciążę. Ketchum faktycznie zawiózł Danny'ego do sierocińca w Maine, w ramiona usłużnej akuszerki, lecz towarzyszyła im najstarsza z sióstr DiMattia, Teresa. (Może podarowała siostrze tyle prezerwatyw, że zapomniała odłożyć kilka dla siebie). I ani Teresa, ani też kolejna ze starszych kuzynek Danny'ego, Elena, nie pozbawiły go cnoty, chociaż pociągały go bardziej niż jego rówieśnice, w tym Josie, która była tylko

trochę starsza. Inna starsza kuzynka, Giuseppina Saetta, również uwiodła młodego Dana, lecz ona także nie była pierwsza.

Nie, to pouczające i kształtujące doświadczenie Danny przeżył za sprawą ciotki Filomeny, najmłodszej z sióstr jego matki, kiedy miał zaledwie czternaście lat. Ile mogła wtedy mieć, zastanawiał się; zostały mu jeszcze niecałe trzy kilometry. Trzydzieści, może nieco mniej?

Był maj i dokuczały muchy, ale jemu to nie przeszkadzało, zwłaszcza gdy narzucił sobie ostrzejsze tempo. Biegnąc, słyszał własny puls i miarowy oddech, ale nic nie mogło równać się z przyspieszonym rytmem serca i westchnieniami towarzyszącymi spotkaniom z obłąkaną ciotką Filomeną. Co też jej strzeliło do głowy? Przecież szalała za jego ojcem, który nie mógł na nią patrzeć. Czyżby zauroczony chłopiec, który z kolei nie mógł oderwać od niej wzroku, stanowił dla odrzuconej kobiety wystarczającą rekompensatę?

Była dopiero drugą kobietą z klanów Saetta i Calogero, która ukończyła college, ale ze starszą Rosie łączyło ją coś jeszcze, a mianowicie pewna rozwiązłość. Gdy Rosie została wygnana na Północ, Filomena miała góra trzynaście, czternaście lat. Kochała Rosie i bardzo ją podziwiała, po czym na jej oczach strącono siostrę z piedestału i wytknięto palcami, a jej los stał się przestrogą dla młodszych dziewcząt w rodzinie. Filomenę posłano do Najświętszego Serca, katolickiej szkoły dla dziewcząt w pobliżu domu Paula Revere'a na North Square. Jednym słowem, trzymano ją z dala od chłopców, również w sensie duchowym.

Biegnąc coraz szybciej, Danny Angel doszedł do wniosku, iż być może właśnie dlatego ciotka Filomena interesowała się bardziej nim, chłopcem, aniżeli mężczyznami. (Z wyjątkiem wdowca po siostrze – z tym że musiała wiedzieć, iż te drzwi są dla niej zamknięte na zawsze i pozostaną w sferze niespełnionych marzeń, Danny zaś, który jeszcze nie

zaczął się golić, miał długie rzęsy ojca i jasną, niemal alabastrową skórę matki). Poza tym musiała być pod wrażeniem uwielbienia, jakim darzył ją czternastolatek. Według słów ojca oczy Filomeny nie miały „zabójczego” odcienia oczu Rosie, okazały się jednak (podobnie jak cała reszta jej osoby) dość niebezpieczne, by wyrządzić mu trwałą krzywdę. Przez nią też stracił zainteresowanie rówieśnicami – ma się rozumieć do czasu, aż poznał Katie.

Tony i Ketchum doszli do wniosku, że młody Daniel widział w Katie swoją matkę. W istocie dostrzegał w niej skrzywdzoną w dzieciństwie, rozzłoszczoną młodą kobietę z tendencją do autodestrukcji; Katie była młodszą, upolitycznioną wersją ciotki Filomeny. Różnica między nimi polegała na tym, że Filomena bez reszty oddała się chłopcu i z powodzeniem wyparła z jego życia wszystkie dziewczęta. W dzieciństwie tłamszona i pozbawiona jakiejkolwiek formy wyrażenia własnej seksualności, w wieku niespełna trzydziestu lat i nieco później była kobietą opętaną. Tymczasem gdy poznał Katie Callahan, ta zdążyła już niemal zobojętnieć na seks; to, że uprawiała go na potęgę, nie znaczyło bynajmniej, iż budził w niej jakiekolwiek emocje. Kiedy się poznali, seks był już dla Katie formą negocjacji.

Kiedy Danny wyjechał do szkoły, ciotka Filomena prawie w każdy weekend wynajmowała pokój w Exeter Inn. Ich schadzki w tym zmurszałym budynku z cegły stanowiły gwóźdź pobytu chłopca w Exeter oraz główny powód, dla którego tak rzadko bywał w domu. W piątkowe i sobotnie wieczory, gdy ojciec i Carmella mieli w „Vicino di Napoli” najwięcej pracy, chłopiec posuwał swą młodzieńczą ciotkę – przeważnie na kolonialnym łóżku z kolumnami, pod białym baldachimem z gazy. (Był długodystansowcem, długodystansowcy mają kondycję). Z gorliwą i lubieżną pomocą Filomeny Danny uniezależnił się od rodziny i całego środowiska Exeter.

Jakim cudem mógł interesować się szkolnymi dyskotekami z udziałem uczennic okolicznych żeńskich szkół? Czy niewinne przytulanki na parkiecie pod czujnym okiem nauczycieli mogły przebić żar niemal cotygodniowych uścisków Filomeny, nie tylko w czasach Exeter, lecz także przez pierwsze dwa lata w Durham?

Przez cały ten czas Filomena stanowiła obiekt powszechnego współczucia; pomimo swej urody zdawała się ciągle podpierać ścianę, skazana na staropanieństwo cnotliwa ciotka, wieczne pośmiewisko rodziny. Nikt nie domyślał się nawet, że przez siedem długich lat zaspokajała nieposkromione żądze dorastającego chłopca, który powoli stawał się mężczyzną. Podczas tych siedmiu lat zdominowała życie seksualne Danny'ego, z nawiązką nadrabiając stracony czas. To, że uczyła w Najświętszym Sercu – tym samym katolickim i na wskroś żeńskim środowisku, które stłamsiło „młodą” Filomenę – stanowiło kamuflaż doskonały.

Wszyscy Calogerowie i Saettowie uważali ją za „żałosną” – ojciec mówił to samo, przypomniał sobie Danny, biegnąc coraz szybciej. Filomena była z pozoru wcieleniem poprawności i katolickiego ascetyzmu, ale gdy zrzucała ubranie…!

– Powiedzmy, że mam się z czego spowiadać – mówiła oczarowanemu siostrzeńcowi. Wysoko postawiła poprzeczkę: młodsze, mniej doświadczone rywalki nie miały z nią szans.

Gdy wynikła kwestia wyjazdu Danny'ego do Wietnamu, Filomena miała około trzydziestu pięciu lat, może nieco więcej. Propozycja Ketchuma zapewne byłaby jej na rękę: gdyby Danny stracił palec lub dwa, cieszyłaby się nim trochę dłużej. Była obłąkana, ale nie głupia; wiedziała, że nie zatrzyma go przy sobie na zawsze. Pomysł Katie Callahan wzbudził w niej jednak większy entuzjazm niż

plan Ketchuma: bądź co bądź na swój sposób kochała siostrzeńca, no i nie znała jego przyszłej żony.

Gdyby poznała wyuzdaną Katie, przypuszczalnie nabrałaby większej przychylności do browninga, lecz koniec końców decyzja należała do kogo innego. Filomena i tak mogła mówić o szczęściu, chłopak tkwił w jej szponach przez siedem lat. Epizody z siostrami DiMattia oraz garstką innych całuśnych kuzynek nie zrobiły na niej większego wrażenia; wiedziała, że i tak wróci do niej, ze wzmożonym apetytem na jeszcze. Małe, niezdarne ladacznice odpadały w przedbiegach, przynajmniej w stronniczym rankingu jej młodego kochanka. Katie zaś nigdy nie stała się młodszą wersją Filomeny, na przekór rzekomym bądź rzeczywistym pragnieniom Danny'ego.

Obecnie miała pięćdziesiąt pięć lat, może trochę więcej, myślał pisarz, nabierając coraz większego tempa. Nie wyszła za mąż; odeszła z Najświętszego Serca, ale nadal uczyła. Powieść z wyszydzonym przez wszystkich średnikiem w tytule (*Stara panna; albo cnotliwa ciotka*) otrzymała jedną pochlebną recenzję, którą Danny Angel bardzo cenił.

W swym liście Filomena napisała: „Podobała mi się twoja powieść, co bez wątpienia było twoim zamiarem: stworzyłeś wspaniałomyślny pean na cześć, z dozą w pełni zrozumiałej nagany. Tak, wykorzystałam cię, przynajmniej na samym początku. Byłam dumna, że zostałeś ze mną tak długo; tak samo dumna jestem z ciebie teraz. I wybacz, że przeze mnie zniechęciłeś się do niedoświadczonych dziewcząt. Ale naucz się dokonywać mądrzejszych wyborów, mój drogi – zwłaszcza że masz teraz więcej lat niż ja, kiedy nasze drogi się rozeszły”.

Napisała ten list przed dwoma laty; *Stara panna; albo cnotliwa ciotka* ukazała się w roku 1981. Kiedyś myślał, żeby do niej pojechać, ale jak Danny mógł odwiedzić Filomenę bez udziału nierealistycznych oczekiwań?

Mężczyzna po czterdziestce, jego niezamężna ciotka pod sześćdziesiątkę… czego tu się spodziewać?

I wbrew radom Filomeny wcale nie nauczył się dokonywać mądrzejszych wyborów; być może celowo wzbraniał się przed związkiem z kimś, kto zdawał się liczyć na coś więcej niż tylko przelotna znajomość. Wiedział też, że jest za stary, aby nadal obwiniać ciotkę o przedwczesne wprowadzenie go w świat seksu. Jego niechęć do stałych związków nie wynikała z winy Filomeny. Już nie.

Zbliżał się do strefy złych psów; jeśli napatoczy się na któregoś, stanie się to właśnie tutaj. Znalazł się na wysokości wąskiej ścieżki, usianej z obu stron porzuconymi pojazdami – zepsute samochody, niektóre bez kół, furgonetki pozbawione silników, przewrócony motor bez kierownicy – i rozglądał się za znajomym kundlem o dwojgu różnych oczu, gdy naraz z pozbawionego drzwi busa marki Volkswagen wypadł okazały pies. Był to mieszaniec husky i owczarka pasterskiego; gnał milczkiem, bez jednego warknięcia, i od razu przystąpił do rzeczy. Danny usłyszał tylko tupot jego łap na ubitej drodze, zwierzę nawet nie zdążyło się zdyszeć.

Miał już za sobą starcie z psem, a także wymianę zdań z jego nie mniej agresywnym właścicielem, młodym człowiekiem po dwudziestce, zapewne jednym z dawnych studentów Windham College, którzy na dobre utknęli w okolicy. Facet wyglądał na hipisa, ale daleko mu było do pacyfisty; należał chyba do licznego grona miejscowych młodych mężczyzn, którzy nazywali siebie stolarzami (właściwie albo był stolarzem bezrobotnym, albo cały czas siedział w domu).

– Pilnuj psa! – krzyknął mu poprzednio Danny.

– Wała! Biegaj gdzie indziej! – odwrzasnął stolarz.

Tym razem sytuacja się powtórzyła: pies znowu rzucił się na niego z zębami. Danny zbiegł na prawą stronę drogi i spróbował go wyprzedzić, ale owczarek-husky dogonił go raz-dwa. Mężczyzna zatrzymał się na ukos od podjazdu; pies zrobił to samo i zaczął go okrążać, z głową pochyloną nisko do ziemi i obnażonymi zębami. Kiedy rzucił się na udo Danny'ego, ten dźgnął go w ucho rączką od rakietki do squasha, a gdy pies chwycił ją w zęby, z całej siły przyłożył mu drugą, w nos, a potem między oczy. (Pies miał jedno błękitne oko syberyjskiego husky, a drugie ciemnobrązowe, bardziej przenikliwe oko owczarka). Zwierzak zaskomlił i puścił pierwszą rakietkę. Danny wykorzystał okazję i rąbnął go w ucho, a potem w drugie.

– Wara od mojego psa, skurwielu! – wrzasnął hipis. Szedł ścieżką między rzędami zepsutych pojazdów.

– Pilnuj psa – skwitował Danny. Ponownie ruszył biegiem, gdy nieoczekiwanie zobaczył drugiego psa, identycznego jak poprzedni, za którego wziął go w pierwszej chwili. Nagle miał przed sobą dwa okazy, przy czym jeden bez przerwy trzymał się za jego plecami. – Zawołaj psy! – krzyknął do stolarza.

– Wała! Biegaj gdzie indziej – burknął tamten. Zawrócił w stronę domu; miał w nosie, czy go pogryzą. Robiły, co mogły, ale Danny zdołał wepchnąć jednemu do gardła rękojeść rakietki, a drugiego szczęśliwie trafił w oko, w chwili gdy ten miał zatopić zęby w jego łydce. Psa, który dławił się rakietką, kopnął w podgardle, a gdy ten przystąpił do odwrotu, walnął go za uchem. Pies upadł, ale zaraz się podniósł. Jego towarzysz chyłkiem podał tyły. Stolarz gdzieś przepadł, a kundle wycofały się w bezpieczny obręb podjazdu.

Gdy Danny po raz pierwszy przyjechał do Windham, na bocznej drodze pomiędzy Dummerston a szkołą w Putney też panoszył się zły pies. Jego właściciel okazał się równie nieugięty jak hipis, toteż Danny powiadomił policję.

Przyjechał policjant, żeby rozmówić się z właścicielem, a gdy pies rzucił się na niego, mężczyzna bez namysłu wyjął broń i go zastrzelił.

– Co powiedziałeś właścicielowi? – zapytał go później Danny. Policjant miał na imię Jimmy; zostali przyjaciółmi.

– Powiedziałem, żeby pilnował psa.

Danny powtarzał to potem na każdym kroku, ale chyba z mniejszą siłą perswazji. Teraz bez przeszkód pobiegł dalej, zły, że ktoś zakłócił mu tempo, jakie utrzymywał przez ostatnie parę kilometrów. Opowiedział przyjacielowi, co się stało.

– Zadzwoń do Jimmy'ego – poradził Armando, ale Danny tłumaczył, że policjant najprawdopodobniej zastrzeliłby obydwa psy.

– To może załatwimy chociaż jednego? – zaproponował Armando. – Żeby dać hipisowi do myślenia.

– Czy ja wiem? – odpowiedział Danny. Domyślał się, na czym polegałaby metoda Armanda. DeSimone'owie też mieli psa, owczarka niemieckiego czystej krwi o imieniu Kogut. Już jako szczeniak w obecności innych samców Kogut wypinał pierś i dreptał na sztywnych łapkach z niemą pogróżką w oczach, stąd jego imię. Ale Kogut nie żartował. Gdy dorósł, stał się istnym mordercą, a samców po prostu nienawidził. Co najmniej jeden pies, który zaatakował Danny'ego, był samcem; co do drugiego pisarz nie był pewien, bo cały czas miał go za plecami.

Armando DeSimone był kimś znacznie więcej niż jedynym „literackim” przyjacielem Danny'ego w Putney; dosłownie połykał książki i często prowadzili żywiołowe dyskusje na ich temat. Miał w sobie zapalczywość, która w oczach Danny'ego czyniła go ucywilizowaną wersją Ketchuma.

Danny z kolei unikał sytuacji konfliktowych, czego nieraz przyszło mu żałować. Ludzie, którzy usiłowali go sprowokować, odnosili mylne wrażenie, że nigdy nie

odpłaci im pięknym za nadobne, po czym dziwili się lub obrażali, kiedy to robił – zwykle nie wcześniej niż za trzecim lub czwartym podejściem z ich strony. Dzięki temu dokonał odkrycia, że ci, którzy przywykli nadeptywać mu na odcisk, zawsze są wstrząśnięci jego pamiętliwością.

Armando nie był pamiętliwy. Zaatakowany, nigdy nie pozostawał dłużny, i to za pierwszym razem. Danny uważał, że to zdrowsze podejście – szczególnie dla pisarza – lecz podobne zachowanie nie leżało w jego naturze. W przykrej sprawie ze złymi psami dał się przekonać tylko dlatego, gdyż w głębi serca uważał, że sposób Armanda jest lepszy. („Żeby dać hipisowi do myślenia”, argumentował przyjaciel).

Pisarz wiedział, iż owo myślenie zbudziłoby się jedynie wówczas, gdyby Kogut ugryzł hipisa. On zaś był zaprogramowany inaczej: nigdy nie gryzł ludzi.

– Tylko jeden pies, Armando, obiecaj – poprosiła Mary, gdy obaj wsiedli już z Kogutem do samochodu.

– Powiedz to Kogutowi, niech on obieca – odpowiedział jej mąż; był kiedyś bokserem, w czasach gdy wyższe uczelnie miały swoje reprezentacje bokserskie. Jechali garbusem, Armando za kierownicą, a Danny obok. Pozornie niezadowolona Mary usiadła z tyłu obok dyszącego owczarka. Mary często sprawiała wrażenie niechętnej lub zniesmaczonej bojowością męża, ale Danny wiedział, że dobrali się jak w korcu maku i jedno mogło bezwzględnie liczyć na drugie. Danny pamiętał do dziś, jak skwitowała wyrzucenie nauczyciela, z którym oboje kiedyś pracowali.

– Sprawiedliwość to prawdziwy rarytas i trzeba się nim delektować – brzmiały jej słowa. Przyszło mu do głowy, że może teraz tylko udaje niechętną wyznaczeniu Koguta do roli kata.

Koniec końców Danny Angel mógłby tylko (na swoją obronę) powiedzieć, że udział w zbrodni nie przyszedł mu

łatwo – mimo iż chodziło o psa, który mu zalazł za skórę. Ilekroć jednak argumenty Armanda wchodziły w grę – zwłaszcza w kwestiach natury moralnej – nie pozostawało mu nic innego, jak dać za wygraną.

– Aaa, ten półgłówek – powiedział Armando, kiedy Danny wskazał mu podjazd zastawiony wrakami pojazdów.

– Znasz go? – zapytał Danny.

– Ty go znasz! – odparł Armando. – Jestem pewien, to jeden z twoich byłych studentów.

– Z Windham?

– No a skąd?

– Nie poznałem go. Nie, chyba go nie uczyłem.

– A pamiętasz każdego miernego studenta, Danny? – wtrąciła Mary.

– To tylko hipis-stolarz, albo raczej pseudostolarz – powiedział Danny, lecz nie zabrzmiało to przekonująco (nawet w jego uszach).

– A może pisarz-stolarz – prychnął Armando. Danny'emu nie przyszło do głowy, że mężczyzna mógł wiedzieć, kim jest Danny Angel. W Putney mieszkało prawie tylu niedoszłych literatów, ilu samozwańczych stolarzy. W Vermoncie pisarz wszędzie mógł się natknąć na niechęć lub zawiść, a już w szczególności na bocznych drogach.

Mieszaniec husky z owczarkiem zwykle nie jest dla wilczura żadnym przeciwnikiem, lecz tym razem było ich dwóch. Co prawda Kogut nie takim już dawał radę. Danny wysiadł z garbusa i przesunął oparcie, żeby wypuścić psa z tylnego siedzenia. Kogut ledwie zdążył dotknął łapami ziemi, kiedy dopadły go tamte dwa. Danny wsiadł z powrotem do samochodu i patrzył. Kogut zabił pierwszego psa tak błyskawicznie, że żaden z obserwatorów w samochodzie nie był w stanie stwierdzić z całą pewnością,

czy ten drugi to pies czy suka, gdyż wczołgał się pod garbusa, gdzie Kogut nie mógł go dosięgnąć. Wilczur złapał pierwszego za gardło i potrząsnął; to wystarczyło.

Armando gwizdnął na Koguta i Danny wpuścił wilczura na tylne siedzenie. Hipis stanął w progu i wytrzeszczył oczy na martwego psa; nie wiedział jeszcze, że drugi chowa się pod samochodem.

– Pilnuj psa – rzucił przez okno Danny, Armando zaś powoli wycofał garbusa. Kiedy najechał jednym kołem na zwierzę, samochód podskoczył, a pies stęknął. Mieszaniec sztywno podniósł się z ziemi i otrząsnął; Danny zobaczył, że to również samiec. Patrzył, jak pies pochodzi do martwego towarzysza i go obwąchuje, a jego właściciel odprowadza wzrokiem odjeżdżający samochód. Czy tak wyglądała sprawiedliwość, którą miała na myśli Mary (lub Armando)? Może powinienem był zadzwonić do Jimmy'ego, pomyślał Danny, choć wówczas skończyłoby się pewnie na zastrzeleniu obu psów. Zdaniem pisarza kulka w łeb należała się raczej ich właścicielowi; zresztą byłby to lepszy pomysł na intrygę.

Jeśli kiedykolwiek przyjdzie mi opuścić Vermont, będę za nim tęsknił, myślał Danny Angel. Najbardziej zaś będę tęsknił za Armandem i Mary. Ich niezachwiane poglądy bardzo mu imponowały.

Gdy pływali we trójkę w basenie Danny'ego, czuwał nad nimi wilczur morderca. Kogut nie pływał, ale napił się zimnej wody z miski, którą przed nim postawiono. Następnie Danny przygotował dla gości dżin z tonikiem. Było to najbardziej obrazowe wspomnienie Koguta, jakie zachował w myślach: widok psa dyszącego z zadowoleniem na skraju basenu. Wielki owczarek kochał dzieci, ale nienawidził innych psów; zapewne miał ku temu powody, których nie znał ani Danny, ani jego właściciele.

Wilczur zginie kiedyś na bocznej drodze, potrącony przez samochód podczas bezmyślnej gonitwy za szkolnym autobusem. Przemoc rodzi przemoc, o czym Ketchum i Tony doskonale wiedzieli, i co zapomniany niemal hipis-stolarz, z jednym psem martwym i jednym chwilowo przy życiu, zrozumie może któregoś dnia.

Danny nie wiedział jeszcze, że tę właśnie trasę pomiędzy Putney a Westminster West pokonał po raz ostatni. Wypadki rządzą światem, prawda? A w takim świecie konfliktów należy unikać za wszelką cenę.

Ich mężowie nie pracowali już w tartaku, obaj przeszli na emeryturę. Przed nimi rozciągał się etap grzebania w silnikach oraz innych drobnych napraw. Ich grube żony – Dot i May, dwie stare świntuchy – bez względu na odległość, jaką musiały pokonać, korzystały z każdej okazji, aby zostawić miasto oraz zrzędliwych małżonków i ruszyć w siną dal. Odkryły, że emeryci potrafią być nie do wytrzymania, toteż najchętniej spędzały czas w swoim towarzystwie. A że młodsze dzieci (i starsze wnuki) May rodziły kolejne potomstwo, wymykała się z miasta pod pretekstem niesienia pomocy matkom, które akurat wracały ze szpitala do domu. Nieważne, gdzie znajdował się ów „dom”, byle tylko opuścić tartaczną osadę. Dot prowadziła.

Miały po sześćdziesiąt osiem lat; były parę lat starsze od Ketchuma, którego czasami widywały – mieszkał w Errol, kawałek na północ nad Androscoggin. Stary flisak nie poznawał ani jednej, ani drugiej, a gdyby nawet, i tak nie zwróciłby na nie uwagi, za to wszyscy zwracali uwagę na niego: w okolicy krążyły legendy o wyczynach trapera, a okazała blizna na czole stanowiła dowód jego burzliwej historii. Dot przytyła kolejne trzydzieści kilo, a May trzydzieści pięć; miały białe włosy i rumiane twarze, jakie widuje się na Północy, a do tego – jak przystało na

mieszkanki chłodnego klimatu – obżerały się bez opamiętania, jakby wciaż doskwierał im głód.

Jechały przez północne New Hampshire – przeważnie wzdłuż Ammonoosuc – w Lancaster zaś przecięły rzekę Connecticut i znalazły się w Vermoncie. Minęły autostradę I91 tuż za St. Johnsbury i ruszyły trasą międzystanową na południe. Miały przed sobą długą drogę, ale im się nie spieszyło. Córka lub wnuczka May urodziła dziecko w Springfield, w stanie Massachusetts. Jeżeli Dot i May przyjadą na kolację, domownicy zaprzęgną je do karmienia gromadki maluchów i zmywania po nich talerzy. Dwie sprytne starsze panie miały inne plany: postanowiły zjeść po drodze. Dzięki temu w spokoju najedzą się do syta i dotrą do Springfield po kolacji; przy odrobinie szczęścia ktoś inny zajmie się naczyniami, a najmłodsze dzieci będą już w łóżkach.

W chwili gdy dwa babsztyle mijały McIndoe Falls na I91, Tony i jego personel kończyli w „Avellino” jeść obiad. Widok pracowników przy wspólnym stole, a następnie sprzątanie i przygotowania do wieczornego otwarcia lokalu, niezmiennie wprawiały Tony'ego Angela w nostalgiczny nastrój. Rozmyślał o Iowa City w latach siedemdziesiątych, owym „przerywniku” pomiędzy jednym a drugim pobytem w Vermoncie.

W Iowa City pracował jako zastępca kucharza w chińskiej restauracji braci Cheng na First Avenue. Bracia Cheng mieliby więcej klientów, gdyby przenieśli się bliżej śródmieścia; byli za dobrzy na to miejsce, a ich lokal ginął na tle barów szybkiej obsługi i tanich moteli, ale lubili bliskość autostrady: gdy przychodziła pora rozgrywek i miejscowa drużyna grała u siebie, restauracja przyciągała wielu przybyszów z innych miast. Ich ceny przekraczały możliwości wielu studentów – chyba że rodzice stawiali – członkowie kadry zaś, których bracia Cheng uważali za swą

główną klientelę, mieli samochody i nie ograniczali się do barów i restauracji w pobliżu kampusu.

Kolejnym mankamentem była nazwa – „Mao” wzbudziłaby zapewne większy entuzjazm pozbawionych złudzeń studentów aniżeli ich rodziców bądź kibiców spoza miasta – jednakże bracia Cheng bez reszty ulegli panującym wówczas nastrojom antywojennym. Opinia publiczna, zwłaszcza w ośrodku uniwersyteckim, zwróciła się przeciwko wojnie; w latach 1972– –1975 przed Starym Kapitolem na terenie kampusu odbyło się wiele demonstracji. Fakt, w okolicy uczelni nazwa „Mao” mogłaby się przyjąć. Tymczasem bywało, że w witrynie lądowała zbłąkana cegła lub kamień, rzucone przez jakiegoś patriotę z okna przejeżdżającego pędem samochodu bądź furgonetki.

– Waleczny kmieć – mawiał z lekceważeniem Ah Gou Cheng, starszy z braci. *Ah Gou* oznaczało w dialekcie szanghajskim „starszy brat”.

Był fantastycznym kucharzem; skończył szkołę gastronomiczną w Amerykańskim Instytucie Kulinarnym i dorastał, pracując w chińskich restauracjach. Urodzony w Queens, przeniósł się na Long Island, a następnie na Manhattan. Przyjechał do Iowa za kobietą, którą poznał na zajęciach karate, ale wystawiła go do wiatru. Ah Gou nie miał już wówczas wątpliwości, że Iowa City to wymarzone miejsce na „Mao”.

Wojna w Wietnamie go ominęła, ale służba w amerykańskiej armii nie; stacjonował na Alasce, gdzie był kucharzem. „Nie dało się tam dostać żadnych porządnych składników, oprócz ryb”, opowiadał Tony'emu Angelowi. Miał wąsy jak bohater komiksowy Fu Manchu i czarny kucyk z ufarbowanym na pomarańczowo pasemkiem.

Ah Gou poinstruował młodszego brata, jak wymigać się od udziału w wojnie. Przede wszystkim młody nie czekał, aż

go wcielą – zgłosił się na ochotnika.

– Powiedz tylko, że nie będziesz zabijał innych Azjatów – pouczył go Ah Gou. – I udawaj *gung ho.*

Młodszy brat oświadczył, że będzie jeździł, gdzie mu każą, i gotował dla wszystkich: „Pokażcie, gdzie mam iść! Pojadę prosto w zasadzkę! I zupę ugotuję, choćby mi bomby gwizdały nad głową! Ale nie będę zabijał innych Azjatów".

Ryzykował niemało, mogli go wysłać i tak. Tony Angel uważał, że bez względu na dobre przeszkolenie młodszy brat nie musiał udawać wariata – miał na to papiery. Ah Gou zaś za ocalenie brata od wojny w Wietnamie (i zabijania innych Azjatów bądź śmierci z ich ręki) z pewnością zasługiwał na medal.

W „Mao" serwowano klasyczną kuchnię francuską bądź też mieszankę stylów azjatyckich, ale Ah Gou dbał o to, by nie łączyć jednej z drugą – z pewnymi wyjątkami. Jego wersja ostryg à la Rockefeller była posypana *panko*, japońską bułką tartą, a majonez do kotlecików krabowych robił z oleju z pestek winogron i szalotek (krab był obtoczony w japońskiej bułce tartej z dodatkiem siekanego estragonu; w przeciwieństwie do zwykłej bułki tartej *panko* nie przesiąkała w lodówce wilgocią).

Sęk w tym, że byli w Iowa. Skąd Ah Gou miał brać *panko*, nie wspominając o ostrygach, oleju z pestek winogron i krabach? Tu do akcji wkraczał stuknięty młodszy brat. *Xiao Dee* oznacza w dialekcie szanghajskim „młodszy brat". Był urodzonym kierowcą. Siadał za kierownicę chłodni (z dwiema zamrażarkami) i raz w tygodniu jechał na Dolny Manhattan i z powrotem. Tony Angel chętnie wyruszał wraz z nim. Podróż z Iowa City do Chinatown, na targi przy Pell i Mott, gdzie robili zakupy, trwała równo szesnaście godzin.

Ah Gou wyjechał do Iowa za kobietą z zajęć karate, Xiao Dee zaś szalał na punkcie dwu kobiet – jedna mieszkała w Rego Park, a druga w Bethpage. Tony'ego nie obchodziło, do której jedzie Młodszy Brat. Tęsknił za North Endem i bardzo lubił małe chińskie społeczności takie jak w Queens i na Long Island, gdzie ludzie okazywali serdeczność jemu i sobie nawzajem. Osobiście wolał dziewczynę z Rego Park, o imieniu Spicy, od tej z Bethpage, której imienia nie mógł zapamiętać ani wymówić. Poza tym uwielbiał zakupy w Chinatown, a nawet długą drogę powrotną do Iowa autostradą I80. Czasami zmieniali się za kierownicą, lecz kurs po Nowym Jorku był domeną Xiao Dee.

Wyruszali z Iowa we wtorek po południu i jechali przez całą noc; o świcie wyjeżdżali z tunelu Hudson i przed środową poranną godziną szczytu byli już na Hudson i Canal Street. Gdy otwierano targowiska, czekali na Pell albo Mott Street. Nocowali w Queens albo na Long Island, w czwartek zaś opuszczali Nowy Jork jeszcze przed porannymi korkami na ulicach. Jechali całą drogę do Iowa City i wieczorem wyładowywali zakupy. W weekendy w restauracji było jak w ulu. Ostrygi, małże i ryby z Chinatown zachowywały świeżość jeszcze w piątkowy wieczór, przy odrobinie szczęścia w sobotni też.

Tony nigdy nie czuł się silniejszy; mieszkał w Iowa od czterdziestego ósmego do pięćdziesiątego roku życia, lecz od ładowania i rozładowywania chłodni Młodszego Brata miał mięśnie jak zawodowy tragarz. Bo i dźwigał nie byle co: skrzynki z piwem Tsingtao, beczki z solanką pełną dymiących bloków suchego lodu do małży, zbiorniki z kruszonym lodem na ostrygi. W drodze powrotnej zatrzymywali się po dodatkowy lód w monopolowym dyskoncie w Indianie lub Illinois. Flądry, anioły morskie i takież okonie, szkockie łososie, przegrzebki, krewetki, kiełbaski *lap xuong* oraz kraby też trzymali w lodzie. Przez całą drogę na zachód zawartość chłodziarki rozmrażała się

systematycznie i topniała. Jedna z zamrażarek wiecznie śmierdziała kałamarnicą, którą przewozili zamrożoną. Duże brązowe naczynia z warzywami z Tianjin (z Chin) musieli owijać w gazety, inaczej obijały się o siebie i kruszyły. Xiao Dee mówił, że pakowanie suszonych japońskich anchois obok chińskich „stuletnich” kaczych jaj „przynosi pecha”.

Kiedyś, gdy pokonywali most na Missisipi, przy East Moline, wykręcili gwałtownie, by uniknąć zderzenia z autobusem, któremu pękła opona. Zapachy Azji towarzyszyły im przez resztę drogi: potłuczone słoiki sosu rybnego zmieszały się z zielonym tajskim curry; zmasakrowane resztki chińskiego sosu sojowego z wieprzowiną; obtłuczone szyjki butelek Tai Mae Ploy ze słodkim sosem chili, no i zielona i czerwona pasta curry. Ściany chłodni ociekały olejem sezamowym i sosem sojowym, a nad wszystkim królowała woń sosu czosnkowego z Hongkongu. Zapach japońskiego tuńczyka w kawałkach i suszonych krewetek nie pozostawał daleko w tyle. Jeszcze przez parę tygodni znajdowali wszędzie grzyby shiitake, które rozpełzły się po całej chłodni.

Zjechali zaraz z drogi; chcieli obejrzeć rozmiar zniszczeń, lecz nieopisany smród bijący zza drzwi kazał im przełożyć to do czasu powrotu. Przez szczelinę sączyła się bliżej nieokreślona substancja.

– Czym to pachnie? – zapytał Xiao Dee. Była to brązowawa ciecz okraszona piwną pianką, nic bliższego nie mogli powiedzieć.

– Wszystkim – odpowiedział Tony Angel, po czym ukląkł na asfalcie i powąchał dół drzwi.

Podjechał do nich policjant na motorze i zapytał, czy potrzebują pomocy. Młodszy Brat trzymał w schowku wszystkie rachunki, na wypadek gdyby kiedykolwiek zatrzymano ich pod zarzutem kradzieży. Tony opowiedział policjantowi o zdarzeniu na moście.

– Chyba powinniśmy jechać, obejrzymy wszystko na miejscu – dodał. Pyzaty, gładko ogolony Xiao Dee na poparcie jego słów pokiwał głową; lśniący czarny kucyk związany miał różową wstążką, zapewne pamiątką po Spicy albo tej drugiej.

– Śmierdzi jak chińska restauracja – zauważył policjant.

– Bo to jest chińska restauracja – odpowiedział Tony.

Widzieli, że policjant ma wielką ochotę zajrzeć do środka, toteż nie pozostawało im nic innego, jak otworzyć chłodnię. W nozdrza uderzył ich aromat Azji, a przynajmniej cały wachlarz jej kulinarnych woni: liczi w brei mleka migdałowego, świdrujący zapach rozsianego wszędzie świeżego imbiru, no i aromat kleksów pasty miso firmy Mitoku Trading, oblepiających ściany i sufit na podobieństwo pleśni. Upiorny anioł morski wytrzeszczył na nich oczy z lodu obficie zabarwionego sosem sojowym, jakby pretendował do miana Najbrzydszej Ryby Świata.

– Jezu, a to co znowu? – zapytał policjant.

– Anioł morski, homar dla ubogich – wyjaśnił Xiao Dee.

– A ta wasza restauracja w Iowa City to jak się nazywa? – chciał wiedzieć policjant.

– „Mao” – odparł z dumą Xiao Dee.

– Aaa! – olśniło policjanta. – To wam rzucają cegły w okna, tak?

– Czasami.

– To z powodu wojny – zaznaczył Xiao Dee. – Wieśniacy to sępy.

– To z powodu nazwy! – oświecił go policjant. – „Mao”! Nic dziwnego, że obrywacie cegłami! Halo, to Środkowy Zachód. Iowa City to nie Berkeley!

Kiedy znaleźli się z powrotem w ciężarówce, która odtąd już zawsze miała cuchnąć jak ulice targowe Chinatown w pechowy ranek (na przykład w czasie strajku śmieciarzy na

Dolnym Manhattanie), Tony zwrócił się do Młodszego Brata:

– Gliniarz miał rację, wiesz? Znaczy, co do nazwy.

Xiao Dee był pobudzony od nadmiaru pralinek z espresso, które trzymał w schowku i w czasie jazdy żarł non stop, żeby nie zasnąć. Jeśli podczas szesnastogodzinnej podróży Tony zjadł więcej niż dwie lub trzy, serce waliło mu jeszcze następnego dnia, a jelita bulgotały zapowiedzią kosmicznej biegunki, zupełnie jakby wypił ze dwa tuziny podwójnych espresso.

– Co się w tym kraju wyprawia? „Mao” to tylko nazwa! – wrzasnął Xiao Dee. – Od dziesięciu lat jaja wam odrąbują w Wietnamie! „Mao” nie ma tu nic do rzeczy, to tylko nazwa! – Prowokacyjna różowa wstążka, zawiązana przez Spicy (albo tę drugą), sfrunęła mu z włosów i Xiao Dee upodobnił się do rozhisteryzowanej chińskiej sztangistki z chińską restauracją na pace. Restauracją, dodajmy, gdzie śmiertelne zatrucie człowiek miał jak w banku.

– Jedźmy i zróbmy porządek z tym bałaganem – rzucił pojednawczo kucharz w nadziei, że to uspokoi nieco Młodszego Brata. Wspomnienie anioła morskiego w morzu oleju sezamowego oraz tego, co pływało wraz z nim, nie dawało mu spokoju.

Solanka się rozlała i całą zawartość szlag trafił. W ten weekend mogli wybić sobie z głowy małże gotowane na parze z sake w sosie z czarnej fasoli. Ostrygi tak samo. Jak na ironię, kiedy wrócili do Iowa City, Ah Gou zdążył już posiekać szpinak i pokroić w kostkę boczek do sosu. Okoń zaśmierdł, lecz anioła morskiego dało się uratować – przynajmniej jego ogon, który Ah Gou pokroił w medaliony.

Tony nauczył się sprawdzać świeżość łososia szkockiego, oddzielając mięso od ości; jeśli łatwo dały się wyciągać, zdaniem Ah Gou ryba była jeszcze możliwie świeża. Kiełbaski *lap xuong*, świeże flądry i mrożone kałamarnice

przetrwały karkołomny wygibas na drodze, w przeciwieństwie do krewetek, przegrzebków i krabów. Ulubiony mascarpone i parmezan Ah Gou ocalały, lecz pozostałe sery nadawały się do wyrzucenia. Bambusowe maty i arkusze nori – do zwijania sushi – za bardzo nasiąkły olejem sezamowym oraz piwem Tsingtao. Xiao Dee miesiącami, dzień w dzień mył chłodnię, ale zapach zdarzenia nad Missisipi pozostał.

Tony z rozrzewnieniem wspominał pobyt w Iowa City, w tym wyprawy z Xiao Dee Chengiem. Co wieczór włączał do jadłospisu drobiazg lub dwa, których nauczył się od Ah Gou w „Mao". Pisał po prostu „Coś z Azji" lub „Coś z Francji"; to też podpatrzył u Ah Gou. W nagłych wypadkach, gdy wszystkie ryby (oraz ostrygi i małże) psuły się przed sobotą, Ah Gou prosił o danie z makaronem lub pizzę.

„Coś z Włoch", głosił wtedy napis w menu.

Kierowcy ciężarówek na długich trasach, którzy zjeżdżali z autostrady, nie byli tym zachwyceni.

– „Coś z Włoch"? Co to, kurde, ma być? Myślałem, że to chińska knajpa.

– Jesteśmy wszystkim po trochu – odpowiadał Xiao Dee; w weekendy to on pełnił honory gospodarza lokalu, podczas gdy Tony i Ah Gou harowali w kuchni.

Resztę personelu stanowiła wielokulturowa i piekielnie inteligentna zbieranina azjatyckich studentów – wielu nie przyjechało z Azji, tylko z Seattle i San Francisco albo Bostonu czy Nowego Jorku. Tzu-Min, będąca stosunkowo od niedawna dziewczyną Ah Gou, parę lat temu skończyła prawo; postanowiła zostać w Iowa City (i nie wracać na Tajwan) z powodu „Mao", Ah Gou i specjalizacji. W czwartkowe wieczory, gdy Xiao Dee dochodził do siebie po skutkach nadmiernego spożycia pralinek espresso, Tzu-Min występowała w roli gospodyni.

W „Mao” nie mieli radia, przypomniał sobie Tony Angel, dokonując przeglądu stołów w „Avellino”, które w ów późnowiosenny wieczór w roku 1983 jeszcze nie było otwarte, ale zaraz będzie. Ah Gou postawił w kuchni telewizor, zdaniem Tony'ego sprawcę wielu zacięć i skaleczeń. Chińczyk lubił bowiem sport i wiadomości; czasem transmitowano rozgrywki miejscowych drużyn piłkarskich i koszykarskich, dzięki czemu personel z góry znał nastroje gości, którzy zjawią się po meczu.

W tamtych czasach lokalna drużyna zapaśnicza rzadko ponosiła porażkę, szczególnie u siebie; po zawodach mieli w „Mao” tłum szczególnie rozochoconych i wygłodniałych kibiców. Daniel zabierał synka na większość spotkań, przypomniał sobie nagle kucharz. Być może to właśnie sukcesy tamtej drużyny zapaśniczej skłoniły chłopca do późniejszych treningów; awanturnicza reputacja Ketchuma raczej nie miała tu nic do rzeczy.

Tony Angel miał w „Avellino” kuchnię z ośmioma palnikami, dwoma piekarnikami i rusztem; nie brakowało też rożnów do drobiu. W „Mao” w najbardziej ruchliwe wieczory mogli pomieścić osiemdziesiąt, dziewięćdziesiąt osób, ale w „Avellino” Tony rzadko miał więcej niż trzydziestu, czterdziestu gości – góra pięćdziesięciu.

Właśnie odparowywał czerwone wino na duszone żeberka, drób czekał na swoją kolej. Z kategorii „Coś z Azji” poda wołowinę *satay* Ah Gou, w sosie z orzeszków ziemnych z dodatkiem tempury – trochę krewetek, fasolki i szparagów. Nie obejdzie się bez tradycyjnych potraw z makaronu – w tym kalmarów z czarnymi oliwkami i orzeszkami ziemnymi na penne – oraz dwu popularnych pizz, pepperoni z sosem marinara oraz grzybowej z czterema serami. Planował również pieczonego kurczaka z rozmarynem, ułożonego na rukoli i grillowanym koprze włoskim, a także grillowany udziec z jagnięcia z czosnkiem, no i risotto z grzybami.

Greg, jego młody zastępca, skończył szkołę gastronomiczną na manhattańskiej Dziewięćdziesiątej Drugiej ulicy i szybko się uczył. Tony pozwolił mu zrobić sos grenobloise, z brązowym masłem i kaparami, do drobiowego *paillard*, w ramach „Czegoś z Francji” na nadchodzący wieczór. Miał też pod ręką swoje dwie ulubione kelnerki, samotną matkę oraz jej córkę studentkę. Celeste, ta pierwsza, pracowała dla niego od 1976 roku, a jej córka Loretta przewyższała dojrzałością miejscowych licealistów, których zatrudniał zwykle do pomocy w kuchni i na sali.

Loretta była starsza od większości studentów; w ostatniej klasie liceum zaszła w ciążę i urodziła dziecko. Nie miała męża i zajmowała się synkiem u matki, dopóki nie dorósł na tyle, by nie doprowadzać Celeste do szału (czyli do wieku czterech, pięciu lat). Wtedy Loretta poszła do pobliskiego college'u – dojazd był dość uciążliwy, ale miała tak ułożony plan, że zajęcia odbywały się od wtorku do czwartku. Od czwartkowego wieczoru do wtorku rano mieszkała w Brattleboro z matką i synkiem.

Odkąd Tony sypiał z Celeste – czyli dopiero od roku, niebawem półtora – układ ten bardzo mu odpowiadał. W domu Celeste, z nią i jej wnukiem piątoklasistą, spędzał tylko dwie noce tygodniowo, z czego w jeden (środowy) wieczór restauracja była zamknięta. Po powrocie Loretty przenosił się do swego mieszkania nad „Avellino”. Zeszłego lata, gdy Celeste spędzała u niego trzy, cztery noce z rzędu, sytuacja była nieco krępująca. Miała rude włosy i urocze piegi na dekolcie; była krągła, ale nie tak jak Indianka Jane i Carmella. W wieku pięćdziesięciu lat była o tyle samo lat starsza od Danny'ego, ile młodsza od jego ojca.

W kuchni nie robili z tego ceregieli, chociaż wszyscy (w tym, ma się rozumieć, Loretta) wiedzieli, że Tony Angel i Celeste są parą. Panie poznane w księgarni pogodziły się ze stratą, niektóre wyszły za mąż. Żarcik, którym Tony witał

sprzedawczynię, stracił rację bytu. Oczywiście nie miała zamiaru nikogo mu przedstawiać: Brattleboro było małym miastem, a Celeste cieszyła się powszechną sympatią.

W Iowa łatwiej było poznać kobietę, przypomniał sobie Tony Angel. Fakt, postarzał się, a Brattleboro było zapadłą dziurą w porównaniu z Iowa City, gdzie Danny zapraszał go na uniwersyteckie przyjęcia; literatki wiedziały, co to znaczy dobra zabawa.

Danny często zapraszał studentów do „Mao", z różnych okazji, na przykład z okazji obchodów chińskiego Nowego Roku, przypadających w styczniu lub w lutym, kiedy to Ah Gou przez trzy wieczory z rzędu prezentował zestaw dziesięciu dań w określonej cenie. Tuż przed uroczystością w 1973 roku – pamiętał, że był to Rok Bawołu – ciężarówka Xiao Dee rozkraczyła się w Pensylwanii i niewiele brakowało, by nie dojechali na czas.

W roku 1974 – Roku Tygrysa – Xiao Dee namówił Spicy, by pojechała z nimi do Iowa City. Dziewczyna była szczęśliwie drobnej postury, ale i tak gnietli się przez całą drogę, do tego gdzieś w okolicach Indiany lub Illinois Spicy odkryła, że Xiao Dee spotyka się z kobietą z Bethpage, „dziwką z Nassau", jak ją nazwała. Kłócili się, że uchy puchły, aż do samego domu.

Na myśl o „Mao" i Iowa City Tony'emu przyszło do głowy podejrzenie, że może „Avellino" nie jest dość „ambitne". Lubił jednak w nim między innymi to, że nie musi się wysilać; szefowie kuchni z prawdziwego zdarzenia, tacy jak Ah Gou Cheng, Tony Molinari i Paul Polcari, mogli sobie myśleć, co chcą, ale on (w wieku pięćdziesięciu dziewięciu lat) nie próbował z nimi rywalizować.

Smuciło go tylko to, że nie może zaprosić do Vermontu swych dawnych przyjaciół i opiekunów na wspólny posiłek w „Avellino". Jego lokal nie był godny wirtuozów, którzy tyle go nauczyli, choć zapewne ucieszyliby się na widok

znajomych potraw w menu i gorąco przyklasnęliby jego osiągnięciom, na przekór ich mizernej skali. Emerytowani Molinari i Polcari na pewno znaleźliby chwilę, żeby przyjechać; bracia Cheng mieli pewnie mniej czasu.

Ah Gou i Xiao Dee wrócili do Connecticut za radą Tzu-Min, która wyszła za Ah Gou – udzieliła im wielu cennych rad i nigdy nie wróciła na Tajwan. Wreszcie mieli bliżej Dolnego Manhattanu, gdzie Młodszy Brat robił zakupy; po co się zarzynać w Iowa? „Baozi", nazwa nowo otwartej restauracji, to po chińsku „owinięty". (Tony pamiętał wieprzowe sajgonki i duszone *baozi* z wieprzowiny, które Ah Gou przyrządzał na Nowy Rok. Ugotowane na parze kulki z ciasta dzieliło się jak kanapkę i napełniało duszoną łopatką wieprzową, posiekaną drobno i wymieszaną z chińską przyprawą pięć smaków.) Ale żyłka do interesów Tzu-Min ponownie dała o sobie znać: zmieniła nazwę lokalu na „Lemongrass", co lepiej wpadało w ucho i było bardziej zrozumiałe dla tubylców.

Któregoś dnia, pomyślał Tony Angel, może Daniel i ja wybierzemy się do Connecticut i zjemy w „Lemongrass", a potem przenocujemy gdzieś w okolicy. Tęsknił za Ah Gou i Xiao Dee, i życzył im wszystkiego najlepszego.

– Co się dzieje, Tony? – zapytała Celeste. (Mężczyzna nawet nie zauważył, że płacze).

– Nic się nie dzieje, Celeste. Właściwie to jestem bardzo szczęśliwy – odpowiedział Tony. Uśmiechnął się do niej, a następnie pochylił głowę nad czerwonym winem, wciągając w nozdrza zapach. Zblanszował we wrzątku świeży rozmaryn, żeby puścił trochę soku, zanim pójdzie do garnka z winem.

– Hm, ale ty płaczesz – zauważyła Celeste.

– Ot, wspomnienia – odpowiedział. Greg również przyglądał mu się spod oka. Do kuchni weszła Loretta.

– Otwieramy czy mają się włamywać? – zapytała.

– O, już czas? – ocknął się Tony. Musiał zostawić zegarek na górze, na niedoczytanym maszynopisie *Na wschód od Bangor*.

– Dlaczego on płacze? – zapytała matkę Loretta.

– Sama go spytaj – odparła Celeste. – Ot, wspomnienia.

– Chyba dobre, co? – zwróciła się do szefa Loretta; zdjęła z wieszaka czystą ściereczkę i wytarła mu policzek. Nawet pomywacze, dwaj licealiści z Brattleboro, rzucili mu zatroskane spojrzenia.

Kucharz i zastępca nie trzymali się rygorystycznie swych stanowisk, chociaż Greg przeważnie dusił, smażył i piekł, a Tony pilnował sosów.

– Może ja zajrzę do sosów, szefie? – zaproponował Greg.

– Nie trzeba – mruknął Tony, potrząsając głową. – Wy nigdy nie macie wspomnień?

– Danny dzwonił, zapomniałam ci powiedzieć – odezwała się Loretta. – Ma przyjść.

– No, zdaje się, że ma za sobą emocjonujący dzień jak na pisarza – dodała Celeste. – Rzuciły się na niego dwa psy. Kogut zabił jednego. Przyjdzie o zwykłej porze, ale prosił o nakrycie dla jednej osoby. Twierdzi, że Barrett nie byłaby zachwycona opowieścią o psie. Powiedział: „Niech tatko poczeka”.

„Tatko” miało swe źródło w Iowa City. Tony bardzo lubił ten zwrot.

Barrett pochodziła z Anglii; pomimo wielu lat spędzonych w Stanach jej brytyjski akcent jakby przybierał na sile, tak przynajmniej się zdawało. Amerykanie mają bzika na punkcie brytyjskiego akcentu, pomyślał Tony Angel. Może sprawia, że czują się niedouczeni.

Tony wiedział, co jego syn miał na myśli, mówiąc, że Barrett nie będzie zachwycona historią o psie. Mimo że Danny nieraz został pogryziony w czasie joggingu, Barrett

należała do tych miłośników zwierząt, którzy zawsze biorą stronę psa: Nie ma „złych” psów, są tylko źli właściciele; funkcjonariusz policji stanowej nie ma prawa zastrzelić cudzego psa; gdyby Danny nie biegał z rączkami po rakietach do squasha, może psy nie próbowałyby go ugryźć i tak dalej. On zaś pamiętał, że jego syn biega z rączkami po rakietach, ponieważ został pogryziony, gdy biegł bez nich – dwukrotnie nie obyło się bez szwów, a raz musiał się zaszczepić przeciwko wściekliźnie.

Tony Angel ucieszył się, że syn przyjdzie na kolację bez Barrett. Przeszkadzało mu, że Daniel sypiał kiedyś z kobietą prawie w wieku swego ojca! Brytyjskie pochodzenie Barrett i jej teorie o psach przeszkadzały mu zaś jeszcze bardziej. Ale w końcu czego się spodziewać po miłośniczce koni?

Wypiekał pizzę w starym piecu z Irlandii; wiedział już, jak utrzymać temperaturę trzystu stopni, nie zamieniając przy tym kuchni w patelnię, ale wpadł na to dopiero po dwóch latach. Dokładając do pieca, usłyszał, jak Loretta otwiera drzwi i zaprasza do sali pierwszych gości.

– Był jeszcze jeden telefon – powiedział Greg.

Tony miał nadzieję, że Daniel nie postanowił jednak zostać w domu lub przyprowadzić Barrett, lecz była to wiadomość od Ketchuma.

Stary flisak opowiedział Gregowi o cudownym wynalazku, jakim jest faks. Wymyślono go Bóg jeden wie jak dawno temu, ale Ketchum gadał o nim nie pierwszy raz. Podczas pobytu w Nowym Jorku Danny widział u swego wydawcy jakiś prowizoryczny egzemplarz, ale jego zdaniem był to wielki kloc, wypluwający zatłuszczone kartki papieru z zamazanym tekstem, co bynajmniej Ketchuma nie zniechęciło. Były analfabeta nalegał, aby Danny i jego ojciec sprawili sobie faksy; on zrobi to samo i wówczas będą ze sobą w stałym kontakcie.

Jezu, pomyślał kucharz, teraz się zacznie. Muszę kupić rolkę papieru. I koniec ze spokojnymi rankami, uzupełnił w duchu; a tak lubił swoją poranną kawę i widok na Connecticut. (Podobnie jak on, Ketchum wstawał z kurami).

Nie był nigdy u Ketchuma w Errol, ale wyobrażał sobie coś z czasów waniganów, na przykład przyczepę lub kilka przyczep. Domy na kółkach, ale już bez kółek, bądź też bus marki Volkswagen z piecem w środku. Nie mieściło mu się w głowie, że sześćdziesięcioześcioletni Ketchum dopiero nauczył się czytać, a już marzy o faksie. Jeszcze niedawno nie miał nawet telefonu!

Znał powód, dla którego płakał; „wspomnienia” nie miały tu nic do rzeczy. Gdy naszła go myśl o wspólnym wyjeździe z synem do Connecticut z wizytą do Chengów, od razu wiedział, że nic z tego nie będzie. Daniel był pracoholikiem; zdaniem ojca miał manię słowotoku. To, że przyjdzie do „Avellino” sam, nie budziło jego zastrzeżeń, ale myśl, że syn jest (i najprawdopodobniej dalej będzie) sam, doprowadzała go do łez. Martwił się o wnuka – o zagrożenia, które czają się na niego na każdym kroku – ale nie mógł przeboleć, jaką samotną, melancholijną duszą jest jego syn. Jest nawet bardziej samotny i melancholijny niż ja, odkrył Tony Angel.

– Cztery osoby – zakomunikowała Gregowi Loretta. – Jedna grzybowa, jedna pepperoni – zwróciła się do kucharza.

Celeste weszła do kuchni.

– Przyszedł Danny, sam – powiedziała do Tony'ego.

– Kalmary z penne raz – recytowała dalej Loretta. Gdy mieli duży ruch, zostawiała zamówienie na kartce, ale że lokal był niemal pusty, scenka sprawiała jej wyraźną przyjemność.

– Nie chcą przystawki? – zapytał Greg.

– Sałatka z rukoli z parmezanem, dla wszystkich – odparła Loretta. – Uważaj, teraz będzie najlepsze. – Urwała dla większego efektu. – Drobiowy *paillard*, ale bez kaparów.

– Jezu – powiedział Greg. – Przecież bez kaparów nie ma sosu grenobloise.

– Daj gościowi odparowane wino z rozmarynem, do kurczaka też pasuje – wtrącił Tony Angel.

– Kurczak zrobi się fioletowy, Tony – zaoponował jego zastępca.

– Purysta z ciebie, Greg. Daj mu kurczaka z oliwą z oliwek i cytryną. I po sprawie.

– Danny mówi, że mamy go zaskoczyć – powiedziała Tony'emu Celeste. Obrzuciła go bacznym spojrzeniem. Słyszała też, jak płacze przez sen.

– O, to super – ożywił się nieco kucharz. (Oho, uśmiech, pomyślała Celeste. Blady, ale zawsze).

May gadała jak nakręcona. Podczas gdy Dot prowadziła – i bujała głową, przeważnie niezgodnie z rytmem szmatławej piosenki, która akurat leciała w radiu – May czytała na głos drogowskazy, zwyczajem dziecka, które dopiero posiadło tę trudną sztukę.

– Bellows Falls – obwieściła, kiedy minęły zjazd na I91, jakiś kwadrans temu, może trochę więcej. – Kto chciałby mieszkać w Bellows Falls?

– Byłaś tam? – zapytała starą przyjaciółkę Dot.

– Nie. Ale sama nazwa jest do dupy.

– Zbliża się pora kolacji, nie?

– Coś bym przekąsiła.

– Na przykład co?

– Och, pół niedźwiedzia albo całą krowę – zarechotała May. Dot zarechotała dla towarzystwa.

– Starczyłoby nawet pół krowy – uzupełniła Dot nieco poważniejszym tonem.

– Putney – przeczytała na głos May, gdy minęły drogowskaz.

– A to co znowu za nazwa? Na moje ucho chyba nie indiańska, co?

– Nie. Nie indiańska – zgodziła się May. Zbliżały się trzy zjazdy na Brattleboro.

– A co powiesz na pizzę? – spytała Dot.

– BRAT-el-baroł – wyartykułowała niemal perfekcyjnie May.

– Nieindiańska! – stwierdziła Dot i obie znów zarechotały.

– W Brattleboro muszą mieć jakąś pizzerię, nie? – zapytała May.

– Sprawdzimy – odparła Dot. Skręciła w drugi zjazd i znalazły się na Main Street.

– Book Cellar – przeczytała na głos May, kiedy powoli minęły leżącą po prawej stronie księgarnię.

Gdy dotarły do następnych świateł i stromej części wzgórza, ich uwagę przykuła markiza kina Latchis. Grali dwa zeszłoroczne filmy, oba z Sylvestrem Stallone, *Rocky III* oraz *Pierwszą krew.*

– Widziałam te filmy – oznajmiła z dumą Dot.

– Widziałaś je ze mną – przypomniała May.

Markiza pochłonęła je bez reszty; Dot prowadziła i nie mogła się rozglądać na boki. Gdyby nie May, wygłodniała pasażerka i maniakalna wielbicielka drogowskazów, być może wcale nie zauważyłyby „Avellino”. Nazwa była trudna; May zająknęła się nieco, lecz kolejne dwa wyrazy przyszły jej z łatwością.

– Włoska gastronomia.

– Gdzie? – ożywiła się Dot; zdążyły wyminąć lokal.

– Tam. Zaparkuj gdzieś – poleciła May. – Dam głowę, że pisało „włoska”.

Skołowana Dot wreszcie postawiła samochód na parkingu przed supermarketem.

– Pójdziemy z buta – oznajmiła.

Wcale nie miała ochoty iść „z buta”; odcisk nie dawał jej żyć i kulała, co nasunęło May wspomnienie kucharza z Twisted River; ostatnio Ziółko chodził po głowie im obu. Poruszona w samochodzie kwestia indiańskich nazw też zapewne wzbudziła ich nostalgię.

– Dla pizzy przeszłabym choćby trzy kilosy – stwierdziła May.

– W każdym razie dla pizzy Ziółka – powiedziała Dot. Lawina poszła w ruch.

– No nie?! – wykrzyknęła May. Ruszyły kaczym chodem po niewłaściwej stronie ulicy i brawurowo przecięły Main Street, cudem unikając śmierci pod kołami nadjeżdżającego samochodu (w leśnych osadach piesi poczynali sobie swobodniej niż w Brattleboro). Jak na komendę pokazały kierowcy środkowy palec.

– Pamiętasz, co Ziółko chciał dodać do pizzy? – zapytała Dot.

– Miód! – pisnęła May i obie zarechotały. – Ale potem się rozmyślił – przypomniała sobie.

– Ciekawe, co też do niej takiego dodawał – zastanawiała się Dot.

– Może nic szczególnego – wzruszyła ramionami May. Stanęły przed witryną „Avellino” i May raz jeszcze spróbowała przeczytać nazwę.

– Włoska jak nic – uznała Dot. Utkwiły wzrok w przylepionym od wewnątrz menu. – Dwie różne pizze – zauważyła Dot.

– Ja biorę pepperoni – postanowiła May. – Grzybami można się zatruć.

– Ciasto Ziółka było cieniutkie, człowiek mógł jeść do woli i wcale nie czuł się opchany – rozmarzyła się Dot.

Siedząca wewnątrz czteroosobowa rodzina kończyła właśnie jeść; Dot i May widziały, że dzieci zamówiły pizze. Przy stoliku nieopodal wahadłowych drzwi do kuchni siedział samotnie przystojny, na oko czterdziestoletni mężczyzna. Pisał coś w zwykłym zeszycie, z jakich przeważnie korzystają studenci. Oczywiście kobiety nie poznały Danny'ego. Kiedy widziały go ostatnio, miał dwanaście lat, teraz zaś był blisko dziesięć lat starszy niż jego ojciec pod koniec pobytu w Twisted River.

Gdy weszły do środka, Danny podniósł wzrok, ale zaraz skierował go z powrotem na zeszyt. Być może nie pamiętał nawet, jak wyglądały w roku 1954; dwadzieścia dziewięć lat później nie miał bladego pojęcia, kto zacz.

– Panie tylko we dwie? – zapytała Celeste. Dot i May zawsze miały uciechę, gdy ludzie zwracali się do nich per „panie”.

Dostały stolik pod oknem, tuż pod starą czarno-białą fotografią przedstawiającą spływ drewna w Brattleboro.

– Na Connecticut też kiedyś były spływy – zauważyła Dot.

– Pewnie mieli tu tartak. Albo papiernię czy fabrykę mebli.

– Podobno mają tu szpital psychiatryczny. Czy wariatkowo jeszcze działa? – Dot zwróciła się do Celeste, która przyszła nalać im wodę.

– Nazywamy to azylem – wyjaśniła kelnerka.

– Oż w mordę, ale nazwa! – nie wytrzymała May. Obie zarechotały, a Celeste poszła po karty dań. Zapomniała ich za pierwszym razem; wspomnienie łez kucharza nie dawało jej spokoju.

Do restauracji weszło dwoje młodych ludzi; Dot i May patrzyły, jak młodsza kelnerka – Lorette, córka Celeste – prowadzi ich do stolika.

– Obie weźmiemy pizzę pepperoni – powiedziała Dot, gdy Celeste przyniosła im karty dań. (Przeczytały już jadłospis w witrynie).

– Po jednej czy na spółkę? – zapytała Celeste. Z góry znała odpowiedź, ich widok nie pozostawiał wątpliwości.

– Po jednej – odpowiedziała May.

– Może życzą panie sobie sałatkę albo coś na przystawkę? – zapytała Celeste.

– Nie. Oszczędzam miejsce na szarlotkę – odpowiedziała May.

– A ja dojrzewam do placka z jagodami – uzupełniła Dot.

Obie zamówiły colę. „Prawdziwą”, zaznaczyła May. Czekała ich jeszcze długa droga, nie wspominając o przeprawie z dziećmi i wnukami; trzeba uzupełnić zapasy kofeiny i cukru.

– Daję słowo – powiedziała May. – Jeśli moje dzieci i wnuki dalej będą się rozmnażać w takim tempie, możesz wysłać mnie do tego „azylu”.

– Będę cię odwiedzać – obiecała Dot. – Jeśli pizza mi zasmakuje – dodała.

Ich rechot może dotarł przez ścianę aż do kuchni.

– Dwie pepperoni – oznajmiła kucharzowi Celeste. – I może ciasto.

– Kto przyszedł? – zapytał; zwykle nie był taki ciekawy. – Miejscowi?

– Dwa stare babsztyle, jeśli chcesz znać moje zdanie. Miejscowe albo i nie – odpowiedziała Celeste.

W radiu zaraz zaczną transmisję meczu Red Soksów. Boston grał u siebie, w Fenway Park, ale Greg słuchał

przebojów dla oldbojów na innej stacji. Tony nasłuchiwał jednym uchem, gdy naraz rozległo się nagranie z 1967 roku, z płyty *Surrealistic Pillow* zespołu Jefferson Airplane.

Na dźwięk głosu Grace Slick śpiewającej *Somebody to Love* Tony Angel aż się zjeżył, co było do niego niepodobne.

– Przełącz na mecz, Greg – rzucił ostro.

– Niech doleci do koń… – zaczął jego zastępca, ale Tony już zmienił stację. Wszyscy słyszeli jego ton i widzieli, z jaką złością sięgnął do radia.

– Nie lubię tej piosenki – burknął.

Celeste wzruszyła ramionami.

– Ot, wspomnienia – zwróciła się do pozostałych.

Zaledwie cienka ściana i wahadłowe drzwi dzieliły go od dwóch innych wspomnień. Ale tych, niestety, nie pozbędzie się tak łatwo jak piosenki.

Rozdział 9
KRUCHA, NIEPRZEWIDYWALNA NATURA RZECZY

Niedaleko „Mao” znajdowała się pizzeria o nazwie „U Greka”; największym powodzeniem cieszyły się tam dodatki w postaci fety i oliwek. (Jak mawiał ojciec Danny'ego: „Niezłe, ale to nie pizza”). W śródmieściu Iowa City był pseudoirlandzki pub o nazwie „O'Rourke”: zielone stoły, zielone piwo w Dzień Świętego Patryka, kiełbaski i kanapki z klopsem. Danny uważał „O'Rourke'a” za typowo studencki lokal, niezbyt przekonującą imitację bostońskich pubów na południe od Haymarket, w okolicach Hanover Street. Najstarszy z nich był Union Oyster House, bar z owocami morza i restauracja, naprzeciw której powstanie kiedyś miejsce pamięci Holocaustu. Warto też wspomnieć o tawernie „Pod Dzwonkiem” na rogu ulic Union i Marshall, gdzie nieletni Daniel Baciagalupo upijał się piwem w towarzystwie starszych kuzynów z rodzin Saetta i Calogero.

Tawerny te leżały zbyt blisko North Endu, aby umknąć uwagi ojca Daniela. Któregoś dnia poszedł za synem i kuzynami do „Dzwonka”. Widząc, jak smarkacz pije piwo, wyciągnął go z tawerny za ucho.

Pochylony nad zeszytem w „Avellino” pisarz Danny Angel – w oczekiwaniu na danie niespodziankę – bardzo żałował, że upokorzenie na oczach starszych kuzynów nie oduczyło go picia, zanim tak naprawdę zaczął. Żeby to się bowiem stało, Danny potrzebował większego i bardziej drastycznego bodźca aniżeli niemiły incydent w Bostonie. I doczekał się go, lecz dopiero gdy sam został ojcem. „Jeśli

ojcostwo nie nauczy cię odpowiedzialności”, powiedział mu kiedyś tata, „nic tego nie dokona”.

Czy Danny myślał „jako ojciec”, wystukując na maszynie jednostronicową wiadomość do hipisastolarza, wioząc ją polną drogą do Westminster West i wkładając do skrzynki debilnego właściciela psów, by następnie udać się do Brattleboro na kolację w „Avellino”? Czy tak jego zdaniem winien postąpić Joe, gdyby kiedyś znalazł się w podobnej sytuacji?

„Przykro mi z powodu pańskiego psa”, napisał. „Byłem zły. Nie bierze pan odpowiedzialności za swoje zwierzęta i nie przyjmuje do wiadomości, że droga publiczna to nie wybieg dla psów. Mimo to powinienem bardziej nad sobą panować. Będę biegał gdzie indziej. Pan stracił psa, ja rezygnuję z ulubionej trasy. Jesteśmy kwita, tak?”.

Kartka była zupełnie zwyczajna. Danny nie podał swojego nazwiska. Jeśli Armando miał rację – jeśli ten debil był faktycznie jednym z byłych studentów Danny'ego w Windham – wówczas rozwścieczony hipis musiał wiedzieć, że mężczyzną biegającym z rączkami po rakietach do squasha jest pisarz Danny Angel. Danny nie widział jednak powodu, żeby się z tym obnosić. Nie schował też kartki do koperty, po prostu złożył na pół i umieścił w skrzynce u wylotu podjazdu zastawionego rzędami wraków.

Siedząc w „Avellino”, nie miał wątpliwości, co powiedziałby Armando: „Z debilami lepiej się nie układać”, czy coś w tym stylu. Ale Armando nie miał dzieci. Czy to czyniło go bardziej nieustraszonym? Sama myśl o konflikcie wymykającym się spod kontroli – zaraz, czy nie jest to jeden z priorytetów na liście spraw, przed którymi trzeba chronić dzieci? (W zeszycie, w którym bazgrał Danny, zwrot „strach nienazwany” wyróżniał się w szeregu zaczętych zdań).

Już jako chłopiec, a potem w nieco starszym wieku, Danny przyjmował założenie, że jego tata i Ketchum są od siebie różni, głównie dlatego że ten pierwszy jest kucharzem, a drugi flisakiem, twardym jak skała nieobliczalnym traperem, który nie przepuści żadnej okazji do bójki.

Ketchum nie utrzymywał kontaktu ze swoimi dziećmi, były dla niego stracone. Niekoniecznie musiało być tak, że cechowała go większa odwaga lub śmiałość niż tatę. Ketchum nie był ojcem, już nie; nie miał tyle do stracenia. Danny dopiero teraz zrozumiał, że tata robił, co w jego mocy, by zapewnić mu jak najlepszą opiekę. Opuszczenie Twisted River było decyzją ojca. Potem z kolei obaj usiłowali chronić Joego; lęk o chłopca bardzo ich do siebie zbliżył.

Pisarz przypomniał sobie, że ojciec był mu bliski również w Iowa City, w trakcie ich „azjatyckiego" epizodu, jak nazwał to w myślach. Najbardziej stałą dziewczyną taty była w tamtych latach pielęgniarka z izby przyjęć Szpitala Miłosierdzia, Chinka Yi-Yiing. Miała tyle samo lat co Danny – trzydzieści z małym haczykiem, czyli prawie dwadzieścia mniej niż Tony – i córkę w wieku Joego, mieszkającą w Hongkongu. Mąż rzucił ją tuż po narodzinach dziecka (marzył o synu) i Yi-Yiing, powierzywszy małą opiece rodziców, pojechała szukać szczęścia na Środkowym Zachodzie. Zawód pielęgniarki stanowił dobry wybór, podobnie jak Iowa City. Lekarze ze Szpitala Miłosierdzia uznali jednogłośnie, że Yi-Yiing jest niezastąpiona. Dostała zieloną kartę i ubiegała się o amerykańskie obywatelstwo.

Jasne, zdarzało się, że obraźliwe określenie „żółtek" (*gook*) padało zarówno z ust wzburzonych pacjentów, jak i z okien przejeżdżających samochodów, lecz Yi-Yiing nie przeszkadzało, że biorą ją za wietnamską narzeczoną. Postawiła przed sobą nie lada zadanie sprowadzenia do Stanów córki i rodziców, i czekała ją walka z machiną

biurokracji. Yi-Yiing nie było łatwo sprowokować i twardo parła do celu. Zapewniono ją, że sprawa ruszy z miejsca z chwilą zakończenia wojny w Wietnamie; „to tylko kwestia czasu”, powiedział zaufany urzędnik.

Wyznała Tony'emu Angelowi, że nie może „angażować się uczuciowo”. Danny pomyślał wtedy, że być może ojciec tylko na to czekał. I możliwe, że biorąc pod uwagę heroiczne przedsięwzięcie Yi-Yiing, był dla niej wymarzonym i niezbyt absorbującym partnerem, a pokaźny bagaż doświadczeń dyskwalifikował go jako romantycznego kochanka. Co więcej, Yi-Yiing miała słabość do Joego; wnuk kucharza był rówieśnikiem jej córki.

Rozpoczynając związek z kobietą, Danny i jego ojciec zawsze mieli na uwadze dobro Joego. Danny lubił Yi-Yiing, również za jej szczerą sympatię do chłopca, chociaż przeszkadzało mu trochę, że jest w jego wieku. To, że go pociąga, również.

W ciągu tamtych trzech lat Danny i jego ojciec wynajmowali przy Court Street trzy różne domy, wszystkie od wykładowców, którzy akurat byli w rozjazdach. Court Street była wysadzaną drzewami ulicą z dużymi domami o trzech kondygnacjach; zamieszkiwali ją głównie członkowie kadry uniwersyteckiej. Leżała w pobliżu szkoły podstawowej, gdzie Joe chodził do drugiej, trzeciej i czwartej klasy. Znajdowała się w pewnym oddaleniu od śródmieścia, Danny zaś nigdy nie zapuszczał się w okolice Iowa Avenue, gdzie dawniej mieszkał wraz z Katie: drogę do Instytutu Filozofii i Anglistyki (gdzie miał swój gabinet) nad rzeką Iowa pokonywał inną trasą.

Mimo że mieszkanie przy Court Street było obszerne, Danny nie pracował w domu, przede wszystkim z powodu nieregularnych godzin pracy Yi-Yiing w Szpitalu Miłosierdzia. Często spała w sypialni ojca do południa, po czym w jedwabnej piżamie schodziła do kuchni i jadła

śniadanie. Poza obrębem szpitala nie rozstawała się ze swymi powłóczystymi piżamami z Hongkongu.

Yi-Yiing była niska, lecz zadziwiająco przysadzista; miała ładną twarz i długie, smoliste włosy. Posiadała wiele jedwabnych piżam w całej palecie wibrujących barw; Danny pamiętał, że nawet czarna zdawała się wibrować. Powabna wizja uśpionej w ojcowskim łóżku Yi-Yiing w wibrującej piżamie skutecznie uniemożliwiała mu skupienie. Dziewczyna i jej piżama, bądź kusząca emanacja obu, towarzyszyły Danny'emu aż do instytutu.

Danny odprowadzał Joego do szkoły, a następnie jechał do Instytutu Filozofii i Anglistyki, żeby popracować. Kiedy drzwi jego gabinetu były zamknięte, studenci i współpracownicy wiedzieli, że nie należy mu przeszkadzać.

– Nie mam pojęcia, jak możesz pisać w tak sterylnym miejscu – stwierdził pisarz Raymond Carver. Pracowali wtedy razem w instytucie.

– Nie jest tak… sterylne, jak ci się zdaje – odpowiedział Danny.

Drugi kolega, John Cheever, porównał instytut do hotelu – „na usługach niewolników konwencji” – ale Danny lubił swój gabinet na czwartym piętrze. Na ogół rano gabinety i sale wykładowe świeciły pustkami. Nie uświadczyłbyś tam nikogo prócz sekretarki, która chętnie zapisywała wiadomości i nie łączyła rozmów, chyba że dzwonił mały Joe lub ojciec Danny'ego.

Bez względu na estetykę gabinetu pisarze lubią miejsca, gdzie praca idzie im jak z płatka. I podczas gdy Joe bezpiecznie spędzał czas w szkole, Danny z przyjemnością przesiadywał w pracy. Cisza panująca na czwartym piętrze upodabniała instytut do sanktuarium, pod warunkiem że Danny wyszedł odpowiednio wcześnie.

Przecież pisarze nie ograniczają swego pisania do tego, co „dobre”, myślał Danny Angel, skrobiąc w zeszycie w

„Avellino”, bez reszty pochłonięty myślami o Iowa City. Napisał właśnie „dziecko na drodze”; być może zrobi z tego tytuł rozdziału, lecz słowa te kryły w sobie znacznie więcej. Po namyśle napisał „dziecko” wielką literą, ale to też mu się nie spodobało. Podobny problem miał z zapisanym wcześniej „błękitnym mustangiem”.

Widok znękanej twarzy mężczyzny nie pozostawiał wątpliwości, że owa czynność jest bardziej znacząca i bolesna niż zwykłe poszukiwanie tytułu. Bacznie obserwującym go Dot i May pisarz wydał się dziwnie pociągający i znajomy; obie nie spuszczały z niego oka. Wobec braku drogowskazów, które można by odczytać na głos, May chwilowo zaniemówiła, ale Dot szepnęła do przyjaciółki:

– Cokolwiek pisze, radochy mu to nie sprawia.

– Oj, dałabym mu radochę! – odszepnęła May i znów rozległ się charakterystyczny rechot.

Trudno było oderwać Danny'ego od pisania. Błękitny mustang i dziecko na drodze pochłonęły uwagę pisarza niemal bez reszty; nieważne, czy któreś sformułowanie nadawało się na tytuł. Zarówno błękitny mustang, jak i dziecko na drodze stanowiły potężny bodziec dla jego wyobraźni i znaczyły dlań o wiele więcej niż tytuły. Mimo to donośny rechot kazał mu podnieść głowę, a Dot i May pospiesznie odwróciły wzrok. Zrozumiał, że na niego patrzyły, poza tym mógł przysiąc, że gdzieś słyszał już ten charakterystyczny śmiech. Tylko gdzie i kiedy?

Widocznie od tamtej pory minęło zbyt wiele lat, gdyż Danny znów dał się porwać bardziej aktualnej, sugestywnej wizji pędzącego mustanga i bezbronnego dziecka na drodze. Gdzież mu było do dwunastolatka w leśnej kuchni, gdzie (i kiedy to) rechot Dot i May pojawiał się tak często jak przecinki. Z powrotem przeniósł uwagę na zeszyt;

myślami był w Iowa City, ale od Twisted River dzieliło go mniej, niż przypuszczał.

W pierwszym roku pobytu na Court Street Danny, jego ojciec i Joe przywykli do mieszkania z Yi-Yiing oraz jej niesamowitymi piżamami. Tak ułożyła sobie dyżury, że Joe po powrocie ze szkoły przeważnie zastawał ją w domu. Było to jeszcze zanim Joe zapałał miłością do roweru, gdy znajomości Danny'ego z kobietami miały raczej przelotny charakter; rzadko która z jego kochanek nocowała w domu przy Court Street. Ojciec po południu wychodził do „Mao”, to znaczy, jeśli akurat nie jechał z Xiao Dee Chengiem na Dolny Manhattan.

Owe dwie noce podczas nieobecności kochanka Yi-Yiing spędzała poza Court Street. Miała mieszkanie w pobliżu Szpitala Miłosierdzia; może od początku wiedziała, że Danny ma na nią ochotę; nigdy go nie prowokowała. Całą uwagę poświęcała kucharzowi i Joemu, chociaż to właśnie ona była pierwszą osobą, która poruszyła przy Dannym temat roweru. Mieszkali już wówczas w drugim domu przy Court Street; stamtąd było bliżej do ruchliwej Muscatine Avenue, lecz pomiędzy Court Street a szkołą Joego znajdowały się tylko małe, mniej uczęszczane uliczki. Mimo to Yi-Yiing nalegała, żeby Danny kazał Joemu jeździć po chodniku, a przy przejściu na drugą stronę ulicy miał schodzić z roweru.

– W tym mieście dzieciaki na rowerach bez przerwy wpadają pod samochody – powiedziała Danny'emu. Usiłował nie patrzeć na jej piżamę; wiedział, że powinien skupić się na słowach mądrości płynących z ust doświadczonej pielęgniarki. – Widuję ich na pęczki, zeszłej nocy też jednego mieliśmy – dodała.

– Jeździł w nocy na rowerze? – spytał Danny.

– Wpadł pod samochód na Dodge Street, gdy jeszcze było widno, ale w izbie przyjęć spędził całą noc.

– Wyjdzie z tego cało?

Yi-Yiing pokręciła głową; właśnie parzyła herbatę w kuchni drugiego domu przy Court Street i kawałek grzanki wisiał jej z ust jak papieros. Przeziębiony Joe nie poszedł do szkoły, a Danny pisał przy kuchennym stole.

– Każ Joemu jeździć po chodniku – powtórzyła. – A jeśli chce jechać do miasta, na basen, do zoo lub parku, na miłość boską, niech jedzie autobusem.

– Dobrze – odpowiedział Danny. Usiadła obok niego przy stole, z herbatą i resztką grzanki.

– Dlaczego siedzisz w domu? – zapytała. – Przecież jestem, tak? I nie śpię. Powinieneś jechać do gabinetu. Jestem pielęgniarką, Danny. Umiem zająć się małym.

– Dobrze – powtórzył Danny. Czy Joemu mogło coś grozić? Był pod opieką pielęgniarki z izby przyjęć, o dwu japońskich opiekunkach nie wspominając.

Tony i pielęgniarka większość wieczorów mieli zajętych; chłopcem opiekował się Danny lub jedna z japońskich bliźniaczek. Rodzice Sao i Kaori pochodzili z Jokohamy, ale bliźniaczki przyszły na świat w San Francisco i tam dorastały. Któregoś wieczoru Tony przyprowadził je z „Mao”; obudził syna, żeby przedstawić mu bliźniaczki, a następnie zaprowadził Sao i Kaori do pokoju Joego, aby popatrzyły na śpiącego chłopca.

– Widzicie? – szepnął do nich, podczas gdy rozespany Danny leżał nieprzytomnie na swoim łóżku. – Ten mały to istny anioł, łatwo się nim opiekować.

Ojciec nie lubił, kiedy Danny angażował do pomocy swoich studentów. Jego zdaniem byli roztargnieni i bujali w obłokach. Przecież młodzi pisarze bujają w obłokach, prawda? Danny zaś wiedział, że bujanie w obłokach budzi

odruchowy sprzeciw ojca. Poza tym uczestnicy warsztatów byli starsi od zwykłych studentów. „Za starzy na opiekunki!”, zawyrokował Tony Angel. Była to dla Danny'ego pewna nowość, niemniej jednak polubił Sao i Kaori, bliźniaczki jednojajowe, chociaż za nic nie umiał ich odróżnić. (Grunt, że Joemu w końcu się to udało).

„Jokohamy”, jak nazywał je w myślach Danny, tak jakby właśnie tak brzmiało ich nazwisko, skończyły studia licencjackie i pracowały w „Mao” na pół etatu jako kelnerki. Tym sposobem Iowa City zyskało azjatycki posmak nie tylko dla kucharza, lecz także dla jego syna oraz wnuka. Bliźniaczki rozmawiały ze sobą po japońsku ku uciesze Joego i wielkiej konsternacji jego ojca. Przeważnie opiekowały się chłopcem na zmianę. Wówczas nie padało ani jedno słowo po japońsku.

Jokohamy początkowo odnosiły się do Yi-Yiing z pełnym rezerwy szacunkiem; wszystkie trzy rzadko przebywały w domu w tym samym czasie. Częściej wpadały na siebie w „Mao”, dokąd Yi-Yiing przychodziła czasem (przeważnie sama) na późną kolację – zdecydowanie wolała dyżury nocne niż pracę za dnia.

Któregoś razu Xiao Dee wziął Yi-Yiing za jedną z kelnerek.

– Spóźniłaś się! – oznajmił na wstępie.

– Jestem klientką… mam rezerwację – odpowiedziała.

– O w mordę… ty jesteś pielęgniarką Tony'ego! – zawołał Xiao Dee.

– Tony jest za młody, żeby mieć pielęgniarkę – odparła Yi-Yiing.

Kucharz próbował później bronić Xiao Dee. („Kierowca z niego świetny, ale szef sali – do dupy”.) Yi-Yiing była jednak na tym punkcie przeczulona.

– Amerykanie biorą mnie za Wietnamkę, a jakiś szanghajski pajac z Queens myśli, że jestem kelnerką! – oznajmiła z pretensją.

Niestety, jedna z japońskich bliźniaczek, która była kelnerką – a przy tym w owej chwili pilnowała Joego – podsłuchała słowa Yi-Yiing.

– A cóż złego jest w byciu kelnerką? – zapytała pielęgniarkę Sao lub Kaori.

One też często były brane za wietnamskie narzeczone. Sao lub Kaori wyjaśniła Danny'emu, że w ich rodzinnym San Francisco ludzie potrafią odróżnić Japonkę od Wietnamki; na Środkowym Zachodzie rzecz miała się zupełnie inaczej. Cóż Danny mógł powiedzieć na tak haniebną ignorancję? Bądź co bądź nadal nie umiał odróżnić Sao od Kaori! A gdy Yi-Yiing posłużyła się „kelnerką” jako epitetem, ich szacunek do pielęgniarki z Hongkongu nabrał jeszcze większej rezerwy.

– Jesteśmy jedną szczęśliwą rodziną – próbował wyjaśnić później jednej ze swych starszych studentek. Youn była pisarką z Seulu; dołączyła do grupy Danny'ego w drugim roku jego pobytu w Iowa City. Uczył również paru weteranów z Wietnamu; oni też byli starsi. No i kilka pisarek, które rzuciły karierę, żeby wyjść za mąż i urodzić dzieci, a następnie się rozwiodły. Starsi studenci zyskiwali jedną, niekwestionowaną przewagę nad młodszymi: mieli o czym pisać.

Z całą pewnością dotyczyło to Youn. W Seulu padła ofiarą zaaranżowanego małżeństwa, a dokładniej „prawie” zaaranżowanego, jak napisała w powieści, nad którą pracowała.

Danny skrytykował to „prawie”.

– Albo było zaaranżowane, albo nie – powiedział.

Youn miała mlecznobiałą skórę i krótko obcięte czarne włosy z grzywką, spod której wyglądały wielkie

ciemnobrązowe oczy, nadające jej wygląd zabiedzonego dziecka, chociaż miała już po trzydziestce. Była rówieśnicą Danny'ego, a wysiłki mające na celu rozwód, tak by uniknąć „koreańskich hocków-klocków”, nadawały jej powieści dość skomplikowaną fabułę.

„Gdybym tak mógł uwierzyć i w jej powieść, i w słowa”, myślał pisarz Danny Angel. Kiedy ją poznał i przeczytał kilka pierwszych rozdziałów jej powieści, sam nie był pewien, czy może jej zaufać, zarówno jako kobiecie, jak i pisarce. Od samego początku jednak wpadła mu w oko, co pozwoliło złagodzić nieco niedozwolone fantazje z dziewczyną ojca (i jej niezliczonymi piżamami) w roli głównej.

– No cóż – skwitował Tony, kiedy Danny przedstawił mu Youn. – Mamy już chińską pielęgniarkę i dwie Japonki, znajdzie się miejsce i dla koreańskiej pisarki, prawda?

Ale wszyscy coś ukrywali, czyż nie? Kucharz i jego syn na pewno: byli zbiegami. Danny odnosił wrażenie, że chińska pielęgniarka ojca też nie mówi całej prawdy. A co do koreańskiej pisarki, wiedział z niezbitą pewnością, iż przejawia ona rzekomo umyślną zdawkowość – i to bynajmniej nie tylko na papierze.

Japońskie opiekunki nie budziły zastrzeżeń: ich przywiązanie do Joego było niezaprzeczalne, a sympatia do dziadka wynikała z zażyłości łączącej całą ekipę, która tworzyła ambitny chaos azjatycko-francuskiego bigosu „Mao”.

Nie żeby czułość, jaką Yi-Yiing darzyła chłopca, była udawana; pielęgniarka z pewnością zasługiwała na miano poczciwej duszy. Kompromisem był raczej jej związek z Tonym, być może dla obojga. Ale to on zwykł przeciągać strunę, nie ona; Yi-Yiing nie powinna była tolerować jego przygód z nomadkami, które poznawał na literackich rautach, lecz godziła się i na to. Podobało jej się, że

mieszka z chłopcem w wieku swojej córki; podobało jej się, że komuś matkuje. Przynależność do zdominowanej przez mężczyzn rodziny nosiła dla niej również posmak artystycznej przygody; wiedziała, że po przyjeździe rodziców i córki jej życie nabierze zgoła innego wymiaru.

Śmiałym, młodym lekarzom ze Szpitala Miłosierdzia, którzy wypytywali ją o stan cywilny – ma męża?, a może chłopaka? – odpowiadała ku ich zdumieniu, że „mieszka z pisarzem Dannym Angelem”. Widać lubiła tę odpowiedź nie tylko dlatego, iż zniechęcała ona potencjalnych adoratorów, ponieważ jedynie w obecności bliskich przyjaciół i znajomych dodawała: „W sumie to spotykam się z ojcem Danny'ego. Jest kucharzem w «Mao», ale nie Chińczykiem”. Tony rozumiał, że Yi-Yiing nie ma łatwego życia: była trzydziestolatką o niesprecyzowanej sytuacji życiowej, z dala od ojczyzny i córki, którą znała tylko ze zdjęć.

– O, znam twoją dziewczynę – zagadnęła Danny'ego na przyjęciu osoba pracująca w Szpitalu Miłosierdzia.

– Którą? – zapytał odruchowo; było to jeszcze zanim Youn dołączyła do jego grupy i (na długo) zanim wprowadzili się do drugiego domu przy Court Street.

– Yi-Yiing… Chinka, pracuje w…

– To dziewczyna mojego ojca – odpowiedział pospiesznie pisarz.

– Ach tak…

– O co chodzi Yi-Yiing? – zaczepił później ojca. – Ludzie myślą, że mieszka ze mną.

– O nic jej nie pytam, Danielu. A ona nie pyta mnie. I czy nie jest miła dla Joego? – zapytał. Obaj wiedzieli, że to samo powiedział niegdyś Danny o Franky, swojej dawnej studentce z Windham College. Ale i tak Danny uznał to za dziwne. Czyżby kucharz w pięćdziesiątym roku życia stał się bardziej wyzwolony niż jego syn pisarz? (Przynajmniej zanim Youn wprowadziła się do domu przy Court Street).

I o co chodziło z tym domem? Bez trudu się w nim mieścili; problem leżał w czym innym. Sypialni było dość, aby wszyscy sypiali oddzielnie; Youn trzymała swoje rzeczy i pracowała w jednym z pokoi gościnnych. Jak na bezdzietną trzydziestolatkę po skomplikowanym koreańskim rozwodzie – „skomplikowanym” przynajmniej w jej powieści – Youn miała zaskakująco niewiele przedmiotów. Czyżby zostawiła w Seulu wszystko, nie tylko swego rzekomo przerażającego byłego męża?

– Jestem studentką – powiedziała Danny'emu. – Co za ulga… nie mieć nic. – Pisarz uznał to za zręczną odpowiedź, ale Danny nie wiedział, czy jej wierzyć.

Jesienią 1973 roku, kiedy Joe poszedł do trzeciej klasy, jego dziadek trzymał na tylnym ganku skrzynkę z jabłkami. Ganek wychodził na wąską brukowaną alejkę, prowadzącą wzdłuż długiego rzędu domów skierowanych frontami na Court Street. Wyglądało na to, że alejka służy jedynie do wywożenia śmieci. Czasem powoli przejeżdżał tędy samochód, częściej zaś – a właściwie stale – widać było dzieci na rowerach. Na nieużywanym chodniku zalegała cienka warstwa piasku i żwiru, dzięki czemu dzieci mogły trenować poślizgi. Gdy Joe przewrócił się tam na rowerze, Yi-Yiing zdezynfekowała mu rozbite kolano.

Coś dobierało się na ganku do jabłek – Danny najpierw podejrzewał szopa, lecz okazało się, że w istocie był to opos. I gdy któregoś wieczoru Joe wyszedł na ganek i sięgnął ręką do skrzynki, opos wystraszył go śmiertelnie. Warknął, syknął, a może mruknął: chłopiec był tak przerażony, że nie umiał nawet powiedzieć, czy zwierzę go ugryzło.

– Ugryzł cię? – pytał Danny. Bez przerwy oglądał ręce syna w poszukiwaniu śladu ukąszenia.

– Nie wiem! – zawodził chłopiec. – Był biały, i różowy… wyglądał strasznie! Co to było?

– Opos – powtarzał Danny; widział, jak zwierzę ucieka. Były to wyjątkowo szpetne stworzenia.

Tej nocy, kiedy Joe zasnął, Danny wszedł do pokoju syna i obejrzał go całego dokładnie. Żałował, że Yi-Yiing nie ma w domu; miała dyżur w izbie przyjęć. Wiedziałaby, czy oposy chorują na wściekliznę – w Vermoncie często odnotowywano przypadki zachorowań szopów – i czy Joe został ugryziony. Nie doszukał się żadnych śladów.

Youn stała na progu i patrzyła.

– Nie wiedziałby, że go capnął? – zapytała.

– Był zbyt przestraszony i skołowany – odpowiedział Danny. Youn wytrzeszczała oczy na śpiącego chłopca, jakby sam był dzikim, nieznanym zwierzątkiem, i Danny uświadomił sobie, że często patrzyła na dziecko w ten sposób. Jeśli Yi-Yiing miała do niego słabość z powodu córki w tym samym wieku, to spojrzenia Youn wyrażały kompletny brak zrozumienia, tak jakby nigdy nie miała do czynienia z dziećmi.

No tak, ale gdyby dać wiarę jej opowieści (bądź powieści), uzyskanie rozwodu – a co więcej, uzyskanie na niego zgody męża – wynikło z jej niemożności zajścia w ciążę i urodzenia potomstwa. Do tego sprowadzała się zagmatwana fabuła: że mąż uwierzył, iż stara się zajść w ciążę, podczas gdy ona w istocie łykała pigułki antykoncepcyjne i stosowała kapturek dopochwowy, czyli stawała na głowie, żeby w ciążę nie zajść i nigdy nie urodzić dziecka.

Youn pisała swoją książkę po angielsku, nie po koreańsku, i zdaniem Danny'ego jej angielszczyzna była bez zarzutu; pisała nieźle, chociaż pewne elementy koreańskie nadal budziły wątpliwości. (Na czym właściwie polegały w Korei zasady udzielania rozwodów? Czy ta cała

szopka z udawaniem była konieczna? Przecież Youn twierdziła, że nienawidzi pigułek).

Mąż – a dokładniej chyba były mąż – w powieści Youn był kimś w rodzaju biznesmena-gangstera. Może był doskonale płatnym zabójcą albo wysługiwał się płotkami z gangsterskiego światka; Danny nie miał do końca pewności. Nie ulegało za to wątpliwości, że – zarówno w powieści, jak i w rzeczywistości – jest człowiekiem śmiertelnie wprost niebezpiecznym. Danny wolał nawet nie wnikać w sferę seksualną. Jednakże mimo wysiłków Youn, mających na celu ukazanie go w jak najgorszym świetle, w pewnym sensie budził współczucie; biedak wmówił sobie, iż sam jest winny tego, że podstępna żona nie może zajść w ciążę.

I wcale nie pomagało, że wieczorami dziewczyna opowiadała Danny'emu w łóżku najgorsze szczegóły swego nieudanego małżeństwa, w tym o niezaspokojonym apetycie męża na seks. (Przecież chciał, żebyś zaszła w ciążę, miał na końcu języka Danny, ale się pohamował. Być może seks stanowił katorgę dla obojga małżonków. Snute po ciemku opowieści i szczegóły książki zlewały mu się w jedno – a może były wymienne?).

Czy mąż fikcyjny, zimnokrwisty przedsiębiorca z powieści, nie powinien aby nosić innego imienia niż prawdziwy, zapytał Danny. Co się stanie, jeśli powieść wpadnie kiedyś w jego ręce? (Pod warunkiem że zostanie wydana). Czy nie dowie się wtedy, jak wyprowadziła go w pole – celowo unikając zajścia w ciążę, kiedy byli małżeństwem?

– Moje dawne życie dobiegło końca – obwieściła posępnie Youn. Obecnie seks nie stanowił dla niej katorgi, co również dziwiło Danny'ego.

Youn miała niewiele rzeczy i utrzymywała je w nienagannym porządku. Kosmetyki przechowywała w małej

łazience przyległej do nieużywanego pokoju gościnnego, w którym pisała. Ubrania powiesiła do szafy lub ułożyła w jedynej stojącej tam komodzie. Kiedyś, pod jej nieobecność, Danny zajrzał do szafki w łazience. Zobaczył tam pigułki antykoncepcyjne, zapisane przez lekarza w Iowa City.

Danny zawsze używał prezerwatywy. Stary nawyk i – zważywszy na znaczną liczbę partnerek – nie taki głupi. Tymczasem Youn powiedziała mu kiedyś: „Dziękuję, że stosujesz prezerwatywę. Tyle się nałykałam tych pigułek. Nie chcę więcej ich brać".

No ale brała, tak? Hm, skoro ojciec nie wypytywał Yi-Yiing, to jakim prawem Danny mógł oczekiwać odpowiedzi na swoje pytania? Czy jej życie nie było wystarczająco zagmatwane?

W ów beztroski świat pytań niezadanych i pytań bez odpowiedzi – nie tylko w kwestiach azjatyckich, lecz także pomiędzy ojcem a jego synem pisarzem – wdarł się błękitny mustang i zesłał na nich (chwilowe) opamiętanie oraz świadomość kruchej, nieprzewidywalnej natury rzeczy.

Pewnego sobotniego ranka jesienią, gdy w Iowa City odbywały się rozgrywki lokalnej drużyny futbolowej, Danny słyszał z oddali odgłosy meczu, z tym że nigdy nie umiał ich zlokalizować. Jeśli drużyna trenowała na stadionie Kinnick, za rzeką Iowa i wzgórzem, czy to możliwe, że hałas docierał aż na Court Street, po wschodniej części miasta?

Pogoda była ładna i Danny miał bilety na mecz. Wstał wcześnie i zrobił synowi naleśniki. W piątek ojciec pracował w „Mao" do późna, a w sobotę po meczu pewnie zabawi tam jeszcze dłużej. Na razie spał, podobnie jak Yi-Yiing po nocnym dyżurze w Szpitalu Miłosierdzia. Danny nie spodziewał się ujrzeć Piżamowej Pani przed południem. To Max, kolega Joego ze szkoły, pierwszy nazwał ją Panią Piżamową. Ośmiolatek nie mógł zapamiętać jej imienia.

Danny zmywał naczynia, a Joe bawił się na zewnątrz z Maksem. Znowu jeździli na rowerach w alejce; wzięli ze skrzynki parę jabłek, ale nie po to, żeby je zjeść. Danny zrozumiał potem, że zrobili z nich tor do jazdy slalomem. Lubił Maksa, ale chłopiec jeździł rowerem po całym mieście, co stanowiło źródło napięć między Joem a Dannym, który na to nie pozwalał.

Max był fanatycznym kolekcjonerem plakatów, naklejek i znaczków reklamujących piwo. Podarował Joemu dziesiątki takich przedmiotów i chłopiec paradował teraz z naszytymi przez Yi-Yiing łatami z reklamą browaru na kurtce, lodówka usiana była naklejkami, a plakaty zdobiły ściany pokoju Joego. Danny uważał, że to zabawne i zupełnie nieszkodliwe; w końcu ośmioletni chłopcy nie pili piwa.

Zapamiętał tylko pisk opon i za oknem mignęło mu coś niebieskiego. Wybiegł na ganek, gdzie – jak mu się zdawało – jedynym źródłem zagrożenia był opos.

– Joe! – krzyknął, lecz w odpowiedzi usłyszał tylko huk śmietników przewracanych na końcu alei przez niebieski samochód.

– Panie Angel! – dobiegło wołanie Maksa; chłopiec prawie nigdy nie schodził z roweru, ale tym razem pędził na złamanie karku.

Kilka jabłek ułożonych na drodze rozpłaszczyło się na placek. Danny zobaczył przewrócone rowery chłopców; Joe leżał obok swojego w pozycji embrionalnej.

Zauważył, że jest przytomny; wyglądał bardziej na przestraszonego niż rannego.

– Potrącił cię? Czy ten samochód cię potrącił? – zapytał syna. Chłopiec szybko potrząsnął głową, ale się nie ruszał; dalej leżał zwinięty w kłębek.

– Przewróciliśmy się, uciekając mu z drogi, jechał prosto na nas – wyjaśnił Max. – To był niebieski mustang, zawsze

jeździ jak wariat. Pewnie kolor robiono na zamówienie, ma taki dziwny odcień.

– Już go widziałeś? – zapytał Danny. (Max ewidentnie znał się na samochodach).

– Tak, ale nie tutaj… nie w alejce – odpowiedział chłopiec.

– Biegnij po Panią Piżamową, Max – poprosił Danny. – Jest na górze, z moim tatkiem. – Nigdy dotąd nie nazwał ojca „tatkiem”; zapewne stało się to pod wpływem szoku. Ukląkł obok Joego, niemalże bojąc się dotknąć roztrzęsionego chłopca. Przyszło mu do głowy, że Joe wygląda jak płód, który pragnie znaleźć się z powrotem w brzuchu matki. – Joe? – powiedział. – Czy coś cię boli? Złamałeś sobie coś? Możesz się ruszać?

– Nie widziałem kierowcy. To był sam samochód – wykrztusił chłopiec, który dalej tylko się trząsł. Pewnie słońce odbiło się od szyby, pomyślał Danny.

– Założę się, że to był jakiś smarkacz – stwierdził Danny.

– Nie miał kierowcy – upierał się Joe. Później Max zwrócił uwagę, że nigdy nie widział kierowcy, choć widywał już przedtem pędzącego mustanga.

– Pani Piżamowa! – dobiegło wołanie Maksa. – Tatku!

Tony usiadł na łóżku obok rozespanej Yi-Yiing.

– Jak myślisz, o co chodzi z tym „tatkiem”? – zapytał.

– Domyślam się, że to ja jestem Piżamową Panią – odrzekła sennie Yi-Yiing. – Więc ty musisz być tatkiem.

Na wieść o wypadku w alejce wynikło niemałe zamieszanie. Wizja Pani Piżamowej, pędzącej boso na miejsce zdarzenia, gdzie Joe siedział przytulony do ojca i kołysał się w przód i w tył, miała zapewne towarzyszyć Maksowi do grobowej deski. Jej towarzyszowi zabrało to nieco więcej czasu; Youn zdążyła oderwać się od pisania i też wyjrzeć na zewnątrz.

Elegancka pani z końca alei – to jej śmietniki zostały przewrócone przez znikającego błękitnego mustanga – zatrwożona podeszła bliżej. Była krucha i w podeszłym wieku, ale chciała sprawdzić, czy chłopcom nic się nie stało. Ona również widywała w okolicy samochód, ale jego kierowcę nigdy.

– Jaki to był odcień? – zapytał Danny.

– Taki… niecodzienny. Zbyt niebieski – odpowiedziała starsza pani.

– Mówiłem panu, że to robota na zamówienie – wtrącił Max.

– Już dobrze, jesteś cały – powtarzała Yi-Yiing; delikatnie obmacywała kończyny chłopca. – Nie uderzyłeś się w głowę, co? – zapytała; potrząsnął głową. Potem go połaskotała, pewnie żeby rozładować napięcie. Jej piżama nosiła tego ranka opalizujący odcień rybiej łuski.

– Wszystko gra, tak? – zapytała Youn. Koreańska rozwódka chciała chyba wrócić do pisania.

Nie, nie „gra”, pomyślał pisarz Danny Angel, skoro błękitny mustang bez kierowcy hula gdzieś po okolicy, ale uśmiechnął się do niej (Youn też była boso, miała na sobie dżinsy i podkoszulek) i do zmartwionego ojca. Pewnie wykuśtykał z pokoju na golasa, po czym złapał, co było pod ręką, gdyż miał na sobie szorty do joggingu Danny'ego; Danny zostawił je na balustradzie.

– Idziesz pobiegać, tatku? – Słowo przyszło naturalnie im obu, jak gdyby cios, którego przyszło im uniknąć, wyznaczył przełom lub nowy początek, w życiu wszystkich trzech. Może tak właśnie było.

Policjant nazywał się Colby. Tony uparcie nazywał go „panie władzo”, być może w szyderczym hołdzie pewnemu funkcjonariuszowi z przeszłości. Poza kiepską fryzurą,

młody policjant z Iowa City nie przypominał Carla. Miał jasną skórę, schludnie przystrzyżony wąsik i oczy w skandynawskim odcieniu błękitu; przeprosił, że tak późno zareagował na zgłoszenie o niebezpiecznym kierowcy, ale w soboty, gdy grała miejscowa drużyna, policja miała pełne ręce roboty. Był zarazem szczery i przyjazny, Danny z miejsca poczuł do niego sympatię. Jego uwagi nie uszła spostrzegawczość policjanta; Colby miał oko do szczegółów, piwne naklejki na lodówce też zauważył. Powiedział Danny'emu i jego ojcu, że policja miała już skargi na błękitnego mustanga, ale relacje świadków często były rozbieżne.

Figurka na masce przedstawiała mustanga lub – według zeznania rozhisteryzowanej gospodyni domowej z parkingu przed supermarketem – obsceniczną wersję centaura. Niektórzy świadkowie twierdzili, że miał tablicę rejestracyjną spoza stanu, a pewien student, którego motoru mało nie zmiotło z drogi na Dubuque Street, zaklinał się, że mustang miał lokalną tablicę. Nie było żadnych doniesień na temat kierowcy.

– Chłopcy zaraz wrócą ze szkoły – powiedział Danny do policjanta, który dyskretnie zerknął na zegarek. – Sam pan z nimi porozmawia. Ja widziałem tylko dziwny odcień błękitu.

– Czy mógłbym zobaczyć pokój pańskiego syna? – zapytał Colby.

Danny uznał to za osobliwą prośbę, ale nie widział powodu, żeby oponować. Oględziny trwały tylko chwilę; Colby nie skomentował piwnych plakatów i wszyscy trzej wrócili do kuchni, aby zaczekać na Maksa i Joego. Alejkę, gdzie błękitny mustang mało nie potrącił chłopców, funkcjonariusz uznał za bezpieczną do jazdy „w normalnych okolicznościach”, ponadto raczej podzielał zdanie Yi-Yiing na temat małych rowerzystów w Iowa City. Lepiej, żeby dzieci chodziły pieszo lub jeździły autobusem, a już na

pewno powinny unikać jazdy w śródmieściu. Po ulicach jeździło coraz więcej studentów, wielu spoza miasta, nie wspominając o kibicach w weekendy.

– Joe nie jeździ po śródmieściu, tylko przy domu. I zawsze przeprowadza rower na drugą stronę ulicy – powiedział Danny do policjanta, którego twarz wyrażała niedowierzanie. – Na prawdę – zapewnił pisarz. – Nie jestem pewien co do Maksa, ośmioletniego syna sąsiadów. Jego rodzice są chyba bardziej liberalni. To znaczy, w kwestii roweru.

– Idą – oznajmił ojciec; stał przy oknie, wypatrując powrotu chłopców.

Ośmiolatkowie zdziwili się na widok funkcjonariusza w kuchni; wymienili spojrzenia, jak gdyby przekazywali sobie jakąś tajną wiadomość, po czym wbili oczy w podłogę.

– Jeździcie za ciężarówkami z piwem – zauważył Colby. – Miejcie na uwadze, że błękitny mustang krąży po całym mieście. – Następnie zwrócił się do Danny'ego i jego ojca. – To grzeczni chłopcy, ale nagabują o gadżety kierowców, którzy wożą piwo. Widuję ich przy barach w śródmieściu. Upominam ich, żeby nie wchodzili do środka, i czasem muszę prosić, żeby nie jeździli za ciężarówkami od baru do baru, nie na rowerach. Ulice Clinton i Burlington są szczególnie niebezpieczne.

Joe unikał wzroku taty i dziadka.

– Za ciężarówkami z piwem – powtórzył jak echo ten ostatni.

– Muszę lecieć – oznajmił Max i już go nie było.

– Kiedy widuję ich w parku – podjął Colby – przypominam, żeby nie jeździli po Dubuque Street. Bezpieczniej przejechać mostek za związkiem studentów i potem ścieżką po stronie Hancher. Ale podejrzewam, że to dłuższa droga do parku i zoo, prawda? – zwrócił się do

Joego. Chłopiec tylko pokiwał głową; wiedział, że wpadł po uszy.

Wczesnym rankiem następnego dnia, kiedy Youn spała jak kamień, a Yi-Yiing nie wróciła jeszcze z dyżuru w Szpitalu Miłosierdzia, Danny wszedł do pokoju Joego i popatrzył na syna uśpionego w piwnym sanktuarium.

– Pobudka – powiedział, potrząsając nim delikatnie.

– Nie za wcześnie do szkoły? – spytał rozespany chłopiec.

– Może dziś nie pójdziesz do szkoły – oznajmił Danny. – Powiemy, że jesteś chory.

– Kiedy nic mi nie jest – zaoponował Joe.

– Wstawaj i się ubieraj, Joe. Owszem, jest – zakomunikował mu ojciec. – Umarłeś. Już nie żyjesz.

Wyszli z domu bez śniadania i pomaszerowali Muscatine Avenue. Wczesnym rankiem na Muscatine panował wzmożony ruch; ulica zakręcała w Iowa Avenue, dwukierunkową szosę przedzieloną pośrodku paskiem trawy.

Kiedy Joe był mały i mieszkali wraz z Katie w szeregowcu przy Iowa Avenue, często narzekali na hałas płynący z ulicy; okoliczne budynki mieszkalne (w tym pewien szczególnie głośny akademik bliżej śródmieścia) pozajmowane były przez nieco zamożniejszych studentów i doktorantów. Jednakże jesienią 1973 roku, gdy Danny podążał Iowa Avenue ze swym synem trzecioklasistą, życie na wysadzanej drzewami ulicy było jeszcze droższe; obecnie mieszkała tu młodsza kadra akademicka, bardziej utytułowana być może też.

– Czy to nie tu mieszkałeś z mamą? – zapytał Joe, kiedy zmierzali w stronę kampusu i śródmieścia.

– Chciałeś powiedzieć mieszkaliśmy z mamą. Właśnie tu – potwierdził Danny. Gdzieś pomiędzy skrzyżowaniami z Johnson i Gilbert rozpoznał szary dwupiętrowy dom;

zajmowali we trójkę cały parter. Dom od tamtego czasu odmalowano, pod koniec lat sześćdziesiątych był jasnożółty, i przypuszczalnie zajmowała go teraz jedna rodzina.

– Ten szary? – upewnił się Joe, ponieważ tata przystanął. Ruch po tej stronie odbywał się w kierunku śródmieścia. Samochodów przybywało z każdą chwilą.

– Tak, szary – powiedział Danny; odwróciwszy się plecami do fasady, stanął przodem do alei. Zauważył, że rośliny, które porastały pasek zieleni dzielący oba pasma, w ciągu minionych sześciu lat zdążyły utworzyć gęsty żywopłot.

– Dziadek mówił, że nie lubisz Iowa Avenue. I że nie lubisz nawet tędy jeździć – zauważył Joe.

– To prawda, Joe – odparł Danny. Stali ramię w ramię, patrząc na przejeżdżające samochody.

– O co chodzi? Mam szlaban? – zapytał chłopiec.

– Nie, nie masz szlabanu. Ty nie żyjesz – odpowiedział ojciec i wskazał na ulicę. – Zginąłeś tam, na drodze. Była wiosna tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego siódmego roku. Nosiłeś jeszcze pieluszkę, miałeś dopiero dwa lata.

– Potrącił mnie samochód?

– Niewiele brakowało. Ale gdyby naprawdę cię potrącił, ja też bym umarł.

Tamtego ranka na Iowa Avenue zauważył ich tylko jeden kierowca na przeciwległym pasmie ulicy – była nim Yi-Yiing powracająca na Court Street z nocnego dyżuru. Tuż obok nich przejechał kolega Danny'ego z warsztatów, poeta Marvin Bell. Zatrąbił, ale ojciec i syn nie zwrócili na niego uwagi.

Może Danny i Joe tak naprawdę nie stali na chodniku twarzą do ulicy; może cofnęli się w czasie do wiosny 1967 roku. Daniel Baciagalupo, który w owym czasie nie miał jeszcze swojego *nom de plume*, znalazł się tam na pewno.

Zdawało mu się często, że uwiązł w tamtej chwili na zawsze.

W „Avellino” Loretta przyniosła pisarzowi pierwsze danie niespodziankę: *satay* Ah Gou w sosie z orzeszków ziemnych z dodatkiem tempury. Loretta przyniosła również pałeczki, ale zwlekała z ich podaniem.

– Jesz pałeczkami? Nie pamiętam – powiedziała. (Pisarz wiedział, że kłamie).

– Jasne – odpowiedział.

Dalej stała z pałeczkami w rękach.

– Wiesz co? Za dużo czasu spędzasz sam – oznajmiła.

– To prawda – przyznał. Flirtowali ze sobą, lecz nie posuwali się ani o krok dalej; w świetle związku ich rodziców sama myśl o tym, że mieliby iść ze sobą do łóżka, była dla nich obojga odpychająca.

Ilekroć przychodziło to Danny'emu do głowy, słyszał w uszach słowa Loretty: „Przecież to byłoby kazirodztwo czy coś!”.

– Co tam skrobiesz? – zapytała Loretta; uznała, że dopóki trzyma pałeczki, on dalej będzie na nią patrzył.

– Taki jeden dialog.

– Coś jak nasz?

– Nie… niezupełnie – odpowiedział. Loretta uznała sprawę za przegraną i podała pałeczki. Mogła zajrzeć mu przez ramię, ale wydawał się rozdrażniony i wolała się nie narzucać.

– Cóż, mam nadzieję, że niespodzianka będzie smakować – uśmiechnęła się.

Tony wiedział, że Danny zamawiał to w „Mao” co najmniej ze sto razy.

– Powiedz tacie, że super – rzucił, gdy odchodziła od stolika.

Rzucił okiem na zapisany dialog. Chciał, żeby był dosłowny; miał zabrzmieć dokładnie tak, jak ośmiolatek uroczyście powtórzyłby za ojcem. („Dlaczego też byś umarł, gdyby naprawdę mnie potrącił?”, zanotował).

Rozmowa Danny'ego z Lorettą nie uszła uwagi Dot i May, które wciąż czekały na swoje pizze. Za ten dialog dałyby się pokroić.

– Kelnerka chce go bzyknąć, ale nic z tego – oznajmiła Dot.

– Taa, jest bardziej zainteresowany pisaniem – uzupełniła May.

– Co on tam wcina? – zaciekawiła się Dot.

– Coś pałeczkami – uznała May. – Na moje oko niezbyt zjadliwe.

– Czuję, że pizza będzie do bani – powiedziała Dot.

– No, wcale bym się nie zdziwiła – przyznała May.

– Popatrz ty na niego! – szepnęła Dot. – Żarcie stoi przed nim, a ten dalej skrobie!

Potrawa nie pozostawiała nic do życzenia; Danny lubił większość wspomnień związanych z „Mao”, a za jedzeniem wprost przepadał, bez wyjątku. Dialog też był niczego sobie; uznał, że się nadaje. Ale nie pasował mu do reszty; musi zaczekać i wstawić go w odpowiedniej chwili. I zanim przeniósł uwagę na wołowe *satay*, zakreślił zdanie kółkiem i zanotował na marginesie:

„Nie teraz. Najpierw opowiedz o pieczonej świni”.

Rozdział 10
PANI NIEBO

Wiosna w Iowa jest niesamowita; pola nosiły niespotykany wprost odcień zieleni. Wszyscy, od sztuk pięknych po warsztaty pisarskie, na wyścigi urządzali ogniska z pieczeniem prosiaka. Za czasów studenckich Danny unikał większości imprez literatów, ale Katie ciągnęła go na przyjęcia artystów, jego zdaniem jeszcze gorsze niż wymęczone rauty kolegów po piórze. Katie znała wszystkich na miejscowym wydziale sztuk dzięki udziałowi w zajęciach rysowania z natury; Danny pozował wprawdzie w New Hampshire, ale wtedy jeszcze nie był żonaty. W Iowa czuł się nieswojo na myśl, że wielu przyszłych artystów – o kadrze nie wspominając – widziało jego żonę na golasa. Większości z nich nie znał nawet z imienia.

Mieli problem z dotarciem na miejsce. Mały Joe płakał całą drogę do Tiffin, ale Danny, który siedział za kierownicą, nie pozwolił Katie wypiąć go z fotelika. W Tiffin zjechali z autostrady, ale zgubili się w pobliżu North Liberty; Buffalo Creek Road albo nie istniała, albo też była nieoznaczona, i zanim dojechali do zrujnowanej farmy, Danny zdążył wypowiedzieć parę uszczypliwych uwag pod adresem studentów wydziału sztuk. Którzy jego zdaniem albo nie umieli się wysłowić, albo byli zbyt uduchowieni, w przeciwnym razie potrafiliby wskazać drogę jak należy.

– No i co, jeśli nie znajdziemy tej głupiej farmy? – zapytała Katie. – I tak nie lubisz jeździć na moje imprezy.

– Na swoje też nie – zaznaczył.

– Rozrywkowy z ciebie gość, głąbie – burknęła.

Farmer karmił świnie wczesnym rankiem, a potem późnym popołudniem; mieszkał na jednym z tych

podobnych do moteli, ale piekielnie kosztownych rancz na Rochester Avenue w Iowa City i wynajmował rozpadającą się farmę czterem obszarpańcom – absolwentom wydziału sztuk pięknych. Katie mówiła o nich „artyści”, tak jakby już coś osiągnęli.

Danny był bardziej cynicznie usposobiony; uważał ich za trzech niedorobionych malarzy i jednego pretensjonalnego fotografa. Wiedział wprawdzie, że niedorobieni malarze szkicowali Katie na takich czy innych zajęciach, ale nie miał pojęcia, że pozowała nago fotografowi – oświeciła go dopiero po drodze – i nie był przygotowany na rozwieszone w całym domu szkice i zdjęcia przedstawiające nagą żonę.

Joe początkowo nie rozpoznał mamy; w kuchni i jadalni wisiały jej akty rysowane węglem.

– Niezły wystrój – powiedział Danny do żony. Wzruszyła ramionami. Zobaczył, że ktoś zdążył jej podać kieliszek wina. Miał nadzieję, że jest też piwo; prowadził i zawsze jechało mu się nieco lepiej po piwie.

Jeszcze w samochodzie odezwał się kąśliwie:

– Nie wiedziałem, że na zajęcia rysowania z natury uczęszczają fotografowie.

– Nie uczęszczają – odparła Katie. – Umówiliśmy się po godzinach.

– Umówiliście się – powtórzył.

– Jezu, ten znowu jak papuga – burknęła. – Jak jego pieprzony ojciec.

Podczas gdy Danny bezskutecznie przetrząsał lodówkę w poszukiwaniu piwa, Joe oznajmił, że chce siusiu. Ojciec wiedział, że chłopiec nie umie jeszcze korzystać z toalety. Gdy sygnalizował, że chce siusiu, znaczyło, że pora zmienić mu pieluchę.

Katie niechętnie nosiła w torebce pieluchy, ale że bardzo chciała jechać na ognisko, tym razem nie oponowała. Aż do

tej chwili.

– Pora, żeby dwulatek nauczył się lać do kibla, nie? – warknęła do Danny'ego, podając mu pieluchę. Słowo „dwulatek” brzmiało w jej ustach jak obelga.

W łazience na parterze w prysznicu brakowało zasłony, podłoga była mokra. Ojciec i syn umyli ręce nad brudnym zlewem, lecz próba znalezienia ręcznika okazała się równie bezowocna jak wcześniejsze poszukiwanie piwa.

– Pomachajmy rękami – powiedział Danny do chłopca, który pomachał ojcu jak na do widzenia, jedną rączką.

– Obiema rękami, Joe.

– Patrz... mamusia! – zawołał chłopiec. Wskazywał na zdjęcie wiszące na ścianie za plecami ojca. Nad pustym wieszakiem na ręczniki umieszczono tablicę korkową, do której ktoś przypiął pinezkami kilka odbitek. Katie stała nago, zasłaniając rękami drobne piersi, lecz miała zupełnie odsłonięte krocze, przez co rzekomo wstydliwy gest zakrawał na kpinę. Najwyraźniej był to celowy zabieg, ale co miał wyrażać? I czy pomysł wyszedł od Katie, czy może od samego fotografa? Danny przypomniał sobie, że miał na imię Rolf i nosił brodę.

– Zgadza się, ta pani jest bardzo podobna do mamusi – odparł wymijająco Danny, ale trafił jak kulą w płot. Joe zmarszczył brwi i przyjrzał się uważniej.

– To mamusia – oznajmił.

– Tak myślisz? – zapytał ojciec. Ujął synka za rączkę i wyprowadził go z obskurnej łazienki.

– Tak, to mamusia – powtórzył markotnie Joe.

Danny nalał sobie czerwonego wina; nie znalazł wolnego kieliszka, ale wykorzystał do tego celu szklankę do mleka. Plastikowych kubków też nie było. W jednej z szafek kuchennych znalazł kubek do kawy, wprawdzie fajansowy, więc niezbyt odpowiedni dla dziecka, ale o dość solidnym

wyglądzie, i nalał Joemu trochę oranżady. Z mlekiem wolałby nie ryzykować, nawet gdyby je znalazł, z braku laku wystarczyła oranżada.

Przyjęcie odbywało się na trawniku, w pobliżu zagrody dla świń. Zważywszy na porę, farmer zdążył już zapewne nakarmić zwierzęta i odjechać. Świnie sprawiały wrażenie zadowolonych, spoglądały na gości z niemalże ludzką ciekawością w oczach; Danny przypuszczał, że rzadko widują tylu „artystów” naraz.

Zauważył, że na przyjęciu nie było więcej dzieci ani małżeństw.

– Jest ktoś z kadry? – zapytał Katie, która zdążyła już ponownie napełnić kieliszek, albo zrobił to za nią ktoś inny. Wiedział, że liczyła na przyjazd Rogera. Roger uczył rysowania z natury; Katie z nim sypiała. I nadal będzie sypiać z Rogerem, kiedy oznajmi Danny'emu o swym odejściu, lecz od tego wydarzenia dzieliło ich jeszcze parę dni.

– Myślałam, że będzie Roger, ale chyba nie przyjechał – odpowiedziała z rozczarowaniem. Stała obok Rolfa, brodatego fotografa; Danny zrozumiał, że zwraca się właśnie do niego. Przypomniał sobie, że Roger też ma brodę. Wiedział, że Katie sypia z Rogerem, lecz oto nagle przyszło mu do głowy, że być może sypia również z Rolfem. Może przechodzi przez fazę brody, pomyślał. Patrząc na Rolfa, zachodził w głowę, gdzie też „umówili się” na zdjęcia.

– Ładne zdjęcia – powiedział Danny.

– A, widziałeś – rzucił od niechcenia Rolf.

– Wisisz wszędzie – odezwał się do żony, która tylko wzruszyła ramionami.

– Widziałeś mamusię? – zapytał Joego Rolf, który zawisł nad chłopcem, jakby miał do czynienia z kimś głuchym jak pień.

– On prawie nie gada – wtrąciła Katie, co było dalekie od prawdy; Joe był bardzo wygadany jak na dwulatka, jak na jedynaka przystało. Danny rozmawiał z nim non stop, pewnie za sprawą swojej profesji.

– Mamusia jest tutaj – odparł chłopiec, wskazując na Katie.

– Nie, miałem na myśli zdjęcia – wyjaśnił Rolf. – W łazience.

– To jest mamusia – upierał się Joe, dalej wskazując na matkę.

– A nie mówiłam? – burknęła Katie.

Danny nie wiedział jeszcze o jej planach wybawienia od wojny kolejnego głupiego chłopca; od tych rewelacji również dzieliło go parę dni. Ale gdy dowie się o zamiarach Katie, przypomni sobie rozmowę Rolfa z Joem. Rolf pasował wprawdzie do kategorii głupoli, ale broda nie zgadzała się Danny'emu z „chłopcem”. Nigdy nie pozna chłopca, który stał się kolejnym „ojcem Kennedy'ego”, ale jakoś nigdy nie wyobrażał go sobie z brodą.

Trzech malarzy krążyło wokół ogniska, nad którym dopiekał się prosiak. Danny i Joe stanęli w pobliżu.

– Jeszcze nie doszło – oznajmił jeden; on również nosił brodę, co kazało Danny'emu spojrzeć na niego uważniej.

Rozpalili ognisko – według relacji brodatego malarza, „buchające jak cholera” – a gdy już tylko się tliło, rozłożyli nad nim sprężyny podwójnego materaca. (Znaleźli je w stodole, a właściciel zapewniał, że w stodole są tylko śmieci). Położyli prosię na rozgrzanych do czerwoności sprężynach, ale teraz nie mieli jak dołożyć drewna. Gdy spróbowali podnieść sprężyny, świnia zaczęła się rozpadać. Wyglądała tak żałośnie, że Danny wolał odwrócić od niej uwagę Joego, zwłaszcza z uwagi na obecność żywych świń. Nie dlatego, że rozlatujące się truchło na dymiących

sprężynach było jeszcze do świni podobne, broń Boże. Joe nie miał pojęcia, na co patrzy.

– Poczekamy, aż dojdzie – rzucił filozoficznie trzeci malarz pod adresem Danny'ego.

Joe ściskał rękę taty. Nie zapuszczał się w pobliże kopcącego ogniska; wystarczy, że widział dymiącą dziurę.

– Chcesz zobaczyć świnki? – zapytał Joe, ciągnąc ojca za rękę.

– Chodźmy – odpowiedział Danny.

Reszta świń sprawiała wrażenie kompletnie nieświadomych faktu, że jedna z nich poszła na przemiał, patrzyły tylko na ludzi przez szczeliny w płocie. Wszyscy napotkani tubylcy mówili Danny'emu, że przy świniach lepiej uważać. Są podobno bardzo mądre, ale starsze sztuki bywają niebezpieczne.

Zastanawiał się, jak odróżnić starsze świnie od młodszych; może należało kierować się ich rozmiarem. Jednak wszystkie w zagrodzie sprawiały wrażenie po prostu ogromnych. Danny po namyśle uznał, że zarżnięto dość młodego prosiaka, był bowiem o wiele mniejszy od pozostałych.

– I co myślisz? – zapytał synka.

– Duże świnki! – odpowiedział chłopiec.

– Tak jest – potwierdził ojciec. – Duże świnki. Ale nie dotykaj, bo mogą ugryźć. Nie wkładaj rączek do zagrody, dobrze?

– Gryzą – powtórzył uroczyście chłopczyk.

– Nie podchodź bliżej, dobrze? – poprosił ojciec.

– Dobrze – odpowiedział Joe.

Danny obejrzał się na trzech malarzy dalej stojących przy ognisku. Nie patrzyli na świnię, tylko na niebo. Podążył za ich spojrzeniem. Na horyzoncie, na północ od farmy,

pojawił się niewielki samolot. Wciąż nabierał wysokości, jeszcze go nie było słychać. Farma leżała na południe od Cedar Rapids, gdzie znajdowało się lotnisko; pewnie tam wystartował.

– Samolot. Nie ptak – dobiegły Danny'ego słowa syna; Joe również spoglądał w niebo.

– Samolot, tak. Nie ptak – powtórzył.

Minął ich Rolf, napełniając po drodze szklankę Danny'ego czerwonym winem.

– Mamy też piwo, widziałem je gdzieś w wiaderku z lodem – rzucił fotograf. – Podobno pijesz piwo.

Danny był ciekaw, skąd Rolf o tym wie; Katie musiała mu powiedzieć. Patrzył, jak fotograf idzie do niej z butelką wina. Nie patrząc na samolot, Rolf wskazał butelką na niebo i Katie też przeniosła tam wzrok. Doleciał ich cichy odgłos, gdzieś z wysoka; na pewno nie był to samolot do spryskiwania pól, uznał Danny.

Rolf szeptał coś Katie do ucha, podczas gdy ona dalej obserwowała samolot. Coś się dzieje, pomyślał pisarz, przy czym miał na myśli Katie i Rolfa, a nie samolot. Następnie zauważył, że trzej malarze szepczą między sobą; oni również nie odrywali wzroku od samolotu.

Joe chciał, żeby go wziąć na ręce, może przeraził się rozmiarem świń. Dwie z nich były szaroróżowe, ale pozostałe miały czarne łaty.

– Wyglądają jak różowo-czarne krowy – powiedział Danny do syna.

– Nie, to są świnki. Nie krowy – odparł chłopiec.

– Masz rację – odpowiedział Danny. Katie skierowała się w ich stronę.

– Zobacz świnki, mamusiu – zapiszczał Joe.

– Fuj – burknęła. – Patrz na samolot – powiedziała do męża. I odeszła, ale Danny zdążył poczuć zapach

marihuany, pewnie został jej na włosach. Nie widział, żeby paliła czy choćby się zaciągnęła, musiało to być wtedy, gdy zmieniał Joemu pieluchę. – Powiedz dzieciakowi, żeby patrzył na samolot – rzuciła na odchodne. Danny uważał, że nie powinna mówić o swoim synu „dzieciak”. Brzmiało to tak, jakby był cudzym dzieckiem.

Mały samolot przestał piąć się w górę; wyrównał kurs i znajdował się dokładnie nad farmą, tyle że wciąż bardzo wysoko. Chyba zwolnił; wyglądał tak, jakby zawisł nad nimi i prawie się nie poruszał.

– Mamy patrzeć na samolot – powiedział do synka Danny, całując go w karczek, ale sam nie spuszczał oka z żony. Dołączyła do malarzy przy ognisku, był z nimi Rolf. Spoglądali wyczekująco na samolot, ale Danny zapatrzył się na nich i coś przegapił.

– Nie ptak – usłyszał słowa Joego. – Nie leci. Spada!

Kiedy Danny podniósł wzrok, nie był pewien, co dokładnie wypadło z samolotu: w każdym razie z zawrotną prędkością leciało w dół, prosto na nich. Kiedy otworzył się spadochron, malarze i Rolf zaczęli wiwatować. Durnie wynajęli dla zabawy spadochroniarza, pomyślał Danny.

– Co to spada? – zapytał Joe.

– Spadochroniarz.

– Spa… co?

– Osoba ze spadochronem – tłumaczył Danny, ale mały Joe nie rozumiał.

– Co?

– Dzięki spadochronowi nie spada zbyt szybko, nic jej się nie stanie – wyjaśnił Danny, ale Joe kurczowo uchwycił się jego szyi. Poczuł zapach marihuany i zrozumiał, że Katie stoi obok.

– Czekaj tylko… patrz dalej – powiedziała i znowu odeszła.

– Spado… co? – mówił Joe. – Chro… co?

– Spadochron – powtórzył Danny. Joe patrzył z otwartą buzią, jak spadochron spływa coraz niżej. Był ogromny, w barwach flagi amerykańskiej.

Piersi nie pozostawiały wątpliwości.

– To pani – oznajmił mały Joe.

– W rzeczy samej – odpowiedział jego ojciec.

Teraz wszyscy stali z zadartymi głowami, nawet świnie. Danny nie zwrócił uwagi, w którym momencie zauważyły spadochroniarkę, lecz uczyniły to z całą pewnością. Nie przywykły zapewne do widoku latających ludzi, którzy spadali im na głowy, ani olbrzymich spadochronów, które rzucały cień na całą zagrodę.

– Pani Niebo! – krzyknął Joe, wskazując palcem nagą spadochroniarkę.

Kiedy pierwsza świnia z piskiem rzuciła się do ucieczki, pozostałe poszły za jej przykładem. Zapewne w tej właśnie chwili Pani Niebo zrozumiała, że wyląduje w zagrodzie dla świń. I zaczęła kląć.

Teraz już wszyscy, nawet odurzeni trawą i nawaleni w sztok, zrozumieli, że mają przed sobą naguskę. Artyści od siedmiu boleści, pomyślał Danny. Oczywiście nie mogli po prostu wynająć spadochroniarki, musiała być na golasa. Katie sprawiała wrażenie niewzruszonej jak głaz – niewykluczone, że była zazdrosna. Być może chętnie zamieniłaby się z tamtą miejscami; konkurencja w postaci drugiej nagiej modelki na imprezie zapewne wcale jej się nie uśmiechała.

– Jezu, ona leci do jebanej zagrody! – jęczał Rolf. Dopiero zauważył? Pewnie to on kopcił z Katie marihuanę. (Danny odkryje któregoś dnia, że Rolf był z pewnością dość głupi,

żeby go ratować, choć może niekoniecznie przed wojną w Wietnamie).

– Potrzymaj go – powiedział Danny, podając żonie Joego.

Rozwścieczona goła kobieta przeleciała im nad głowami. Danny podskoczył, usiłując chwycić jej stopy, lecz popłynęła dalej, klnąc na czym świat stoi. Ponad głowami ludzi i świń rozpędzona wagina dotarła nad zagrodę, coraz niżej i niżej.

– Niech ktoś jej powie, że pod tym kątem goła babka wygląda nie najlepiej – rozległ się głos Katie. Zapewne zwracała się do Rolfa, Joe nie zrozumiałby z tego ani słowa. Zresztą „dzieciakowi” nie miała nigdy wiele do powiedzenia.

W zagrodzie było pełno błota, ale Danny biegał już w takich warunkach: wiedział, jak poruszać stopami. Nie zwracał uwagi na świnie, ale czuł, że one też biegną. Widział tylko spadającą kobietę. Wreszcie dotknęła stopami ziemi i pośliznęła się w łajnie, spadochron opadł tuż za nią. Zanim zdążył ją podtrzymać, upadła na biodro; spadochron pociągnął ją w bok, przewracając na brzuch. Zdumiała się na jego widok, podobnie jak oboje zdumieli się strasznym smrodem i bliskością zwierząt. Otoczyło ich rozgłośne chrumkanie; jedna ze świń nadepnęła na spadochron, lecz czując pod kopytami ciało obce, spanikowała i z kwikiem rzuciła się do ucieczki.

Spadochroniarka… była ogromna. Danny nie dałby rady wynieść jej z zagrody, ale zobaczył, jak szarpie się z uprzężą spadochronu, którego nie sposób było wlec po błocie, i rzucił się do pomocy. Cała była w błocie i świńskim łajnie. Usiłując pozbawić ją pasków zapiętych między piersiami, musnął wierzchem dłoni ubrudzony sutek. Dopiero wtedy zrozumiał, że sam też kilkakrotnie legł w błocie; wyglądał nie lepiej niż spadochroniarka.

– Nikt mi nie mówił, że to zasrana świńska farma! – wściekała się. Miała krótko ostrzyżone włosy i wygolony

wzgórek łonowy z wąskim paskiem włosów, ale od góry do dołu była blondynką.

– Banda debilnych artystów… ja nie miałem z tym nic wspólnego – prychnął Danny.

Zobaczył po bliźnie, że miała cesarkę. Wyglądała na jakieś dziesięć lat starszą od niego, pewnie miała po trzydziestce. I ewidentnie ćwiczyła na siłowni. Tatuaże ginęły pod warstwą błota, ale cała jej postać zdecydowanie kłóciła się z wizją nagości hołubionej przez artystów; miał szczerą nadzieję, że przerosła ich oczekiwania.

– Mam na imię Danny – powiedział.

– Amy – odpowiedziała. – Dzięki.

Gdy wyzwoliła się ze spadochronu, Danny oparł dłoń w zagłębieniu jej pleców i pchnął ją lekko.

– Biegnij do ogrodzenia – polecił. – Tylko się nie zatrzymuj. – Przez cały czas nie odrywał ręki od jej pleców. Świnia śmignęła obok, jakby nie goniła ich, tylko usiłowała wyprzedzić. Możliwe, że przed nimi uciekała. Mało nie zderzyli się z drugą, która pędziła w przeciwnym kierunku. Być może przyczyną zdenerwowania zwierząt nie była golaska, tylko spadochron.

– Pani Niebo! – usłyszeli głos Joego.

– Pani Niebo! – podchwycił ktoś inny.

– Tylko mi pokaż tych debili – odgrażała się Amy, kiedy dotarli do ogrodzenia. Przesadziła je bez niczyjej pomocy. Danny rozejrzał się za synem, ale nie było go z Katie, która stała z Rolfem i trzema malarzami.

– To tamci – powiedział do Amy, wskazując na nich palcem. – Ci, którzy stoją z drobną kobietą, ale ona nie brała w tym udziału. Tylko dwóch gości z brodą i dwóch bez.

– Ta świnka nie gryzie. – Danny'emu wydało się, że słyszy cichy, zdziwiony głosik syna.

– Joe! – krzyknął.

– Jestem tutaj, tatusiu.

Wówczas zrozumiał, że Joe znajduje się w zagrodzie wraz z nim. Stał obok jednej z różowo-czarnych świń; dopiero musiała się zatrzymać, gdyż brakowało jej tchu, ale tkwiła nieruchomo jak posąg. Przyspieszony oddech stanowił jedyną oznakę życia – nie licząc tego, że stała z głową przechyloną w stronę chłopca, który trzymał ją za ucho. Może spodobało się jej, że ktoś miętosi jej ucho bądź też lekko za nie pociąga. W każdym razie im dłużej chłopiec to robił, tym bardziej skłaniała ku niemu głowę.

– Świnki mają fajne uszy – zauważył Joe.

– Joe, wyjdź z zagrody… natychmiast – polecił ojciec. Musiał niechcący podnieść głos, ponieważ świnia gwałtownie szarpnęła głową, jakby niezadowolona, że ktoś przerywa masaż. Dzieliło ich jedynie niskie koryto; świnia pochyliła głowę i spojrzała na Danny'ego wyzywająco. Nie ruszył się z miejsca, dopóki Joe nie przelazł bezpiecznie na drugą stronę płotu.

W ogólnym zamieszaniu nie zauważył, że samolot kołuje nisko nad ziemią. Obaj piloci zapewne woleli sprawdzić, czy Amy wylądowała bezpiecznie, ale ona pokazała im środkowy palec, a właściwie oba, na co samolot machnął skrzydłem i odleciał w kierunku Cedar Rapids.

– Witamy na farmie Buffalo Creek – powiedział Rolf. Niestety, to również umknęło uwagi Danny'ego, w odpowiedzi Amy złapała bowiem fotografa za ramiona i grzmotnęła go z bańki w czoło i grzbiet nosa. Rolf zatoczył się do tyłu i upadł kawałek dalej.

Brodatego malarza załatwiła lewym sierpowym, a następnie poprawiła z drugiej strony.

– Nie skaczę na świnie! – wrzasnęła pod adresem pozostałych dwóch malarzy, którzy trzymali się na nogach.

Dalszy ciąg Danny i Joe obejrzeli już bez przeszkód.

– Który z panów artystów przyniesie mój spadochron? – zapytała, wskazując na zagrodę. Świnie zdążyły się uspokoić; ponownie obległy płot i stały z ryjami w szczelinach, obserwując artystyczne zajście. Ta o rozmasowanym uchu wtopiła się w tłum. Spadochron leżał w błocie, niczym porzucony w bitwie sztandar.

– Farmer zabronił nam wchodzić do zagrody – zaczął jeden z malarzy.

Danny zaniósł Joego do Katie.

– Miałaś go trzymać – powiedział.

– Nasikał na mnie, kiedy wlazłeś do zagrody.

– Ma pieluchę.

– I tak poczułam.

– Nawet go nie pilnowałaś.

Amy założyła malarzowi nelsona.

– Ja pójdę po twój pieprzony spadochron – oznajmiła nagle Katie.

– Ani mi się waż – zaoponował Danny.

– Bo co, bohaterze? – odpowiedziała.

Katie zawsze miała żyłkę do rywalizacji. Najpierw naga spadochroniarka pozbawiła ją uwagi artystów; brawurowy popis męża też zrobił swoje. Ale tak naprawdę Katie marzyła o tym, żeby się rozebrać.

– Nie mam ochoty zabrudzić się łajnem, więc jeśli pozwolisz… – I zaczęła podawać kolejne fragmenty garderoby malarzowi nietkniętemu przez brudną jak nieboskie stworzenie spadochroniarkę. – Dałabym je tobie – powiedziała do Danny'ego – ale cały jesteś w gównie. Lepiej przejrzyj się w lustrze.

– Nie byłoby dobrze, gdyby coś ci się stało w obecności Joego – próbował wytłumaczyć jej Danny.

– A to czemu? – zapytała. – Dwulatek i tak nie zapamięta. Ale ty owszem… głąbie.

Jej nagość i wojownicze usposobienie uświadomiły Danny'emu, że to, co kiedyś pociągało go w Katie, obecnie budzi jego wstręt. Mylnie wziął jej zuchwałość za przejaw seksualnej odwagi; sprawiała wrażenie seksownej i postępowej, podczas gdy w istocie była wulgarna i zakompleksiona. Dawniej pożądał w niej tego, co teraz napełniało go obrzydzeniem – żeby to zrozumieć, potrzebował dwóch lat. (Miłość przetrwa nieco dłużej, chociaż ani Danny, ani żaden inny pisarz nigdy nie umieli znaleźć na to wytłumaczenia).

Zaniósł Joego z powrotem do łazienki, żeby doprowadzić jego i siebie do porządku, a przynajmniej spróbować. Danny wolał, żeby Joe nie widział, jak jego naga matka zostaje pożarta przez świnie; ten obraz zapadłby mu w pamięć, przynajmniej na jakiś czas.

– Czy mamusia daje Pani Niebo ubranie? – zapytał Joe.

– Ubranie mamusi nie pasowałoby na Panią Niebo – odpowiedział Danny.

Amy nie chciała żadnych ubrań; oznajmiła gospodarzom, iż życzy sobie tylko kąpieli. Dwa piloci mają jej przywieźć odzież, dodała, bo inaczej „popamiętają”.

– Oby twoja łazienka okazała się czystsza od naszej – powiedział Danny, kiedy szła po schodach na górę za malarzem, który nie ucierpiał.

– Na to bym nie liczyła – odparła Amy. – Czy to twoja żona… ta mała, która poszła po spadochron? – krzyknęła na odchodne.

– Na to wygląda.

– Ma jaja, nie?

– Ano ma. Cała Katie.

Zapomniał, że w łazience na dole nie ma ręcznika, lecz chodziło głównie o to, aby zmyć łajno z siebie i synka. Co z tego, że będą mokrzy? Zresztą ubranko chłopca o dziwo było czyste; miał tylko trochę mokre spodnie, bo faktycznie nasiusiał w pieluchę jak szalony.

– Smakowała ci oranżandka, co? – spytał Danny. Zapomniał też poprosić Katie o suchą pieluchę, ale przede wszystkim zależało mu na tym, żeby umyć rączki syna. On sam cały był w łajnie, jego adidasy nadawały się tylko do wyrzucenia. No ale skoro jego żona mogła paradować na golasa, chyba nikt nie weźmie mu za złe, jeśli resztę artystycznego przyjęcia spędzi w bokserkach. Był ciepły wiosenny dzień – kwiecień w Iowa – więc na pewno nie zmarznie.

– Ty to nazywasz czystym ręcznikiem? – wrzeszczała na górze spadochroniarka.

Danny zdjął ubranie i rozebrał synka, po czym obaj weszli pod prysznic. Mydła nie było, ale hojnie poczęstowali się szamponem. Jeszcze siedzieli pod prysznicem, gdy do łazienki weszła Katie, niosąc swoje ubranie i ręcznik. Wbrew przewidywaniom Danny'ego była względnie czysta.

– Jak człowiek nie próbuje w błocie biec, to się nie przewraca, głąbie.

– Czyli poszłaś po spadochron i spokojnie wróciłaś spacerkiem? – zapytał Danny. – Świnie cię nie zaczepiały?

– Bały się spadochronu – odparła Katie. – Przesuńcie się, obaj. – Stanęła pod prysznicem obok nich i Danny umył jej włosy.

– Mamusia też ma na sobie kupkę? – zaniepokoił się Joe.

– Każdy ma – odrzekła z prostotą Katie.

Kolejno wytarli się ręcznikiem i Danny założył Joemu czystą pieluchę. Ubrał synka, a potem nałożył bokserki.

– Masz zamiar tak wyjść? – spytała Katie.

– Resztę rzeczy podaruję na rzecz farmy – oświadczył Danny. – Poza tym nie mam zamiaru ich dotykać, zostaną tutaj – dodał, wskazując na stertę ubrań na mokrej podłodze. Katie dorzuciła do niej swój stanik i majtki. Naciągnęła spodnie; piersi przeświywały jej przez białą bluzkę, szczególnie brodawki. – Masz zamiar tak wyjść? – tym razem zwrócił się do żony.

Katie wzruszyła ramionami.

– Chyba mogę podarować bieliznę na rzecz farmy, jeśli chcę – odpowiedziała.

– Wszystko musi być rozgrywką, Katie?

Zbyła jego słowa milczeniem. Otworzyła drzwi i wyszła, pozostawiając ich sam na sam ze stertą odzieży i porzuconymi adidasami Danny'ego.

– Gdzieś podziałam sandały – oznajmiła na odchodne.

Spadochroniarka stała na zewnątrz z ręcznikiem na biodrach i piła piwo.

– Gdzie znalazłaś piwo? – spytał Danny. Wypił już za dużo wina na pusty żołądek.

Amy pokazała mu wiaderko z lodem. Rolf siedział na ziemi obok wiaderka, co rusz zanurzając twarz w lodowatej wodzie. Wszędzie była krew z jego nosa. Miał też rozwaloną brew – wszystko w efekcie powitania Amy. Danny wyjął dwa piwa i wytarł szyjki butelek o swoje bokserki.

– Popisałeś się, Rolf – powiedział do fotografa. – Szkoda, że nie wylądowała w ognisku.

– Kurde – stęknął Rolf i wstał. Wyglądał tak, jakby nogi miały odmówić mu posłuszeństwa. – Przez ten pieprzony show nikt nie pilnuje prosiaka.

– Macie otwieracz? – spytał Danny.

– Jest gdzieś w kuchni – odpowiedział Rolf. Brodaty malarz, ofiara lewego i prawego sierpowego Amy, stał z

okładem z mokrej koszulki na twarzy. Co jakiś czas zamaczał ją w lodowatej wodzie i znów przykładał do podbródka.

– Jak tam świnia, dopieka się? – zagadnął go Danny.

– O matko – jęknął tamten i pospieszył za Rolfem w kierunku dymiącego ogniska.

Na stole w jadalni obok wina i reszty alkoholu stała sałatka ziemniaczana, miska z sałatą oraz zimny makaron.

– Masz na coś ochotę? – nachylił się do Joego. Nie mógł znaleźć otwieracza, ale posłużył się gałką jednej z szuflad i zdjął kapsle. Pierwszą butelkę opróżnił błyskawicznie, był już w połowie drugiej.

– Gdzie mięsko? – zapytał Joe.

– Chyba jeszcze się piecze. Chodź, zobaczymy.

Ktoś włączył radio w samochodzie i na zewnątrz grała muzyka, *Mellow Yellow* Donovana. Rolf i brodaty malarz zdjęli z ogniska sprężyny; malarz poparzył sobie ręce, ale Rolf ściągnął spodnie i użył ich jako rękawicy kuchennej. Kiedy nakładał je z powrotem, jego nos i brew jeszcze krwawiły. Część pieczonej świni ukruszyła się do ogniska, ale mięsa był w bród i na pewno było dopieczone, ściśle rzecz biorąc, aż za bardzo.

– Co to? – zapytał mały Joe.

– Pieczona wieprzowina… lubisz wieprzowinę – odpowiedział Danny.

– Kiedyś była świnią – wyjaśnił dwulatkowi Rolf.

– Ale małą – pospieszył z zapewnieniem Danny. – Nie taką jak twoje przyjaciółki z zagrody.

– Kto ją zabił? – zainteresował się malec. Nikt mu nie odpowiedział, ale Joe nie zauważył, był pochłonięty czym innym. Pani Niebo stała nad zwęgloną kupą mięsa na sprężynach; mały Joe był nią wyraźnie zafascynowany,

jakby się spodziewał, że lada chwili zerwie się do lotu i tyle ją będą widzieli.

– Pani Niebo! – Amy spojrzała na niego z uśmiechem. – Jesteś aniołem? – zapytał Joe. (W oczach Danny'ego zaczęła sprawiać takie wrażenie).

– Hm, czasami – odpowiedziała Pani Niebo. Ona też była pochłonięta czymś innym. Na długim podjeździe prowadzącym do farmy ukazał się samochód; Danny'emu przyszło do głowy, że to pewnie dwaj piloci. Amy ponownie zerknęła na zwęglone szczątki. – A czasem jestem po prostu wegetarianką – dodała. – Na przykład dziś.

Z radia płynęły dźwięki *I'm a Lonesome Fugitive* Merle'a Haggarda; pewnie ktoś zmienił stację. Na trawniku Katie tańczyła sama ze sobą – bądź też z kieliszkiem wina – ale naraz znieruchomiała. Wszyscy skierowali wzrok na przybyszów i zamarli w oczekiwaniu. Amy podeszła do samochodu, zanim dwaj mężczyźni zdążyli wysiąść.

– Wal się, Georgie. Wal się, Pete – oznajmiła na powitanie.

– Byliśmy za wysoko, żeby dojrzeć świnie, Amy. Nie widzieliśmy ich, kiedy wyskoczyłaś – tłumaczył się jeden z mężczyzn. Podał jej ubranie.

– Wal się, Pete – powtórzyła Amy. Zerwała ręcznik z bioder i rzuciła nim w pilota.

– Wyluzuj, Amy – wtrącił drugi mężczyzna. – Goście z farmy powinni byli nas uprzedzić.

– Fakt. Dałam im to do zrozumienia, Georgie – odpowiedziała spadochroniarka.

Georgie i Pete poszukali wzrokiem artystów. Musieli zauważyć, że Rolf krwawi, a brodaty malarz dalej przykłada do twarzy mokry podkoszulek; nie mieli wątpliwości, że to robota Amy.

– Który wbiegł do zagrody, żeby ci pomóc? – zapytał Pete.

– Widzicie tego facecika w bokserkach? To ten, tata małego chłopca – odpowiedziała Amy. – Mój wybawca.

– Dzięki – powiedział do Danny'ego Pete.

– Jesteśmy wdzięczni – dorzucił Georgie.

Pani Niebo w ubraniu robiła tylko trochę mniej przytłaczające wrażenie, po części dlatego, że nosiła się po męsku, nie licząc czarnej skąpej bielizny. Miała na sobie niebieską koszulę z drelichu, wsuniętą do dżinsów zapiętych paskiem z wielką klamrą, do tego nałożyła kowbojki w wężowy deseń. Podeszła do Danny'ego, który trzymał na rękach syna.

– W razie kłopotów możesz na mnie liczyć. Wrócę – powiedziała do chłopca, po czym nachyliła się i pocałowała go w czoło. – Tymczasem opiekuj się tatusiem – dodała.

Katie znów podrygiwała w miejscu, nie spuszczając oczu ze spadochroniarki; pożegnanie nie uszło jej uwagi. W radiu leciała piosenka Rolling Stonesów z albumu *Between the Buttons*, ale Danny nie pamiętał tytułu. Wypił już trzecie piwo i pracował nad czwartym, oczywiście na pusty żołądek. Zauważył, że ktoś znów zmienił stację. Patrzył, jak Pani Niebo całuje jego syna, i wiedział, że ten pocałunek jest przeznaczony dla niego; Amy niezawodnie wyczuła, że nie ma lepszego sposobu, aby ująć rodzica, niż być miłym dla jego ukochanego dziecka. Ale kim ona jest, zastanawiał się Danny. Matką na pewno, o czym świadczyła blizna na brzuchu, ale czy któryś z popychadeł mógł być jej mężem lub chłopakiem?

– Dostaniemy tu coś do żarcia? – zapytał Georgie.

– Wierz mi, Georgie, nie chcemy tutaj jeść – oświadczyła Amy. – Nawet Pete – dorzuciła, nie patrząc na drugiego mężczyznę, jakby Pete nie nadawał się do podejmowania decyzji o własnym jadłospisie. Danny uznał, że nie sypia z żadnym z nich.

Piloci ostrożnie umieścili spadochron i uprząż w bagażniku, ale niemożliwe było się przy tym nie ubrudzić. Amy zasiadła za kierownicą.

– Prowadzisz, Amy? – zapytał Georgie.

– Na to wygląda – odpowiedziała.

– Usiądę z tyłu – postanowił Pete.

– Obaj siądziecie z tyłu – rozkazała Amy. – Dosyć się dziś nawąchałam gówna. – Zanim mężczyźni wsiedli do samochodu, dodała: – Widzicie tę małą ślicznotkę, która tańczy na trawniku? Tę, której prześwitują cycki?

Danny wiedział, że Georgie i Pete zauważyli Katie od razu, podobnie jak większość mężczyzn.

– No – potwierdził Georgie.

– A co, Amy? – spytał Pete.

– Jeśli kiedykolwiek mnie stracicie, jeśli nie otworzy mi się spadochron czy coś w tym stylu, możecie ją prosić o wszystko. Założę się, że to zrobi – oznajmiła spadochroniarka.

Piloci wymienili niepewne spojrzenia.

– Co masz na myśli, Amy? – spytał Pete.

– Chcesz powiedzieć, że wyskoczy z samolotu bez ubrania? – upewnił się Georgie.

– Chcę powiedzieć, że wyskoczy z samolotu bez spadochronu – powiedziała Amy. – Prawda, kotku? – zwróciła się do Katie.

Danny zawsze miał pamiętać, że Katie uwielbiała skupiać na sobie uwagę, bez względu na okoliczności. Zobaczył, że żona znalazła sandały, ale nie miała ich na nogach. Trzymała je w ręku, w drugiej dłoni miała kieliszek i dalej drobiła w miejscu.

– No, to zależy od sytuacji – odpowiedziała, kołysząc głową w takt muzyki. – Ale kto wie?

– Widzicie? – powiedziała Amy, kiedy Georgie i Pete ładowali się na tylne siedzenie. A potem odjechała, pokazując artystom przez okno środkowy palec. W radiu śpiewała Patsy Cline i Katie przestała tańczyć; ktoś znów musiał zmienić stację.

– Nie chcę świnki – oznajmił Joe.

– W porządku – odpowiedział Danny. – W taki razie zjemy coś innego.

Zaniósł chłopca do matki, która przestała tańczyć; Katie kołysała się tylko w miejscu, jakby czekała na zmianę muzyki. Danny widział, że jest pijana, ale nie czuł już marihuany; dokładnie zmył ten zapach szamponem.

– A w jakiej to konkretnie sytuacji wyskoczyłabyś z samolotu bez spadochronu? – zapytał żonę.

– Na przykład po to, żeby uciec z nudnego małżeństwa.

– Skoro ja prowadzę, chciałbym wyjechać przed zmrokiem.

– Pani Niebo jest aniołem, mamusiu – powiedział Joe.

– Wątpię – ucięła Katie.

– Powiedziała nam, że jest aniołem czasami – uściślił Danny.

– Ta kobieta nigdy nie była aniołem – wybełkotała Katie.

W drodze powrotnej do Iowa City Joe zwymiotował w samochodzie. Szeryf z hrabstwa Johnson jechał za nimi przez cały odcinek autostrady. Danny miał obawy, że wysiadło mu tylne światło albo że jedzie slalomem; zastanawiał się, co powie, kiedy gliniarz go zatrzyma, ale w Coralville wóz policyjny skręcił na północ, a Danny pojechał dalej do centrum. W sumie nie pamiętał, ile wypił. I wiedział, że bokserkach raczej nie wzbudziłby zaufania szeryfa.

Odetchnął z ulgą, aż tu nagle Joe zaczął wymiotować.

– To pewnie sałatka ziemniaczana – powiedział chłopcu. – Nie przejmuj się, zaraz będziemy w domu.

– Chcę wysiąść – oznajmiła Katie.

– Gdzie, tutaj? – spytał Danny. – Masz zamiar wrócić do domu pieszo? – Widział, że już włożyła sandały. Byli jeszcze w centrum.

– A kto mówi, że wracam do domu? – zapytała.

– Aha – odpowiedział Danny.

Zanim się ściemniło, widział, jak rozmawia z kimś w kuchni przez telefon, pewnie z Rogerem, uznał teraz. Zatrzymał się na następnych światłach i Katie wysiadła.

– Pani Niebo naprawdę jest aniołem, mamusiu – zapewnił Joe.

– Skoro tak twierdzisz – odrzekła Katie, zatrzaskując drzwi.

Danny wiedział, że nie ma na sobie bielizny, ale skoro szła na spotkanie z Rogerem, jakie to miało znaczenie?

Sześć lat później poranny ruch trochę się uspokoił. Yi-Yiing była już na Court Street, zdążyła wrócić ze szpitala. Pewnie opowiedziała Tony'emu, że widziała Danny'ego z synem na Iowa Avenue o tak wczesnej porze.

– Dlaczego też byś umarł, gdyby naprawdę mnie potrącił? – zapytał ośmiolatek.

– Ponieważ masz mnie przeżyć. Jeśli umrzesz przede mną, to mnie zabije – odpowiedział Danny.

– Dlaczego jej nie pamiętam? – zapytał chłopiec.

– Masz na myśli mamę? – upewnił się Danny.

– Mamę, świnie, to, co było potem… zupełnie nic – odpowiedział Joe.

– A Panią Niebo?

– Pamiętam, że ktoś spadł z nieba jak anioł.

– Serio?

– Chyba tak. Nie opowiadałeś mi o niej, prawda?

– Nie.

– A więc co się stało? – spytał Joe. – Znaczy, po tym, jak mama wysiadła w mieście?

Oczywiście opowiedział synowi „poprawioną” wersję świńskiego przyjęcia. Opowieści o tym, co zdarzyło się po powrocie, nie musiał aż tak okroić. Niewątpliwie dlatego, gdyż Katie nie wróciła z nimi.

Wczesnym wieczorem – było tuż po zmroku – tylko przypadkowy przechodzień widział, jak facet w bokserkach wnosi dwuletniego syna do mieszkania na parterze budynku przy Iowa Avenue.

– Czujesz świnki? – zapytał Joe, kiedy weszli do środka.

– Tylko w myślach – odpowiedział Danny.

– Ja czuję, ale nie wiem, gdzie są – oznajmił chłopiec.

– Może to zapach wymiocin, skarbie – stwierdził Danny. Wykąpał chłopca i ponownie umył mu włosy.

Mimo otwartych okien w mieszkaniu było bardzo ciepło. Położył Joego spać w samej pieluszce. Jeśli w nocy zrobi się chłodniej, ubierze go w piżamę. Ale kiedy Joe zasnął, Danny wciąż nie mógł pozbyć się przykrego zapachu. Włożył dżinsy, poszedł do samochodu, po czym przyniósł do kuchni fotelik i zmył z niego wymiociny. Pewnie byłoby zdrowiej, gdyby Joe jadł jednak pieczonego prosiaka zamiast sałatki ziemniaczanej, uznał.

Później wziął prysznic i znów umył włosy. Wyglądało na to, że oprócz wina wypił pięć piw. Nie miał ochoty na kolejne, ale nie chciał też iść spać i był zbyt zawiany, żeby pisać. Nie miał wątpliwości, że Katie nie wróci na noc.

Znalazł wódkę – Katie piła ją, kiedy nie chciała, żeby jechało od niej alkoholem – i trochę rumu z Barbadosu. Z lodówki wygrzebał limonkę; ukroił kawałek i wrzuciwszy go do wysokiej szklanki z lodem, dolał rumu. Mając na sobie czyste bokserki, usiadł po ciemku w dużym pokoju przy otwartym oknie i patrzył na malejący ruch na Iowa Avenue. Nastała ta wiosenna pora, kiedy żaby i ropuchy hałasowały na potęgę – w zimie nam ich brakowało, pomyślał pisarz.

Zastanawiał się, jak potoczyłoby się jego życie, gdyby zamiast Katie poznał kogoś takiego jak Pani Niebo. Może była młodsza, niż mu się zdawało. I miała za sobą trudne przeżycia, z powodu których wyglądała na starszą niż w rzeczywistości. Danny nie miał na myśli blizny po cesarce, tylko gorsze rzeczy.

Obudził się na sedesie, na którym przysnął z czasopismem na kolanach; pusta szklanka z plastrem limonki wyjrzała na niego z podłogi. Zrobiło się chłodniej. Danny zgasił światło w kuchni, gdzie spostrzegł, że wypił więcej niż jedną szklankę rumu – butelka była prawie pusta – choć nie pamiętał, jak nalewał sobie drugą (lub trzecią) szklankę. Nie pamiętał też, co zrobił z prawie pustą butelką.

Postanowił się położyć, ale chciał najpierw zajrzeć do syna. Chyba powinien włożyć mu piżamkę, ale jakoś nie miał siły ubierać śpiącego dziecka. Zamknął tylko okna w pokoju chłopca i sprawdził, czy barierki są dobrze zabezpieczone.

Joe nie mógł wypaść z łóżka, kiedy były opuszczone, ale był już w tym wieku, że mógł przeleźć nad lub pod nimi, bez względu na ich ustawienie. Czasem były źle zabezpieczone i mogły się zsunąć, przytrzaskując dziecku palce. Danny sprawdził blokadę. Joe spał na plecach jak suseł i ojciec nachylił się, żeby go pocałować. Przy uniesionych barierkach przyszło mu to z pewnym trudem,

poza tym był tak pijany, że nie mógł dosięgnąć syna, nie tracąc przy tym równowagi.

Drzwi do pokoju Joego zostawił otwarte, na wypadek gdyby chłopiec obudził się i zaczął płakać. Swoich też nie zamknął. Była trzecia nad ranem; wchodząc do łóżka, zwrócił uwagę na zegarek. Katie nie wróciła jeszcze ze spotkania z Rogerem, o ile to z nim właśnie miała się spotkać.

Ilekroć Danny zamykał oczy, pokój zaczynał wirować. Chcąc nie chcąc, zasnął z otwartymi, tak mu się przynajmniej zdawało, ponieważ gdy obudził go rankiem czyjś krzyk, były wyschnięte na wiór.

– Dziecko na drodze! – wrzeszczał jakiś wariat.

Poczuł zapach marihuany; musiał być jeszcze na wpół pogrążony we śnie, gdyż wydało mu się, że to krzyczący mężczyzna jest nawalony. Ale zapach marihuany dochodził z sąsiedniej poduszki. Katie spała nago, z odrzuconą kołdrą i włosami przesiąkniętymi zapachem trawki. (Danny odnosił wrażenie, że Roger nie rozstawał się z marihuaną).

– Czyje to dziecko? – krzyczał mężczyzna. – Na pewno jest czyjeś!

Z pobliskiego akademika i okolic śródmieścia dobiegały czasem wrzaski, ale nigdy tak wcześnie rano.

– Dziecko na drodze! – powtarzał wariat. Danny uświadomił sobie, że w sypialni panuje przenikliwy chłód; zasnął przy otwartych oknach, a Katie nie zadała sobie trudu, żeby je zamknąć.

– W mordę, to nie nasze – powiedziała; mówiła bełkotliwie albo miała twarz wciśniętą w poduszkę. – Nasz dzieciak jest z nami w łóżku, głąbie!

– Tak? – spytał Danny, siadając na łóżku; huczało mu w głowie. Wśród rozrzuconej pościeli nie było widać Joego.

– No, był – mruknęła Katie i też usiadła. Miała lekko podrapane, a może zaczerwienione policzki, jakby całowała kogoś z kłującym zarostem, przyszło pisarzowi do głowy. – Marudził, więc przyniosłam go do nas – uzupełniła.

Danny był już na korytarzu. Zobaczył, że łóżko Joego jest puste, a barierki opuszczone; Katie była tak niska, że nie mogłaby wyjąć dziecka bez ich opuszczenia.

Na Iowa Avenue utworzył się korek – ciągnął się aż na wschód, do zakrętu z Muscatine – jak gdyby tuż przed oknami Danny'ego doszło do wypadku. Danny wybiegł przed dom w samych bokserkach. Zważywszy na skąpe odzienie, z miejsca skupił na sobie uwagę jako potencjalny kandydat na beztroskiego rodzica. Kierowca brudnej białej furgonetki blokującej przejazd wbił w niego oskarżycielskie spojrzenie.

– Czy to twoje dziecko? – wrzasnął. Sumiasty wąs i krzaczaste bokobrody musiały chyba wystraszyć Joego na równi z krzykiem, nie wspominając o tym, że furgonetka zatrzymała się dosłownie o włos od niego. Stał niepewnie w samej pieluszce na pasku trawy dzielącym dwa pasma: wyszedł z domu, przemaszerował przez chodnik i przeciął ulicę przed samym zderzakiem białej furgonetki.

Kobieta z samochodu stojącego tuż za furgonetką wbiegła na trawę i porwała chłopca w objęcia.

– To twój tatuś? – zapytała Joego, wskazując na Danny'ego w bokserkach. Joe zaczął płakać.

– To moje dziecko… spałem – powiedział Danny. On także wszedł na trawę, ale kobieta w średnim wieku, w okularach, z perłami na szyi (nie zapamiętał nic więcej) nie kwapiła się oddać mu synka.

– Twój dzieciak był na ulicy, człowieku, mało go nie przejechałem – darł się kierowca. – Zobaczyłem dopiero białą pieluchę.

– Nie wydaje mi się, żeby pan go szukał, czy choćby zauważył jego zniknięcie – dodała kobieta.

– Tatuś – chlipnął Joe, wyciągając ręce.

– Czy to dziecko ma matkę? – dopytywała się kobieta.

– Śpi… oboje spaliśmy – tłumaczył Danny. Wziął synka z rąk kobiety, która podała mu go z ociąganiem. – Dziękuję – powiedział do kierowcy.

– Jeszcze nie wytrzeźwiałeś, człowieku – rzucił tamten. – Twoja żona też?

– Dziękuję – powtórzył Danny.

– Powinniśmy to zgłosić – oznajmiła kobieta.

– Tak, wiem – odparł Danny. – Ale proszę tego nie robić.

Samochody roztrąbiły się na całego i Joe znów zaczął płakać.

– Z domu nie widziałem nieba – wyszlochał.

– Nie widziałeś nieba? – zapytał jego ojciec. Minęli chodnik i weszli do domu przy wtórze trąbiących klaksonów.

– Nie widziałem, czy Pani Niebo leci w dół.

– Szukałeś Pani Niebo?

– Nie widziałem jej. Może ona szukała mnie.

Ulica była szeroka; Danny zrozumiał, że dwulatek mógł dojrzeć niebo dopiero ze środka drogi lub z przedzielającego ją pasma. Chłopiec miał nadzieję, że Pani Niebo ponownie sfrunie w dół, nic więcej.

– Mamusia wróciła – zakomunikował tacie Joe, kiedy weszli do mieszkania, nazywanego przez niego „mnieszkaniem”, od chwili gdy zaczął mówić.

– Tak, wiem, że mamusia wróciła – westchnął Danny. Widział, że Katie znowu zasnęła. Na kuchennym stole zobaczył też pustą butelkę po rumie. Dokończył ją przed

pójściem spać, czy może Katie zrobiła to po powrocie? To chyba byłem ja, pomyślał; wiedział, że żona nie lubi rumu.

Zabrał Joego do pokoju i zmienił mu pieluchę. Nie mógł patrzeć synowi w oczy – wyobraził je sobie, szkliste i niewidzące, i samo dziecko w białej pieluszce, zabite na drodze.

– Wtedy przestałeś pić, tak? – zapytał ojca Joe. Przez cały czas trwania opowieści stali plecami do domu, w którym mieszkali z Katie.

– Tamten rum był ostatni.

– Ale mama nie przestała, prawda?

– Nie mogła przestać, skarbie. I pewnie nie przestała do tej pory.

– Mam szlaban, tak?

– Nie, nie masz szlabanu. Możesz chodzić, gdzie chcesz, pieszo albo jeździć autobusem. To twój rower ma szlaban – oznajmił Danny. – Może podarujemy go Maksowi. Będzie miał zapasowy, albo przeznaczy go na części.

Joe podniósł wzrok na jaskrawoniebieski skrawek jesiennego nieba. Wiedział, że nie pomoże mu żaden anioł.

– Nigdy nie wierzyłeś, że Pani Niebo jest aniołem, prawda? – zapytał.

– Uwierzyłem, kiedy powiedziała, że jest nim czasami – uściślił Danny.

Pisarz objechał całe miasto w poszukiwaniu błękitnego mustanga, ale na próżno. Policja też nie natrafiła na ślad pirata. Ale wtedy, na Iowa Avenue, objął ośmioletniego syna ramieniem.

– Pomyśl o tym tak – powiedział. – Ten błękitny mustang nadal cię szuka. Sześć lat temu, kiedy stałeś na tej ulicy, w samej pieluszce, być może utknął w korku. Możliwe, że od

białej furgonetki dzieliło go tylko parę samochodów. Był blisko.

– Ale tak naprawdę to wcale mnie nie szuka, prawda? – zapytał Joe.

– Będzie lepiej dla ciebie, jeśli w to uwierzysz – odparł tata. – Błękitny mustang chce cię znaleźć. Dlatego musisz bardzo uważać.

– Dobrze – odpowiedział Joe.

– Znasz jakiegoś dwulatka? – zapytał Danny.

– Nie – odparł chłopiec. – Nikt nie przychodzi mi do głowy.

– Hm, byłoby dobrze, gdybyś poznał – stwierdził tata. – Żeby zobaczyć, jak wyglądałeś na drodze.

Wtedy nadjechał dziadek i stanął przy krawężniku, na którym rozmawiali.

– Wsiadajcie – zawołał. – Podrzucę Joego do szkoły i zawiozę cię do domu.

– Joe nic nie jadł – odpowiedział Danny.

– Zapakowałem mu spore drugie śniadanie, połowę może zjeść po drodze, Danielu. Wsiadajcie – powtórzył. – Mamy… problem.

– O co chodzi, tatku? – zapytał pisarz.

– Wygląda na to, że Youn jest wciąż mężatką – odparł Tony, kiedy wsiedli do samochodu. – Do tego ma dwuletnią córkę i mąż przyjechał z nią w odwiedziny… zobaczyć, jak jej idzie pisanie.

– Są w domu? – zdrętwiał Danny.

– Na szczęście przyjechali, kiedy Youn już nie spała. Siedziała w swoim pokoju… i pisała – uzupełnił ojciec.

Danny mógł się domyślić, w jakim stanie pozostawiła sypialnię – nieskazitelnie uporządkowaną, bez śladu swojej

obecności, poza perłowoszarą (a może beżową) koszulą nocną pod poduszką.

– Youn ma dwuletnią córkę? – zapytał. – Chcę, żeby Joe ją zobaczył.

– Zwariowałeś? – odparł tony. – Joe musi iść do szkoły.

– Youn jest mężatką? – spytał Joe. – Ma dziecko?

– Na to wygląda – odpowiedział Danny; myślał o powieści, którą pisała, utrzymanej w bezbłędnym stylu, acz rozłażącej się w szwach. Na oko kryształowa proza zawsze kryje w sobie pewne niejasności.

– Musisz iść do szkoły, skarbie – powiedział. – Jeszcze będzie okazja, żebyś poznał dwulatka.

– Ale mam go poznać, tak? – upewnił się Joe.

– O co tu chodzi? – spytał dziadek; jechał do szkoły, nie czekając na rozbieżne wytyczne.

– Długo by opowiadać – odpowiedział Danny. – Jaki jest ten mąż? Czy jest gangsterem?

– Nie, podobno chirurgiem z Korei – odparł Tony Angel. – Przyjechał na konferencję chirurgiczną do Chicago, przywiózł córkę i wpadli na pomysł, żeby zrobić mamusi niespodziankę. Youn ma zająć się małą przez parę dni, w czasie gdy Kyung będzie na spotkaniach. To dopiero niespodzianka, co? – dodał.

– Ma na imię Kyung? – zdziwił się Danny. W książce pisanej przez Youn mąż gangster nosił imię Jinwoo; domyślał się, iż nie był to jedyny zmyślony element, a przecież od początku zarzucał powieści, że jest zbyt autobiograficzna!

– Sprawia wrażenie miłego faceta – stwierdził Tony.

– Czyli poznam córkę Youn? – spytał Joe, wysiadając z samochodu.

– Zjedz coś – polecił wnukowi kucharz. – Dzwoniłem do szkoły i uprzedziłem, że się spóźnisz.

– Wygląda na to, że poznasz, tak – odparł Danny. – Czego ty szukasz? – spytał, kiedy Joe otworzył śniadaniówkę i zajrzał do środka.

– Błękitnego mustanga – odpowiedział syn bez wahania.

– Mądry chłopiec – pochwalił Danny.

– Yi-Yiing i ja postanowiliśmy, że ty i ona macie udawać parę – oznajmił Tony, kiedy dojeżdżali do Court Street.

– Dlaczego Yi-Yiing i ja mielibyśmy udawać parę? – zdumiał się Danny.

– Ponieważ jesteście rówieśnikami. W obecności męża macie udawać, że jesteście razem. Nawet koreański chirurg nie pomyśli sobie, że to ja sypiam z jego żoną – wyjaśnił ojciec. – Jestem za stary.

– Niby jak mamy udawać?

– Zostaw to Yi-Yiing.

Z perspektywy czasu samo udawanie nie stanowiło najtrudniejszego aspektu wymyślonej naprędce szarady. Warto dodać, że Yi-Yiing znakomicie udawała dziewczynę Danny'ego – znaczy, w obecności męża Youn. Chirurg z Seulu okazał się równym facetem; był dumny z niespodzianki, jaką sprawił żonie, a zarazem zakłopotany. Z kolei Youn nie kryła radości na widok córki, Soo. Spojrzenie koreańskiej pisarki niepewnie szukało wzroku Danny'ego, i miał nadzieję, że zdołał ją uspokoić; w gruncie rzeczy odetchnął z ulgą, ponieważ myśl o ich nieuchronnym rozstaniu budziła w nim większe niż zazwyczaj poczucie winy.

Tak, zdecydowanie spędzi w Iowa City najbliższy rok akademicki – wystosował już prośbę o zgodę na kolejny – ale czuł, że nie zabawi w mieście do czasu, aż Youn skończy

powieść. (Do Vermontu wrócił z przekonaniem, że Youn wyjechała do Seulu).

Chirurg, który miał spędzić w Chicago tylko parę dni, ucałował na pożegnanie żonę i córkę. Wszystkie powitania i pożegnania rozegrały się w kuchni domu przy Court Street, gdzie Tony zachowywał się jak właściciel, a Yi-Yiing dwa lub trzy razy stanęła za plecami Danny'ego i przyciągnęła go do siebie – i raz pocałowała w kark. Był ciepły jesienny dzień; pisarz miał na sobie dżinsy i podkoszulek, i czuł, jak jedwabista piżama Yi-Yiing ociera się o jego plecy. Owe pieszczoty, jak mniemał, miały dowodzić ich zażyłości, z tym że nie miał pojęcia, co sądzi o nich Youn, i czy ojciec lub Yi-Yiing poinformowali koreańską cudzołożnicę o błyskotliwym planie „udawania" pary.

Soo była zaś przeurocza.

– Nie nosi pieluszki? – zapytał chirurga Danny; pamiętał, jak było z Joem.

– Dziewczynki szybciej uczą się korzystać z nocniczka, kotku – oznajmiła Yi-Yiing, z nadmiernym zdaniem pisarza naciskiem na „kotku" – ale Tony i Youn wybuchnęli śmiechem. Danny zastanawiał się później, czy aby Youn też nie odczuła ulgi z tak gładkiego zakończenia związku. (Bo czyż musieli jeszcze sobie cokolwiek wyjaśniać?).

Pod nieobecność koreańskiego lekarza też obyło się bez zawirowań: Joe przekonał się na własne oczy, jak niewinne i naiwne jest dwuletnie dziecko, nie tylko w kwestii bezpieczeństwa na drodze, lecz także aniołów spadających z nieba. Zobaczył, że Soo uwierzyłaby dosłownie we wszystko.

Pachnąca koszulka nocna pod poduszką po stronie Youn okazała się beżowa; Danny skorzystał z okazji, aby oddać ją właścicielce w możliwie dyskretny sposób. W ten oto sposób zatarli wszystkie ślady. Youn spała z córeczką w swoim „gabinecie"; bez trudu zmieściły się na łóżku w

pokoju gościnnym, chociaż Danny nalegał, by położyła Soo w dodatkowym pokoju gościnnym. Nie uszło jego uwagi, że mąż Youn śpi tam samotnie.

– Dwulatka nie powinna spać bez opieki – oznajmiła Youn Danny'emu, który zrozumiał, iż błędnie odczytał zaciekawienie, z jakim przyglądała się Joemu: zastanawiała się pewnie, jakie zmiany zajdą w córce pomiędzy drugim a ósmym rokiem życia. (Na to, co pisała, i dlaczego, nie istniało chyba racjonalne wytłumaczenie, w każdym razie Danny przestał się łudzić).

Kiedy Kyung wrócił z Chicago, a następnie po niedługim czasie wyjechał z córką do Seulu, Youn niezwłocznie znalazła sobie nowe lokum i w następnym semestrze przeniosła się na warsztaty do kogoś innego. To, czy dokończyła swą powieść, nie miało dla pisarza Danny'ego Angela najmniejszego znaczenia. Podobnie jak to, czy kiedyś zdoła ją wydać, ponieważ wiedział z pierwszej ręki, że podczas pobytu w Iowa City w dziedzinie fikcji odniosła sukces niemalże spektakularny.

Echa sukcesu Yi-Yiing, udającej dziewczynę Danny'ego, dały się słyszeć nieco dłużej. Pielęgniarka z izby przyjęć nie była z natury flirciarą, ale przez długi czas po tym, jak udawali parę, potrafiła otrzeć się o niego znienacka lub też musnąć jego policzek palcami bądź wierzchem dłoni. Wyglądało to tak, jakby faktycznie się zapominała, gdyż z miejsca robiła krok w tył i na tym się kończyło. Danny wątpił, czy ojciec cokolwiek zauważył, Joe z kolei w ogóle nie zwracał na to uwagi.

– Wolałbyś, żebym w domu ubierała się normalnie? – zapytała któregoś dnia. – Może „koniec tego dobrego”, jeśli chodzi o piżamy?

– Przecież jesteś Piżamową Panią, nie ma na to rady – odpowiedział wymijająco Danny.

– Wiesz, o co mi chodzi – spojrzała znacząco Yi-Yiing.

Przestała je nosić – choć być może spała w nich nadal. Normalna odzież stanowiła między nimi bezpieczniejszą zaporę, sporadyczne gesty zaś – przelotne dotknięcia i pieszczoty – znikły wraz z piżamą.

– Tęsknię za piżamami Yi-Yiing – powiedział Joe któregoś ranka, kiedy szli do szkoły.

– Ja też – odrzekł Danny, lecz spotykał się już wówczas z kimś innym.

Po odejściu Youn – a zwłaszcza później, gdy mieszkali już w trzecim domu przy Court Street – ich życie niepostrzeżenie wróciło na dawny tor. Trzeci dom stał po drugiej stronie Court Street, nieopodal Summie, gdzie Danny wdał się w potajemny romans ze zdradzaną, nieszczęśliwą żoną wykładowcy. Alejka, w której Joe użalał się nad sobą, patrząc, jak Max trenuje poślizgi na „zapasowym” rowerze, również znikła z ich życia, podobnie jak opos. Jokohamy, Sao i Kaori, dalej na zmianę pilnowały Joego, wszyscy zaś – niezależnie od siebie – gnani narastającą potrzebą (lub desperacją) zbierali się w „Mao”.

Tony z góry wiedział, jak bardzo będzie tęsknił za braćmi Cheng – prawie tak jak za Yi-Yiing. Któż mógł wiedzieć, jak potoczyłyby się dalej losy związku z pielęgniarką z Hongkongu, za którą zatęskni również Danny, choć jego wyjazd do Vermontu poprzedziło zamknięcie jeszcze jednej sprawy.

Gdy ich przygoda w Iowa dobiegała końca, to samo – nareszcie – dotyczyło wojny w Wietnamie. Tymczasem w „Mao” panowały nastroje dalekie od euforii. Operacja „Frequent Wind”, jak nazwano ewakuację Sajgonu drogą powietrzną – lub też, jak wolał Ketchum, operacja „Gówno Prawda” – zakłóciła rytm codziennych przygotowań w azjatycko-francuskiej restauracji w sposób niemalże katastrofalny, a cała niechęć skupiała się na telewizorze.

W kwietniu 1975 roku interesy w „Mao” szły nie najlepiej. Odnotowano cztery stłuczone szyby, przy czym jedną wybito odłamkiem cementu wielkości sporego pieńka, a drugą równie pokaźnym kamieniem. „Zasrani patriotyczni kmiecie!” – nazywał wandali Xiao Dee. Odwołali wyprawę do Chinatown, gdyż Xiao Dee był przekonany, że „Mao” jest celem ataku, a wraz z upadkiem Sajgonu przeżyje regularne oblężenie. Ah Gou zaczynało brakować ulubionych składników. Dzięki pomocy Tony'ego Angela w menu namnożyło się potraw z kategorii „coś z Włoch”.

Przez cały rok dochodziły słuchy o masowej ucieczce wietnamskich żołnierzy z Południa. Zabierali swoje rodziny i zbiegali do Sajgonu, gdzie – jak wierzyli – Amerykanie pomogą im opuścić kraj. W ciągu dwóch ostatnich tygodni kwietnia Stany Zjednoczone wywiozły samolotami sześćdziesiąt tysięcy obcokrajowców i Wietnamczyków z Południa; setki ty sięcy więcej wkrótce miało być pozostawionych własnemu losowi. „To będzie Sodoma i Gomora”, zapowiadał Ketchum. „A czego się spodziewaliśmy?”, powie później.

Pytanie, czy nas to obchodziło, myślał Danny. Siedział wraz z Joem przy stoliku w „Mao”, Yi-Yiing też przyszła na kolację. Z powodu przeziębienia opuściła dyżur w izbie przyjęć; powiedziała Danny'emu i Joemu, że nie chce pozarażać rannych i chorych.

– A tak zarażę tylko was… i tatkę – dorzuciła z uśmiechem.

– Wielkie dzięki – odpowiedział Danny. Joe roześmiał się; uwielbiał Yi-Yiing. Po powrocie do Vermontu będzie brakowało mu osobistej pielęgniarki. (A mnie pielęgniarki dla niego, pomyślał pisarz).

Przy jednym ze stolików siedziały dwie pary, przy drugim trzech elegancików w krawatach. Ruch był niewielki, być

może z uwagi na wczesną porę. Danny myślał właśnie, że zabite deskami okno robi niezbyt zachęcające wrażenie, kiedy na salę weszła jedna z bliźniaczek, z twarzą białą jak fartuch i drżącą dolną wargą.

– Twój tata mówi, że masz zobaczyć, co pokazują w telewizji – zwróciła się do pisarza. – Telewizor jest w kuchni.

Danny wstał od stołu.

– Ty lepiej zostań – powiedziała Yi-Yiing, kiedy Joe chciał zrobić to samo.

– Tak, ty zostań! – potwierdziła Sao lub Kaori. – Nie powinieneś na to patrzeć!

– Ale ja chcę – zaoponował Joe.

– Słuchaj Sao, Joe. Zaraz wrócę – odpowiedział jego tata.

– Jestem Kaori – pisnęła bliźniaczka. I wybuchnęła płaczem. – Czy dla was, Amerykanów, wszystkie „żółtki” to jedno i to samo?

– Co pokazują w telewizji? – zapytała Yi-Yiing.

Dwie pary rozmawiały o czymś z ożywieniem; nie zwróciły uwagi na wybuch Kaori. Ale biznesmeni zamarli nad swoim piwem; na słowo „żółtek” ostatni łyk stanął im w gardle.

Tzu-Min, bystra dziewczyna Ah Gou, pełniła tego dnia funkcję szefa sali. Xiao Dee był zbyt rozjuszony szturmem kmieci-patriotów, toteż jednomyślnie uznano, że lepiej nie wypuszczać go z kuchni.

– Wracaj do kuchni, Kaori – poleciła rozszlochanej dziewczynie. – Tu nie wolno płakać.

– Co się stało? – powtórzyła Yi-Yiing.

– Joe nie powinien tego oglądać – odrzekła Tzu-Min. Danny już zniknął za drzwiami.

W kuchni rozgrywały się istne sceny dantejskie. Xiao Dee krzyczał na telewizor. Sao, druga bliźniaczka, wymiotowała do wielkiego zlewu, w którym szorowano garnki i rondle.

Ed, pomywacz, stał z boku; był alkoholikiem na odwyku i weteranem drugiej wojny światowej z paroma wyblakłymi tatuażami. Bracia Cheng dali mu pracę, kiedy stracił już nadzieję na jej znalezienie, za co Ed był im głęboko wdzięczny, chociaż ciasna kuchnia przyprawiała go czasem o klaustrofobię, a toczące się w niej polityczne debaty brzmiały w jego uszach niczym mowa przybyszów z innej planety. Ed nie znał się na polityce; starczyła mu świadomość, że wychodzimy z Wietnamu. Służył w marynarce wojennej na Pacyfiku. Tymczasem jedna z japońskich bliźniaczek haftowała do jego zlewu, a druga tonęła we łzach. (Być może Ed zachodził w głowę, czy nie wytłukł aby ich krewnych; jeśli tak, nie odczuwał z tego powodu cienia skruchy).

– Jak leci, Ed? – zapytał Danny.

– Nie za dobrze – odpowiedział Ed.

– Kissinger to zbrodniarz wojenny! – wrzeszczał Xiao Dee. Na ekranie mignęła twarz sekretarza stanu. Ah Gou, który właśnie siekał przegrzebki, na widok znienawidzonego oblicza potrząsnął tasakiem, lecz oto na ekranie pojawiły się wrogie czołgi na ulicach Sajgonu; zamierzały otoczyć ambasadę amerykańską, tak przynajmniej twierdził bezimienny głos spoza kadru. Był prawie koniec kwietnia – przeddzień upadku Sajgonu; właśnie odbywały się ostatnie transporty. Między odgrodzonym dziedzińcem ambasady a amerykańskimi lotniskowcami stacjonującymi wzdłuż wybrzeża krążyło około siedemdziesięciu helikopterów; tego dnia uratowano sześćdziesiąt dwa tysiące ludzi. Ostatnie dwa śmigłowce wniosły ambasadora z żoną oraz strażników. Kilka godzin później Wietnam Południowy ogłosił kapitulację.

Dla obserwatorów w kuchni „Mao” nie to było jednak najgorsze. W Sajgonie znajdowało się więcej ludzi chętnych do ucieczki niż helikopterów. Na dziedzińcu ambasady zostały setki z nich. Dziesiątki Wietnamczyków chwytały za płozy ostatnich dwóch odlatujących helikopterów, po czym spadały na ziemię, ginąc na miejscu. Wszystko na oczach widzów.

– Biedni ludzie – powiedział kucharz, a za sekundę Sao zwymiotowała do zlewu Eda.

– To nie są ludzie, dla większości Amerykanów to żółtki! – krzyczał Xiao Dee.

Ah Gou patrzył na telewizor zamiast na przegrzebki i uciął sobie opuszkę palca wskazującego lewej dłoni. Kaori, nadal we łzach, straciła przytomność; Tony odciągnął ją od pieca. Danny chwycił ścierkę i zawiązał ją ciasno na przedramieniu Ah Gou. Opuszka palca Starszego Brata leżała wśród posiekanych przegrzebków w kałuży krwi.

– Zawołaj Yi-Yiing – krzyknął Tony do Sao. Ed wziął mokry ręcznik i wytarł jej twarz. Sao wyglądała równie niewyraźnie jak jej zemdlona bliźniaczka, ale przestała wymiotować i popłynęła na salę niczym duch.

Danny usłyszał przez uchylone drzwi uwagę jednego z gości w krawatach.

– Co to znowu, kurwa, za porąbane miejsce?

– Ah Gou odciął sobie palec – zabrzmiały słowa Sao.

Potem drzwi się zamknęły i Danny nie usłyszał, co Sao, Tzu-Min lub Yi-Yiing odpowiedziały typom, jeśli w ogóle. W dniu upadku Sajgonu „Mao” było, kurwa, porąbanym miejscem.

Następnie drzwi znów się otworzyły i wszyscy wmaszerowali do kuchni: Yi-Yiing z Joem, Tzu-Min i Sao. Danny zdziwił się mimochodem, że goście nie przyszli wraz

z nimi, choć w ogarniętej chaosem kuchni zapanowała taka ciasnota, że szpilki byś nie wetknął.

– Chwała Bogu, że zamówili perliczkę – mówił kucharz.

Kaori usiadła na podłodze.

– Dwie pary chciały perliczkę – oznajmiła. – Goście w krawatach zamówili ravioli.

– Miałem na myśli pary – uściślił Tony Angel. – Zostaną obsłużone jako pierwsze.

– Uprzedzam, że faceci zaraz wyjdą – wtrąciła Tzu-Min.

Yi-Yiing znalazła wśród przegrzebków opuszkę Ah Gou. Xiao Dee trzymał wrzeszczącego brata od tyłu, podczas gdy Tony polewał wódką krwawiący palec. Kiedy Yi-Yiing podniosła kawałek palca i Tony Angel polał go wódką, Starszy Brat zawył jeszcze głośniej, na co Yi-Yiing przyłożyła mu opuszkę na miejsce.

– Przytrzymaj – poleciła. – I przestań wrzeszczeć.

Danny stwierdził z przykrością, że Joe ogląda telewizję; dziesięciolatek patrzył niczym urzeczony, jak ludzie wiszą na płozach helikopterów, a potem spadają.

– Co się z nimi dzieje? – zapytał.

– Giną – odpowiedział Danny. – Nie ma dla nich miejsca w helikopterach.

Ed zaczął kaszleć i wyszedł tylnymi drzwiami. Biegła za nimi alejka, której używano do dostaw i wywożenia śmieci; wszyscy myśleli, że Ed wychodzi na papierosa. Ale on już nie wrócił.

Yi-Yiing wyprowadziła Ah Gou z kuchni i przeszli przez salę; przytrzymywał odcięty palec, ale bez ścierki zaciśniętej na przedramieniu znów zaczął obficie krwawić. Tzu-Min podążyła za nimi.

– Wygląda na to, że jednak zarażę całą izbę przyjęć – usiłowała żartować Yi-Yiing.

– Co się tutaj, kurwa, dzieje? – nie wytrzymał jeden z krawaciarzy. – Czy ktoś tu w ogóle pracuje?

– Rasiści! Zbrodniarze wojenni! Faszystowskie świnie! – wrzasnął na odchodne Ah Gou, brocząc krwią.

W kuchni Tony zwrócił się do wnuka i syna:

– Będziecie moimi pomocnikami. Lepiej bierzmy się do roboty.

– Mamy tylko dwa stoły, tatku. Chyba damy radę – odpowiedział Danny.

– Proponuję olać biznesmenów, to sobie pójdą – wtrąciła Kaori.

– Nikt się stąd nie ruszy! – wrzasnął Xiao Dee. – Już ja im pokażę, co to znowu, kurwa, za porąbane miejsce! Aż im szczęki opadną!

I wypadł z kuchni, z włosami związanymi idiotyczną różową wstążką, należącą przypuszczalnie do Spicy. Słyszeli go nawet przez zamknięte drzwi.

– Wolicie posmakować najlepszego żarcia w waszym życiu czy zginąć? – wrzeszczał Xiao Dee. – Azjaci umierają na waszych oczach, ale możecie się napchać, proszę bardzo!

– Perliczkę podajemy ze szparagami oraz risotto grzybowym z szałwiowym *jus* – tłumaczył kucharz. – Tylko proszę mi nie paćkać risotto na talerze, z łaski swojej.

– Skąd są te perliczki, tatku? – spytał Danny.

– Z Iowa, ma się rozumieć. Skończyło się nam prawie wszystko, co nie pochodzi z Iowa – odparł ojciec.

– Chcecie zobaczyć, jak się robi wasze ravioli z grzybami i mascarpone? – ryczał Xiao Dee. – Otóż z parmezanem i olejem z białych trufli! Lepszego, kurwa, ravioli nie znajdziecie! Myślicie, że olej z białych trufli pochodzi z Iowa? A chcecie przyjść do kuchni i zobaczyć, jak giną

Azjaci? O tak, w telewizji giną, proszę bardzo! – darł się Młodszy Brat.

Tony Angel zwrócił się do japońskich bliźniaczek.

– Ratujcie gości przed Xiao Dee – polecił. – Jazda mi stąd, obie.

Poszedł z dziewczętami na salę, gdzie podano perliczki.

– Wasze ravioli zaraz będzie gotowe – zapewnił krawaciarzy. Zastanawiał się w kuchni, jakim cudem tak potulnie wysłuchali tyrady Xiao Dee: teraz ujrzał, że Młodszy Brat stoi nad nimi z zakrwawionym tasakiem.

– Jesteś potrzebny w kuchni… bardzo, strasznie potrzebny! – Bliźniaczki uwiesiły się na Xiao Dee z obu stron, skrzętnie omijając tasak. Goście siedzieli jak trusie, nawet gdy cała czwórka znikła w kuchni.

– Co chleją te faszystowskie świnie? – zapytał Xiao Dee.

– Tsingtao – odpowiedziała Kaori lub Sao.

– Zanieść im jeszcze… niech poleje się piwo! – wykrzyknął Młodszy Brat.

– Co dodajemy do ravioli, tatku? – zapytał Danny.

– Groszek – odpowiedział kucharz. – Tylko weź łyżkę cedzakową, bo będzie za tłusty.

Joe nie mógł skupić się na pracy, nie przy włączonym telewizorze. Kiedy zadzwonił telefon, tylko on miał wolne ręce, toteż podniósł słuchawkę. Wszyscy wiedzieli, że na sali nie ma nikogo; pomyśleli, że to pewnie Yi-Yiing albo Tzu-Min dzwonią ze Szpitala Miłosierdzia, czy dało się uratować palec Ah Gou.

– To Ketchum, na koszt abonenta – oznajmił Joe.

– Powiedz, że przyjmujesz – powiedział dziadek.

– Przyjmuję – rzucił do słuchawki chłopiec.

– Ty z nim porozmawiaj, Danielu. Ja jestem zajęty – oświadczył kucharz.

Kiedy Joe przekazywał słuchawkę ojcu, słowa Ketchuma rozległy się w całej kuchni.

– Ten debilny kraj…

– Cześć, to ja, Danny – powiedział pisarz.

– Nadal żałujesz, żeś nie pojechał do Wietnamu, gościu? – ryknął Ketchum.

– Nie, nie żałuję – odpowiedział Danny, ale trwało to zbyt długo i tamten zdążył rzucić słuchawkę.

W kuchni było pełno krwi. Na ekranie zdesperowani Wietnamczycy wisieli na płozach helikoptera i spadali. Nadawano to ujęcie przez kolejne dni, pewnie na całym świecie, przypuszczał Danny, patrząc, jak jego syn obserwuje w telewizji koniec świata, którego ojcu dane było uniknąć.

Bliźniaczki próbowały udobruchać gości kolejną dolewką piwa. Xiao Dee stał w otwartych drzwiach chłodni.

– Kończy nam się Tsingtao, Tony – oznajmił. Zamknął chłodnię, po czym jego spojrzenie padło na uchylone drzwi kuchenne. – Co się stało z Edem? – zapytał. Ostrożnie wyjrzał na zewnątrz. – Może jakiś zasrany kmieć-patriota wziął go za żółtka i porwał!

– Biedny Ed chyba poszedł do domu – stwierdził kucharz.

– Zwymiotowałam do jego zlewu, może dlatego – wtrąciła Sao. Razem z Kaori wróciła do kuchni po ravioli.

– Czy mogę wyłączyć telewizor? – zapytał wszystkich Danny.

– Tak! Zrób to, bardzo cię proszę! – powiedziała jedna z bliźniaczek.

– Eda nie ma! – wrzasnął w alejkę Xiao Dee. – Zasrani patrioci go porwali!

– Mogę zabrać Joego do domu i położyć go spać – zaproponowała druga z bliźniaczek.

– Chłopak najpierw musi zjeść – oświadczył kucharz. – Mógłbyś przez chwilę być szefem sali, Danielu?

– Pewnie – odrzekł pisarz. Umył ręce i twarz, a następnie nałożył czysty fartuch. Gdy wszedł na salę, krawaciarze zdziwili się, że nie jest Azjatą i że nie próbuje ich zabić.

– Co się tam dzieje? – spytał ostrożnie jeden z nich; najwyraźniej bardzo mu zależało, żeby Xiao Dee nie dosłyszał.

– W telewizji kończy się wojna – powiedział Danny.

– À propos, ravioli bomba – pochwalił drugi. – Podziękowania dla kucharza.

– Przekażę – odparł Danny.

Później zjawiło się parę osób w typie nauczycieli akademickich oraz garstka dumnych rodziców ze studentami, lecz gdyby nie chaos w kuchni „Mao”, nikt nie pomyślałby, że – i w jaki sposób – wojna dobiegła końca. Nie wszędzie pokazywano materiał z Sajgonu, a także niezbyt długo, przynajmniej w większości stanów.

Ah Gou zachował opuszkę palca. Kaori lub Sao zabrała Joego do domu i położyła spać, a Danny wrócił z Yi-Yiing. Tony miał przyjechać po zamknięciu lokalu.

Nastąpiła niezręczna chwila – pomiędzy wyjściem japońskiej opiekunki a powrotem Tony'ego – kiedy Joe spał na górze, a Danny został w kuchni domu przy Court Street sam na sam z pielęgniarką z Hongkongu. Podobnie jak Danny i jego ojciec, Yi-Yiing nie piła. Zaparzyła herbatę, która podobno miała pomóc jej na przeziębienie.

– Nareszcie sami – powiedziała. – A przynajmniej prawie sami – dodała. – Jesteśmy tylko ty, ja i mój cholerny katar.

Woda jeszcze się nie zagotowała. Yi-Yiing stanęła z założonymi rękami i utkwiła spojrzenie w Dannym.

– Co? – zapytał.

– Już ty wiesz, co – odpowiedziała. To on pierwszy spuścił wzrok.

– Jak tam sprawa przyjazdu twoich rodziców i córki? – zapytał. Wreszcie odwróciła głowę.

– Powoli zmieniam zdanie – odpowiedziała.

Dużo później Tony'ego doszły wieści, że wróciła do Hongkongu; znalazła tam pracę w swoim zawodzie. O Jo kohamach, Kaori i Sao, słuch zaginął.

Wieczorem w dniu zakończenia wojny Yi-Yiing zabrała herbatę na górę i zostawiła Danny'ego w kuchni. Korciło go, żeby włączyć telewizor, ale zamiast tego poszedł na spacer. Było niezbyt późno, jeszcze przed północą, ale w większości domów przy Court Street panował mrok, paliły się tylko światła na górze. Danny domyślał się, że ludzie czytają w łóżkach albo oglądają telewizję. Z paru okien bił upiorny poblask telewizorów, nienaturalna, sinoszara łuna. Coś było nie tak z tym kolorem.

Pod koniec kwietnia w Iowa było ciepło, toteż niektóre okna były otwarte, i choć nie rozróżniał poszczególnych słów, rozpoznał beznamiętne głosy spikerów, tak mu się przynajmniej zdawało. No bo skąd niby miałby wiedzieć, że ktoś ogląda historię o miłości lub inny film?

Jeśli gwiazdy były na niebie, Danny ich nie widział. Mieszkał przy Court Street od trzech lat; żyło się tu spokojnie, nie licząc błękitnego mustanga bez kierowcy, a teraz mieli wrócić do Vermontu. „Ten debilny kraj…”, zaczął Ketchum, zbyt pijany lub wściekły, a może jedno i drugie, by dokończyć myśl. W każdym razie Danny miał nadzieję, że to zbyt daleko idący wniosek.

– Opiekuj się moim tatą i synkiem – powiedział głośno, ale do czego mówił lub do kogo? Do bezgwiezdnego nieba nad Iowa City? Do kogoś, kto cierpiał na bezsenność i mógł go usłyszeć? Na przykład Yi-Yiing, pod warunkiem że jeszcze nie spała, kto wie.

Danny zszedł z chodnika na ulicę, jakby chciał zwrócić na siebie uwagę błękitnego mustanga.

– Proszę, nie rób krzywdy mojemu ojcu i synowi – poprosił. – Jeśli już, zrób ją mnie – dodał.

Ale któż tam, wysoko w górze, pod niewidocznym firmamentem, miał krzywdzić ich lub roztoczyć nad nimi opiekę?

– Pani Niebo? – rzucił pytającym tonem, ale Amy nigdy nie twierdziła, że jest aniołem na pełny etat, poza tym nie widział jej od ośmiu lat. Nie doczekał się więc odpowiedzi.

Rozdział 11
MIÓD

Co się dzieje z moją pamięcią, pomyślał Tony Angel; dobijał sześćdziesiątki i noga dokuczała mu coraz bardziej. Próbował przypomnieć sobie targi, na które Młodszy Brat zabierał go do Chinatown. Kam Kuo znajdował się na Mott Street, Kam Man na Bowery – a może na odwrót? Mniejsza z tym, uznał; grunt, że ważniejsze sprawy pamiętał.

Na przykład to, jak Xiao Dee objął go na pożegnanie, a Ah Gou uszczypnął się w dosztukowaną opuszkę, by zmusić się do płaczu. „*She bu de!*”, krzyczał Xiao Dee. (Bracia Cheng wymawiali to jak SE BU DE).

– *She bu de!* – wtórował mu Ah Gou, miętosząc lekko przekrzywiony czubek palca.

Chińscy imigranci wymieniali się słowami *she bu de*, wyjaśnił Xiao Dee, podczas szesnastogodzinnych maratonów do i z Chinatown, gdzieś na I80. Mawiano *she bu de*, gdy ktoś opuszczał chińską ojczyznę i wyruszał do Nowego Jorku lub San Francisco bądź też innego odległego miejsca na ziemi, gdzie już nigdy nie ujrzy swych przyjaciół z dzieciństwa ani członków własnej rodziny. (Xiao Dee powiedział Tony'emu Angelowi, że *she bu de* oznacza coś w rodzaju „Nie zniosę rozłąki”. Mówisz tak, gdy nie chcesz rozstać się z tym, co do ciebie należy).

– *She bu de* – wyszeptał do siebie Tony w ukochanej kuchni w „Avellino”

– Co takiego, szefie? – zapytał Greg, jego zastępca.

– Mówiłem do kalmarów – oznajmił kucharz. – Trudność z kałamarnicą polega na tym, Greg, że albo gotujesz ją tylko trochę, albo bez końca; źle wycelujesz, i robi się guma.

Greg znał tę tyradę na pamięć.

– Uhm – odmruknął.

Kałamarnica, którą kucharz przygotowywał dla syna na drugie danie, należała do kategorii „bez końca”. Dusił ją powoli z pomidorami z puszki oraz przecierem, z dodatkiem czosnku, bazylii, suszonej czerwonej papryki i czarnych oliwek. Na samym końcu dorzucił orzeszki piniowe i siekaną pietruszkę, a następnie polał sosem makaron penne i dosypał z boku nieco pietruszki. Bez parmezanu. Po makaronie poda Danielowi sałatkę z fasolki szparagowej, może z odrobiną koziego sera; kupował go w Vermoncie, smakował całkiem do rzeczy.

Najpierw jednak musiał wyjąć z piecyka gotowe pepperoni. „*She bu de*”, szepnął do starego irlandzkiego pieca, ponownie zwracając na siebie uwagę Grega.

– Znowu płaczesz… chyba o tym wiesz, co? – zainteresowała się Celeste. – Chcesz pogadać?

– To cebula – zapewnił kucharz.

– Bzdura, Tony – odpowiedziała. – Czy to moje pizze dla babsztyli? – I nie czekając na odpowiedź, dodała: – Oby. Wiedźmy zaraz pożrą Danny'ego.

– Proszę uprzejmie – powiedział Tony Angel. Widelcem wyłowił z garnka jedną kluskę i spróbował, nie spuszczając przy tym oka z wychodzącej Celeste. Loretta patrzyła na niego, jakby coś nie dawało jej spokoju. – No co? – mruknął.

– Człowiek zagadka – oznajmiła. – Danny tak samo, nie?

– Dramatyzujesz, tak samo jak matka – odparł z uśmiechem.

– Kalmary gotowe czy opowiesz mi historię swego życia? – zapytała Loretta.

Tymczasem na sali Dot zawołała:

– Mamuniu, jakie cieniuchne ciasto!

– Cieniuchne – potwierdziła z aprobatą May.

– Nasz kucharz robi wyborną pizzę – potwierdziła Celeste. – I zawsze na cienkim cieście.

– Co do niego dodaje? – spytała Dot.

– Tak, jaki jest jego sekretny składnik? – dodała May.

– Tego nie wiem – odrzekła Celeste. – Ale zapytam. – Kobiety nie zwróciły na nią uwagi, pochłonięte zawartością talerzy. – Życzę smacznego – uzupełniła Celeste i poszła. Dot i May jadły jak w transie, nie było czasu na gadanie.

Danny obserwował je z narastającym zdumieniem. Gdzie ja widziałem, żeby ludzie tak jedli, myślał. Na pewno nie w Exeter, gdzie maniery przy stole nie miały większego znaczenia, ale żarcie było do niczego. W Exeter człowiek podejrzliwie oglądał zawartość talerza – i gadał non stop, żeby nie myśleć o tym, co je.

Kobiety rozmawiały dotąd i szeptały (i rechotały) między sobą jak dwie stare ropuchy, tymczasem w tej chwili nie padało między nimi ani jedno słowo, w ogóle też na siebie nie patrzyły. Siedziały podparte łokciami, z głową nisko zwieszoną nad talerzem. Ramiona miały skulone, jakby spodziewały się ataku od tyłu; Danny'emu przyszło do głowy, że gdyby zakradł się w pobliże, niezawodnie usłyszałby mimowolne pomrukiwania, dźwięk tak dalece powiązany z wykonywaną przez nie czynnością, iż same już dawno przestały go słyszeć.

Pisarz przypomniał sobie, że na North Endzie też nikt tak nie jadł. W „Vicino di Napoli” celebrowano posiłki; stanowiły okazję do natchnionej wymiany zdań i obcowania z pozostałymi biesiadnikami. W „Mao” natomiast człowiek nie rozmawiał ot tak, tylko krzyczał. No i dzielono się jedzeniem, podczas gdy te tutaj zazdrośnie strzegły zawartości swych talerzy, gotowe jej bronić jak lwice jedna przed drugą. Rozszarpywały swoje pizze niczym psy. Danny wiedział, że nie zostawią ani okruszka.

– Red Soksi są nierówni – skomentował Greg, ale kucharz bez reszty pochłonięty był kalmarami dla syna i słuchał transmisji jednym uchem.

– Daniel lubi więcej pietruszki – mówił do Loretty, w chwili gdy Celeste wróciła do kuchni.

– Babsztylom smakuje pizza; chcą wiedzieć, czy masz jakiś swój sekretny składnik, Tony – powiedziała Celeste.

– Pewnie, że mam. To miód.

– W życiu bym na to nie wpadła. To ci dopiero sekret.

Tymczasem pisarz Danny Angel doznał olśnienia. Wiedział już, gdzie widział ludzi jedzących jak zwierzęta, jak tamte dwie. Drwale i pracownicy tartaku jedli w identyczny sposób, nie tylko w stołówce w Twisted River, ale i w polowych kuchniach, gdzie ojciec karmił przed laty flisaków. Tamci wsuwali bez słowa; bywało, że nawet Ketchum się nie odzywał. Jednakże dwa opasłe babska nie były przecież flisakami, stwierdził w duchu, ale Loretta przerwała mu rozmyślania.

– Niespodzianka! – powiedziała, stawiając przed nim talerz.

– Stawiałem na kalmary – przyznał Danny.

– Ha! – odpowiedziała. – Powiem twojemu tacie.

May pierwsza uporała się z pizzą; na widok łakomego spojrzenia, jakim obrzuciła talerz Dot, każdy postronny obserwator miałby podstawy przypuszczać, że ich przyjaźń wisi na włosku.

– Widzę, że ci nie smakuje – oznajmiła.

– Smakuje, jeszcze jak – odparła z pełnymi ustami Dot, pospiesznie zgarniając z talerza ostatni, cenny kawałek.

May odwróciła wzrok.

– Tamten pismak wreszcie coś wcina, wygląda smakowicie – zauważyła. Dot tylko chrząknęła, kończąc

pizzę.

– Nie sądzisz, że była prawie tak dobra jak pizza Ziółka? – spytała May.

– W życiu – odparła Dot, wycierając usta. – Żadna pizza nie dorasta jego pizzy do pięt.

– Powiedziałam „prawie”, Dot.

– Powiedzmy, że „blisko”.

– Mam nadzieję, że zostawiły panie miejsce na deser – uśmiechnęła się Celeste. – Widzę, że pizza smakowała.

– I co z tym sekretnym składnikiem? – spytała May.

– Nigdy panie by nie zgadły – odparła Celeste.

– Założę się, że to miód – stwierdziła Dot; obie z May zarechotały, ale zaraz ucichły na widok miny kelnerki. (Celeste rzadko traciła mowę).

– Chwileczkę – powiedziała May. – To miód, prawda?

– Tak powiedział… że dodaje do ciasta miód – potwierdziła Celeste.

– Taa, zaraz się dowiemy, że kucharz kuleje – burknęła Dot. To dopiero je rozśmieszyło; rechotały jedna przez drugą, ale zdumienie na twarzy Celeste nie uszło ich uwagi. W sumie nie musiała nic dodawać. Owszem, kuleje. Kuleje jak diabli!

Danny usłyszał strzępy ich rozmowy, zanim rechotanie sięgnęło zenitu. Podsłuchał, jak Celeste mówi coś o dodawaniu miodu do pizzy, a jeden z babsztyli serwuje żarcik o kulejącym kucharzu. Był przeczulony na tym punkcie; dość się na ten temat nasłuchał, szczególnie z ust szkolnych obszczymurków z Zachodniego Dummer. I zastanawiał się dlaczego Celeste ma taką zmartwiałą minę.

– Co będzie z plackiem i szarlotką? – zapytała kelnerka.

– Wolnego – odparła May. – Chcesz powiedzieć, że kucharz kuleje?

– Kuleje… troszkę. – Wahanie Celeste przypieczętowało sprawę.

– Pierdzielisz? – zdumiała się Dot.

Celeste sprawiała wrażenie urażonej, a zarazem przestraszonej; czuła, że coś tu nie gra, ale nie miała pojęcia dlaczego, ani o co dokładnie chodzi. Podobnie jak Danny, ale jego mina nie pozostawiała wątpliwości. Był przerażony.

– Słuchajcie, nasz kucharz kuleje, dodaje do pizzy miód… to nic wielkiego – perswadowała Celeste.

– Może dla nas tak – odpowiedziała May.

– Mały jest? – spytała Dot.

– Właśnie… i jak ma na imię? – dodała May.

– Powiedziałabym, że jest… drobnej budowy – rzuciła ostrożnie Celeste. – I ma na imię Tony.

– O – rozczarowała się Dot.

– Tony – powtórzyła May, potrząsając głową.

– Przynieś nam jedną szarlotkę i jeden placek z jagodami – poleciła Dot.

– Zjemy po połowie – uzupełniła May.

I pewnie stanęłoby na tym, gdyby Danny się nie odezwał, jego głos sprawił bowiem, że Dot i May przyjrzały mu się uważniej. Wcześniej nie zwróciły uwagi na jego fizyczne podobieństwo do kucharza w czasach młodości, ale staranna wymowa z miejsca nasunęła im wspomnienie Dominica. W miejscu takim jak Twisted River dykcja i sposób wysławiania się kucharza rzucały się w oczy.

– Panie pozwolą, że zapytam, skąd jesteście? – zwrócił się do babsztyli.

– Jezus Maria, May – powiedziała Dot do przyjaciółki. – Czy ten głos, kurka, czegoś ci nie przypomina?

– Jeszcze jak – odparła May. – I czy on nie wygląda wypisz, wymaluj jak Ziółko?

Ostatnie słowo upewniło Danny'ego co do pochodzenia kobiet, zrozumiał też, dlaczego tak dociekliwie wypytywały Celeste o miód w cieście do pizzy i małego kucharza, który kuleje.

– Ty jesteś Danny – rzuciła Dot. – A może też zmieniłeś imię?

– Nie – odpowiedział zbyt szybko.

– Chcę rzucić okiem na tego kucharza – oznajmiła May.

– Bądź tak miły i powiedz tacie, żeby przyszedł się przywitać – dodała Dot. – Kupę lat żeśmy się nie widzieli, mamy co nieco do nadrobienia.

Przyszła Celeste z deserem, ale Danny wiedział, że nie ma szans na dłuższe odwrócenie uwagi.

– Celeste – powiedział. – Proszę, przekaż tatce, że są tu jego stare znajome. Przyjechały z Twisted River – dodał.

– Nasz kucharz ma na imię Tony – podjęła ostatnią, desperacką próbę Celeste. To, czego nasłuchała się o Twisted River, utwierdziło ją w przekonaniu, że nie chce słyszeć ani słowa więcej. Przyjaciel powiedział jej, że dzień, w którym Twisted River go dogoni, będzie ostatnim, który spędzą razem.

– Wasz kucharz nazywa się Ziółko – oznajmiła kelnerce Dot.

– Powiedz mu, że się dławimy – dorzuciła May. – Przyleci w te pędy.

– Chciałaś powiedzieć, przykuśtyka – sprecyzowała Dot, lecz rechot zabrzmiał jakoś bez przekonania. Jeśli pisarz miałby zgadywać, kobiety miały z jego ojcem rachunki do wyrównania.

– Masz taki sam wyniosły głos jak twój stary – zwróciła się do niego May.

– Indianka też tu jest? – zainteresowała się Dot.

– Nie, Jane… odeszła dawno temu – odparł Danny.

Wchodząc do kuchni, Celeste jeszcze trzymała się w ry zach.

– Wiesz, mogłabyś mi pomóc z tą ósemką, mamo – poskarżyła się Loretta. – Doszły jeszcze trzy pary, a ty gadasz i gadasz z tymi babami.

– Te baby są z Twisted River – zwróciła się do kucharza Celeste. – Kazały ci powtórzyć, że się dławią… Ziółko. – Celeste nigdy nie widziała na twarzy Tony'ego Angela takiej miny, podobnie jak nikt z obecnych, no ale ma się rozumieć nigdy nie zwróciła się do niego per „Ziółko”.

– Jakiś problem, szefie? – zapytał Greg.

– To przez ten miód w pizzy, prawda? – zapytała Celeste. – To przez niego się domyśliły.

– Dot i May. To już koniec, skarbie – powiedział Tony Angel do Celeste, która zaczęła płakać.

– Mamo? – rzuciła pytająco Loretta.

– Nie znacie mnie – zwrócił się do wszystkich kucharz. – I nie dowiecie się, dokąd pojadę. – Zdjął fartuch i upuścił go na podłogę. – Teraz ty tu rządzisz, Greg – polecił swemu zastępcy.

– Nie znają twojego nazwiska, chyba że Danny im powiedział – wykrztusiła Celeste; Loretta obejmowała ją ramieniem.

Kucharz wyszedł na salę. Danny stał pomiędzy nim a tamtymi dwiema.

– Nie wiedzą o „An-ge-LU”, tatko – szepnął syn.

– I całe szczęście – odpowiedział ojciec.

– I to ma być „troszkę”, May? – zawróciła się do starej przyjaciółki Dot, patrząc znacząco, jak kucharz powłóczy nogą.

– Witam panie – powiedział, ale nie podszedł bliżej.

– Na moje oko utyka gorzej niż przedtem – uznała May.

– Jesteście przejazdem? – spytał kucharz.

– Jak to się stało, że zmieniłeś imię, Ziółko? – zapytała Dot.

– „Tony” jest łatwiejsze do wymówienia niż Dominic – odpowiedział. – No i też brzmi z włoska.

– Wyglądasz strasznie, Ziółko… biały jesteś jak mąka! – stwierdziła May.

– W kuchni trudno się opalić – odpowiedział.

– Wyglądasz, jakbyś siedział pod miotłą – zarechotała Dot.

– Coście się tak speszyli na nasz widok, hę? – zapytała May.

– Zawsze zadzierali nosa – przypomniała przyjaciółce Dot. – Zawsze byłeś nadętym smarkiem, młody – powiedziała do Danny'ego.

– Gdzie teraz mieszkacie? – spytał kucharz. Miał nadzieję, że gdzieś w pobliżu, na przykład w Vermoncie, lub w stanie Nowy Jork, ale ich akcent i wygląd świadczyły dobitnie, że tkwią po uszy w Coos.

– W Mediolanie – odpowiedziała May. – Czasem widujemy waszego kumpla Ketchuma.

– Nie, żeby nas zauważał, i w ogóle – uzupełniła Dot. – Zawsze zadzieraliście nosa, wszyscy trzej… i Indianka!

– Cóż… – zawiesił głos kucharz. – Wybaczcie, ale jestem zajęty.

– Najpierw zachciało mu się miodu do pizzy, a potem nie. Widać znowu zmieniłeś zdanie – powiedziała do niego May.

– Na to wygląda – odparł kucharz.

– Idę do kuchni – oznajmiła raptem Dot. – Nie wierzę w ani jedno, kurwa, słowo! Sama zobaczę, czy Jane gdzieś się

tu szlaja! – Danny i jego ojciec nie próbowali jej zatrzymać. May została z nimi.

– Dwie kelnerki, które ryczą jak bobry, młody kucharz, pomocnik i gówniarz zmywający naczynia – wyliczyła po powrocie Dot.

– Coś mnie się zdaje, żeś namieszał, Ziółko! – oznajmiła May. – Ty też – powiedziała do Danny'ego. – Masz żonę, dzieci czy coś?

– Ani żony, ani dzieci – odparł Danny, znowu zbyt szybko.

– Gówno prawda – burknęła Dot. – Nie wierzę w ani jedno, kurwa, słowo!

– I, ma się rozumieć, nikogo nie bzykasz? – zapytała kucharza May. Nie odpowiedział; patrzył na swego syna Daniela. Obaj wybiegli myślami w przyszłość. Jak szybko uda im się wyjechać? I dokąd pojadą tym razem? Ile czasu minie, zanim babsztyle spotkają Carla, i co mu powiedzą? Carl mieszkał w Berlinie, Ketchum w Errol. Mediolan leżał pomiędzy.

– Moim zdaniem bzyka kelnerkę, tę starszą – powiedziała do przyjaciółki Dot. – To ona najgłośniej ryczy.

Kucharz odwrócił się na pięcie i poszedł do kuchni.

– Powiedz im, że ja stawiam, Danielu. Nie muszą płacić ani za pizzę, ani za deser – rzucił przez ramię.

– Nie musisz nam nic mówić, same słyszałyśmy – syknęła May.

– A trochę uprzejmości to nie łaska? – krzyknęła za kucharzem Dot, ale jego już nie było. – Mam w dupie twoją hojność, Ziółko! – wrzasnęła w stronę kuchni, ale nie ruszyła się z miejsca.

May wykładała pieniądze na stolik Danny'ego; kwota była większa, niż się należało, ale Danny nie próbował jej powstrzymać.

– W dodatku nawet nie ruszyłyśmy deseru! – zaznaczyła. May wskazała palcem na jego zeszyt. – A ty kto, pieprzony księgowy czy co? Prowadzisz księgi?

– Zgadza się – odpowiedział.

– Mam w dupie ciebie i twojego tatę – oznajmiła Dot.

– Ziółko zawsze zadzierał nosa, ty tak samo – wypomniała mu May.

– Przepraszam – odpowiedział Danny. Marzył, żeby już sobie poszły, tak aby mogli skupić się na tym, co zrobić oraz ile (a dokładniej, jak niewiele) czasu im zostało. Najpierw czekała ich przeprawa z Ketchumem.

Tymczasem nieopodal siedziała (jak dotąd nieobsłużona) ośmioosobowa grupa oraz trzy zdumione pary. Wszyscy z uwagą śledzili wymianę zdań, ale przedstawienie dobiegło końca. Dot i May ruszyły do wyjścia. Na odchodne jak na komendę pokazały Danny'emu środkowy palec. Przez jedną oszałamiającą chwilę – było tak, jak gdyby w ogóle nie istniały bądź też nigdy nie znalazły się w „Avellino” – kręciły się w kółko, nie wiedząc, którą wybrać stronę. Wreszcie chyba przypomniały sobie, że zaparkowały kawałek dalej, za Latchis.

Po wyjściu kobiet Danny zwrócił się do oszołomionych, zapomnianych gości.

– Zaraz ktoś do państwa przyjdzie – zapewnił, sam nie wierząc we własne słowa; wiedział, że nic z tego, jeśli Celeste i Loretta nadal płaczą.

Sytuacja w kuchni okazała się poważniejsza, niż przypuszczał. Płakali nawet pomywacz i pomocnik kelnera. Celeste siedziała na podłodze, Loretta klęczała obok.

– Przestań się wydzierać! – darł się do słuchawki kucharz. – Co też mi strzeliło do głowy, żeby do ciebie dzwonić, przynajmniej teraz nie musiałbym cię słuchać! – Danny domyślił się, że ojciec zadzwonił do Ketchuma.

– Mów, co mam im powiedzieć, Greg – zwrócił się do zastępcy. – Mamy tam dwa stoliki, ośmio- i sześcioosobowy? Co im powiedzieć?

Greg szlochał nad odparowanym winem.

– Twój tata powiedział, że to koniec „Avellino” – odparł. – I że to jego ostatni wieczór. Wystawi restaurację na sprzedaż, ale na razie możemy ją prowadzić… jeśli damy radę.

– A niby jak, kurwa, mamy dać radę, Greg? – krzyknęła Celeste.

– Wcale nie powiedziałem, że damy – wybełkotał Greg.

– Zacznijmy od uciszenia Red Soksów – oznajmił Danny, zmieniając stację. – Jeśli macie zamiar dalej histeryzować, róbcie to na tle muzyki. Słychać was z daleka.

– Wiem, zawsze mówiłeś, że Vermont jest zbyt, kurwa, blisko New Hampshire – wrzeszczał kucharz. – Chciałbym choć raz usłyszeć od ciebie coś pożytecznego!

– Co mam powiedzieć gościom, Greg? – ponowił pytanie Danny.

– Niech zamówią coś nieskomplikowanego – wykrztusił Greg.

– Niech idą w cholerę, na miłość boską! – zawołała Loretta.

– Wykluczone, psiakrew… mają zostać! – burknął ze złością zastępca kucharza. – Damy radę.

– Nie bądź dupkiem, Greg – pisnęła Celeste, która nadal płakała.

Danny wrócił na salę, gdzie ośmioosobowa grupa toczyła ze sobą zażarty spór – pewnie poszło o to, czy iść, czy może zostać. Trzy pary przy stoliku na sześć osób sprawiały wrażenie bardziej pogodzonych z losem, a przynajmniej skłonnych poczekać.

– Słuchajcie – zwrócił się do wszystkich Danny. – Mamy w kuchni kryzys, mówię serio. Radziłbym, żebyście wyszli lub zamówili jakąś prostą potrawę. Na przykład pizzę albo makaron. À propos, wołowe *satay* jest świetne.

Podszedł do stojaka z winem i wybrał dwie butelki dobrego czerwonego; Danny Angel przestał wprawdzie pić szesnaście lat temu, gdy był jeszcze Danielem Baciagalupo, ale znał się na winie.

– Ja płacę za wino – obiecał, idąc po kieliszki. Następnie musiał wrócić do kuchni po korkociąg. Po drodze usłyszał, że ktoś z ośmioosobowej grupy nieśmiało pyta o piwo. – Jasne – odpowiedział. – Nie ma problemu. Polecam moretti.

Celeste stała już na szczęście na nogach, Loretta też wyglądała nieco lepiej.

– Jedno moretti dla ósemki. Pozostałym dałem wino, ja stawiam – powiedział do tej ostatniej. – Pójdziesz odkorkować?

– Tak, już mi lepiej – odrzekła.

– Mnie też – wtrąciła Celeste, ale nikt jej nie uwierzył.

– Lepiej zabierz ojcu słuchawkę, zanim dostanie zawału – poradził Danny'emu Greg.

– Nie będę znów zmieniał nazwiska! – krzyczał kucharz. – I nie wyjadę z kraju, Ketchum! Dlaczego miałbym to zrobić?

– Ja z nim pomówię, tatku – powiedział Danny; cmoknął ojca w czoło i odebrał mu słuchawkę. – Cześć Ketchum, to ja – zaczął.

– Dot i May! – ryknął Ketchum. – Na miłość boską, Danny, te dwie mają ozory jak stąd na Florydę! Jak tylko wpadną na Carla, kowboj zaraz będzie wiedział, gdzie was szukać!

– Jak myślisz, do kiedy mamy czas? – spytał Danny. – Tak na oko.

– Do wczoraj! – zakomunikował Ketchum. – Musicie jak najszybciej wyjechać z kraju!

– Z kraju? – powtórzył Danny.

– Jesteś znanym pisarzem! Na co ci życie w tym debilnym państwie? – zapytał Ketchum. – Możesz pisać wszędzie, nie? A Ziółku ile zostało do emerytury? Poza tym on też może wszędzie gotować, prawda? Byle nie we włoskiej knajpie! Tam kowboj będzie was szukał w pierwszej kolejności. No i trzeba wymyślić ojcu nowe nazwisko.

– Dot i May nie wiedzą o „An-ge-LU” – zaznaczył Danny.

– Carl i tak się dowie, kiedy ruszy waszym tropem. Ktoś prędzej czy później może sypnąć.

– I co, ja niby też miałbym zmienić nazwisko? Ketchum, na litość boską, jestem pisarzem!

– No to nie zmieniaj – burknął posępnie Ketchum. – Z kowboja taki czytelnik jak z koziej dupy trąba, już ci mówiłem. Ale Ziółko nie może już być Tonym Angelem; już lepiej wyszedłby na Danielu Baciagalupo! I ani mi się waż pozwolić mu przestąpić próg włoskiej knajpy, nawet za granicą.

– Mam syna, Ketchum. Jest Amerykaninem, pamiętasz? – powiedział Danny.

– Joe idzie do college'u w Kolorado – przypomniał mu Ketchum. Danny nie mógł się z tym pogodzić: to, że jego syn ma podjąć studia na Uniwersytecie Kolorado w Boulder, sprawiło mu pewien zawód. W końcu nie po to posyłał go do dobrych szkół. Uważał, że Joe jedzie do Kolorado na narty, nie na studia; ponadto słyszał, że Boulder to mekka imprezowiczów. – Carl nawet nie wie, że masz dziecko – dodał Ketchum. – Wy uciekniecie, a ja zajmę się Joem.

– W Kolorado? – zdumiał się Danny.

– Wszystko po kolei, Danny. Zabierajcie dupy z Vermontu, obaj! Ja zaopiekuję się chłopakiem, przynajmniej zanim wyjedzie do Kolorado.

– Może tata i ja też moglibyśmy pojechać do Kolorado – zaproponował Danny. – Tam jest chyba podobnie jak w Vermoncie… i góry też są, tylko większe. Boulder to miasto uniwersyteckie, a przecież w Iowa City było nam jak w raju. Miasto uniwersyteckie to wymarzone miejsce dla pisarza. I kucharz znajdzie coś dla siebie, nie? Niekoniecznie włoskiego…

Ketchum przerwał mu w pół słowa.

– Znalazł się mądrala! Uciekliście raz, teraz musicie uciekać bez przerwy. Myślisz, że Carla obchodzi, że jesteście rodziną? On nie ma rodziny; to jebany morderca, Danny. I się uwziął!

– Jak już coś postanowimy, dam znać – odpowiedział pisarz.

– Carl gówno wie o zagranicy – dorzucił Ketchum. – Psiakrew, Boston miał na wyciągnięcie ręki. Myślisz, że z Kolorado będzie inaczej? Kolorado to drugie New Hampshire, Danny: mają tam spluwy, nie? W Kolorado nosisz spluwę i wszyscy mają to gdzieś, zgadza się?

– Chyba tak – przyznał Danny. – Wiem, że nas kochasz, Ketchum.

– Obiecałem twojej mamie, że będę się wami opiekował! – krzyknął flisak łamiącym się głosem.

– No i dotrzymujesz słowa – skwitował Danny, ale Ketchum już odłożył słuchawkę. Pisarz zapamięta piosenkę, która wtedy leciała w radiu; była to A*fter the Gold Rush* Neila Younga, z lat siedemdziesiątych. (Przerzucając stację, Danny niechcący włączył przeboje dla oldbojów Grega).

Myślałem o tym, co

Powiedział przyjaciel.

W nadziei, że okłamał mnie.

Danny zobaczył, że ojciec znów miesza sosy, po czym przystępuje do ugniatania ciasta na trzy, może cztery pizze. Greg coś grillował, ale zaraz podszedł do piekarnika, żeby wyjąć foremkę. Kelnerki gdzieś znikły, pomocnik napełniał chlebem koszyki.

Pomywacz czekał na nową porcję brudnych naczyń, czytając książkę w miękkiej oprawie. Pewnie szkolna lektura, pomyślał Danny; młodzież rzadko sięgała po książki z własnej inicjatywy. Zapytał chłopca, co czyta. Ten uśmiechnął się nieśmiało i pokazał mu wysłużone, popularne wydanie powieści Danny'ego Angela, pisarz jednak był tak pochłonięty zamieszaniem wynikającym z niespodziewanego przybycia Dot i May, że nawet nie zapamiętał tytułu.

Ale pechowy wieczór jeszcze się nie skończył; ba; dla Danny'ego był to dopiero jego początek.

„Znajdziesz kogoś”, powiedział Danny'emu Kurt Vonnegut, kiedy młody pisarz po raz pierwszy opuszczał Iowa City, krótko po rozstaniu z Katie. Tymczasem tak się nie stało, jeszcze nie. Danny zakładał, że ma czas; miał dopiero czterdzieści jeden lat, a do tego nie mógł powiedzieć z ręką na sercu, że szczerze próbował. Czyżby sądził, że Pani Niebo znów wpadnie w jego życie, tylko dlatego że nie mógł o niej zapomnieć?

A co do innego stwierdzenia Vonneguta, tego o „łaskawym kapitalizmie”, Danny zachodził w głowę (jadąc do Putney z Brattleboro), jakim cudem Kurt wyczuł, co się święci.

Późnym wieczorem, w dniu przybycia do „Avellino” Dot i May, tuż przed kolejną przeprowadzką Danny'ego i jego ojca, od domu sławnego pisarza biła łuna zapalonych świateł. Komukolwiek, kto przejeżdżał Hickory Ridge Road, widok owej iluminacji – w każdym budynku, każdym

pomieszczeniu – zdawał się potwierdzeniem tego, że autor bestsellerów Danny Angel jest istnym pieszczoszkiem kapitalizmu.

Czyżby dom przeżywał oblężenie gości? Czy każdy pokój starej farmy (obecnie domku gościnnego), a także nowego domu, który Danny wybudował dla siebie i Joego, był zajęty? Światła paliły się także w jego pracowni, jakby impreza rozkręciła się nawet tam.

Danny przecież zostawił tylko światło w kuchni w nowym budynku; kiedy wyjeżdżał, w pozostałych pomieszczeniach (i budynkach) panował mrok. Muzyka leciała na cały regulator, z kilku płyt i obu budynków, do tego otwarto chyba wszystkie okna. Aż dziw, że nikt nie wezwał policji; Danny wprawdzie nie miał bliskich sąsiadów, ale hałas niósł się aż na drogę. Danny usłyszał go, a także zobaczył światła, zanim jeszcze skręcił w podjazd, na którym przystanął, a następnie wyłączył reflektory i silnik. W zasięgu wzroku nie było żadnych pojazdów oprócz samochodu Joego, zaparkowanego w otwartym garażu od czasu ostatniego pobytu chłopca w domu. Widział z końca podjazdu, że palą się nawet światła w garażu. Przyszło mu do głowy, że gdyby Amy zrezygnowała z przybycia spadochronem, być może obwieściłaby swój przyjazd właśnie w ten sposób.

A może ktoś zrobił mu kawał? Kawały nie były w stylu Armanda DeSimone'a. Poza nim Danny nie miał w Putney bliskich przyjaciół, a już na pewno nie takich, którzy zjawiliby się u niego bez zaproszenia. Czy Dot i May zdążyły powiadomić Carla? No ale babsztyle nie znały przecież jego adresu, a poza tym czy emerytowany posterunkowy nie czułby się swobodniej pod osłoną ciemności? Na pewno obyłby się bez muzyki i świateł: swojego przyjazdu raczej wolałby nie obwieszczać.

Pisarzowi nie przychodziła też do głowy żadna okazja do wyprawienia przyjęcia niespodzianki. Może to jednak

Armando, pomyślał, ale nie: on i Mary nie słuchali takiej muzyki. DeSimone'owie lubili tańczyć, należeli do pokolenia wielbicieli Beatlesów. Tymczasem jazgot płynący z okien był z całą pewnością muzyką lat osiemdziesiątych, jaką preferował Joe. (Danny nie znał się na współczesnej muzyce, lecz bijące z głośników dwie odrębne linie melodyczne były po pierwsze ohydne, a po drugie zgoła do siebie nieprzystające).

Ktoś postukał latarką w okno i Danny aż poskoczył na siedzeniu. Zobaczył, że to Jimmy, miejscowy policjant. Musiał stanąć za samochodem Danny'ego ze zgaszonymi światłami i chyba wyłączył też silnik, którego Danny i tak pewnie by nie usłyszał.

– O co chodzi z tą muzyką, Danny? – zapytał Jimmy. – Trochę za głośno, nie uważasz? Chyba powinieneś ją ściszyć.

– Kiedy ja wcale jej nie włączyłem – odpowiedział pisarz. – Nie włączyłem ani świateł, ani muzyki.

– Kto jest w domu? – zdumiał się policjant.

– Nie mam pojęcia – odparł Danny. – Nikogo nie zapraszałem.

– Może przyszedł i poszedł… Mam sprawdzić? – spytał Jimmy.

– Idę z tobą – westchnął Danny.

– Miałeś ostatnio listy od szurniętych fanów? – spytał Jimmy. – Jakieś pogróżki?

– Ostatnio nie – odpowiedział Danny. Tylko stały napływ korespondencji od fanatyków religijnych i debili wiecznie utyskujących na „plugawy” język lub „wyuzdane” sceny erotyczne.

„Każdy ma się dziś za pieprzonego cenzora”, skwitował Ketchum.

Danny wiedział, że z chwilą wydania *Na wschód od Bangor*, jego tak zwanej powieści aborcyjnej, oburzeni stróże moralności zapewne dadzą o sobie znać. Ale ostatnio nie napływały żadne pogróżki.

– Nie masz z nikim na pieńku… z kimś, kogo znasz? – drążył Jimmy.

– Jest ktoś, kto myśli, że ma z moim ojcem rachunek do wyrównania… ktoś niebezpieczny – odparł Danny. – Ale to na pewno nie on – dodał.

Najpierw weszli do kuchni nowego domu. Panował tu pewien nieład: drzwiczki piekarnika były otwarte na oścież, a na blacie leżała przewrócona butelka oliwy, na szczęście zakręcona i nic nie wyciekło. Danny przeszedł do salonu, skąd dobiegało dudnienie muzyki. Ujrzał lampę leżącą na sofie, ale na oko nie wyrządzono żadnych szkód. Celowe, acz drobne odchylenia od normy świadczyły raczej o wybryku aniżeli akcie wandalizmu. Telewizor był włączony, ale bez dźwięku.

Przechodząc przez jadalnię w drodze do salonu, skąd dobiegała muzyka, Danny zauważył tylko przewrócone krzesło. Jimmy natomiast stanął przy stole i nie ruszał się z miejsca.

– Wiesz może, czyj to pies, Danny? – zapytał, kiedy Danny wyłączył wieżę. – Zdaje mi się, że to jeden z tych z bocznej drogi do Westminster West. To psy Rolanda Drake'a. Może go znasz, chodził do Windham.

Pies zesztywniał, odkąd Danny widział go po raz ostatni – był to mieszaniec zagryziony przez Koguta. Leżał jak długi na stole w jadalni, z upiornie obnażonymi kłami. Jedną ze stężałych łap przyciskał do blatu liścik, który Danny podrzucił hipisowi. Tam, gdzie Danny wystukał na maszynie „Jesteśmy kwita, tak?”, hipis udzielił odpowiedzi odręcznie.

– Czekaj… niech zgadnę – powiedział pisarz. – Założę się, że ten debil odpisał: „Wal się! ” czy coś w tym stylu?

– Właśnie tak napisał, Danny – potwierdził Jimmy. – Wygląda na to, że się znacie.

Roland Drake: a więc to ten debil!, pomyślał Danny. Armando DeSimone miał rację: Roland Drake był studentem Danny'ego w Windham College, tyle że przez krótki czas. Drake zrezygnował z kursu po pierwszych konsultacjach, gdy Danny powiedział aroganckiemu półgłówkowi, że nie sposób dobrze pisać bez sprawdzania i poprawiania tego, co się napisało. Roland Drake pisał ciurkiem i bez pomyślunku; wyobraźnię miał znośną, ale tekst nie trzymał się kupy. Nie przywiązywał wagi ani do szczegółów, ani do języka.

– Interesuje mnie pisanie, nie przepisywanie – oznajmił Danny'emu. – Koncentruję się na aspekcie twórczym.

– Ale przepisywanie jest pisaniem – zaoponował Danny. – Bywa też najbardziej twórczym aspektem całości.

Roland Drake prychnął i wyszedł. Była to ich jedyna wymiana zdań. Nie był wówczas tak zarośnięty, być może z czasem bardziej uległ hipisowskim wpływom. Inna sprawa, że Danny z trudem rozpoznawał twarze poznanych dawniej ludzi. Oto zasadniczy feler bycia sławnym: człowiek spotyka jakąś osobę, po czym okazuje się, że już powinien ją znać. Drake odebrał to zapewne jako kolejny policzek: nie chodziło jedynie o próbę zwrócenia mu uwagi, gdy Danny poprosił o pilnowanie psa (psów), lecz także o to, że Danny go nie pamiętał.

– Tak, znam Rolanda Drake'a – powiedział do Jimmy'ego. Opowiedział policjantowi o całym zdarzeniu, łącznie z zagryzieniem psa, leżącego teraz sztywno na jego stole. Jimmy widział na podstawie liściku, że Danny próbował zakopać topór wojenny. Pseudostolarz, jak go nazwał Armando, nie wiedział widocznie, że kwita to kwita, tak samo jak nie wiedział, że przepisywanie stanowi integralną część procesu pisania, kto wie, czy nie najbardziej twórczą.

Danny i Jimmy obeszli cały dom, gasząc światła i porządkując rozrzucone rzeczy. Wanna w łazience Joego została napełniona wodą. Woda była zimna, a podłoga sucha, nic się nie przelało. W pokoju Joego jedno ze zdjęć drużyny zapaśniczej zostało zdjęte ze ściany i oparte (na poduszce) o wezgłowie. W łazience Danny'ego jeden z jego dresów (na wieszaku) powieszono na zasłonie prysznica, a elektryczną maszynkę do golenia i półbuty wstawiono do pustej wanny. Wszystkie ręczniki ułożono jeden na drugim w nogach łóżkach w głównej sypialni.

– Drake to tylko mały zadymiarz, Danny – machnął ręką policjant. – Dziecię funduszu powierniczego: boi się poważnie nabroić, bo staruszkowie będą musieli pokryć szkody.

W każdym pomieszczeniu zastawali podobny widok: drobny nieporządek, żadnych zniszczeń. Gdy weszli do garażu, żeby zgasić światła, Danny odkrył na siedzeniu samochodu Joego tubkę pasty do zębów; szczoteczka tkwiła pod osłoną przeciwsłoneczną po stronie kierowcy.

W domku gościnnym, gdzie muzyka dudniła na cały regulator i migał włączony bez dźwięku telewizor, widniały podobne przejawy szczeniackich wybryków. Lampy leżały przewrócone na boku, kuchenny stół zdobiła piramida abażurów, kilka obrazków powieszono do góry nogami i rozrzucono pościel na łóżkach, aby stworzyć wrażenie, że ktoś w nich spał.

– To wkurzające, ale dziecinne – zauważył Danny.

– Jestem tego samego zdania – odparł Jimmy.

– I tak zamierzam sprzedać dom – uzupełnił Danny.

– Mam nadzieję, że nie z tego powodu – powiedział policjant.

– Nie, ale to ułatwia sprawę – skwitował pisarz. Ponieważ wiedział, że ma przed sobą przeprowadzkę i musi sprzedać posiadłość w Putney, pogwałcenie jego prywatności przez

Rolanda Drake'a wywarło na nim mniejsze wrażenie, niż się spodziewał, przynajmniej dopóki nie zobaczył swojej pracowni. Owszem, i tu światła były zapalone, a przedmioty rozrzucone tu i ówdzie, ale tym razem Drake przesadził, i to grubo.

Danny pracował nad redakcją *Na wschód od Bangor*. Na dowód swej niezmordowanej potrzeby przepisywania – oraz wprowadzania niezliczonych poprawek i zmian – opatrzył marginesy większą niż zwykle liczbą notatek i uwag. Owa demonstracja – czyli dowód na to, że Danny Angel umie nie tylko pisać, lecz także przepisywać – musiała rozwścieczyć niespełnionego pisarza, którym był Roland Drake. Widok notatek na marginesach mającej ukazać się wkrótce powieści podziałał na niego niczym płachta na byka.

Markerem w odcieniu głębokiej czerni metodycznie zabazgrał okładkę maszynopisu i zamieścił swoje komentarze na każdej ze stron. Nie żeby były one szczególnie wnikliwe lub drobiazgowe, lecz stron było ponad czterysta, a on nie przepuścił żadnej z nich. Danny zdążył sprawdzić trzy czwarte powieści i – bez względu na swą dokładność – umieścił notatki jedynie na piętnastu, może dwudziestu stronach. Roland Drake wykreślił jego uwagi i znaki zapytania, czyniąc je niemożliwymi do rozszyfrowania. Rozmyślnie pomieszał szyki znienawidzonemu nauczycielowi, przy czym naprawienie szkód kosztowałoby Danny'ego nie więcej niż dwa tygodnie dodatkowej pracy – a w normalnych warunkach może i mniej, chociaż wyczyn Drake'a zakrawał na więcej niż napaść o zaledwie symbolicznym wymiarze.

Jednakże w sytuacji gdy pisarz i jego ojciec stanęli w obliczu kolejnej ucieczki i związanej z nią konieczności wywrócenia wszystkiego do góry nogami, postępek Rolanda Drake'a mógł opóźnić wydanie szóstej powieści o parę miesięcy, a nawet pół roku. Powieść miała ukazać się jesienią 1983 roku. (W świetle zaistniałych okoliczności

stanie się to dopiero zimą 1984. Trochę potrwa, zanim Danny przypomni sobie wszystkie wprowadzone zmiany – i znajdzie czas na sprawdzenie pozostałej jednej czwartej).

„Popraw gówniany tytuł!”, nagryzmolił na czarno Drake na okładce *Na wschód od Bangor*. „Zmień wydumaną ksywę autora!”.

A na każdej spośród ponad czterystu stron widniał zakreślony na czerwono wyraz lub zwrot, okraszony niezbyt błyskotliwym komentarzem. Najczęściej powtarzało się: „Do dupy!” i „Szmira!”, a także „Cięcie!” oraz „Morderca psów!”. Rzadziej zdarzało się „Miernota!” i „Słabizna!”. Częściej niż raz nabazgrano na ukos w poprzek strony „Za długie!”. Wprawdzie tylko dwukrotnie, ale za to dobitnie Drake napisał: „Ja też pieprzyłem Franky!”. Może i tak, pomyślał Danny; poniekąd tłumaczyłoby to niechęć aspirującego pisarza do autora bestsellerów.

– Spójrz, Jimmy – powiedział Danny, podając policjantowi zmasakrowany maszynopis.

– Rany… a to ci dołożył roboty – odparł Jimmy, przerzucając kartki. – „«Rok Psa» nie wydałby tego gówna!”, przeczytał na głos, kompletnie zbity z tropu. Gdy czegoś nie rozumiał, zawsze robił zbolałą minę: był zdruzgotany, a zarazem poruszony do głębi. Jak na policjanta, który niejednemu psu pomógł się przenieść na tamten świat, Jimmy miał ciężkie powieki i smutny wzrok labradora retrievera; wysoki i chudy, z pociągłą twarzą, spojrzał pytająco na Danny'ego w oczekiwaniu na wyjaśnienia.

– „Rok psa” to niewielki magazyn literacki – wyjaśnił Danny. – Wydawany przez Windham College lub niezależną grupę studentów, nie pamiętam.

– Franky to dziewczyna? – zainteresował się Jimmy, czytając dalej.

– Tak – odpowiedział pisarz.

– Kiedyś tu mieszkała, prawda? – upewnił się policjant.

– Zgadza się.

– „Kulawe wypociny!” – przeczytał Jimmy. – Jezu…

– Drake powinien pochować swojego psa… nie sądzisz, Jimmy? – spytał Danny.

– Sam go do niego odwiozę. I zamienimy dwa słowa – odparł Jimmy. – Mógłbyś wnieść skargę…

– Nie trzeba, Jimmy. Przecież wyjeżdżam, zapomniałeś?

– Wiem, jak przemówić mu do rozumu.

– Tylko uważaj na drugiego psa, Jimmy. Atakuje od tyłu.

– Nie zastrzelę go, jeśli nie będę musiał, Danny. Strzelam tylko wtedy, gdy nie mam innego wyjścia.

– Wiem.

– Nie mieści mi się w głowie, że ktoś może mieć coś do twojego taty – podjął Jimmy. – Jak to możliwe? Chcesz o tym pogadać, Danny?

Oho, kolejny rozjazd, pomyślał pisarz. Jak to możliwe, że ostry zakręt w prawo lub w lewo z raz obranej ścieżki może stanowić tak wielką pokusę? Czy Danny i jego ojciec nie mieli okazji wrócić do Twisted River jak gdyby nigdy nic? To samo dotyczyło wysłania do kuchni Paula Polcariego z jednorurką kaliber 20 Ketchuma – zamiast umieścić tam kogoś, kto nie zawahałby się pociągnąć za pieprzony spust!

Czy to nie pokusa, wyrwać się wreszcie z tego błędnego koła i opowiedzieć Jimmy'emu o wszystkim? O Indiance Jane, o Carlu i Pam – o emerytowanym posterunkowym, pieprzonym kowboju z coltem.45 z długą lufą! Skoro nie poprosi Ketchuma o zabicie gnoja, cóż innego mu pozostaje? Wiedział, że gdyby on lub jego ojciec poprosili o to prosto z mostu, Ketchum zabiłby kowboja bez wahania. Nie zabił Szczęściarza Pinette'a nabijakiem; Pinette pewnie spał, lecz mordercą nie mógł być Ketchum, inaczej nic nie powstrzymywałoby go teraz przed zabiciem Carla.

Danny powiedział zaś tylko rzecz następującą:

– Poszło o kobietę. Tata sypiał przed laty z dziewczyną posterunkowego z leśnej osady. Posterunkowy został później szeryfem i dowiedziawszy się prawdy, ruszył w pogoń. Obecnie jest na emeryturze, ale mamy powody podejrzewać, że nie zaprzestał poszukiwań… ma nie po kolei w głowie:

– Stuknięty były gliniarz… niedobrze – odpowiedział Jimmy.

– Na szczęście czas płynie. Pewnie niedługo mu się odechce – dodał Danny pod adresem policjanta, który stał z zamyśloną, a zarazem podejrzliwą miną.

Oczywiście chodziło o grubszą sprawę i policjant zapewne wyczuł to z nietypowo wymijającego tonu pisarza. (Pytanie, co groziło Danny'emu za zabicie kobiety, którą w wieku dwunastu lat niechcący wziął za niedźwiedzia). Ale Danny nie powiedział więcej ani słowa, a Jimmy uszanował jego decyzję. Poza tym musiał zająć się martwym psem, co wraz z koniecznością rozmówienia się z Rolandem Drakiem zapewne uznał za czynność niecierpiącą zwłoki.

– Masz może takie duże worki na śmieci? – zapytał. – Zabiorę psa. Prześpij się, Danny. Możemy porozmawiać o tym stukniętym byłym gliniarzu innym razem.

– Dzięki, Jimmy – odpowiedział przyjacielowi Danny. I niepostrzeżenie pozostawił rozjazd za sobą. Nie zasługiwał on nawet na miano decyzji, ale teraz mogli tylko jechać dalej. Zresztą, ile kowboj miał lat? Był rówieśnikiem Ketchuma, który z kolei był rówieśnikiem Pam. Emerytowany szeryf liczył sobie sześćdziesiąt sześć lat, w sam raz, aby jeszcze pociągnąć za spust. Na razie.

Stojąc na podjeździe, Danny patrzył w ślad za odjeżdżającym wozem patrolowym Jimmy'ego. Jeszcze chwila i policjant znajdzie się na zastawionym wrakami podjeździe, oko w oko z mieszańcem Drake'a. Nagle Danny

poczuł, że musi się dowiedzieć, co wyniknie z konfrontacji z debilnym hipisem. Czy to faktycznie położy kres całej sprawie? Czy są widoki na rozejm, gdy machina przemocy idzie w ruch?

Musiał się tego dowiedzieć. Wsiadł do samochodu i ruszył Hickory Ridge Road, by wreszcie dojrzeć przed sobą tylne światła samochodu policjanta, wtedy zwolnił. Światła znikły mu z oczu, ale zachował dzielącą ich odległość. Jimmy dostrzegł zapewne jego reflektory, mignęły mu we wstecznym lusterku. Musiał wiedzieć, że ktoś go śledzi, a znając Jimmy'ego, z miejsca odgadł, że to Danny. On zaś czuł, że nie musi widzieć, co stanie się przy domu Rolanda Drake'a. Musiał tylko znaleźć się dość blisko, by w razie czego usłyszeć strzał.

Jak się okazało, Danny i jego ojciec mieli więcej czasu, niż im się z początku zdawało, ale słusznie postąpili, nie grając na zwłokę. Tym razem posłuchali Ketchuma. Bo czy nie miał racji ostatnio? Tak jak im powiedział, Vermont nie leżał dostatecznie daleko od New Hampshire. Czy istniało prawdopodobieństwo, że Dot i May trafią do „Mao” w Iowa City? Wątpliwe. Danny zastanawiał się w związku z tym, czy ktokolwiek z Coos natrafiłby na ich ślad w Boulder w stanie Kolorado, gdzie Joe niebawem pójdzie do szkoły. To również zdawało się wysoce nieprawdopodobne, ale pisarz postanowił nie ryzykować, choć wyjazd z kraju okaże się niełatwy – Ketchum bowiem miał na myśli rozwiązanie o stałym charakterze. No i wybrał konkretne miejsce.

Zatelefonował do nich na potężnym kacu lub też względnie trzeźwy dzień po katastrofalnej wizycie Dot i May w „Avellino”. Naturalnie zadzwonił do każdego z osobna, przy czym ku ich nieopisanej irytacji zwracał się do obydwu w liczbie mnogiej.

– Przez trzynaście lat kowboj wierzył, że jesteście w Toronto, bo jego zdaniem właśnie stamtąd pochodził Angel, tak? No przyznajcie mi rację! – ryknął do słuchawki.

Boże miłosierny, myślał Tony w swej ukochanej kuchni w „Avellino ”, gdzie zaparzył sobie mocne espresso i zachodził w głowę, dlaczego stary przyjaciel tak się wydziera. Zdaniem Ketchuma Dot i May mają tyle wyobraźni, co kot napłakał, i choć „plotkarskie raszple” z pewnością polecą do kowboja z ozorem, każda z nich będzie miała inny pomysł na to, jak i kiedy to zrobić. Dot będzie wolała zaczekać, aż emerytowany szeryf przeciągnie strunę albo zacznie zadzierać nosa, podczas gdy May postanowi dać mu do zrozumienia, że coś wie, aż Carl zacznie wyłazić ze skóry, żeby to z niej wyciągnąć. Krótko mówiąc, dzięki złośliwej manipulacji babsztyli Danny i jego ojciec być może zyskają na czasie.

Podczas rozmowy z Dannym Ketchum przeszedł do konkretów.

– No więc słuchajcie. Skoro Carl wie, że pojechaliście do Bostonu, a nie do Toronto, i niebawem będzie wiedział, że zamieszkaliście w Vermoncie, w życiu nie przyjdzie mu do głowy, że siedzicie w Toronto. To ostatnie miejsce, w którym będzie was szukał, dlatego powinniście tam pojechać! W Toronto mówią po angielsku? Mówią. Masz tam wydawcę, Danny? Masz. Śmiem twierdzić, że i kucharz znajdzie robotę, byle nie we włoskiej restauracji, Ziółko, bo przyjadę i sam cię kropnę!

„Nie jestem Ziółko”, miał na końcu języka Danny, ale w końcu nic nie powiedział.

Toronto to wcale niegłupi pomysł, rozmyślał, czekając, aż Ketchum ochłonie. Był tam raz albo dwa razy na promocji książki. Uważał je za dobre miasto, o ile w ogóle myślał o miastach w tych kategoriach. (Ojciec był zdecydowanie większym mieszczuchem). Kanada leżała za granicą, w

myśl nalegań Ketchuma, ale Toronto znajdowało się blisko granicy, co ułatwi kontakty z Joem, a do Kolorado to stamtąd rzut beretem. Oczywiście Danny chciał najpierw poznać zdanie Joego, o reakcji ojca nie wspominając.

Po rozmowie z Ketchumem telefon zadzwonił niemal od razu. Naturalnie był to ojciec.

– Nie zaznamy spokoju, dopóki ten szaleniec ma w domu telefon, Danielu – oznajmił. – A jeśli kiedykolwiek dorwie faks, będziemy przez resztę życia skazani na wielkie litery i wykrzykniki.

– Ale co sądzisz o jego pomyśle, tato? Co powiesz na Toronto? – spytał Danny.

– Wszystko mi jedno. Żałuję tylko, że cię w to wplątałem. Chciałem jedynie, żebyś był bezpieczny! – odpowiedział ojciec i zaczął płakać. – Nie chcę jechać gdziekolwiek – wyszlochał Tony Angel. – Dobrze mi tutaj!

– Wiem… okropnie mi przykro, tatku. Ale w Toronto też jakoś się urządzimy, zobaczysz.

– Nie mogę prosić Ketchuma o zabicie Carla, Danielu… po prostu nie mogę.

– Wiem. Ja też nie.

– Masz w Kanadzie wydawcę, prawda? – zapytał Tony Angel. Danny po raz pierwszy w życiu usłyszał w głosie ojca starą, żeby nie powiedzieć starczą nutę. Dobiegał sześćdziesiątki, ale to coś w jego głosie wydawało się starsze; głos był drżący, wręcz łamliwy. – Bo jeśli tak – ciągnął ojciec – na pewno możemy liczyć na jego pomoc, prawda?

– Na jej pomoc. Mój kanadyjski wydawca to kobieta – odpowiedział Danny. – Na pewno, tatko. Pójdzie gładko, zobaczysz. I znajdziemy dom w Kolorado, żeby odwiedzać Joego i żeby on mógł przyjeżdżać do nas. Nie musimy

myśleć, że to coś na stałe, przynajmniej na razie. Zobaczymy, czy nam się w Kanadzie spodoba, dobrze?

– Dobrze – odpowiedział stary, ale nie przestał płakać.

Jestem w stanie wyjechać choćby dziś, pomyślał pisarz. Nie mógł porównywać swego przywiązania do domu w Putney do uczuć ojca względem „Avellino” w Brattleboro; ich życie też różniło się od siebie dalece. Gdy Dot i May zjawiły się w restauracji – nie wspominając o „wizycie” Rolanda Drake'a i martwym psie na stole w jadalni – Danny czuł, że może bez żalu opuścić Vermont i nie myśleć o nim nigdy więcej.

Kiedy Carl wreszcie dowie się prawdy, przybędzie do Vermontu za późno. Z pomocą Armanda i Mary DeSimone'ów Danny sprzeda posiadłość w Putney i na Hickory Ridge Road nie będzie już domu sławnego pisarza. Windham College zaś, jego miejsce pracy, stanie się uczelnią o innej nazwie (i przeznaczeniu), a mianowicie Landmark College, wiodącą instytucją dla studentów mających problemy z nauką. A gdy kowboj zjawi się w Brattleboro, „Avellino” również już nie będzie, Carl nigdy nie odnajdzie też Grega. Za usilną namową kucharza Celeste i jej córka Loretta (wraz z dzieckiem) wyjadą z miasta. Wyprawa kowboja ponownie okaże się bezowocna, chociaż Dot i May wyśpiewały mu wszystko jak na spowiedzi.

Czy to możliwe, że Carl był tak durny, jak niejednokrotnie utrzymywał Ketchum? Czy rzeczywiście zdolności detektywistycznych miał tyle co kot napłakał? A może zwyczajnie chodziło o to, że podczas jego śledztwa w Vermoncie ani razu nie padło nazwisko „Angel”? Widocznie nie przyszło mu do głowy zapytać o kucharza i jego syna w księgarni!

– Wiedziałeś, że Ziółko jest w Vermoncie… wiedziałeś od początku, nie, Ketchum? – zapyta któregoś dnia starego

flisaka.

– Ziółko? To on jeszcze żyje? – odpowiedział Ketchum. – Pomyślałby kto, że mały kuternoga może być taki długowieczny, no nie?

– Rób tak dalej, Ketchum. Rób tak dalej – odparł Carl.

– Spokojna głowa. Masz to jak w banku – zapewnił Ketchum.

Ale Danny nie mógł się doczekać wyjazdu z Vermontu; po znalezieniu w domu martwego psa chciał jak najprędzej zwinąć manatki.

Tamtej nocy nie pojechał dalej niż do stóp długiego, stromego podjazdu Barrett. Następnie wjechał tyłem na teren miłośniczki zwierząt. Wiedział, że Barrett wcześnie chodzi spać i nie zauważy samochodu na podjeździe; stajnia była daleko, konie też nie zaczną hałasować. Zresztą zgasił reflektory i silnik. Siedział w samochodzie przy otwartych oknach, twarzą do Westminster West.

Była ciepła, bezwietrzna noc. Danny wiedział, że w taką noc huk wystrzału niesie się na parę kilometrów. Początkowo nie wiedział za to, czy faktycznie chce go usłyszeć. Poza tym co oznaczałby ten dźwięk lub jego brak? Pisarz nasłuchiwał czegoś więcej aniżeli dowodu na śmierć lub przeżycie podstępnego mieszańca Rolanda Drake'a.

W wieku czterdziestu jeden lat Danny raz jeszcze poczuł się jak dwunastolatek, zwłaszcza że zaczęło padać. Przypomniał sobie mglistą noc, kiedy wraz z ojcem wyjechali z Twisted River pontiakiem – i to, jak czekał w samochodzie przy domu Pam. Wtedy nasłuchiwał wystrzału colta.45, który oznaczałby, że jego ojciec nie żyje. Gdyby go usłyszał, miał wbiec po schodach do mieszkania Pam i błagać, żeby wpuściła go do środka; znalazłby się wówczas pod opieką Ketchuma. Taki był plan i Danny odegrał swoją rolę; siedział w samochodzie, pośród ulewnego deszczu w oczekiwaniu na strzał, który nigdy nie nastąpił, chociaż

bywało, że Danny podświadomie nasłuchiwał go aż po dziś dzień.

Na bocznej drodze do Westminster West – u stóp podjazdu byłej kochanki – pisarz Danny Angel usilnie wytężał słuch. Miał nadzieję, że nigdy nie usłyszy tamtego strzału – ogłuszającego huku colta.45 – jednakże raz jeszcze pofolgował swym niebezpiecznym ciągotom do gdybania. A jeśli policjant nie będzie zmuszony zastrzelić drugiego psa – a jeśli, jakimś cudem, Jimmy zdoła przekonać hipisa oraz jego mieszańca, że naprawdę są kwita? Czy istotnie mogłoby to położyć kres przemocy?

Wtedy pisarz zrozumiał, czego nasłuchuje: niczego. Miał nadzieję, że usłyszy właśnie… nic. To właśnie brak strzału mógł oznaczać, że jego tata jest bezpieczny – i że kowboj, podobnie jak Paul Polcari, nie pociągnął za spust.

Danny usiłował nie myśleć o tym, co powiedział mu Jimmy – dotyczyło to szczoteczki i pasty do zębów w samochodzie Joego. Możliwe, że wcale nie znalazły się tam za sprawą Rolanda Drake'a; być może nie stanowiły elementu jego „zadymy”.

– Przykro mi to mówić, Danny, ale zatrzymałem masę dzieciaków, które piły w autach – powiedział policjant. – Często mają pod ręką szczoteczkę i pastę, żeby rodzice nie wyczuli nic po powrocie. – Danny wolał myśleć, że szczoteczka i pasta stanowiły kolejny przejaw szczeniackiej pomysłowości Drake'a. Myśl o synu prowadzącym pod wpływem alkoholu stanowczo mu się nie spodobała.

Czy Danny był przesądny? Tak jak większość pisarzy, którzy wierzą w fabułę? Niechętnie myślał też o ostatnich słowach Pani Niebo. „W razie kłopotów możesz na mnie liczyć. Wrócę”, powiedziała do dwulatka, całując go w czoło. No, raczej nie w taką ciemną noc, pomyślał pisarz. W taką noc żaden spadochroniarz – nawet Pani Niebo – nie wiedziałby, gdzie wylądować.

Deszcz przyćmił resztę księżycowej poświaty; kapało do wnętrza samochodu i krople bębniły o przednią szybę, przez co mrok zdawał się jeszcze bardziej nieprzenikniony.

Policjant na pewno był już na miejscu. Pytanie tylko, co zrobi. Będzie siedział w wozie, dopóki Drake go nie zobaczy i nie wyjdzie na zewnątrz? (Ciekawe, czy wyjdzie sam, czy może z podstępnym psem?). Jakkolwiek było, lał deszcz: być może z troski o hipisa i z uwagi na późną porę policjant wysiądzie i sam pofatyguje się do drzwi.

W tej samej chwili ktoś zastukał w okno od strony pasażera i latarka zaświeciła Danny'emu w twarz.

– O matko święta… to tylko ty – usłyszał głos Barrett. Jego była kochanka, ze strzelbą w ręku, otworzyła drzwiczki i wśliznęła się na siedzenie obok. Była ubrana w nieprzemakalne poncho i kalosze do kolan. Zdjęła kaptur; włosy miała rozpuszczone, jakby zdążyła położyć się spać i coś nagle zerwało ją z łóżka. Błysnęły gołe uda; Barrett nie miała nic pod spodem. Oczywiście Danny wiedział, że sypia nago.

– Stęskniłeś się za mną, Danny? – zapytała.

– Jeszcze nie śpisz? – odpowiedział pytaniem.

– Godzinę temu musiałam dobić konia… było za późno, żeby wzywać cholernego weterynarza – wyjaśniła Barrett. Siedziała jak mężczyzna, z rozrzuconymi kolanami; strzelba spoczywała lufą w dół między jej ładnymi nogami tancerki. Był to stary remington.30–06 springfield, wyjaśniła mu przed paru laty, zjawiwszy się z bronią na terenie jego posiadłości w Putney, gdzie polowała na jelenie. Nadal to robiła; rósł tam zapuszczony jabłoniowy sad, w którym ustrzeliła niejednego jelenia. (Jak to nazywał ją ojciec? „Wybiórczą” miłośniczką zwierząt, nieprawdaż? Danny znał parę takich osób).

– Przykro mi z powodu twojego konia – powiedział.

– A mnie z powodu strzelby… wiem, że nie przepadasz za bronią – odrzekła. – Ale nie poznałam twojego samochodu… chyba nowy, co…? A gdy na podjeździe parkuje obcy mężczyzna, ostrożności nigdy za wiele.

– Tak, stęskniłem się – skłamał Danny. – Wyjeżdżam z Vermontu. Może próbowałem utrwalić sobie to miejsce w pamięci, zanim wyjadę. – To akurat było prawdą. Poza tym autor prozy nie mógł opowiedzieć wybiórczej miłośniczce zwierząt historii o psie, nie wspominając o tym, że los drugiego wisiał na włosku, a już na pewno nie w ponury wieczór zepsuty od początku przez Dot i May.

– Wyjeżdżasz? – zapytała Barrett. – Dlaczego? Myślałam, że ci się tu podoba. Przecież twój tata kocha swoją knajpkę w Brattleboro, czyż nie?

– Obaj wyjeżdżamy. Jesteśmy… samotni, tak mi się zdaje – odpowiedział Danny.

– Opowiedz mi o tym – poprosiła; oparła kolbę o udo, po czym ujęła rękę Danny'ego i poprowadziła ją pod poncho, do piersi. Była taka drobna, zupełnie jak Katie, uświadomił sobie, a w nieprzeniknionej prawie ciemności samochodu jej białe włosy lśniły niczym włosy ducha byłej żony.

– Wygląda na to, że chciałem się pożegnać – uzupełnił Danny. Mówił szczerze, nie było to nieprawdą. Czy to nie ulga, zanurzyć się w ciepłe objęcia gibkiej, starszej kobiety i o niczym nie myśleć?

– Słodki jesteś – stwierdziła Barrett. – Stanowczo zbyt smutny jak na mój gust, ale słodki.

Danny pocałował ją w usta; biel włosów rzuciła widmową poświatę na jej pociągłą twarz, którą zwróciła ku niemu, przymykając jasnoszare, lodowate oczy. Dzięki temu mógł wyjrzeć przez otwarte okno, na drogę; nie chciał przegapić wozu patrolowego, w razie gdyby przejeżdżał obok.

Ile czasu potrzeba, aby zawieźć właścicielowi martwego kundla i palnąć debilowi mówkę, jak zapowiadał Jimmy?

Gdyby policjant był zmuszony zastrzelić drugiego psa, Danny z pewnością usłyszałby już strzał, mimo że rozmawiał z Barrett. (Lepiej całować, niż rozmawiać, to pierwsze robiło mniej hałasu. W takiej sytuacji na pewno nie przegapi strzału).

– Chodźmy do domu – wymruczała Barrett, odchylając głowę. – Właśnie zastrzeliłam konia… chcę się wykąpać.

– Jasne – odpowiedział Danny, ale nie sięgnął po kluczyk. Wozu patrolowego wciąż nie było, podobnie jak strzału.

Próbował ich sobie wyobrazić – Jimmy'ego i hipisa. Może policjant i Roland Drake, dziecię funduszu powierniczego, siedzą przy kuchennym stole. Danny usiłował zobaczyć oczami wyobraźni, jak Jimmy klepie mieszańca lub drapie go za uchem, większość psów bardzo to lubi. Ale coś mu się tu nie zgadzało, dlatego zwlekał z włączeniem silnika.

– O co chodzi? – zapytała Barrett.

Strzał był głośniejszy, niż się spodziewał, choć od podjazdu Drake'a dzieliły ich trzy i pół, może cztery kilometry; Danny nie docenił pistoletu Jimmy'ego. Wydawało mu się, że policjant nosi trzydziestkę ósemkę, ale nie znał się na broni. Nie wiedział, że Jimmy lubi wildey magnum.475, znany również jako wildey survivor. Rozległ się stłumiony huk, głośniejszy jeszcze niż wystrzał czterdziestki piątki kowboja. Danny poczuł, jak kobieta drgnęła w jego ramionach, odruchowo sięgając po swego remingtona.

– Cholerny kłusownik… rano zadzwonię do Jimmy'ego – oznajmiła, na powrót zatapiając się w jego objęcia.

– Dlaczego akurat do Jimmy'ego? – zapytał. – A nie do leśniczego?

– Leśniczy jest do niczego, kretyn boi się kłusowników – wyjaśniła Barrett. – Poza tym Jimmy ich zna. Trzęsą przed nim portkami.

– Aha – odpowiedział tylko Danny. On sam nie wiedział o kłusownikach zupełnie nic.

Zapuścił silnik, a następnie włączył światła i wycieraczki. Podnieśli szyby. Zawrócił na drodze i ruszył długim podjazdem w stronę domu, nie wiedząc, którego elementu układanki brakuje, niepewny, która część historii jeszcze trwa.

Jedno było pewne, pomyślał, kiedy Barrett usiadła ze strzelbą na kolanach, celując krótką lufą w okno pasażera. Machina przemocy poszła w ruch i nijak nie można było jej zatrzymać.

IV
TORONTO, 2000

Rozdział 12
BŁĘKITNY MUSTANG

Z Rosedale, gdzie kucharz zajmował wraz z synem pisarzem trzypiętrowy dom z czterema sypialniami, do restauracji przy Yonge Street było niedaleko. Ale w jego wieku – miał obecnie siedemdziesiąt sześć lat – i z jego kalectwem, które po siedemnastu latach udeptywania miejskich chodników dawało się we znaki jak nigdy, Dominic Baciagalupo, który powrócił do swego nazwiska, zdążał przed siebie wolnym krokiem.

Kuśtykał właśnie po śliskim chodniku; zima nigdy nie była jego sprzymierzeńcem. Do tego martwił się dwoma blokami, które powstawały dosłownie pod ich oknem. A jeśli któryś zasłoni Danielowi widok na wieżę zegarową monopolowego w Summerhill?

– Jeżeli siedząc przy biurku, nie będę widział wieży, pora na przeprowadzkę – oznajmił ojcu Danny.

Bez względu na to, czy mówił poważnie, czy nie, Dominic nie był zachwycony; dość się w życiu naprzeprowadzał. Widok z domu na Cluny Drive mało go obchodził. Nie pił od pięćdziesięciu sześciu lat i miał w nosie, czy dwa powstające bloki zasłonią mu monopolowy w Summerhill.

Daniel wręcz przeciwnie, ale on z kolei znowu pił. Może to dlatego, zastanawiał się Dominic. I kiedy wreszcie uporają się z tą budową, złościł się w duchu. Był w wieku, kiedy każde źródło chaosu psuje człowiekowi humor. Mimo to podobało mu się w Rosedale, a restaurację, w której pracował, po prostu uwielbiał.

Dominic Baciagalupo przepadał również za dźwiękiem odbijanych piłek tenisowych, które słyszał w ciepłe miesiące, kiedy okna domu na Cluny Drive były otwarte na

oścież, ponieważ mieszkali w zasięgu wzroku i słuchu kortów należących do miejscowego klubu tenisowego; dochodziły tam również głosy dzieci kąpiących się latem w basenie. Nawet zimą, kiedy okna były zamknięte, zasypiali przy wtórze szumu sunących niespiesznie pociągów, które przemykały śródmieściem Toronto i przecinały Yonge Street na estakadzie, przystrojonej obecnie, jak zauważył, świątecznymi lampkami rozpraszającymi szarzyznę wczesnego popołudnia.

Był grudzień. Gdziekolwiek spojrzeć, roiło się od światełek, dekoracji i amatorów przedświątecznych zakupów. Stojąc na światłach, Dominic uświadomił sobie z pewnym wstrząsem, że przecież Ketchum przyjeżdża do Toronto na święta; co prawda stanowiło to już swoistą tradycję, ale pobyt starego flisaka w mieście wciąż zdawał mu się nienaturalny. Od ostatniej Gwiazdki w Kolorado u Joego minęło czternaście lat. Ketchum nie jeździł z nimi. New Hampshire i Kolorado dzielił szmat drogi, on zaś uparcie wzbraniał się przed podróżą samolotem.

Zimą, gdy Joe studiował na uniwersytecie w Boulder, Daniel wynajmował domek narciarski w Winter Park. Droga od Grand Lake przez park narodowy w Górach Skalistych była w zimie zamknięta, toteż jazda z Boulder zabierała dwie godziny – należało pojechać I70, a potem trasą numer 40 przez przełęcz Berthoud – ale Joe uwielbiał szaleć na nartach w Winter Park, a ojciec niczego mu nie odmawiał.

Święta w Kolorado były fantastycznym przeżyciem, ale domek w Winter Park stanowił dla Joego zbyt wielką pokusę, zwłaszcza przez resztę sezonu narciarskiego, kiedy ojciec i dziadek młodego studenta przebywali w Toronto. Oczywiście wagarował, i to zapewne ilekroć sypnęło świeżym śniegiem. Okoliczne trasy narciarskie kusiły niejednego żaka z Boulder, ale Joe miał do swojej dyspozycji dom w Winter Park – i chyba to go zgubiło. (Och,

Danielu, co też ci strzeliło do głowy, pomyślał Dominic Baciagalupo).

Wreszcie rozbłysło zielone światło i kucharz pokuśtykał na drugą stronę Yonge Street, uważając na miejskich kierowców o ptasich móżdżkach, gorliwie szukających miejsca do parkowania przy monopolowym lub sklepie z piwem. Jak to jego syn nazwał kiedyś tę dzielnicę? Ach tak, przypomniał sobie Dominic. „Zakupowy raj dla hedonistów”.

Fakt, w okolicy nie brakowało targowisk, oferujących produkty najwyższej jakości, świeże ryby, doskonałe wędliny i mięso, lecz jego zdaniem niedorzecznie drogich, teraz zaś, przed świętami, Dominic nie mógł się oprzeć wrażeniu, że każdy marny kierowca w mieście wybrał się po alkohol! Nie winił ukochanego Daniela za to, że znów pije; wiedział, że syn ma ku temu swoje powody.

Kiedy otwierał kluczem drzwi restauracji, ulicę owiał lodowaty podmuch od jeziora Ontario. Kelnerzy i pozostały personel wchodzili przez kuchnię, od Crown's Lane – biegnącej za lokalem alei równoległej do Yonge Street – ale kucharz miał swój klucz.

W Coos zimy były ostrzejsze – w Windham w stanie Vermont też – lecz wilgotne, przejmujące zimno wiatru od jeziora przypomniało Dominicowi Baciagalupo, jak marzł na bostońskim North Endzie. Nieważne, że miał Carmellę, która go grzała. Tęsknił za Carmellą – za nią i tylko za nią – lecz o dziwo nie brakowało mu kobiety. Już nie, nie w tym wieku.

Jak to możliwe, że nie tęsknię za Rosie, zapytywał się w duchu. „Łapię się na tym, że wcale mi jej nie brakuje”, powiedział Ketchum. „Masz pojęcie?”. Owszem, musiał przyznać, że ma. A może po prostu nie brakowało im obecnego pomiędzy nimi trojgiem napięcia – lub też surowego osądu Jane i nieświadomości Daniela?

W restauracji powitał go zapach tego, co Silvestro, młody szef kuchni, określał mianem „sosów-matek”. Cielęcy *jus* – matkę wszystkich sosów-matek – zaczęli jeszcze ubiegłego wieczoru. Należało zagotować go raz, potem drugi, a na końcu odparować. Pozostałymi sosami-matkami Silvestro był sos pomidorowy i beszamel. Wieszając kurtkę i szal – i bez przekonania przygładzając to, co ulubiona czapka narciarska Joego zrobiła z jego włosami – kucharz jakimś cudem czuł je wszystkie naraz.

„Stary wyga”, nazywano go w kuchni, chociaż Dominic zadowalał się rolą zastępcy nieocenionego Silvestra, który pełnił funkcję *saucier* i przyrządzał mięso. Kristine i Joyce zajmowały się zupami i rybą – były pierwszymi szefami kuchni płci żeńskiej, z którymi miał okazję pracować – Scottowi zaś przypadła rola speca od pieczywa i deserów. Dominic, będący obecnie na częściowej emeryturze, jako jedyny nie miał jasno określonego zadania: zaczynał i kończył po innych, z uwzględnieniem maestro we własnej osobie. „Złota rączka”, brzmiało jego drugie przezwisko. Był starszy od wszystkich, nie tylko od Silvestra, ich błyskotliwego młodego szefa kuchni, którego ubóstwiał. Myślał sobie, że Silvestro jest dla niego jak drugi syn – chociaż nie kwapił się przyznać do tego w obecności Daniela.

Swe ojcowskie przywiązanie do młodego Silvestra skrywał również przed Ketchumem, po części dlatego, że flisak był obecnie na emeryturze i praktycznie nie rozstawał się z faksem. Słał wiadomości bez opamiętania i bez przerwy. (Człowiek czytał czasem stronę lub więcej, nie wiedząc, do kogo adresowany jest list!). Wiadomości od Ketchuma napływały o każdej porze dnia i nocy; w trosce o swój spokojny sen Danny i jego ojciec zmuszeni byli postawić faks w kuchni domu na Cluny Drive.

Ściśle rzecz ujmując, Ketchum miał zastrzeżenia do Silvestra; nazwisko młodego szefa kuchni było stanowczo

zbyt włoskie jak na jego gust. Nie, nie musi wiedzieć, że jego kumpel Ziółko traktuje Silvestra jak „drugiego syna” – lawinie pretensji na papierze nie byłoby końca. Jego „zwykłe” utyskiwania starczały Dominicowi aż nadto.

PATRZ, A JA MYŚLAŁEM, ŻE PICHCISZ SOBIE NA STAROŚĆ W KNAJPIE FRANCUSKIEJ, ZIÓŁKO. NIE KOMBINUJESZ CHYBA, ŻEBY ZMIENIĆ JEJ NAZWĘ, CO? NIC WŁOSKIEGO, HM? A TEN GOŚĆ… NO, TEN CAŁY… SILVESTRO? TAK GO WOŁĄJĄ? I TO MA BYĆ NIBY FRANCUSKIE IMIĘ, HĘ? KNAJPA DALEJ

NAZYWA SIĘ PATRICE, MAM NADZIEJĘ?

I tak, i nie, pomyślał kucharz. Nie bez powodu nie odpisał jeszcze na ostatni faks Ketchuma.

Właściciel i *maître* restauracji, Patrice Arnaud, był w wieku Daniela, czyli miał pięćdziesiąt osiem lat. Arnaud urodził się w Lyonie, ale dorastał w Marsylii, i jako szesnastolatek poszedł do szkoły hotelarskiej w Nicei. W kuchni w „Patrice” wisiała stara fotografia w sepii, przedstawiająca go w białym uniformie szefa kuchni, lecz jego przyszłością było zarządzanie; zrobił wrażenie na gościach w jadalni klubu na Bermudach, gdzie miał okazję poznać właściciela szacownego hotelu Wembley w Toronto.

Kiedy kucharz zjawił się w Toronto w 1983 roku, Patrice Arnaud był kierownikiem „Maxim”, najpopularniejszej kawiarni w rejonie Zatoki i Bloor. Stanowiła ona wówczas trzecie wcielenie lokalu w nieuchronnie podupadającym Wembley. Dla Dominica Baciagalupo, mającego świeżo w pamięci przestrogi Ketchuma, w myśl których miał się trzymać z daleka od włoskich knajp, Patrice Arnaud i „Maxim” byli bez mała spełnieniem marzeń – a do tego nie mieli nic wspólnego z Włochami. Ba, Patrice namówił swego brata Marcela, aby opuścił Marsylię i został szefem

kuchni w kawiarni „Maxim”, będącej lokalem na wskroś francuskim.

„Ale ten okręt tonie, Dominicu”, ostrzegł kucharza Patrice; miał na myśli to, że Toronto ulegało raptownym przeobrażeniom, a przyszli bywalcy restauracji nie będą amatorami zapyziałych hotelowych lokali. Po odejściu Arnauda i jego brata z „Maxim” stary hotel Wembley przekształcono w zadaszony parking.

Przez następne dziesięć lat pracował z braćmi Arnaud w założonej przez nich restauracji na Queen Street West – w dzielnicy dość kiepskiej i też podlegającej ciągłym zmianom, jednakże lokal, nazwany przez Patrice'a „Bastringue”, prosperował bez zarzutu. Na obiad i kolację mieli po pięćdziesiąt zamówień; funkcję szefa kuchni pełnił wówczas Marcel i Dominic chętnie się od niego uczył. Przyrządzali foie gras, a także ostrygi *Fine de Claire* z Francji. Deserów nie opanował; tarta tatin Marcela z jabłecznikowym *sabayon* pozostała dla niego w sferze marzeń.

„Bastringue” – w paryskiej gwarze *argot* oznaczające popularny dansing i bar serwujący dania na ciepło oraz wino – oparła się nawet recesji z 1990 roku. Płócienne obrusy nakryli ceratą i zamienili restaurację w bistro – smażone steki, małże z porem w białym winie – lecz umowa o najem wygasła w 1995 roku, gdy w ciągu dziesięciu lat Queen Street West przeobraziła się z kiepskiej w najmodniejszą dzielnicę, po czym osiadła na laurach i zaczęła trącić nudą. („Bastringue” zamieniono w sklep z obuwiem, a Marcel wrócił do Francji).

Kucharz i Patrice Arnaud trzymali się razem; przepracowali rok w „Avalon”, ale Arnaud powtarzał Dominicowi, że tylko „grają na zwłokę”. Patrice marzył o kolejnym własnym lokalu i w 1997 roku kupił podupadłą restaurację na Yonge Street w Summerhill. Silvestro zaś faktycznie pochodził z Włoch, ale był Kalabryjczykiem,

który miał za sobą pracę w Londynie i Mediolanie, Arnaud zaś przywiązywał do podróży dużą wagę. „W ten sposób człowiek uczy się nowych rzeczy”, tłumaczył Dominicowi, przyjmując Silvestra na szefa kuchni.

Co się tyczy nazwy lokalu, „Patrice” – czyż Arnaud mógł nazwać go inaczej? „Zasłużyłeś”, powiedział mu Dominic. „Nie wstydź się własnego imienia”.

Przez pierwsze kilka lat „Patrice” – nazwa oraz w mniejszym stopniu sam lokal – funkcjonowały bez zarzutu. Arnaud i kucharz nauczyli Silvestra paru numerów popisowych Marcela: homara w sosie musztardowym, zupy rybnej z Bretanii, terrine z kaczych foie gras z łyżką porto, halibuta *en papillote*, *côte de boeuf* dla dwojga oraz smażonej wątróbki cielęcej ze skwarkami, cebulkami perłowymi i balsamiczną glazurą. Naturalnie Silvestro uzupełnił jadłospis o potrawy własnego autorstwa – ravioli ze ślimakami oraz masłem czosnkowo-ziołowym, eskalopki cielęce w sosie cytrynowym, tagliatelle własnej roboty z kaczym *confit* i grzybami *porcini*, no i królika z kukurydzianymi gnocchi. (Dominic dorzucił od siebie tradycyjne trzy grosze). Restauracja przy 1158 Yonge Street była nowa, ale nie do końca francuska – i bynajmniej nie zrobiła furory na miarę oczekiwań Arnauda.

– Nie chodzi tylko o nazwę, ale nazwa też jest do kitu – oznajmił współpracownikom. – Trafiłem jak kulą w płot: Rosedale nie potrzebuje drogiej francuskiej restauracji. Musimy być bardziej na luzie, no i trzeba obniżyć ceny! Niech nasi klienci przychodzą dwa, trzy razy w tygodniu, a nie raz na parę miesięcy.

W czasie przerwy świątecznej „Patrice” był zwykle zamknięty – w tym roku od dwudziestego czwartego grudnia do drugiego stycznia, dzięki czemu mieli czas na planowany przez Arnauda remont. Postanowił zmienić tapicerkę na zbyt ciemnych siedziskach, a także odmalować cytrynowożółte ściany. Na ścianach miały zawisnąć plakaty

reklamowe starej francuskiej linii transatlantyckiej. „Hawr, Southampton, Nowy Jork – Compagnie Générale transatlantique!”, obwieścił Patrice. Wygrzebał też skądś plakaty z wizerunkami uwiecznionych przez ToulouseLautreca La Goulue, tancerki Moulin Rouge, i szansonistki Jane Avril. W jadłospisie zagości ryba z frytkami, a także tatar; ceny potraw i wina miały spaść o dwadzieścia pięć procent. Po raz kolejny czekało ich bistro – jak w cudownych czasach recesji z epoki „Bastringue” – z tym że Patrice nie używał już słowa „bistro”. „Wszędzie tylko bistro i bistro: nikt nie pamięta już, co to tak naprawdę znaczy”, wytłumaczył.

Arnaud wiedział, że grunt to iść z duchem czasu.

– Ale co z nazwą? – zapytał szefa Silvestro. Dominic wiedział, że Kalabryjczyk ma swój typ.

– Moim zdaniem „Patrice” jest zbyt francuskie – odparł Patrice. – A do tego zbyt staroświeckie i przebrzmiałe. Koniec z „Patrice”. – Arnaud był bystry i znał się na rzeczy; styl miał luźny, ale nie brakowało mu ciepła. Dominic kochał go i podziwiał z całego serca, ale ten aspekt „przeobrażenia”, mającego na celu li i jedynie podlizanie się miejscowym snobom, mroził mu krew w żyłach.

– Znacie moją opinię – powiedział Silvestro i w pozornie niezobowiązujący sposób wzruszył ramionami; był przystojny i pewny siebie, kto by nie chciał takiego syna.

Młody szef kuchni był pod wrażeniem matowego szkła w dolnej połowie dużej witryny wychodzącej na Yonge Street. Uliczni przechodnie nie mogli zajrzeć do środka; goście siedzący przy stołach znajdowali się poza zasięgiem ich wzroku. Górna połowa wielkiej szyby była przezroczysta: goście dostrzegali wyraźnie czerwony liść klonu na fladze kanadyjskiej ponad monopolowym w Summerhill po drugiej stronie ulicy, a także (nieco dalej) dwa nowo powstające bloki na przyszłym Scrivener Square. Dolna, matowa część

okna dawała efekt zasłony, co podsunęło mu pomysł na nową nazwę.

– *La Tenda* – obwieścił z uczuciem Silvestro. – „Zasłona”.

– Brzmi złowrogo – zwrócił uwagę Dominic. – Nie chciałbym jeść w miejscu o takiej nazwie.

– Lepiej zachowaj tę nazwę na swoją pierwszą restaurację, kiedy zostaniesz właścicielem, co masz jak w banku! – dodał Arnaud.

– „La Tenda” – powtórzył czule Silvestro i jego ciepłe, brązowe oczy wezbrały łzami.

– Zbyt włoskie – ostudził jego zapał Dominic Baciagalupo. – Lokal nie jest może stricte francuski, ale włoski też nie. – Cie kawe, co powiedziałby Ketchum, gdyby przemianowali „Patrice” na coś o włosko brzmiącej nazwie. I uświadomił sobie bezzasadność własnego argumentu, skoro po świętach mieli dodać do uszczuplonego jadłospisu pieczeń sycylijską i penne *alla puttanesca* jego własnego autorstwa.

Zdumiony Patrice i wstrząśnięty Silvestro z niedowierzaniem utkwili w nim wzrok. Utknęli w martwym punkcie. Powinienem zapytać Daniela, przeszło kucharzowi przez myśl; w końcu jest pisarzem!

Silvestro pierwszy przerwał ciszę.

– A twoje nazwisko, Dominicu? – zapytał.

– Tylko nie Baciagalupo! – wykrzyknął z niepokojem kucharz. Wiedział, że jeśli kowboj go nie zabije, Ketchum zrobi to na pewno!

– To dopiero byłoby zbyt włoskie! – zauważył Arnaud.

– Mam na myśli jego sens, Dominicu – uściślił Silvestro. Arnaud nie wiedział, o co mu chodzi, choć po francusku słowa brzmiały podobnie. – „Pocałunek wilka” – dodał powoli Silvestro, kładąc nacisk na obydwa wyrazy.

Arnaud zadrżał. Był niskim, przysadzistym mężczyzną o krótko przyciętych siwych włosach i czarującym uśmiechu –

nosił ciemne spodnie, zaprasowane w kant, i niezawodnie koszulę, elegancką, ale rozpiętą pod szyją. Bez względu na okoliczności zachowywał się naturalnie; uprzejmy, o filozoficznym usposobieniu, był restauratorem, który tradycję miał w małym palcu, ale nie bronił się przed postępem.

– Och… Pocałunek wilka! … Dlaczego nic mi nie powiedziałeś, Dominicu? – zwrócił się z pretensją do przyjaciela. – To mi dopiero nazwa! Nowoczesna, a zarazem uwodzicielska, a do tego z pieprzykiem!

No ba, pomyślał kucharz; wiedział, że Ketchum ująłby to bardziej dosadnie. Dominic wolał nawet nie wyobrażać sobie jego reakcji. Czuł, że stary przyjaciel nie przebierałby w słowach.

Czy powrót do dawnego nazwiska nie był sam w sobie ryzykownym posunięciem? Niewiele trzeba, by w dobie Internetu obwieścić światu, że Dominic Baciagalupo powrócił na scenę. Ketchum odetchnąłby przynajmniej, gdyż niegrzesząca fonetyczną wrażliwością Nunzi przekręciła pisownię „Baciacalupo!”.

Jakim cudem jednak emerytowany szeryf z hrabstwa Coos w stanie New Hampshire mógłby wpaść na to, że mieszczący się w Toronto lokal o nazwie „Pocałunek Wilka” to angielskie tłumaczenie fonetycznie zwichrowanego nazwiska Baciagalupo? Poza tym, argumentował w duchu kucharz, kowboj był rówieśnikiem Ketchuma, który liczył już sobie osiemdziesiąt trzy lata!

Jeśli teraz nie jestem bezpieczny, to już nigdy nie będę, pomyślał Dominic, wchodząc do wąskiej, gwarnej kuchni w „Patrice”, który niebawem miał zmienić nazwę na „Pocałunek Wilka”. Cóż, wypadki rządzą światem, nieprawdaż? A w takim świecie zmieniają się nie tylko nazwy.

Danny Angel żałował z całego serca, że porzucił nazwisko Daniel Baciagalupo, nie dlatego, iż chciał na powrót stać się niewinnym chłopcem i młodym mężczyzną, którym był dawniej – czy nawet dlatego, że było to jego jedyne, prawdziwe nazwisko, które otrzymał od rodziców – ale dlatego że pięćdziesięcioośmioletni pisarz uważał, że byłoby to lepsze nazwisko dla pisarza. Im bliżej mu było do sześćdziesiątki, tym mniej czuł się Dannym lub Angelem; zrozumiał wreszcie powody, dla których ojciec zawsze obstawał przy „Danielu”. Nie zawsze było mu łatwo: miał prawie sześćdziesiąt lat, pracował w domu i mieszkał z siedemdziesięcioszześcioletnim ojcem. Kłócili się czasem, że szkoda gadać.

Po kontrowersyjnych wyborach prezydenckich w Stanach Zjednoczonych – „fiasku na Florydzie”, jak Ketchum skwitował fakt, że George W. Bush „ukradł” prezydenturę Alowi Gore'owi wskutek stronniczej decyzji Sądu Najwyższego, w wyniku której zaprzestano liczenia spornych głosów – faksy od Ketchuma często wprost ociekały jadem. Gore wygrał w głosowaniu powszechnym. Danny i jego ojciec wierzyli, że republikanie zrobili szwindel, lecz niekoniecznie podzielali bardziej radykalne poglądy Ketchuma, że „wyjdą lepiej” jako Kanadyjczycy, Ameryka zaś, uparcie nazywana przez flisaka „debilnym krajem”, dostała to, na co zasłużyła.

GDZIE SĄ PŁATNI MORDERCY, KIEDY ICH POTRZEBUJEMY?

– napisał Ketchum. Nie miał na myśli George'a W. Busha; uważał, że ktoś powinien zabić Ralpha Nadera. Gore pobiłby bowiem Busha na Florydzie, gdyby Nader „się nie wmieszał”. Ketchum był zdania, że Ralpha Nadera należałoby zakneblować, związać – „najlepiej na

uszkodzonym foteliku samochodowym” – i utopić w Androscoggin.

Podczas drugiej debaty prezydenckiej pomiędzy Bushem a Gore'em Bush skrytykował wysłanie przez prezydenta Clintona wojsk do Somalii i na Bałkany. „Uważam, że nasze wojska nie powinny brać udziału w tak zwanym tworzeniu narodów”, powiedział przyszły prezydent.

CZEKAJCIE TYLKO, CO TEN MAŁY, KŁAMLIWY SKURWIEL ZROBI Z WOJSKIEM. CHCECIE SIĘ ZAŁOŻYĆ, ŻE „TWORZENIE NARODÓW” TO TO NIE BĘDZIE?

– napisał Ketchum.

Danny wcale nie cieszył się nieuchronną hańbą Ameryki, zwłaszcza z perspektywy kanadyjskiej. On i jego ojciec nie chcieli wyjeżdżać z kraju. Aby nie robić szumu wokół kwestii zmiany swego obywatelstwa – w stopniu, w jakim umożliwiła mu to opinia poczytnego pisarza o międzynarodowej sławie – Danny Angel musiał nieco spuścić z tonu, co po wydaniu w 1984 roku *Na wschód od Bangor* okazało się trudnym zadaniem; jego powieść aborcyjna miała z całą pewnością wymiar polityczny.

Procedura uzyskania przez nich obu obywatelstwa była żmudna i powolna. Danny napisał we wniosku, że pracuje na własny rachunek; prawnik reprezentujący pisarza określił go jako osobę, która zasłużyła się „szczególnym wkładem w kulturę światową”. Danny zarabiał dość, by utrzymać siebie i ojca. Obaj pomyślnie przeszli badania medyczne. Gdy zamieszkali w Toronto na tymczasowych wizach, musieli co pół roku przekraczać granicę, żeby je odnowić, o obywatelstwo zaś ubiegali się w konsulacie kanadyjskim w Stanach Zjednoczonych. Najbliżej mieli do Buffalo.

Asystent urzędnika do spraw imigracji i obywatelstwa odradził im tak zwany tryb przyspieszony. W końcu po co mieli się spieszyć? Sławny pisarz nie „palił się” przecież do zmiany obywatelstwa, prawda? Urzędnik przestrzegł Danny'ego, że Kanadyjczycy traktują ludzi sukcesu z pewną dozą podejrzliwości; wychodzą z założenia, że należy ich raczej karać, niż faworyzować. I tak, chcąc uniknąć niepotrzebnego rozgłosu, powolutku robili swoje, w wyniku czego procedura zabrała im cztery, prawie pięć lat. Teraz zaś, po fiasku na Florydzie, w kanadyjskich mediach podniosły się głosy na temat „dezercji” pisarza Danny'ego Angela; jego „ucieczka ze Stanów Zjednoczonych” przed ponad dziesięcioma laty czyniła go bez mała „prorokiem”, tak przynajmniej ogłosił w Toronto „Globe and Mail”.

Nieważne, że film na podstawie *Na wschód od Bangor* trafił na ekrany kin dopiero niedawno – w 1999 roku – i w 2000 roku zdobył parę nagród Akademii Filmowej. Na początku 2001 roku zwołano posiedzenie Kongresu celem rozwiania wątpliwości otaczających wybory prezydenckie, skoro zaś urząd objął człowiek będący przeciwnikiem przerywania ciąży, nic dziwnego, że liberalne poglądy pisarza z powrotem trafiły na łamy gazet. O pisarzach zaś częściej mówiło się w Kanadzie niż w Stanach Zjednoczonych, nie tylko z powodu tego, o czym pisali, lecz także tego, co mówili i robili.

Danny wciąż był przewrażliwiony na punkcie tego, co czytał o sobie w gazetach amerykańskich, w których często oskarżano go o „antyamerykańskie nastawienie”, zarówno z powodu jego książek, jak i dobrowolnego zesłania. W innych częściach świata – niezawodnie w Europie i Kanadzie – jego rzekomy „antyamerykanizm” brano za dobrą monetę. Pisano, że przebywający na emigracji pisarz „upadla” życie w Stanach Zjednoczonych, w swoich książkach, ma się rozumieć. Pisano również, że przeniósł się do Toronto w ramach „manifestu”. (Zarabiał krocie, ale

nie przeszkadzało mu, że w Kanadzie musi płacić wyższe podatki). Tymczasem jako pisarz Danny coraz bardziej burzył się na wieść, że ktoś krytykuje go lub chwali za jego domniemane antyamerykańskie nastawienie. Oczywiście nie mógł – szczególnie przed dziennikarzami – zdradzić prawdziwych powodów swego wyjazdu.

Powtarzał za to, że tylko dwie z jego siedmiu wydanych powieści zasługują na miano politycznych; zdawał sobie sprawę, że brzmi to defensywnie, ale bynajmniej nie mijał się z prawdą. Czwarta książka Danny'ego, *Ojcowie Kennedy'ego*, była powieścią o Wietnamie, uznawaną za protest przeciwko wojnie. Szósta, *Na wschód od Bangor* – powieścią dydaktyczną – zdaniem niektórych krytyków polemiką na temat praw do aborcji. A co z pozostałymi pięcioma? Rodziny dysfunkcyjne, niszczące doświadczenia seksualne, utrata niewinności w szerokim rozumieniu tego słowa, niezmiennie prowadząca do skruchy. Jednym słowem, były to małe domowe tragedie, niebędące nawet w najmniejszym stopniu potępieniem społeczeństwa lub rządu. W powieściach Danny'ego Angela rolę czarnego charakteru – o ile o takowym mogła być mowa – częściej odgrywała natura ludzka niż Stany Zjednoczone. Danny nigdy nie był twórcą społecznie zaangażowanym.

„Wszyscy pisarze są outsiderami”, powiedział kiedyś Danny Angel. „Przeniosłem się do Toronto, ponieważ lubię być outsiderem”. Nikt mu jednak nie wierzył. Wygodniej było bowiem zakładać, że światowej sławy autor gardzi własną ojczyzną.

Danny uważał, że jego przenosiny do Kanady owiano w prasie aurą sensacji i rozdmuchano do granic możliwości, podobnie jak rzekomo polityczne pobudki, które w istocie kompletnie nie miały uzasadnienia. Najbardziej zaś bolało go trywializowanie jego powieści. Prozę Danny'ego Angela przetrząsano w poszukiwaniu wątków autobiograficznych, krojono ją na części i wywracano na nice, węsząc za tym,

co nosiło choćby znamiona wspomnień. No ale czego się spodziewał?

W mediach prawdziwe życie liczyło się bardziej niż fikcja; elementy powieści osnute choćby częściowo na osobistych doświadczeniach budziły większe zainteresowanie odbiorców aniżeli wątki „tylko” zmyślone. Bo czyż w każdym utworze fikcyjnym to, co naprawdę zdarzyło się pisarzowi – lub też bliskiej mu osobie – nie jest bardziej autentyczne i wiarygodne niż jakakolwiek historia będąca od początku do końca dziełem jego wyobraźni? Była to dość powszechnie panująca opinia, mimo iż zadanie pisarza bądź co bądź sprowadza się do wymyślania historii – jak powtarzał przekornie Danny, ilekroć miał okazję bronić fikcji w procesie tworzenia opowieści – gdyż historie z życia wzięte nigdy nie stanowią spójnej całości, tak jak dzieje się to w przypadku utworów fikcyjnych.

Ale do kogo Danny Angel niby kierował te słowa? Do studentów twórczego pisania? Do kobiet w pewnym wieku w klubach książki, bo czyż członkowie klubów książki to w większości nie kobiety w pewnym wieku? Któż inny przedkładał fikcję nad tak zwane opowieści z życia wzięte? Na pewno nie ci, którzy przeprowadzali z Dannym Angelem wywiady, ich pierwsze pytanie zawsze dotyczyło bowiem tego co „prawdziwe” w tej czy innej z jego książek. Czy główny bohater to postać wzorowana na „rzeczywistej” osobie? Czy wydarzenia najbardziej zapadające w pamięć (czytaj: najbardziej niszczące i tragiczne w skutkach) „naprawdę” przytrafiły się komuś, kogo pisarz zna lub znał?

Powtórzmy raz jeszcze: czego Danny się spodziewał? Czy sam nie prosił się o podobne pytania? Wystarczyło wziąć jego ostatnią powieść, *Dziecko na drodze*: czy istotnie nigdy nie przyszło mu do głowy, jak zostanie odebrana przez dziennikarzy? Jej początek powstał przed wyjazdem z Vermontu. W marcu 1987 roku Danny miał prawie gotowy

maszynopis. Pod koniec marca tego samego roku zginął Joe. W Kolorado nie nadeszła jeszcze pora błota. („Prawie”, powtarzał niezawodnie Ketchum).

Joe był na ostatnim roku w Boulder, niedawno skończył dwadzieścia dwa lata. Jak na ironię, *Dziecko na drodze* od początku dotyczyła śmierci ukochanego dziecka. Jednakże w powieści, którą niemal ukończył Danny, dziecko ginie, kiedy jeszcze nosi pieluszkę – w wieku dwóch lat, pod kołami samochodu, co mogło spotkać Joego tamtego pamiętnego dnia na Iowa Avenue. Niedokończona powieść opowiadała o tym, jak śmierć niszczy tych, których kucharz i Ketchum niewątpliwie wzięliby za postaci wzorowane na Dannym i Katie: ich drogi się rozchodzą, ale każde dąży ku własnej zgubie.

Naturalnie książka musiała się zmienić. Po śmierci syna Danny Angel nie pisał ponad rok. Nie chodziło o samo pisanie, jak wyznał swemu przyjacielowi, Armandowi DeSimone'owi; najwięcej trudu kosztowało go wyobrażanie sobie różnych rzeczy. Ilekroć próbował coś sobie wyobrazić, przed oczami stawała mu scena śmierci Joego; myślał o drobiazgach, które mogłyby odwrócić bieg zdarzeń, drobiazgach niezliczonych, dzięki którym jego syn mógł ujść z życiem. Gdyby tylko Joe zrobił to, a nie tamto… gdyby ojciec i on sam nie byli w owym czasie w Toronto… gdyby Danny kupił lub wynajął dom w Boulder zamiast w Winter Park… gdyby Joe nie nauczył się jeździć na nartach… gdyby, w myśl rady Ketchuma, nigdy nie zamieszkali w Vermoncie… gdyby lawina nie zasypała drogi przy przełęczy Berthoud… gdyby Joe był zbyt pijany, żeby prowadzić, zamiast zupełnie trzeźwy… gdyby na siedzeniu pasażera siedział chłopiec, a nie dziewczyna… gdyby Danny nie był zakochany… No bo czyż istnieje rzecz, której pisarz nie może sobie wyobrazić?

O czym nie pomyślałby Danny, choćby po to tylko, żeby zadać sobie ból? Nie mógł przywrócić Joego z powrotem do

życia; nie mógł zmienić tego, co spotkało jego syna, tak jak autor powieści zmienia losy swoich bohaterów.

Gdy po upływie roku Danny Angel zmusił się w końcu do przeczytania tego, co napisał w *Dziecku na drodze*, otwierająca książkę przypadkowa śmierć dwulatka w pieluszce, nie wspominając o męczarniach rodziców zabitego chłopca, wydała mu się prawie bez znaczenia. Czy nie jest gorsze, gdy dziecko unika śmierci za pierwszym razem i dojrzewa, po to jedynie, aby zginąć u progu dorosłości? Czy nie jest to jeszcze gorsze – czytaj: bardziej porażające – a tym samym, czy nie byłby to lepszy materiał na opowieść? Niewątpliwie Danny tak uważał. Napisał *Dziecko na drodze* od nowa, od początku do końca. Zabrało mu to kolejne pięć, prawie sześć lat.

Motyw przewodni oczywiście nie uległ zmianie. Jakżeby inaczej? Danny odkrył, że rozpacz związana z utratą dziecka pozostaje ta sama, bez względu na okoliczności.

Powieść *Dziecko na drodze* ukazała się w 1995 roku, jedenaście lat po wydaniu *Na wschód od Bangor* i osiem po śmierci Joego. W wersji poprawionej ów dwulatek wyrasta na młodego ryzykanta; ginie w wieku Joego, czyli dwudziestu dwóch lat, będąc jeszcze studentem college'u. Z ustaleń wynika, że był to wypadek, choć niewykluczone, że młody człowiek targnął się na własne życie. W przeciwieństwie do Joego, bohater siódmej powieści Danny'ego w chwili zgonu jest kompletnie pijany, a do tego nażarł się barbituranów. Je kanapkę z szynką i dławi się na śmierć własnymi wymiocinami.

Prawda wyglądała tak, że na ostatnim roku w college'u czasy szaleństwa Joe miał już chyba za sobą. Pił w umiarkowanym stopniu, nigdy zresztą nie miał z tym problemu. Na nartach jeździł szybko, ale ostrożnie. Kierowcą też był raczej niczego sobie; przez cztery lata w

Kolorado ani razu nie dostał mandatu. Nawet zwolnił tempo z dziewczynami, takie przynajmniej jego dziadek i ojciec odnosili wrażenie. Naturalnie obaj dalej się o niego zamartwiali, jednakże od początku studiów Joe nie dał im ku temu konkretnych powodów. Nawet oceny miał dobre – lepsze niż w Northfield Mount Hermon. Podobnie jak większość młodych ludzi, którzy wyjeżdżali z domu do niezależnej szkoły z internatem, Joe zawsze powtarzał, że w college'u jest łatwiej.

Jako pisarz Danny Angel dołożył starań, by domniemany samobójca z *Dziecka na drodze możliwie* jak najbardziej różnił się od Joego. Młodzieniec w książce jest typem wrażliwego artysty. Jest chorowity – jego śmierć od początku wydaje się nieuchronna – i niechętny jakiejkolwiek aktywności fizycznej. Akcja powieści nie rozgrywa się w Kolorado, tylko w Vermoncie. Po wprowadzonych poprawkach nieobliczalna matka chłopca nie może już wprawdzie uchodzić za Katie, ale – podobnie jak jej skazany na zgubę syn – zagląda do kieliszka. W końcowej wersji postać wzorowana na Dannym, zrozpaczony ojciec, nie przestaje pić, ale nie jest alkoholikiem. Picie nie sprowadza na niego realnego zagrożenia ani go nie ogłupia, jedynie wpędza w depresję.

W ciągu kilku pierwszych lat po śmierci Joego Dominic próbował czasem odwieść syna od ponownego picia.

– Lepiej się poczujesz, Danielu. Zobaczysz, na dłuższą metę będziesz żałował.

– Piję w celach badawczych, tatku – odpowiadał Danny, ale jego argument stracił rację bytu, zwłaszcza pięć lat po napisaniu *Dziecka na drodze*. Obecnie pracował nad książką, której bohaterowie stronili od alkoholu; Danny pił nie „w celach badawczych”, nigdy.

Ojciec co prawda widział, że syn nie pije w nadmiarze. Przed kolacją wypijał parę piw – piwo zawsze mu

smakowało – i nie więcej niż kieliszek lub dwa czerwonego wina do posiłku (bez wina nie mógł zasnąć). Dominic nie miał wątpliwości, że do dawnego picia jego kochany Daniel nie wrócił na pewno.

Widział też, że melancholia syna to coś więcej niż tylko przejściowy stan. Po śmierci Joego Ketchum zauważył, że Danny zrósł się z nią na dobre. Dostrzegali to nawet dziennikarze, każdy, kto spotykał pisarza pierwszy raz. Co było do przewidzenia, w wielu wywiadach podczas promocji *Dziecka na drodze* pytania na temat głównego wątku powieści – śmierci dziecka – miały z gruntu osobisty charakter. Każda książka kryje elementy poniekąd dla pisarza drażliwe; co oczywiste, dotyczą one pewnych kwestii z jego sfery prywatnej, które zdecydowanie wolałby przemilczeć.

Czy nie wystarczyło, że Danny dołożył wszelkich starań, by zdystansować się od wymiaru osobistego historii? Tu coś dodał, tam wyolbrzymił, naciągając fabułę do granic wiarygodności: jego bohaterom przytrafiają się straszne rzeczy, a bohaterowie ci są kompletni w każdym calu. („Tak zwani prawdziwi ludzie nigdy nie są tak kompletni jak postaci od początku do końca zmyślone”, powtarzał nie raz). Mimo to dziennikarze praktycznie nie interesowali się fabułą i bohaterami *Dziecka na drodze*; woleli pytać Danny'ego, jak „radzi sobie” po śmierci syna. Czy „prawdziwa tragedia” skłoniła go do weryfikacji jego stosunku do fikcji, a mianowicie do wagi, sensu i wartości względnej „tylko” zmyślonego?

Pytania te doprowadzały Danny'ego Angela do szału, ale zbyt wysoko stawiał dziennikarzom poprzeczkę; większości z nich po prostu brakowało wyobraźni, aby uwierzyć, że opisane w książce wiarygodne wydarzenia mogą być od początku do końca „wyssane z palca”. Natomiast prawie wszyscy byli dziennikarze, którzy następnie wzięli się do pisania fikcji, wyznawali nudną teorię Hemingwaya „pisz o

tym, co znasz”. Co za kretynizm! Czyli co, powieści powinny opowiadać o ludziach z otoczenia autora? Ileż to marnych, ale za to morderczo realistycznych książek zawdzięczamy tej głupiej i kompletnie bezzasadnej teorii?

Czyż jednak nie możemy stwierdzić z ręką na sercu, że osobiste pytania po wydaniu *Dziecka na drodze* były ze wszech miar naturalnym zjawiskiem? Nawet ci, którzy nie znali książki, słyszeli o śmierci syna sławnego pisarza. (Ku wielkiej uldze Ketchuma, raczej umknęła ona uwagi kowboja). Ukazało się parę łatwych do przewidzenia artykułów na temat zgubnych nawyków dzieci celebrytów, w tym wypadku z gruntu niesprawiedliwych, gdyż Joe po pierwsze nie ponosił winy za kraksę, a po drugie był trzeźwy. Ale to też było naturalne: zanim ogłoszono, że pijaństwo nie wchodziło w grę, paru dziennikarzy wiedziało lepiej.

Na początku, zaraz po wypadku – a potem po wydaniu powieści – Dominic wziął na siebie czytanie listów od wielbicieli, chcąc oszczędzić tego synowi. Danny nie oponował; wiedział, że dzięki temu nie przeczyta nic, czego przeczytać nie powinien. I tak list od Pani Niebo przeszedł mu koło nosa.

– Miewasz naprawdę stukniętych czytelników – poskarżył się ojciec któregoś dnia. – W dodatku wielu z nich zwraca się do ciebie po imieniu, jak do kumpla! W głowie się nie mieści: obcy ludzie zakładają, że cię znają na wylot.

– Podaj przykład, tatku.

– No, sam nie wiem. Wyrzucam tego więcej, niż ci pokazuję. O, na przykład w zeszłym tygodniu… ta kobieta jak nic była striptizerką. A przynajmniej ksywkę miała jak striptizerka.

– Czyli? – zapytał Danny.

– Pani Niebo – odpowiedział kucharz. – Striptizerka, nie?

– Zdaje się, że naprawdę ma na imię Amy – odparł Danny, siląc się na spokój.

– Znasz ją?

– Znam tylko jedną Panią Niebo.

– Wybacz, Danielu… myślałem, że to jakaś wariatka.

– Co napisała, tatku… pamiętasz?

Naturalnie Dominic nie pamiętał szczegółów, oprócz tego, że kobieta wydała mu się arogancka i niespełna rozumu. Pisała jakieś bzdury o obronie Joego przed świniami, i że już nie lata, jak gdyby kiedykolwiek umiała to robić.

– Chciała, żebym jej odpisał? – wypytywał Danny. – Pamiętasz, skąd przyszedł list?

– Cóż, na pewno podała adres zwrotny… oni wszyscy chcą, żebyś im odpisywał! – krzyknął z rozpaczą ojciec.

– W porządku, tatku. Nic nie szkodzi – powiedział Danny. – Może napisze drugi raz. (Szczerze w to wątpił; serce bolało go na samą myśl).

– Nie miałem pojęcia, że czekasz na wiadomość od jakiejś Pani Niebo, Danielu.

Danny domyślał się, że Amy ma za sobą trudne przeżycia. Człowiek nie wyskakuje na golasa z samolotu ot, tak sobie, stwierdził w duchu.

– Byłem pewien, że to wariatka, Danielu. Pisała, że też straciła dziecko. Uznałem, że lepiej, żebyś tego nie czytał. Przewinęło się parę takich listów.

– Może jednak powinieneś mi je pokazywać, tato – powiedział Danny.

Po tej rozmowie Danny otrzymał jeszcze kilka listów od wielbicieli, którzy również stracili dzieci, ale nie czuł się na siłach, żeby na nie odpisać. Wiedział, że nie znalazłby na to odpowiednich słów. W końcu sam był jednym z nich.

Zastanawiał się, jak Amy sobie radzi; w jego obecnym życiu, bez Joego, skok na golasa z samolotu nie wydawał mu się szczególnie trudnym zadaniem.

W gabinecie Danny'ego Angela, na poddaszu domu na Cluny Drive, oprócz okna z widokiem na wieżę zegarową monopolowego w Summerhill był jeszcze świetlik. Pokój dawniej należał do Joego; zajmował całe drugie piętro i miał własną łazienkę z prysznicem, ale bez wanny. Prysznic odpowiadał potrzebom studenta, ale dziadek wysunął zastrzeżenia wobec rozmiarów pokoju, o ładnym widoku nie wspominając. Nie żal oddawać taki pokój chłopakowi, który uczęszcza do szkoły w Stanach? Joe nie miał okazji często bawić w Toronto.

Danny natomiast uparł się oddać synowi najlepszy pokój, w nadziei że to go skłoni do częstszych wizyt. Z uwagi na umiejscowienie była to najbardziej zaciszna sypialnia w domu, Danny dobudował też schody przeciwpożarowe, w związku z czym pokój miał osobne wejście. Po śmierci Joego, gdy sypialnia chłopca stała się pokojem do pracy, wszystko zostało po staremu, wyniesiono tylko łóżko.

Ubrania Joego dalej znajdowały się w szafie i komodzie, zostały nawet buty z rozwiązanymi sznurowadłami. Joe nigdy nie rozwiązywał sznurowadeł przed zdjęciem butów. Zrzucał je zawsze, zasznurowane ciasno na podwójną kokardkę, jak gdyby dalej był małym chłopcem. Danny potem zbierał je z podłogi i rozwiązywał. Kiedy Joe umarł, minęło parę miesięcy, albo i więcej, zanim Danny rozwiązał ostatnią parę.

Obwieszony zdjęciami z rozgrywek zapaśniczych i nart tak zwany pokój do pracy wyglądał jak bez mała mauzoleum zmarłego chłopca. To, że Danny tam przesiadywał, stanowiło zdaniem ojca przejaw czystego masochizmu, ale z uwagi na nogę on sam rzadko

zapuszczał się na drugie piętro, nawet pod nieobecność syna. Łóżko wyniesiono, czyli już nikt nie miał tam spać – takie było najwyraźniej życzenie Daniela.

Kiedy Joe przyjeżdżał do Toronto, ojciec i dziadek słyszeli nieraz jego buty, spadające im nad głową (jak dwa kamienie), a także ciche skrzypienie podłogi, ilekroć Joe chodził po pokoju (nawet boso albo w skarpetkach). Z trzech sypialni na piętrze słychać było też prysznic piętro wyżej. Każda z nich miała własną łazienkę; Dominic i jego syn zajmowali pokoje po przeciwnych końcach korytarza – pokój gościnny znajdował się pomiędzy, co dawało im nieco prywatności.

W oczekiwaniu na coroczny obecnie przyjazd Ketchuma pokój gościnny i przyległa doń łazienka zostały ostatnio gruntownie wysprzątane; Danny i jego ojciec widzieli przez otwarte drzwi, że gosposia postawiła na toaletce wazon ze świeżymi kwiatami. Bukiet odbijał się w lustrze i patrząc z korytarza, człowiek odnosił wrażenie, że na toaletce stoi nie jeden wazon, lecz dwa (wątpliwe było, że Ketchum odnotowałby istnienie nawet tuzina wazonów).

Danny domyślał się, że Ketchum wpadł gosposi w oko, Dominic zaś wyraził opinię, że Lupita po prostu lituje się nad starcem. Kwiaty dowodziły niezbicie, że flisak stoi nad grobem, utrzymywał niedorzecznie Dominic; jego zdaniem był to taki „pogrzebowy” zwyczaj.

– Chyba nie mówisz poważnie – odpowiedział ojcu Danny.

Tymczasem kwiaty i Lupita stanowiły zagadkę. Meksykańska gosposia nie stawiała bukietów przed wizytą innych gości, ci zaś byli w domu na Cluny Drive częstym zjawiskiem, nie tylko w święta. Salman Rushdie, pisarz obłożony fatwą, czasem pomieszkiwał u nich podczas wizyt w Toronto, podobnie jak inni znajomi literaci, zarówno z Europy, jak i ze Stanów. Armando i Mary DeSimone'owie

przyjeżdżali co najmniej dwa razy w roku i też zawsze zatrzymywali się u Danny'ego i jego ojca.

Wielu zagranicznych wydawców Danny'ego również sypiało w pokoju gościnnym, co świadczyło o jego międzynarodowej randze; większość znajdujących się tam książek stanowiły tłumaczenia powieści Danny'ego Angela. Ponadto wisiał tam oprawiony plakat francuskiego wydania *Dziecka na drodze – Bébé dans la rue* (w przyległej łazience zawieszono powiększoną okładkę wydania niemieckiego, *Baby auf der Strasse*). Mimo to, zdaniem meksykańskiej gosposi, jedynie Ketchum zasługiwał na kwiaty.

Lupita była zranioną duszą i bezbłędnie wyczuwała cierpienie innych ludzi. Niezmiennie sprzątała pokój na trzecim piętrze we łzach, chociaż nigdy nie poznała Joego; po pierwsze rzadko bywał w Toronto, a po drugie Danny i jego ojciec jeszcze wówczas nie znali tej, którą Dominic określał mianem „meksykańskiego cudu świata". W tamtych czasach mieli pecha do kiepskich gospodyń.

Lupita była stosunkowo niedawnym odkryciem, jednakże widok dwóch smutnych panów, z których jeden stracił syna, a drugi wnuka, z miejsca chwycił ją za serce. Powiedziała starszemu, że martwi się o Danny'ego, ale Danny'emu mówiła tylko: „Pański chłopiec jest w niebie, wyżej niż na poddaszu, *Señor* Angel".

– Trzymam cię za słowo, Lupito – odpowiedział Danny.

– *¿Enfermo?* – pytała zawsze, nie siedemdziesięcioszścioletniego kucharza, tylko jego pogrążonego w depresji pięćdziesięcioośmioletniego syna.

– Nie, nie jestem chory, Lupito – odpowiadał niezawodnie Danny. – *Yo sólo soy un escritor*. – („Jestem tylko pisarzem", jakby to tłumaczyło jego stan).

Lupita też straciła dziecko; nie mogła rozmawiać o tym z Danny'm, ale powiedziała jego ojcu. Nie wdawała się w szczegóły, napomknęła tylko o ojcu dziecka, Kanadyjczyku.

Jeśli kiedykolwiek miała męża, jego również straciła. Danny nie podejrzewał, by w Toronto mieszkało wielu Meksykanów, chociaż to mogło się zmienić.

Ze swoją gładką brązową skórą i długimi czarnymi włosami Lupita zdawała się istotą bez wieku, ale Danny i jego ojciec przypuszczali, że jest po sześćdziesiątce, i choć nie była potężna, sprawiała wrażenie dość pulchnej, żeby nie powiedzieć grubej. Ponieważ miała ładną twarz i zwyczaj pozostawiania butów na parterze (na piętrze chodziła boso albo w skarpetkach), Danny wspomniał kiedyś ojcu, że przypomina mu Indiankę Jane. On zaś nie widział między nimi żadnego podobieństwa i kategorycznie pokręcił głową. Jednym słowem, albo nie dopuszczał do siebie takiej możliwości, na przekór oczywistym przesłankom, albo też Danny'ego zawodziła pamięć, jak często zdarza się w przypadku pisarzy.

Późnym popołudniem, kiedy ojciec pochłonięty był przygotowaniami do kolacji w „Patrice”, Danny często wychodził ze swego gabinetu na trzecim piętrze, w chwili gdy słońce, pod warunkiem że w ogóle świeciło, zaczynało zaglądać przez świetlik. Tego szarego, grudniowego popołudnia nie było słońca, dzięki czemu łatwiej oderwał się od biurka. Resztki światła z zachodu sączyły się na korytarz na drugim piętrze. Danny poszedł w skarpetkach do pokoju ojca. Pod jego nieobecność zaglądał tam bardzo często, żeby obejrzeć zdjęcia przyczepione do pięciu tablic korkowych wiszących na ścianach.

W sypialni ojca stało staroświeckie biurko z szufladami, które kryły w sobie setki zdjęć. Z pomocą Lupity Dominic ciągle zmieniał eksponaty w swojej „galerii”; nigdy nie wyrzucał żadnego zdjęcia, po prostu wracały one na swoje miejsce w szufladzie. W ten oto sposób dwukrotnie (lub trzykrotnie) użyte fotografie na powrót stawały się nowe: prędzej czy później ponownie wędrowały na tablice, a

jedynym świadectwem ich poprzedniej na nich obecności był szereg prawie niewidocznych dziurek od pinezek.

Zdjęcia na tablicach tworzyły misterny i dość chaotyczny, a przy tym zapewne przemyślany wzór autorstwa Dominica albo Lupity, gdyż Danny wiedział, że bez pomocy gosposi ojciec nie zdołałby zdejmować i wieszać zdjęć z równie niezmordowaną werwą i poświęceniem. A zadanie nie było łatwe, ponieważ chcąc dosięgnąć górnych krawędzi tablic, należało zawisnąć na poręczy kanapy lub stanąć na krześle, co przerastało możliwości inwalidy. Myśl o balansującej Lupicie, z jej masą, również budziła w Dannym pewne obawy.

Na przekór swej bujnej wyobraźni Danny Angel nie umiał rozgryźć ojcowskiej logiki, nachodzące na siebie fotografie zdawały się bowiem przeczyć zarówno historycznej, jak i wizualnej interpretacji. Na wiekowym czarno-białym zdjęciu zadziwiająco przystojny Ketchum tańczył z Indianką Jane w kuchni stołówki w Twisted River. Zestawienie go z (kolorową) fotografią Danny'ego z Joem (kilkulatkiem) z czasów pobytu w Iowa wydawało się kompletnie niewytłumaczalne – w dodatku Danny pamiętał, że na zdjęciu znajdowała się również Katie, zasłonięta przez kucharza podobizną Carmelli i Paula Polcariego, stojących przed piecem do pizzy w „Vicino di Napoli”; zdjęcie zrobił Tony Molinari albo stary Giusé.

Tym sposobem pobyt w Vermoncie nachodził na epizod bostoński i vice versa – „Avellino” i „Mao” na oko pojawiały się wymiennie – natomiast azjatyckie twarze z czasów w Iowa szły łeb w łeb z bardziej aktualnymi wizerunkami Kanadyjczyków. Uwiecznione na kliszy początki w „Maxim”, który ustąpił miejsca „Bastringue” na Queen Street West, wisiały obok portretów Ketchuma w prowizorycznym waniganie na budzie furgonetki lub Joego z czasów Kolorado, często na nartach lub podczas wyścigu na rowerze górskim – jedno zdjęcie przedstawiało nawet

Maksa, kolegę Joego z Iowa City, który mało nie zginął wraz z nim w alejce za Court Street pod kołami rozpędzonego mustanga. Podobizna dwóch ośmiolatków z niejasnych powodów wisiała obok fotografii młodego Silvestra, całowanego w oba policzki przez swoje dwie pomocnice, Joyce i Kristine.

Czy to możliwe, zastanawiał się Danny, że większość zdjęć znalazła się na tablicach nie tylko za sprawą pulchnej dłoni Lupity, lecz także jej szczerego zamysłu? Tłumaczyłoby to pozorną przypadkowość ich konfiguracji, jakby obeszło się bez wkładu ojca, lub też był on znikomy. Wyjaśniałoby również fakt, dlaczego zdjęcia Ketchuma nigdy nie wracały na swoje miejsce w szufladzie – przynajmniej od chwili pojawienia się Lupity.

Jakim cudem osiemdziesięciotrzyletni flisak zrobił tak romantyczne wrażenie na sześćdziesięcioletniej gosposi z Meksyku, myślał Danny. Jego ojciec zżymał się na samą tę myśl, przecież widzieli się nie więcej niż dwa, może trzy razy. „To na pewno sprawka jej gorliwego katolicyzmu!”, twierdził stanowczo. Danny wiedział, że zdaniem jego ojca żadna kobieta o zdrowych zmysłach nie może lecieć na Ketchuma – chyba że kierują nią pobudki religijne bądź też niemające nic wspólnego ze zdrowym rozsądkiem.

Po powrocie do swojego pokoju Danny przebrał się w strój do ćwiczeń. Nie wisiały tu żadne zdjęcia Joego, Danny Angel cierpiał na bezsenność i bez tego. Rzadko opuszczał dom na Cluny Drive, jedynie wieczorami, gdy szedł na kolację albo do kina, a jego ojciec pracował w restauracji. „Częściowa” emerytura Dominica polegała na tym, że przeważnie wychodził z restauracji przed jedenastą wieczorem i szedł spać, nawet gdy lokal pękał w szwach; odpowiadało mu to w zupełności.

Gdy Danny jechał na promocję książki, albo w ogóle wyjeżdżał z miasta, ojciec szedł do jego pokoju, żeby wyobrażać sobie, jak by to było, gdyby Joe nie zginął. Bolało go, że jedynymi zdjęciami w pokoju ukochanego Daniela są portrety scenarzystki Charlotte Turner, piętnaście lat młodszej od jego syna (na co wyglądała). Kiedy Charlotte poznała Daniela – było to w roku 1984, a on sam liczył sobie czterdzieści dwa lata – miała dopiero dwadzieścia siedem lat. Było to krótko po ich przyjeździe do Kanady i tuż po wydaniu *Na wschód od Bangor*, Joe kończył pierwszy rok na uniwersytecie w Kolorado. Charlotte była zaledwie osiem lat starsza od Joego i zdecydowanie nie wyglądała na swoje dwadzieścia siedem lat. Była o głowę wyższa od Danny'ego, a przez to pod względem wieku i wzrostu pasowała bardziej do Joego aniżeli do jego ojca i dziadka.

Dominic doszedł do wniosku, że obecnie nie wygląda na czterdzieści trzy. Widok jej zdjęć sprawiał mu przykrość i uświadamiał boleśnie, jak wielką darzył ją sympatią; wierzył, że Charlotte będzie idealną żoną dla jego samotnego syna.

Ale umowa to umowa. Charlotte chciała mieć dzieci – „Chociaż jedno, jeśli tylko tyle możesz mi obiecać”, powiedziała Danny'emu – i Danny przyrzekł, że postarają się o dziecko. Był tylko jeden warunek (może „warunek” to niewłaściwe słowo, raczej „prośba”). Czy Charlotte poczeka z ciążą, dopóki Joe nie skończy college'u? Zostały mu jeszcze trzy lata, ale zgodziła się poczekać; kiedy Joe skończy studia, będzie miała dopiero trzydzieści lat. Poza tym ona i Daniel bardzo się kochali. Byli ze sobą bardzo szczęśliwi; co to dla nich trzy lata?

W wieku dwudziestu siedmiu lat Charlotte Turner lubiła podkreślać z naciskiem, że mieszkała w Toronto „całe życie”. Konkretnie rzecz ujmując, mieszkała sama, nigdy nie miała chłopaka dłużej niż pół roku. Kiedy poznała

Danny'ego, zajmowała dom swej zmarłej babci w Forest Hill; rodzice chcieli go sprzedać, ale ich ubłagała, aby pozwolili jej go wynająć. Za życia babki była to istna graciarnia, ale Charlotte sprzedała stare meble, po czym przekształciła parter w swój gabinet i niewielką salę kinową. Na górze, gdzie znajdowała się tylko jedna łazienka, z trzech małych, praktycznie bezużytecznych pomieszczeń zrobiła jedną wielką sypialnię. Charlotte nie umiała gotować, dom zaś nie nadawał się do przyjmowania gości; staroświecką kuchnię babci pozostawiła bez zmian, ponieważ jej odpowiadała. Żaden z krótkodystansowych chłopaków Charlotte nigdy u niej nie nocował – Danny miał być pierwszy – ona zaś nigdy formalnie nie przeniosła się do domu na Cluny Drive.

Ojciec zaproponował, że się wyprowadzi. Nie chciał być synowi kulą u nogi i pragnął z całego serca, aby związek Daniela z Charlotte okazał się udany. Ona tymczasem nie chciała słyszeć o jego „eksmisji”, jak to ujęła, przynajmniej do czasu ślubu, planowanego na czerwiec 1987 roku, tuż po zakończeniu roku akademickiego. Joe miał być świadkiem Danny'ego.

Odłożenie ślubu wydawało się wówczas rozsądnym posunięciem, ciąży i narodzin dziecka również. Danny chciał „doprowadzić” Joego do końca studiów, tak to określał. Jednakże w Toronto nie brakowało „życzliwych”, którzy znali historię związków Charlotte i gotowi byli pójść o zakład, że odkładanie ślubu choćby o dwa lata nie wróży nic dobrego, podobnie jak częste wyjazdy młodej scenarzystki do L.A., gdyż któregoś dnia może zwyczajnie zostać tam na dobre. W ciągu trzech krótkich lat, które spędzili razem, Charlotte nie trzymała w szafie Danny'ego prawie żadnych ubrań, choć nocowała u niego częściej niż on w jej domu w Forest Hill. Kosmetyków za to miała w jego łazience pod dostatkiem.

Oboje wstawali skoro świt i podczas gdy Charlotte zajmowała się swoimi włosami i cerą – Dominic przypomniał sobie nagle, że cerę miała bajeczną – Danny robił śniadanie. Następnie Charlotte jechała metrem do St. Clair, skąd szła pieszo do domu w Forest Hill i pracowała do wieczora.

Twierdziła, że woli mieć gabinet poza domem na Cluny Drive, nawet po ślubie. „Poza tym nie ma tu miejsca na wszystkie moje ciuchy”, mówiła Danny'emu. „Nawet kiedy twój tata się wyprowadzi, potrzebny będzie dodatkowy pokój, jeśli nie cały dom, na moje ciuchy”.

Dominic wspominał nie raz, że ubrania Charlotte to tylko wykręt, zwłaszcza gdy oglądał jej zdjęcia. Mimo pozornego przywiązania do strojów była pracoholiczką, podobnie jak Danny. Nie inaczej było w przypadku planowanej przez nią adaptacji *Na wschód od Bangor.*

Charlotte znała nieugięty stosunek Danny'ego do sprzedaży praw filmowych; oglądała wywiady, w których domagał się „przyzwoitego” scenariusza, zanim zdecyduje się udzielić zgody na adaptację tej czy innej powieści. Zgodziła się napisać zarys scenariusza do powieści bez żadnych zobowiązań; nie dostanie za to ani grosza, a Danny niczego jej nie obiecywał: jeśli scenariusz mu się nie spodoba, Charlotte po prostu nie będzie miała szczęścia.

– Na pewno ma pani już jakiś pomysł na sfilmowanie tej książki – powiedział, kiedy spotkali się po raz pierwszy. Poinformował ją, że nie chodzi na lunch. Umówili się na kolację w „Bastringue”, gdzie w tamtym okresie jadał trzy, cztery razy w tygodniu.

– Nie, po prostu chcę to zrobić. Jeszcze nie wiem jak – odparła Charlotte. Nosiła okulary w ciemnych oprawkach i sprawiała wrażenie mola książkowego, lecz tylko z twarzy, gdyż była nie tylko wysoka, lecz także miała zmysłowe kształty. (Dominic pamiętał, że była ładnych parę kilo

cięższa od Danny'ego). Tamtego wieczoru Danny pomyślał sobie, że jest trochę za duża na różową sukienkę (usta pomalowała pod kolor), ale bądź co bądź Charlotte załatwiała mnóstwo spraw w L.A.; nawet w 1984 roku wyglądała bardziej na mieszkankę Los Angeles niż Toronto.

Zarys scenariusza bardzo się Danny'emu spodobał – na tyle, że sprzedał Charlotte Turner prawa filmowe za jednego dolara kanadyjskiego, stanowiącego wówczas równowartość siedemdziesięciu pięciu centów amerykańskich. Dalej pracowali już wspólnie, toteż przekonał się na własne oczy, ile wkładała w to wysiłku. Danny miał wówczas gabinet na parterze domu na Cluny Drive, gdzie mieściła się obecnie jego siłownia. Pracowali tam albo w gabinecie domu jej babki w Forest Hill. Od powstania filmu dzieliło ich piętnaście lat, ale scenariusz *Na wschód od Bangor* był gotowy w ciągu czterech miesięcy; kiedy to nastąpiło, byli już parą.

W sypialni Danny'ego, będącej mauzoleum Charlotte, tak jak gabinet na poddaszu był miejscem pamięci Joego, Dominic często nie mógł się nadziwić, jakim cudem Lupita utrzymuje oprawione zdjęcia zdolnej scenarzystki w tak nienagannej czystości i blasku. Większość fotografii pochodziła z czasów, kiedy Charlotte i Danny byli parą, wiele zrobiono podczas ich krótkich pobytów latem nad jeziorem Huron. Tak jak wiele miejscowych rodzin, rodzice Charlotte byli właścicielami wysepki w Georgian Bay; podobno dziadek Charlotte wygrał ją w pokera, choć niektórzy twierdzili, że ktoś odstąpił mu ją w zamian za samochód. Ponieważ ojciec Charlotte był śmiertelnie chory, a matka lekarka szykowała się do przejścia na emeryturę, wyspa w okolicach Pointe au Baril Station miała przypaść w udziale Charlotte. Dominic pamiętał, że Daniel kochał to miejsce. On sam był w Georgian Bay tylko raz i wcale mu się nie spodobało.

Jedynymi zdjęciami Charlotte na korkowych tablicach w jego pokoju były te, na których znajdowała się wraz z Joem, ponieważ Daniel nie mógł spać, mając w pokoju fotografie zmarłego syna. Ojciec był pod wrażeniem bezinteresownej sympatii, jaką darzyła chłopca, Joe zaś widział bez cienia wątpliwości, że ojciec jest z nią bardzo szczęśliwy; od początku lubił Charlotte.

Charlotte nie jeździła na nartach, ale tolerowała zimowe weekendy i Gwiazdkę w Winter Park, gdzie Dominic przyrządzał dla wszystkich wyśmienite kolacje w domku narciarskim u stóp góry. Restauracje w Winter Park nie były złe, a raczej w sam raz jak na potrzeby Joego i jego znajomych z college'u, ale nie odpowiadały wymaganiom Dominica Baciagalupo, toteż z radością gotował dla wnuka, który jego zdaniem zbyt rzadko bywał w Kanadzie. Danny też tak uważał.

Resztki szarzyzny późnym grudniowym popołudniem ustąpiły miejsca ciemności i kiedy Danny rozkładał w siłowni matę do ćwiczeń, za oknami widział mrok i kontrastujące z nim światła miasta. Ponieważ dawniej był to jego gabinet – a od pewnego wieku pracował tylko przy świetle dziennym – w oknach nie zawieszono zasłon. Kiedy zimą przystępował do ćwiczeń, na zewnątrz często było już ciemno, ale Danny miał w nosie, czy ktoś patrzy, jak maszeruje na bieżni lub podnosi ciężarki. Fotografowano go w tym pokoju zarówno w czasach, gdy służył mu za gabinet, jak i później, tutaj też przeprowadzano z nim wywiady, ponieważ nie wpuszczał dziennikarzy do pracowni na poddaszu.

Charlotte zapowiedziała, że po ślubie zawiesi zasłony, ale ponieważ ślub – i cała reszta – został odwołany, okna pozostały w niezmienionym stanie. Była to dziwna siłownia, gdyż na każdej ścianie widniały półki z książkami; nawet po

przeprowadzce na trzecie piętro Danny pozostawił tu wiele z nich.

Kiedy Danny i jego tata urządzali w domu na Cluny Drive przyjęcia, siłownia służyła jako szatnia; goście wieszali okrycia na poręczach bieżni, na stepperze lub na rowerze stacjonarnym, albo kładli na ławce do wyciskania. W pomieszczeniu nie brakowało też notesów i ryz papieru, była również cała masa długopisów. Czasami Danny robił notatki, ćwicząc późnym popołudniem na rowerze stacjonarnym lub chodząc na bieżni. Lata joggingu zrujnowały mu kolana, ale na bieżni chodził żwawo, a rower i stepper nie powodowały żadnych dolegliwości.

Jak na pięćdziesięcioośmiolatka Danny miał przyzwoitą kondycję; nadal był drobny, z tym że przybrał nieco na wadze, odkąd zaczął znowu pić piwo i czerwone wino – chociaż robił to z umiarem. Gdyby Indianka Jane żyła, dowiedziałby się na pewno, że dla osoby ważącej tak niewiele jak on nawet dwa piwa i kieliszek lub dwa czerwonego wina to za dużo. „No, Indianka zawsze była bezlitosna w temacie wody ognistej”, powtarzał Ketchum; on sam nie znał znaczenia słowa umiar, nawet w wieku osiemdziesięciu trzech lat.

Trudno powiedzieć, kiedy Ketchum przyjedzie na święta, myślał Danny, pedałując zawzięcie; po prostu zjawiał się, i już. Jak na kogoś, kto bez opamiętania słał faksy kilkanaście razy w tygodniu i wydzwaniał bez względu na porę, w kwestii podróży o dziwo milczał jak grób – dotyczyło to nie tylko jego świątecznych wypraw do Toronto, lecz także myśliwskich eskapad w Kanadzie. Przy okazji zahaczał też czasem o Cluny Drive; nie jeździł do Quebecu, tylko na północ Ontario.

Ketchum zaczynał polowania we wrześniu, na początku sezonu na niedźwiedzie w Coos. Stary flisak twierdził, że populacja niedźwiedzi czarnych w New Hampshire wynosi dobrze ponad pięć tysięcy sztuk, coroczny odstrzał zaś

„jedynie pięciuset, może sześciuset gnojków”; większość niedźwiedzi zabijano w północnych i centralnych regionach stanu oraz w White Mountains. Ogar Ketchuma, wspomniane wcześniej „szlachetne zwierzę” – czyli najpewniej wnuk (albo i prawnuk!) pierwszego szlachetnego zwierzęcia – mógł polować wraz z nim od drugiego tygodnia września do końca października.

Pies był mieszańcem, wysokim i długonogim jak wyżeł, ale miał białą sierść blueticka, cętkowaną i powleczoną odcieniem błękitnawej szarości – no i był nadzwyczaj szybki, jak na tego ostatniego przystało. Ketchum brał swoje psy z hodowli w Tennessee, zawsze wybierał samca i nazywał go Śmiały. Pies nigdy nie szczekał, ale warczał przez sen – Ketchum uparcie twierdził, że jego pies nie zasypia – i ujadał potępieńczo, ilekroć gonił niedźwiedzia.

W New Hampshire koniec sezonu na niedźwiedzie pokrywał się z sezonem na jelenie, trwającym bardzo krótko, od końca października i przez pierwszy tydzień listopada; polowano wówczas z broni ładowanej przez lufę. Z innej broni można było polować na jelenie przez resztę miesiąca aż po początek grudnia, lecz gdy Ketchum zabijał jednego w Coos (niezmiennie przy użyciu broni ładowanej przez lufę), jechał na północ do Kanady; tam sezon polowań na jelenie z broni zwykłej kończył się wcześniej.

Stary flisak nigdy nie zdołał zaszczepić w przyjacielu bakcyla polowań; Dominic nie lubił broni ani smaku dziczyzny, a jego inwalidztwo odbierało przyjemność z przechadzek po lesie. Gdy jednak wraz z Dannym przenieśli się do Kanady i syn poznał Charlotte Turner, Ketchum otrzymał zaproszenie na wyspę Charlotte na jeziorze Huron; było to ich pierwsze wspólne lato, Dominic też został zaproszony. To właśnie wtedy – na wyspie Turner w sierpniu 1984 roku – Ketchum namówił Danny'ego na polowanie na jelenia.

Dominic Baciagalupo gardził ostentacyjnie obozową atmo sferą letniego życia na wyspach – w 1984 roku rodzina Charlotte korzystała jeszcze z domku gospodarczego. Mieli wprawdzie lampy gazowe i takąż lodówkę, ale wodę nosili (wiadrami) z jeziora.

Wszystko wskazywało na to, że główną chatę i dwa przyległe domki sypialne wyposażono w tapczany, wyszczerbione naczynia i śmiertelnie niewygodne łóżka, dla których zabrakło już miejsca w domu w Toronto; co gorsza, zdaniem Dominica, ów ewidentny przejaw skąpstwa był wśród letników niemalże uświęcony tradycją. Jakakolwiek nowość w postaci elektryczności, bieżącej wody lub toalety ze spłuczką zasługiwała w ich mniemaniu na potępienie. Najbardziej jednak gardził tym, co jedli. Sklepy w Pointe au Baril Station – zwłaszcza oferujące tak zwane świeże produkty – były godne pożałowania, zresztą i tak wszystko palono na węgiel na przydomowych grillach.

Podczas swej pierwszej i jedynej wizyty na wyspie Dominic zachowywał się uprzejmie i pomagał w kuchni – o tyle, o ile wypadało – jednakże po długim weekendzie wrócił do Toronto z miłą świadomością, że ani myśli więcej ryzykować życia na niegościnnych wertepach i w ogóle zapuszczać się nad jezioro.

– Wyspa za bardzo przypomina Twisted River, to nie dla niego – wyjaśnił Ketchum Charlotte i Danny'emu, gdy Dominic wrócił do miasta. I choć próbował usprawiedliwić tym samym starego przyjaciela, początkowa reakcja Danny'ego na wyspiarskie życie była podobna. Różnica polega na tym, że Danny i Charlotte rozmawiali o zmianach, jakie wprowadzą na wyspie, gdy jej ojciec umrze (jeżeli nie wcześniej), a matka nie będzie czuła się na siłach, aby tu bywać.

Danny nadal pisał na staroświeckiej maszynie do pisania; miał kilka IBM Selectrics, które wiecznie się psuły. Potrzebował elektryczności. Charlotte z kolei potrzebowała

bieżącej wody – od dawna marzyły jej się luksusy w postaci prysznica przed domem i wielkiej wanny, o kilku toaletach ze spłuczką nie wspominając. Oboje zgadzali się też co do tego, że przydałoby się ogrzewanie, gdyż nocą doskwierał chłód, nawet w lecie – w końcu znajdowali się na dalekiej Północy – no i wkrótce mieli mieć dziecko.

Danny zamierzał również wybudować sobie gabinet – zapewne na pamiątkę dawnych czasów w Vermoncie – Charlotte zaś marzyła o wielkiej, osłoniętej werandzie, która połączyłaby chatę główną z domkami sypialnymi, dzięki czemu nikt nie musiałby przechodzić między nimi w deszczu (ani rzucać się na pastwę komarów, które po zmroku były istnym utrapieniem).

Innymi słowy, oboje mieli co do wyspy śmiałe plany – jak to zakochani. Charlotte od dzieciństwa uwielbiała spędzać tu czas, Danny zaś doceniał potencjał tego miejsca i cieszył się na myśl o ich wspólnym życiu.

Plany, plany, plany – jakżeż lubimy planować przyszłość, jak gdyby była pewna niczym amen w pacierzu! Ba, zakochani nie czekali, aż ojciec Charlotte umrze, a matka nie będzie mogła przyjeżdżać i znosić trudów życia na wyspie. W ciągu kolejnych dwóch lat Danny i Charlotte doprowadzili elektryczność i bieżącą wodę oraz zainstalowali wymarzone toalety – Charlotte doczekała się nawet prysznica przed domem i wielkiej wanny, o werandzie nie wspominając. Znalazło się też miejsce dla „ulepszeń” zasugerowanych przez Ketchuma; dokładnie tego określenia użył podczas swej pierwszej wizyty na wyspie. Latem 1984 roku Ketchum był żwawym sześćdziesięciosiedmiolatkiem, dość młodym jeszcze, aby snuć własne plany.

Tamtego lata przywiózł ze sobą psa. Szlachetne zwierzę było czujne jak wiewiórka, od chwili gdy postawiło łapę na

przystani. „Tu musi być niedźwiedź – Śmiały zna się na niedźwiedziach”, oznajmił Ketchum. Sierść zjeżyła się na (zwykle obwisłym) karku psa; snuł się za swoim panem jak cień. Śmiały nie należał do psów, które miało się ochotę poklepać.

Ketchum nie był miłośnikiem lata; nie wędkował ani nie zawracał sobie głowy łódkami. Nie był też zapalonym pływakiem. Zainteresował się natomiast tym, co dzieje się na wyspie późną jesienią i podczas długiej zimy, a potem gdy na wiosnę pękają lody. „Dam głowę, że jest tu mnóstwo jeleni”, zauważył; stał na pomoście niczym zaczarowany, nawet nie podniósł torby. Sprawiał wrażenie, jakby węszył, zupełnie jak jego pies.

– Region Indiańców – oznajmił z aprobatą. – Znaczy się, kiedyś, zanim cholerni misjonarze schrystianizowali całą pieprzoną puszczę. – W dzieciństwie oglądał czarno-białe zdjęcia ze spływu w Gore Bay na wyspie Manitoulin. Tu zaś najwięcej spływów odbywało się zapewne w okolicach 1900 roku; Ketchum znał procedurę na pamięć. Jesienią ścinało się drzewa, budowało drogi i przygotowywało strumienie na wiosenny spływ, byle zdążyć przed pierwszym śniegiem. Zimą wycinka trwała nadal, a pnie wlokło się po śniegu nad wodę. Wiosną spławiało się drewno rzekami i strumieniami aż do zatoki.

– A potem wasze lasy popłynęły do Stanów, nie? – zwrócił się do Charlotte. Zaskoczyło ją to pytanie; nie znała odpowiedzi, ale Ketchum wręcz przeciwnie.

Wszędzie było tak samo. Wielkie lasy przetrzebiono; tartaki spalono lub zburzono, kamień na kamieniu nie został. „Przepadły w wyniku zaniedbania”, z upodobaniem powtarzał stary traper.

– Niedźwiedź jest na sąsiedniej wyspie – zawyrokował, rozglądając się wokół. – Gdyby siedział tutaj, Śmiały byłby bardziej pobudzony. – Zdaniem Danny'ego i Charlotte ogar

sprawiał wrażenie tak pobudzonego, jakby niedźwiedź znajdował się na przystani.

Okazało się, że na wyspie Barclay tego lata faktycznie był niedźwiedź. Bez trudu przepłynąłby niewielką odległość dzielącą obie wyspy – Danny i Ketchum odkryli, że mogą przedostać się tamtędy wpław – ale nie pokazał się u Turnerów, może z powodu psa Ketchuma.

– Nie zostawiajcie stopionego tłuszczu na grillu – poradził Ketchum. – Nie wystawiajcie śmieci, a owoce trzymajcie w lodówce. Zostawiłbym wam Śmiałego, ale musi mnie pilnować.

Nieopodal przystani znajdowała się niezamieszkana chatka z drewna, pierwszy budynek, jaki tu powstał. Charlotte pokazała ją Ketchumowi. Siatki w oknach były podarte, a dwie prycze zostały najpierw przedzielone, a następnie zbite do kupy gwoździami i przykryte wielkim materacem zwisającym poza krawędzie. Koc na łóżku był przeżarty przez mole, materac zaś nieco zapleśniały; nikt tu nie bywał, odkąd dziadek Charlotte przestał zaglądać na wyspę. Była to jego chatka, powiedziała Charlotte, a po śmierci staruszka nikt się tutaj nie zapuszczał, gdyż domek był podobno nawiedzony (tak przynajmniej wierzyła w dzieciństwie).

Odsunęła zdeptany, brudny chodnik; chciała pokazać Ketchumowi ukrytą klapę w podłodze. Chatka stała na słupach z cementu, niewiele wyższych niż pieńki – fundamentów nie było – pod klapą zaś znajdowało się klepisko, na głębokości około metra pod podłogą. Sosny otaczały dom, toteż całe podłoże usiane było sosnowymi igłami, które nadawały mu złudnie miękki i przytulny wygląd.

– Nie wiemy, na co była dziadkowi ta klapa – wyjaśniła Charlotte. – Ale był hazardzistą, więc podejrzewamy, że chował tu pieniądze.

– Czy twój dziadek był myśliwym, Charlotte? – zapytał nieoczekiwanie Ketchum, kiedy Śmiały zaczął węszyć pod podłogą.

– O tak! – zawołała Charlotte. – Po jego śmierci wyrzuciliśmy wreszcie strzelby. – Ketchum wzdrygnął się mimowolnie.

– Cóż, w takim razie była to piwnica na mięso – stwierdził. – Założę się, że przyjeżdżał tu zimą.

– Owszem – przyznała; wyraźnie jej zaimponował.

– Pewnie po sezonie na jelenie, gdy zatoka była skuta lodem – myślał głośno Ketchum. – Wtedy polował, a kiedy przyjeżdżali leśnicy i pytali, do czego strzela – cicho było tu pewnie jak diabli, zwłaszcza gdy leżał śnieg, i dźwięk niósł się daleko – opowiadał im jakąś bajeczkę. Na przykład że wygarnął do wiewiórki, bo mu żyć nie dawała, albo chciał przestraszyć jelenie, które żarły jego ulubione cedry, niech idą w cholerę, wyżerać komu innemu… a jeleń kruszał sobie tymczasem w piwnicy… rozumiesz, do czego zmierzam, Charlotte? – zapytał Ketchum. – To kryjówka kłusownika! Mówiłem wam: tu na bank roi się od jeleni.

Ketchum i Śmiały nocowali w starej chatce, nawiedzonej lub nie. „Psiakrew, przeważnie mieszkałem w nawiedzonych miejscach”, oznajmił Ketchum. Nowsze pomieszczenia sypialne nie były w jego guście, a co do podartych siatek w oknach chaty dziadka powiedział: „Co mi tam komar czy dwa: inaczej człowiek nie poczuje, że jest w lesie”. Teraz kręciło się tu mniej łodzi, dlatego w okolicy zaroiło się od nurzyków; to również odkrył pierwszego dnia. Lubił wydawane przez nie odgłosy. „Zresztą Śmiały pierdzi jak skurczybyk – nie chciałabyś, żeby zasmrodził wam sypialnię, Charlotte!”.

Do wieczora Charlotte pogodziła się z myślą, że jej dziadek był kłusownikiem. Pił, umarł w biedzie; długi karciane i whisky zrobiły swoje. Tymczasem oto klapa w

podłodze ujawniła swoje zastosowanie, co rychło nasunęło Ketchumowi pomysł wspomnianych „ulepszeń”. Staremu flisakowi nie przyszło do głowy, że Charlotte nie miała zamiaru przebywać na ukochanej wyspie w mroźne, zimowe miesiące, kiedy wszechobecny wiatr wyginał drzewa, woda w zatoce zamarzała na kamień i chowała się pod grubą warstwą śniegu, a w okolicy nie było żywej duszy, nie licząc garstki amatorów łowienia w przeręblі i szaleńców na skuterach śnieżnych.

– Niewiele trzeba, żeby przystosować do zimy główny budynek – zaczął Ketchum. – Gdy zamontujecie już wasze nowoczesne toalety, pamiętajcie o dwóch szambach, głównym oraz mniejszym, o którym nikt nie musi wiedzieć. Mniejsza o domki sypialne; ich ogrzanie kosztowałoby majątek. Trzymajcie się głównego budynku. Ogrzewanie elektryczne wystarczy, żeby toaleta i zlew, no i twoja wielka wanna, Charlotte, nie zamarzły, grunt to zadbać o izolację rur prowadzących do szamba. W ten sposób będziecie mogli spłukiwać sedes i spuszczać wodę ze zlewu, no i opróżniać wannę. Ale nie będziecie mogli pompować wody z jeziora ani jej podgrzewać, przynajmniej w bojlerze gazowym. Trzeba wyciąć dziurę w lodzie i nosić wodę wiadrami, a następnie podgrzewać ją na piecu do kąpieli lub mycia naczyń. Spać będziecie oczywiście w głównym budynku, ogrzejecie się głównie piecem na drewno. Piec przyda się też w twoim gabinecie, Danny, nic więcej ci nie potrzeba. Woda przy stałym lądzie zamarznie pierwsza; będziecie mogli jeździć po zakupy skuterem śnieżnym i wozić je na sankach, a śmieci wywozić do miasta w ten sam sposób. Psiakrew, dotrzecie tam nawet na nartach – ekscytował się Ketchum. – Grunt to trzymać się z dala od głównego koryta przy Pointe au Baril Station. Ono tak łatwo nie zamarza.

– Ale po co mielibyśmy przyjeżdżać tu zimą? – spytał Danny; Charlotte patrzyła na Ketchuma ze zdumieniem.

– Hm, a czemu nie, Danny? – odpowiedział pytaniem stary flisak. – Zróbmy to, a zobaczysz, że ci się spodoba.

Ketchum niezupełnie miał na myśli przyjazd „zimą”. Chodziło mu konkretnie o sezon na jelenie, czyli listopad. W pierwszym sezonie na jelenie, gdy Danny spotkał się z Ketchumem w Pointe au Baril Station, lód nie zdążył stwardnieć na tyle, aby mogli bezpiecznie przedostać się z lądu na wyspę; nawet raki i narty biegowe nie spełniłyby swego zadania, a skuter Ketchuma zatonąłby z całą pewnością. Oprócz skutera i całego arsenału sprzętu Ketchum przywiózł strzelby, ale Śmiałego zostawił w domu z Pam. Sześciopak miała psy i Śmiały je „tolerował”, jak twierdził Ketchum. Polowanie na jelenie to czynność „nieodpowiednia” dla psów, dodawał.

To, że nie mogli się dostać na wyspę, i tak było wówczas nieistotne; remont, w tym realizacja sprytnych „ulepszeń”, miał skończyć się dopiero latem. Budowlaniec, Andy Grant, był – jak mawiał pieszczotliwie Ketchum – „tubylcem”. Ściśle rzecz biorąc, dorastał razem z Charlotte; w dzieciństwie bardzo się przyjaźnili. Andy nie tylko wyremontował przed paru laty na prośbę rodziców główny budynek, lecz także odnowił niedawno domki sypialne według wytycznych Charlotte.

Wytłumaczył Danny'emu i Ketchumowi, gdzie można napotkać jelenie, stary przyjaciel zaś znał już gościa o nazwisku LeBlanc, który określał się mianem „tropiciela”: LeBlanc pokazał im okolicę na północ od Pointe au Baril Station w pobliżu dopływu Byng i Still River. Dla Ketchuma nie liczyło się, gdzie polował; jeleni wszędzie było zatrzęsienie.

Początkowo Danny zżymał się nieco na widok broni, jaką wybrał dla niego stary przyjaciel – był to winchester, produkowany w połowie lat osiemdziesiątych w New Haven w stanie Connecticut, a następnie wycofany z produkcji.

Samopowtarzalny dryling kaliber 20 i – ku oburzeniu Danny'ego – model młodzieżowy.

– I co się pienisz? – odpowiadał mu Ketchum. – Dla początkującego w sam raz. Lepiej nie zaczynać od fajerwerków. Niejeden przed tobą w paluchy sobie wygarnął.

Przez wzgląd na paluchy żółtodzioba polecił Danny'emu zawsze ładować trzy naboje, jeden w komorze i dwa dodatkowe w magazynku. „Tylko nie zapomnij, ile ich masz”, dodał.

Danny wiedział, że dwa pierwsze to breneki, a trzeci kula, wedle określenia Ketchuma, „na dobitkę”. Nie było sensu ładować więcej, bez względu na możliwości strzelby. „Jeśli potrzebujesz czwartego albo piątego strzału”, tłumaczył Ketchum, „to znaczy, że jeleń dał nogę”.

Wieczorami Danny z trudem wyciągał Ketchuma z tawerny „U Larry'ego”, będącej zarazem motelem, na południe od Pointe au Baril Station, przy trasie 69. Ściany były tam tak cienkie, że łomot dobiegający z sąsiedniego pokoju nie pozostawiał miejsca na domysły. „Jakiś debil kierowca i dziwka”, zawyrokował Ketchum pierwszego wieczoru.

– Nie wydaje mi się, żeby w Pointe au Baril były dziwki – zauważył Danny.

– W takim razie spiknęli się w barze – odparł Ketchum. – Bo na pewno nie są małżeństwem.

Kolejnego wieczoru zza ściany dobiegały ekstatyczne kobiece jęki.

– Brzmi inaczej niż tamte z wczoraj i przedwczoraj – stwierdził Ketchum.

Kimkolwiek była rzeczona pani, darła się jak opętana. „Dochodzę! Dochodzę!”, powtarzała raz po raz.

– Mierzysz czas, Danny? Może to rekord – zarechotał Ketchum, ale wylazł na golasa na korytarz i załomotał w drzwi, za którymi rozgrywał się najdłuższy orgazm świata.

– Słuchaj, gościu – oznajmił. – Ona łże.

Młody mężczyzna, który otworzył drzwi, wyraźnie nie był w nastroju na pogaduszki, ale sprawy rozegrały się błyskawicznie. Ketchum założył mu nelsona, zanim tamten zdążył się porządnie zamachnąć.

– Nie łgałam – napłynęła z ciemności urażona odpowiedź kobiety, ale teraz już nawet młody chojrak jej nie uwierzył.

Nie tak Danny wyobrażał sobie męską wyprawę na jelenia. Swego pierwszego zwierza powalił przy użyciu wszystkich trzech naboi. „Cóż, kto jak kto, ale pisarze wiedzą najlepiej, że umrzeć to czasem niełatwa sprawa”, skwitował Ketchum.

Ketchum upolował swojego opodal dopływu Byng, jednym strzałem ze strzelby kaliber 12. Podczas drugiego sezonu w Ontario strzelili jeszcze dwa byki, oba przy Still River; w tym czasie na wyspie Charlotte było już po remoncie. Ketchum i Danny wrócili do Pointe au Baril Station na początku lutego, gdy pokrywa lodu w zatoce osiągnęła przy lądzie grubość sześćdziesięciu centymetrów. Przyjechali od strony Payne's Road, a następnie doszli po lodzie, wśród wirujących płatków śniegu, do przystani i chatki dziadka Charlotte.

Było już po sezonie na jelenie, ale Ketchum przytargał strzelbę.

– Na wszelki wypadek – powiedział.

– Na wypadek czego? – spytał Danny. – Wybij sobie z głowy jelenie, Ketchum.

– Na wypadek innego gnojka – odparł stary flisak.

Później Danny przyłapał go, jak smaży dziczyznę na grillu zamontowanym przez Andy'ego pod dachem nowej

werandy; zimą była zabita deskami, gdyż przechowywano w niej letnie meble oraz dwa kajaki. Jak się okazało, Ketchum przemycił również kuszę.

Danny zapomniał, że flisak poluje z kuszą i że sezon na polowanie tą bronią trwa w New Hampshire trzy miesiące; Ketchum miał wprawę.

– To kłusownictwo, Ketchum – ostrzegł Danny.

– Leśnicy nie słyszeli strzału, nie? – odpowiedział pytaniem Ketchum.

– Nie odwracaj kota ogonem.

– Skoro nic nie słyszeli, nie ma o czym mówić. Wiem, że Ziółko nie przepada za dziczyzną, ale tak przyrządzona smakuje pierwsza klasa.

Danny tak naprawdę nie lubił polowań – a już na pewno zabijania – ale lubił towarzystwo Ketchuma, i w lutym 1986 roku, kiedy spędzili parę nocy na wyspie, odkrył, że zima w Georgian Bay bardzo mu się podoba.

Ze swojej nowej pracowni widział sosnę wykrzywioną przez wiatr; była wygięta niemal pod kątem prostym w stosunku do własnego pnia. Gdy padał śnieg i okolica jak okiem sięgnąć była spowita bielą, przez co człowiek nie widział początku ani końca zatoki, drzewko imponowało nieoczekiwaną wolą przetrwania mimo swej kruchości.

Danny siedział przy biurku, zapatrzony na sosnę, wyobrażając sobie, jak by to było spędzić tu całą zimę. (Naturalnie z góry wiedział, że Charlotte zgodziłaby się tylko na weekend).

Przyszedł Ketchum; naznosił wody z jeziora i zagotował ją w garnkach do makaronu. Zapytał Danny'ego, czy chce się kąpać pierwszy czy drugi.

– Widzisz to drzewo, Ketchum? – Danny wskazał na małą sosnę.

– Rozumiem, że masz to myśli to skopane przez wiatr – upewnił się Ketchum.

– Tak, właśnie to. Co ci przypomina?

– Twojego tatę – odparł bez wahania. – Ma Ziółka wypisanego na czole, ale nic mu nie będzie, Danny. Twojemu tacie też nie. Zobaczysz.

Pojechali zapolować na jelenie w okolicy Pointe au Baril w listopadzie 1986 roku – był to ich trzeci i ostatni wspólny sezon – „obozowali" też, jak to nazywali, na wyspie pod koniec stycznia 1987 roku. Ku wielkiej konsternacji Ketchuma Danny stanowczo sprzeciwił się polowaniu z kuszą. I tak zamiast kuszy Ketchum przywiózł Śmiałego – oraz („na wszelki wypadek") strzelbę kaliber 12, która okazała się bezużyteczna.

Danny podejrzewał, że cuchnące nawyki ogara są mocno przesadzone; w styczniu Ketchum po raz kolejny użył ich jako pretekstu do nocowania w nieogrzewanej chatce dziadka. Po remoncie w głównym budynku było trochę za ciepło (i za wygodnie) jak na gust starego flisaka, który twierdził, że lubi nocą widzieć swój oddech – pod warunkiem że w ogóle cokolwiek widział. Danny nie miał pojęcia, co Ketchum widzi nocą w chacie dziadka, ponieważ nie było tam ani elektryczności, ani lamp gazowych. Wprawdzie wziął ze sobą latarkę, ale niósł ją jak pałkę i Danny ani razu nie widział, żeby ją włączył.

Ketchum był na wyspie latem tylko raz, podczas krótkiej wizyty Dominica. Charlotte nie wiedziała, że przywiózł ze sobą strzelbę, ale Danny owszem. Usłyszał, jak Ketchum zabija grzechotnika na przystani. Charlotte popłynęła łodzią do Pointe au Baril Station; nie słyszała strzału.

– Wydaje mi się, że grzechotniki są pod ochroną, to zagrożony gatunek – powiedział Danny. Ketchum zdążył już zdjąć z węża skórę i odciąć mu grzechotkę.

Latem Charlotte naprawiała łódź u Desmasdona, w warsztacie, gdzie przechowywali zimą łódki. Obserwując, jak Ketchum skóruje węża, Danny przypomniał sobie plakat wiszący u Desmasdona na zamrażarce z lodami: przedstawiał on rozmaite gatunki węży występujących w Ontario, w tym grzechotnika ze wschodniej Massasaugi. Próbował uświadomić Ketchumowi, że grzechotniki naprawdę są pod ochroną, ale flisak nie dał mu dojść do słowa.

– Śmiały ma dość sprytu, żeby nie dać się ukąsić, Danny, jego nie muszę chronić – odparł. – Ale co do ciebie i Charlotte, nie byłbym taki pewien. Szlajacie się po całej wyspie, widziałem was! Gadacie i nie patrzycie pod nogi. Zakochani nie rozglądają się za grzechotnikami ani ich nie słyszą. Poza tym podobno chcecie mieć dziecko, tak? To nie grzechotniki trzeba chronić, Danny. – Z tymi słowy odciął wężowi głowę browningiem. Na kamieniu odsączył jad, a następnie cisnął głowę do wody. – Karma dla ryb – wyjaśnił. – Proszę, jaki ze mnie ekolog. – Skórę rzucił na dach, gdzie, jak dodał, wysuszy ją słońce. – Jeśli prędzej nie dorwą jej wrony i mewy – dorzucił.

Tak też się stało: następnego ranka ptaki urządziły taki rwetes, że Ketchum miał ochotę ponownie wypalić z dubeltówki, żeby je przepłoszyć. Ale opanował się, wiedząc, że strzał zwróciłby uwagę Charlotte, toteż wyszedł na zewnątrz i zamiast strzelać, rzucał w ptaki kamieniami. Patrzył, jak mewa odlatuje ze skórą w dziobie. „Nic się nie zmarnowało”, skomentował później w rozmowie z Dannym.

Wkrótce potem przypłynęła straż leśna z pytaniem o strzał z poprzedniego dnia. Czy coś słyszeli? Ktoś z wyspy Barclay usłyszał strzał.

– Ja też słyszałem – odezwał się Ketchum, zwracając na siebie uwagę strażników. Z zadziwiającą precyzją podał godzinę, ale zaznaczył, że strzelano na lądzie. – Na moje ucho to brzmiało jak kaliber 12 – oznajmił ze znawstwem –

ale woda potęguje i zniekształca dźwięk. – Strażnicy pokiwali głowami na tę mądrość, piękna i nieświadoma fortelu Charlotte również.

Potem Joe zginął i Danny stracił resztę ochoty na zabijanie. A kiedy stracił Charlotte, zimowe wyprawy z Ketchumem na wyspę dobiegły końca.

Nie mógł jednak zapomnieć o Pointe au Baril Station, chociaż przestał tam jeździć. Rozstali się z Charlotte w cywilizowany sposób: zaproponowała nawet, że może dzielić z nim wyspę, mimo iż nie są już razem. Na przykład mógłby jeździć tam w lipcu, a ona w sierpniu, powiedziała. Bądź co bądź też dołożył się do remontu. Propozycja Charlotte była uczciwa, nie chodziło tylko o pieniądze.

Lecz to nie wizja Georgian Bay latem najbardziej pociągała Danny'ego. Uwielbiał bywać tam z nią – z Charlotte pojechałby wszędzie – ale gdy odeszła, ilekroć wspominał jezioro Huron, jego myśli niezmiennie wędrowały ku pokrytej śniegiem sośnie wygiętej przez wiatr. Jakże mógł prosić Charlotte, by pozwoliła mu popatrzeć na drzewko, wysmaganą wichurą sosnę, którą widział teraz tylko w wyobraźni?

I jak mógłby mieć drugie dziecko, po stracie Joego? Od razu zrozumiał, że utraci również Charlotte, gdyż niemal z miejsca uświadomił sobie, że jego serce nie zniosłoby utraty kolejnego dziecka; nie wytrzymałby tego lęku, ani strasznego zakończenia, już nigdy.

Charlotte też o tym wiedziała, jeszcze zanim zdobył się na odwagę, by otwarcie postawić sprawę.

– Nie oczekuję, że dotrzymasz słowa – powiedziała. – Nawet jeśli to koniec.

– To koniec, Charlotte – odparł. – Nie mógłbym.

Niedługo potem wyszła za mąż za miłego faceta; Danny znał go i lubił. Pracował w branży filmowej, był francuskim reżyserem mieszkającym w L.A., a do tego prawie

rówieśnikiem Charlotte. Urodziła dziecko, córeczkę, a obecnie spodziewała się drugiego, czyli będzie miała o jedno więcej, niż obiecał jej Danny.

Charlotte zatrzymała wyspę w Georgian Bay, ale wyprowadziła się z Toronto i mieszkała teraz w Los Angeles. Co roku przyjeżdżała we wrześniu na festiwal filmowy, co stanowiło dla Danny'ego dobrą okazję, aby wyjechać z miasta. Nadal rozmawiali przez telefon, zawsze z jej inicjatywy, Danny nie dzwonił nigdy, lecz oboje raczej oddychali z ulgą, że nie muszą się widywać.

Będąc w zaawansowanej ciąży, Charlotte Turner otrzymała Oscara za najlepszy scenariusz będący adaptacją *Na wschód od Bangor*, w marcu 2000 roku. Danny i jego tata patrzyli, jak odbiera statuetkę. (W niedzielne wieczory „Patrice" zawsze był zamknięty). Oglądać ją w telewizji – z Toronto, podczas gdy sama znajdowała się w L.A. – to przecież nie to samo co widzieć ją na żywo, prawda? Obaj życzyli jej jak najlepiej.

Jak pech, to pech. „Niefart, co?", powiedział Ketchum. Gdyby Joe zginął trzy miesiące później, Charlotte najprawdopodobniej zdążyłaby zajść w ciążę. Niefart to właściwe słowo.

Joe i ta dziewczyna chodzili razem w Boulder na niektóre zajęcia – ona też była na ostatnim roku – a ich wspólna wyprawa do Winter Park mogła być spóźnionym prezentem urodzinowym, na który zdecydował się Joe. Według ich wspólnych znajomych sypiali ze sobą dopiero od niedawna. Był to ich pierwszy samotny wyjazd do domku narciarskiego; Danny i jego ojciec pamiętali, że była tam w ostatnie święta, wraz z całą paczką innych znajomych, chłopców i dziewcząt o niesprecyzowanych (przynajmniej na oko) relacjach.

W końcu znajdowali się w wielkim domu i – jak podkreślała Charlotte, bardziej zbliżona wiekiem do Joego i jego przyjaciół niż Danny i Dominic – nie sposób było stwierdzić, kto z kim sypia. Przyjechała ich cała gromada i wszyscy sprawiali wrażenie bardzo zaprzyjaźnionych. Podczas ostatnich spędzonych w Kolorado świąt młodzi naznosili materace z pokoi gościnnych do salonu i spali pokotem, chłopcy i dziewczęta, przy kominku.

Pomimo panującego zamieszania i okupowania na zmianę łazienek – Danny i jego ojciec dziwili się, że niektóre dziewczęta kąpią się razem – obydwaj dostrzegli w tej dziewczynie coś szczególnego. Charlotte bynajmniej. Ot, drobiazg, krótszy niż mgnienie oka i zapewne bez znaczenia, lecz gdy Joe i dziewczyna zginęli razem, nie mogli o tym zapomnieć.

Była ładna i drobna, niemalże elfia, Joe zaś nie omieszkał poinformować ojca i dziadka, że poznał Meg na zajęciach rysowania z natury, na których pozowała.

– Nie wystarczy raz na nią spojrzeć… to za mało – opowiadał Ketchumowi Dominic, tuż po świętach.

Nie chodziło tylko o to, że jest ekshibicjonistką, choć była nią z całą pewnością; podobnie jak działo się w przypadku Katie, Danny z miejsca odkrył, że spoglądając na Meg, nie sposób odwrócić wzroku. Kto raz ją zobaczył, przepadał z kretesem.

– Ta dziewczyna umie odwrócić uwagę – powiedział Danny.

– Ta dziewczyna to kłopoty – odparł jego ojciec.

Dwaj starsi mężczyźni szli po schodach na piętro domu w Winter Park. Skrzydło, w którym mieściły się pokoje gościnne, tworzyło w stosunku do korytarza literę L, tak architektonicznie nietypową, że przechodząc obok, człowiek siłą rzeczy kierował tam wzrok, toteż incydent nie uszedł ich uwagi. Kto wie, może odwrócili głowy w reakcji

na piskliwy wybuch dziewczęcego śmiechu, będący w ich życiu nieczęstym zjawiskiem.

Meg i druga dziewczyna, owinięte w ręczniki, stanęły w progu jednego z pokoi gościnnych. Miały mokre włosy, pewnie dopiero się wykąpały; ciasno owinięte ręcznikami puściły się pędem w stronę innego pomieszczenia. Druga dziewczyna zniknęła za drzwiami, w chwili gdy zza zakrętu nieoczekiwanie wyłonił się Joe, dokładnie na wprost osamotnionej Meg. Wszystko rozegrało się tak błyskawicznie, że chłopak nie zauważył ojca i dziadka, podobnie jak Meg. Widziała tylko Joego, a on ją, i nim wśliznęła się do pokoju i zatrzasnęła za sobą drzwi, przy wtórze dobiegających ze środka wybuchów śmiechu, rozwinęła ręcznik.

– I zatrzęsła cycuszkami! – opowiadał później Ketchumowi Dominic.

– To się nazywa odwrócenie uwagi, ot co – skwitował wówczas Danny.

Charlotte nazwałaby to dygresją, lecz po wypadku, który zabił oboje młodych, owo „odwrócenie uwagi” zyskało zgoła nową wymowę.

Dlaczego na przykład nie mieli zapiętych pasów? Czy dziewczyna mu obciągała? Chyba tak; kiedy znaleziono ciało Joego, penis wisiał mu z rozpiętych spodni. Wyrzuciło go z samochodu i zginął na miejscu. Meg miała mniej szczęścia. Znaleziono ją żywą, z szyją wykręconą pod nienaturalnym kątem; tkwiła z głową wciśniętą między hamulec a pedał gazu. Zmarła w karetce.

Początkowo nikt nie miał wątpliwości, co skłoniło Joego i Meg do opuszczenia zajęć i wyjazdu do Winter Park, jednakże dwa dni ciągłych opadów śniegu nie stanowiły tu głównego powodu. Poza tym był to typowy śnieg schyłku marca, mokry i ciężki, co bynajmniej nie ułatwiało jazdy na nartach i ograniczało widoczność. A sądząc po tym, w jakim

stanie zostawili dom – zanim sprzątaczka podjęła próbę przywrócenia porządku – większość czasu spędzili w środku. Na nartach jeździli niewiele. Zapewne należało włączyć to w poczet młodzieńczych wybryków, ale młodzi wyraźnie postawili sobie za cel zaliczyć wszystkie łóżka w domu.

Oczywiście niektóre pytania pozostały bez odpowiedzi. Skoro nie przyjechali na narty, dlaczego zwlekali z powrotem aż do wieczora drugiego dnia? Joe wiedział, że w przypadku zagrożenia lawinowego po północy i przed świtem straż górska zamyka trasę 40 ponad przełęczą Berthoud; biorąc pod uwagę ciężki, mokry śnieg i sezon lawin, może wolał nie ryzykować porannego wyjazdu, gdy istniało prawdopodobieństwo, że droga ponad przełęczą jest jeszcze zasypana. Naturalnie mogli wyjechać przed południem, lecz być może uznali, że nie ma sensu opuszczać więcej niż dwóch dni.

Kiedy wyjeżdżali, w Winter Park sypał śnieg, lecz gdy jechali w stronę uczęszczanej I70, na trasie 40 prawie nie było ruchu. (Był wieczór w środku tygodnia; w większości szkół i uczelni ferie dobiegły końca). Musieli minąć pług na szczycie przełęczy Berthoud; pługowy pamiętał samochód Joego, ale widział tylko kierowcę. Pasażera nie zauważył, być może Meg była już zajęta czym innym. Ale Joe pomachał do niego, a on mu odmachał.

Po paru sekundach ujrzał drugi samochód: nadjeżdżał z przeciwnej strony, od I70, i mężczyzna uznał, że to jakiś „palant z Denver”, gdyż tamten gnał na złamanie karku, nie bacząc na trudne warunki. Zdaniem pługowego Joe jechał bezpiecznie, dostosowując prędkość do opadów i mokrego śniegu pod kołami. Tymczasem pojazd z Denver – jeżeli faktycznie stamtąd pochodził – ściął zakręt na pełnym gazie, ślizgając się na wszystkie strony. Pługowy błysnął światłami, ale tamten nie zwolnił.

– Mignęło mi tylko coś niebieskiego – zeznał. (Jaki to był odcień, zapytano). – Przez tę zamieć nie widziałem dokładnie – przyznał pługowy, ale Danny wyobrażał sobie zawsze, że pewnie był to niespotykany lakier, robiony na zamówienie, jak mawiał Max.

Tak czy inaczej, tajemniczy samochód zniknął, a pługowy nie widział kierowcy.

Następnie zjechał w dół, w stronę I70, i zobaczył przewrócone do góry kołami auto Joego. Nikt więcej tamtędy nie przejeżdżał, inaczej na pewno by go zauważył, toteż ślady kół mówiły same za siebie. Nadjeżdżający z przeciwka rozpędzony samochód wpadł na drugi pas, którym jechał Joe. Sądząc po śladach, Joe zrobił to samo, by uniknąć czołowego zderzenia. Pojazdy zamieniły się pasami, nie musnąwszy się nawet w przelocie.

Pługowy wiedział, że na mokrej, śliskiej drodze auto jadące pod górę ma większą szansę wyjść z poślizgu – wystarczy zdjąć nogę z gazu: samochód zwalnia i przestaje się ślizgać. Pojazd Joego naturalnie jechał dalej; uderzył w wielką zaspę, która skryła barierkę po spadzistej stronie przełęczy Berthoud, gdzie kierowcy nie lubią patrzeć w dół. Za barierką rozciąga się przepaść, lecz na pozór miękka i puszysta zaspa okazała się w istocie zamarznięta na kamień; auto Joego odbiło się od niej, wylądowało z powrotem na szosie i dachowało. Pługowy stwierdził bez cienia wątpliwości, że samochód zjechał na dachu z najbardziej stromej części trasy. Drzwi od strony kierowcy i pasażera otworzyły się na oścież.

Jak ujął to dziennikarz, przeprowadzający wywiad z Dannym Angelem?

– Czy nie uważa pan, że biorąc pod uwagę ostrożną jazdę pańskiego syna oraz to, że uniknął zderzenia z drugim samochodem, on i dziewczyna prawdopodobnie przeżyliby wypadek, gdyby mieli zapięte pasy?

– Prawdopodobnie – powtórzył Danny.

Policja stwierdziła, że kierowca drugiego samochodu był świadomy losu Joego i Meg; pomimo swej karkołomnej jazdy musiał wiedzieć, co się stało. Ale się nie zatrzymał, kimkolwiek był (była). Co najwyżej dodał gazu, tak przynajmniej twierdził pługowy – jakby chciał uciec z miejsca wypadku.

Danny i jego ojciec rzadko rozmawiali o samym wypadku, ale rzecz jasna Dominic wiedział, co myśli jego syn. Dla każdego człowieka obdarzonego wyobraźnią utrata dziecka jest związana ze szczególną klątwą. Dominic czuł, że jego kochany Daniel traci swego kochanego Joego raz, a potem kolejny i jeszcze jeden – być może zawsze w inny sposób. Danny zastanawiał się też, czy za kierownicą drugiego samochodu w ogóle ktoś siedział, gdyż nie miał wątpliwości, że był to błękitny mustang, który po latach namierzył wreszcie swoją ofiarę. Gdy zdarzył się wypadek na przełęczy Berthoud, minęło prawie czternaście lat od chwili tamtego „prawie” wypadku na tyłach Court Street w Iowa City, kiedy to Max – który widział mustanga więcej niż raz – a także sam ośmioletni wówczas Joe zaklinali się, że kierowcy nie było.

Błękitny mustang bez kierowcy miał swój cel. I tak jak Danny widział zawsze oczami wyobraźni przejechanego dwulatka w pieluszce na Iowa Avenue, tak pługowy z Winter Park zastał ciało Joego – martwe na drodze.

Rozdział 13
POCAŁUNKI WILKÓW

O wpół do ósmej w sobotni wieczór – był dwudziesty trzeci grudnia, ostatni dzień przed zamknięciem restauracji na święta – „Patrice” pękał w szwach. Arnaud dwoił się i troił, pozdrawiając gości przy każdym stoliku, jakby należeli do rodziny. Jego entuzjazm był zaraźliwy. Wszystkich poinformowano o zmianach nadchodzących w Nowym Roku; zmienić miał się nie tylko wystrój, lecz także menu.

– I ceny będą niższe! – informował na prawo i lewo Arnaud, wymieniając całusy i uściski rąk. – Nawet nazwa się zmieni! Koniec z „Patrice” – obwieszczał, żeglując od stołu do stołu. – Nowa nazwa jest jedyna w swoim rodzaju. Z pieprzykiem!

– Nowa knajpa nazywa się Pieprzyk? – zapytał podejrzliwie Ketchum. Coraz gorzej słyszał, zwłaszcza na prawe ucho; pech chciał, że Francuz stał po jego prawej stronie. Panował niemożliwy ścisk i wszyscy gadali jeden przez drugiego.

Za dużo strzałów, pomyślał Danny Angel. Ketchum miał tak zwane ucho artylerzysty, ale pisarz wiedział, że piła łańcuchowa też zrobiła swoje, szkodząc obojgu uszom. Raczej nie miało znaczenia, do którego ucha zwróciłby się Patrice.

– Nie, nie: nie „Pieprzyk”, tylko „Pocałunek Wilka”! – wrzasnął Arnaud, żeby nie było wątpliwości.

Danny i flisak siedzieli przy oknie przy stole dla dwóch osób, z nieco ograniczonym przez matową szybę widokiem na Yonge Street. Gdy restaurator odpłynął do następnego stolika, Ketchum utkwił w Dannym świdrujące spojrzenie.

– Słyszałem, co powiedział żabojad – oznajmił. – Pocałunek pieprzonego wilka! W mordę… tylko pisarz mógł coś takiego wymyślić.

– Nie patrz na mnie – odpowiedział Danny. – To był pomysł Silvestra, a Patrice'owi się spodobało. Ojciec też nie miał z tym nic wspólnego.

– Gówno prawda. Pchacie się pod muszkę, ot co.

– Z powodu nazwy restauracji? Nie gadaj bzdur, Ketchum. W ten sposób kowboj na pewno nas nie namierzy.

– Carl nadal was szuka, tylko tyle ci powiem, Danny. Naprawdę nie rozumiem, dlaczego chcecie mu ułatwić sprawę.

Danny nic na to nie odpowiedział; wydawało mu się nie do pomyślenia, żeby Carl skojarzył „Pocałunek Wilka” z nazwiskiem Baciagalupo. Emerytowany szeryf nie znał włoskiego!

– Widywałem wilki. Ich ofiary też znajdowałem – podjął stary flisak. – Powiem ci, jak wygląda pocałunek wilka. Wilk rozszarpuje gardło. Wataha upatrzy sobie gnojka, zapędza go w kozi róg i zmusza, by stanął do nich przodem, a potem jeden rzuca się ofierze do gardła. Pocałunki wilków to nic przyjemnego!

– Na co masz ochotę? – zapytał Danny, żeby zmienić temat.

– Kurczę, sam nie wiem – odpowiedział Ketchum. Nosił okulary do czytania, kto by pomyślał!, ale jakoś nie nadawały mu uczonego wyglądu, być może za sprawą zbyt widocznej blizny na czole, po patelni o średnicy dwudziestu centymetrów, a także nastroszonej brody. W kraciastej koszuli i wełnianej kamizeli nie wyglądał ani trochę na mieszczucha, ani tym bardziej na bywalca wykwintnego lokalu. – Myślałem o grillowanych kotletach jagnięcych lub o cielęcej wątróbce z frytkami jukońskimi. – Co to są, kurwa, frytki jukońskie? – podniósł wzrok na Danny'ego.

– Duże ziemniaki – wyjaśnił Danny. – Gatunek jukon gold, krojone wzdłuż.

– Ten cały *côte de boeuf* też zwrócił moją uwagę.

– *Côte de boeuf* to porcja dla dwóch osób.

– Właśnie dlatego zwrócił moją uwagę – odparł Ketchum. Pił piwo z kija, ale przerzucił się na butelkowe, bardziej mu smakowało. – Rany koguta! – krzyknął nagle. – Mają tu wino, które kosztuje sto sześćdziesiąt osiem dolarów!

Danny zobaczył, że chodzi mu o barolo massolino z Piemontu.

– Bierzemy – powiedział.

– Ty stawiasz – oznajmił Ketchum.

W kuchni jak zwykle wrzało niczym w ulu. Kucharz pomagał Scottowi przy ptysiach serwowanych z lodami karmelowymi oraz sosem z czekolady deserowej; przygotowywał też i grzanki *rouille* do zupy rybnej Joyce i Kristine. Wcześniej musiał zrobić tagliatelle do eskalopków cielęcych, makaron podadzą dziś też z kaczką *confit* à la Silvestro. Dominic uporał się z tagliatelle na długo, zanim w restauracji (i kuchni) zapanował gwar; zajął się również odparowywaniem czerwonego wina z rozmarynem.

Tego sobotniego wieczoru w kuchni było głośniej niż zazwyczaj, gdyż Dorothea, nowa pomywaczka, miała gips na prawym nadgarstku oraz kciuku, i co rusz upuszczała rond le. Robiono zakłady, co zamówi Ketchum: Silvestro stawiał na *cassoulet*, ale Dominic twierdził, iż żaden drwal dobrowolnie nie zje fasoli – pod warunkiem że będzie miał do wyboru coś innego. Uważał, że Ketchum zdecyduje się na *côte de boeuf* dla dwóch osób; Joyce i Kristine powiedziały, że stary flisak zamówi pewnie kotlety jagnięce i wątróbkę.

– Albo *côte de boeuf* zje na spółkę z Danielem, a do tego weźmie jeszcze kotlety lub wątróbkę – zawyrokował Dominic.

Dotyk ciepłej rączki patelni z czerwonym winem nieco go rozpraszał, z niewiadomych powodów. Ostatnimi czasy zauważył, że dawne wspomnienia stały się wyraźniejsze – innymi słowy, bardziej żywe – od bieżących, co w zasadzie było całkiem możliwe. Przypomniał sobie na przykład, że Rosie powiedziała coś do Ketchuma tuż przed tym, lub tuż po tym, jak we troje wyszli na lód. Ale czy Ketchum powiedział najpierw „Podaj mi rękę”? Tak mu się zdawało, ale nie był pewien.

Rosie odrzekła z całą pewnością: „Nie tę rękę… to nie ta ręka”. Szybko oddaliła się od Ketchuma, lecz czy było to przed, czy może podczas cholernych dosedosów? Dominic pamiętał, a zarazem za nic nie mógł sobie przypomnieć, a to wszystko dlatego, że był bardziej pijany niż Rosie i Ketchum.

Tak czy siak, o co chodziło z tą niewłaściwą ręką? Nie dawało mu to spokoju, ale nie chciał pytać Ketchuma. Zresztą, myślał sobie Dominic, jakim cudem osiemdziesięciotrzyletni flisak mógłby pamiętać wydarzenia sprzed tylu lat? W końcu nadal nie wylewał za kołnierz!

Jeden z młodszych kelnerów wyraził przypuszczenie, że drwal nie zamówi nic. Wypił już trzy piwa z kija i dwa z butelki; nie było szans, żeby jeszcze zmieścił kolację. Ale młody kelner nie znał Ketchuma.

Do kuchni wpadł Patrice.

– *O la, la*, Dominicu – oznajmił. – A cóż to za okazja? Danny zamówił barolo massolino!

– Nie ma obaw – odpowiedział kucharz. – Stać go, a Ketchum wytrąbi większość butelki, masz to jak w banku.

Był to ich ostatni wieczór w kuchni przed długim urlopem; uwijali się jak w ukropie, ale humory dopisywały

wszystkim. Tylko Dominic jakoś nie mógł się skupić i co rusz odruchowo zaciskał palce na znajomej rączce ciepłej patelni. Co się ze mną dzieje, myślał. O co tu chodzi?

W jego sypialni na Cluny Drive tablice korkowe z niezliczoną liczbą zdjęć odwracały uwagę (i myśli) od żeliwnej patelni o średnicy dwudziestu centymetrów. Patelnia ta zjeździła z nim kilka stanów, a także przekroczyła granicę: bezwzględnie zasłużyła na swoje miejsce na ścianie, choć jej legendarna moc obronna (w myśl dawnych przypuszczeń Carmelli) zyskała już zapewne czysto symboliczny wymiar.

Żeliwna patelnia o średnicy dwudziestu centymetrów wisiała sobie tuż przy drzwiach w sypialni Dominica i prawie nie rzucała się w oczy. Dlaczego myślał o niej tak intensywnie, przynajmniej od chwili gdy Ketchum (jak zwykle znienacka) zjawił się na święta?

Dominic nie wiedział, że Danny też ostatnio myśli często o starej patelni. Oparła się działaniu czasu, trwała w niezmienionej postaci. Cholerny kawał żelastwa wisiał sobie na ścianie w pokoju ojca i wiecznie o czymś pisarzowi przypominał, tylko o czym?

Jasne, zabił nią Indiankę Jane, zmuszając ich tym samym do ucieczki. Tą samą patelnią Dominic stuknął niedźwiedzia, tak przynajmniej głosiła legenda. W istocie rąbnął nią Ketchuma, nie zwierzę. Ale Ketchum był twardy, nie dał się zabić. („Tylko Ketchum może zabić Ketchuma”, powiedział kiedyś ojciec Danny'ego).

O tym też myśleli: nawet w wieku osiemdziesięciu trzech lat tylko Ketchum mógł zabić Ketchuma.

Młody kelner wrócił do kuchni.

– Wielkolud życzy sobie *côte de boeuf* dla dwóch osób – oznajmił z nabożeństwem. Dominic zmusił się do uśmiechu; uśmiechnął się też, kiedy Patrice wpadł ponownie do kuchni, aby go poinformować, że Daniel zamówił drugą

butelkę barolo massolino. Kucharz wiedział, że nawet *côte de boeuf* dla dwóch osób i niezliczone butelki Barolo nie zabiją Ketchuma. Mógł to zrobić Ketchum, i tylko on.

W kuchni panował upał, toteż uchylili tylne drzwi, chociaż ziąb był taki, że porywisty wiatr co chwila otwierał je na oścież. Crown's Lane, alejka biegnąca za restauracją, stanowiła w niepogodę mekkę bezdomnych; rozgrzane powietrze z wentylatora buchało w alejkę, dając trochę ciepła – a do tego rozsiewając miłe zapachy. Czasem jakiś bezdomny stawał w progu, w nadziei na gorący posiłek.

Kucharz nigdy nie pamiętał, czy paliła Joyce, czy może Kristine, ale gdy jedna z nich wyszła kiedyś na papierosa, wygłodniały bezdomny za drzwiami napędził jej strachu. Od tamtej pory nie zapominano o biedakach spragnionych ciepła i strawy, którzy wystawali przy tylnym wejściu. Przyjmowano tamtędy dostawy, ale wieczorami nigdy nie było dostaw.

Dominic raz jeszcze poszedł domknąć otwarte drzwi i zobaczył jednookiego Pedra. Pedro był ulubieńcem personelu, ponieważ nigdy nie omieszkał pochwalić kucharza (lub kucharzy) za potrawę, którą go poczęstowano. Naprawdę nazywał się Ramsay Farnham, ale został wydziedziczony przez rodzinę Farnhamów, szanowany miejscowy ród mecenasów sztuki. Ramsay, koło pięćdziesiątki, nie raz przysporzył krewniakom wstydu. Czarę goryczy przelała konferencja prasowa, zwołana naprędce przy okazji mało ważnego wydarzenia kulturalnego, podczas której oznajmił, że zapisze wszystko lokalnemu hospicjum dla chorych na AIDS. Poinformował, że kończy spisywać wspomnienia, w których wyjaśnia, dlaczego częściowo się oślepił. Wyznał, że przez całe życie pożądał matki i choć nigdy nie poszedł z nią do łóżka – ani nie zabił ojca – miał na to szczerą ochotę. Dlatego wyłupił

sobie tylko jedno oko, lewe, i zmienił imię na Pedro – a nie na Edyp.

Nikt nie wiedział, czy opaska skrywa pusty oczodół, czy może nienaruszone lewe oko, ani dlaczego wybrał imię Pedro. Był czystszy niż większość bezdomnych; rodzice go wyklęli, ale może znalazł się jakiś współczujący krewniak, który pozwalał mu czasem na kąpiel i przepierkę. Oczywiście miał nierówno pod sufitem, ale otrzymał świetne wykształcenie i umiał się nienagannie wysławiać. Co do rzeczonych wspomnień, albo chwilowo cierpiał na brak weny, albo też nie napisał ani słowa.

– Dobry wieczór, Dominicu – odezwał się jednooki Pedro, kiedy kucharz podszedł do drzwi.

– Jak się masz, Pedro? Może dasz się namówić na ciepłą przekąskę?

– Z ust mi to wyjąłeś. Być może jestem w błędzie, jednakże mój nos podpowiada, że serwujecie dzisiaj coś spoza menu. Czyżby niezrównany Silvestro raz jeszcze postanowił nas olśnić swoim *cassoulet?*

Podpowiedzi nosa Pedra zawsze okazywały się słuszne. Kucharz nałożył bezdomnemu hojną porcję *cassoulet*, ostrzegając go, żeby się nie poparzył gorącą miską z fasolą. W rewanżu Pedro zaproponował, że przytrzyma nogą drzwi, żeby się nie otwierały na oścież.

– To prawdziwy zaszczyt móc wdychać aromaty kuchni Patrice'a, niezmącone przez wentylator – powiedział.

– Niezmącone – powtórzył pod nosem kucharz, a następnie zwrócił się do Pedra: – Restauracja będzie się inaczej nazywać po świętach.

– „Po Świętach” to doprawdy niezwykła nazwa jak na lokal, Dominicu – odparł w zamyśleniu mężczyzna. – W końcu nie wszyscy obchodzą święta. À propos, kaczka paluszki lizać, a kiełbasa… marzenie! – dodał.

– Nie, nie, nie będziemy się nazywać „Po Świętach”! – zawołał kucharz. – Nowa nazwa to „Pocałunek Wilka”. – Bezdomny przestał jeść i utkwił w nim wzrok. – To nie zależało ode mnie – usprawiedliwił się odruchowo Dominic.

– Chyba żartujesz – powiedział Pedro. – Przecież to słynny film pornograficzny. Jeden z najgorszych filmów pornograficznych, jakie widziałem, ale słynny. Taki właśnie nosi tytuł.

– Na pewno coś pomyliłeś, Pedro – odparł Dominic. – Może po włosku brzmi to lepiej – dodał bez sensu.

– Kiedy to nie włoski film pornograficzny! – krzyknął bezdomny. Podał Dominicowi napoczętą kolację, miska z fasolą przesunęła się po talerzu z kaczką, w przelocie parząc kucharzowi kciuki.

– „Pocałunek Wilka” to nie film pornograficzny, wykluczone – protestował Dominic, ale Pedro już wycofywał się w aleję, kręcąc kudłatą głową i trzęsąc skołtunioną brodą.

– Zaraz zwymiotuję – burczał. – W życiu nie zapomnę tego filmu, był obrzydliwy! I wcale nie o seksie z wilkami…

– Nie chcę wiedzieć o czym! – wrzasnął kucharz. – Na pewno się mylisz! – krzyknął za bezdomnym, który znikał w ciemnościach.

– Pewnych rzeczy nie da się zapomnieć, Dominicu! – odkrzyknął Pedro, już poza zasięgiem jego wzroku. – Marzenia o kazirodztwie, pożądanie matki… zakazany seks oralny! – Pomimo wiatru słowa szaleńca zabrzmiały jak dzwon, na przekór buczeniu wentylatora.

– Nie smakowało mu? – spytał Silvestro na widok prawie nietkniętego talerza.

– Nazwa wyprowadziła go z równowagi – skwitował wymijająco Dominic, ale uznał to za zły znak, nawet jeśli Pedro coś pokręcił.

Jak się okazało, ani Dominic, ani jego syn nie znaleźli nic, co świadczyłoby o istnieniu filmu pornograficznego o tym tytule. Nawet Ketchum go nie widział, a on podobno widział wszystko – przynajmniej to, co było w tej dziedzinie do obejrzenia w New Hampshire.

– Raczej zapamiętałbym ten tytuł, Ziółko – powiedział. – Ba, wysłałbym ci kasetę. Ale o co w nim właściwie chodzi?

– Nie wiem, o co w nim chodzi… i nie chcę wiedzieć! – krzyknął kucharz. – Chcę dowiedzieć się tylko, czy istnieje!

– No i co się pienisz? – rzucił Ketchum.

– Wszystko wskazuje na to, że nie istnieje, przynajmniej na razie – powiedział Danny. – Tatku, przecież sam wiesz, że Pedro jest szurnięty. Prawda?

– Ma się rozumieć, że wiem, Danielu! – Kucharz nie mógł się uspokoić. – Biedny Pedro był taki pewny swego… że prawie mu uwierzyłem.

W przededniu przerwy świątecznej – i zmiany nazwy – Danny i Ketchum zamówili trzy butelki Barolo Massolino. Zgodnie z zapowiedzią kucharza Ketchum wypił większość wina – a do tego skrzętnie liczył.

– Możesz sobie mówić, że pijesz dwa piwa, a do tego jeden lub dwa kieliszki czerwonego wina do obiadu, Danny, ale dziś wypiłeś cztery kieliszki. Nawet trzy kieliszki po dwóch piwach to dużo jak na takie chuchro jak ty. – W jego słowach nie było cienia zarzutu, po prostu stwierdził fakt, ale Danny się obruszył.

– Masz zamiar mi wyliczać?

– Nie bądź taki, Danny. Po prostu wolę mieć na was oko.

Ketchumowi nie podobało się, że Danny nie zamyka drzwi na klucz po powrocie z kolacji. Dominic przeważnie wracał później i nie chciało mu się szukać kluczy. Wolał zamykać drzwi po powrocie do domu, przed pójściem spać.

– Przecież od wina robisz się senny, prawda? – drążył flisak. – Rozumiem, że przeważnie zasypiasz przy otwartych drzwiach, przed powrotem ojca, tak?

– No i co się pienisz? – odpowiedział mu Danny.

Tłumaczyli mu, że po prostu taki mają zwyczaj, i już. Nie raz zatrzaskiwali się od zewnątrz, mieli tego powyżej uszu. Obecnie zostawiali dom otwarty; ten, kto ostatni kładł się spać, zamykał cholerne drzwi na klucz.

– Martwi mnie to czerwone wino, Danny – wyznał Ketchum. – Po czerwonym winie zasypiasz jak suseł i nic nie słyszysz.

– Jak piję tylko piwo, nie śpię całą noc.

– To mi się bardziej podoba.

Jednakże problem nie tkwił w czerwonym winie. Owszem, Danny wypijał czasem więcej niż kieliszek lub dwa – i robił się od tego senny. Ale wino stanowiło tylko jeden z czynników, a nazwa lokalu nie miała tu nic do rzeczy. Problem polegał na tym, że po latach wodzenia kowboja za nos – i zmianach nazwiska, które miały okazać się bezcelowe – Ketchum po prostu był śledzony.

Kowboj śledził Ketchuma już przedtem, ale nigdy nic nie wskórał. Emerytowany szeryf dwukrotnie pojechał za nim do Quebecu, a jednej zimy dotarł nawet na Pointe au Baril Station, ale stwierdził tylko, że flisak biwakuje z jakimś wieśniakiem z Ontario. Nie miał pojęcia, kim jest Danny ani czym się zajmuje; przyszło mu do głowy, że może Ketchum jest gejem, a młodszy mężczyzna jego kochankiem! Mały pokraka z kulawą nogą nie zmaterializował się ani razu, toteż Carl stopniowo dał sobie spokój.

Wszystko miało się zmienić za sprawą jednego słowa – oraz tego, że Ketchum i kowboj zmieniali opony w tym samym warsztacie. Do opon, zwłaszcza zimowych,

przywiązywano w New Hampshire dużą wagę. Warsztat nosił nazwę Twitchell, lecz brudasem, z którym załatwiało się wszystkie sprawy, był młody Kanadyjczyk o nazwisku Croteau.

– Czy to aby nie rzęch Ketchuma? – spytał Carl. Było to jakiś tydzień przed Bożym Narodzeniem; furgonetka Ketchuma stała na podjeździe warsztatu w oczekiwaniu na zmianę opon.

– Uhm – potwierdził Croteau. Kowboj zobaczył, że Kanadyjczyk zdejmuje opony z kolcami i zastępuje je zwykłymi zimowymi.

– Ketchum dostał cynk, że zanosi się na łagodną zimę? – zapytał Carl.

– Nie – odpowiedział Croteau. – Na autostradzie kolce mu niepotrzebne, a do Toronto jedzie się głównie autostradą.

– Toronto – powtórzył kowboj, ale to jeszcze nie było słowo, które miało zmienić wszystko.

– Po świętach z powrotem zakłada te z kolcami – wyjaśnił Croteau – ale na autostradzie wystarczą mu zwykłe zimówki.

– Ketchum jeździ na święta do Toronto? – zapytał Carl.

– Odkąd sięgam pamięcią – odparł Croteau, czyli, zdaniem kowboja, niezbyt długo. Mechanik miał niewiele ponad dwadzieścia lat, a opony zaczął zmieniać dopiero po ukończeniu szkoły średniej.

– Ma w Toronto panienkę? – drążył dalej Carl. – Albo faceta?

– Nie – odpowiedział Croteau. – Ketchum ma tam rodzinę.

I to słowo przesądziło sprawę. Rodzina. Szeryf wiedział, że Ketchum nie ma rodziny, a już na pewno nie w Kanadzie. Rodzinę stracił; wszyscy wiedzieli, że z dziećmi nie utrzymuje kontaktu. Carl wiedział też, że dzieci Ketchuma mieszkają w New Hampshire. Były już dorosłe i miały

własne dzieci, ale nie opuściły Coos, po prostu zerwały stosunki z ojcem.

– Ketchum nie może mieć w Toronto rodziny – odpowiedział tępemu Kanadyjczykowi Carl.

– Ale tak twierdzi… że ma w Toronto rodzinę – upierał się Croteau.

Danny nie krył później wzruszenia z tego powodu, że stary flisak uważał ich za rodzinę, lecz właśnie to zdradziło ich przed Carlem. Zdaniem kowboja jedyną osobą, której Ketchum był oddany bezwzględnie – i z którą łączyła go zażyłość na miarę więzów krwi – był kucharz. Śledzenie furgonetki Ketchuma też nie sprawiło mu większych trudności; paliła mnóstwo ropy i przemieszczała się w chmurze czarnego dymu z rury wydechowej, podczas gdy Carl przezornie wypożyczył anonimowego SUV-a z zimowymi oponami. Wjechali do Kanady przez Buffalo; samochód kowboja ginął na tle setki podobnych. Bądź co bądź Carl był kiedyś policjantem, umiał niepostrzeżenie śledzić ludzi.

Wiedział też, jak obserwować dom na Cluny Drive, sam będąc przy tym niezauważony. Nie minęło wiele czasu, jak poznał wszystkie zwyczaje jego mieszkańców, w tym Ketchuma. Oczywiście wiedział, że flisak przyjechał tylko w odwiedziny i choć na pewno kusiło go, żeby kropnąć wszystkich trzech, wolał nie ryzykować; nie było dla niego tajemnicą, że Ketchum ma broń. Wiedział też, że dom na Cluny Drive stoi otwarty przez cały dzień, a także wieczorem – dopóki ostatni z mieszkańców, przeważnie kucharz, nie zamknie go na noc.

Bez trudu dostał się do środka i rozeznał w sytuacji; dzięki temu wiedział, kto gdzie śpi. Istniało jednak coś, o czym nie miał pojęcia.

Jedyną bronią w domu była ta znajdująca się w pokoju gościnnym, zajmowanym obecnie przez Ketchuma. Kowboj

zdumiał się nieco na jej widok, był to bowiem młodzieżowy winchester kaliber 20. Model dla zasmarkanego gówniarza, pomyślał Carl.

No bo skąd miał wiedzieć, że winchester ranger był świątecznym prezentem dla Danny'ego? Stary flisak nie zawracał sobie głowy zapakowaniem, wepchnął tylko załadowaną strzelbę pod łóżko, dokładnie tam, gdzie ukryłby ją kowboj. Carlowi nie przyszło do głowy, że winchester nie pojedzie z Ketchumem, gdy ten wyruszy wreszcie w drogę powrotną. Kowboj poczeka na tę chwilę, a potem podejmie stosowne kroki.

Doszedł do wniosku, że ma do wyboru kilka możliwości. Otworzył zamknięte na klucz wyjście pożarowe w gabinecie na trzecim piętrze; jeśli pisarz tego nie zauważy, wejdzie do domu tamtędy. Jeśli jednak Danny ponownie zamknie je na klucz, Carl wśliznie się do środka frontowymi drzwiami – wieczorem, pod nieobecność gospodarzy. Zauważył, że Danny nie wraca po kolacji na górę. Działo się to z powodu piwa i czerwonego piwa; po wypiciu alkoholu ani mu było w głowie siedzieć sam na sam z tym, co napisał.

Bez względu na to, którędy Carl wejdzie do domu, pokój na trzecim piętrze stanowił wymarzoną kryjówkę; grunt, żeby się nie przemieszczać, przynajmniej dopóki kucharz i jego syn nie zasną. Zwrócił uwagę na skrzypiącą podłogę; skrzypiały też schody prowadzące na drugie piętro. Ale on będzie chodził w skarpetkach. Postanowił, że najpierw zabije kucharza – a potem syna. Żeliwna patelnia o średnicy dwudziestu centymetrów, zawieszona w sypialni kucharza, nie uszła jego uwagi; oczywiście znał jej historię od Pam. Wyobrażał sobie, jaka to będzie frajda stać w pokoju kucharza, kiedy już zabije gnojka, i czekać, aż smarkacz przybiegnie na odsiecz z głupią patelnią! Taki scenariusz bardzo mu odpowiadał. Grunt, żeby wykończyć obu i przekroczyć amerykańską granicę, nim ktoś odkryje

zwłoki. Przy odrobinie szczęścia kowboj zdąży do tego czasu wrócić do domu.

Solą w oku była mu meksykańska gosposia, która zjawiała się w domu o zgoła niespodziewanych porach, w przeciwieństwie do kucharza i jego równie przewidywalnego syna, pisarza. W porównaniu z Lupitą, która nieoczekiwanie wyrastała spod ziemi ze stosem prania lub przypuszczała atak na kuchnię, nawet harmonogram Ketchuma był stosunkowo łatwy do rozpracowania. Wychodził codziennie na parę godzin na zajęcia taekwondo na Yonge Street. Siłownia nazywała się Champion Centre i Ketchum odkrył ją przypadkowo przed paru laty; głównym instruktorem był tam dawny zapaśnik, a obecnie bokser i kick bokser z Iranu. Ketchum twierdził, że musi popracować nad swoimi „kopnięciami”.

– Boże jedyny – jęknął Dominic. – Na co osiemdziesięciotrzylatkowi znajomość sztuki walki?

– Nie sztuki, ale sztuk, Ziółko – wyjaśnił Ketchum. – Boks, kickboxing… i poniekąd zapasy. Chcę nauczyć się nowych sposobów, jak powalić gościa na ziemię. Kiedy już leży, wiem, co z nim zrobić.

– Ale po co, Ketchum? W ilu jeszcze bijatykach chcesz wziąć udział?

– Ha, no właśnie. Nikt nie może tego przewidzieć. Ale przezorny zawsze ubezpieczony!

– Boże jedyny – powtórzył kucharz.

Danny zawsze odnosił wrażenie, że Ketchum szykuje się na wojnę. Jego świąteczny prezent, którym Danny zabił trzy jelenie, stanowił tylko potwierdzenie tej teorii.

– Na co mi strzelba, Ketchum? – zapytał.

– Żaden z ciebie myśliwy, Danny, muszę ci to oddać: polowania masz pewnie z głowy – zaczął Ketchum. – Ale w każdym domu powinna być strzelba.

– W każdym domu – powtórzył Danny.

– Niech ci będzie, zwłaszcza w tym – ustąpił Ketchum. – Musisz mieć pod ręką łatwą w obsłudze, szybką broń, na której w razie czego będziesz mógł polegać.

– W razie czego – powtórzył Dominic, rozkładając ręce.

– Bierz i nie gadaj, Danny – uciął flisak. – Pilnuj, żeby zawsze była załadowana, i trzymaj ją pod łóżkiem, na wszelki wypadek.

Danny wiedział, że dwa pierwsze naboje to breneki, a trzeci kula. Przyjął broń, nie tylko po to, by udobruchać Ketchuma; wiedział, że zdenerwuje tym ojca. Umiał bezbłędnie ich na siebie napuszczać.

– Boże jedyny – zaczął na nowo kucharz. – Nie zmrużę oka, mając w domu załadowaną broń!

– Dla mnie bomba – oświadczył Ketchum. – Byłoby super, gdybyś w ogóle nie spał.

Winchester ranger miał kolbę i łoże z drewna brzozowego oraz gumową stopkę, którą pisarz oparł sobie o bark. Danny musiał przyznać, że utarczki ojca z Ketchumem bawiły go co niemiara.

– A niech cię licho, Ketchum – narzekał kucharz. – Którejś nocy pójdę się wysikać i rodzony syn położy mnie trupem, biorąc za kowboja!

Danny wybuchnął śmiechem.

– Dajcie spokój, są święta! Niech dla odmiany będą wesołe – zaproponował.

Ale Ketchumowi nie było do śmiechu.

– Nie bój się, Ziółko – powiedział. – Ja tylko chcę, żebyście, kurde, byli bezpieczni!

„Inuksuk”, mówił czasem Danny przez sen. Charlotte nauczyła go wymawiać indiańskie słowo, a może w

Kanadzie było to słowo inuickie? Albo inuckie; coś takiego też obiło mu się o uszy. Słyszał, jak Charlotte wymawiała je wielokrotnie.

Obudziwszy się rankiem po świętach, zaczął rozmyślać, czy nie zdjąć zdjęcia Charlotte z tablicy nad łóżkiem, albo wymienić je na inne. Na rzeczonym zdjęciu stała, ociekając wodą, w kostiumie kąpielowym, opleciona ramionami; uśmiechała się, ale było widać, że marznie. W oddali widniała przystań na wyspie – Charlotte dopiero wyszła z jeziora – lecz bliżej jej wysokiej postaci, pomiędzy nią a przystanią, znajdował się nieprzenikniony *inuksuk*. Rzeźba z kamieni miała poniekąd kształt człowieka, a zarazem wcale nie była do niego podobna. Z daleka mogła uchodzić za punkt orientacyjny; niektóre *inuksuit* temu właśnie służyły, ale w tym wypadku było inaczej.

Każda noga składała się z dwóch dużych kamieni ustawionych na sobie, rodzaj półki lub blatu tworzył biodra bądź też talię postaci, a cztery mniejsze kamienie – masywny tułów. Istota, o ile w ogóle mogła być mowa o ludzkiej postaci, miała niedorzecznie krótkie ręce, nieproporcjonalne na tle zbyt długich nóg. Głowa, jeśli to miała być głowa, nasuwała skojarzenie z włosami wiecznie rozwianymi przez wiatr. Kamienna figura sprawiała wrażenie równie karłowatej jak wysmagane przez wiatr sosny na wyspach Georgian Bay. Sięgała Charlotte zaledwie do bioder, a na zdjęciu nad łóżkiem Danny'ego *inuksuk* wyglądał na jeszcze niższego niż w rzeczywistości, ale zarazem wydawał się niezniszczalny; być może dlatego myśl o nim towarzyszyła Danny'emu tuż po przebudzeniu.

Na wyspach znajdowało się całe mnóstwo *inuksuit* – a na trasie 69, między Parry Sound a Pointe au Baril, gdzie widniał znak PIERWSZY NARÓD, TERYTORIUM ODŻIBWEJÓW, było ich jeszcze więcej. W pobliżu letnich domków wokół Moonlight Bay, gdzie Danny popłynął z

Charlotte pewnego upalnego dnia, niedaleko rezerwatu Shawanaga, też zobaczyli imponujące *inuksuit.*

Czym one właściwie były, zastanawiał się pisarz, leżąc w łóżku w poświąteczny ranek. Nawet Charlotte nie wiedziała, kto zbudował inuksuka na jej wyspie.

Latem, gdy remontowali dwa domki sypialne, w ekipie Andy'ego Granta był stolarz z rezerwatu Shawanaga. Przy innej okazji, przypomniał sobie Danny, jeden z mężczyzn, którzy przywieźli na wyspę butle z gazem, miał łódź o nazwie „Pierwszy naród". Powiedział Danny'emu, że jest Odżibwejem czystej krwi, lecz Charlotte stwierdziła później, że to „wątpliwe"; Danny nie zapytał, dlaczego tak myślała.

– Może *inuksuk jest dziełem twojego* dziadka – wyraził przypuszczenie. Albo, myślał, Indianie pracujący przez lata na wyspie odbudowywali posąg, ilekroć się rozpadał.

– Te posągi się nie rozpadają – stwierdziła Charlotte. – Dziadek nie miał z nim nic wspólnego. To dzieło Indian: nigdy się nie rozpadnie.

– Ale co właściwie znaczy? – spytał Danny.

– Symbolizuje korzenie, szacunek, wytrwałość – rzuciła ogólnikowo Charlotte, lecz dla pisarza nie była to wystarczająca odpowiedź; dziwiło go, że Charlotte zadowoliła się tak oględnym wyjaśnieniem.

Ketchum ujął to jeszcze inaczej.

– Psiakrew – powiedział. – Zależy, którego Indiańca spytasz. (Jego zdaniem *inuksuit* to tylko bezużyteczna kupa kamieni).

Danny zajrzał pod łóżko i popatrzył na winchestera. W myśl wskazówek Ketchuma załadowana strzelba leżała w otwartym futerale; według niego, „każdy dureń usłyszy zamek".

Nie ulegało wątpliwości, jakiego durnia ma na myśli – osiemdziesięciotrzyletniego emerytowanego szeryfa z pieprzonego New Hampshire!

– A bezpiecznik? – spytał Danny. – Ma być odbezpieczona? – Odbezpieczanie też nie odbywało się bezszelestnie, ale Ketchum kazał zabezpieczyć broń.

Powiedział tak: „Jeśli kowboj to usłyszy, to znaczy, że jest za blisko”.

Danny najpierw spojrzał na zdjęcie Charlotte z inuksukiem za plecami, po czym przeniósł wzrok na strzelbę pod łóżkiem. Być może zarówno kamienny posąg, jak i winchester ranger symbolizowały ochronę – ten drugi bardziej konkretną. Nie myślał o broni z niechęcią, lecz odnosił wrażenie, że każda Gwiazdka stanowi punkt wyjścia dla ponurej czynności – czasem za sprawą Ketchuma (vide strzelba), a czasem Danny'ego lub jego ojca. W tę Wigilię palma pierwszeństwa przypadła Dominicowi.

– Pomyślcie tylko – zwrócił się do syna i Ketchuma. – Gdyby Joe żył, miałby trzydzieści pięć lat. I pewnie dwójkę własnych dzieci.

– Byłby starszy niż Charlotte, kiedy ją poznałem – skwapliwie przyłączył się Danny.

– Gwoli ścisłości, Danielu – odpowiedział mu ojciec. – Joe byłby tylko dziesięć lat młodszy niż ty… znaczy, w chwili jego śmierci.

– Jezu! Czy możecie się uspokoić? – krzyknął Ketchum. – A gdyby żyła Indianka Jane, miałaby osiemdziesiąt, kurwa, osiem! I wątpię, czy chciałaby z nami gadać, na tym poziomie na pewno nie!

Ale zaraz następnego dnia podarował Danny'emu strzelbę kaliber 20 – ściśle w duchu rozmowy z dnia poprzedniego – na co Dominic, pozornie bez związku, poskarżył się na „ponure” dedykacje w książkach Daniela.

Faktycznie, dedykacja w *Dziecku na drodze* brzmiała (jak łatwo przewidzieć) następująco: „Mojemu synowi Joemu – in memoriam”. Była to druga dedykacja dla Joego i w sumie trzecie „in memoriam”. Dominic uważał to za przygnębiające.

– Nic nie poradzę, że znani mi ludzie umierają, tatku – powiedział Danny.

Tymczasem Ketchum demonstrował, jak przeładowywać winchestera, i łuski fruwały dokoła. Jeden z naboi zapodział się przy rozpakowywaniu pozostałych prezentów, ale Ketchum dalej przeładowywał broń, jakby kosił hordy potencjalnych intruzów.

– Żyjąc wystarczająco długo, stajemy się karykaturami samych siebie – pomyślał głośno Danny, jakby miał zamiar to zapisać, czego nie zrobił. Leżał dalej ze wzrokiem utkwionym w zdjęcie Charlotte z tajemniczym inuksukiem w tle, dopóki nie przyciągnęła go ryzykowna, acz ekscytująca wizja naładowanej strzelby pod łóżkiem.

W Kanadzie nastał drugi dzień świąt. Znany Danny'emu pisarz zawsze wyprawiał tego dnia przyjęcie. Dominic co rok kupował Ketchumowi nowe ubranie myśliwskie i Ketchum nakładał je w drugi dzień świąt. Dominic pomagał w kuchni; w każdej, bez względu na to, do kogo należała, zawsze czuł się jak w domu. Danny rozmawiał ze znajomymi, usiłując nie wstydzić się za polityczne tyrady Ketchuma. Nie było takiej potrzeby, nie w Kanadzie: antyamerykańskie poglądy starego drwala przysporzyły mu tutaj pokaźnego grona zwolenników.

– Jakiś gość z CBC chciał mnie zaprosić do radia – oznajmił, kiedy kucharz wiózł ich po przyjęciu do domu.

– Boże jedyny – powtórzył po raz setny Dominic.

– To, że jesteś trzeźwy, wcale nie znaczy, że możesz się uważać za dobrego kierowcę. Gadkę zostaw nam, a sam

lepiej patrz na drogę – poradził mu flisak.

Tamtej nocy kowboj mógł zabić wszystkich trzech, ale był tchórzem; nie ryzykował, wolał poczekać na wyjazd Ketchuma. Nie wiedział, że młodzieżowy winchester leży pod łóżkiem Danny'ego, a nie Ketchuma; w życiu nie odgadłby też, ile Ketchum wypił na przyjęciu: nie obudziłby go nawet strzałem z armaty. Danny'ego także; był to jeden z owych wieczorów, gdy rzekome jeden lub dwa kieliszki niepostrzeżenie przerodziły się w cztery lub pięć. Pisarz raz obudził się w nocy i postanowił sprawdzić, czy strzelba nadal leży pod łóżkiem: przy okazji zwalił się na podłogę z hukiem, którego nie usłyszał ani ojciec, ani chrapiący flisak.

Ketchum nigdy nie zostawał w Toronto dłużej niż na święta. Szkoda, że nie przywiózł ze sobą Śmiałego, a potem – z jakiegoś powodu – nie zostawił go w Kanadzie. Gdyby Śmiały, szlachetne zwierzę, przebywał w domu na Cluny Drive, Carl nie miałby szans zakraść się do środka i ukryć w gabinecie na poddaszu. Ale pies był w Coos, u Pam – gdzie, jak się okazało, terroryzował jej psy – a Ketchum o świcie wyjechał do New Hampshire.

Kiedy Danny wstał i (pierwszy) zszedł do kuchni, znalazł na stole list od Ketchuma. Ku zdumieniu Danny'ego, był on napisany na maszynie. Stary poczłapał na trzecie piętro i użył maszyny do pisania, ale Danny nie usłyszał ani skrzypienia podłogi nad głową, ani schodów. Ani on, ani jego ojciec nie słyszeli też stuku maszyny; stary flisak z pewnością uznałby to za zły znak. Ale jego list dotyczył czegoś innego.

NA RAZIE MAM WAS DOSYĆ!

TĘSKNIĘ ZA PSEM I CHCĘ GO ZOBACZYĆ. NIM DOJADĘ DO DOMU, ZA WAMI TEŻ PEWNIE ZDĄŻĘ ZATĘSKNIĆ! WYLUZUJ Z CZERWONYM WINEM, DANNY.

KETCHUM.

Carl ucieszył się na widok odjeżdżającej furgonetki. Musiał się niecierpliwić, ale odczekał, aż meksykańska sprzątaczka sobie pójdzie; wolał mieć pewność. Widok pustego pokoju gościnnego – Lupita wysprzątała go na wysoki połysk – upewnił kowboja, że Ketchum nie wróci. Mimo to musiał odczekać jeszcze jedną noc.

Wieczorem dwudziestego siódmego grudnia kucharz i jego syn zjedli kolację w domu. Dominic zdobył na targu kiełbasę i przysmażył ją na oliwce, a następnie udusił z koprem, cebulą i kalafiorem w sosie pomidorowym z tłuczonymi nasionami kopru włoskiego. Podał gulasz z ciepłym chlebem rozmarynowym i sałatką.

– Ketchumowi by smakowało, tatku – powiedział Danny.

– No tak… Ketchum to dobry człowiek – odparł ku jego zdumieniu Dominic.

Nie wiedząc, co na to odpowiedzieć, Danny nie szczędził pochwał pod adresem gulaszu; stwierdził, że pasowałby do nowego, bardziej stonowanego jadłospisu „Pocałunku Wilka”.

– Nie, nie – odparł lekceważąco ojciec. – Kiełbasa jest zbyt siermiężna… nawet jak na „Pocałunek Wilka”.

Danny odpowiedział tylko:

– To przepyszna potrawa, tato. Mógłbyś podać ją nawet królowi.

– Mogłem zrobić ją Ketchumowi. Jakoś nie było okazji.

Kucharz spędził swój ostatni wieczór w portugalskiej restauracji w pobliżu Małych Włoch z ukochanym Danielem. Lokal nosił nazwę „Chiado”; była to jedna z ulubionych restauracji Dominica w Toronto. Poznał ją dzięki Arnaudowi, gdy pracowali jeszcze na Queen Street West. W

ów czwartkowy wieczór dnia dwudziestego ósmego grudnia Danny i jego tata jedli królika.

Podczas świątecznej wizyty Ketchuma padał śnieg i deszcz – wszystko zamarzło, roztopiło się, a potem znowu zamarzło. Kiedy wracali z „Chiado” taksówką, znów zaczął sypać śnieg. (Dominic nie lubił prowadzić w centrum). Ślady kowboja w zleżałym śniegu przed wyjściem pożarowym były mało widoczne już za dnia; teraz panował zmrok i sypał śnieg, toteż znikły zupełnie. Były gliniarz zdjął parkę i buty. Wyciągnął się na tapczanie w gabinecie na trzecim piętrze, z rewolwerem kaliber 45 przyciśniętym do piersi – obrany przezeń scenariusz nie przewidywał kabury.

Z kuchni doleciały głosy kucharza i jego syna, ale nigdy się nie dowiemy, czy usłyszał ich rozmowę.

– Masz pięćdziesiąt osiem lat, Danielu, pora się ożenić. Powinieneś mieszkać z żoną, a nie z ojcem – mówił kucharz.

– A ty, tatku? I tobie przydałaby się żona – odparł Danny.

– Dostałem swoją szansę, Danielu. Dla siedemdziesięciosześciolatka byłaby to droga przez mękę: na każdym kroku musiałbym ją przepraszać!

– Za co?

– Na przykład za to, że czasem zdarza mi się popuścić w spodnie. I na pewno za bąki, o mówieniu przez sen nie wspominając – zwierzył się Dominic.

– Powinieneś znaleźć żonę, która miałaby przytępiony słuch, jak Ketchum – podsunął Danny. Roześmieli się obaj, kowboj na pewno usłyszał ich śmiech.

– Mówię serio, Danielu. Powinieneś mieć przynajmniej stałą dziewczynę, prawdziwą przyjaciółkę – ciągnął Dominic, kiedy wchodzili po schodach na piętro. Nawet na poddaszu słychać było jego charakterystyczny krok.

– Mam przyjaciółki – zaoponował Danny.

– Nie mówię o groupies, Danielu.

– Nie mam groupies, tatku. Już nie.

– W takim razie młode fanki. Pamiętaj, że czytałem twoje listy od wielbicieli…

– Nie odpisuję na te listy, tato.

– No to może… jak je nazwać…? Młode redaktorki? Albo młode właścicielki księgarni, Danielu… Widywałem cię z jedną lub dwiema. W branży wydawniczej nie brak młodych kobiet!

– Młode kobiety nie lubią zobowiązań. A większość moich rówieśnic to mężatki lub wdowy.

– Masz coś do wdów? – zapytał ojciec. Obaj znowu się roześmieli, ale zaraz ucichli.

– Nie szukam stałego związku – oznajmił Danny.

– Widzę. Dlaczego? – chciał wiedzieć Dominic. Stali po przeciwnych stronach korytarza na drugim piętrze, każdy przy drzwiach swojego pokoju. Mówili podniesionymi głosami i kowboj słyszał każde słowo.

– Ja też dostałem swoją szansę, tatku – powiedział Danny.

– Po prostu życzę ci jak najlepiej, Danielu.

– Zawsze byłeś dobrym ojcem… najlepszym.

– Ty również, Danielu…

– Mogłem się lepiej postarać – pospiesznie wtrącił Danny.

– Kocham cię! – powiedział Dominic.

– Ja ciebie też, tatku. Dobranoc – odpowiedział Danny; wszedł do swego pokoju i po cichu zamknął drzwi.

– Dobranoc! – zawołał z korytarza kucharz. Jego słowa płynęły prosto do serca; bardzo możliwe, że kowboj też miał ochotę życzyć im obu dobrej nocy. Ale leżał bez ruchu i nawet nie pisnął.

Czy odczekał godzinę, gdy usłyszał, że myją zęby? Chyba nie. Czy Danny'emu raz jeszcze przyśniła się wygięta sosna z wyspy Charlotte, a konkretnie jej widok zza biurka? Być może. Czy kucharz poprosił w swych modlitwach o więcej czasu? Bardzo wątpliwe. Biorąc pod uwagę okoliczności i charakter Dominica Baciagalupo, prosił o niewiele – jeśli w ogóle się modlił. W najlepszym razie mógł wyrazić nadzieję, że jego samotny syn „kogoś znajdzie” – nic więcej.

Czy podłoga nad ich głowami zaskrzypiała, kiedy gruby Carl zwlókł się z tapczanu? Nic nam o tym nie wiadomo; Danny'emu co najwyżej mogło się zdawać (przez sen), że to Joe przyjechał z Kolorado na ferie.

Nie wiedząc, jak ciemno bywa nocą w domu, kowboj przećwiczył schodzenie z poddasza z zamkniętymi oczami; znał też na pamięć liczbę kroków dzielących schody od pokoju kucharza. I wiedział, gdzie znajduje się włącznik światła: tuż za drzwiami, obok żeliwnej patelni o średnicy dwudziestu centymetrów.

Jak się okazało, Danny zawsze zostawiał zapalone światło na schodach z kuchni na piętro, toteż korytarz był dobrze oświetlony. Kowboj bezszelestnie przekradł się do pokoju kucharza i otworzył drzwi.

– Niespodzianka, Ziółko! – zawołał, pstrykając światło. – Pora umierać.

Może Danny to usłyszał, a może nie. Ale jego ojciec usiadł na łóżku i mrużąc oczy w rzęsistym świetle, powiedział bardzo donośnym głosem:

– Czemu tak długo, kretynie? Głupszy jesteś niż kupa krowiego łajna, Jane zawsze to powtarzała. (Danny usłyszał to z całą pewnością).

– Ty mały gnoju! – wrzasnął Carl. Danny to również usłyszał; na kolanach wyszarpywał winchestera z otwartego futerału pod łóżkiem.

– Głupszy niż kupa krowiego łajna, kowboju! – krzyczał jego ojciec.

– Zaraz zobaczymy, kto tu jest głupi! – darł się Carl; nie słyszał, jak Danny odbezpieczył broń, nie wiedział też, że biegnie na bosaka przez korytarz. Wycelował rewolwer i strzelił kucharzowi prosto w serce. Siła wystrzału rzuciła Dominica Baciagalupo o wezgłowie; skonał od razu, na poduszkach. Szeryf nie miał czasu analizować tajemniczego uśmiechu, który rozciągnął białą bliznę na dolnej wardze kucharza, i tylko Danny zrozumiał słowa, które ojciec wypowiedział tuż przed śmiercią.

– *She bu de* – szepnął Dominic, tak jak nauczyli go Ah Gou i Xiao Dee; *she bu de*, czyli „nie zniosę rozłąki”.

Oczywiście Carl nie rozumiał chińskiego ni w ząb, lecz na widok nagiego mężczyzny w progu dotarło do niego, dlaczego kucharz skonał z uśmiechem na ustach. Dominic nie tylko wiedział, że krzycząc, uratuje synowi życie; wiedział też, że jego przyjaciel Ketchum zaopatrzył Daniela w broń skuteczniejszą niż żeliwna patelnia o średnicy dwudziestu centymetrów. A kiedy Danny wycelował w Carla wyszydzanego winchestera, może w ostatniej chwili spłynęła na kowboja świadomość tego, co się święci.

Kiedy pierwszy nabój ze strzelby rozerwał mu szyję, długa lufa colta kaliber 45 jeszcze celowała w podłogę; kowboj przewrócił się tyłem na nocny stolik i żarówka ustawionej tam lampy rozpękła mu się między łopatkami. Drugi nabój rozerwał to, co z szyi zostało. Ostatnia kula, „na dobitkę”, właściwie nie była potrzebna, lecz Danny – zaślepiony furią – strzelił trzeci i ostatni raz, w to samo miejsce, jak gdyby ziejąca w szyi dziura przyciągnęła kulę niczym magnes.

Jeśli wierzyć Ketchumowi – to znaczy, gdyby opowiadał o napaści wilków w sensie dosłownym – czy owe trzy strzały

z rangera kaliber 20 nie były wypisz, wymaluj jak pocałunki wilków? I czy faktycznie nie było w nich nic przyjemnego?

Danny zszedł bez ubrania do kuchni i zadzwonił na policję. Powiedział, że zostawi otwarte drzwi; znajdą go przy ojcu, na górze. Otworzywszy drzwi, wrócił do sypialni i nałożył spodnie i bluzę. Przyszło mu do głowy, żeby zadzwonić do Ketchuma, ale było późno; zresztą nie musiał się spieszyć. Kiedy ponownie wszedł do pokoju ojca, pocałunki wilków, które rozerwały kowboja, od progu rzucały się w oczy. Carl rozprysnął się po ścianach, ale Danny odczuł tylko przelotny żal z powodu bałaganu, jaki narobił Lupicie. Przesiąknięty krwią dywan, zachlapane ściany, zakrwawione zdjęcia na korkowych tablicach nad roztrzaskanym stolikiem: Danny nie miał wątpliwości, że Lupita sobie poradzi. Wiedział, że spotkało ją coś znacznie gorszego: straciła dziecko.

Ketchum miał rację co do czerwonego wina, pomyślał pisarz, siadając na łóżku obok ojca. Gdyby ograniczył się do piwa, być może usłyszałby kowboja parę sekund wcześniej i zrobił z nim porządek, zanim Carl zdążyłby pociągnąć za spust. „Nie rób sobie wyrzutów, Danny”, powie mu później Ketchum. „To ja go za sobą przywlokłem. Powinienem był to przewidzieć”.

– Ty też nie rób sobie wyrzutów, Ketchum – powie mu Danny, ale gdzie tam.

Gdy przyjechała policja, w sąsiednich domach paliły się wszystkie światła i szczekało wiele psów; zwykle o tej porze w Rosedale panowała niezmącona cisza. Większość mieszkańców w życiu nie słyszała równie głośnych i przerażających strzałów, niektóre psy ujadały aż do świtu. Danny zaś siedział spokojnie, tuląc do siebie zwłoki ojca na zakrwawionych poduszkach. Młody detektyw napisze w raporcie, że autor bestsellerów czekał na nich w sypialni na górze – dokładnie tak, jak zapowiedział – sprawiając

wrażenie, jakby nucił czy może recytował wiersz zamordowanemu ojcu.

– *She bu de* – szeptał mu do ucha. Ani Dominic, ani jego syn nie dowiedzieli się nigdy, czy tłumaczenie Ah Gou i Xiao Dee było prawidłowe i czy *she bu de* naprawdę znaczyło „nie zniosę rozłąki”, ale czy miało to jakiekolwiek znaczenie? Pisarz myślał, że mówi właśnie te słowa swemu ojcu, który chronił go przed kowbojem blisko czterdzieści siedem lat, tyle minęło bowiem, odkąd opuścili Twisted River.

I wreszcie, po przybyciu policji, Danny zaczął płakać. Wizja rozłąki stanęła mu przed oczami. Karetka i dwa samochody policyjne tkwiły przed domem na Cluny Drive, błyskając światłami. Pierwszy policjant, który przekroczył próg, znał wersję przekazaną przez telefon: doszło do włamania i uzbrojony napastnik zastrzelił ojca sławnego pisarza, po czym Danny zastrzelił napastnika. Z pewnością jednak chodziło o coś więcej, myślał młody detektyw. Szanował pana Angela i w świetle zaistniałych okoliczności postanowił dać mu czas, aby ten doszedł do siebie. Jednakże skutki użycia strzelby (kilkakrotnego i z tak bliskiej odległości) były tak poważne, iż w głowie detektywa zrodziło się podejrzenie, że za włamaniem, morderstwem, a następnie odwetem sławnego pisarza kryje się grubsza historia.

– Panie Angel? – zagaił młody detektyw. – Jeśli jest pan gotowy, prosiłbym, aby opowiedział mi pan, co się stało.

Danny płakał tak, jak płakałby dwunastolatek – jakby Carl zastrzelił mu ojca ostatniej nocy w Twisted River. Nie mógł wydusić słowa, lecz wskazał na coś, co znajdowało się w pobliżu drzwi.

Młody detektyw nie zrozumiał.

– Tak, wiem, że strzelał pan, stojąc w drzwiach – powiedział. – Przynajmniej za pierwszym razem. Potem

wszedł pan do pokoju, prawda?

Danny gwałtownie kręcił głową. Inny młody policjant zauważył żeliwną patelnię o średnicy dwudziestu centymetrów, zawieszoną tuż przy wejściu – w dość niecodziennym miejscu jak na patelnię – i postukał w nią palcem.

– Tak! – wykrztusił Danny, zanosząc się płaczem.

– Dajcie tu tę patelnię – polecił detektyw.

Ani na chwilę nie puszczając ojca – dalej trzymał jego głowę na kolanach – Danny sięgnął prawą ręką po żeliwną patelnię o średnicy dwudziestu centymetrów, a gdy zacisnął palce na trzonku, jego łkania ucichły. Młody detektyw czekał; czuł, że nie należy go poganiać.

Danny opuścił rękę i ciężka patelnia spoczęła na łóżku.

– Zacznę od żeliwnej patelni o średnicy dwudziestu centymetrów – odezwał się wreszcie, jakby przymierzał się do długiej opowieści – opowieści, którą znał na pamięć.

V
HRABSTWO COOS, NEW HAMPSHIRE, 2001

Rozdział 14
LEWA RĘKA KETCHUMA

Ketchum polował na niedźwiedzia. Pojechał furgonetką do Wilsons Mills w stanie Maine, po czym on i Śmiały wrócili do New Hampshire suzuki ATV, przekraczając granicę stanu na wysokości wodospadu Half Mile na rzece Dead Diamond, gdzie Ketchum ustrzelił wielkiego samca. Dokonał tego za pomocą sztucera z krótką lufą, jakim (przed laty) przyjaciółka Danny'ego Barrett polowała na jelenie: remingtonem.30–06 sprinfield, którego Ketchum nazywał swoim „niezawodnym skurczybykiem”. Model ten wycofano z produkcji w 1940 roku.

Transport zwierza przysporzył mu nieco kłopotu, również z uwagi na rodzaj pojazdu. „Powiedzmy, że Śmiały musiał przejść spory kawałek”, powie później Danny'emu, co znaczyło zapewne, że pies całą drogę pokonał biegiem. Był to dopiero pierwszy weekend sezonu na niedźwiedzie, gdy do polowania dopuszczono psy, toteż szlachetne zwierzę przebiegłoby ze szczęścia pewnie drugie tyle. Tak czy siak, Ketchum i martwy niedźwiedź zajęli w suzuki tyle miejsca, że Śmiały po prostu się nie zmieścił.

– W poniedziałek raczej nie wrócimy przed zmrokiem – za powiedział Danny'emu Ketchum. Nie było szans, żeby złapać go podczas długiego weekendu, Danny nawet nie próbował. Ketchum pogodził się wreszcie z wynalezieniem telefonu i faksu, ale nie zanosiło się na to, że w wieku osiemdziesięciu czterech lat sprawi sobie komórkę. Warto zaznaczyć, że w 2001 roku komórki nie były w lasach Północy zbyt częstym zjawiskiem.

Poza tym Danny przyleciał z Toronto z opóźnieniem; zanim wylądował w Bostonie i wypożyczył samochód,

zaplanowane z Paulem Polcarim i Tonym Molinarim luźne spotkanie przy kawie przerodziło się w szybki lunch. I kiedy wraz z Carmellą wyjeżdżali z North Endu, było już wczesne popołudnie. Oczywiście drogi prezentowały się nieco lepiej niż w 1954 roku, kiedy kucharz i jego dwunastoletni syn podążali w przeciwnym kierunku, lecz północne New Hampshire wciąż leżało „spory kawałek” (jak powiedziałby Ketchum) od bostońskiego North Endu, toteż Danny i Carmella minęli Pontook i ruszyli wzdłuż Androscoggin trasą 16 do Errol dopiero późnym popołudniem.

Kiedy minęli Pontook, Danny rozpoznał Dummer Pond Road, dawniej leśną drogę, ale do Carmelli powiedział tylko: „Jutro wrócimy tu z Ketchumem”.

Kiwnęła głową; patrzyła przez szybę na Androscoggin.

– To ci dopiero potężna rzeka – zauważyła, gdy przejechali jakieś piętnaście kilometrów. Danny odetchnął, nie widziała rzeki w marcu lub w kwietniu: w porze błota Androscoggin była jednym wielkim wzburzonym wirem.

Ketchum powiedział Danny'emu, że najlepszą porą na przyjazd będzie wrzesień, głównie z uwagi na Carmellę. Istniała szansa na niezłą pogodę, noce robiły się chłodniejsze, nie dokuczało robactwo, no i na pewno nie spadnie śnieg. W rejonie położonym tak daleko na północy jak Coos liście zmieniały kolor już pod koniec sierpnia. W drugi poniedziałek września krajobraz otaczał ich iście jesienny, późnym popołudniem zaś w powietrzu wisiała zapowiedź przymrozku.

Ketchum niepokoił się, jak Carmella poradzi sobie w lesie.

– Większość trasy pokonamy samochodem, ale kawałek trzeba będzie przejść – przypomniał.

Danny widział oczami wyobraźni tamto miejsce, na wzniesieniu, z widokiem na zbiornik tuż ponad zakolem rzeki. Za nic nie umiał sobie wyobrazić, jak musiało być

odmienione, skoro ani po osadzie, ani po stołówce nie zostało ani śladu. Dominic Baciagalupo nie chciał, by rozrzucić jego prochy w miejscu stołówki lub w pobliżu miasteczka; prosił, by zatopiono je w rzece, tam gdzie jego Rosie wpadła pod pękający lód. Stało się to niemal dokładnie w tym samym miejscu, gdzie Angelù Del Popolo zniknął pod kłodami. I właśnie to stanowiło główny powód, dla którego Carmella zdecydowała się przyjechać; wiele lat temu (dokładnie trzydzieści cztery, jeśli Danny'ego nie myliła pamięć) Ketchum zaprosił ją do Twisted River.

„Jeśli któregoś dnia zechce pani zobaczyć miejsce zgonu syna, będę zaszczycony, mogąc je pani pokazać”, tak to ujął. Carmella bardzo chciała zobaczyć rzekę, ale nie kłody; wiedziała, że byłoby to ponad jej siły. Wystarczył jej tylko brzeg, z którego kochany Gamba (Dominic) i młody Dan obserwowali zajście – no i może miejsce na rzece, gdzie najdroższy Angelù nie wypłynął na powierzchnię. Tak, Carmella wiedziała, że któregoś dnia zażyczy sobie tego z pewnością.

„Dziękuję, panie Ketchum”, powiedziała w dniu, kiedy przyjaciele opuszczali Boston. „W razie gdybyś chciał się spotkać…”, zwróciła się do Dominica.

„Wiem”, odpowiedział jej, ale na nią nie patrzył.

Kiedy więc Danny postanowił przyjechać do Coos z prochami ojca, Ketchum nalegał, aby przywiózł ze sobą również Carmellę. Widząc po raz pierwszy mamę Angela, dwunastoletni Danny ujrzał jej wielkie piersi oraz szerokie biodra i uśmiech – i wiedział, że tylko uśmiech miała szerszy niż Indianka Jane. Teraz Carmella była co najmniej w wieku Ketchuma, może trochę starsza, czyli miała dobrze po osiemdziesiątce. Jej włosy zbielały jak śnieg, brwi również, co nie pasowało do oliwkowej cery i na oko krzepkiej kondycji. Była pulchna, lecz w dalszym ciągu bardziej kobieca niż Jane. I choć żyła w szczęśliwym związku – Paul Polcari i Tony Molinari nadal się przy tym

upierali – została przy nazwisku Del Popolo, być może przez wzgląd na utratę zarówno męża rybaka, jak i ukochanego jedynego syna.

Przez całą długą drogę na północ ani razu nie napomknęła o najdroższym Angelù, o śmierci Dominica zaś wspomniała tylko w przelocie.

– Straciłam kochanego Gambę przed wielu laty, Secondo, a teraz ty go straciłeś! – oznajmiła ze łzami w oczach. Ale szybko się otrząsnęła i przez resztę drogi nie dawała po sobie poznać, że w ogóle zastanawia się nad celem ich podróży.

Mówiąc o Dominicu, dalej używała jego przezwiska, Gamba – Danny'ego zaś nazywała Secondo, jakby pozostał jej przybranym synem; chyba już dawno wybaczyła mu, że podglądał ją w wannie. Obecnie nie mieściło mu się to w głowie, ale nie przyznałby się do tego za nic w świecie; niemniej jednak oficjalnie przeprosił Carmellę za swoje zachowanie sprzed lat.

– Nonsens, Secondo… poniekąd czułam się wyróżniona – powiedziała mu w samochodzie z lekceważącym machnięciem ręki. – Martwiłam się tylko, czy mój widok nie będzie miał na ciebie zgubnego wpływu… i już zawsze będą cię pociągać grube, starsze kobiety.

Danny wyczuł, że powinien ją gorąco zapewnić, iż tak się nie stało, chociaż prawdę mówiąc – po Katie, która była wręcz nienaturalnie drobna – wiele kobiet w jego życiu miało dość obfite kształty. Biorąc pod uwagę bezlitosne kryteria obecnej mody, nawet Charlotte – bezsprzecznie miłość jego życia – mogła uchodzić za osobę z nadwagą.

Podobnie jak jego ojciec, Danny był drobnej postury, i choć słowa Carmelli zbył milczeniem, odkrył, że może faktycznie pociągają go kobiety większe niż on sam. Nie żeby podglądanie Carmelli w wannie lub zabicie Indianki Jane patelnią miało tu cokolwiek do rzeczy!

– Spotykasz się z kimś teraz… to znaczy, z kimś szczególnym? – zapytała Carmella, gdy przejechali kolejne półtora kilometra.

– Z nikim szczególnym – odpowiedział Danny.

– Jeśli umiem jeszcze liczyć, masz prawie sześćdziesiąt lat – podjęła Carmella. Miał dokładnie pięćdziesiąt dziewięć. – Twój tata zawsze życzył sobie, byś znalazł właściwą osobę.

– Znalazłem, ale odeszła.

Carmella westchnęła. Swoją obecnością wniosła do samochodu aurę melancholii, która – wraz z nieokreśloną dezaprobatą wobec Danny'ego – towarzyszyła im przez całą drogę z Bostonu. Danny wyczuwał ją wraz z bijącym od Carmelli zapachem, który budził miłe skojarzenia na równi z aromatem pieczonego chleba.

– Poza tym – podjął – w moim wieku tata też nie miał nikogo… szczególnego. – A gdy Carmella spojrzała na niego wyczekująco, dodał: – I nigdy nie miał nikogo, kto pasowałby do niego tak jak ty.

Ponownie westchnęła, jakby (dwuznacznie) dawała wyraz swemu zadowoleniu i niechęci – niechęci, gdyż nie zdołała sprowadzić rozmowy na pożądany tor. Pytanie, na czym polega problem Danny'ego, wyraźnie nie dawało jej spokoju. Czekał, z czym wyskoczy w następnej kolejności; bardziej drażliwe pytanie o to, na czym polega problem jego twórczości, było jedynie kwestią czasu.

Rozmowa z Carmellą nużyła go śmiertelnie, jej wiek zrobił swoje. Gubiła wątek, po czym obwiniała o to Danny'ego; zarzucała mu, że jej nie słucha albo że celowo miesza jej w głowie. Zrozumiał, że w porównaniu z nią jego ojciec zachował niecodzienną bystrość umysłu. Z kolei Ketchum głuchł z minuty na minutę i ryczał na cały regulator, lecz choć był prawie rówieśnikiem Carmelli, Danny z miejsca wybaczał mu wszystko. W końcu zawsze

miał nierówno pod sufitem. No bo czy w młodości też nie zachowywał się dziwnie i na przekór logice?

Nagle, w wyostrzonym świetle późnego popołudnia minęli małą tabliczkę z napisem WYPYCHANIE ZWIERZĄT.

– Ojej… „Sprzedaż łosich rogów” – przeczytała na głos

Carmella. Ku bezbrzeżnej irytacji Danny'ego, mówiła „ojej” co pięć minut.

– Chcesz przystanąć i sprawić sobie wypchanego futrzaka? – spytał Danny.

– Byle za dnia! – odpowiedziała ze śmiechem i czule poklepała go w kolano, na co zawstydził się swego rozdrażnienia. Kochał ją w dzieciństwie i jako młody człowiek; nie ulegało wątpliwości, że odwzajemniała to uczucie, no i szalała za jego ojcem. Mimo to drażniła go swą obecnością; nie chciał, żeby mu towarzyszyła. Od początku był to pomysł Ketchuma i Danny zrozumiał nagle, że wolałby mieć starego kumpla tylko dla siebie. Wypełnienie woli ojca liczyło się dla niego bardziej niż dotrzymanie słowa Carmelli i pokazanie jej miejsca, w którym zginął Angelù. Czuł się podle, traktując ją jako zawadę i kulę u nogi, lecz po raz pierwszy dał wiarę zapewnieniom Paula Polcariego i Tony'ego Molinariego. Carmella naprawdę była szczęśliwa w nowym związku i nowym życiu. Tylko z tego powodu mogła być tak bezbrzeżnie nudna!

Czy nie straciła przecież trzech ukochanych osób, w tym jego ojca – i jedynego dziecka? Jak to możliwe, że Danny, który też stracił swego jedynaka, nie dostrzegał w niej bratniej duszy? Ależ dostrzegał! Po prostu nie miał ochoty z nią przebywać, nie w tej chwili, gdy perspektywa spełnienia ostatniej woli ojca i towarzystwo Ketchuma starczały mu aż nadto.

– Gdzie są? – zapytała Carmella, gdy wjeżdżali do Errol.

– Co? – spytał Danny. (Dopiero co rozmawiali o wypchanych zwierzętach! Czy chodziło jej o to, gdzie są wypchane zwierzęta?).

– Szczątki Gamby… jego prochy – uściśliła.

– W nietłukącym się pojemniku… takim plastikowym, nie szklanym – odpowiedział Danny, cokolwiek wymijająco.

– W twojej walizce, w bagażniku? – upewniła się Carmella.

– Tak. – Danny wolał nie wdawać się w szczegóły co do pierwotnej zawartości pojemnika. Poza tym wjeżdżali do miasteczka i chciał się w spokoju rozejrzeć, póki jeszcze było widno. Dzięki temu łatwiej znajdą rankiem Ketchuma.

– Do zobaczenia we wtorek rano – zapowiedział stary flisak.

– Co masz na myśli, mówiąc „rano”? – zapytał Danny.

– W najgorszym razie przed siódmą – odparł Ketchum.

– W najlepszym razie przed ósmą – sprecyzował Danny. Miał pewne obawy co do porannego funkcjonowania Carmelli, nie wspominając o tym, że nocować mieli parę kilometrów od miasteczka. Ketchum zapewnił Danny'ego, że w Errol nie ma dla nich odpowiedniego miejsca na nocleg, i polecił mu hotel w Dixville Notch.

Z tego, co widzieli, wynikało, że Ketchum miał rację. Pojechali w stronę Umbagog, mijając po drodze sklep spożywczomonopolowy; we wschodniej części miasta znajdował się most nad Androscoggin, a na zachód od niego mieściła się siedziba straży pożarnej, przy której Danny zawrócił. Przejeżdżając ponownie przez miasteczko, minęli szkołę podstawową, której nie zauważyli za pierwszym razem. Zobaczyli też restaurację o nazwie „Biegun Północny”, lecz najbardziej zachęcającym miejscem w Errol okazał się sklep z wyposażeniem sportowym pod szyldem „L.L. Cote”.

– Zajrzyjmy do środka – zaproponował Danny.

– Byle za dnia! – powtórzyła Carmella. Była jednym z pierwszych obiektów jego erotycznych fantazji. Jakim cudem stała się tak denerwującą staruszką?

Oboje z pewnym lękiem odczytali napis na drzwiach.

PROSIMY NIE WCHODZIĆ Z NAŁADOWANĄ BRONIĄ

– Ojej – powiedziała Carmella; zawahali się (ale na krótko) w progu.

„L.L. Cote” prowadził sprzedaż skuterów śnieżnych i quadów; w środku znajdowały się wypchane zwierzęta, w większości okoliczne gatunki, co nasuwało przypuszczenie, że miejscowy wypychacz miał pełne ręce roboty (niedźwiedź, jeleń, ryś, lis, kuna wodna, łoś, jeżozwierz, skunks – całe mnóstwo „gnojków”, jak powiedziałby Ketchum, a do tego kaczki i ptaki drapieżne). Najwięcej było jednak broni i Carmella aż się wzdrygnęła od takiej ilości śmiercionośnych narzędzi. Noży też nie brakowało; tutaj zapewne Ketchum nabył swego browninga. Ujrzeli także spory wybór odzieży eliminującej zapach.

– Żeby myśliwy nie pachniał jak człowiek – wyjaśnił Danny.

– Ojej – odpowiedziała Carmella.

– W czym mogę pomóc? – spytał podejrzliwy starzec za ladą.

Stał z ważną miną i browningiem za pasem; brzuch wylewał mu się ze spodni, a flanelowa koszula w czerwonoczarną kratę budziła skojarzenie z ulubionym przyodziewkiem Ketchuma, oczywiście nie licząc kamizelki moro. Ketchum nie tolerował odzieży maskującej. „Polowanie to nie wojna”, mawiał. „Gnojki nie odpowiedzą ci ogniem”.

– Gdyby mógł pan nas pokierować – odpowiedział Danny. – Musimy znaleźć Drogę Straconego Narodu, wybieramy się tam jutro rano.

– Już się tak nie nazywa… od dawna – odrzekł sprzedawca jeszcze bardziej podejrzliwie.

– Powiedziano mi, że odchodzi od trasy do stawu Akers… – zaczął Danny, ale sprzedawca przerwał mu w pół słowa.

– Tak, ale nie nazywa się Straconego Narodu. Dziś prawie nikt tak nie mówi.

– Czy w takim razie ma nową nazwę? – spytał Danny.

Sprzedawca świdrował Carmellę niemiłym spojrzeniem.

– Nie ma nazwy, wisi tylko tabliczka z informacją o drobnych naprawach silnikowych. To pierwsza rzecz, jaka rzuca się w oczy po zjeździe z drogi na Akers, nie sposób jej przeoczyć – odpowiedział tamten niezbyt zachęcającym tonem.

– Wobec tego na pewno ją znajdziemy – odparł Danny. – Dziękuję panu.

– Kogo szukacie? – zapytał sprzedawca ze wzrokiem dalej utkwionym w Carmellę.

– Pana Ketchuma – odpowiedziała Carmella.

– Ha, Ketchum nazwałby ją Drogą Straconego Narodu! – wykrzyknął triumfalnie sprzedawca, jakby to tłumaczyło całe nieporozumienie z nazwą. – Spodziewa się was? – zapytał Danny'ego.

– Tak, ale dopiero jutro rano – oznajmił Danny.

– Na waszym miejscu – odpowiedział sprzedawca – nie składałbym mu niezapowiedzianej wizyty.

– Jeszcze raz panu dziękuję – odrzekł Danny, ujmując Carmellę pod rękę. Chcieli wyjść, ale sprzedawca ich zatrzymał.

– Tylko Indianiec nazwałby ją Drogą Straconego Narodu – powiedział. – Oto dowód!

– Na co? – zapytał Danny. – Ketchum nie jest Indianinem.

– Phi! – prychnął sprzedawca. – Mieszaniec to też In dianiec.

Danny wyczuł narastające oburzenie Carmelli; było równie namacalne jak ciało uwieszone jego ramienia. Poprowadził ją w stronę drzwi.

– Z tego Ketchuma to w ogóle straceniec, ot co! – krzyknął za nimi sprzedawca. Po chwili namysłu dodał z nutą paniki w głosie: – Tylko mu nie mówcie, że to powiedziałem.

– Domyślam się, że czasem przyjeżdża tu na zakupy, tak? – odparł Danny; z satysfakcją patrzył, jak tamten się poci.

– Klient jak każdy inny, nie? – odburknął sprzedawca.

– Przekażę mu to – zapewnił Danny i wyprowadził Carmellę ze sklepu.

– Czy pan Ketchum jest Indianinem? – zapytała, kiedy znaleźli się w samochodzie.

– Nie wiem… może po części – odparł Danny. – Nigdy go o to nie pytałem.

– Ojej… nigdy nie widziałam Indianina z brodą – zadziwiła się Carmella. – Przynajmniej nie w filmach.

Ruszyli na zachód trasą 26. Po drodze zobaczyli lokal o nazwie Errol Cream Barrel & Chuck Wagon, połączenie lodziarni z restauracją, a także na oko nienagannie utrzymane pole kempingowe Saw Dust Alley. Minęli także Stowarzyszenie Posiadaczy Skuterów Śnieżnych Umbagog. Na tym kończyło się Errol. Danny nie skręcił z szosy w kierunku stawu Akers, odnotował tylko, gdzie się znajduje. Był pewny, że rankiem znajdą Ketchuma z łatwością, bez względu na nazwę drogi.

Chwilę później, gdy zaczęło się ściemniać, znaleźli się obok pola otoczonego wysokim ogrodzeniem. Oczywiście Carmella odczytała na głos napis na tabliczce.

– „Nie drażnić bizona”… ojej, a któż robiłby coś takiego? – powiedziała, poruszona do głębi. Bizona jednak nie zobaczyli, jedynie płot i tabliczkę.

Hotel w Dixville Notch nazywał się „The Balsams” – latem, gdy dopisywała pogoda, najprawdopodobniej zatrzymywali się tu głównie wycieczkowicze i golfiści. Zimą zaś na pewno narciarze. Był wielki, a w poniedziałkowy wieczór sprawiał wrażenie opustoszałego, podobnie jak jadalnia, gdzie Carmella westchnęła głęboko, gdy już zamówili kolację. Wypiła kieliszek czerwonego wina, a Danny piwo. Po śmierci ojca przestał pić wino, chociaż Ketchum bezustannie suszył mu z tego powodu głowę. „I co ci z tego przyjdzie… teraz?”, krzyczał. „Wszystko mi jedno, mogę nie spać”, odpowiadał mu Danny.

Carmella westchnęła, a następnie wstrzymała oddech, zbierając się w sobie.

– Ma się rozumieć, czytałam wszystkie twoje powieści… i to nie raz – zaczęła.

– Naprawdę? – zapytał niewinnie Danny, niby nieświadomy, o co jej chodzi.

– Oczywiście! – zawołała Carmella. Taka szczęśliwa, ale czegoś nie może mi darować, pomyślał Danny, ona zaś dodała: – Ach, Secondo, tata był z ciebie taki dumny; zostałeś sławnym pisarzem, i w ogóle.

Tym razem westchnął Danny, po czym to on wstrzymał oddech, na sekundę lub dwie.

– A ty? – spytał, już nie tak niewinnie.

– Widzisz, twoje opowieści… i czasami bohaterowie, są tacy… jak by to ująć? Niesmaczni – uzupełniła, lecz na widok miny Danny'ego nie powiedziała już nic więcej.

– Rozumiem – odparł. Być może spojrzał na nią jak na kolejnego dziennikarza, który nie odrobił lekcji, i cokolwiek miała do dodania na temat jego twórczości, raptem wydało jej się bez znaczenia, bo czyż Secondo, jej przybrany syn, nie doświadczył od losu tego co ona sama?

– Opowiedz mi, o czym teraz piszesz, Secondo – rzuciła nieoczekiwanie i spojrzała na niego z pełnym czułości uśmiechem. – Dużo czasu minęło od twojej ostatniej książki, prawda? Mów, co tam knujesz. Umieram z ciekawości!

Carmella niebawem poszła spać, a jacyś mężczyźni oglądali przy barze program sportowy, ale Danny wrócił do pokoju i nie włączył telewizora. Nie zasunął też zasłon; miał lekki sen i wiedział, że poranne światło na pewno go obudzi. Nie martwił się szczególnie poranną kondycją Carmelli; jeśli się spóźnią, Ketchum z pewnością na nich zaczeka. Gdy kładł się do łóżka, paliła się lampa na nocnym stoliku, na którym stał też pojemnik z prochami ojca. Była to jego ostatnia noc z prochami i Danny wpatrywał się w nie, jakby miały nagle przemówić lub też dać jakikolwiek inny znak co do ostatnich życzeń ojca.

– Wiem, mówiłeś, że tego chcesz, tatku, ale mam nadzieję, że nie zmieniłeś zdania – powiedział. Prochy znajdowały się w pojemniku po „nowojorskiej przyprawie do grilla” – mieszance soli, pieprzu oraz ziół – zakupionej z pewnością przez Dominica na ulubionym targu w ich dzielnicy, gdyż na etykiecie widniała nazwa Olliffe.

Danny wysypał większość zawartości, ale nie wszystko, a po umieszczeniu w pojemniku prochów ojca starczyło miejsca, aby upchnąć tam nieco przyprawy, co też skwapliwie uczynił. Gdyby ktoś przyczepił się na lotnisku – a także, dajmy na to, otworzył pojemnik i powąchał –

zawartość nie powinna budzić wątpliwości. Kto wie, może celnikowi zakręciłoby się w nosie od pieprzu!

Odprawa przebiegła bez problemu. Danny usiadł na łóżku i otworzywszy pojemnik, ostrożnie powąchał jego zawartość. Raczej nie posypałby nią kotleta, ale nadal pachniała pieprzem i ziołami, a nawet tak wyglądała, bynajmniej nie budząc skojarzenia z ludzkimi prochami. I czy jakikolwiek kucharz mógł wymarzyć sobie po śmierci stosowniejszy środek transportu?

Dominic Baciagalupo, pomyślał jego syn pisarz, doceniłby to bez wątpienia.

Danny zgasił lampę i leżał po ciemku.

– Ostatnia szansa, tatku – wyszeptał w pogrążonym w ciszy pokoju. – Jeśli nie masz nic do powiedzenia, wracamy do Twisted River. – Tymczasem prochy, wraz z mieszanką przypraw i ziół, milczały jak zaklęte.

Najdłuższa przerwa między powieściami Danny'ego Angela, *Na wschód od Bangor* i *Dzieckiem na drodze*, wyniosła jedenaście lat. Kolejna śmierć w rodzinie miała spowodować ponowne opóźnienie, lecz Carmella przesadziła, mówiąc, że od jego „ostatniej powieści minęło dużo czasu”. Gwoli ścisłości, minęło dokładnie sześć lat.

Podobnie jak po wypadku Joego, po śmierci ojca pisanie nagle wydało się Danny'emu bez znaczenia. Tym razem jednak niczego nie poprawiał, po prostu wyrzucił wszystko do kosza i niemal natychmiast przystąpił do pisania kolejnej, zupełnie innej książki. Stanowiła owoc miesięcy, podczas których odarto go z resztek prywatności, samo pisanie zaś przypominało krajobraz, który nieoczekiwanie wyłonił się z mgły.

– Dziennikarze przeszli samych siebie – oznajmiła przy kolacji Carmella. Ale tym razem Danny wiedział, czego się spodziewać. Bądź co bądź, zamordowano ojca sławnego

pisarza, sam pisarz zaś zastrzelił mordercę, niewątpliwie w obronie własnej. Co więcej, Danny Angel i jego ojciec uciekali przez blisko czterdzieści siedem lat. Autor międzynarodowych bestsellerów opuścił Stany Zjednoczone i wyjechał do Kanady, ale nie ze względów politycznych, jak zawsze podkreślał, nie wdając się w szczegóły. On i jego ojciec uciekali przed szalonym byłym policjantem!

Naturalnie w amerykańskich mediach znaleźli się tacy, którzy utrzymywali, że zamiast uciekać, powinni byli udać się na policję. (Czyżby umknął im fakt, że Carl był policją?). Oczywiście prasa kanadyjska nie posiadała się z oburzenia, że sławny pisarz i jego ojciec przywieźli ze sobą „amerykańską przemoc”, co stanowiło aluzję do należącego do kowboja absurdalnego colta.45, a także winchestera kaliber 20, czyli gwiazdkowego prezentu od Ketchuma; rozdmuchano fakt, że Danny nie miał pozwolenia na broń. Koniec końców nie postawiono mu żadnych zarzutów, ale strzelbę skonfiskowano.

– Ta pukawka ocaliła ci życie! – wrzasnął Ketchum. – Poza tym dostałeś ją w prezencie, na miłość boską! Kto ją zabrał? Jaja mu odstrzelę!

– Daj spokój, Ketchum – mitygował Danny. – Na co mi teraz strzelba?

– Masz fanów, i tych, no… jak nazwać ich przeciwieństwo? Prawda? – wytknął mu stary flisak. – Założę się, że gnojków wśród nich nie brakuje.

Pytanie zadawane Danny'emu najczęściej, zarówno przez dziennikarzy amerykańskich, jak i kanadyjskich, brzmiało: „Czy zamierza pan to opisać?”.

Nauczył się kwitować je lodowatym tonem.

– Nie od razu – odpowiadał.

– Ale zamierzasz? – zapytała raz jeszcze Carmella przy kolacji.

Zamiast odpowiedzieć na pytanie, opowiedział o książce, nad którą pracował. Szło mu jak z płatka; ba, słowa same pchały się na papier. Zanosiło się na kolejną długą powieść, ale wszystko wskazywało na to, że ukończy ją szybko. Nie miał pojęcia, jakim cudem przychodzi mu to z taką łatwością; opowieść płynęła gładko, począwszy od pierwszego zdania. Przytoczył je Carmelli. (Później pluł sobie w brodę – głupotą było zakładać, że zrobi na niej wrażenie!). „W zamkniętej restauracji, po godzinach, syn zmarłego kucharza – jedyny ocalały członek rodziny maestro – pracował w pogrążonej w mroku kuchni”. Ów tajemniczy początek nasunął mu pomysł na tytuł: *W restauracji po godzinach*.

Zdaniem pisarza reakcja Carmelli była równie łatwa do przewidzenia jak prowadzona przez nią rozmowa.

– Czy to o Gambie? – zapytała.

Nie, próbował jej wytłumaczyć; to historia człowieka, który żył w cieniu swego sławnego ojca, wybitnego kucharza; po jego śmierci syn (sześćdziesięcioletni) próbuje się odnaleźć. W oczach reszty świata uchodzi za poniekąd opóźnionego w rozwoju. Całe życie spędził u boku ojca, pracował jako jego zastępca w lokalu, któremu szanowany kucharz przyniósł sławę. Tymczasem oto zostaje sam, a nigdy nie płacił rachunków ani nie kupował sobie ubrań. I chociaż dalej jest zatrudniony w restauracji, być może z uwagi na pamięć o zmarłym, bez wsparcia ojca jest praktycznie bezużyteczny. Niebawem przełożeni będą zmuszeni go wyrzucić bądź zdegradować do roli pomywacza.

Jednakże syn odkrywa, że potrafi nawiązać „kontakt” z duchem zmarłego kucharza, gotując jak szalony po zmroku, ale dopiero po zamknięciu lokalu. W kuchni, długo po godzinach, syn w pocie czoła uczy się przepisów ojca – wszystkiego, czego nie opanował za jego życia. A gdy starania byłego zastępcy kucharza zyskują aprobatę ojca,

duch zmarłego udziela mu wskazówek natury praktycznej, a mianowicie gdzie kupować odzież, które rachunki opłacać w pierwszej kolejności, a także gdzie i jak często oddawać samochód do przeglądu. Mężczyzna uświadamia sobie wkrótce, że duch ojca przeoczył parę spraw, na przykład to, że jego poniekąd niedorozwinięty syn nigdy nie nauczył się prowadzić.

– Gamba jest duchem? – krzyknęła Carmella.

– Pewnie mógłbym zatytułować powieść *Niedorozwinięty zastępca kucharza* – odparł ironicznie Danny – ale uznałem, że *W restauracji po godzinach* to lepszy tytuł.

– Secondo, ktoś uzna, że to książka kucharska – ostrzegła Carmella.

I cóż mógł jej na to odpowiedzieć? Przecież nikt nie pomyśli sobie, że Danny Angel napisał książkę kucharską! Zmienił temat i chcąc udobruchać Carmellę, opowiedział jej o dedykacji. „Mojemu ojcu Dominicowi Baciagalupo – in memoriam”. Będzie to jego druga dedykacja dla ojca i w sumie czwarte „in memoriam”. Carmella wybuchnęła płaczem, co było do przewidzenia. W jej łzach było coś swojskiego i krzepiącego; gdy płakała, zawsze wydawała się prawie szczęśliwa, a jej dezaprobata wobec Danny'ego poniekąd rozmyła się w melancholii.

Leżąc w łóżku, pełen wątpliwości, czy uda mu się zasnąć, Danny zachodził w głowę, dlaczego tak usilnie próbował przekonać Carmellę do tematu swojej powieści. Po co tak się gimnastykował? Fakt, sama go o to pytała; ba, powiedziała, że umiera z ciekawości! Ale bądź co bądź był urodzonym gawędziarzem; zawsze umiał zmienić temat.

Odpływając w jak zawsze płytki sen, wyobraził sobie syna (niewydarzonego zastępcę kucharza) w kuchni po godzinach, gdzie duch ojca udziela mu rad. Podobnie jak Ketchum, zanim nauczył się czytać, syn sporządza listę słów, które mozolnie uczy się rozpoznawać i zapamiętywać;

tego wieczoru biedzi się nad makaronem. „*Orechiette*”, zapisuje, „znaczy «uszka». Są małe i zaokrąglone”. Krok po kroku staje się kucharzem – jeśli nie jest za późno, jeśli tylko lokal zmarłego ojca da mu czas na naukę! „*Farfalle*”, pisze poniekąd niedorozwinięty syn, „znaczy «motyle», ale tata nazywał je kokardkami”.

Danny w półśnie dociera do rozdziału, w którym duch kucharza schodzi na tematy osobiste. „Zawsze pragnąłem, żebyś się ożenił, miał dzieci. Byłbyś cudownym ojcem! Ale ty lubisz ten rodzaj kobiet, które…”.

Które co, pomyślał Danny. W restauracji pojawia się nowa kelnerka; należy do „rodzaju” kobiet, przed którymi duch kucharza usiłuje przestrzec syna. Pisarz jednak wreszcie zasypia, kładąc tym samym kres opowieści.

Dochodzenie w sprawie strzelaniny w Toronto dobiegło końca; nawet najwięksi kretyni w mediach w końcu dali sobie spokój. W końcu od krwawej jatki minęło prawie dziewięć miesięcy – niespełna tyle, ile trwa ciąża. Listy napływały jednak bez przerwy, listy współczujące i jakkolwiek nazwać ich przeciwieństwo.

Większość z nich dotyczyła zabicia kucharza oraz zastrzelenia jego mordercy – były to przeważnie kondolencje, choć nie wszystkie listy utrzymano w tonie życzliwości. Danny uważnie czytał każdy z nich, lecz nie otrzymał wiadomości, na którą czekał – w głębi serca nie wierzył też, że Pani Niebo jeszcze się do niego odezwie, co nie przeszkodziło mu o niej marzyć: o pionowym pasku jasnych włosów łonowych, jaskrawej bliźnie po cesarce i tajemnicach kryjących się za tatuażami. Mały Joe nadał jej przydomek superbohaterki, ale Pani Niebo była prawdziwą wojowniczką, w tym lub może poprzednim życiu. Mógł sobie tylko wyobrażać, że Amy wiodła kiedyś inne życie. Bo czyż skok nago ze spadochronem nie jest wypadkową

konkretnego zdarzenia? Gdy już to zrobisz, cóż jeszcze może ci się przytrafić, rozmyślał Danny.

Amy napisała do niego po śmierci Joego, sama straciła dziecko – cóż, to tylko dwie z utraconych więzi, prawda? A skoro Danny jej nie odpisał, dlaczego miałaby pisać ponownie? Mimo to sumiennie czytał wszystkie listy – nie odpowiadając na żaden z nich – ze słabnącą nadzieją, że Amy się odezwie. Nie wiedział nawet, dlaczego tak mu na tym zależy, ale nie mógł o niej zapomnieć.

„W razie kłopotów możesz na mnie liczyć. Wrócę", obiecała chłopcu, całując go w czoło. „Tymczasem opiekuj się tatusiem". Jak widać, nie sposób polegać na obietnicach aniołów, które nago spadają z nieba, z tym że – by sprawiedliwości stało się zadość – Amy sama przyznała, że jest aniołem „tylko czasami". Doprawdy, zwłaszcza w snach Danny'ego, anielska interwencja Pani Niebo pozostawiała czasem co nieco do życzenia, chociażby pamiętnego wieczoru gdy Joe i maniakalna wielbicielka fellatio natknęli się przy przełęczy Berthoud na błękitnego mustanga.

– Chciałbym cię jeszcze zobaczyć, Amy – powiedział przez sen Danny Angel, ale w ciemności usłyszały go tylko nieme prochy ojca. Tak się złożyło, że w dramacie, który rozegrał się tamtej nocy w hotelowym pokoju, prochom kucharza – w pojemniku po nowojorskiej przyprawie do grilla – nie przypadła w udziale rola mówiona.

Danny zerwał się jak oparzony; stwierdził, że na zewnątrz jest jakby za jasno. Myślał, że spóźni się na spotkanie z Ketchumem, ale było jeszcze wcześnie. Zadzwonił do pokoju Carmelli; ku jego zdumieniu była nad wyraz rześka, jakby spodziewała się jego telefonu. „Wanna jest stanowczo za mała, Secondo, ale jakoś dałam radę", oznajmiła. Kiedy zszedł na śniadanie, czekała już na niego w wielkiej i niemal opustoszałej jadalni.

Ketchum miał rację co do przyjazdu we wrześniu; w północno-wschodniej części Stanów Zjednoczonych zanosiło się na piękny dzień. Gdy wyjeżdżali z hotelu, pomimo wczesnej pory słońce świeciło jasno, a na błękitnym niebie nie było ani jednej chmury. Czerwone i żółte liście klonu gdzieniegdzie zaścielały drogę. Danny i Carmella zapowiedzieli w recepcji, że spędzą w Dixville Notch kolejną noc. „Może pan Ketchum przyjedzie do nas na kolację", powiedziała w samochodzie Carmella.

– Może – odparł Danny, ale szczerze w to wątpił. Rozmiary i atmosfera hotelu stanowiły ukłon w stronę konwencji, Ketchum zaś był niekonwencjonalnym typem człowieka.

Niebawem natknęli się na tablicę z napisem DROBNE NAPRAWY SILNIKOWE, ze strzałą wskazującą w głąb polnej drogi o dość niewinnym wyglądzie. „Mieszkam na końcu", powiedział tylko Ketchum, chociaż nic nie wskazywało na to, że mają przed sobą ślepy zaułek. W dalszej kolejności ujrzeli tablicę, na której (tym samym schludnym pismem) wykaligrafowano: UWAGA PIES. Żadnego psa nie było, podobnie jak domu i samochodów. Być może znak miał przygotować ich na pewną ewentualność – a mianowicie, że jeśli pojadą dalej, z całą pewnością natkną się na psa, lecz wówczas będzie za późno na ostrzeżenia.

– Chyba znam tego psa – powiedział Danny, żeby uspokoić Carmellę. – Wabi się Śmiały i wcale nie jest zły, przynajmniej o ile mi wiadomo.

Droga stawała się coraz węższa, aż w końcu nie sposób było na niej zawrócić. Oczywiście istniała możliwość, że zabłądzili, pomyślał Danny. Może w okolicy nadal istniała Droga Straconego Narodu, a stuknięty sprzedawca celowo wprowadził ich w błąd; wyraźnie miał z Ketchumem na pieńku; co prawda flisak umiał wzbudzać wrogość nawet na pozór normalnych ludzi.

– To mi wygląda na ślepy zaułek – oznajmiła Carmella, kładąc pulchną dłoń na desce rozdzielczej, jakby obawiała się zderzenia. Jednakże droga kończyła się polaną; na oko mogła ona uchodzić za wysypisko bądź plac, na którym złomowano porzucone ciężarówki i przyczepy. Wiele ciężarówek rozebrano na części. Na polanie rozsianych było kilka szop; jedna z nich, szczególnie sfatygowana drewniana rudera, wyglądała na wędzarnię: dym sączył się przez szczeliny w deskach tak obficie, jakby zaraz miała stanąć w płomieniach. Węższy, mniej rozproszony słup dymu bił z komina na przyczepie, w której Danny rozpoznał dawny wanigan. Dym pochodził zapewne z piecyka.

Danny wyłączył silnik i wytężył słuch. Zapomniał, że Śmiały nie szczeka. Carmella opuściła szybę.

– Pan Ketchum chyba coś gotuje – stwierdziła, pociągając nosem. Na widok skóry, rozciągniętej na linkach między dwiema przyczepami, Danny domyślił się, że Ketchum wędzi niedźwiedzia – czyli niekoniecznie „gotował”.

„Jeden gość sprawia mi niedźwiedzie, jeśli w zamian odpalę mu trochę mięsa”, powiedział kiedyś Danny'emu. „Ale najpierw wolę je podwędzić, zwłaszcza kiedy jest ciepło”. Sądząc po zapachu, robił to właśnie w tej chwili. Danny ostrożnie uchylił drzwi – miał poważne obawy, że Śmiały stoi na straży mięsa i traktuje swą rolę ze śmiertelną powagą. Ale pies nie dawał znaku życia.

– Ketchum! – krzyknął Danny.

– Bo co? – odkrzyknął flisak, zanim jeszcze drzwi wanigana stanęły otworem. Pospiesznie odłożył broń.

– Ha, myślałem, że się spóźnicie! – huknął jowialnie. – Miło znów panią widzieć, Carmello – dodał prawie zalotnym tonem.

– Pana również, panie Ketchum – odparła.

– Zapraszam do środka, napijemy się kawy – powiedział. – Weź ze sobą prochy Ziółka, Danny. Chcę zobaczyć, w co je

zapakowałeś.

Carmella też wprost płonęła z ciekawości. Musieli minąć po drodze cuchnącą skórę i Carmella odwróciła wzrok, żeby nie patrzeć na odrąbaną głowę zwierzęcia; trzymała się skóry, ale wisiała zakrwawionym nosem w dół, prawie dotykając ziemi. Stężała krew przypominała zawieszoną u nosa bombkę choinkową.

– „Nowojorska przyprawa do grilla” – przeczytał z uznaniem Ketchum, trzymając pojemnik w jednej ręce. – To rozumiem. Jeśli nie masz nic przeciwko, Danny, przesypię prochy do szklanego słoika. Potem zobaczysz dlaczego.

– Ależ proszę cię bardzo – odpowiedział Danny. W pewnym sensie odczuł ulgę, miał ochotę zachować plastikowy pojemnik na pamiątkę.

Ketchum zaparzył kawę starym flisaczym sposobem. Umieścił w garnku skorupki jaj, wodę i mieloną kawę, a następnie zagotował wszystko na piecyku. Skorupki przyciągały kawę do siebie i przy nalewaniu większość fusów zostawała na dnie. Jego ojciec porzucił tę metodę, ale Ketchum pozostał wierny tradycji. Kawa była mocna – podawał ją z cukrem, czy się tego chciało, czy nie – mocna, słodka i nieco mulista, „jak po turecku”, skomentowała Carmella.

Usiłowała nie rozglądać się po wnętrzu wanigana, lecz zdumiewający (acz przemyślany) nieład okazał się zbyt silną pokusą. Danny, jak na pisarza przystało, wolał wyobrażać sobie, gdzie stoi faks, niż zobaczyć go na własne oczy. Siłą rzeczy spostrzegł, że wnętrze wanigana to w zasadzie wielka kuchnia z łóżkiem, na którym (przypuszczalnie) spał Ketchum, otoczonym strzelbami, kuszami i bełtami, a także pokaźną kolekcją noży. Danny zakładał, że część broni znajduje się pewnie poza zasięgiem wzroku, przynajmniej strzelba lub dwie, gdyż wanigan

wyglądał niczym istny arsenał, jak gdyby Ketchum przeczuwał rychłe oblężenie.

Wśród rozrzuconych sztucerów i dubeltówek, gdzie wyżłowaty bluetick czuł się zapewne jak w raju, widniało płócienne legowisko wypchane szyszkami cedru. Na widok leżącego psa Carmella aż wstrzymała oddech, choć rany Śmiałego były mniej poważne, niż na to wyglądały. Na cętkowanych, białoszarych bokach widniały ślady po pazurach niedźwiedzia. Krwawienie ustało, a skaleczenia na biodrze zdążyły zakrzepnąć, ale nocą krwawił obficie na swoim posłaniu; wyglądał na zesztywniałego z bólu.

– Nie zauważyłem, że Śmiały stracił połowę ucha – poinformował ich Ketchum. – Wczoraj było tyle krwi; myślałem, że jest całe. Dopiero gdy przestał krwawić, zobaczyłem, że nie ma połowy!

– Oje… – nie dokończyła Carmella.

– Nie powinieneś zawieźć go do weterynarza? – spytał Danny.

– Śmiały nie lubi weterynarzy – oświadczył Ketchum. – Po drodze nad rzekę zabierzemy go do Pam; da mu maść na skaleczony bok, a ja mam antybiotyk na ucho, niech ta resztka mu się zagoi. Dostałeś za swoje, co? – zwrócił się do psa. – Mówiłem, żebyś nie pchał się naprzód! Kretyn dorwał niedźwiedzia, kiedy jeszcze byłem daleko! – wyjaśnił Carmelli.

– Biedaczek. – Carmella nie zdobyła się na nic więcej.

– E tam, do wesela się zagoi. Dam mu skosztować niedźwiedzia! – zapewnił Ketchum. – Idziemy – powiedział do Danny'ego, zdejmując ze ściany remingtona.30–06 springfield; zawiesił sobie sztucer na ręku i ruszył do drzwi. – Do nogi, Śmiały – zawołał psa, który zwlókł się z posłania i pokuśtykał za nim.

– Na co ci broń? Niedźwiedzia już masz – powiedział Danny.

– Zobaczysz – odparł Ketchum.

– Nie będzie pan do niczego strzelał, prawda? – zapytała Carmella.

– Może jakiś gnojek się napatoczy – uciął Ketchum, po czym, jakby chcąc zmienić temat, zwrócił się do Danny'ego. – Pewnie nie widziałeś nigdy obdartego ze skóry niedźwiedzia bez głowy. W takim stanie do złudzenia przypomina człowieka. To nie widok dla pani, ma się rozumieć – dorzucił pospiesznie pod adresem Carmelli. – Stój! – krzyknął nagle do psa, który znieruchomiał, podobnie jak Carmella.

Pozbawiony skóry niedźwiedź wisiał w wędzarni jak gigantyczny nietoperz. Bez głowy faktycznie przypominał zgarbionego człowieka – chociaż Danny nigdy nie miał okazji ujrzeć człowieka bez skóry.

– Robi wrażenie, co? – zapytał Ketchum Danny'ego, który faktycznie oniemiał.

Wyszli z wędzarni; Carmella i ogar stali bez ruchu tak jak przedtem, jakby tylko gwałtowna zmiana pogody mogła skłonić ich do zmiany pozycji.

– Idziemy, Śmiały – zawołał Ketchum i Carmella potulnie podreptała za psem do furgonetki, jakby rozkaz padł również pod jej adresem. Ketchum podniósł psa i wpakował go na tył pojazdu. – Miej cierpliwość do Pam, Danny – mówił, gdy wsiadali do szoferki. Carmella zajęła pośrodku najwięcej miejsca. – Chce wam coś powiedzieć – dodał. – Pam nie jest złym człowiekiem; podejrzewam, że chce jedynie przeprosić. To moja wina, że nie umiałem czytać, pamiętaj. Nigdy nie miałem jej za złe, że wygadała Carlowi, co naprawdę spotkało Indiankę Jane. Tylko to na niego miała; musiał doprowadzić ją do ostateczności.

– Ja też nie miałem do niej pretensji – odparł Danny. Usiłował rozszyfrować minę Carmelli; sprawiała wrażenie lekko urażonej, ale się nie odezwała. W szoferce

śmierdziało; może właśnie to stanowiło powód jej niezadowolenia.

– Zresztą uwinie się szastprast, będzie miała na głowie Śmiałego – uzupełnił Ketchum. – Śmiały ledwo toleruje jej psy, gdy nic mu nie dolega. Dzisiaj może być ciekawie. – Minęli tablicę z informacją o naprawie silników, przy czym Danny miał wątpliwości, czy była to tablica Ketchuma i czy Ketchum kiedykolwiek zajmował się naprawą silników; może tylko naprawiał własne, ale Danny nie zapytał. Smród był nie do wytrzymania; tylko niedźwiedź mógł tak cuchnąć, ale co niedźwiedź robiłby w szoferce?

– Poznaliśmy faceta, który cię zna… w „L.L.Cote” – zagaił Danny.

– Tak? – odpowiedział flisak. – Miły był czy macie na myśli debila, który tam pracuje?

– Raczej tego ostatniego, panie Ketchum – odrzekła Carmella. Smród podążał wraz z nimi; niedźwiedź na bank gościł w szoferce.

– Tłuścioch, w odzieży maskującej? – upewnił się Ketchum. – Ten sam – odparł Danny; od smrodu mało się nie udławił. – Myśli, że jesteś pół-Indianinem.

– Hm, sam nie wiem, czym jestem… a przynajmniej czym jest moja brakująca połowa! – huknął Ketchum. – Mogę być pół-Indiańcem, a nawet Indiańcem w trzech czwartych! Indiańce to stracony naród, co też mi pasuje!

– Tamten gość uważa, że twoja droga nie nazywa się już Drogą Straconego Narodu – powiedział Danny.

– Powinienem obedrzeć go ze skóry i uwędzić z moim niedźwiedziem! – krzyknął Ketchum. – Ale wie pani co? – dorzucił zalotnym tonem, zwracając się do Carmelli.

– Co takiego, panie Ketchum? – spytała z lękiem.

– Nie smakowałby tak dobrze jak niedźwiedź! – ryknął ze śmiechem. Skręcili w Akers Pond Road i ruszyli w stronę

autostrady. Danny trzymał na kolanach szklany słoik z prochami; opróżniony pojemnik tkwił między jego stopami na podłodze. Słój był większy; prochy wraz z przyprawą wypełniały go zaledwie w dwóch trzecich. Danny widział po etykiecie, że to słoik po soku jabłkowym.

Ketchum przywiózł ich na dobrze utrzymany plac kempingowy przy trasie 26, tuż za Errol, gdzie Pam miała przyczepę. Pozbawiona kół stała obecnie na pieńkach, częściowo otoczona ogródkiem warzywnym; ściśle rzecz biorąc, były to dwie przyczepy, połączone ze sobą. Psy miały specjalną zagrodę, dzięki której nie deptały ogródka, a spore drzwiczki na zawiasach umożliwiały im swobodny dostęp do przyczep.

– Próbowałem wytłumaczyć Pam, że przez te cholerne drzwi i facet by się przecisnął, ale pewnie w okolicy nie znajdziesz takiego, co by się odważył – powiedział. Kiedy zdejmował Śmiałego z furgonetki, mina psa nie wróżyła nic dobrego. – I co się pienisz? – zapytał.

Danny i Carmella nie zauważyli Pam, która klęczała przy grządce. Na kolanach dorównywała niemal wzrostem stojącej Carmelli. Podniosła się z ziemi – chwiejnie i z pomocą grabi. Dopiero wówczas Danny przypomniał sobie, jaka była wielka; nie gruba, ale grubokoścista, i prawie tak wysoka jak Ketchum.

– Jak tam twoje biodro? – zapytał Ketchum. – Wstawanie z klęczek chyba robi mu nie najlepiej.

– Moje biodro ma się lepiej niż twój biedny pies – odrzekła Pam. – Chodź tutaj, Śmiały – powiedziała do psa, który posłusznie podszedł bliżej. – Sam zabiłeś tego niedźwiedzia czy ten kretyn zdążył doczłapać ze strzelbą?

– Wybiegł za daleko naprzód! Kiedy dopadł niedźwiedzia, byli poza zasięgiem strzału! – poskarżył się znowu Ketchum.

– Stary Ketchum nie jest tak rączy jak kiedyś, prawda, Śmiały? – powiedziała Pam.

– Zastrzeliłem cholernego niedźwiedzia – zakomunikował jej ze złością Ketchum.

– Co ty nie powiesz? Ma się rozumieć, że zastrzeliłeś! – burknęła Pam. – Gdybyś nie zastrzelił cholernego niedźwiedzia, twój biedny pies byłby trupem!

– Dałem mu antybiotyk. Posmaruj go może tą swoją maścią na zadrapania.

– To nie maść, tylko sulfamid – uściśliła Pam.

Psy w zagrodzie ewidentnie rozpierała energia; były to w większości mieszańce, chociaż jeden do złudzenia przypominał owczarka niemieckiego. Śmiały zezował na niego przez ogrodzenie.

– Strasznie mi przykro z powodu tego, co się stało, Danny – powiedziała Pam. – I z powodu roli, jaką w tym odegrałam – dodała, patrząc prosto na Carmellę.

– W porządku – odpowiedział Danny. – Chyba nie dało się temu zapobiec.

– Każdy kogoś traci – uzupełniła Carmella.

– Ziółko kiedyś wpadł mi w oko – oznajmiła Pam, przenosząc wzrok na Danny'ego. – Ale on nie chciał o tym słyszeć. I chyba to mnie najbardziej kręciło.

– Leciałaś na Ziółko? – zapytał Ketchum. – Ładnych rzeczy się dowiaduję!

– Nie mówię tobie, tylko jemu! – oświadczyła, wskazując na Danny'ego. – I nie ciebie przepraszam – dorzuciła.

Ketchum kopnął kamień.

– Hm, no tak, wrócimy po psa przed południem… albo dopiero po południu – powiedział do Pam.

– Mnie tam wszystko jedno – odparła. – U mnie będzie bezpieczny… nie wybieram się na niedźwiedzie!

– Potem podrzucę ci trochę mięsa – burknął z urazą Ketchum. – A jak nie będzie ci smakować, możesz nakarmić nim swoje burki. – Z tymi słowy wskazał na zagrodę i psy Pam rozszczekały się jak na komendę.

– Cały ty. No bo przez kogo innego mogę mieć na pieńku z sąsiadami? – Pam odwróciła się do Danny'ego i Carmelli. – Dacie wiarę, że tylko przez tego debila moje psy dostają głupawki?

– Ja dam – odparł z uśmiechem Danny.

– Zamknąć się, ale już! – wrzasnęła Pam; w zagrodzie ucichło jak makiem zasiał i psy czmychnęły od ogrodzenia, wszystkie prócz owczarka niemieckiego, który dalej stał przy płocie i świdrował wzrokiem Śmiałego. Ten nie pozostawał mu dłużny.

– Na twoim miejscu trzymałbym je od siebie z daleka – poradził Ketchum, wskazując na psy.

– Nie musisz mi przypominać! – warknęła Pam.

– Cholera! Poczekam w samochodzie – zwrócił się do Danny'ego. – Zostań! – burknął do psa, nie patrząc w jego stronę, na co Carmella ponownie zastygła jak słup soli.

Starość nie okazała się łaskawa dla Pam, rówieśnicy Ketchuma, chociaż ta dalej była tlenioną blondynką o dość przerażającym wyglądzie. Miała bliznę na górnej wardze – bliznę, której Danny nie pamiętał. Przyszło mu do głowy, że przypuszczalnie zawdzięcza ją kowbojowi. Biodro to zapewne też jego sprawka.

Kiedy flisak zamknął się w szoferce i włączył radio, Pam spojrzała na Danny'ego i Carmellę.

– Wiecie, nadal go kocham, chociaż mi tego nie ułatwia. I potrafi być strasznym dupkiem, kiedy osądza człowieka za coś, na co ten nie ma wpływu.

Danny mógł tylko kiwnąć głową, a Carmella dalej stała jak posąg, toteż Pam podjęła po chwili ciszy:

– Pogadaj z nim, Danny. Powiedz, żeby nie robił nic głupiego, na przykład ze swoją lewą ręką.

– Jak to? – spytał Danny.

– Sam go zapytaj – odrzekła Pam. – To nie jest mój ulubiony temat. Nie mnie dotykał lewą ręką! – krzyknęła nagle.

Ketchum opuścił szybę.

– Przymknij się, Pam, i daj im spokój, na miłość boską! – wrzasnął; psy Pam rozszczekały się na nowo. – Przecież już powiedziałaś, że ci przykro, nie?

– Śmiały, do nogi – zawołała Pam. Odwróciła się i poszła do przyczepy, a pies sztywno pokuśtykał za nią.

Dopiero minęła siódma rano, a kiedy Danny i Carmella ponownie zasiedli w szoferce, szczekanie ucichło w jednej chwili. Z tyłu furgonetki widniał spory stos drewna na opał, przykryty brezentem, pod którym Ketchum umieścił broń. Nikt, kto jechał za nimi, nie widział remingtona, ale smród, niestety, czuć było na kilometr.

W radiu leciała piosenka Krisa Kristoffersona z lat siedemdziesiątych. Danny zawsze lubił ten kawałek, piosenkarza również, lecz nic w ów piękny poranek nie mogło odwrócić jego uwagi od potwornego fetoru w szoferce.

Może to nasza ostatnia noc I więcej nie spotkamy się.

Gdy pojechali na południe trasą 16, z Androscoggin biegnącą wzdłuż szosy po stronie kierowcy, Danny sięgnął nad kolanami Carmelli i wyłączył radio.

– O co chodzi z twoją lewą ręką? – zapytał. – Wciąż masz zamiar ją odciąć?

– Psiakrew, Danny – odpowiedział Ketchum. – Nie ma dnia, żebym o tym nie myślał.

– Ojej, panie Ketchum… – zaczęła Carmella, ale Danny nie dopuścił jej do głosu.

– Ale dlaczego lewą, Ketchum? – dziwił się. – Przecież jesteś praworęczny, prawda?

– Psiakrew, Danny… obiecałem twojemu tacie, że nie będę na ten temat z tobą rozmawiał – oznajmił Ketchum. – Choć założę się, że Ziółko o tym zapomniał.

Danny chwycił oburącz słój z prochami ojca i nimi potrząsnął.

– I co ty na to, tatku? – zwrócił się do milczących prochów. – Nie słyszę, żeby tata oponował, Ketchum – powiedział do flisaka.

– Psiakrew… twojej mamie też obiecałem! – wrzasnął Ketchum.

Danny przypomniał sobie, co powiedziała mu Indianka Jane. Tamtej nocy, kiedy matka zniknęła pod lodem, Ketchum przyszedł do stołówki i chwycił za topór. Stał w kuchni z lewą ręką na desce do krojenia i toporem w prawej. „Nie rób tego”, powiedziała mu Jane, ale Ketchum dalej wpatrywał się w swoją rękę; może wyobrażał sobie, jak by to było jej nie mieć. I tak go zostawiła, musiała zająć się Dannym i jego ojcem. Gdy wróciła potem do kuchni, Ketchuma nie było. Rozejrzała się za jego lewą ręką; była pewna, że gdzieś ją znajdzie. „Chciałam wam tego oszczędzić”, opowiedziała chłopcu.

Czasem, zwłaszcza gdy Ketchum był pijany, Danny widział, jak wpatruje się w swoją lewą dłoń; w identyczny sposób spoglądał na gips na prawym nadgarstku, kiedy Angel wpadł pod kłody.

– Nieważne, co obiecałeś mojemu ojcu czy mamie, Ketchum – powiedział Danny, przerywając ciszę. – Zastanawia mnie tylko… zakładając, że faktycznie nosiłeś się z takim zamiarem… dlaczego nie wolałbyś odjąć sobie dobrej ręki?

– Jak to nie? – krzyknął Ketchum.

Carmella chrząknęła, pewnie smród wiercił ją w gardle. I nie patrząc na żadnego z nich, zwróciła się do deski rozdzielczej – a może do ucichłego radia.

– Proszę nam opowiedzieć, panie Ketchum.

Rozdział 15
TANIEC ŁOSI

Danny wcale się nie zdziwił, że słowa nie mogły Ketchumowi przejść przez gardło. Kiedy minęli Pontook – i zauważył znajome dreny na polach, kiedy jechali Dummer Pond Road – nie ulegało wątpliwości, że Ketchum ma własny plan. Opowieść odsłaniająca powody, dla których uważał swą lewą rękę za „dobrą", musiała poczekać. Danny zauważył też, że minęli dawną leśną drogę do Twisted River.

– Czyżbyśmy jechali do Paryża? – spytał.

– Do Zachodniego Dummer – poprawił go Ketchum – a raczej tego, co z niego zostało.

– Ktoś w ogóle jeszcze używa tej nazwy? – zapytał Danny.

– Ja – odparł Ketchum.

Przejechali nowy most nad strumieniem Phillips, podążając dokładnie tą samą trasą, którą młody Dan pokonywał z Indianką Jane. Przed laty podróż wlokła się w nieskończoność; tym razem minęła w mgnieniu oka, w przeciwieństwie do smrodu.

– Nie wpieniaj się, Danny, ale szkoła jeszcze stoi – uprzedził Ketchum. – Szkoła, w której przyszły pisarz spędził parę młodzieńczych lat życia, zbierając cięgi – wyjaśnił Carmelli siedzącej ze wzrokiem nieruchomo utkwionym w przestrzeń.

Możliwe, że usiłowała zwalczyć mdłości; od smrodu i kołysania na wyboistej drodze na pewno zbierało jej się na wymioty. Danny, któremu żołądek też podjeżdżał do gardła, próbował nie patrzeć na kępki niedźwiedziego futra pod

nogami, dryfujące w podmuchach wiatru z okna podskakującej furgonetki.

Ketchum prowadził prawą ręką. Lewy łokieć wytknął za okno, z rzadka muskając tylko palcami kierownicę, którą mocno ściskał prawą dłonią. Kiedy musiał przerzucić bieg, prawa ręka wędrowała do długiego, wygiętego drążka w okolicy kolan Carmelli. Lewa mimochodem ujmowała kierownicę, nie dłużej jednak niż na sekundę lub dwie, potrzebne do zmiany biegów.

Prowadził w miarę gładko i płynnie; proces ten zdawał się równie naturalny i niewymuszony jak sposób, w jaki jego broda powiewała na wietrze z okna po stronie kierowcy. Danny'emu przyszło do głowy, że gdyby okno było zamknięte, on i Carmella z pewnością dostaliby torsji.

– Dlaczego nie zapakowałeś niedźwiedzia do tyłu? – spytał Danny. Zastanawiał się, czy transport zabitego zwierza w szoferce nie stanowi aby integralnej części myśliwskiego rytuału.

– Byłem w Maine, pamiętasz? – odparł Ketchum. – Zastrzeliłem niedźwiedzia w New Hampshire, ale musiałem minąć Maine. A tablice mam z New Hampshire. Gdyby niedźwiedź leżał z tyłu, jakiś leśnik lub gliniarz z Maine mógłby się przyczepić. Zezwolenie na polowanie też mam z New Hampshire – wyjaśnił.

– A Śmiały? – zapytał Danny.

– Śmiały siedział z tyłu i krwawił jak prosię – odpowiedział Ketchum. – Żywe gnojki krwawią bardziej niż martwe, bo ich serca wciąż biją – wytłumaczył Carmelli, która ewidentnie tłumiła odruch wymiotny. – Zwyczajnie, przypiąłem niedźwiedzia pasem do twojego siedzenia, Danny, i nałożyłem mu czapkę. Siedział jakby z głową wciśniętą w ramiona, miśki szyi to za wiele nie mają, i wyglądaliśmy jak dwaj brodaci goście na przejażdżce!

Danny zrozumiał, że w pozycji siedzącej Ketchum przewyższał wzrostem martwe zwierzę; jego długie włosy i broda z daleka wydawały się czarne jak futro niedźwiedzia czarnego, trzeba było się przyjrzeć, aby dostrzec siwiznę. Przez przednią szybę furgonetki, zwłaszcza gdy ktoś nadjeżdżał z naprzeciwka na pełnym gazie, Ketchum i niedźwiedź bez trudu mogli uchodzić za dwóch młodych mężczyzn z krzaczastymi brodami – a już na pewno młodszych niż Ketchum.

– W mordę, przecież wytarłem krew – narzekał flisak, kiedy wjeżdżali do Paryża. – Ciekaw jestem, kiedy wreszcie przestanie cuchnąć. Niedźwiedzie śmierdzą jak jasna cholera, nie?

Wrzucił jedynkę i jego chropowata prawa dłoń musnęła w przelocie kolano Carmelli.

– Nie próbuję pani macać, Carmello – zapewnił. – Ani umieścić drążka między pani nogami! Następnym razem posadzimy w środku Danny'ego.

Danny rozglądał się za tartakiem, ale na próżno. Dawniej spławiano tu drewno; przypomniał sobie, że firma z Maine robiła sanki. Ale gdzie się podział stary tartak? Co się stało ze stajnią i narzędziownią? Pamiętał, że była tu też stołówka i noclegownia na siedemdziesięciu pięciu chłopa, a także dość ładny (wówczas) dom kierownika tartaku. Tymczasem zachowała się tylko szkoła. Obóz drwali zniknął z powierzchni ziemi.

– Co się stało z Paryżem? – zapytał, wysiadając z furgonetki. Usłyszał szmer strumienia; brzmiał identycznie jak dawniej.

– Zachodnim Dummer! – burknął Ketchum. Podszedł do kopca, w którego miejscu znajdowała się niegdyś stołówka. – Pojęcia nie mam, dlaczego zwlekali z rozbiórką do dziewięćdziesiątego szóstego, ale gdy wreszcie wjechali tu buldożerami, skopali sprawę! – wrzasnął. Nachyliwszy się,

podniósł z ziemi zardzewiały garnek i patelnię, a następnie brzdęknął jednym o drugie. Danny ruszył za nim, pozostawiając Carmellę przy samochodzie.

– Buldożerami? – zapytał. Zobaczył ostre fragmenty metalu z tartaku, sterczące z ziemi niczym pogruchotane kości. Stajnia runęła i tak ją pozostawiono, noclegownia na siedemdziesięciu pięciu chłopa legła w połowie pod ziemią; gdzieniegdzie widniały dziwnie małe szczątki prycz, rozsiane w niskich krzakach jałowca. Stara umywalka sterczała jak szkielet wykopany z grobu; w miejscu, gdzie dawniej umieszczano miednicę, ziała okrągła dziura. Nie zabrakło nawet zardzewiałego kadłuba starego ciągnika parowego, przewróconego na bok, z kotłem wgniecionym w wyniku niszczącej, acz nie dość skutecznej jednak siły buldożera. Wyłaniał się z krzaków malin na podobieństwo zmaltretowanego ciała dinozaura lub przedstawiciela innego wymarłego gatunku.

– Chcesz z czymś zrobić porządek, najlepiej spal to w cholerę! – krzyczał Ketchum. Carmella została daleko w tyle, strzepując ze spodni rzepy i dmuchawce. – Najpierw chciałem ci pokazać tę klęskę, Danny; żałosne, że nawet nie umieli tego porządnie rozwalić! Ci z Zachodniego Dummer zawsze byli durni jak kołki! – wrzasnął.

– Dlaczego szkoła jeszcze stoi? – spytał Danny. Biorąc pod uwagę tortury, jakie musiał tu przechodzić, najchętniej sam podłożyłby ogień.

– A bo ja wiem? – odparł Ketchum. – Pewnie ma, kurde, znaczenie turystyczne. Czasem widuję tu narciarzy, skutery śnieżne ma się rozumieć też, bez przerwy. Podobno debile od energii chcą postawić na przełęczach zasrane wiatraki. Wysokie na ponad sto metrów, z ramionami na czterdzieści pięć! Do ich obsługi wybudują żwirową drogę o szerokości prawie dziesięciu metrów, co, jak każdy głupek wie, wymaga wykarczowania jakichś dwudziestu metrów! Wieże narobią hałasu jak skurwysyn, lód się będzie na nich

osadzać… a gdy spadnie śnieg lub marznąca mżawka, trzeba je będzie zamknąć w cholerę, a kiedy je znów uruchomią, lód ze skrzydeł będzie fruwał w promieniu dwustu pieprzonych metrów! Toż taki lód odpada kawałami, długi na parę metrów, ale cienki na dwa centymetry: człowieka może przekroić, co ja gadam, łosia! Oczywista czerwone lampki zamontują, żeby się samoloty nie rozbijały. Jak na ironię, debile od energii to ta sama zgraja jebanych ekologów, którzy twierdzili, że spławianie drewna niszczy lasy i rzekę… a już na pewno ich dzieci!

Ketchum urwał, gdyż zobaczył, że Carmella płacze. Nie oddaliła się zbytnio od furgonetki; uniemożliwiły jej to krzaki malin bądź też księżycowy krajobraz zrównanego z ziemią obozu drwali. Ketchum tak się awanturował, że nie słyszała strumienia ani nie widziała wody. Wyglądało na to, że przewrócony ciągnik, jakiego w życiu nie widziała na oczy, przeraził ją śmiertelnie.

– Proszę, panie Ketchum – zawołała. – Czy moglibyśmy zobaczyć miejsce, gdzie zginął mój Angelù?

– Ma się rozumieć, Carmello… po prostu pokazywałem Danny'emu część jego historii – mruknął stary flisak. – Pisarze powinni znać swoją historię, prawda, Danny? – Po czym machnął ręką i wybuchnął na nowo: – Stołówka, dom kierownika tartaku… wszystko poszło w cholerę! Gdzieś w okolicy był też mały cmentarz… to też zaorali!

– Widzę, że sad został – stwierdził Danny, wskazując na rachityczne drzewa, których nie przycinano od lat.

– Czort jeden wie, po co – warknął Ketchum, nawet nie patrząc w tamtą stronę. – Tylko jelenie żrą te jabłka. Niejednego tu kropnąłem. (Może w Zachodnim Dummer nawet jelenie są durne jak kołki, pomyślał Danny. Pewnie stoją sobie i żrą w najlepsze, czekając aż ktoś je kropnie).

Wsiedli z powrotem do furgonetki i Ketchum nawrócił; Danny zajął miejsce pośrodku, z drążkiem zmiany biegów

między nogami. Carmella opuściła szybę i łapczywie zaczerpnęła tchu. Furgonetka stała na słońcu; robiło się coraz cieplej i w śmierdzącym wnętrzu można było zawiesić siekierę. Danny trzymał na kolanach prochy ojca. Miał ochotę je powąchać – wiedział, że pachniały przyprawami, co zabiłoby smród niedźwiedzia – ale się powstrzymał.

Na drodze pomiędzy Paryżem a Twisted River – na wzniesieniu, gdzie strumień Phillips płynął na południowy zachód do Ammonoosuc, a potem do Connecticut, i gdzie rzeka Twisted skręcała na południowy wschód do Pontook i Androscoggin – Ketchum zatrzymał cuchnącą furgonetkę raz jeszcze. Wskazał za okno, na rozciągającą się w oddali długą, płaską równinę. Być może wiosną rozciągało się tam bagno, ale we wrześniu ziemia była sucha i porośnięta wysoką trawą oraz zaroślami, a gdzieniegdzie wystawały z niej łodygi młodych klonów.

– Kiedy na Phillips budowano tamy – zaczął flisak – to był staw, ale tam nie budowano od lat. Stawu nie ma od dawien dawna, ale miejsce dalej nosi nazwę Staw Łosi. Kiedyś łosie zbierały się nad wodą i drwale przychodzili, żeby na nie popatrzeć. Teraz zbierają się nocą i tańczą w miejscu, gdzie znajdował się staw. Ci z nas, którzy jeszcze żyją, a zostało niewielu, przychodzą zobaczyć ich taniec.

– Tańczą? – upewnił się Danny.

– A jak. Przynajmniej tak to wygląda. Sam widziałem – odpowiedział stary flisak. – A przecież te łosie… te, które tańczą… są za młode, żeby pamiętać staw! Ale jakimś cudem… wiedzą. Wyglądają tak, jakby chciały przywołać go z powrotem – dodał. – Czasami tu przyjeżdżam, żeby na nie popatrzeć. I czasem udaje mi się namówić Pam.

W słoneczny wrześniowy ranek łosi nie było, ale Danny nie widział powodu, by nie wierzyć w słowa Ketchuma.

– Twoja mama była świetną tancerką, Danny… chyba wiesz. Pewnie Indianka ci powiedziała – dorzucił Ketchum.

– Ojej… tańczące łosie – odezwała się Carmella.

– Gdybym nie widział w życiu nic innego, tylko taniec łosi… byłbym szczęśliwszy – powiedział Ketchum. Danny zerknął na niego z ukosa; łzy spłynęły w gęstwinę brody, ale zdążył je zobaczyć.

Oho, pora nadstawić ucha, pomyślał. Wzmianka o matce Danny'ego i o tańcu, rozwiązała Ketchumowi język.

Broda starego flisaka była z bliska bardziej szpakowata; Danny nie mógł oderwać od Ketchuma wzroku. Myślał, że tamten chce zmienić bieg, gdy naraz silna, prawa ręka drwala zacisnęła się boleśnie na jego lewym kolanie.

– Co się gapisz? – burknął ostro Ketchum. – Nie złamałbym obietnicy złożonej twojej mamie ani tacie, ale sęk w tym, że niektóre obietnice, jakie składamy w tym zasranym życiu, przeczą innym, a ja obiecałem też Rosie, że zawsze będę cię kochał i zaopiekuję się tobą, gdy nadejdzie dzień, że zabraknie twojego taty. Taki jak ten! – krzyknął Ketchum. Niechętna lewa dłoń zacisnęła się na kierownicy mocniej i dłużej niż kiedykolwiek podczas zmiany biegów.

Wreszcie wielka dłoń puściła kolano Danny'ego i ponownie spoczęła na kierownicy. Lewy łokieć flisaka zawisł w oknie, jakby nigdy się stamtąd nie ruszał, a gdy skręcili w leśną drogę do Twisted River, rozluźnione palce lekko tylko muskały kierownicę.

Droga z miejsca stała się bardziej wyboista. Do widmowej osady raczej nie zaglądano; mało kto tędy przejeżdżał i trasę zaniedbano. Gdy podskoczyli na pierwszej dziurze, otworzył się schowek w desce rozdzielczej. Woń smaru uderzyła ich w nozdrza, przynosząc chwilową ulgę od smrodu niedźwiedzia. Danny wyciągnął rękę, by zamknąć schowek; mimowolnie zajrzał do środka i zobaczył duże opakowanie aspiryny i niewielki pistolet w kaburze.

– Na ból – rzucił oględnie Ketchum, gdy Danny zatrzaskiwał schowek. – Bez aspiryny i pukawki nigdzie się

nie ruszam.

Z tyłu furgonetki, na stercie drewna pod brezentem – obok remingtona.30–06 spingfield – leżała także piła łańcuchowa i siekiera. A w schowku pod osłoną przeciwsłoneczną po stronie kierowcy znajdował się browning z ostrzem o długości trzydziestu centymetrów.

– Dlaczego zawsze jest pan uzbrojony, panie Ketchum? – za pytała Carmella.

Być może słowo „uzbrojony” zrobiło swoje, gdyż Ketchum nie był przecież uzbrojony przed laty, gdy wraz z kucharzem i Rosie wyszedł zatańczyć na zamarzniętej rzece. Rosie musiała ponownie stanąć mu przed oczami jak żywa. Danny zobaczył, że broda flisaka ponownie zwilgotniała od łez.

– Popełniałem w życiu… pomyłki – zaczął; mówił zduszonym głosem, ledwo dobywając go z gardła. – Nie były to tylko potknięcia, słowa wypowiedziane nie w porę, ale prawdziwe… błędy.

– Jak nie chcesz, to nie opowiadaj, Ketchum – powiedział Danny, ale flisak nie zwrócił na niego uwagi.

– Zakochani mówią sobie różne rzeczy… no wiesz, Danny, na pociechę, nawet gdy sytuacja jest beznadziejna i pocieszać się nie powinni – ciągnął Ketchum. – Zakochani tworzą własne zasady, tak jakby liczyły się na równi z tymi, w myśl których żyją inni. Rozumiesz?

– Nie bardzo – przyznał Danny. Zobaczył, że leśną drogę przed laty zalała powódź i teraz kamienisty szlak pokryty był porostem i bagiennym mchem. Przetrwało jednak rozwidlenie na drodze i Ketchum skręcił w lewo, do stołówki.

– Lewą ręką dotykałem twojej mamy, Danny. Prawą nie; prawą dotykałem i miałem dotykać inne kobiety – powiedział Ketchum.

– Dosyć! – krzyknęła Carmella. (Przynajmniej nie powiedziała „ojej”, skonstatował Danny; wiedział, że nic już nie powstrzyma Ketchuma).

– To była nasza pierwsza zasada: byłem jej kochankiem leworęcznym – wyjaśnił flisak. – Oboje przyjęliśmy, że moja lewa ręka należy do niej; była to ręka Rosie, czyli ta ważniejsza, dobra ręka. A zarazem delikatniejsza i zupełnie do mnie niepodobna – uzupełnił. Ta ręka wymierzyła mniej ciosów, pomyślał Danny, a lewy palec wskazujący nigdy nie nacisnął spustu.

– Rozumiem – powiedział.

– Dosyć, błagam – rzuciła Carmella. Pisarz nie wiedział, czy Carmella dławi się, czy może płacze. Nie przyszło mu do głowy, że to nie opowieści ma dosyć, tylko podróży.

– Wspomniałeś o pomyłkach. Na czym więc polegał błąd? – spytał Danny.

Lecz oto pięli się na wzgórze, gdzie dawniej stała stołówka. I nagle ich oczom ukazało się zwodniczo sielskie koryto rzeki oraz zakole, gdzie Rosie i Angel stracili życie. Na widok wody Carmella wstrzymała oddech. Danny nie wierzył własnym oczom: ze stołówki nie zachowała się ani jedna deska, a w miejscu, gdzie dawniej ciągnęła się osada, widniała pustka.

– Błąd? – krzyknął Ketchum. – Zaraz ci opowiem o błędzie! Wyszliśmy na ten lód zalani w trupa… wiesz o tym, prawda?

– Tak. Jane mi powiedziała – odparł Danny.

– A ja powiedziałem do Rosie, tak mi się przynajmniej zdawało: „Podaj mi rękę”. Przysięgam, że tak jej właśnie powiedziałem – oświadczył Ketchum. – Ale, jak to pijak, w dodatku praworęczny, odruchowo wyciągnąłem do niej prawą dłoń. Niosłem twojego ojca, ale on też chciał się poślizgać, więc go postawiłem. – Furgonetka wreszcie stanęła w miejscu.

Carmella otworzyła drzwi i zwymiotowała na trawę, a Danny patrzył na zrujnowany komin stołówki. Tam, gdzie kiedyś znajdował się piec do pizzy, sterczała niespełna metrowa konstrukcja z cegieł.

– Ale twoja matka znała zasady – podjął Ketchum. – I powiedziała: „Nie tę, to nie ta ręka”. I mi się wywinęła. Potem twój tata potknął się i przewrócił, a ja pchałem go po lodzie jak sanki, ale nie mogłem jej dogonić. Nie złapałem jej za rękę, Danny, bo wyciągnąłem prawą, niewłaściwą. Rozumiesz?

– Tak – odpowiedział Danny. – Ale to przecież drobiazg. – Lecz oczami wyobraźni ujrzał, jak odległość między matką a Ketchumem zwiększa się nieuchronnie, zwłaszcza że kłody wpadły do rzeki i gnały z prądem, rozrywając lód i momentalnie nabierając prędkości.

Carmella klęczała na trawie, jakby się modliła; widok miejsca, gdzie zginął jej ukochany Angelù, był istotnie najlepszy w okolicy, dlatego właśnie kucharz zażyczył sobie wybudować tu stołówkę.

– Nie odcinaj sobie lewej ręki, Ketchum – powiedział Danny.

– Proszę, niech pan tego nie robi – dorzuciła Carmella.

– Zobaczymy – odparł tylko Ketchum. – Zobaczymy.

Późną jesienią tego samego roku, gdy spalił Twisted River, Ketchum przyjechał na miejsce stołówki z motyką i nasionami trawy. Nie posiał ich w miejscu osady, tylko w okolicach stołówki i na wzniesieniu ponad korytem rzeki, gdzie popiół z pożogi osiadł na gruncie – motyką przekopał go z ziemią i rozrzucił nasiona. Wybrał dzień, gdy zanosiło się na deszcz; następnego ranka deszcz przeszedł w śnieżycę i nasiona całą zimę spoczywały pod śniegiem. Wiosną wyrosła trawa i w miejscu stołówki teraz

znajdowała się łąka. Nikt nie kosił trawy, toteż była wysoka i rozkołysana.

Ketchum wziął Carmellę pod rękę i ruszyli łąką w kierunku dawnej osady. Danny poszedł za nimi, niosąc prochy ojca i – na polecenie Ketchuma – sztucer. W Twisted River nie zostało nic prócz samotnego strażnika, pełniącego wartę tam, gdzie niegdyś znajdował się dansing, czyli starego ciągnika parowego marki Lombard. Żar musiał być tak wielki, że lombard trwale pokrył się czernią, odporny na rdzę, ale nie ptasie odchody, a poza tym czarny jak smoła. Tam, gdzie siedział kierowca – z przodu pojazdu, pochylony nad płozami – nieruszana od lat kierownica zdawała się wręcz zapraszać do jazdy (o ile żył jeszcze ktoś, kto umiałby zrobić z niej użytek). Spełniły się prognozy Dominica: wiekowy ciągnik przeżył osadę. Ketchum podprowadził Carmellę bliżej do brzegu, lecz nawet w suchy i słoneczny wrześniowy ranek mogli stanąć tylko niecałe dwa metry od skraju wody; brzeg był zdradliwie śliski, a grunt niebezpiecznie uginał się pod stopą. Na stawach Dummer nie budowano już tam, ale woda w górze rzeki wciąż płynęła wartko, nawet jesienią, i Twisted często występowała z brzegów. Stając bliżej wody, Danny poczuł na twarzy podmuch wiatru; pochodził od wody, jakby wiał z prądem.

– Tak jak podejrzewałem – oznajmił Ketchum. – Jeśli chcemy wsypać prochy Ziółka do wody, nie zdołamy podejść dość blisko. Wiatr dmuchnie nam nimi prosto w twarz.

– Po to wziąłeś strzelbę? – spytał Danny.

Flisak skinął głową.

– I słoik – dodał. Ujął dłoń Carmelli i wycelował jej palcem wskazującym w rzekę. – Niezupełnie pośrodku, ale prawie w połowie koryta… tam pani syn wpadł pod kłody –

powiedział. – Daję słowo, Danny, stało się to dosłownie kawałek od miejsca, gdzie twoja mama wpadła pod lód.

Wszyscy troje utkwili wzrok w wodzie. Na drugim brzegu zobaczyli kojota; stał i patrzył prosto na nich.

– Dawaj pukawkę, Danny – polecił Ketchum. Kojot łapczywie napił się wody, po czym dalej się w nich wpatrywał, bez cienia strachu. Coś z nim było nie tak.

– Proszę, niech pan do niego nie strzela – powiedziała Carmella.

– Jest chory, łazi za dnia i nie ucieka – odparł flisak. Danny podał mu remingtona. Kojot usiadł na przeciwległym brzegu, obserwując ich z rosnącą obojętnością; wyglądało to prawie tak, jakby mamrotał pod nosem.

– Niech pan dziś niczego nie zabija – ponowiła prośbę Carmella. Ketchum opuścił broń, a następnie schylił się po kamień i rzucił nim w zwierzę, ale kojot nie zareagował. Siedział jak zaczarowany.

– Gnojek jest chory, na bank – zawyrokował Ketchum. Kojot ponownie napił się wody; teraz już nawet na nich nie patrzył. – Zobaczcie, jaki spragniony… on zdycha – dorzucił Ketchum.

– Czy to sezon na kojoty? – spytał Danny.

– Sezon na kojoty trwa cały rok – odparł Ketchum. – Są gorsze niż świstaki… to istne pasożyty. Żaden z nich pożytek. Można je zabijać, ile się chce, nawet nocą, od początku stycznia do końca marca. Władze najchętniej wyrżnęłyby je w pień.

Ale Carmella nie dała się przekonać.

– Nie chcę dziś patrzeć, jak coś ginie – powiedziała do Ketchuma; zobaczył, że przesyła w powietrzu pocałunki, albo błogosławiąc miejsce zgonu Angelù, albo życząc kojotowi długiego życia.

– Pożegnaj się z prochami, Danny – zarządził flisak. – Wiesz, gdzie masz je rzucić, prawda?

– Już się pożegnałem – odrzekł pisarz. Ucałował słój po soku jabłkowym. – Gotowy? – zapytał myśliwego.

– Dawaj – odparł Ketchum. Carmella zasłoniła uszy rękami i Danny rzucił słoik, prawie na środek rzeki. Ketchum obniżył lufę i odczekał, aż słój odbije się od powierzchni wody, po czym jednym strzałem z remingtona roztrzaskał szkło i prochy Dominica Baciagalupo znalazły się w rzece.

Na dźwięk wystrzału kojot przysiadł na tylnych nogach, ale nie ruszył się z miejsca.

– Biedny gnojek – powiedział Ketchum. – Jeśli nie ucieka, znaczy zdycha. Przepraszam – rzucił pod adresem Carmelli. Wystarczył jeden szybki ruch, broń działała bez zarzutu. Trafił kojota w czaszkę, w chwili gdy chore zwierzę znów pochylało się nad wodą.

– To samo powinienem zrobić z Carlem – oznajmił Ketchum, nie patrząc na Carmellę. – Mogłem z nim skończyć wiele razy. Zatłuc jak byle pasożyta. Wybacz, że tego nie zrobiłem, Danny.

– W porządku, Ketchum – odpowiedział Danny. – Czułem, że nie możesz tak po prostu go zabić.

– Ale powinienem! – huknął flisak. – Gdyby nie ta gówniana moralność…!

– Moralność to nie przelewki, panie Ketchum – zaczęła wykład Carmella, po czym jej wzrok padł na kojota i urwała w pół słowa; leżał nieruchomo na brzegu, dotykając nosem powierzchni wody.

– Żegnaj, tatku – powiedział Danny. Odwrócił się od wody i spojrzał na porośnięte trawą wzniesienie, gdzie dawniej stała stołówka, w której w wyniku makabrycznego zbiegu

okoliczności wziął Indiankę Jane za niedźwiedzia, chociaż była kochanką jego ojca.

– Żegnaj, Ziółko! – krzyknął Ketchum.

– *Dormi pur* – zanuciła Carmella, czyniąc znak krzyża, po czym odwróciła się gwałtownie. – Pójdę pierwsza – mruknęła i ruszyła mozolnie pod górę, ani razu nie patrząc wstecz.

– Co ona śpiewała? – zapytał flisak.

Danny przypomniał sobie, że melodia pochodziła ze starego nagrania Caruso. Utwór nosił tytuł *Quartetto Notturno*, była to kołysanka z opery. Danny nie pamiętał tytułu opery, lecz Carmella z pewnością śpiewała tę kołysankę małemu Angelù.

– *Dormi pur* – powtórzył. – „Śpij czysto”.

– Czysto? – nie zrozumiał Ketchum.

– Innymi słowy, „Słodkich snów” – wyjaśnił Danny.

– Psiakrew – powiedział Ketchum, kopiąc kamień. – Psiakrew – powtórzył.

Obserwowali mozolną wspinaczkę Carmelli. Wysoka, rozkołysana trawa sięgała do pasa jej przysadzistego, niedźwiedziowatego ciała, a wiatr dmuchał w plecy, rozwiewając włosy po bokach spuszczonej głowy. Kiedy dotarła na wzniesienie, pochyliła się, opierając ręce na kolanach. I przez sekundę lub dwie – dokładnie w chwili gdy łapała oddech – Danny dostrzegł w jej rozłożystej, pochylonej sylwetce widmowe podobieństwo do Indianki Jane. Tak jakby Jane powróciła na miejsce zgonu, by pożegnać się z prochami kochanka.

Ketchum podniósł twarz do słońca. Przymknął oczy, ale przebierał nogami w miejscu, jak gdyby drobił na dryfujących kłodach.

– Chcę usłyszeć to jeszcze raz, Danny – poprosił.

– Słodkich snów – odpowiedział Danny.

– Nie, nie to. Po włosku! – rozkazał Ketchum. Wciąż miał zamknięte oczy i drobił w miejscu; Danny wiedział, że próbuje utrzymać się na powierzchni.

– *Dormi pur* – powtórzył Danny.

– Psiakrew, Angel! – krzyknął Ketchum. – Mówiłem: „Przebieraj nogami, Angel! Musisz przebierać nogami!”. Psiakrew.

Był to nieszczególnie udany poranek dla Pam, która lubiła wcześnie pracować w ogródku – zanim karmiła psy i zaparzała sobie kawę, i dopóki jeszcze mogła się ruszać. Najpierw Ketchum swoim zwyczajem wpadł jak trąba powietrzna i narobił rabanu, jak to on, a potem musiała opatrzyć rany Śmiałego – i to wszystko zanim nakarmiła psy i zaparzyła sobie kawę. I tak z powodu Ketchuma i jego cholernego, stratowanego przez niedźwiedzia psa Pam włączyła telewizor nieco później niż zwykle, lecz – jak się okazało – w samą porę.

Myślała sobie, że to po części jej wina: w końcu sama prosiła się o wizytę Danny'ego i tej Włoszki, dawnej kochanki kucharza, którą nazywała w myślach następczynią Indianki Jane. Pam chciała się z nimi pogodzić, ale teraz czuła się rozdarta. Widok Danny'ego o trzydzieści lat starszego niż kucharz, kiedy widziała go po raz ostatni, przyprawił ją o spory wstrząs. A gdy przeprosiła Danny'ego i Carmellę, zrozumiała, że najbardziej zależało jej na rozgrzeszeniu Ketchuma, co też nie dawało jej spokoju. Mało tego, opatrywanie psich ran doprowadziło ją do łez, jakby były to rany Ketchuma, które bezskutecznie próbowała zaleczyć. I w tej jakże przykrej chwili, w stanie (jak jej się zdawało) największego rozgoryczenia, Pam włączyła telewizor.

Świat też miał ją przytłoczyć, lecz widok zniszczeń będących dziełem pierwszego z porwanych samolotów

jeszcze jej tego nie uświadomił. Samolot American Airlines, lot numer

11 z Bostonu, uderzył w północną wieżę World Trade Center, pozostawiając w budynku wielką dziurę i wzniecając pożar. „To musiał być nieduży samolot”, powiedział spiker, ale Pam była innego zdania.

– Twoim zdaniem to wygląda na niedużą dziurę, Śmiały? – zapytała rannego psa. Śmiały zezował na owczarka niemieckiego, oba psy siedziały pod stołem. Zachował niewzruszone milczenie. Dzięki towarzystwu Ketchuma przywykł, że ktoś do niego gada; wiedział też, że odpowiedź jest zbędna.

Pam dalej śledziła wiadomości. W Nowym Jorku też na oko była ładna pogoda, toteż problemy z widocznością jej zdaniem raczej nie wchodziły w grę.

Jak mogła powiedzieć, że „Ziółko wpadł jej w oko” – czy nie tak to ujęła? Żeby palnąć coś takiego w zasięgu przytępionego słuchu Ketchuma! Ilekroć myślała, że ich związek wychodzi na prostą, a przynajmniej coś w tym rodzaju, zawsze wyskakiwała z czymś idiotycznym – a jak nie ona, to Ketchum.

Rzuciła wielu mężczyzn lub była przez nich rzucona, ale rozstanie z Ketchumem rąbnęło ją najbardziej – chociaż to Carl na koniec o mało nie zatłukł jej na śmierć. Nocą zgwałcił ją na przystani, w łodzi cumującej na stawie Success. Przypadkowi świadkowie tego zdarzenia zawieźli ją do szpitala Androscoggin Valley, gdzie dochodziła do siebie przez parę dni. Dzięki temu znalazła pracę, którą lubiła; sprzątała sale, przeważnie nocami, kiedy jej psy spały. Rozmowy z pacjentami sprawiły, że mniej użalała się nad sobą. Drobne, równe literki na jej fartuchu układały się w słowo DEZYNFEKCJA. Nie łudziła się bynajmniej, że pacjenci biorą ją za pielęgniarkę lub salową, ale wierzyła, że niektórym z nich przynosi otuchę – tak jak oni jej.

Wiedziała, że musi zoperować sobie biodro; ilekroć jej dokuczało, myślała o kowboju gwałcącym ją na przystani – i o tym, jak wciskał jej twarz w deski, pozostawiając tym samym bliznę na górnej wardze – ale najgorsze było to, że powiedziała Ketchumowi, iż naprawdę powinien zabić Carla. To było najgorsze, ponieważ nie miała pojęcia, że Ketchum nie mógł sobie darować, iż nie zrobił tego przed laty. A gdy szeryf zastrzelił Ziółko, Ketchum obwiniał się o to bez końca.

Pam żałowała też, że powiedziała Ketchumowi o tym, co Carl zrobił po wypadku na trasie 110, na drodze między Berlinem a Groveton, w miejscu gdzie autostrada biegła wzdłuż rzeki Dead. Dwoje nastolatków, którzy jechali bez pasów, zderzyło się czołowo z ciężarówką wiozącą indyki. Indyki były martwe, „przetworzone”, jak mawia się w przemyśle drobiarskim. Kierowca ciężarówki przeżył, lecz uszkodził sobie kręgosłup i na chwilę stracił przytomność; kiedy ją odzyskał, ujrzał przed sobą dwoje martwych nastolatków. Chłopak, który prowadził samochód, był przebity kolumną kierownicy, a uwięziona na fotelu obok dziewczyna nie miała głowy. Carl pierwszy zjawił się na miejscu zdarzenia i – według relacji kierowcy ciężarówki – dotykał martwej nastolatki.

Carl twierdził, że kierowcy pomieszało się w głowie; w końcu miał uszkodzony kręgosłup i stracił przytomność, więc pewnie mu się przywidziało. Ale Pam powiedział prawdę. I co z tego, że pobawił się cyckami martwej dziewczyny – przecież i tak nie żyła, nie?

Na co Ketchum stwierdził – nie pierwszy i nie ostatni raz – „Powinienem go zabić”.

– Przestańcie się na siebie wytrzeszczać – powiedziała do psów. Było trochę po dziewiątej, od chwili gdy pierwszy samolot pasażerski uderzył w północną wieżę minęło dokładnie osiemnaście minut, kiedy drugi porwany samolot linii United Airlines, lot 175 (również z Bostonu), wleciał w

południową i eksplodował. – Tylko nie próbujcie mi wmówić, że to był drugi „nieduży” samolot – oświadczyła pod adresem psów Pam wpatrzona w płonące budynki.

Śmiały polizał ranę, ale smak lekarstwa skutecznie go zniechęcił.

– Dobre, co? – zapytała Pam. – Liż, ile chcesz, mam zapas.

W odpowiedzi Śmiały rzucił się na owczarka niemieckiego; psy zwarły się pod stołem, zanim Pam zdążyła sięgnąć po pistolet na wodę. Trzymała w nim mieszankę płynu do naczyń i soku z cytryny; psikała nią psy po oczach, czego szczerze nienawidziły. W tej chwili jednak nie miała ochoty czołgać się na czworakach i rozdzielać walczących pod stołem zwierząt, podobnie jak nie miała ochoty wysłuchiwać prezydenta Busha, który o wpół do dziesiątej wystąpił w telewizji z Sarasoty na Florydzie.

Nie gardziła George'em W. Bushem tak jak Ketchum, ale uważała go za nadętego półgłówka i bezradnego syneczka tatusia; podzielała też zdanie Ketchuma, że w sytuacji podbramkowej byłby do niczego. Ketchum twierdził, że widząc na przykład dwa gryzące się psy, Bush powiadomiłby straż pożarną i kazał im przywieźć wąż, a następnie stanąłby w bezpiecznej odległości, czekając na przyjazd strażaków. Pam najbardziej podobał się fragment o tym, jak to Bush stanąłby z ważną miną i udawał, że jest bardzo zajęty, oczywiście gdy strażacy już by odwalili za niego całą robotę.

W myśl tej charakterystyki prezydent Bush oznajmił w telewizji, że oto jesteśmy świadkami „prawdopodobnego ataku terrorystycznego”.

– Serio? – zapytała Pam. Zwyczajem ludzi mieszkających samotnie, nie licząc psów, gadała również z telewizorem, tak jakby występujący tam mogli ją słyszeć.

Tymczasem Federalna Administracja Lotnicza* zamknęła nowojorskie lotniska, a władze Nowego Jorku i New Jersey

nakazały zablokowanie wszystkich mostów i tuneli w okolicy.

– Na co te matoły czekają? – zapytała Pam. – Powinni zamknąć wszystkie lotniska! – Dziesięć minut później FAA wstrzymała wszystkie loty; po raz pierwszy w historii Stanów Zjednoczonych ruch powietrzny został unieruchomiony w całym kraju. – Widzicie? – zwróciła się do psów Pam. – Ktoś jednak mnie słucha (jeśli nie Ketchum, ani tym bardziej psy).

Namoczyła czystą gąbkę w zimnej wodzie, po czym zmyła płyn do naczyń i sok z cytryny z oczu owczarka niemieckiego.

– Jesteś następny w kolejce – powiedziała do Śmiałego, który beznamiętnie obserwował ją i owczarka.

Trzy minuty później samolot American Airlines, lot 77, rozbił się w Pentagonie, posyłając w niebo strzelisty słup dymu; w ciągu kolejnych dwóch minut ewakuowano Biały Dom.

– Ożeż w mordę – mruknęła do psów Pam. – To mi coraz bardziej wygląda na prawdopodobny atak terrorystyczny, nie sądzicie?

Gdy trzymała na kolanach głowę Śmiałego, przemywając mu oczy, o godzinie 10.05 runęła południowa wieża World Trade Center. Potężna chmura pyłu ogarnęła ulice, ludzie przedzierali się jak przez mgłę.

Pięć minut później zawaliła się część Pentagonu, dokładnie w chwili gdy samolot linii United Airlines, lot 93, który również został porwany, rozbił się w Somerset w Pensylwanii, na południowy wschód od Pittsburgha.

– Ciekawe, dokąd leciał – powiedziała Pam.

Owczarek skradał się za plecami pani i Śmiały ku swemu niezadowoleniu stracił go z oczu. Jego niepokój zwrócił

uwagę Pam, która sięgnęła za siebie i chwyciwszy za skórę i sierść, ścisnęła z całej siły, aż owczarek zaskomlił.

– Ja ci się podkradnę! – ostrzegła, gdy jak niepyszny umykał do zagrody.

Potem ogłoszono w telewizji, że ewakuowano siedzibę ONZ, a także departamenty stanu i sprawiedliwości wraz z siedzibą Banku Światowego.

– Ha, wszystkie ważniaki zmiatają do schronu – poinformowała Śmiałego Pam. Pies spojrzał na nią czujnie, jakby nie wiedział, co myśleć. Najpierw smaruje mnie jakimś świństwem, potem daje mi po oczach piekącą cieczą, a wreszcie pociesza; no i gdzie się podział ten podstępny skurwiel owczarek niemiecki?

– I co się pienisz, Śmiały? Przecież nic ci nie zrobię – zapewniła Pam, ale Śmiały dalej świdrował ją podejrzliwym spojrzeniem; pewnie wolałby spróbować szczęścia z niedźwiedziem.

O 10.44 FAA ogłosiła, że wszystkie transatlantyckie loty do Stanów zostały przekierowano do Kanady.

– No po prostu genialne! – zawołała Pam. – Że też nie wpadliście na to parę miesięcy temu! A ci goście w dwóch pierwszych samolotach byli niby z Bostonu, co? – Ale telewizor puścił jej słowa mimo uszu.

Cztery minuty później zawaliła się północna wieża World Trade Center; ktoś stwierdził, że rozpękła się od góry, jakby ktoś przekroił wzdłuż warzywo.

– Jeśli to nie koniec świata, to na pewno początek końca – powiedziała do psów Pam. Śmiały dalej rozglądał się za podstępnym owczarkiem.

O 10.54 Izrael ewakuował wszystkie placówki dyplomatyczne. Pam uznała, że musi to zapisać. Ketchum zawsze powtarzał, że tylko Żydzi wiedzą co i jak, jeśli więc zamykają swe placówki dyplomatyczne, znaczy to ni mniej,

ni więcej, że muzułmańscy ekstremiści, fanatyczni muzułmanie gotowi zetrzeć Żydów z powierzchni ziemi, rozpoczęli świętą wojnę od zniszczenia Stanów Zjednoczonych, bez których Izrael już dawno straciłby rację bytu. Nikt inny w tchórzliwym, demokratycznym świecie nie odważyłby się zadrzeć z Żydami – tak przynajmniej utrzymywał Ketchum, a Pam podzielała jego poglądy polityczne. Ketchum podziwiał Żydów i prawie nikogo innego.

Zastanawiała się często, czy Ketchum nie jest aby w połowie Indianinem i w połowie Żydem, gdyż odgrażał się czasem, że wyjedzie do Izraela. I nieraz słyszała, jak mawiał: „Więcej zdziałam, wybijając tych debili z Hamasu i Hezbollahu, zamiast wyrzynać Bogu ducha winne zwierzęta!”.

Tuż po godzinie jedenastej burmistrz Nowego Jorku Rudolph Giuliani namawiał nowojorczyków do pozostania w domu; nakazał również ewakuację miasta na północ od Canal Street. Pam wściekała się na Ketchuma i pozostałych, że rozrzucenie prochów kucharza zabiera im tyle czasu. Ale znając Ketchuma, mogła być pewna, że najpierw zawiózł ich na pobojowisko zwane Paryżem – czy też Zachodnim Dummer, jak je uparcie nazywał – a potem rzecz jasna musiał wygłosić zasrany pean na cześć porąbanych, smętnych łosi, które wywijały hołubce na miejscu dawnego stawu.

I aż ją zakłuło na myśl, że sama jeździ tam z nim tak rzadko, chociaż czasem ją o to prosił. Osobiście uważała, że łosie tylko bez sensu „drepczą” w kółko. Pożałowała też, że tak rzadko towarzyszy mu na „biwakach” na łące, gdzie dawniej stała stołówka; wiedziała, że to dla Ketchuma bez mała sanktuarium i że uwielbia tam nocować. Rozkładał namiot i spał w śpiworze, ale przez jego chrapanie pół nocy nie mogła zasnąć i biodro bolało ją od leżenia na ziemi. Poza tym Ketchum najchętniej jeździł tam, gdy robiło się

chłodniej – a jeszcze lepiej, gdy leżał śnieg. Od zimna też łupało ją w biodrze.

– To ty bez przerwy odkładasz operację – powtarzał jej jak zdarta płyta; Pam tego też żałowała. No bo jak mieli wskrzesić dawną zażyłość, jeśli odmawiała jeżdżenia z nim na biwaki?

Gdy proponowała, by zamiast tego pojechali do Berlina na film, Ketchum tylko przewracał oczami. Znała jego zdanie na temat filmów i Berlina.

– Wolę zostać w domu i słuchać pierdzenia Śmiałego – oznajmiał.

Gdy minęło południe, a Ketchum i tamci dwoje nie dawali znaku życia – i Pam klęła na nich i na cały świat – Urząd ds. Imigracji i Naturalizacji ogłosił, że granice z Meksykiem i Kanadą postawiono w stan gotowości, lecz nie podjęto jeszcze decyzji co do ich zamknięcia.

– Ci fanatycy nie są Kanadyjczykami! – wrzasnęła Pam, nie wiadomo po co. – Meksykanami też nie! – Trzymała się cały ranek, ale powoli zaczynała tracić głowę. Śmiały chyłkiem wymknął się do zagrody; stwierdził, że woli jednak towarzystwo owczarka.

Nic dziwnego, że gdy Ketchum zjawił się wreszcie z Dannym i Carmellą i zobaczył swego cierpiącego psa („szlachetne zwierzę”) w zagrodzie z psami Pam – w tym z nieobliczalnym owczarkiem niemieckim – siłą rzeczy uznał, że Pam nie stanęła na wysokości zadania. „Pewnie opierdziela się od rana przed telewizorem”, skwitował bezlitośnie.

– Oho – powiedział Danny do Carmelli. – Masz być dla niej miły, Ketchum – zwrócił się do flisaka. – Moim zdaniem powinieneś się z nią ożenić. A przynajmniej zamieszkać.

– Rany koguta! – wrzasnął Ketchum, zatrzaskując drzwi furgonetki. Psy Pam rozjazgotały się na całego, tylko niewzruszony Śmiały zachował spokój.

Pam stanęła w drzwiach przyczepy.

– Zostaliśmy zaatakowani! – krzyknęła. – Bush lata w Air Force One, tchórz musi się schować! Izraelici wyjechali do domu, żeby się bronić! To początek końca świata! A ty, debilu – zwróciła się do Ketchuma – umiesz tylko wkurzać moje psy!

– Ożenić się, z nią? – powiedział do Danny'ego Ketchum. – I niby miałbym z nią zamieszkać? A wyobrażasz sobie codzienny powrót do takiego domu?

– To szczera prawda! – zawyła Pam. – Chodź, sam zobaczysz… pokazują to w telewizji!

– W telewizji! – powtórzył Ketchum, mrugając do Carmelli, co z pewnością doprowadziło Pam do białej gorączki. – Jasne, w takim razie to na pewno szczera prawda.

Ani Ketchum, ani Pam nie wzięli jednak pod uwagę tego, gdzie się znajdują, czyli schludnego placu kempingowego w Saw Dust Alley, zamieszkanego przez wiele kobiet z małymi dziećmi, emerytowanych lub bezrobotnych starszych ludzi (obojga płci) oraz garstkę pozostawionych samopas nastolatków, których ciężko zapracowani rodzice żyli w błogiej nieświadomości, że latorośle wagarują w najlepsze.

Ketchum wyraźnie nie miał pojęcia, ile osób go słyszy, oboje zaś nie wzięli pod uwagę rozpiętości poglądów wśród mieszkańców placu, którzy od rana tkwili przed telewizorami. A że ściany przyczep były cienkie jak papier i wielu rozmawiało ze sobą od początku porannych wydarzeń, zdania co do pierwszego odcinka Armagedonu rozgrywającego się na ich oczach były podzielone. Tymczasem zjawia się ten, który nigdy nie przebiera w słowach (znali go tu jak zły szeląg) i nie wie, co się dzieje!

– Nie słyszałeś, Ketchum? – zagaił starszy mężczyzna. Stał niemal zgięty wpół, w czerwonoczarnych wełnianych spodniach myśliwskich mimo wysokiej temperatury, z

szelkami luźno opinającymi kościste ramiona i gołymi, żylastymi rękami, sterczącymi z białego bezrękawnika.

– Czy to ty, Henry? – spytał Ketchum. Nie widział tracza, odkąd zamknęli tartak w Paryżu, na wiele lat nim buldożery zrównały go z ziemią.

Henry podniósł lewą rękę z brakującym kciukiem i palcem wskazującym.

– A jakże – odpowiedział. – To wojna na Bliskim Wschodzie, wojna między Żydami a muzułmanami… zaczęła się od nas, Ketchum – dodał.

– Zaczęła się dawno temu – odparł Ketchum. – Co się dzieje? – zapytał Pam.

– Właśnie próbuję ci powiedzieć! – krzyknęła Pam.

Podeszła do nich młoda kobieta z niemowlęciem na ręku.

– To atak terrorystyczny, żadne lotnisko nie jest bezpieczne. Dlatego wszystkie zamknęli – powiedziała do Ketchuma.

Dwaj nastoletni wagarowicze na bosaka mieli na sobie tylko dżinsy.

– Setki ludzi nie żyją… może tysiące – odezwał się jeden z nich.

– Wyskakiwali z drapaczy chmur! – dorzucił drugi.

– Prezydent zaginął! – wtrąciła kobieta z dwójką małych dzieci.

– Oho, czyli nie jest tak źle! – oświadczył Ketchum.

– Wcale nie zaginął, tylko lata. Przecież ci mówiłam – przypomniała Pam.

– Może to sprawka Żydów… chcą zwalić winę na Arabów! – wysunął przypuszczenie młody mężczyzna o kulach.

– Jeśli mózg ci utyka, nie potrzebujesz kul – zapewnił go Ketchum. – Rany koguta, niech no rzucę okiem na telewizor – powiedział do Pam. Były flisak, a obecnie zapalony

czytelnik, był chyba jedynym mieszkańcem Errol, który nie miał jeszcze telewizora.

Stłoczyli się w kuchni Pam – nie tylko Ketchum i Danny z Carmellą, lecz także Henry, stary tracz z kikutami zamiast kciuka i palca wskazującego, oraz dwie kobiety z dziećmi.

Młody mężczyzna o kulach pokuśtykał dalej. Dwaj nastoletni chłopcy zostali przy zagrodzie. Po kurtuazyjnej wymianie uprzejmości z psami jeden z nich powiedział do drugiego:

– Patrz na tego zadziorę z jednym uchem… pewnie się bił.

– To musiała być walka – odpowiedział drugi chłopiec. – Pewnie z kotem.

– To musiał być kot! – westchnął z podziwem pierwszy.

W telewizji powtarzano ujęcie, jak samolot uderza w południową wieżę World Trade Center, a także moment zawalenia obydwu wież.

– Ilu ludzi tam było? Ilu policjantów i strażaków, kiedy się zawaliły? – zapytał Ketchum, ale nikt mu nie odpowiedział; było za wcześnie na podsumowania.

O 13.04 przydent Bush ogłosił z bazy lotniczej Barksdale w Luizjanie, że podjęto odpowiednie środki bezpieczeństwa, a oddziały amerykańskie na całym świecie zostały postawione w stan gotowości.

– Od razu się, kurwa, poczułem bezpieczny! – oznajmił Ketchum.

– Możecie być pewni – oświadczył w telewizji Bush – że Stany Zjednoczone wytropią i ukażą winnych tego tchórzliwego czynu.

– Rany – powiedział Ketchum. – I tego się właśnie obawiam.

– Przecież nas zaatakowali – wtrąciła kobieta z niemowlęciem. – Czy nie powinniśmy odpowiedzieć tym samym?

– To terroryści samobójcy – przypomniał jej Ketchum. – Niby jak mamy odpowiedzieć im tym samym?

O 13.48 prezydent Bush opuścił Barksdale i na pokładzie Air Force One poleciał do innej bazy w Nebrasce.

– Ten się nalata – westchnęła Pam.

– Ile wojen rozpęta ten palant, jak myślicie? – zapytał Ketchum.

– Daj spokój, Ketchum. Przecież to prezydent – wtrącił tracz.

Ketchum ujął go za rękę, tę z brakującymi palcami.

– Popełniłeś kiedyś błąd, Henry? – zapytał.

– Kilka – przyznał Henry; wszyscy widzieli dwa kikuty.

– Czekaj, a zobaczysz – odpowiedział Ketchum. – Ten zasraniec w Białym Domu nie nadaje się do tej roboty; zobaczysz, ile błędów popełni, platfus jeden! Za jego rządów to będą miriady błędów!

– Że co? – zlękła się Pam.

– Miriady! – huknął Ketchum.

– Niezliczona ilość – wtrącił tonem wyjaśnienia Danny.

Pam zmartwiała, jakby straciła grunt pod nogami.

– Może miałbyś ochotę pooglądać dziś łosie – zaproponowała Ketchumowi. – Może ty i ja… i Danny z Carmellą… pojechalibyśmy na biwak. Na łące będzie dziś ładnie… i mamy przecież zapasowe śpiwory, nie?

– Psiakrew – burknął Ketchum. – Mamy wojnę, a tę wzięło na biwakowanie! Nie dziś, Pam – uciął. – Poza tym mam z Dannym do pogadania. Zakładam, że w Dixville Notch mają telewizor i bar? – zapytał Danny'ego.

– Chcę do domu – oznajmiła Carmella. – Chcę wracać do Bostonu.

– Nie dziś – powtórzył Ketchum. – Terroryści nie zbombardują Bostonu, Carmello; stamtąd wyleciały dwa

samoloty. Gdyby mieli zaatakować Boston, już by to zrobili.

– Jutro cię odwiozę – obiecał Danny; nie mógł patrzeć na Pam, która wyraźnie była u kresu sił.

– Zostaw psa… ja się nim zajmę – powiedziała do Ketchuma. – Do hotelu go nie wpuszczą, a ty powinieneś tam nocować, bo będziesz pił.

– Ty stawiasz – zakomunikował Danny'emu Ketchum.

– Oczywiście, że stawiam – odparł Danny.

Wszystkie psy weszły do środka i stłoczyły się w kuchni. Odkąd Ketchum krzyknął „Miriady!”, w pomieszczeniu zapanowała względna cisza, co zaniepokoiło zwierzęta.

– Nie ma co się pienić, Śmiały, jutro po ciebie przyjadę – zapowiedział psu Ketchum. – Nie musisz dziś jechać do szpitala? – zapytał Pam.

– Jakoś się wymigam – skwitowała obojętnie. – Lubią mnie.

– Hm, psiakrew… ja też cię lubię – odparł niezdarnie, lecz Pan zbyła to milczeniem; wiedziała, że szansa przeszła jej koło nosa. Nie pozostawało jej nic innego, jak odgrodzić sobą dwoje dzieci (należące do jednej z młodych kobiet) od nieobliczalnego owczarka; ten pies miał nierówno pod sufitem. Wiedziała, że prędzej uchroni dzieci przed pogryzieniem, niż skłoni Ketchuma, aby ponownie z nią zamieszkał. Proponował nawet, że zapłaci za jej operację – w tej zasranej luksklinice w pobliżu Dartmouth – ale Pam podejrzewała, że jego hojność to raczej forma skruchy za zostawienie kowboja przy życiu aniżeli dowód niegasnącego uczucia.

– Wynocha. Jazda z mojej kuchni. Wynocha, mówię – burknęła nagle; nie chciała się rozkleić na oczach obcych ludzi. Wszystkie burki, jak nazywał je Ketchum, oprócz jednego rzuciły się do drzwi, zanim Pam zdążyła powiedzieć: „Wy nie”. Przywykły do komendy „wynocha” i

znalazły się na zewnątrz szybciej niż dwie kobiety z małymi dziećmi i stary Henry.

Nie zwróciwszy uwagi na słowa Pam, obłąkany owczarek niemiecki i Śmiały zostały na placu boju i wyzywająco mierzyły się wzrokiem z przeciwległych kątów kuchni.

– Spokój ma być – ostrzegła Pam. – Bo zatłukę. – Ale już zaczęła płakać i w jej głosie zabrakło zwykłej werwy. Psy przestały się bać; kapitulację czuły na kilometr.

I znów jechali we troje cuchnącą furgonetką – Danny ponownie w środku, a Carmella z twarzą jak najbliżej okna – gdy Ketchum włączył radio. Nie było jeszcze trzeciej, ale burmistrz Giuliani zwołał konferencję prasową. Ktoś zapytał go o liczbę ofiar.

– Na razie wolę nie snuć domysłów – odpowiedział Giuliani. – Na pewno więcej, niż możemy znieść.

– Zdaje mi się, że trafił w sedno – uznał Danny.

– A ty myślisz o tym, żeby wrócić do kraju, tak? – zapytał nagle Ketchum. – Czy nie mówiłeś, że już nie masz powodu, aby dłużej mieszkać w Kanadzie, i że chcesz wrócić do ojczyzny? Czy nie marudziłeś ostatnio, że nie czujesz się jak Kanadyjczyk… i że bądź co bądź jesteś Amerykaninem?

– Chyba tak – odpowiedział Danny; czuł, że lepiej mieć się na baczności. – Tu się urodziłem… jestem Amerykaninem. To, że zostałem obywatelem Kanady, jeszcze nie czyni mnie Kanadyjczykiem – nie wytrzymał.

– Ha, oto dowód na to, jaki ze mnie idiota… Jestem jednym z tych niedorozwiniętych gości, którzy wierzą w to, co czytają – odparł chytrze stary flisak. – Wiesz, Danny, trochę to trwało, zanim nauczyłem się czytać, ale czytam nieźle, a ostatnio całkiem dużo.

– Do czego zmierzasz, Ketchum? – zapytał Danny.

– Myślałem, że jesteś pisarzem – odpowiedział Ketchum. – Wyczytałem gdzieś, że uważasz nacjonalizm za „ograniczenie”. I wspomniałeś, że pisarze to „outsiderzy”, a ty sam wolisz trzymać się z boku.

– To prawda – przyznał Danny. – Oczywiście, to był wywiad, nie zapominajmy o kontekście…

– Do dupy z kontekstem! – wrzasnął Ketchum. – Kogo to obchodzi, że nie czujesz się Kanadyjczykiem? I że jesteś Amerykaninem? Skoro jesteś pisarzem, powinieneś być outsiderem i trzymać się z boku.

– Wygnańcem, chciałeś powiedzieć – sprecyzował Danny.

– Twój kraj schodzi na psy… od pewnego czasu – oświadczył Ketchum. – Pozostając w Kanadzie, zyskujesz lepszą perspektywę, aby to dostrzec i opisać. Wiem, że stać cię na to.

– Zostaliśmy zaatakowani, panie Ketchum – wtrąciła bez większego przekonania Carmella. – Czy dlatego schodzimy na psy?

– Liczy się to, jakie kroki podejmiemy – odpowiedział jej Ketchum. – I jak zareaguje Bush. Czy nie to jest najważniejsze? – zwrócił się do Danny'ego, lecz pisarzowi daleko było do jego pesymizmu. Nie doceniał zamiłowania przyjaciela do najczarniejszych scenariuszy.

– Zostań w Kanadzie – powiedział Ketchum. – Mieszkając za granicą, z łatwością odróżnisz prawdę i fałsz w kraju. Znaczy, lepiej niż tu.

– Wiem, że tak ci się zdaje – odparł Danny.

– Ci biedni ludzie w wieżach… – zaczęła Carmella, ale urwała. Jej też daleko było do pesymizmu Ketchuma.

Kiedy o czwartej siedzieli w hotelowym barze i oglądali telewizję, CNN doniosło, że zdaniem władz samolot, który rozbił się w Pensylwanii, miał zadanie zniszczyć jeden z

trzech potencjalnych celów: Camp David, Biały Dom bądź też budynki Kapitolu.

– Ja stawiam na Biały Dom – oznajmiła Carmella, popijając drugi kieliszek wina.

– Serio uważasz, że powinienem ożenić się z Pam? – zapytał Ketchum.

– Może chociaż spróbuj z nią zamieszkać – podsunął Danny.

– Hm, kiedyś mieszkałem – przypomniał mu stary flisak. – Nie do wiary, że Pam chciała przelecieć Ziółko! – krzyknął, po czym zreflektował się z uwagi na Carmellę i dodał: – Przepraszam.

Potem przeszli do jadalni i zjedli potężną kolację. Danny dalej pił tylko piwo, wzbudzając tym niesmak Ketchuma, który osuszył z Carmellą dwie butelki czerwonego wina, po czym Carmella oznajmiła, że idzie spać.

– To był ciężki dzień – powiedziała. – Ale bardzo panu dziękuję za pokazanie mi rzeki… i za wszystko. – Zakładała, że rano się nie zobaczą, i słusznie: Ketchum wstawał skoro świt, nawet po popijawie. Obaj panowie zaproponowali, że odprowadzą ją do pokoju, ale nie chciała o tym słyszeć; zostawiła ich w jadalni, a Ketchum natychmiast zamówił kolejną butelkę wina.

– Nie pomogę ci jej wypić – uprzedził Danny.

– Nie potrzebuję twojej pomocy, Danny – odparł Ketchum.

Problem z piciem piwa w przypadku osoby drobnej budowy polega na tym, że jest pełna, zanim się upije, ale Danny się zawziął, że Ketchum nie skusi go czerwonym winem. W dalszym ciągu uważał, że w pewnym sensie przyczyniło się do śmierci ojca, a w dniu rozsypania jego prochów w rzece bynajmniej nie miał zamiaru bagatelizować wspomnienia owej strasznej nocy, gdy w

odwecie za zamordowanie Dominica wpakował w kowboja cały magazynek.

– Musisz wrzucić na luz, Danny – mówił Ketchum. – Więcej odwagi!

– Wolę piwo, Ketchum. Nie dla mnie czerwone wino – odpowiedział Danny.

– Jezu, jako pisarz, mówię! – uściślił Ketchum.

– Jako pisarz? – upewnił się Danny.

– Uparcie omijasz trudniejsze tematy – oznajmił Ketchum. – Ślizgasz się po obrzeżach spraw.

– Serio? – zdumiał się Danny.

– No ba. Tak jakbyś unikał tego, co niewygodne – powiedział Ketchum. – Musisz wpakować nos w sam środek i wyobrazić sobie… wszystko.

Danny odebrał to wówczas nie tyle jako zarzut w duchu krytyki literackiej, ile propozycję spędzenia nocy w furgonetce – albo w wędzarni, z obdartym ze skóry, dymiącym niedźwiedziem.

– A niedźwiedź? – spytał nagle. – Ogień nie zgaśnie?

– E, dość już się pewnie uwędził. Jutro rozpalę na nowo – zbył go niecierpliwie Ketchum. – Jeszcze jedna sprawa… no dobra, dwie. Przede wszystkim, nie jesteś miastowy… przynajmniej ja tak uważam. Wieś to miejsce dla ciebie. Znaczy, jako pisarza – dodał łagodniejszym tonem. – Po drugie, choć to moim zdaniem ważniejsza sprawa, zasrany pseudonim już ci niepotrzebny. Pamiętam, jak się kiedyś przed nim broniłeś; pora wrócić do własnego nazwiska. Dla taty zawsze byłeś Danielem, poza tym sam powtarzałeś, że Daniel Baciagalupo to świetne nazwisko dla pisarza. Rzecz jasna dla mnie zawsze będziesz Dannym, ale… powtarzam, jako pisarz… powinieneś być Danielem Baciagalupo.

– Wiem z góry, co powiedzą na to moi wydawcy – odpowiedział Danny. – Nie omieszkają mi przypomnieć, że

Danny Angel to sławny autor bestsellerów. I zaznaczą, że nieznany pisarz o nazwisku Daniel Baciagalupo nie sprzeda tylu książek.

– Mówię ci tylko, co jest dla ciebie dobre… jako dla pisarza – rzucił bezceremonialnie Ketchum.

– Zaraz, czy ja dobrze rozumiem – odparł z lekką irytacją pisarz. – Mam zmienić nazwisko, zamieszkać na wsi w Kanadzie i wrzucić na luz, czyli wykazać więcej odwagi jako pisarz – wyrecytował skrupulatnie.

– Zaczynasz łapać – pochwalił flisak.

– Jeszcze coś? – zapytał Danny.

– Odkąd sięgam pamięcią, jesteśmy podupadającym imperium – oznajmił Ketchum i wcale nie żartował. – Stracony naród, Danny. Więc przestań się opierdzielać.

Zapatrzyli się na siebie, pochyleni nad stołem; Danny usiłował pić, nie spuszczając przy tym wzroku z Ketchuma. Bardzo go kochał, ale stary przyjaciel go zranił; umiał to robić jak nikt.

– Cóż, do zobaczenia w święta – powiedział Danny. – To już niedługo.

– Może nie w tym roku – odparł Ketchum.

Pisarz wiedział, że ryzykuje kuksańca żelazną prawą pięścią, ale sięgnął przez stół i ujął lewą rękę flisaka.

– Nie… nie… – powiedział, ale ten bez trudu wyrwał dłoń.

– Rób swoje, Danny – powiedział. – Rób swoje, a ja będę robił swoje.

VI
POINTE AU BARIL STATION, ONTARIO, 2005

Rozdział 16
STRACONY NARÓD

Już od trzech lat pisarz Daniel Baciagalupo – który powrócił do nazwiska, jakie nadali mu rodzice – spędzał styczeń, luty oraz dwa pierwsze tygodnie marca na wyspie Turner w Georgian Bay. Wyspa dalej należała do Charlotte, niegdysiejszej miłości jego życia, ale Charlotte i jej rodzina nie mieli najmniejszej ochoty chodzić po zamarzniętym jeziorze i ośnieżonych kamieniach w sercu zimy, gdy mieszkali sobie szczęśliwie w Los Angeles.

Danny ulepszył to miejsce, nie tylko według kryteriów Ketchuma. Andy Grant przymocował podgrzewane kable elektryczne do rur odpływowych używanych zimą; te same rury zostały również owinięte folią izolacyjną. Danny uzyskałby ciepłą wodę, gdyby zastosował podobną metodę w przypadku rur prowadzących do zatoki, lecz wymagałoby to większego zachodu – nie wspominając o wstawieniu bojlera do głównego budynku, co uchroniłoby rury przed zamarznięciem. Prościej było zrobić przerębel i nosić wodę w wiadrze. Trochę się przy tym namachał, ale – jak powiedziałby Ketchum – co z tego?

Musiał ciąć nie tylko lód, ale i drewno. Piła łańcuchowa Ketchuma okazała się jak znalazł. W ciągu dziesięciu spędzonych tam tygodni Danny przygotował sobie zapas drewna na następną zimę, a także wystarczającą ilość na użytek Charlotte i jej rodziny, w razie gdyby w letnie noce doskwierał im chłód.

Oprócz pieca w głównym budynku był też kominek gazowy w sypialni, a także grzejnik elektryczny w łazience, Andy Grant zaś umieścił wełnę celulozową pomiędzy belkami podłogi. Główny budynek został więc

przystosowany do zimy, a w pracowni Danny'ego stał drugi piec. Nie była ocieplona, ale jej rozmiary tego nie wymagały, zresztą Danny obłożył zewnętrzne ściany śniegiem, dzięki czemu nie wiało do środka.

Co wieczór rozpalał w dużym piecu, a kiedy budził się rano, wystarczyło tylko dorzucić drewna i otworzyć do końca przewód kominowy. Następnie szedł do pracowni i palił w piecu. Na noc musiał przykrywać maszynę do pisania kocem elektrycznym, inaczej zamarzała. Gdy pracownia się rozgrzewała, Danny robił dziurę w lodzie i zanosił do głównego budynku dwa wiadra wody. Jedno starczało mu na cały dzień do spłukiwania toalety, drugie do gotowania i zmywania naczyń. Przepastna wanna Charlotte mieściła lekko cztery lub pięć wiader, w tym dwa, które należało podgrzać (prawie do punktu wrzenia), ale Danny kąpał się dopiero pod koniec dnia.

Rankiem siadał do pracy, natchniony widokiem pokrzywionej sosny – niedużego drzewka, które przed laty nasunęło jemu i Ketchumowi skojarzenie z ojcem. Pisał aż do wczesnego popołudnia; resztę dnia, dopóki było widno, przeznaczał na codzienne czynności. Nigdy nie brakowało drewna do porąbania, prawie codziennie też jechał do miasta. Jeśli nie miał do zrobienia dużych zakupów ani śmieci do wywiezienia, szedł na nartach biegowych. Trzymał je razem z kijkami w chatce dziadka opodal przystani (czyli w nieogrzewanym, wedle legendy nawiedzonym domku, w którym nocował Ketchum ze Śmiałym – w domku z klapą w podłodze, gdzie dziadek Charlotte, sprytny kłusownik, przechowywał nielegalnie ubitego zwierza).

Zatokę Shawanaga pokonywał na nartach w mgnieniu oka, po czym docierał do Pointe au Baril Station. Zakładał specjalną uprząż, a między łopatkami miał kółko, do którego przyczepiał karabińczyk ze sznurkiem przytwierdzonym do sań. Naturalnie w razie gdy nazbierało

się dużo śmieci lub też miał w Pointe au Baril do zrobienia duże zakupy, wybierał skuter lub airboat[*].

Andy Grant uprzedził pisarza, że przyda mu się jedno i drugie. Zimą rzadko zdarzała się pogoda, która utrudniałaby korzystanie z airboata, może tylko wówczas gdy temperatura wędrowała powyżej zera; śnieg przywierał do kadłuba i airboat z trudem przesuwał się po zaśnieżonym lodzie. Wtedy przydawał się skuter. Na początku stycznia, kiedy Danny zjawiał się na wyspie Charlotte, woda przy Pointe au Baril Station nie była zamarznięta, a po wzburzonym nurcie dryfowały kry. Airboat był wówczas nieodzowny, podobnie jak – czasami – w połowie marca. Zdarzało się, chociaż rzadko, że lody w zatoce puszczały już o tej porze.

Airboat z łatwością sunął po lodzie, śniegu i wodzie, a nawet krach. Mógł wyciągnąć sto sześćdziesiąt kilometrów na godzinę, lecz Danny unikał takiej prędkości; łódź miała silnik samolotowy oraz pojedynczą, zamontowaną z tyłu śrubę. Była tam również podgrzewana kabina, a w czasie jazdy nakładało się specjalne słuchawki dla ochrony przed hałasem. Była najdroższym z zimowych „wynalazków” Danny'ego, ale kupił ją na spółkę z Andym Grantem. Andy docierał nią do pracy, nie tylko w grudniu, gdy w zatoce zaczynał tworzyć się lód, ale i od połowy marca, do czasu aż lód znikał zupełnie, czyli zwykle do końca kwietnia.

Danny lubił wyjeżdżać z Georgian Bay przed początkiem pory błota; lód puszczający w zatoce nie stanowił dla niego atrakcji (w zasadzie nie było tu mowy o porze błota z uwagi na kamieniste podłoże, jednak dla pisarza Daniela Baciagalupo pora błota była w północnej Nowej Anglii nie tylko konkretnym zjawiskiem, ale przede wszystkim stanem umysłu).

Ponieważ rodzina Charlotte rzadko korzystała z sypialni w głównym budynku (służyła jako pokój gościnny), Danny

przez cały rok przechowywał tam zimową odzież, czyli buty, najcieplejszą kurtkę, nieprzemakalne spodnie oraz czapki. Naturalnie letnie rekwizyty Charlotte i jej rodziny widniały wszędzie – w tym coraz to nowe fotografie na ścianach – lecz pracownię Danny'ego pozostawiano bez zmian. Charlotte znalazła parę zdjęć Ketchuma z Dominikiem, a także dwa lub trzy Joego, które powiesiła w pracowni, zapewne po to, aby Danny czuł się jak w domu – tak jakby zrobiła za mało, aby nie czuł się skrępowany.

Mąż Charlotte, Francuz, najwyraźniej zajmował się kuchnią, gdyż niezmiennie zostawiał Danny'emu liściki na temat nowego sprzętu. Danny również zostawiał mu liściki, co roku obdarowywali się też przeróżnymi kuchennymi gadżetami.

Odnowione niedawno domki sypialne – w których Charlotte, jej mąż oraz dzieci nocowali każdego lata – stanowiły dla Danny'ego strefę zakazaną. Drzwi były zamknięte na klucz, a dopływ gazu i elektryczności odcięty, podobnie jak kanalizacja. Każdej zimy Danny przynajmniej zaglądał przez okna – na prywatnej wyspie nie wieszano zasłon. Chciał jedynie zerknąć na nowe fotografie na ścianach i zobaczyć, jakież to nowe zabawki i książki dzieci pozostawiły tym razem; przecież nie naruszał tym niczyjej prywatności, prawda? Z zimowej, odległej perspektywy rodzina Charlotte wydawała się Danielowi Baciagalupo bardzo szczęśliwa. Liściki wymieniane z Francuzem zastąpiły nieczęste obecnie telefony z Zachodniego Wybrzeża, i co rok we wrześniu Danny tradycyjnie wyjeżdżał z Toronto, kiedy Charlotte i jej mąż reżyser zjawiali się na festiwalu.

Ketchum radził pisarzowi, żeby zamieszkał na wsi. Jego zdaniem Danny nie był „miastowy”.

Cóż, marne dziesięć tygodni spędzane na wyspie nie było tym samym co życie na wsi; Danny dużo podróżował, ale resztę czasu spędzał w Toronto. A jednak od początku

stycznia do połowy marca samotna wysepka i miasteczko Pointe au Baril Station były raczej odcięte od świata. Jak mawiał Ketchum, „Gdy spadnie śnieg, lepiej widać brzozy”. Zimą populacja Pointe au Baril Station wynosiła jedynie dwieście osób.

Przyzwoicie zaopatrzony pub „Kennedy's” był otwarty zimą przez większość tygodnia. Przy trasie 69 znajdowała się restauracja „Haven”, gdzie serwowano alkohol i można było pograć w bilard. Przejawiano tam wielkie upodobanie do dekoracji świątecznych, a Mikołaje były dosłownie na każdym kroku – nawet okoń miał mikołajową czapkę. I podczas gdy większość gości wybierała skrzydełka z krążkami cebuli oraz frytki, Danny poprzestawał na kanapkach z bekonem i sałatą oraz surówce, o ile w ogóle tam chodził, czyli rzadko.

Tawerna Larry'ego też stała przy trasie 69 – Danny nocował tam z Ketchumem podczas myśliwskich wypraw – choć krążyły pogłoski, że ma zostać sprzedana, aby zrobić miejsce pod nową autostradę. Trasę 69 poszerzano non stop, lecz na razie stacja Shella jeszcze działała; podobno było to jedyne miejsce w okolicy, gdzie sprzedawano czasopisma pornograficzne (jeśli polegać na opinii Ketchuma, dość marnej jakości).

Krótko mówiąc, zimą okolica raczej świeciła pustkami i nie było wielu tematów do rozmowy prócz ciągłej wymiany domysłów, czy lód skuje całą zatokę, czy może jednak nie, i na jak długo. Przez całą zimę lokalna gazeta i mieszkańcy prześcigali się w makabrycznych opisach wypadków na trasie 69; faktycznie było ich mnóstwo. Tej zimy mieli już karambol na skrzyżowaniu Go Home Lake Road, a może w pobliżu Little Go Home Bay, Danny'emu zawsze się te nazwy myliły. W oczach tubylców, którzy nie wiedzieli, że jest sławnym pisarzem, Daniel Baciagalupo uchodził za kolejnego tępego Amerykanina.

W sklepie monopolowym – przy trasie 69, naprzeciw sklepu wędkarskiego – naturalnie drzwi się nie zamykały, podobnie jak w stacji pogotowia ratunkowego w Pointe au Baril, gdzie kierowca karetki opowiedział Danny'emu, który przyjechał na swoim skuterze śnieżnym, o tym jak pewien mężczyzna na skuterze wpadł w zatoce pod lód.

– Utonął? – spytał Danny.

– Jeszcze go nie znaleźli – odpowiedział kierowca karetki.

Danny pomyślał, że pewnie stanie się to gdzieś w połowie kwietnia. Według tego samego rozmówcy w Honey Harbour doszło do „paskudnej czołówki", a w okolicach Port Severn „ktoś komuś wjechał w kufer". Zimowe życie na prowincji to nie bajka: napędzane alkoholem i śniegiem toczy się na złamanie karku i nierzadko z udziałem przemocy.

Owe dziesięć tygodni spędzone w okolicy Pointe au Baril Station stanowiły potężną dawkę prowincjonalnego życia, być może nie na miarę oczekiwań Ketchuma, ale Danny'emu starczały w zupełności. Dawkę dla pisarza pożądaną, jakkolwiek Ketchum uwzględniłby ją lub nie.

W restauracji po godzinach, ósma i ostatnia powieść „Danny'ego Angela", ukazała się w 2002 roku, siedem lat po *Dziecku na drodze*. Przewidywania Danny'ego okazały się słuszne: wydawcy narzekali, że powieść nieznanego pisarza Daniela Baciagalupo w żadnym razie nie sprzeda się w takim nakładzie jak nowa powieść Danny'ego Angela.

Danny uświadomił swoim wydawcom, że *W restauracji po godzinach* to bezwzględnie ostatnia powieść, jaką wyda pod nazwiskiem Angel. W każdym wywiadzie do znudzenia mówił o sobie jako o Danielu Baciagalupo i w kółko powtarzał historię okoliczności, które zmusiły go do przybrania *nom de plume* w czasach, gdy był jeszcze młodym i początkującym pisarzem. Nigdy nie było tajemnicą, że „Danny Angel" to pseudonim ani że pisarz

naprawdę nazywa się Daniel Baciagalupo – nikt nie wiedział tylko dlaczego.

Przypadkowa śmierć syna autora bestsellerów – nie wspominając o brutalnym zamordowaniu jego ojca i zastrzeleniu mordercy – narobiła dużo szumu. Danny mógł obstawać przy tym, aby *W restauracji po godzinach* była debiutem Daniela Baciagalupo; wydawcy pogodziliby się z jego życzeniem, aczkolwiek początkowo niechętnie. Koniec końców stanęło na tym, że debiutem Daniela Baciagalupo będzie jego następna (czyli dziewiąta) powieść.

W restauracji po godzinach spotkała się z ciepłym przyjęciem i w większości pozytywnymi recenzjami – często chwalono autora za niedzisiejszy „umiar". Możliwe, że nadużywane słowo „umiar" spędzało pisarzowi sen z oczu, choć rzecz jasna stanowiło komplement. Danny nie miał poznać zdania Ketchuma, jednakże „umiar" nie odgrywał w słowniku flisaka znaczącej roli, przynajmniej w kategorii zalet. Czy ostatnia powieść Danny'ego Angela spełniłaby oczekiwania Ketchuma co do „wrzucenia na luz", czyli wykazania większej odwagi? Danny miał co do tego poważne wątpliwości.

„Uparcie omijasz trudniejsze tematy", powiedział mu Ketchum. Czy w przypadku W *restauracji po godzinach* nocne wysiłki łagodnego zastępcy kucharza usiłującego osiągnąć kunszt ojca zakrawały na „ślizganie się po obrzeżach spraw", jak nieżyczliwie ujął to Ketchum? Danny chyba tak podejrzewał, czyż w przeciwnym razie nie podpisałby się dumnie jako Daniel Baciagalupo?

„Jego najsubtelniejsze dzieło", napisał entuzjastycznie jeden z krytyków. W mało subtelnym języku flisaka określenie „subtelny" nigdy nie padało w formie komplementu.

„Jego najbardziej symboliczne przedsięwzięcie", skomentował inny krytyk.

Trudno powiedzieć, jak Ketchum odniósłby się do określenia „symboliczne”, ale pisarz nie miał wątpliwości: wrzuciłby je do jednego worka z subtelnością oraz umiarem i określił mianem „unikania tego, co niewygodne”, za które tak bezlitośnie skrytykował Danny'ego.

A czy spodobałoby mu się to, jak Danny odpowiadał na pytania natury politycznej, zadawane mu na każdym kroku podczas promocji nowej książki? W 2005 roku pisarz dalej musiał na nie odpowiadać, a czekało go jeszcze kilka spotkań.

„Tak, to prawda – nadal mieszkam w Kanadzie i tu zostanę”, mówił Danny. „Z tym że okoliczności, które zmusiły mnie do wyjazdu, zostały – jak to ujął przyjaciel rodziny – usunięte” (oczywiście to Ketchum używał tego wyrażenia w kontekście martwego kowboja – i to nie raz).

„Nie, to nieprawda, że mam «zastrzeżenia polityczne» co do powrotu do Stanów”, powtarzał wielokrotnie. „To, że mieszkam w Kanadzie i mam kanadyjskie obywatelstwo, nie stoi na przeszkodzie, abym przestał pisać o Amerykanach lub zachowaniach, które z nimi kojarzę. Możemy przyjąć założenie, że pobyt za granicą, a szczególnie w Kanadzie, która ze Stanami sąsiaduje, daje mi szerszą, a już na pewno mniej amerykańską perspektywę”. Ketchum bez wątpienia rozpoznałby źródło tej wypowiedzi, choć niekoniecznie doceniłby takt, z jakim Danny odnosił się do pytań o swój stosunek do ojczyzny.

„Za wcześnie, żeby o tym mówić”, oświadczał niezmiennie w odpowiedzi na pytanie o to, jak ataki z jedenastego września i odwetowa reakcja prezydenta Busha wpłynęły na Stany Zjednoczone, a także do czego doprowadzą wojny w Afganistanie i Iraku, i czy Kanada zostanie wciągnięta w recesję lub depresję. (Ponieważ los Stanów był w tej kwestii przesądzony, prawda? Tak przynajmniej dawali do zrozumienia dziennikarze kanadyjscy.)

Mijały cztery lata, odkąd Ketchum nazwał Stany Zjednoczone „upadającym imperium”; ciekawe, jak nazwałby je teraz? Pytania zadawane Danny'emu w Kanadzie coraz częściej dotyczyły polityki. Wystarczyło wspomnieć niedawny wywiad dla „Toronto Star”.

Czy to prawda, że Stany Zjednoczone są „beznadziejnie nadwerężone militarnie”? Czy rząd federalny „nie ugina się” pod ciężarem długów? I jak Danny skomentuje „wojownicze, zaczepne nastawienie” Ameryki? Czy „była ojczyzna” pisarza, jak to ujął dziennikarz, nie stoi „o krok od przepaści”?

Jak długo jeszcze, zastanawiał się Danny, odpowiedzi na te i podobne insynuacje będę zaliczać do kategorii „za wcześnie, żeby o tym mówić”? Pisarz wiedział, że nie sposób wykręcać się w nieskończoność. „Trawię powoli… to znaczy, jako pisarz” lubił podkreślać na wstępie swoich wypowiedzi. „Poza tym tworzę fikcję, co oznacza, że nie zamierzam pisać o wydarzeniach jedenastego września, choć być może wykorzystam je po jakimś czasie, ale tylko w kontekście historii własnego pomysłu”. Wymijająca i lakoniczna natura tej ostrożnej deklaracji wzbudziłaby zapewne dość gwałtowną reakcję Ketchuma.

Bądź co bądź Danny znalazł się na indeksie za swą znamienną wypowiedź na temat wyborów z 2000 roku – tych, które Bush „ukradł” Gore'owi – a mianowicie, że była to „kradzież”. Jak mógł nie skomentować wyborów z roku 2004, kiedy to Bush pobił Johna Kerry'ego w wyniku kontrowersyjnej taktyki i dzięki odwołaniu się do najgorszych pobudek? Zdaniem Danny'ego John Kerry dwukrotnie wykazał się bohaterstwem – najpierw walcząc w Wietnamie, a potem protestując przeciwko wojnie. Mimo to wzbudził dezaprobatę zatwardziałych amerykańskich patriotów, którzy w swej głupocie lub uporze dalej bronili poronionej wojny.

Danny często powtarzał dziennikarzom, że dzięki swej tak zwanej byłej ojczyźnie nauczył się rozumieć i doceniać przytaczane często powiedzenie Samuela Johnsona, że „patriotyzm to ostatnia deska ratunku łajdaka”. Bywało, że niestety na tym nie poprzestawał. Czasem posuwał się do stwierdzenia – brzmiącego zupełnie jak zdanie Ketchuma – że w przypadku wyborów z 2004 roku owym łajdakiem był nie tylko George W. Bush, lecz także każdy durnowaty wyborca amerykański, którego zdaniem John Kerry nie miał w sobie dość patriotyzmu, by zostać prezydentem.

Jego wypowiedzi cytowano, szczególnie fragment o „zatwardziałych patriotach”, nie wspominając o „durnowatych wyborcach amerykańskich”. Pisarz Daniel Baciagalupo faktycznie napisał i wydał osiem powieści pod *nom de plume* „Danny Angel”, a także uciekł wraz z ojcem ze Stanów i zamieszkał w Kanadzie – w obawie przed szaleńcem, który chciał ich zabić, obłąkanym byłym gliniarzem, który koniec końców zastrzelił jego ojca – jednakże większość świata wychodziła z założenia, że Daniel Baciagalupo został w Kanadzie ze względów politycznych.

Pisarzowi znudziło się nieustanne zaprzeczanie tej wersji, poza tym udawanie Ketchuma było łatwiejsze. W podobnym duchu skomentował ostatni sondaż, według którego liczba Amerykanów opowiadających się przeciwko małżeństwom homoseksualnym dwukrotnie przewyższała tych, którzy deklarowali przynajmniej lekkie zaniepokojenie konsekwencjami wojny w Iraku. „Zacofana homofobia Busha zasługuje na najwyższe potępienie”, oznajmił, umacniając się tym samym w roli kontestatora; opinie głoszone w duchu Ketchuma łatwo wpadały w ucho.

Na lodówce w swej kuchni w Toronto Danny zgromadził listę pytań do Ketchuma. Nie wyglądały jednak jak lista, były zbyt chaotyczne. Zapisywał je na świstkach i przylepiał. A ponieważ każdy świstek opatrzony był datą,

zbieranina informacji na lodówce przywodziła na myśl kalendarz postępów wojny w Iraku. Wszystko wskazywało na to, że lada dzień zabraknie miejsca na kolejne.

Nawet najbardziej antyamerykańscy spośród kanadyjskich znajomych pisarza uważali te lodówkowe zapiski za dziecinną stratę czasu (i taśmy klejącej). W 2002 roku, gdy ukazała się *W restauracji po godzinach*, Danny wyrobił w sobie nawyk słuchania amerykańskiej stacji z muzyką country. Łapał ją dopiero późnym wieczorem; podejrzewał, że sygnał jest najmocniejszy, kiedy wiatr wieje na północ od jeziora Ontario.

Czy robił to, żeby się powściekać na swoją „byłą" ojczyznę? Nie, bynajmniej; żałował po prostu, że nie może usłyszeć reakcji Ketchuma na szmirowate kawałki. Chciał usłyszeć, jak stary flisak mówi: „Ja ci powiem, o co chodzi z tym zasranym patriotyzmem – to mrzonka! Nie znaczy nic prócz tego, że Ameryka zawsze chce być górą". Bo czyż nie powiedziałby czegoś w tym stylu?

A teraz, gdy od początku wojny w Iraku minęły prawie dwa lata, czy nie grzmiałby, że w wyniku szerzącej się dezinformacji większość Amerykanów nie widzi, iż wojna ta ma na celu odwrócenie uwagi od tak zwanej wojny z terroryzmem – i nie ma z nią nic wspólnego?

Danny nie miał nic do zarzucenia chęci zniszczenia al Kaidy – „Wytropić i zniszczyć zasrany Hamas i Hezbollah, póki czas!", krzyczał Ketchum – ale Irak Saddama był od początku do końca świecką tyranią. Czy większość Amerykanów rozumiała tę różnicę? Dopóki nie wkroczyliśmy do Iraku, nie było w nim al Kaidy, prawda? (Niektóre zagadnienia przerastały Danny'ego; brakowało mu pewności siebie Ketchuma. A poza tym mniej czytał).

Co powiedziałby rozsierdzony flisak z Coos na wieść o tym, że Stany Zjednoczone zapowiedziały „koniec operacji militarnej" w Iraku w maju 2003 roku – niespełna dwa

miesiące po rozpoczęciu wojny? To dopiero było dobre pytanie.

Lodówkowe zapiski Danny'ego stanowiły memento wojennego szaleństwa, ale pisarz sam zachodził w głowę nad ich sensem, gdyż zasadniczo sprowadzały się do tego, że psuły mu humor.

Co do odrębnych, acz podobnie brzmiących deklaracji amerykańskiego sekretarza stanu Colina Powella i brytyjskiego premiera Tony'ego Blaira – którzy zaklinali się w maju 2003 roku, jakoby doniesienia wywiadu na temat skali zagrożenia iracką bronią masowego rażenia w pełni usprawiedliwiały atak na Irak – Ketchum powiedziałby zapewne: „Pokażcie mi tę broń, debile!”.

Zdarzało się, że Danny czytał pytania do Ketchuma psu. („Nawet pies” powiedziałby Ketchum, „ma dość oleju w głowie, żeby przewidzieć, do czego prowadzi ta wojna!”).

Nadejdzie kolejna pora błota, a wraz z nią sześćdziesiąte trzecie urodziny Daniela Baciagalupo. Był człowiekiem, który stracił jedyne dziecko i ojca, mieszkał sam, a do tego jeszcze był pisarzem. Nic dziwnego, że rozmawiał z psem i czytał mu na głos.

Na Śmiałym natomiast, ekscentryczne zachowanie Danny'ego nie robiło wrażenia. Były pies myśliwski przywykł, że ktoś mu truje; wolał to niż walkę z niedźwiedziem.

Wiek psa stanowił zagadkę. Ketchum wypowiadał się na ten temat dość oględnie, toteż nie wiadomo było, ile dokładnie pokoleń minęło od czasów pierwszego „szlachetnego zwierzęcia”. Pysk mu trochę posiwiał, chociaż cętkowana maść skuteczne maskowała siwiznę. To, że kulał, również wcale nie musiało świadczyć o jego podeszłym wieku; pamiątka po pazurach niedźwiedzia zagoiła się dawno temu, choć na przetrąconym biodrze

zostały blizny. Rozszarpane, niekompletne ucho też się zagoiło, ale tkanka była w tym miejscu czarna i bezwłosa.

Najbardziej makabryczne wrażenie robił brak powieki – nie po stronie zmasakrowanego ucha, tylko po drugiej. Była to pamiątka po ostatniej walce z owczarkiem niemieckim Pam, przy czym Pam twierdziła, że w ostatecznym, decydującym starciu Śmiały wysunął się na prowadzenie. Owczarka trzeba było uśpić. Pam jednak nie miała tego Śmiałemu za złe; jej zdaniem psy od początku nienawidziły się szczerze i z całego serca.

W oczach pisarza poturbowany pies był żywą repliką Coos, gdzie śmiertelna nienawiść podążała zwykle własnym trybem. Podobnie zresztą jak gdzie indziej, stwierdzał, spoglądając na lodówkę.

W styczniu 2004 roku liczba amerykańskich żołnierzy zabitych w Iraku od początku wojny wzrosła do pięciuset. „Psiakrew, pięciuset to jeszcze nic… dopiero się rozkręcamy”, powiedziałby stary flisak. „Jeszcze parę lat i dobijemy do pięciu tysięcy, a jakiś debil będzie nam wmawiał, że pokój i stabilizacja są na wyciągnięcie ręki”.

– I co ty na to, Śmiały? – zagadnął Danny psa, który w odpowiedzi zastrzygł uszami. – Czy nasz wspólny przyjaciel nie miałby na temat wojny wiele ciekawych rzeczy do powiedzenia?

Danny umiał rozpoznać, kiedy pies naprawdę słucha, a kiedy śpi. Gdy udawał, oko bez powieki podążało za pisarzem krok w krok, lecz gdy faktycznie zasypiał jak kamień, źrenica wędrowała w niebyt, ustępując miejsca zasnutej bielmem nieruchomej gałce.

Spał w kuchni, na legowisku wypchanym szyszkami cedru. Na przekór dawnym podejrzeniom Danny'ego, w opowieściach o pierdzeniu psa nie było cienia przesady. Jego ulubioną zabawką do gryzienia była stara pochwa największego browninga, którego Ketchum woził ze sobą w

furgonetce. W przesiąkniętej olejem do ostrzenia skórze zachował się pewnie aromat martwego niedźwiedzia; sądząc po werwie, z jaką Śmiały neurotycznie wbijał w nią zęby, Danny nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości.

Trzydziestocentymetrowy nóż okazał się mniej użyteczny. Danny zaniósł go do sklepu z artykułami kuchennymi, gdzie bezskutecznie usiłowano go naostrzyć; próby domycia noża w zmywarce tylko zmatowiły ostrze. Teraz browning był nie tylko tłusty, ale i matowy, toteż Danny powiesił go w widocznym, acz niedostępnym miejscu w kuchni, jak miecz.

Broń myśliwska Ketchuma stanowiła odrębną kwestię. Danny jej nie chciał, nie w Toronto. Podarował ją Andy'emu Grantowi, z którym co rok w listopadzie polował na jelenie. Zabicie Carla pozbawiło go dotychczasowych oporów, lecz odmówił polowania ze strzelbą. „Nigdy więcej”, powiedział Andy'emu. Wolał strzelać z remingtona.30–06 springfield. Na zalesionym terenie celny strzał nie był łatwy, nawet z bliskiej odległości, ale odrzut broni – i rezonans wystrzału – zupełnie nie przypominały strzelby kaliber 20.

Andy Grant znał rejon Bayfield jak własną kieszeń; polował tu jako młody chłopak, ale przeważnie zabierał Danny'ego w miejsce bardziej pisarzowi znane, czyli na zachód od jeziora Lost Tower, pomiędzy Payne's Road a zatoką Shawanaga. W pobliżu zimowego portu skuterów śnieżnych, a czasem w zasięgu wzroku z przystani na wyspie Charlotte, znajdowała się ścieżka jeleni. I tak w listopadzie Danny mógł spoglądać poprzez szarą wodę w stronę swego zimowego domu. Na lądzie nie brakowało miejsc, z których było widać przystań na wyspie Turner, a nawet dach dziadkowej chaty, na który Ketchum rzucił kiedyś skórę zabitego grzechotnika.

Podczas tych listopadowych wypraw Danny nocował zawsze w tawernie Larry'ego. To właśnie w tamtejszym barze usłyszał, że zostanie sprzedana, gdy tylko nowa autostrada dotrze tak daleko na północ. Kim był Danny, aby

idąc za przykładem tutejszych bywalców, postulować ratowanie tawerny? Ani ona, ani motel nie wydawały mu się warte zachodu, ale nie mógł zaprzeczyć, że przydrożny przybytek długo służył miejscowemu (acz w dużej mierze autodestrukcyjnemu) celowi.

I każdej zimy, kiedy zjawiał się na wyspie Charlotte, Andy Grant pożyczał mu remingtona. „Na wypadek gnojków”, jak powiedziałby Ketchum. Zostawiał też pisarzowi parę zapasowych nabojów. Śmiały niezmiennie rozpoznawał broń; była to jedna z nielicznych chwil, kiedy machał ogonem, gdyż Ketchum polował na niedźwiedzie właśnie z remingtonem, i pies niewątpliwie przypominał sobie dreszczyk pościgu – lub też swego dawnego pana.

Minęły dwa lata, zanim Danny nauczył go szczekać. Warczenie, pierdzenie i chrapanie przychodziły Śmiałemu naturalnie – znaczy, o ile nie posiadł tych mało wyrafinowanych umiejętności za sprawą Ketchuma – ale nie szczekał. W pierwszych dniach tresury Danny podejrzewał nawet, że może stary flisak nie akceptował szczekania.

Niedaleko domu Danny'ego w Rosedale znajdował się niewielki park i plac zabaw wielkości mniej więcej boiska piłkarskiego, tuż przy dwóch nowych blokach na Scrivener Square, które – traf chciał – nie zasłoniły pisarzowi widoku na wieżę zegarową na monopolowym w Summerhill. Chodzili do parku trzy, cztery razy dziennie; Danny przeważnie trzymał Śmiałego na smyczy, na wypadek gdyby napatoczyli się na jakiegoś innego owczarka niemieckiego bądź też innego psa, który nasunąłby Śmiałemu wspomnienie świętej pamięci pupila Pam.

Kiedy już byli w parku, Danny szczekał; usiłował robić to w możliwie wiarygodny sposób, lecz nie wywierało to na Śmiałym wrażenia. Po roku bezowocnych starań

Danny'emu przyszło do głowy, czy pies nie uważa aby szczekania za oznakę słabości.

Pozostali właściciele psów w małym parku nie kryli zaniepokojenia złowróżbną aparycją ogara i jego nienaturalną wzgardą wobec innych przedstawicieli swego gatunku. Blizny i sztywne biodro też robiły swoje – o wytrzeszczonej gałce bez powieki nie wspominając.

– On po prostu stracił powiekę; nie żeby łypał czy coś – tłumaczył do upadłego Danny.

– Co się stało z uchem? – zapytała kiedyś młoda kobieta z bezmózgim spanielem.

– Ach, to był niedźwiedź – przyznał Danny.

– Niedźwiedź!

– Biedak, a jego biodro… i te straszne blizny? – chciał wiedzieć nerwowy człowieczek ze sznaucerem.

– Ten sam niedźwiedź – odpowiedział Danny.

Szczekanie zaczęło się drugiej zimy na wyspie Charlotte. Danny postawił airboat na lodzie w przystani; wyładowywał zakupy, a Śmiały czekał na niego na pomoście. Danny zaszczekał, bez większej nadziei na powodzenie; zaczynał dawać za wygraną. Ku zdumieniu ich obu odgłos rozległ się ponownie, powracając echem od strony wyspy Barclay. Słysząc to, Śmiały zaszczekał. Oczywiście jemu też odpowiedziało echo; ogar stał i słuchał, jak głos, który niepokojąco przypominał jego własny, odszczekuje mu z drugiego brzegu.

Trwało to około godziny – Śmiały stał na pomoście i szczekał. Gdyby był tu Ketchum, pomyślał Danny, raczej nie obyłoby się bez rozlewu krwi. Co ja narobiłem, myślał pisarz, ale Śmiały w końcu przestał.

Po tym incydencie pies szczekał normalnie; szczekał na skutery śnieżne, a czasami na warkot airboata gdzieś w oddali. Szczekał na gwizd pociągu, docierający z lądu, i

rzadziej na pisk opon wielkich ciężarówek na trasie 69. Co do intruzów – cóż, w tamte zimowe tygodnie nikt nie zapuszczał się na wyspę, oprócz czasem Andy'ego Granta (na niego też szczekał).

Nikt nie zaryzykowałby stwierdzenia, że ogar Ketchuma jest normalny – czy nawet prawie normalny – lecz szczekanie podreperowało nieco jego zbójecki wizerunek. Inni właściciele psów w małym parku przy Scrivener Square poczuli się przy Śmiałym nieco swobodniej – a skoro zaczął szczekać, warczał o wiele mniej. Prawdziwa szkoda, że Danny nie znalazł lekarstwa na jego ciche bąki i ogłuszające chrapanie.

Uświadomił sobie za to, że dotąd nie miał pojęcia, jak to jest mieć psa. Im więcej do niego mówił, tym rzadziej zastanawiał się nad tym, co Ketchum powiedziałby na temat sytuacji w Iraku. Czyżby posiadanie psa odbierało człowiekowi ochotę na politykowanie? Danny co prawda nigdy nie wykazywał szczególnego zacięcia w tym kierunku; daleko mu było do Katie, do Ketchuma też.

Owszem, miał swoje zdanie i nie był bezstronny. Nie był jednak antyamerykański – ba, wcale nie czuł się jak uchodźca! Świat ujęty w lodówkowe zapiski zdawał mu się coraz mniej istotny. I na pewno nie był tym, nad czym Daniel Baciagalupo chciał się zastanawiać – zwłaszcza, jak powiedziałby Ketchum, jako pisarz.

Na trasie 69 w pobliżu Horseshoe Lake Road zdarzył się wypadek. Pacan jadący samochodem terenowym wjechał w tył ciężarówki wiozącej bydło, zabijając siebie i parę krów. Było to pierwszej zimy, którą Danny spędził na wyspie Charlotte; dowiedział się o wszystkim od swojej sprzątaczki. Była to przedstawicielka Pierwszego Narodu, młoda kobieta o czarnych oczach i włosach, ładnej twarzy i grubych, mocnych rękach. Raz w tygodniu Danny jechał

airboatem na przystań rezerwatu indiańskiego Shawanaga; tam odbierał ją i odwoził pod koniec dnia, lecz prawie na pewno mieszkała gdzie indziej. Z przystani Shawanaga korzystano głównie latem; służyła jako pole biwakowe i wejście do zatoki. Indianie z rezerwatu mieszkali we wsi Shawanaga, paru żyło też przez cały rok w Skerryvore, tak w każdym razie Danny dowiedział się od Andy'ego Granta. Do obu miejsc można było zimą dojechać drogą, w każdym razie na skuterze.

Młoda sprzątaczka wyraźnie przepadała za jazdą airboatem. Danny zawsze przywoził jej dodatkową parę słuchawek ochronnych, a gdy zobaczyła Śmiałego, zapytała, dlaczego pies nie może jeździć z nimi. „Mógłby uszkodzić sobie słuch… przynajmniej w uchu, które mu zostało”, odpowiedział Danny. „Nie wiem, czy tą połówką cokolwiek słyszy”.

Sprzątaczka miała jednak podejście do psów. Powiedziała Danny'emu, żeby w drodze do rezerwatu, i gdy wracali bez niej, nakładał Śmiałemu jej słuchawki. Pies o dziwo nie protestował. A gdy jechała wraz z nimi, trzymała ogara na kolanach i zasłaniała mu uszy – połówkę także – swymi dużymi mocnymi dłońmi. Danny pierwszy raz widział, jak Śmiały siedzi komuś na kolanach. Ważył w końcu dobre trzydzieści kilo.

Pies wiernie snuł się za nią przez cały dzień, podobnie jak za Dannym, kiedy przebywał na wyspie sam. Kiedy Danny używał piły łańcuchowej, ogar trzymał się w bezpiecznej odległości. Pisarz był pewien, że Śmiały nauczył się tego od Ketchuma.

Nadal nie wiadomo było, gdzie młoda Indianka tak naprawdę mieszkała – Danny nie zauważył nigdy, żeby ktoś na nią czekał, nie zauważył też żadnego pojazdu, którym mogłaby wyruszyć z przystani. Spytał ją o to tylko raz, lecz odpowiedź kobiety wydała mu się wymijająca lub

żartobliwa – a może jedno i drugie – i nie poprosił o wyjaśnienie. „Na terytorium Odżibwejów”, odpowiedziała.

Nie miał pojęcia, co dokładnie miała na myśli – może nic. Mógłby zapytać o jej adres Andy'ego Granta – który ich ze sobą skontaktował – ale machnął ręką. Niech będzie terytorium Odżibwejów.

Z miejsca też zapomniał jej imienia, o ile w ogóle je słyszał. Kiedyś, na początku pierwszej zimy, rzucił z podziwem pod jej adresem: „Jesteś niestrudzona”. Miał na myśli przerębel oraz wiadra wody, które przytargała z jeziora i zostawiła dla niego w głównym budynku. Uśmiechnęła się szeroko; słowo przypadło jej do gustu.

– Może pan mnie tak nazywać… proszę mnie tak nazywać – powiedziała.

– Niestrudzona?

– Tak mam na imię – odrzekła Indianka. – I taka jestem.

O to również mógł zapytać Andy'ego, ale kobieta lubiła przydomek Niestrudzona, i to mu wystarczyło.

Czasem widywał przez okno pracowni, jak Niestrudzona oddaje cześć inuksukowi. Nie kłaniała się kamiennej postaci, ale z szacunkiem otrzepywała ją ze śniegu, manifestując tym gestem swój szacunek lub hołd. Nawet Śmiały trzymał się wtedy na uboczu, jakby chciał uszanować doniosłość chwili.

Danny pracował w czasie jej pobytu na wyspie, nie przeszkadzała mu w skupieniu. Gdy wysprzątała już główny budynek – nieważne, że w pozostałe dni Śmiały spał (a także pierdział i chrapał) w pracowni, gdy Danny pisał – pisarz podnosił wzrok i widział, jak Niestrudzona stoi przy karłowatej sosence. Nie dotykała kalekiego drzewa; po prostu stała przy niej jak na straży, z psem u boku. Ani Indianka, ani pies nigdy nie patrzyli na Danny'ego przez szybę. Ilekroć podnosił wzrok i widział ich obok sosny, stali tyłem do niego, jakby spoglądali na zamarzniętą zatokę.

Następnie Danny stukał w szybę i oboje wchodzili do pracowni. Danny zostawiał wtedy domek (i pisanie), a Niestrudzona sprzątała, co nigdy nie trwało długo – zwykle krócej niż zaparzenie herbaty w głównym budynku.

Nie licząc Andy'ego Granta – oraz miejscowych z tawerny Larry'ego, restauracji „Haven” i ze sklepu – Indianka była jedyną istotą ludzką, z którą miał kontakt w czasie zim spędzanych na wyspie, a widywali ją ze Śmiałym tylko raz w tygodniu. Kiedyś, podczas pobytu w miasteczku, pisarz wpadł na Andy'ego Granta i opowiedział mu, jaki jest z niej zadowolony.

– Śmiały i ja uwielbiamy jej towarzystwo – powiedział. – Jest niesamowicie miła i dyskretna.

– Pomyślałby kto, że masz zamiar prosić ją o rękę – odpowiedział mu Andy. Oczywiście żartował, lecz Danny, choćby tylko przez minutę lub dwie, potraktował jego słowa zupełnie serio.

Po powrocie na airboata, zanim włączył silnik i nałożył Śmiałemu słuchawki, w zamyśleniu popatrzył na psa.

– Czy twoim zdaniem jestem samotny? – zapytał. – Jestem samotny, co?

W kuchni domu na Cluny Drive – zwłaszcza pod koniec 2004 roku – zapiski na lodówce pisarza poczęły trącić nudą. Ma się rozumieć, polityka zawsze była nudna jak flaki z olejem, co powoli zaczynało do niego docierać; w świetle bardziej osobistej i szczegółowej fabuły, którą Danny zaczął układać w myślach pod kątem swej dziewiątej powieści, pytania do Ketchuma siłą rzeczy ustąpiły na dalszy plan.

Swoim zwyczajem zaczął od końca. Nie tylko napisał to, co uznał za ostatnie zdanie, ale też obmyślił z grubsza treść nowej książki – czyli pierwszej firmowanej nazwiskiem Daniela Baciagalupo. Powoli, ale stopniowo podążał wstecz do punktu, który wyznaczał jego zdaniem początek

opowieści. Była to jego stała strategia: zaczynał od końca, czyli pierwszy rozdział powstawał w ostatniej kolejności. I gdy docierał do pierwszego zdania – czyli do chwili, gdy je zapisywał – mijało zwykle kilka lat, lecz wówczas znał już całą historię. Począwszy od pierwszego zdania, fabuła płynęła naprzód – czyli, w przypadku Danny'ego, do punktu wyjścia.

Jak zawsze też, im bardziej zanurzał się w powieść, tym mniej zostawało mu czasu na politykę. I choć jego poglądy nie kryły w sobie cienia fałszu, nie wahałby się przyznać, że polityka we wszystkich swoich przejawach budzi jego największą nieufność. Czy po części nie dlatego został pisarzem, ponieważ postrzegał świat na czysto subiektywną modłę? Tworzenie fikcji stanowiło nie tylko szczyt jego możliwości; pisanie powieści było wszystkim, co robił. Był rzemieślnikiem, nie teoretykiem; gawędziarzem, nie intelektualistą.

Wciąż nasuwało mu się wspomnienie tamtych ostatnich helikopterów amerykańskich opuszczających Sajgon – nieszczęśników uwieszonych na płozach oraz setek zdesperowanych Wietnamczyków z Południa, którzy zostali przed budynkiem ambasady. Nie miał wątpliwości, że taka sama (lub podobna) sytuacja zdarzy się w Iraku. Cienie Wietnamu, myślał sobie – jak to sześćdziesięciolatek, gdyż Irak niezupełnie był powtórką z Wietnamu. Daniel Baciagalupo należał do pokolenia dzieci kwiatów; był niereformowalny.

– Możemy się założyć o worek psiej karmy, Śmiały – bez przekonania mówił do ziewającego psa – że zanim się trochę poprawi, będzie jeszcze o wiele gorzej. – Ogar nie zareagował nawet na wzmiankę o psiej karmie; podzielał zdanie pana, że polityka to nudziarstwo. Świat jaki był, taki jest, prawda? Czy ktoś mógł tu cokolwiek zmienić? Nie pisarz, a już na pewno nie jego pies. Na szczęście Danny

nie powiedział tego głośno – nie chciał urazić szlachetnego zwierzęcia.

W grudniowy poranek 2004 roku, gdy ostatnie (zapomniane już) pytanie do Ketchuma wylądowało na lodówce, Lupita – oddana i cierpiąca meksykańska sprzątaczka – zastała Danny'ego w kuchni, piszącego przy stole. Widok ten wytrącił ją z równowagi, Lupita bowiem – w myśl koniecznych jej zdaniem podziałów obowiązujących w domu – miała dość tradycyjne podejście względem funkcji przypisanej każdemu z pomieszczeń.

Przywykła, aczkolwiek niechętnie, do kartek i notesów w siłowni, gdzie nie było maszyny do pisania; setki rozsianych po całym domu samoprzylepnych świstków doprowadzały ją do białej gorączki, lecz mężnie nie zabierała głosu. Co do przyklejonych na lodówce pytań do pana Ketchuma, Lupita czytała je z coraz mniejszym zainteresowaniem – jeśli w ogóle. Denerwowały ją, gdyż uniemożliwiały jej przetarcie drzwi, na co miała wielką ochotę.

Opieka nad domem Danny'ego na Cluny Drive stanowiła dla Lupity pasmo wiecznej zgryzoty. To, że pan Ketchum nie przyjeżdżał już na Gwiazdkę, budziło w Meksykance ochotę do płaczu – nie wspominając o tym, że o mało nie przypłaciła życiem wysiłku włożonego w doprowadzenie do porządku sypialni świętej pamięci kucharza po podwójnej strzelaninie. Przesiąknięte krwią łóżko oczywiście wyniesiono i zmieniono tapetę, ale Lupita musiała zmyć krew z każdego zdjęcia na korkowych tablicach, a podłogę szorowała dopóty, dopóki nie czuła kolan i pięt. Namówiła też Danny'ego na wymianę rolet, gdyż w przeciwnym razie w pokoju pozostałby zapach prochu.

Warto zwrócić uwagę, że w tamtym okresie życia Danny'ego dwiema najbliższymi mu kobietami były jego sprzątaczki, Lupita zaś z pewnością miała na niego większy

wpływ niż Niestrudzona. Za jej namową Danny pozbył się tapczanu z gabinetu na poddaszu, upierała się bowiem, że widzi na nim odcisk znienawidzonego ciała szeryfa.

– Wyobrażam sobie, jak tam leży i czeka, aż obaj zaśniecie – powiedziała Danny'emu.

Naturalnie Danny przychylił się do jej prośby – nie żeby sam widział odcisk tłustego cielska kowboja, ale teoria Lupity był tak sugestywna, że koniec końców zaczęła mu się udzielać.

Lupita na tym nie poprzestała. Ledwie w domu zjawił się Śmiały, zaproponowała bardziej przełomową zmianę. Tablice korkowe ze zgromadzoną na nich historią rodziny – setki nachodzących na siebie zdjęć zachowanych przez Dominica i setki kolejnych w szufladach biurka – nietrudno zgadnąć, co myślała o nich meksykańska sprzątaczka. To bez sensu, oznajmiła, trzymać je w pokoju, gdzie nikt ich nie ogląda. „Powinny być u pana, panie Pisarzu”, zakomunikowała Danny'emu. Spontanicznie nazywała go „panem Pisarzem” lub „*Señor* Pisarzem”. Danny nie pamiętał, skąd to się wzięło.

Następnie, rzecz jasna, doszło do tego, że poleciła mu usunąć zdjęcia Charlotte. „To nie wypada”, oznajmiła; miała na myśli to, że nie powinien spać w pokoju pełnym nostalgicznych fotografii Charlotte Turner, która była przecież matką i mężatką (i nie słysząc słowa protestu z ust pana Pisarza, Lupita wzięła sprawy w swoje ręce).

Teraz wszystko było tak, jak miało być. Sypialnia kucharza stała się drugim pokojem gościnnym, rzadko używanym, ale przydatnym w razie wizyty małżeństwa z dzieckiem (lub dziećmi). Podwójne łóżko Danny'ego zastąpiono dwoma pojedynczymi, a przeniesienie sanktuarium Charlotte do pomieszczenia na drugim końcu korytarza bardziej odpowiadało ich obecnym stosunkom.

Danny spał teraz ze zdjęciami bliższych i dalszych krewnych ojca, wśród których nie brakowało zdjęć Joego, jego zmarłego syna – i tak też było o wiele lepiej. Miał u Lupity dług wdzięczności, ona bowiem zajmowała się tablicami i wybierała zdjęcia do zawieszenia. Raz lub dwa razy w tygodniu Danny przyglądał się uważnie tablicom, żeby sprawdzić, co pozmieniała.

Czasem widywał na nich Charlotte, ale większość przedstawiała ją i Joego. Jakimś cudem przechodziły bezlitosną selekcję Lupity. Zdjęć Ketchuma oczywiście było na pęczki, w tym kilka nowych; nie brakowało też fotografii przedstawiających młodą matkę Danny'ego i jego jeszcze młodszego ojca. Ocalałe podobizny Rosie weszły w jego posiadanie wraz ze Śmiałym i arsenałem Ketchuma – o pile łańcuchowej nie wspominając. Przechowywano je z dala od światła, wciśnięte między kartki ukochanych książek matki, które też przypadły Danny'emu – skoro stary flisak już nie mógł ich czytać. Ileż książek nagromadził! Ileż jeszcze by przeczytał?

Tamtego grudniowego ranka 2004 roku, kiedy Lupita przyłapała Danny'ego w kuchni, domykał kilka scen, które pasowały mu na początek książki – w paru przypadkach były to całe zdania. Zdecydowanie przybliżał się do początku pierwszego rozdziału, ale od czego miał zacząć – i jakie zdanie umieścić na wstępie – to jeszcze mu umykało. Pisał w zwykłym zeszycie na białym papierze w linie; Lupita wiedziała, że ma cały zapas takich zeszytów w swojej pracowni na piętrze, gdzie (jej zdaniem) powinien pisać.

– Pisze pan w kuchni – zauważyła. Było to rzeczowe zdanie oznajmujące, ale Danny wyczuł w nim nutę pretensji; człowiek bez mała wnosił z jej tonu, że mówi coś w rodzaju „Cudzołoży pan na podjeździe” (w biały dzień). Danny nie bardzo wiedział, jak to rozumieć.

– Ja właściwie nie piszę, Lupito – rzucił obronnym tonem. – Robię notatki na temat tego, o czym dopiero zamierzam

pisać.

– Cokolwiek pan robi, robi to pan w kuchni – upierała się Lupita.

– Hm, no tak – przyznał ostrożnie Danny.

– Rozumiem, że mogę zacząć od góry… na przykład od gabinetu, w którym pan nie pisze – powiedziała.

– Jak najbardziej – odpowiedział Danny.

Lupita westchnęła, jakby świat stanowił dla niej źródło nieustannego cierpienia – Danny wiedział, że tak jest w istocie. Tolerował humory Meksykanki i do pewnego stopnia akceptował jej tyranię; czuł, że należy akceptować tyranię osoby, która straciła dziecko, a także być wobec niej tolerancyjnym. Zanim jednak wyszła z kuchni, aby zająć się tym, co w jej mniemaniu zaburzało (dość istotnie) porządek dnia, Danny zatrzymał ją w progu.

– Czy mogłabyś sprzątnąć dziś lodówkę, Lupito? Wyrzuć wszystko, i już.

Meksykanka zwykle nie dawała się łatwo zaskoczyć, lecz teraz nie wierzyła własnym uszom. Po chwili ochłonęła i otworzyła lodówkę, którą sprzątnęła nie dalej jak poprzedniego dnia; była niemal zupełnie pusta. Zapełniała się tylko, gdy Danny zapraszał gości.

– Nie, miałem na myśli drzwi – uściślił Danny. – Prosiłbym, żebyś wszystko zdjęła. Wyrzuć te świstki.

W tym momencie dezaprobata Lupity ustąpiła miejsca zaniepokojeniu.

– *¿Enfermo?* – zapytała nagle, sięgając pulchną, śniadą dłonią do czoła Danny'ego; nie odniosła wrażenia, żeby miał gorączkę.

– Nie, nie jestem chory, Lupito – zapewnił Danny. – Po prostu mam dosyć tego rozpraszania się.

Lupita wiedziała, że to trudny okres dla pisarza, niebędącego przecież już młodzieniaszkiem. Dla ludzi,

którzy stracili rodzinę, Boże Narodzenie jest czasem wielkiej próby, nie miała co do tego wątpliwości. Od razu spełniła jego prośbę. Skorzystała z okazji, żeby mu przerwać, skoro pracował nie tam, gdzie powinien. Ochoczo zerwała z lodówki świstki papieru; z taśmą nie pójdzie tak łatwo, pomyślała, zeskrobując ją paznokciami. Miała zamiar spryskać też drzwi płynem antybakteryjnym, ale dopiero później.

Pewnie nie przyszło jej do głowy, że wraz z zapiskami pozbywa się bez mała obsesji Danny'ego na punkcie tego, co Ketchum powiedziałby o wojnie w Iraku, ale tak właśnie było. Być może pisarz czuł – przynajmniej podświadomie – że poniekąd uwalnia się też przynajmniej od części gniewu, jaki budziła w nim jego „była” ojczyzna.

Ketchum nazwał Amerykę straconym narodem, ale Danny nie był pewny, czy to sprawiedliwy zarzut – tak jakby jeszcze nie miał on racji bytu. Dla Daniela Baciagalupo, jako pisarza, liczyło się tylko to, że jego była ojczyzna jest stracona dla niego. Pogodził się z tym faktem od czasu reelekcji Busha, podobnie jak z faktem, że od tej chwili jest outsiderem mieszkającym w Kanadzie, i będzie nim aż do grobowej deski.

Kiedy Lupita biedziła się nad drzwiami lodówki, Danny poszedł do siłowni i zadzwonił do „Pocałunku Wilka”. Zostawił na sekretarce dość szczegółową wiadomość; zapowiedział, że rezerwuje stolik na każdy wieczór, jaki pozostał przed świątecznym zamknięciem lokalu. Lupita miała rację: Boże Narodzenie zawsze dawało mu w kość. Najpierw stracił Joego, co położyło kres świętom spędzanym w Kolorado, a potem zginął jego tata. A począwszy od również pamiętnej Gwiazdki w 2001 roku, przypominał sobie o tym, jak dowiedział się o Ketchumie, którego też stracił.

Danny nie był Ketchumem, ani nawet go nie przypominał, chociaż bywało, że starał się do niego upodobnić. Ach, jak

bardzo się starał! Ale to nie było jego zadanie – w sensie rozumianym przez Ketchuma. Zadaniem Danny'ego było pisać, o czym stary przyjaciel wiedział na długo przed nim.

„Musisz wpakować nos w sam środek i wyobrazić sobie… wszystko, Danny”, powiedział. Daniel Baciagalupo próbował; skoro nie mógł być Ketchumem, spróbuje chociaż postawić go na piedestale. No bo czy to takie trudne, myślał sobie, zrobić z Ketchuma bohatera?

„Cóż, kto jak kto, ale pisarze wiedzą najlepiej, że umrzeć to czasem niełatwa sprawa”, oznajmił Ketchum, kiedy Danny potrzebował trzech strzałów, żeby zabić jelenia.

Psiakrew, że też nie wiedziałem, o co mu wtedy chodzi, myślał pisarz, gdy Lupita uwijała się wokół niego (że też nie wiedział…).

Rozdział 17
KETCHUM WYKLUCZONY

Danny miał pewne przebłyski świadomości co do zamiarów Ketchuma – stało się to w amerykańskie Święto Dziękczynienia, w listopadzie 2001 roku. Któregoś wieczoru jadł kolację – oczywiście w „Pocałunku Wilka” – w towarzystwie swojej lekarki. Ich związek był czysto platoniczny, ale bardzo się przyjaźnili; od lat była jego osobistym internistą. Kiedyś napisała do niego list i zaczęli korespondować, na długo zanim przyjechał do Kanady. A teraz się przyjaźnili.

Nazywała się Erin Reilly. Była prawie rówieśnicą Danny'ego – miała dwoje dorosłych dzieci, które też miały dzieci – a nie tak dawno temu mąż rzucił ją dla jej recepcjonistki. „Mogłam to przewidzieć”, oznajmiła filozoficznie Danny'emu. „Oboje bez przerwy – dosłownie sto razy na dzień – pytali mnie, czy wszystko w porządku”.

Erin została jego przyjaciółką na miarę Armanda DeSimone'a z Vermontu. Danny wciąż korespondował z Armandem, lecz DeSimone'owie nie przyjeżdżali już do Toronto; podróż samochodem była zbyt uciążliwa, a nie mieli cierpliwości, żeby latać samolotem. „Ci durnie z lotniska zabrali mi wszystkie scyzoryki”, skarżył się Danny'emu Armando.

Erin Reilly była zapaloną czytelniczką, a gdy Danny zadawał jej pytanie natury medycznej – czy to w związku z własnym stanem zdrowia, czy sytuacją danego bohatera swojej książki – ku jego zadowoleniu zawsze udzielała mu wyczerpującej odpowiedzi. Też lubiła długie, szczegółowe powieści.

– Mam przyjaciela – powiedział do niej tamtego wieczoru w „Pocałunku Wilka” – który cierpi na nawracającą obsesję na punkcie obcięcia sobie lewej ręki; kiedyś go zawiodła. Czy jeśli to zrobi, wykrwawi się na śmierć?

Erin była wysoka i przypominała czaplę; miała krótko przycięte siwe włosy i piwne oczy o stalowym wyrazie. Cokolwiek robiła, czy dotyczyło to lektury, czy też pracy, pochłaniało ją to aż do przesady – pewnie dlatego Danny tak za nią przepadał. Bywała ślepa na wszystko, co działo się wokół niej – tak jak jego ojciec przed laty wmówił sobie, że ze strony kowboja nic mu nie grozi. Żartowała, że „mogła to przewidzieć” – to znaczy, romans męża z recepcjonistką – lecz (zdaniem Danny'ego) to nie ich bezustanne pytania powinny były wzbudzić jej podejrzliwość. Erin wypisywała mężowi recepty na viagrę; wiedziała przecież, ile tego łykał! Danny właśnie to w niej kochał – niewinność, która przypominała mu o wszystkim, na co ślepy był jego ojciec, co też bardzo Danny'ego rozczulało.

– Ten… przyjaciel z nawracającą obsesją na punkcie obcięcia sobie lewej ręki – odrzekła z wolna doktor Reilly. – Czy to ty, Danny, czy postać z twojej powieści?

– Ani jedno, ani drugie. To ktoś, kogo znam od lat – odpowiedział Danny. – Opowiedziałbym ci o tym, Erin, ale to długa historia.

Pamiętał, co jedli. Zamówili krewetki z mleczkiem kokosowym i rosół z curry; oboje zjedli też ostrygi w sosie mignonette Silvestra na przystawkę.

– Mów śmiało, Erin – poprosił. – Nie oszczędzaj mi żadnych szczegółów. – Zawsze jej to powtarzał.

Erin uśmiechnęła się i wypiła łyk wina. Miała zwyczaj zamawiać butelkę drogiego białego wina; nigdy nie piła więcej niż kieliszek lub dwa i zostawiała resztę Patrice'owi, który potem sprzedawał je na kieliszki. W ramach

podziękowania wino przeważnie było na jego koszt. Patrice Arnaud też był pacjentem doktor Reilly.

– No więc tak – zaczęła Erin tamtego listopadowego wieczoru 2001 roku. – Twój przyjaciel pewnie nie wykrwawiłby się na śmierć; nie gdyby uciął rękę w nadgarstku ostrym narzędziem. – Danny nie miał wątpliwości, że narzędzie na pewno byłoby ostre: noży, siekier i pił Ketchum miał pod dostatkiem. – Ale krwawiłby obficie, bo musiałby przeciąć tętnicę promieniową i łokciową. Nie byłoby jednak tak łatwo… to znaczy, gdyby chciał umrzeć. – Tu Erin urwała; Danny początkowo nie wiedział dlaczego. – Czy twój przyjaciel chce umrzeć, czy tylko pozbawić się ręki? – zapytała.

– Nie wiem – przyznał Danny. – Zawsze myślałem, że chodzi tylko o rękę.

– W takim razie dopnie swego – oznajmiła Erin. – Widzisz, tętnice są bardzo elastyczne. Gdy zostaną przecięte, cofną się z powrotem do ramienia, gdzie zostaną ściśnięte przez otaczającą tkankę, przynajmniej do pewnego stopnia. Mięśnie w ścianach tętnic skurczą się błyskawicznie, zwężając średnicę tętnic i spowalniając utratę krwi. Nasze ciała posiadają wykształcony mechanizm samoobrony; twój przyjaciel musiałby się zmierzyć z wieloma przeciwnikami, którzy pokrzyżowaliby mu plany wykrwawienia się na śmierć. – Erin ponownie zamilkła. – O co chodzi? – zapytała.

Daniel Baciagalupo dalej rozmyślał nad tym, czy Ketchum chce, czy może nie chce się zabić; przez wszystkie lata wysłuchiwania gadki o lewej ręce nie przyszło mu do głowy, że stary wariat planuje może coś na większą skalę.

– Źle się czujesz? – dopytywała doktor Reilly.

– Nie, nie – odparł Danny. – Czyli chcesz powiedzieć, że nie wykrwawiłby się na śmierć?

– Trombocyty uratowałyby mu życie – odpowiedziała Erin. – To małe płytki krwi o nieregularnych kształtach, za małe

nawet, żeby je nazywać krwinkami; są w zasadzie strzępami krwinek, krążącymi w układzie krwionośnym. Gdy twój przyjaciel obetnie sobie dłoń, odsłoni śródbłonek, czyli wewnętrzną ścianę tętnicy, co spowoduje rozlanie białka zwanego kolagenem, tego samego, które stosuje się w chirurgii plastycznej. Gdy trombocyty natkną się na odsłonięty kolagen, przejdą radykalną transformację, żeby nie powiedzieć, metamorfozę i staną się lepkimi drobinkami o zaostrzonym kształcie. Zaczną się łączyć i przylegać do siebie nawzajem, tworząc coś w rodzaju czopu.

– Taki korek? – zapytał Danny; jego głos brzmiał dziwnie. Nie mógł jeść, gdyż nie był w stanie przełykać. Ogarnęła go pewność, że Ketchum chce się zabić; do tego prowadziło obcięcie lewej ręki, którą obarczał przecież winą o śmierć Rosie. Ale Rosie nie żyła od lat. Danny zrozumiał, że Ketchum obwinia się też o zostawienie Carla przy życiu. I o śmierć swego przyjaciela Dominica – w tym wypadku obarczał winą całego siebie. Jego lewa dłoń nie mogła ponosić odpowiedzialności za to, że kowboj zabił kucharza.

– Robi się nieapetycznie? – zapytała Erin. – Już kończę. Korek pojawia się nieco później, przy udziale paru innych białek. Powiem tylko, że zator skutecznie uniemożliwiłby twojemu przyjacielowi odebranie dobie życia. Obcięcie ręki nie zabije człowieka.

Ale Danny czuł, że tonie; jeszcze chwila, a znajdzie się na dnie. „Cóż, kto jak kto, ale pisarze wiedzą najlepiej, że umrzeć to czasem niełatwa sprawa”, powiedział mu stary flisak.

– No dobrze – odparł nieswoim głosem; nie poznała go ani Erin, ani on sam. – Załóżmy, że mój przyjaciel chce umrzeć. Przyjmijmy, że obcina sobie dłoń, by umrzeć. Co wtedy?

Lekarka jadła z apetytem; musiała przeżuć i przełknąć, podczas gdy Danny czekał na odpowiedź.

– To proste – odrzekła, ponownie upijając z kieliszka. – Czy twój przyjaciel wie, co to jest aspiryna? Łyka aspirynę, i już.

– Aspiryna – powtórzył bezmyślnie Danny. Oczami wyobraźni ujrzał zawartość schowka w furgonetce Ketchuma: mały pistolet i duże opakowanie aspiryny.

„Na ból”, rzucił oględnie Ketchum. „Bez aspiryny i pukawki nigdzie się nie ruszam”, powiedział.

– Aspiryna blokuje niektóre aspekty procesu aktywującego trombocyty – tłumaczyła doktor Reilly. – Ściśle rzecz ujmując, zapobiega krzepnięciu krwi. Wystarczą dwie tabletki aspiryny i twój przyjaciel dopnie swego. A jeśli naprawdę chce umrzeć, starczy, że popije aspirynę alkoholem, który za sprawą zupełnie innego mechanizmu uniemożliwia aktywację i połączenie płytek krwi. Sprzężenie alkoholu i aspiryny całkowicie zdemobilizowałoby płytki i nie mogłyby one do siebie przylegać. Innymi słowy, nie utworzyłyby korka. I twój przyjaciel umarłby na pewno.

Erin umilkła, widząc, że Danny nie je, tylko siedzi ze wzrokiem utkwionym w talerz. Do tego prawie nie ruszył piwa.

– Danny? – powiedziała. – Nie wiedziałam, że chodzi o prawdziwego przyjaciela. Sądziłam, że to postać z powieści i tylko tak mówisz. Bardzo mi przykro.

Tamtego wieczoru Danny wrócił do domu biegiem. Od razu chciał dzwonić do Ketchuma, ale wolał to zrobić na osobności. W Toronto panował chłód, lecz o tej porze roku w Coos w stanie New Hampshire pewnie kilka razy już padał śnieg.

Ketchum przestał tak często faksować. Telefonował też rzadko, na pewno rzadziej niż Danny do niego. Tamtego wieczoru telefon dzwonił i dzwonił, ale nikt nie podnosił słuchawki. Danny zadzwoniłby do Pam, ale nie znał ani jej numeru, ani nazwiska, podobnie jak imienia Ketchuma, o ile ten w ogóle je miał.

Postanowił wysłać faks, w którym bez owijania w bawełnę poprosił o numer Pam, na wypadek gdyby nie mógł kiedyś złapać Ketchuma, a bardzo chciał się z nim skontaktować.

NIKT NIE BĘDZIE MNIE KONTROLOWAŁ!

– odpisał Ketchum, zanim Danny rano zszedł do kuchni. Po paru kolejnych faksach i wymuszonej rozmowie telefonicznej dał jednak za wygraną i podał Danny'emu numer Pam.

Zanim Danny zdobył się na odwagę i do niej zadzwonił, nadszedł grudzień 2001 roku, ale zbytnio sobie nie pogadali. Tak, parę razy była z Ketchumem nad Stawem Łosi i patrzyli, jak tańczą, a raczej „drobią w kółko”, jak to ujęła. Tak, pojechali też na „biwak”, ale tylko raz, w dodatku w zamieci śnieżnej i nocą nie zmrużyła oka: a to dokuczało jej biodro, a to rozgłośne chrapanie Ketchuma.

Próby nakłonienia starego kumpla do przyjazdu na święta też spełzły na niczym. „Może przyjadę, ale raczej nie”, oznajmił Ketchum, oględnie jak zawsze.

Niepostrzeżenie nadeszła pora, której Daniel Baciagalupo obawiał się najbardziej; na kilka dni przed Bożym Narodzeniem w 2001 roku, czyli pierwszą rocznicą śmierci ojca, pisarz siedział samotnie w „Pocałunku Wilka” i jadł kolację. Błądził myślami daleko, gdy naraz Patrice – niezawodnie kurtuazyjny i pełen wdzięku – podszedł do jego stolika.

– Ktoś chce się z tobą zobaczyć, Danielu – powiedział niezwykle uroczystym tonem. – Ale tak się składa, że wszedł od kuchni.

– Ze mną? W kuchni? – zapytał Danny.

– Wysoka, dobrze zbudowana osoba – odparł znacząco Patrice z cieniem niepewności w głosie. – Na oko nie wygląda mi na zapalonego czytelnika, więc raczej nie jest to jeden z twoich fanów.

– Ale dlaczego od kuchni? – spytał Danny.

– Powiedziała, że nie jest odpowiednio ubrana, aby wejść od frontu – poinformował pisarza Patrice.

– To kobieta? – zdumiał się Danny. Ach, jakże pragnął, aby była to Pani Niebo!

– Musiałem się upewnić – wzruszył ramionami Patrice. – Ale to zdecydowanie kobieta.

W biegnącej za restauracją alejce Crown's Lane jednooki Pedro wypatrzył wysoką kobietę i z wdziękiem wskazał jej drogę do kuchennych drzwi.

– O tej porze roku miewają czasem *cassoulet*, nawet gdy nie jest w karcie – powiedział do Pam były Ramsay Farnham. – Szczerze polecam.

– Nie przyszłam po jałmużnę – burknęła Pam. – Szukam gościa o imieniu Danny, sławnego pisarza.

– Danny nie pracuje w kuchni, jego tata pracował – poinformował ją jednooki Pedro.

– Wiem o tym… po prostu wolę od kuchni – odrzekła Pam. – Nie dla mnie takie, kurwa, wersale.

Po twarzy byłego Ramsaya Farnhama przemknął cień wzgardy; bezdomny pewnie na chwilę doznał reminiscencji dawnego życia.

– To nie taki znowu Wersal – odpowiedział. Możliwe, że snobizm wyssał z mlekiem matki, a do tego nigdy nie

wybaczył Patrice'owi zmiany nazwy; „Pocałunek Wilka” miał już zawsze kojarzyć mu się z filmem pornograficznym, którego nikt prócz niego nigdy nie widział.

W alejce koczowali też inni bezdomni; Pam widziała ich, ale trzymali się na odległość. Być może wypada zaznaczyć, że jednooki Pedro był w zasadzie tylko w połowie bezdomny; pozostali odnieśli się do Pam z rezerwą. Bez względu na niezbyt wyszukany przyodziewek, nie wyglądała jak bezdomna.

Nawet jednooki Pedro dostrzegł różnicę. Zapukał do drzwi i Joyce – jedna z dwu zastępczyń kucharza – wyjrzała na zewnątrz. Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, Pedro wepchnął Pam do kuchni.

– Ta pani szuka Danny'ego – oznajmił. – Spokojnie… nie jest jedną z nas.

– Znam Danny'ego, a on zna mnie – pospieszyła z zapewnieniem Pam. – Żadna ze mnie groupie, czy coś (liczyła sobie wówczas osiemdziesiąt cztery lata. Wątpliwe, by Joyce wzięła ją za groupie – nawet pisarza.

Kristine pobiegła po Patrice'a, a Joyce i Silvestro zaprosili Pam do środka. Zanim Patrice przyprowadził Danny'ego, Silvestro namówił Pam do spróbowania foie gras oraz kaczki z lampką szampana. Na widok Pam serce stanęło Danny'emu w piersi: po pierwsze, nie była Panią Niebo, a po drugie zrozumiał, że coś się stało.

– Przyjechałaś z Ketchumem? – zapytał, chociaż wiedział, że Ketchum wparadowałby od frontu, bez względu na strój.

– Tylko nie zaczynaj, Danny, nie tutaj. Najpierw muszę się najeść – oświadczyła Pam. – Psiakrew, cały dzień jechałam z tym śmierdzielem, stawaliśmy tylko na siku i tankowanie. Ketchum wspomniał, że mają tu dobre kotlety.

I to zamówili. Usiedli przy stoliku Danny'ego, pod oknem. Pam jadła kotlety, trzymając je palcami, z serwetką wetkniętą za kołnierz jednej z flanelowych koszul

Ketchuma, a gdy skończyła, wytarła ręce o spodnie. Wypiła dwa piwa z kija oraz butelkę czerwonego wina, a zamiast ciasta zamówiła półmisek serów.

Ketchum objaśnił jej szczegółowo, jak dojechać do domu Danny'ego, i uprzedził, że jeśli zjawi się w porze kolacji, najpewniej zastanie go w „Pocałunku Wilka”. Ze znalezieniem restauracji też nie miała problemu. Lecz gdy przez szybę zajrzała do środka – wzrost umożliwił jej zapuszczenie żurawia ponad matowym szkłem w witrynie – widok co poniektórych przesadnie wystrojonych gości odebrał jej odwagę i postanowiła poszukać tylnego wejścia (mieszkańcy Rosedale potrafią zadzierać nosa).

– Zostawiłam Śmiałego w kuchni, jest przyzwyczajony – powiedziała Pam. – Ketchum mówił, żebym weszła do środka, bo nigdy nie zamykasz na klucz. Niezła chata. Zaniosłam swoje rzeczy do pokoju na końcu korytarza, tam gdzie wiszą zdjęcia tej ładnej babki. Jak przyśni mi się coś złego, na pewno cię nie obudzę.

– Przywiozłaś psa? – spytał Danny.

– Ketchum stwierdził, że powinieneś mieć psa, ale na moje nie licz – odrzekła Pam. – Śmiały to zaczepny gnojek, moje kundle na pewno nie będą za nim tęsknić.

– Przejechałaś taki kawał, żeby mi go przywieźć? – zapytał Danny. Naturalnie domyślał się, że nie stanowi to głównego powodu jej wizyty.

– Ketchum powiedział, że ty i ja mamy pogadać osobiście. Żadnych telefonów, listów, faksów ani innych bzdetów – oznajmiła Pam. – Chyba mówił serio, bo zostawił wszystko na piśmie. Zresztą mam też dla ciebie inne śmieci, są w furgonetce.

– Przyjechałaś jego furgonetką? – upewnił się Danny.

– Furgonetka nie jest dla ciebie, muszę nią wrócić – odparła Pam. – Nie przydałaby ci się w mieście, Danny, a poza tym cuchnie, jakby niedźwiedź zwalił się w szoferce.

– Gdzie Ketchum? Co się stało? – zapytał pisarz.

– Chodźmy na spacer z psem czy coś – zaproponowała Pam.

– Wolisz rozmawiać na osobności? – domyślił się Danny. – Jezu, Danny, ci ludzie zaraz sobie nochale zwichną! – burknęła.

Tego wieczoru w „Pocałunku Wilka” panował tłok; od czasu zmiany nazwy i pozostałych innowacji Patrice'a w lokalu przeważnie był komplet. Danny czasem odnosił wrażenie, że stoliki są ustawione zbyt blisko siebie. Kiedy wychodzili, Pam niby to musiała się podeprzeć, lecz w istocie rozmyślnie zatoczyła się na sąsiedni stół, gdzie jakieś małżeństwo patrzyło się na nich cały wieczór. Danny był postacią rozpoznawalną i przywykł do ciekawskich spojrzeń – prawie ich nie zauważał – ale Pam (jak widać) było to nie w smak. Poprzewracała szklanki i kieliszki, po czym – odzyskując równowagę – grzmotnęła mężczyznę łokciem w twarz.

– Za to, że się gapił – oznajmiła jego zdumionej towarzyszce. – Cycki mi wystają czy co?

Kelnerzy rzucili się do stolika, żeby posprzątać, a Patrice podpłynął do Danny'ego i objął go na pożegnanie.

– Kolejny pamiętny wieczór… niezwykle pamiętny, Danielu! – szepnął mu do ucha.

– Ja tam wolę od kuchni – zapewniła go skromnie Pam.

Gdy znaleźli się na Yonge Street i czekali na zmianę świateł, Danny popatrzył na nią wyczekująco.

– Na miłość boską, mów wreszcie, co się stało! Chcę wiedzieć o wszystkim. Nie oszczędzaj mi żadnych szczegółów.

– Najpierw zajrzyjmy do Śmiałego, Danny – odpowiedziała. – Muszę jeszcze przećwiczyć to w głowie. Ketchum przekazał mi od cholery wytycznych. – Jak się

okazało, zawarte na kilku stronach wytyczne znajdowały się w schowku w furgonetce. Ketchum specjalnie zostawił go otwarty, żeby Pam nie przegapiła koperty leżącej pod jego pistoletem. „Widać nie miał pod ręką lepszego przycisku”, stwierdziła.

Danny zobaczył, że furgonetka stoi na podjeździe pod domem na Cluny Drive, tak jakby Ketchum jednak zmienił zdanie co do przyjazdu. Śmiały warknął na niego ze swego legowiska; nie było to zachęcające powitanie. Pam zdążyła wrzucić tam futerał od browninga; zapewne służył jako maskotka. Dan zauważył nóż na blacie i pospiesznie odwrócił wzrok. W kuchni – kto wie, może na całym parterze – unosił się gryzący smród psich bąków.

– Jezu, co mu się stało w oko? – przestraszył się Danny.

– Nie ma powieki. Później ci opowiem. Tylko mu o tym nie przypominaj – odpowiedziała Pam.

Danny spostrzegł, że ulubiona piła łańcuchowa Ketchuma leży w siłowni.

– Co ja mam robić z piłą? – zapytał.

– Ketchum kazał ci ją dać – ucięła Pam. I, chcąc może zmienić temat, dodała: – Na moje oko Śmiały chce kupę.

Poszli z psem do parku. Wszędzie, jak okiem sięgnąć, migotały bożonarodzeniowe światełka. Potem wrócili do domu i zasiedli przy kuchennym stole; Śmiały jakby trzymał się na uboczu i tylko ich obserwował. Pam nalała sobie whisky.

– Wiem, że wiesz, co się stało, Danny… ale nie wiesz jak – zaczęła. – Wszystko zaczęło się od twojej matki, a dokładnie od tego, że Ketchum wolał ją posuwać, zamiast uczyć się czytać, prawda? – powiedziała. – A skończyło się tak…

Później, kiedy już wypakowali razem furgonetkę, Danny był wdzięczny, że nie powiedziała mu od razu. Miał czas,

żeby się przygotować, a gdy czekał na opowieść o tym, co spotkało Ketchuma, zdążył wyobrazić sobie parę szczegółów – jak to pisarz.

Wiedział, że Ketchum będzie chciał jeszcze zobaczyć łosie i że tym razem nie zaprosi Pam. Tego dnia padał śnieg, a potem przestał – było zimno, dobrze poniżej zera – toteż Ketchum oznajmił Pam, że na biwak jej nie weźmie, ale może chciałaby przyjechać do niego rano na śniadanie pod gołym niebem.

– Zimną porę wybrałeś sobie na śniadanie, co? – odpowiedziała.

Bądź co bądź, minęła połowa grudnia – zbliżała się najzimniejsza noc w roku. Rzeka Twisted rzadko zamarzała przed nadejściem stycznia, ale co też Ketchumowi strzeliło do głowy? No ale (tłumaczyła Danny'emu Pam) zdarzało im się jadać śniadania w miejscu dawnej stołówki. Ketchum lubił rozpalać ognisko. Odkładał parę węgielków i parzył kawę na swój ulubiony sposób – w rondlu, z mielonymi ziarnami, skorupkami jaj i roztopionym śniegiem. Potem piekł na ognisku plastry dziczyzny i gotował trzy albo cztery jajka w koszulkach. I Pam dała się przekonać.

Ale coś jej się nie zgadzało. Zajrzała do furgonetki: nie było w niej ani namiotu, ani śpiwora. Jeśli faktycznie wybierał się na biwak, planował chyba zamarznąć na śmierć – lub też nocować w szoferce przy włączonym silniku. Na dodatek zostawił jej Śmiałego. „Od mrozu jego też łupie w biodrze”, powiedział.

– W życiu nie słyszałam takich bzdur – oznajmiła Danny'emu.

I gdy następnego ranka zjawiła się w umówionym miejscu, od razu zrozumiała, że plan Ketchuma od początku nie uwzględniał śniadania. Nie było kawy ani jaj, ogniska też nie. Zobaczyła, że Ketchum siedzi oparty o zrujnowany

komin, jakby wyobrażał sobie, że stołówka nadal stoi, a kupa zwalonych cegieł przyjemnie grzeje go w plecy.

Śmiały rzucił się w stronę pana, ale zastygł w pół kroku; Pam zobaczyła, że sierść zjeżyła mu się na karku i okrążył flisaka na sztywnych łapach. „Ketchum!”, krzyknęła, ale nie doczekała się odpowiedzi, tylko Śmiały odwrócił głowę.

– Nie mogłam do niego podejść… długo nie mogłam – opowiadała Danny'emu. – Wiedziałam, kurwa, że już po nim.

Za sprawą śniegu i dzięki temu, że przestał padać przed zmrokiem, bez trudu odgadła, jak to zrobił. Na świeżym białym puchu widniała strużka krwi; doprowadziła Pam aż nad rzekę, gdzie znajdowało się kilka dużych pni, Ketchum starł śnieg z jednego z nich. Ciepła krew wsiąkła w drewno, a siekiera Ketchuma tkwiła w nim tak głęboko, że Pam nie mogła jej wyjąć. Lewej dłoni nie znalazła, musiał wrzucić ją do rzeki.

Pomny niedawnej wyprawy z prochami ojca, Danny bez trudu wyobraził sobie to miejsce. Powrót na wzgórze musiał kosztować flisaka wiele trudu; sądząc po śladach na śniegu, Pam wiedziała, że bardzo krwawił.

– Kiedyś, w czasach spławów na Phillips – powiedziała – widziałam, jak Ketchum kradnie drewno na opał. No wiesz, brał ze sterty parę kloców, małe toto było, nie więcej niż półtora metra, i w niespełna pół godziny rąbał pół sąga na drzazgi! Było nie do poznania; mógł bezkarnie wozić je na pace. Łapał za siekierę, trzymał ją jedną ręką, wiesz, jak topór, i ciachał kloce wzdłuż, a potem znowu, i wreszcie w poprzek, aż przypominały zasrane zapałki! Nawet nie musiał się zamachnąć. Był taki silny, Danny, i taki dokładny: łupał tą siekierą jak pieprzonym młotkiem! Ci zasrańce z Paryża nigdy się nie połapali, że ktoś im podprowadza drewno! Ketchum zawsze powtarzał, że byli zbytnio zajęci

sankami, bo większość drewna wozili do Maine, do fabryki. Za głupi byli, coby się połapać.

Tak, Ketchum umiał porąbać półtorametrowy kloc jedną ręką; Danny widział nie raz, jak sprawnie posługuje się siekierą. Uciął sobie rękę i miał jeszcze siłę wrócić na wzgórze, gdzie usiadł plecami do zwalonego komina. Obok stała butelka whisky; Pam powiedziała Danny'emu, że była prawie pusta.

– Coś jeszcze? – spytał Danny. – To znaczy, znalazłaś tam jeszcze coś?

– Taa… opakowanie aspiryny – odpowiedziała. – Zostało jeszcze dużo tabletek. Ketchum rzadko łykał leki – dodała – ale wziął pewnie aspirynę na ból i popił whisky.

Danny wiedział, że aspiryna nie była „na ból”; znając Ketchuma, pewnie się nim upajał. Rola whisky też polegała na czymś innym. Pisarz wiedział, że jedno i drugie miało jedynie wydłużyć krwotok; flisak zawsze gardził tymi, którzy nie umieją doprowadzić sprawy do samego końca (tylko Ketchum może zabić Ketchuma, nie?).

– Nie mógł sobie darować, że nie zdołał uchronić Ziółka przed śmiercią – powiedziała Pam. – A wcześniej… po śmierci chłopaka, Danny… czuł, że nie może chronić ciebie. Miał obsesję na punkcie twojego pisania, nic innego mu nie pozostawało.

– Ja też – odpowiedział pisarz. – Ja też.

Pam nie została na święta. Kiedy zanieśli broń Ketchuma do sypialni Danny'ego – nalegała, że wszystkie strzelby muszą się znaleźć pod łóżkiem, gdyż tego życzył sobie stary – i zataszczyli na poddasze kartony z książkami Rosie, uprzedziła Danny'ego, że wstaje skoro świt.

– To znaczy? – zapytał.

Kiedy obudził się rano, już jej nie było; w kuchni czekała na niego kawa i list, napisany na kilku kartkach z siłowni. Pamiętał jej pismo z czasów, gdy pisała jeszcze listy Ketchumowi, ale zapomniał, jak zgrabnie przekładała myśli na papier – o wiele lepiej, niż się wysławiała. Ortografię też miała bezbłędną. Zastanawiał się, czy to aby nie zasługa książek, które czytała Ketchumowi.

List Pam dotyczył oczywiście opieki nad psem, lecz większa jego część miała zaskakująco osobisty wymiar. Pójdzie wreszcie na operację do szpitala Dartmouth-Hitchcock, jak radził jej Ketchum. Zaprzyjaźniła się z paroma mieszkańcami Saw Dust Alley, zadbanego kempingu przy trasie 26 – dzięki atakom z jedenastego września poznała bliżej wielu swoich sąsiadów. Henry, stary tracz bez kciuka i palca wskazującego z Zachodniego Dummer, zaopiekuje się psami, gdy ona będzie w szpitalu. Zajął się też nimi na czas jej wyprawy do Toronto.

Zawarła też kilka trwałych przyjaźni w szpitalu, gdzie wciąż pracowała nocą jako sprzątaczka; zadzwoniła tam, gdy znalazła ciało Ketchuma. Chciała, aby Danny wiedział, że przesiedziała z Ketchumem większość poranka, trzymając go za ocalałą, prawą rękę – „jedyną, którą mnie dotykał”, napisała w liście.

Napisała też, że w książkach znajdzie parę zdjęć. Wiele ją kosztowało, żeby ich nie spalić, lecz odłożyła zazdrość na bok, i nie tylko. Przyznała, że wierzy, iż Ketchum kochał Dominica bardziej, niż kiedykolwiek kochał Rosie. Mogła z tym żyć, bez względu na kwestię lewej ręki. Poza tym, dodała, Ketchum chciał, żeby Danny dostał zdjęcia matki.

„Wiem, że to nie moja sprawa”, napisała, „ale na twoim miejscu pisałabym i spała na poddaszu. Nikt ci tam nie przeszkadza, a poza tym to najlepszy pokój. Chociaż – tylko się nie wpieniaj, Danny – z duchami jesteś pewnie za pan brat. Pewnie praca w pokoju z duchem to jedno, a spanie to zupełnie inna para kaloszy. Trudno powiedzieć – nigdy nie

miałam dzieci, z wyboru. Zawsze wyznawałam zasadę, że grunt to wyrzec się tego, czego bałam się stracić – z wyłączeniem Ketchuma”.

Danny zanotował sobie dwa ostatnie słowa i przykleił świstek do jednej ze swych przedpotopowych maszyn do pisania, IBM Selectric II; pisał na niej w pokoju, który dzielił z duchem Joego. Spodobało mu się ich brzmienie; może kiedyś je wykorzysta.

Zrobił to przed trzema laty. Jedynym powodem, dla którego nie wyrzucił jeszcze faksu z kuchni na Cluny Drive, było to, że Pam czasem do niego pisała, a on do niej. Musiała mieć osiemdziesiąt osiem, dziewięć lat – tyle, ile miałby Ketchum, gdyby żył – i jej wiadomości nie zdradzały już literackiego drygu, jaki kiedyś zademonstrowała w liście.

Z wiekiem zrobiła się jeszcze bardziej dosadna. Ilekroć wzburzyło ją coś w prasie lub telewizji – i zasługiwało na miano kretyństwa wszech czasów – wysyłała faks. Niezawodnie stwierdzała, co Ketchum powiedziałby o tym lub o tamtym, na co Danny nieodmiennie odpowiadał jej własną wersją gwary flisaka.

I niekoniecznie chodziło o to, co faktycznie miałby do powiedzenia o wojnie w Iraku czy niekończącym się bałaganie na Bliskim Wschodzie, lecz o to, co powiedziałby o czymkolwiek. Danny i Pam chcieli usłyszeć jego głos.

W taki oto sposób nasi bohaterowie trwają przy życiu, i w naszej pamięci.

W połowie lutego nad jezioro Huron przyszła z zachodu zamieć, a gdy dotarła nad wysepki w Georgian Bay, wiatr zmienił kierunek i mocno sypnęło śniegiem; teraz wiało z południa, od Parry Sound do zatoki Shawanaga. Danny nie widział już z okna, gdzie kończy się zatoka i zaczyna ląd. Z powodu wszechobecnej bieli świerki wyznaczające dotąd

początek tego drugiego sprawiały wrażenie zawieszonych w powietrzu – bądź wyrastających z zamarzniętego jeziora. Wiatr podrywał garście śniegu i kręcił nimi młynka; wyglądały jak małe tornada. Czasami, gdy wiał na północ, wzdłuż zatoki, naprawdę dochodziło do trąb powietrznych, wypisz, wymaluj jak te z amerykańskiego Środkowego Zachodu lub kanadyjskich prerii. Andy Grant ostrzegł Danny'ego, żeby na nie uważał.

Niestrudzona zadzwoniła do niego na komórkę. Nie przyjedzie dziś na wyspę; wyprawa airboatem przy takiej widoczności to głupota. W podobnej zamieci, nie dalej jak kilka lat temu, powiedziała Danny'emu, jakiś dureń z Ohio wpakował się na skały O'Connora, na północny zachód od Moonlight Bay (Danny przejeżdżał tamtędy w drodze do rezerwatu).

– I co się z nim stało… z tym durniem z Ohio? – zapytał.

– Znaleźli go zamarzniętego jak kłoda – odpowiedziała Niestrudzona.

– W takim razie przyjadę po ciebie jutro albo pojutrze, jeśli zamieć ustanie – oznajmił Danny. – Zadzwonię albo ty zadzwoń do mnie.

– Niech pan ucałuje ode mnie Śmiałego – poprosiła.

– Wolałbym nie – odpowiedział. – Jakoś nie mogę się do tego przekonać.

– Zatem pora to zmienić – odrzekła na to Indianka. – Moim zdaniem Śmiały byłby dla pana milszy, gdyby go pan częściej całował.

Śmiałego od rana męczyły wiatry na podobieństwo tych targających zatokę; był to jeden z dni, kiedy myśl o bliższej zażyłości z ogarem budziła w pisarzu stanowczą niechęć. „Jezu, Śmiały!”, wykrzyknął kilkakrotnie w miarę upływu cuchnącego poranka, ale w taką pogodę nie miał serca wyrzucić psa za drzwi. Poza tym na przekór psim wzdęciom

pisanie szło mu jak z płatka i zdecydowanie zbliżał się do początku pierwszego rozdziału.

Niektóre zdania pojawiały się w całości, nawet interpunkcja nie budziła zastrzeżeń. A kiedy dwa zdania następowały po sobie i jedno wynikało z drugiego, wprost nie posiadał się ze szczęścia. Pierwszą taką parę zanotował sobie na kartce i przypiął pinezką do szorstkiej, sosnowej ściany obok biurka. Co rusz patrzył na nie i odczytywał na nowo.

„Rzeka płynęła obojętnie dalej – jak to rzeka. Uwięzione pod kłodami ciało młodego Kanadyjczyka niosła wraz z nurtem, który obracał go tam i siam – tam i siam. Jeżeli w owej chwili Twisted River też wydawała się niespokojna, a nawet niecierpliwa, chciała może, aby ciało chłopca płynęło wraz z nią – wraz z nią".

Spodobało mu się to powtórzenie. Wiedział, że wybornie nadaje się do pierwszego rozdziału, ale na sam koniec – zdecydowanie nie brzmiało jak wprowadzenie. Podkreślił zwrot „pod kłodami"; byłby to w sumie niezły tytuł. Punkt ciężkości pierwszego rozdziału spoczywał jednak na kucharzu, a nie na chłopcu, który wpadł pod kłody.

„W obecności kucharza nie można było powiedzieć «przeszłość» lub «przyszłość», żeby zaraz nie zmarszczył brwi", napisał Daniel Baciagalupo. Były też inne, odrębne zdania o młodym kucharzu; stanowiły coś na kształt punktów orientacyjnych, które pomagały pisarzowi wyznaczyć strukturę pierwszego rozdziału. Inne brzmiało: „Zdaniem kucharza liczba zakrętów na Twisted River nie uzasadniała bynajmniej jej nazwy". Naturalnie zdań miało powstać znacznie więcej; musiał uzbroić się w cierpliwość. „Kucharz widział, że flisak ze złamanym nadgarstkiem wyszedł na brzeg z drągiem w drugiej ręce", napisał Danny.

Przyszło mu do głowy, że przedstawi wydarzenia w pierwszym rozdziale z punktu widzenia kucharza, a także

jego dwunastoletniego syna. „Kucharz wiedział aż nazbyt dobrze, że to młody Kanadyjczyk znalazł się pod kłodami”, zanotował Daniel Baciagalupo. Jednego zdania o kucharzu nie skończył, przynajmniej na razie. „Kucharza otaczała aura tłumionego lęku, jakby żył w ciągłym strachu przed najgorszymi z możliwych katastrof ” – tymczasem na tym poprzestanie, wróci do niego innego dnia. Grunt to spisać te luźne przemyślenia i przyczepić do ściany.

„W miasteczku takim jak Twisted River nie zmieniała się tylko pogoda”, napisał również; byłoby to niezłe pierwsze zdanie, ale pisarz wiedział, że stać go na coś lepszego. Szkoda, zdanie o pogodzie było dobre, Danny na pewno je wykorzysta. „Ponownie nastała pora błota, pora rozkisłej ziemi na brzegach rzeki”, naskrobał na kartce – o, to byłoby lepsze na początek, ale nie tego szukał.

Wszystko, co dotyczyło postaci Ketchuma, było bardziej fragmentaryczne. Jak dotąd Danny nie miał jeszcze całych zdań. Nie licząc może: „spływ kosztował Ketchuma o wiele więcej niż tylko złamany nadgarstek”; podobało mu się to, ale nie wiedział jeszcze, do czego je przypiąć. Inny fragment mówił o tym, że Ketchum „o zdradliwości spływu wiedział niejedno”. To też mógłby wykorzystać, ale nie miał pewności gdzie – może w pobliżu zdania, w którym Ketchum leży na wznak, „niczym niedźwiedź wyrzucony na brzeg”. Te urywki również powędrowały na ścianę i zawisły obok pozostałych punktów orientacyjnych.

Na razie postać Angela krystalizowała mu się bardziej niż postać Ketchuma – chociaż nie miał wątpliwości, że ważniejszym bohaterem jest ten drugi. Może najważniejszym, pomyślał.

W tej samej chwili – gdy pies wyemitował kolejną porcję śmiercionośnych gazów – ponownie zadzwoniła komórka Danny'ego.

– *Buenos días*, *Señor* Pisarzu – odezwała się Lupita.

– *Buenos días*, Lupito – odpowiedział Danny.

Meksykańska sprzątaczka rzadko do niego dzwoniła. Podczas jego dziesięciotygodniowego pobytu w Georgian Bay opiekowała się domem na Cluny Drive; otwierała i czytała jego listy, odsłuchiwała wiadomości na automatycznej sekretarce, a także pilnowała faksu. Raz w tygodniu sporządzała listę ważnych spraw – czyli w jej mniemaniu tych, które nie mogły zaczekać na jego powrót – i faksowała je do biura Andy'ego Granta w Pointe au Baril Station.

Danny zawsze zostawiał jej kilka czeków in blanco, gdyż opłacała też rachunki. Największą frajdę sprawiało jej czytanie jego listów i decydowanie, co jest ważne, a co – wręcz przeciwnie. Niewątpliwie uznawała to za swój wielki przywilej i szczyciła się tym, że sprawuje niemalże nieograniczoną pieczę – żeby nie powiedzieć, kontrolę – nad domowym życiem znanego pisarza.

Danny wiedział, że Lupita nie przepuści okazji, aby zająć się też jego pożałowania godnym życiem osobistym. Gdyby miała córki, nie omieszkałaby mu ich przedstawić. Miała za to siostrzenice i bezwstydnie rozsiewała po kuchni ich fotografie, by następnie (po powrocie do domu) dzwonić do Danny'ego z informacją, że „zgubiła” zdjęcia, które mają dla niej ogromną wartość sentymentalną. Czy przypadkiem ich nie widział?

– Są w kuchni, Lupito, dokładnie tam, gdzie je zostawiłaś – odpowiadał.

– Te, na których jest ciemnowłosa ślicznotka w różowym podkoszulku… o przepięknej cerze i cudownym uśmiechu? Tak się składa, że to moja siostrzenica, panie Pisarzu.

– Lupito, ona wygląda jak nastolatka – upominał ją Danny.

– O nie, jest starsza… trochę – przyznawała Lupita.

– Tylko niech pan się nie żeni z pisarką – powiedziała mu kiedyś. – Będziecie tylko się wzajemnie dołować.

– Z nikim się nie ożenię… nigdy – odpowiedział.

– To może lepiej od razu podciąć sobie żyły? – zaproponowała. – Jeszcze trochę, a zacznie pan zadawać się z prostytutkami! Wiem, że mówi pan do psa… słyszałam! – rzuciła oskarżycielsko.

Danny wiedział, że jeśli dzwoni do niego na wyspę, coś wyprowadziło ją z równowagi.

– O co chodzi, Lupito? – zapytał. – Czy w Toronto pada śnieg? Mamy tu istną zawieruchę; Śmiały i ja nie wytykamy nosa z domu.

– Co do tego biednego psa, nie będę się wypowiadać, ale panu na pewno to odpowiada – odparła Lupita. Nie miała głowy do rozmów o pogodzie; wyraźnie dręczyło ją coś innego.

Czasami twierdziła, że dom na Cluny Drive jest obserwowany; bywało, że miała rację. Co roku zjawiało się kilku nieśmiałych fanów – ogarniętych umiarkowaną obsesją czytelników, chętnych choć z daleka spojrzeć na sławnego pisarza. Niekiedy byli to krwiopijcy z gazet, chętni zobaczyć… co? Pewnie kolejną podwójną strzelaninę.

Jakieś podrzędne kanadyjskie czasopismo zamieściło mapę z adresami znanych ludzi mieszkających w Toronto; znalazł się na niej również dom Danny'ego na Cluny Drive. Nieczęsto, ale przynajmniej raz w miesiącu, na progu stawał łowca autografów; Lupita przepędzała ich jak żebraków. „Płacą mu za pisanie książek, a nie podpisywanie!”, wołała.

Jakiś półgłówek z gazety nawet o niej napisał: „Towarzyszką życia pisarza pustelnika jest otyła Latynoska w podeszłym wieku, o nad wyraz opiekuńczym usposobieniu”. Lupita nie była tym zachwycona; określenia „otyła” i „w podeszłym wieku” stanowczo nie przypadły jej do gustu. Co do jej usposobienia, była opiekuńcza jak nigdy.

– Ktoś pana szuka, Señor Pisarzu – oznajmiła mu przez telefon. – Raczej nie nazwałabym jej psychofanką… na razie… ale mówię panu, ta kobieta się zawzięła!

– To znaczy? – spytał Danny.

– Ja tam nie wpuściłabym jej przez próg! – zawołała Lupita. – I ma się rozumieć, nie powiedziałam jej, gdzie pan jest.

– Ma się rozumieć – powtórzył Danny. – Czego chciała?

– A kto ją wie! Bezczelna baba. Przewierca człowieka tymi oczami… jak to mówią, gdyby wzrok mógł zabijać! I zuchwale dała do zrozumienia, że wie, gdzie pana znaleźć. Myślę, że chciała mnie wybadać, ale nie połknęłam haczyka – oświadczyła z dumą Lupita.

– Zuchwale? Czyli jak? – chciał wiedzieć Danny.

– Była nienaturalnie dobrze poinformowana – odrzekła Lupita. – Zapytała, czy jest pan na wyspie, na której kiedyś mieszkał pan ze scenarzystką! Ja jej na to: „Na jakiej wyspie?”. Szkoda, że pan nie widział, jak na mnie spojrzała!

– Jakby wiedziała, że kłamiesz? – odgadł Danny.

– Tak! – krzyknęła Lupita. – Może to czarownica?

Wszyscy wielbiciele Danny'ego Angela wiedzieli, że mieszkał z Charlotte Turner i że latem jeździli nad Georgian Bay; kiedyś ktoś napomknął nawet, iż rzekomy pisarz pustelnik jeździ zimą na daleką wyspę na jeziorze Huron (no cóż, w zimie faktycznie była daleka). Wystarczyło trochę ruszyć głową; zdobycie tej informacji wcale nie wymagało nadprzyrodzonych zdolności.

– Jak wyglądała, Lupito? – zapytał Danny; miał ochotę spytać sprzątaczkę, czy zauważyła miotłę lub czy owa nienaturalnie dobrze poinformowana kobieta nie znikła aby w obłoku dymu i przy wtórze huku piorunów.

– Przerażająco! – oznajmiła Lupita. – Barczysta… jak mężczyzna! I potężna!

– Potężna – powtórzył jak echo Danny i przypomniał sobie ojca. Niedaleko pada jabłko od jabłoni; najwyraźniej powtarzanie miał w genach.

– Wyglądała jak sztangistka – dodała Lupita. – Nie chciałby pan z nią zadrzeć, słowo daję.

„Sztangistka”, miał na końcu języka, ale się powstrzymał. Naraz wydało mu się, że to wypisz, wymaluj rysopis Amy, bo czyż Amy nie wyglądała jak sztangistka? Czy nie przewiercała człowieka wzrokiem? (Gdyby spojrzenia mogły zabijać, coś o tym wiedział!). I czy nie była potężna? Określenie „bezczelna” jakoś nie pasowało mu do Pani Niebo, ale brał pod uwagę nadużycie ze strony Lupity.

– Miała tatuaże? – zapytał.

– Panie Pisarzu, jest luty! – wrzasnęła Lupita. – Trzymałam ją na zewnątrz, na zimnie. Wyglądała jak lodołamacz!

– A widziałaś może, jakiego koloru miała włosy? – spytał Danny. Pamiętał, że Amy była blondynką; miał ją przed oczami jak na dłoni.

– Miała na sobie kurtkę z kapturem! – stwierdziła Lupita. – Nie widziałam nawet jej brwi!

– Ale jest duża – drążył Danny. – Nie tylko barczysta, ale i wysoka, tak?

– Górowałaby nad panem! – zawołała Lupita. – To olbrzymka!

Danny uznał, że nie ma sensu pytać o spadochron. Głowił się nad kolejnym pytaniem. Pani Niebo początkowo wydała mu się starsza niż on, ale mógł się mylić; być może byli rówieśnikami.

– Ile miała lat, Lupito? – spytał. – Czy była tak na oko w moim wieku, czy może trochę starsza?

– Młodsza – odparła z niezachwianą pewnością Lupita. – Może niewiele, ale na pewno młodsza.

– Aha – odpowiedział pisarz; czuł, że nie udało mu się ukryć rozczarowania. Pragnął uwierzyć, że Amy po raz kolejny spadła z nieba. Ale cuda nie zdarzają się dwa razy. Nawet Pani Niebo mówiła, że jest aniołem „tylko czasami". Lupita powiedziała, że tajemniczy gość „się zawziął"; Pani Niebo na pewno była zawzięta. I jak strasznie spodobała się małemu Joemu!

– Cóż, kimkolwiek jest – powiedział do słuchawki – dziś na pewno nie przyjedzie, nie w taką zamieć.

– Ale kiedyś się zjawi albo wróci tutaj. Ja to wiem – odrzekła złowróżbnie Lupita. – Wierzy pan w czarownice, panie Pisarzu?

– A czy ty wierzysz w anioły? – odpowiedział pytaniem Danny.

– Ta kobieta jest zbyt niebezpieczna jak na anioła – zawyrokowała Lupita.

– Będę na nią uważał – obiecał Danny. – Powiem Śmiałemu, że to niedźwiedź.

– Gdyby to był niedźwiedź, tobym się tak nie martwiła – ucięła Lupita.

Kiedy skończyli rozmawiać, Danny'emu przyszło do głowy, że pomimo sympatii, jaką w nim budzi, Lupita jest starą przesądną Meksykanką. Czy katolicy wierzą w czarownice, zastanawiał się pisarz. Danny nie wiedział, w co wierzą katolicy – a już na pewno, w co wierzy Lupita. Złościł się, że oderwano go od pracy, poza tym Lupita nawet nie raczyła wspomnieć, kiedy dokładnie olbrzymka zjawiła się w Toronto. Czy było to tego ranka – czy może w ubiegłym tygodniu? Jeszcze przed chwilą miał natchnienie i planował pierwszy rozdział. Bezsensowna rozmowa telefoniczna wybiła go z rytmu; wszystko go teraz rozpraszało, nawet pogoda.

Inuksuk spoczął pod śniegiem. „Zły znak", powiedziałaby pewnie Niestrudzona. W dodatku Danny nie mógł patrzeć

na pokrzywioną sosnę; kalekie drzewko boleśnie przypominało mu dzisiaj ojca. Zdawała się bliska zagłady; zasypana białym puchem i targana przez wiatr.

Gdyby skierował wzrok na południowy wschód – w stronę wyspy Pentecost, przy ujściu rzeki Shawanaga – napotkałby białą pustkę. Nie było tam dosłownie nic; nic, co wskazywałoby na jakąkolwiek granicę pomiędzy wirującym białym niebem a zaśnieżoną zatoką, ani śladu horyzontu. Gdy popatrzył na południowy zachód, wyspa Burnt ginęła z oczu, zagubiona pośród zamieci. Na wschodzie majaczyły tylko czubki najwyższych drzew na lądzie, lecz jego samego nie było widać. Ziemia znikła, podobnie jak zagubiony horyzont. W najwęższej części zatoki stała chata rybacka; może wiatr poniósł ją w dal albo po prostu znikła z pola widzenia (jak wszystko inne).

Stwierdził, że przyniesie kilka dodatkowych wiader wody, dopóki jeszcze widzi jezioro. Świeży śnieg przykrył zapewne przerębel; będą musieli uważać, by nie nadepnąć na cienką warstwę lodu. Wyprawa do miasteczka nie miała sensu, rozmrozi coś z zamrażarki. No i odpuści sobie dziś rąbanie drewna.

Na zewnątrz wirujące płatki wpadały Śmiałemu do wytrzeszczonego oka; co rusz przecierał łapą pysk.

– Tylko cztery wiadra, Śmiały. Dwie rundki do jeziora i z powrotem – obiecał Danny. – Zaraz będziemy w domu. – Wiatr ustał niespodziewanie, kiedy Danny niósł ostatnie dwa wiadra. Śnieg sypał teraz pionowo w dół, większymi, bardziej miękkimi płatkami. – Bez wiatru da się przeżyć, nie? – powiedział do psa.

Śmiały wyraźnie odzyskał humor. Danny patrzył, jak pędzi za wiewiórką, po czym przytargał z jeziora jeszcze dwa wiadra (czyli w sumie sześć). Teraz zamieć była mu niestraszna, choćby sypało do jutra. Zresztą, czy to ważne,

ile będzie sypać? I tak nie miał żadnych dróg do odśnieżenia.

W zamrażarce było pod dostatkiem dziczyzny. Pomyślał, że dwa plastry to za dużo, ale może jeden nie wystarczy – toteż postanowił rozmrozić dwa. Miał mnóstwo papryki i cebuli, grzyby też; może je przysmażyć na sałatkę. Zrobił marynatę do mięsa – jogurt i świeżo wyciśnięty sok z cytryny z kminkiem, kurkumą i chili. Zapamiętał to z „Mao". Dorzucił do pieca w głównym budynku; jeśli postawi zamarynowane mięso w pobliżu ognia, do wieczora się rozmrozi. Było dopiero południe.

Nalał Śmiałemu świeżej wody i przyrządził sobie mały lunch. Zamieć uwolniła go od codziennych obowiązków; przy odrobinie szczęścia zdoła jeszcze popracować. Czuł, że pierwszy rozdział go wzywa. Jeszcze chwila, a rozpraszać go będą jedynie bąki psa.

– „Pod kłodami" – powiedział na głos, wypróbowując brzmienie słów. Uznał, że to dobry tytuł pierwszego rozdziału. – Idziemy, Śmiały – powiedział, ale nie zdążyli wyjść, kiedy znów zadzwoniła jego komórka, po raz trzeci tego dnia. Na wyspie Charlotte bywały dni, że nie dzwoniła ani razu.

– To niedźwiedź, Śmiały! – powiedział do psa. – Założysz się, że nadciąga niedźwiedzica? – Ale to był Andy Grant.

– Chciałem zapytać, co u was słychać – odezwał się. – Jak dajecie sobie radę w tę zamieć?

– Bez problemów, a nawet bardzo dobrze – zapewnił go Danny. – Rozmrażam kawałek jelenia, którego razem upolowaliśmy.

– Nie wybierasz się na zakupy? – spytał Andy.

– Nigdzie się nie wybieram – odpowiedział Danny.

– To dobrze – stwierdził Andy. – Biało tam pewnie u was, co?

– Jak okiem sięgnąć – odparł Danny. – Nie widać wyspy Burnt. Nie widać nawet lądu.

– Nawet z przystani? – zapytał Andy.

– Tego nie wiem – odpowiedział Danny. – Strasznie się dziś obijamy i na przystań nie dotarliśmy. – Nastała chwila cisza, na tyle długa, że Danny sprawdził na wyświetlaczu, czy jeszcze ma połączenie.

– Na waszym miejscu poszedłbym sprawdzić, co widać z przystani – odezwał się wreszcie Andy Grant. – Odczekałbym dziesięć, może piętnaście minut, a potem poszedłbym zobaczyć.

– Czego mam wypatrywać, Andy? – zapytał pisarz.

– Gościa – odparł budowlaniec. – Ktoś cię szuka, Danny. I strasznie zawzięła się, żeby cię znaleźć.

– Zawzięła – powtórzył Danny.

Zjawiła się na pogotowiu w Pointe au Baril, pytając o drogę na wyspę Turner. Pielęgniarka odesłała ją do Andy'ego. Wszyscy w miasteczku wiedzieli, że Andy Grant strzeże prywatności sławnego pisarza jak oka w głowie.

Wysoka, dobrze zbudowana kobieta nie miała własnego airboata ani skutera śnieżnego. Nie przyszła też na nartach, ale jedynie z kijkami. Do wielkiego plecaka przytroczyła rakiety śnieżne. Jeśli miała samochód, pewnie był wypożyczony i zdążyła go oddać. Może spędziła noc w tawernie Larry'ego albo w jakimś motelu opodal Parry Sound. Nie było mowy, żeby przejechała całą drogę z Toronto do Pointe au Baril Station – nie tego rana, nie w taką zamieć. Śnieg przykrywał całą Georgian Bay, od wyspy Manitoulin do Honey Harbour – według Andy'ego miało sypać przez całą noc.

– Twierdziła, że cię zna – powiedział pisarzowi Andy. – Ale jeśli się okaże, że to jakaś stuknięta fanka albo nawiedzona łowczyni autografów, w plecaku zmieściłaby wszystkie

osiem twoich książek, w twardej i miękkiej oprawie. Strzelba też.

– A niby skąd mnie zna? – zapytał Danny.

– Powiedziała tylko: „Stare dzieje”. Chyba nie spodziewasz się wizyty wkurzonej byłej dziewczyny, co?

– Nikogo się nie spodziewam, Andy – odpowiedział Danny.

– To wielka babka, Danny.

– To znaczy?

– No, rzekłbym olbrzymka – odparł Andy. – Łapy jak grabie, buty większe od moich. Obaj zmieścilibyśmy się w jej kurtce, dla Śmiałego też pewnie starczyłoby miejsca.

– Chcesz powiedzieć, że wyglądała jak lodołamacz – domyślił się pisarz.

– Na pewno ubrana była odpowiednio do pogody – odpowiedział Andy. – Nieprzemakalne spodnie, grube rękawice… kurtka z wielkim kapturem.

– Rozumiem, że jej włosów nie widziałeś – powiedział pisarz.

– No co ty? Nie pod tym kapturem. Nawet nie wiem, jakie miała oczy – odrzekł Andy.

– Ile ma lat, tak na oko? – spytał Danny. – Jest w moim wieku, może trochę starsza?

– No co ty? – powtórzył Andy. – Jest dużo młodsza od ciebie, Danny. Tak mi się przynajmniej zdawało. I naprawdę wysportowana.

– A niby skąd to wiesz, skoro była tak grubo ubrana? – zapytał pisarz.

– Weszła do mojego biura, żeby zerknąć na mapę zatoki – odpowiedział budowlaniec. – Kiedy szukała wyspy Turner, podniosłem jej plecak. Znaczy, podniosłem go, i zaraz postawiłem z powrotem. Ważył dobre trzydzieści kilo, Danny, tyle co Śmiały, a ona niosła go jak piórko.

– Ten opis kogoś mi przypomina – stwierdził Danny. – Tylko wiek się nie zgadza. Jeśli to kobieta, o której myślę, nie może być „dużo młodsza” ode mnie, tak jak mówisz.

– Mogę się mylić – odparł Andy. – Ludzie różnie się starzeją, Danny. Niektórzy w ogóle się nie zmieniają, a innych nie poznajesz po dwóch latach.

– O, minęły więcej niż dwa… jeśli to osoba, o której myślę – odpowiedział Danny. – Prawie czterdzieści! Nie, to nie ona – uciął, zły na siebie. Nie miał odwagi się łudzić, że to Pani Niebo. Zrozumiał, że minęło sporo czasu, odkąd miał nadzieję na cokolwiek. Kiedyś miał nadzieję, że jego kochanego syna nie spotka nic złego. I że jego ojciec przeżyje kowboja, a Ketchum umrze spokojnie, we śnie, z obiema rękami na swoim miejscu. Nadzieja nie kojarzyła się Danielowi Baciagalupo najlepiej.

– Danny, nie możesz przewidzieć, jak ktoś będzie wyglądał po czterdziestu latach, to idiotyczne – oznajmił Andy. – Niektórzy zmieniają się bardziej od innych, tylko tyle ci powiem. Słuchaj – powiedział – a może przyjadę? Pewnie dogoniłbym ją na skuterze. Przywiozę ci tę twoją tajemniczą kobietę, a jeśli ci się nie spodoba… jeśli to nie ta, o której myślisz… zabiorę ją z powrotem do Pointe au Baril.

– Nie, Śmiały i ja damy sobie radę – odparł Danny. – W razie czego zadzwonię.

– Lepiej idźcie na przystań – poradził mu Andy. – Wyszła dobrą chwilę temu, a sadzi naprawdę wielkimi krokami.

– Wobec tego będziemy się zbierać. Dzięki, Andy – odpowiedział Danny.

– Na pewno nic nie mogę dla ciebie zrobić? – upewnił się Andy.

– Szukam pierwszego zdania do pierwszego rozdziału – odpowiedział pisarz. – Nie masz go dla mnie, co?

– Tu ci nie pomogę – poddał się Andy Grant. – Ale gdyby ta kobieta robiła problemy, daj mi znać.

– Nie będzie żadnych problemów – zapewnił go Danny.

– Danny? Weź ze sobą tego starego remingtona. Na wszelki wypadek miej przy sobie broń… i dopilnuj, żeby ją widziała, dobrze?

– Dobrze – odpowiedział pisarz.

Spacer ze sztucerem jak zwykle przypadł Śmiałemu do gustu. Danny ostudził jego zapał.

– Nie rób sobie nadziei, Śmiały. Zdaje się, że to chyba jednak nie niedźwiedź.

Przy pracowni śnieg sięgał mu do kolan, na wąskiej ścieżce wśród drzew był nieco płytszy.

– Niedługo wrócę, pierwszy rozdziale – rzucił na głos w stronę okna. – Do zobaczenia, pierwsze zdanie.

Śmiały popędził przodem. Napotkali osłonięty od wiatru cedrowy zagajnik, w którym nocowało stadko jeleni. Musiały przestraszyć się psa albo odeszły z chwilą ustania wiatru. Śmiały stał i węszył; pewnie pod śniegiem leżały ich odchody. W miejscu, gdzie skupiły się blisko siebie, widniał placek ubitego śniegu.

– Uciekły… spóźniłeś się – powiedział Danny do psa. – Są już pewnie na wyspie Barclay albo dotarły na ląd. – Ogar tarzał się po klepisku. – Jeśli wytarzasz się w gównie, Śmiały, czeka cię kąpiel. Szampon i inne przyjemności.

Śmiały nienawidził kąpieli, a mycie opornego psa stanowiło dla Danny'ego istną torturę. W Toronto było to obowiązkiem Lupity, która beształa przy tym psa, ile wlezie. „I co, *Señor* Macho, pianka wleciała do oczka? Masz nauczkę za to, żeś szukał guza, panie Macho”.

Na dachu dziadkowej chaty leżał blisko metr śniegu, ale pisarz i pies nawet nie spojrzeli w jej stronę. Jeśli kiedyś była nawiedzona, teraz była nawiedzona tym bardziej; ani

Danny, ani Śmiały nie mieli ochoty na konfrontację z duchem Ketchuma. Bo jeśli duch starego flisaka błądził gdzieś po świecie, to domek kłusownika był dla niego wymarzoną kryjówką.

Na przystani śnieg sięgał mu do uda. W oddali majaczyły fragmenty lądu, ale linia brzegowa tonęła w bieli, pojawiając się, to znów ginąc z oczu. Danny nie widział dokładnie, gdzie zaczyna się przystań przy Payne's Road, ale dostrzegł z pomostu zarys chatki rybaka. Nie została porwana przez wiatr, ale pośród sypiącego śniegu rysowała się tak niewyraźnie, iż nie ulegało wątpliwości, że nim Danny zobaczy piechurkę, ona będzie już w połowie drogi.

Co powiedział mały Joe na pieczeniu prosiaka? „Samolot. Nie ptak”. A potem Danny, który nie spuszczał wzroku z Katie, usłyszał jego słowa: „Nie leci. Spada!”. Dopiero wtedy ją zauważył, spadającą jak kamień w dół, tuż zanim otworzyła spadochron. I z każdą chwilą widział ją coraz wyraźniej. Najpierw stało się jasne, że to kobieta, a zaraz potem, że jest goła. Lecz dopiero gdy znaleźli się razem w zagrodzie dla świń, pośród błota i łajna, dopiero wtedy zrozumiał, jaka jest wielka. Była po prostu ogromna!

Zmrużył oczy, wpatrzony w bezkresną biel, jakby wypatrywał kolejnego samolotu na rozmazanym horyzoncie – lub też kolejnej, czerwono-niebiesko-białej czaszy spadochronu.

Wiedział, że kimkolwiek jest, tym razem zjawi się ubrana. Wiedział też, że – podobnie jak spadochroniarka – pojawi się nagle, niczym anioł spadający z nieba. Stał i patrzył, ale wiedział, że w takiej zamieci po prostu wyrośnie jak spod ziemi, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. I tam, gdzie przed chwilą była pustka, ujrzy wysoką postać sunącą ku niemu dziarskim krokiem.

Zapomniał jednak, że Śmiały to pies myśliwski; miał jedno zdrowe ucho i nadzwyczaj sprawny nos. Warkot

wezbrał mu w piersi i pierwsze, zdławione szczeknięcie zginęło w gardle. Nikogo nie było, przed nimi rozciągała się próżnia, ale ogar wyczuł jej bliskość i rozszczekał się, zanim jeszcze ukazała się oczom Danny'ego.

– Przymknij się, Śmiały, nie przestrasz jej – rzucił Danny. Naturalnie wiedział, że jeśli to naprawdę Pani Niebo, nic nie może jej przestraszyć.

Kiedy ją zobaczył, prawie biegła. W takim tempie, z tak pokaźnym ciężarem na plecach, musiała nieźle się spocić. Rozpięła kurtkę, żeby ochłonąć; kaptur spoczywał na rozłożystych ramionach. Danny widział jasne włosy, nieco dłuższe niż przed laty. Zrozumiał, dlaczego Lupita i Andy Grant wzięli ją za młodszą od niego, jeśli nie dużo młodszą. Gdy dotarła na przystań, Śmiały wreszcie przestał szczekać.

– Chyba mnie nie zastrzelisz… co, Danny? – zapytała Amy. Ale pisarz, który nie miał szczęścia do nadziei, nie mógł jej odpowiedzieć. Nie mógł wydobyć słowa, i nie mógł oderwać od niej wzroku.

Wciąż sypało i łzy na twarzy Danny'ego mieszały się ze śniegiem; pewnie nie wiedział, że płacze, ale Amy zobaczyła jego oczy.

– Ej… czekaj… już idę – powiedziała. – Przyszłam, jak najszybciej się dało. – Rzuciła plecak na ziemię razem z kijkami, po czym wspięła się na kamienie, ściągając po drodze rakiety.

– Pani Niebo – powiedział Danny, lecz nie wydusił nic więcej. Czuł, że ziemia usuwa mu się spod nóg.

– Tak, to ja – odpowiedziała, wyciągając ręce i przytuliła jego głowę do piersi. Danny stał i dygotał. – Rany, jest gorzej, niż myślałam – oznajmiła. – Ale to nic, jestem przy tobie i wszystko będzie dobrze, tak?

– Gdzie byłaś? – wykrztusił wreszcie.

– Miałam do załatwienia jedną sprawę… a właściwie dwie – odrzekła. – Okazały się stratą czasu. Ale myślałam o tobie… od lat.

Nie obchodziło go, czy uważa go za kolejną ze swoich „spraw”; podejrzewał, że borykała się w życiu z niejedną. I co z tego, pomyślał. Niedługo skończy sześćdziesiąt trzy lata; żadne z niego trofeum.

– Przyjechałabym wcześniej, draniu, gdybyś mi odpisał – przypomniała mu Amy.

– Nie widziałem twojego listu. Tata przeczytał go i wyrzucił. Wziął cię za striptizerkę.

– To było dawno temu… jeszcze przed spadochronem – odpowiedziała. – Był może kiedyś w Chicago? Nie rozbierałam się od czasów Chicago.

Bardzo go to rozśmieszyło, ale zanim zdążył wyjaśnić nieporozumienie, Pani Niebo przyjrzała się Śmiałemu. Pies podejrzliwie obwąchiwał jej porzucone rakiety, jakby zamierzał je obsikać.

– Tylko podnieś nogę, a stracisz drugie ucho… albo fiutka – ostrzegła Amy. Śmiały wiedział, kiedy ktoś mówi do niego; łypnął na Amy wybałuszonym okiem, ale zostawił rakiety. Jej ton pewnie przypomniał mu Pam. Zresztą Danny'emu też; młodą Pam, z czasów gdy mieszkała z Ketchumem.

– Jezu, ale się trzęsiesz… uważaj, bo ci sztucer wypali – powiedziała.

– Czekałem na ciebie – odparł. – Miałem nadzieję.

Pocałowała go; miała w ustach miętową gumę, ale mu to nie przeszkadzało. Była ciepła i zgrzana, ale nie brakowało jej tchu mimo uciążliwej trasy.

– Możemy gdzieś się schować? – zapytała. Każdy widział na pierwszy rzut oka, że domek dziadka jest niezamieszkany – chyba że się było Ketchumem albo duchem. Pozostałe budynki były z przystani niewidoczne,

nawet gdy nie sypało. Danny podniósł z ziemi jej rakiety i kijki, uważając, by sztucer celował w zatokę, Amy narzuciła plecak. Śmiały jak zawsze pobiegł przodem.

Przystanęli przed pracownią; chciał jej pokazać, gdzie pisze. W pomieszczeniu wciąż unosił się smród psich bąków, ale ogień nie wygasł i było ciepło jak w saunie. Amy zdjęła kurtkę oraz kilka warstw odzieży, które miała pod spodem, i została w samych tylko spodniach nieprzemakalnych i podkoszulku. Powiedział jej, że myślał kiedyś, iż jest starsza niż on – albo w tym samym wieku – ale jak to możliwe, że teraz wydaje się młodsza? Nie młodsza niż tamtego dnia na świńskiej farmie w Iowa; po prostu nie postarzała się tak jak on – jakim cudem?

Odpowiedziała mu, że kiedyś, dawno temu, straciła syna; jeszcze zanim się spotkali. Zmarł, mając dwa lata – tyle samo co mały Joe na farmie. Kiedy to się stało, i przez parę kolejnych lat, Amy bardzo się postarzała. Nie żeby pogodziła się wreszcie ze śmiercią dziecka – było to niemożliwe, o czym Danny wiedział na pewno – lecz w miarę upływu lat strata przestała rzucać się w oczy. Może dzieje się tak, że śmierć czyjegoś dziecka stopniowo przestaje być widoczna dla innych. Joe nie umarł tak dawno; wszyscy znajomi pisarza mogli potwierdzić, że Danny bardzo się postarzał.

– Jesteśmy mniej więcej w tym samym wieku – uzupełniła Amy. – Zdaje mi się, że od jakiegoś czasu mam sześćdziesiąt… tak przynajmniej mówię facetom, którzy mnie o to pytają.

– Wyglądasz na pięćdziesiąt – odpowiedział Danny.

– Chcesz mnie poderwać czy co? – zapytała. Przeczytała zdania i fragmenty zdań z pierwszego rozdziału, przypięte do sosnowej ściany obok biurka. – Co to? – zapytała.

– Zdania bądź ich fragmenty; czekają, aż je dogonię – odparł. – Z pierwszego rozdziału… ale jeszcze nie

znalazłem pierwszego zdania.

– Może ja ci pomogę – odpowiedziała. – Na razie nigdzie się nie wybieram. Nie mam żadnych innych spraw.

Danny o mało znowu się nie rozpłakał, ale ponownie rozdzwoniła się jego komórka – po raz czwarty tego dnia! Był to oczywiście Andy Grant; sprawdzał, co w trawie piszczy.

– Już jest? – zapytał. – I co to za jedna?

– Ta, na którą czekałem – odpowiedział Danny. – Anioł.

– Czasami – przypomniała mu Pani Niebo, kiedy się rozłączał. – No, przynajmniej tym razem.

Jak brzmiałyby ostatnie słowa kucharza, zanim kowboj strzelił mu w serce? W najlepszym razie Dominic Baciagalupo mógłby wyrazić nadzieję, że jego samotny syn „kogoś znajdzie” – tylko tyle. Cóż, Danny znalazł, a dokładniej ona jego. Najpierw Charlotte, teraz Amy – wiedział, że w tym aspekcie życia dopisało mu szczęście. Niektórzy ludzie nie znajdują nawet jednej osoby; Daniel Baciagalupo znalazł dwie.

Opowiedziała mu, że przez ostatnich parę lat mieszkała w Minnesocie. „Jeśli myślisz, że w Toronto jest zimno, jedź do Minneapolis”, dodała. Próbowała graplingu w klubie zapaśniczym o nazwie Burza Minnesoty. I trzymała się z paczką „byłych zapaśników”, co wydawało się Danny'emu nie do pomyślenia.

Amy Martin – „Martin” było jej nazwiskiem panieńskim, do którego wróciła „dawno temu” – urodziła się w Kanadzie. Mieszkała długo w Stanach i uzyskała amerykańskie obywatelstwo, ale „w sercu” była Kanadyjką i twierdziła, że zawsze chciała tu wrócić.

Po co w ogóle wyjeżdżała do Stanów, zapytał ją Danny. „Przez takiego jednego”, odpowiedziała, wzruszając

ramionami. „Potem urodziłam dziecko i czułam, że powinnam zostać”.

Swoje obecne poglądy polityczne określała mianem „z grubsza obojętnych”. Przeszkadzało jej, jak niewiele Amerykanie wiedzą o reszcie świata – i jak mało ich to obchodzi. Podwójna kadencja Busha zapewne pozostawi kraj (i resztę świata) w kompletnej rozsypce. Zdaniem Amy Martin przydałby się jakiś waleczny rycerz na koniu, ale co może jeden rycerz?

Niewiele się zmieni, powiedziała Pani Niebo. Spadła na ziemię w kraju, który wprawdzie nie wierzy w anioły, ale dopuścił do władzy fanatyków. A w takim wypadku trudno o zmianę. Warto wspomnieć też o tym, co nazwała „kontyngentem lachociągów”, czyli zasranych patriotach, zbyt zatwardziałych lub zbyt niedokształconych (bądź też jedno i drugie), aby wyjrzeć poza powiewający sztandar i nacjonalistyczne komunały. „Konserwatyści są na wymarciu”, stwierdziła Pani Niebo. „Ale jeszcze o tym nie wiedzą”.

Kiedy pokazał jej główny budynek – wielką wannę, sypialnię i kotlety z dziczyzny, zamarynowane na kolację – wiedział już, że spotkał bratnią duszę. Ona wiedziała o nim więcej, znała na pamięć wszystkie jego książki. Czytała też prawie wszystkie „pierdoły”, jakie o nim napisano. Oboje używali tego słowa à propos prasy; w tym też zgadzali się co do joty.

Przede wszystkim wiedziała o tym, kiedy i jak stracił Joego – a także ojca; znała wszystkie szczegóły. Musiał opowiedzieć jej o Ketchumie, o którym nie wiedziała nic, i choć wiele go to kosztowało – rozmawiał o Ketchumie tylko z Pam – odkrył, że stary flisak żyje w jego nowo powstającej powieści, opowiedział więc i o niej, a także o ulotnym pierwszym rozdziale.

Podgrzali wodę z jeziora w garnkach do makaronu, a gdy usiedli razem w wielkiej wannie, była wypełniona po brzegi; dotąd nie wyobrażał sobie, że to w ogóle możliwe, no ale niby skąd miał wiedzieć, że przyjdzie mu się kąpać z olbrzymką?

Amy opowiedziała mu historię swych licznych tatuaży. Trwało to z godzinę, a może i dłużej, najpierw w ciepłej wannie, a potem w sypialni ogrzanej gazowym piecykiem. Nigdy nie miał okazji przyjrzeć się im uważniej – ani gdy stała w zagrodzie, umazana błotem i łajnem, ani później, gdy owinęła się ręcznikiem. Czuł, że nie wypadało jej się wówczas przyglądać.

Uczynił to teraz, dosłownie chłonął ją wzrokiem. Wiele spośród jej tatuaży stanowiło symbole sztuk walki. Trenowała kickboxing w Bangkoku; przez parę lat mieszkała w Rio de Janeiro, gdzie bez powodzenia startowała w zawodach dla kobiet. Twierdziła, że Tajki nie dorastają niektórym Brazylijkom do pięt.

Tatuaże mają własną historię, Danny usłyszał wszystkie co do jednej. Najważniejszy z nich przedstawiał imię Bradley, imię zarówno jej syna, jak i ojca. Nazywała chłopca Brad i Bradley, a potem (kiedy umarł) wytatuowała sobie jego imię na biodrze, dokładnie tam, gdzie niegdyś go nosiła.

Tłumacząc, jak zniosła śmierć dziecka, Amy zaznaczyła, że biodra to najsilniejsza część jej silnego ciała. Danny nie miał co do tego wątpliwości.

Z radością odkryła, że w przeciwieństwie do niej Danny umie gotować. Dziczyzna smakowała wyśmienicie, choć było jej trochę za mało. Danny pokroił ziemniaki w cienkie plasterki i obsmażył na patelni z cebulą, papryką i grzybami, żeby się najedli. Podał warzywa po posiłku, ponieważ kucharz nauczył go, że to „cywilizowany” sposób

na podanie sałatki, choć w restauracjach rzadko praktykowany.

Ucieszyło go, że Pani Niebo pije piwo. „Odkryłam dawno temu”, powiedziała „że wszystko piję w takim tempie jak piwo, więc jeśli nie chcę się zabić, wolę poprzestać na piwie. Straciłam pociąg do autodestrukcji”, dodała.

O sobie mógł powiedzieć to samo. Nauczył się cieszyć obecnością Śmiałego, bez względu na smród, no i znajdował się pod opieką dwu sprzątaczek; gdyby się zabił, na pewno by mu tego nie darowały.

Amy naturalnie poznała jedną z nich, jutro zaś – gdy dopisze pogoda – najpewniej pozna Niestrudzoną. Co do Lupity, nazwała ją lepszym stróżem od Śmiałego; była pewna, że się zaprzyjaźnią.

– Nie mam prawa być szczęśliwy – powiedział swemu aniołowi Danny, gdy zasypiali wieczorem objęci razem.

– Każdy ma prawo być trochę szczęśliwy, debilu – odpowiedziała mu Amy.

Spodobałoby się Ketchumowi, jak wymawia słowo „debil”, uznał pisarz. Było to ulubione słowo flisaka – to zaś, gdy Danny zapadał w sen, ponownie naprowadziło go na trop nowej powieści.

Amy Martin i Daniel Baciagalupo mieli przed sobą miesiąc pobytu na wyspie Turner w Georgian Bay; miesiąc w dziczy, zanim rozpoczną wspólne życie w Toronto. Nie zawsze mamy wpływ na to, jak poznajemy się nawzajem. Bywa, że ludzie wchodzą w nasze życie gładko, jakby spadali z nieba, jakby prowadził stamtąd prosty szlak – tak samo nagle, jak tracimy tych, wydawałoby się, związanych z nami nierozerwalnie.

Mały Joe odszedł, lecz w życiu Daniela Baciagalupo nie było dnia, by ten nie myślał o nim z miłością. Ojciec został

zabity we własnym łóżku, ale to on roześmiał się kowbojowi prosto w twarz. Lewa dłoń Ketchuma na zawsze przetrwa w rzece Twisted, a Pam wiedziała, co począć z resztą starego przyjaciela.

Pewnego lutowego dnia nad jezioro Huron przyszła z zachodu zamieć, otulając śniegiem całą zatokę. Gdy pisarz i Pani Niebo się obudzili, panowała cisza. Nastał pogodny ranek.

Danny wypuścił psa i zrobił kawę, a gdy zaniósł ją do sypialni, zobaczył, że Amy znowu zasnęła. Przebyła długą drogę; życie, które wiodła, znużyłoby każdego; postanowił jej nie budzić. Nakarmił psa i zostawił Amy liścik, w którym nie zdradził, że się w niej zakochuje. Napisał tylko, że wie, gdzie go znaleźć. Śniadanie zjedzą, kiedy się obudzi. Zaniesie kawę do pracowni i napali tam w piecu; w głównym budynku już to zrobił.

– Idziemy, Śmiały – powiedział i wyszli na świeży śnieg. Zobaczył z ulgą, że podobizna jego ojca, sosna wygięta przez wiatr, przetrwała zamieć.

Daniel Baciagalupo czuł, że pierwszy rozdział nie powinien zaczynać się od Ketchuma. Początkowo lepiej trzymać go nieco na uboczu, niech czytelnik trochę odczeka. Najważniejsze postacie nie muszą być od razu oczywiste. Lepiej będzie, pomyślał, jeśli pierwszy rozdział – i cała powieść – rozpocznie się od zaginionego chłopca. Postać Angela, który nie był tym, kim się wydawał, stanowiła dobrą przynętę. Młody Kanadyjczyk (który nie był Kanadyjczykiem) – oto, od czego powinien zacząć.

Teraz już pójdzie z górki, pomyślał Daniel Baciagalupo. A gdy już znajdzie to swoje pierwsze zdanie, będzie miał je komu przeczytać!

„Legalnie lub nie, z dokumentami lub bez nich, Angel Pope przekroczył kanadyjską granicę i dotarł do New

Hampshire”.

Może być, uznał pisarz, ale to nie początek – błędne założenie, że Angel przekroczył granicę pojawia się później.

„W Berlinie Androscoggin na przestrzeni niecałych pięciu kilometrów zwężała się o sześćdziesiąt metrów; dwie papiernie rozdzielały rzekę przy sortowniach w Berlinie”, napisał Danny. „Istniało podejrzenie, że Angel Pope z Toronto zmierza w tym właśnie kierunku”.

Tak, tak – pomyślał zniecierpliwiony pisarz. Ale suche fakty nie nadają się na początek; przyczepił zdania do ściany obok pozostałych, po czym dodał kolejne: „Ruchomy dywan kłód zamknął się nad młodym Kanadyjczykiem, który nie wypłynął na powierzchnię: z brunatnej wody nie wyłoniła się nawet jego ręka ani but”.

Prawie, pomyślał Daniel Baciagalupo. Zaraz też pojawiło się następne zdanie – jak gdyby to sama Twisted pozwalała im wypłynąć na powierzchnię, jedno za drugim. „Powtarzający się szczęk drągów trącających kłody na chwilę ustąpił miejsca okrzykom flisaków, którzy zauważyli drąg Angela, około pięćdziesięciu metrów od miejsca, w którym zniknął chłopiec”.

No dobrze, stwierdził w duchu Danny, ale za dużo się dzieje; za duże rozproszenie uwagi.

Na samą myśl nie mógł się skupić; wybiegł naprzód – za daleko – do Ketchuma. Nowe zdanie zabrzmiało jak sentencja: „Tylko Ketchum może zabić Ketchuma”. Dobre, uznał Danny, ale na pewno nie do pierwszego rozdziału.

Danny drżał; trochę potrwa, zanim ciepło rozejdzie się po izbie. Zwykle wycinał w tym czasie przerębel i targał wodę z jeziora, ale tym razem sobie darował. Ma czas, Pani Niebo mu pomoże.

I nagle, kiedy najmniej się tego spodziewał – a dokładnie w chwili gdy wyciągnął rękę, aby podrapać Śmiałego za całym uchem – pierwsze zdanie ujrzało światło dzienne.

Poczuł, że wyłania się jakby spod wody; ukazało się jego oczom niczym słój z prochami ojca, na sekundę przed tym, jak dosięgnął go strzał Ketchuma.

„Młody Kanadyjczyk, który nie mógł mieć więcej niż piętnaście lat, za długo się wahał”.

O Boże, zaczynam!, pomyślał.

Stracił tak wiele tego, co było mu drogie, wiedział jednak, że opowieści to rzecz niepojęta – raz puszczone w ruch, nie dadzą się zatrzymać. Czuł, że stoi dopiero u progu wielkiej przygody swojego życia – tak jak zapewne czuł jego ojciec w wirze dramatycznych wydarzeń swej ostatniej nocy w Twisted River.

PODZIĘKOWANIA

Pragnę szczególnie podziękować szefom kuchni i restauratorom za radę i poświęcony mi czas: Bonnie Bruce z „Up for Breakfast” w Manchester; Rayowi Chenowi i Christal Siewertsen z „The Inn at West View Farm” w Dorset w stanie Vermont; Georges'owi Gurnonowi i Steve'owi Silvestro z „Pastis Express” w Toronto; Cheryl i Danie Markey z „Mistral's” w Winhall w stanie Vermont.

Dziękuję krewnym i przyjaciołom oraz czytelnikom pierwszych wersji powieści, którzy pomogli mi w zbieraniu materiałów: w New Hampshire: Billowi Altenburgowi, Bayardowi Kennettowi, Johnowi Yountowi; w Vermoncie: Davidowi Calicchio, Rickowi Kelleyowi; w Ontario: Jamesowi Chatto, Deanowi Cooke'owi, Donowi Scale'owi, Marty'emu Schwartzowi, Heldze Stephenson.

Mojej żonie Janet i synowi Everettowi, którym czytałem na głos pierwszą wersję, a także moim dwóm asystentkom, Alyssie Barrett i Emily Copeland, które przepisywały i redagowały wszystkie wersje, no i wydawcy, Amy Edelman – *un abbràccio.*

ŹRÓDŁA

James Barry, *Georgian Bay: The Sixth Great Lake*, Toronto: Clarke, Irwin & Co., Ltd., 1968.

James Chatto, *Host Story*, „Toronto Life”, styczeń 2006.

Bill Gove, *Log Drives on the Connecticut River*, Littleton, N.H.: Bondcliff Books, 2003.

Bill Gove, *Logging Railroads Along the Pemigewasset River*, Littleton, N.H.: Bondcliff Books, 2006.

Richard E. Pinette, *Northwoods Heritage: Authentic Short Accounts of the Northland in Another Era*, Colebrook, N.H.: Liebl Printing Company, 1992.

Anthony V. Riccio, *Boston's North End: Images and Recollections of an Italian-American Neighborhood*, Guilford, Conn.: Globe Pequot Press, 1998.

Robert Stone, *Prime Greek: Remembering the Sixties*, New York: Ecco/HarperCollins, 2007.

* *Twisted* (ang.) – kręta.

Powrót

* *Vingt* (franc.) – dwadzieścia.

Powrót

* North End – włoska dzielnica Bostonu, tzw. „Little Italy”, czyli „Małe Włochy”.

Powrót

* *Dot* (ang.) – kropka.

Powrót

* Paul Revere (1735–1818) – słynny bostoński złotnik i ludwisarz, bohater wojny o niepodległość.

Powrót

* Ojcowie pielgrzymi – grupa purytanów z Anglii, którzy na statku „Mayflover” przybyli w 1620 r. do Nowej Anglii i założyli pierwszą angielską kolonię na tych terenach.

Powrót

* Liga Bluszczowa – osiem elitarnych uniwersytetów amerykańskich.

Powrót

* Federal Aviation Administration.

Powrót

* Płaskodenna łódź śmigłowa, umożliwiająca poruszanie się po wodzie, bagnach, lodzie i śniegu.

Powrót